

# Pan i głupiec

---

J. V. JONES





J. V. Jones

## **PAN I GŁUPIEC**

*Master and Fool*

Przełożył

Michał Jakuszewski

*Dla Richarda*

### **Podziękowania**

Podczas pisania tej trylogii korzystałam z dzieł licznych uczonych. Szczególnie wiele zawdzięczam pracom Philipa Warnera, Frances i Josepha Giesów, Elizabeth David oraz Reay Tannahill.

Chciałabym też podziękować Betsy Mitchell za to, że podjęła ryzyko, zajmując się debiutantką, a następnie pracowała nad moim tekstem z wielką dozą intuicji i dobrego humoru. Jeśli chodzi o intrygę i postacie, jestem winna podziękowania Markowi Arnoldowi, który skłonił mnie do jak najściślejszego zawiązania fabuły. Zgodnie z jego radą, w finalnej scenie pojawia się postać, która jego zdaniem powinna się tam znaleźć (choć niestety nie udało mi się wepchnąć hordy rozszalałych świń!). Zaciągnęłam ogromny dług u Wayne'a D.

Changa, któremu dziękuję zwłaszcza za moralne wsparcie, informacje na temat średniowiecznego chleba oraz wskazówki dla graczy. Bardzo wiele zawdzięczam również Nancy C. Hanger, Mari Okuda i wszystkim pracownikom Warner Books, którzy pomogli mi uczynić tę trylogię najlepszą, jak to tylko możliwe. Dziękuję również Darrellowi K. Sweetowi za piękne i sugestywne okładki do wszystkich tomów.

Na koniec chciałabym podziękować mojemu bratu Paulowi za pomoc daleko wykraczającą poza zakres braterskich obowiązków, a zwłaszcza za obsługę stron sieciowych; a także Richardowi, za wiele spraw, między innymi propozycję zmiany imienia Bogger na Bodger.

*Gdy ludzie honoru zapomną o swej sprawie*

*A krew trojga ludzi jednego dnia posmakowana będzie*

*Dwa bogate domy małżeństwem się połączą*

*A rozkład zrodzą ich lędźwie*

*Zjawi się człowiek nie mający ojca ni matki*

*Lecz siostrę za kochankę*

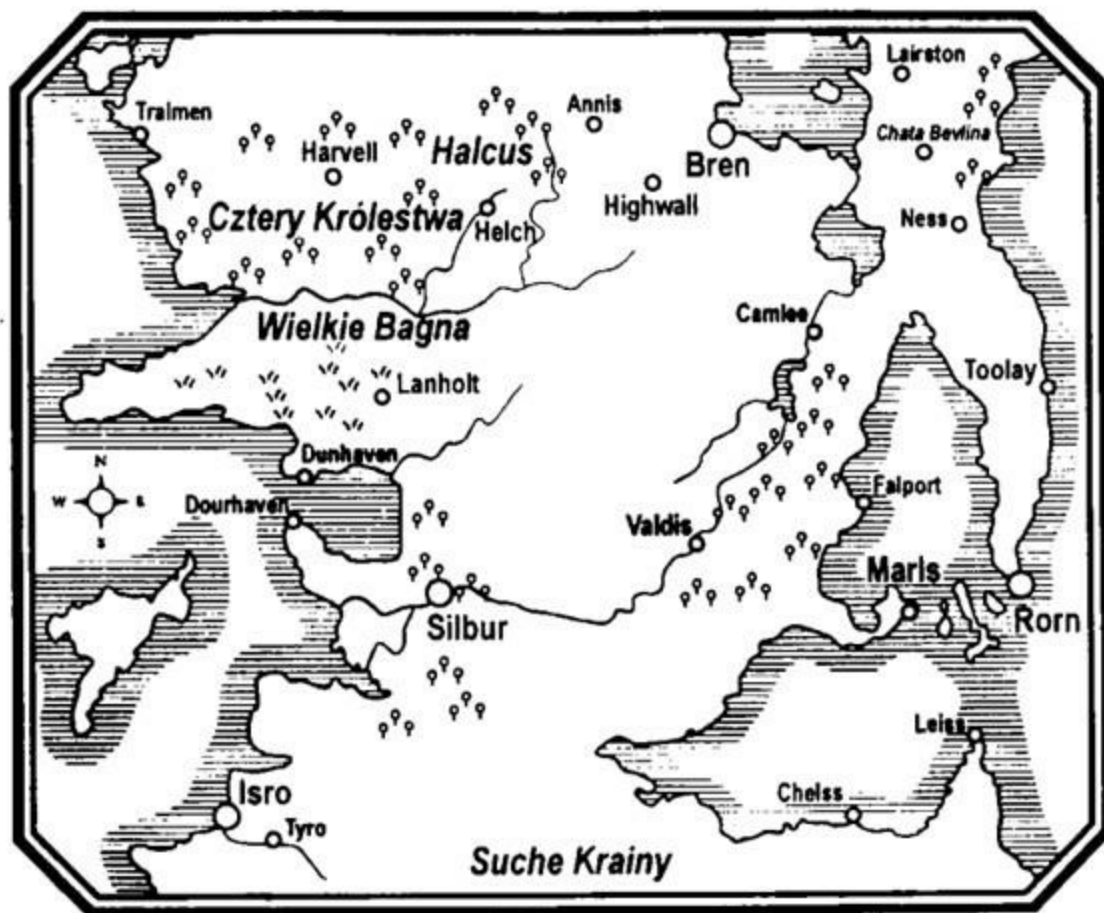
*I powstrzyma zarazę*

*Kamienie się rozstąpią, świątynia upadnie*

*Rozrost imperium mroku jego głos powstrzyma snadnie*

*A prawdę zna tylko głupiec.*

Marod, *Księga słów*



# Prolog

Kap, kap, kap. Zegar wodny wskazał koniec kolejnego cyklu. Pełen kubek wody ściekł do miski. Jeszcze jeden i wybije godzina. O tej samej godzinie, tego samego dnia, przed miesiącem zawarła ślub z diukiem.

Melli usadowiła się na najwygodniejszym z krzeseł w najbardziej komfortowej izbie domu. Uniosła stopy z podłogi i bezwiednie wsunęła kciuk do ust. Drugą ręką objęła brzuch, po czym zaczęła się kołysać. Była wdową lecz nie nosiła czarnych szat; nie było zwłok, które mogłaby spowić całunem; nie zaznała nocy poślubnej, której wspomnienie pomogłoby jej przetrwać żalobę. Mieszkańcy Brenu bynajmniej nie uważali jej za wdowę.

Och, ale byli w błędzie. Wszyscy: od lorda Baralisa po jej ojca, od Trafia po Tawła, od diuszesy Catherine po najędzniejszego z chłopców stajennych. Wszyscy oni rozpaczliwie się mylili.

Melli nie przestawała się kołysać. W tył i w przód, w tył i w przód, w tył i w tył, i w tył.

Z powrotem do dnia ślubu. Do kaplicy. Do jedynej godziny, którą spędzili z diukiem jako mąż i żona.

Kiedy odwrócili się i odeszli od ołtarza, towarzyszyła im woń kadzidła i kwiatów.

Mocno zaciśnięta dłoń diuka była chłodna. Drzwi kaplicy otwarto i gdzieś w oddali usłyszeli dzwony. Na nowożeńcach skupiło się sto par oczu, Melli jednak nie widziała nikogo poza Tawlem. W kościele pełnym ludzi, którzy udawali radość, mina rycerza wydawała się zdecydowanie zbyt szczerą. Pokłonił się, gdy przechodzili obok niego, lecz kiedy jego oblicze skryło się w cieniu, zdradziło wszystko. W rysach zwróconej ku podłodze twarzy zaznaczał

się żal, gwałtowny i oczywisty.

Melli spojrzała pospiesznie na diuka. Nic nie zauważył. Wpatrywał się w dal.

W drodze przez pałacowe korytarze z obu ich stron towarzyszyli im odziani w granatowe stroje gwardziści. Za plecami słyszeli kroki Tawła. Melli miała wrażenie, że śni.

Wszystko odbyło się bardzo szybko: zaloty, oświadczyzny, małżeństwo. Za szybko. Od tempa toczących się wydarzeń czuła się jak pijana; doznawała zawrotów głowy pojmując ich znaczenie. To było coś więcej niż małżeństwo - to plan mający utrzymać pokój. Nie wątpiła, że diuk ją kocha, lecz za jego miłością stał polityczny interes. Potrzebował dziedzica i żony, która by mu go dała. Małżeństwo było swego rodzaju traktatem, a noc poślubna inkaustem, którym zostanie on podpisany.

Melli była tego wszystkiego świadoma, lecz w miarę zbliżania się do komnaty diuka miało to dla niej coraz mniejsze znaczenie. Gruba, atlasowa suknia drażniła jej piersi, a na policzkach, języku i głęboko w brzuchu czuła skutki działania weselnego wina. Podczas ceremonii podano bardzo mocny trunk. Kapłani z pewnością produkowali go sami. Melli przesunęła palce w dłoni męża. Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Już niedługo, kochanie - wyszeptał.

Dźwięczny ton jego głosu z nawiązką wynagradzał cienki zarys warg. Dłoń diuka zrobiła się lekko wilgotna. Nie miało już znaczenia, czy był to jego, czy jej pot. To prawda, że zawarli małżeństwo po części z powodów politycznych, lecz równie wielki udział przypadł w nim miłości i namiętności. Dzisiejszej nocy jedynie one miały się liczyć.

Po paru minutach dotarli na miejsce. Ostatnie trzy czwarte mili przerodziły się właściwie w wyścig. Diuk niemal biegł przez korytarze, a Tawl dotrzymywał mu kroku. Przy wejściu do komnat czekało ośmiu ludzi, którzy oddając honory przez skrzyżowanie włóczni, odwrócili uprzejmie spojrzenia. Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i diuk wprowadził Melli do środka. Gdy wchodzili do komnaty, spojrzała za siebie. Tawl zniknął. Serce zabiło jej lekko z niepokoju, lecz bliskość diuka, silnego i pewnego siebie, odegnała owo uczucie. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Melli nie pamiętała już, czego właściwie się bała. Wszystko straciło dla niej znaczenie.

Znaleźli się w małym westybulu, w którym zaczynały się krótkie schody, prowadzące do komnat. Na ich szczycie znajdowały się kolejne dwuskrzydłowe drzwi. Melli poczuła na talii dłoń diuka, który stanowczym ruchem zwrócił ją w swoją stronę.

- Chcę pocałować żonę na progu - oznajmił tonem, którego nigdy dotąd nie słyszała.

Głosem nieznanego, niskim i gardłowym. Pobrzmiwało w nim coś, czego Melli nie potrafiła nazwać. Wpił wargi w jej usta tak mocno, że aż poczuła jego zęby. Potem w ruch poszedł język, cienki, suchy i twardy, jak stara, wygarbowana skóra. Czuło się jeszcze na nim smak ostatniego posiłku. Stopa Melli zawisła na chwilę nad stopniem. Potem dziewczyna wsparła ją o stopę męża.

Wysunęła język, wygięła plecy do tyłu, uniosła ramiona, wpiła wargi w jego usta.

Oparła się o diuka, na wpół oszalała od świeżo odkrytej żądz.

Odsunął się od niej.

- Chodź, kochanie. Powiodę cię do łóża.

Nim jednak słowa zdążyły się wydobyć z jego ust, wepchnęła je z powrotem językiem. To, co się w niej przebudziło, było zbyt silne, by mogło czekać. Nawet krótka chwila rozłąki z ciałem męża trwałaby zbyt długo. Z początku opierał się i wspierając dłoń na jej krzyżu, popychał ją do przodu. Nowo zdobyta siła pozwoliła jej jednak podjąć walkę.

Melli gryzła jego uszy i owiewała szyję gorącym, wilgotnym oddechem.

- Niech cię licho, Melliandro - wyszeptał, przyciągając ją do siebie. - Potrafisz doprowadzić męzczyznę do szaleństwa.

Te słowa podnieciły Melli bardziej niż pocałunki. Odrzuciła głowę do tyłu, odsłaniając przed nim piersi. Zacerpnęła gwałtownie tchu, po czym zorientowała się, że spoczywa na schodach. Za plecami diuka płonęła jedyna lampa. Z początku zdziwiła się, że tak dobrze zna tajemnice jej ubrania.

Wydawało się nie w porządku, by mężczyzna tak świetnie radził sobie z halkami i damską bielizną. Po chwili zaskoczenie ustąpiło miejsca zadowoleniu. Lepszy dojrzały mężczyzna, który wie, co robi, niż nieudolni młodzieńcy z dworu. Diuk nie trudził się z rozwiązywaniem sznurówek gorsetu, czy rozpinaniem haczyków spódnicy. Uniósł wszystko do góry i zabrał się za ukryte pod spodem płótno.

Kamienne stopnie wpijały się Melli w plecy. Świeczone wino buzowało w jej krwi, niosąc ze sobą urywki wspomnień: pocałunki, pieszczoty i dotknięcia, których zaznała dotąd.

Jack, Edrad i - zeszywniała na moment - Baralis. Długi, zakrzywiony palec, przesuwający się wzdłuż pokrytych pręgami pleców. Mimo woli wygięła się jeszcze bardziej.

Ból rozproszył jej myśli. Nogi bez świadomego udziału dawno już się rozsunęły.

Poczuła, że coś się między nimi rozdarło. Chciała krzyknąć, lecz usta wypełniał jej ostry niczym bicz język diuka, a myśli bezlitosne jak miecz wspomnienie Baralisa. Miała wrażenie, że ból zapadł się w sobie, pozostawiając próżnię, którą trzeba było wypełnić. Jej palce nie zaciskały się już w pięści, lecz przerodziły się w szpony. Kant stopnia stał się dłonią, ściskającą jej kręgosłup. Mężczyzna nad nią był jedynie niewyraźnie majaczącą w blasku lampy sylwetką. Liczyło się wyłącznie pożądanie. Cała reszta - wino, ból i wspomnienia -

jedynie je wzmacniała.

Wszystko zaczęło się zbyt szybko i skończyło przedwcześnie. Całość nie usprawiedliwiała użytych środków. Melli dyszała spazmatycznie. Chciała więcej.

Wzdłuż jej uda ściekało coś ciepłego i ciężkiego jak rtęć. Wbiła wzrok w sufit: kamień wzmocniony mosiądzem. Diuk - gdyż znowu był sobą - stał nad nią, odrywając mankiet bluzy.

- Masz - rzucił, wręczając jej kawałek ozdobionego gęstym haftem płótna. - Wytrzymaj się. Mocno krwawisz.

W jego głosie słychać było chłód, niemal dezaprobatę.

Melli odwróciła się i wykonała polecenie. Czowała się zawstydzona i zbita z tropu.

Sprowadzono ją gwałtownie na ziemię. Czyżby czymś go rozgniewała?

Krew trudno było dokładnie usunąć. Była ciemna i szybko krzepła. Melli musiała spluwać na tkaninę, żeby ją zetrzeć.

- Szkoda, że nie zaczekaliśmy z tym do małżeńskiego łóżka - odezwał się diuk za jej plecami, gdy wreszcie skończyła. - Nie w takim miejscu chciałem cię zapoznać z rozkoszami miłości.

Podniosła się. Nogi uginały się pod nią. Miała trudności ze skupieniem zmysłów.

Poczuła tępy ból w boku.

- Nie jesteś zadowolony? - zapytała.

Diuk podszedł bliżej i poprawił jej suknię.

- Wolałbym, żeby było ci wygodnie - odparł, nie patrząc na nią.

Wyciągnęła rękę, wyczuwając w jego głosie coś przypominającego zawstydzenie.

- No to spróbujmy jeszcze raz.

Uśmiechnął się, po raz pierwszy od zakończenia ceremonii.

- Rzucasz na mnie czar - rzekł.

Melli ruszyła w górę.

- Nikt jeszcze nie nazwał mnie czarownicą, choć powiedziano mi już kiedyś, że jestem złodziejką.

- Kradniesz mężczyznom serca?

- Nie, przeznaczenie.

Wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł dreszcz. Te słowa nie należały do niej, lecz do innej kobiety. Kobiety z Dalekiego Południa, pomocnicy handlarza żywym towarem. „Tam, skąd pochodzę, nazywamy takich jak ona złodziejami. Ich przeznaczenie jest tak mocne, że nagina losy innych ludzi do swych wymagań. A te, których nie może nagiąć, kradnie”.

Dotknęła drzwi. Diuk podążał tuż za nią. Nacisnęła mosiężną płytę i weszła do komnaty jako pierwsza. Drzwi wiodły do gabinetu. Melli dobrze go pamiętała. Błaty obu biurk zastawiono jadłem. Zimna pieczona wołowina, szynka, dziczyzna, kandyzowane owoce, wątle i ciasto. Herb Brenu rzeźbiony w cukrze.

Melli dopiero teraz zauważyła, że jej mąż nadal ma u boku miecz. Czy był tam również wtedy, gdy się kochali? Z pewnością nie.

Podał jej kielich wina.

- Zjedzmy trochę, żeby odzyskać siły - zaproponował, uśmiechając się delikatnie.

Podeszła do niego natychmiast, wzięła kielich i odstawiła go. Drżącymi dłońmi wymacała rękojeść miecza. Oczy diuka błysnęły ostrzegawczo. Zignorowała go i odpięła oręż. Był ciężki, solidny i pasował do dłoni.

- Nie będzie ci potrzebny - powiedziała, kładąc go na biurku.

- Melli...

Zdusiła jego sprzeciw pocałunkiem.

- Możemy zjeść później. I tak wszystko jest na zimno. Nic się nie stanie, jeśli trochę poczeka.

Musieli skończyć to, co zaczęli na schodach. Przynajmniej ona tego pragnęła. Jej mąż sprawiał wrażenie zaspokojonego. Ścisnęła jego dłoń.

- Zaprowadź mnie do sypialni.

Spojrzenie diuka było równie ostre, jak jego miecz.

- Proszę bardzo - zgodził się. - Wygląda na to, że nie mogę pozwolić mej pani czekać.

Bez przesadnej delikatności pochwycił jej rękę za plecami i powiódł ją w stronę sypialni.

Melli jako pierwsza zauważyła skrytobójcę. Stał z boku drzwi, z nożem uniesionym do piersi. Krzyknęła. Diuk jedną ręką popchnął ją naprzód, drugą zaś sięgnął po miecz. Nie miał go. Wahał się tylko pół sekundy, to jednak wystarczyło. Napastnik ciął go przez gardło.

Nóż był długi, a uderzenie błyskawiczne. Wszystko skończyło się w mgnieniu oka.

Melli nie przestawała krzyczeć, lecz nikt się nie zjawiał. Bluza diuka nasiąknęła krwią, nim jeszcze ciało upadło na podłogę. Przypomniła sobie imię skrytobójcy: Traff, najemnik Baralisa. Po tym ostatnim wysiłku jej umysł poddał się. Z wydarzeń, które rozegrały się później, nie zapamiętała nic. Poza Tawlem. Rycerz przyszedł jej na ratunek i choć nic nigdy nie miało już być tak jak należy, zdołał przynajmniej zapewnić jej bezpieczeństwo. Zawsze będzie się nią opiekował. Nie potrzebowała pytać o to umysłu. Serce dawno już jej to powiedziało.

Kołysała się w przód i w tył. W przód i w przód, i w przód.

Dobiegł końca kolejny cykl wodnego zegara. Upłynął miesiąc, z dokładnością do minuty. Już od miesiąca była wdową, od miesiąca ukrywała się, od miesiąca nie krwawiła.

Owego dnia nie tylko zawarto małżeństwo, lecz również je skonsumowano, a ona była jedyną osobą w Znanych Krainach, która o tym wiedziała. Niedługo jednak sytuacja się zmieni. Położyła dłoń na brzuchu. Ostatni raz krew spłynęła między jej nogami na schodach prowadzących do komnaty diuka i nie oznaczało to miesięcznego cyklu, lecz utratę dziewictwa. Od tego czasu nie było już nic.

Wewnątrz niej rozwijało się dziecko. Dziecko diuka. Jego dziedzic, jeśli będzie to chłopiec. Rozpostarła palce. Jak przyjmą tę wiadomość mieszkańcy Brenu? Nie musiała zastanawiać się długo. Spróbują ją zdyskredytować, oznajmią, że diuk nie jest ojcem, a dziecko jest nieślubne. Obsypią ją kłamstwami i potwarzami. Wielu już w tej chwili uważało ją za współniczkę mordercy. Nie to było jednak ważne. Liczyło się wyłącznie zapewnienie bezpieczeństwa nowemu życiu.

Za osiem miesięcy dziecko przyjdzie na świat i wszystko - swoje życie, siły, a nawet duszę - musi poświęcić jego ochronie. Zabierając diukowi miecz, ukradła jego przeznaczenie, a to była albo kara, albo zapłata.



Wstała i wyciągnęła rękę w stronę wodnego zegara, wylewając płyn ze stożka.

Następną godzinę wybił przedwcześnie. Chciałaby, żeby wszystkie godziny mijały równie szybko. Z niecierpliwością oczekiwała narodzin dziecka.

Jeśli to będzie dziewczynka, w udziale przypadnie jej część bogactwa Catherine. Jeśli chłopiec, całość.

- Dość już mam tego ciągłego łażenia po ulicach w poszukiwaniu roboty, Grift.

Nagniotki doskwierają mi jak wszyscy diabli.

- A ile właściwie masz tych nagniotków, Bodger?

- Jak ostatnio sprawdzałem, to cztery, Grift.

- To musisz jeszcze deczko połązić. To pięć nagniotków przynosi szczęście, nie cztery.

- A to dlaczego, Grift?

- Mężczyzna z pięcioma nagniotkami nigdy nie będzie impotentem, Bodger.

- Impotentem!

- Ehe, Bodger. Impotencja. Przekleństwo tych, którzy uznają tylko krótkie spacerki.

- Ale kapelan twierdzi, że jedyne lekarstwo na impotencję to noc spędzona na modłach dziękczynnych.

- Nie, Bodger, kapelan nie powiedział, że noc spędzona na modłach dziękczynnych leczy impotencję. Chodziło mu o noc z młodą dziewczyną. No wiesz, to całkiem co innego.

Grift pokiwał głową z mądrą miną i Bodger odpowiedział mu tym samym.

Dwaj strażnicy szli powoli jedną z ulic południowej części Brenu. Był późny ranek i przed chwilą rozpadała się lekka mżawka.

- Tak sobie myślę, że mieliśmy szczęście, Grift. Wyrzucenie ze straży jest znacznie lepsze od chłosty i więzienia.

- Ehe, Bodger. Pijaństwo na służbie to poważne oskarżenie. Naprawdę się nam upiekło. - Grift zatrzymał się na chwilę, by zdrapać z buta końskie łajno. - Oczywiście, lepiej by było, gdyby przed wyrzuceniem na bruk wypłacili nam miesięczny żołd. Tego, co mamy, ledwie starczy na następny posiłek, nie mówiąc już o kupieniu dwóch koni, na których moglibyśmy wrócić do królestw.

- Wszystkie nasze pieniądze wydałeś na *ale*, Grift.

- Nie chrzań, Bodger. *Ale* jest niezbędne do życia. Bez niego równie dobrze moglibyśmy od razu umrzeć. - Grift uśmiechnął się ujmująco. - Jeszcze mi za to podziękujesz, Bodger. Poza tym, jest szansa, że znajdziemy robotę. Ślub Catherine z Kylockiem ma się odbyć za dwa tygodnie. Z pewnością to szansa dla takich zdolnych ludzi, jak my.

- Nikt nie da nam roboty, Grift. To lord Baralis włada całym miastem. Gdyby się dowiedział, że ktoś

nam pomógł, kazałby go wychłostać. - Bodger otulił się płaszczem. Nie znosił deszczu i sterczących po nim włosów. - Powinniśmy zrobić tak, jak mówiłem: opuścić miasto, przejść przez góry i dołączyć do armii Highwall. Odkąd Kylock zamordował

halcuskiego króla, przyjmują tam wszystkich chętnych. Każdemu, kto chce dla nich walczyć, dają pięć miedziaków tygodniowo, nowy napierśnik i tyle koziego mięcha, ile tylko zdoła wtrząchnąć.

- Gdybyśmy pojechali do Highwall, Bodger, znaleźlibyśmy się po przegranej stronie. -

Grift splunął z pewną siebie miną. - Północne miasta mogą być szalone jak paw w cieście, lecz Bren i królestwa nigdy jeszcze nie były tak silne. Przez trzy ostatnie tygodnie Kylock zdążył podbić znaczne tereny wschodniego Halcusu. Zawładnął niemal całym krajem. Nikt nie wie, gdzie się zatrzyma.

- Słyszałem, że chce dać Catherine Halcus w prezencie ślubnym, Grift.

- Po tym, co spotkało króla Hirayusa, można powiedzieć, że osiągnął cel.

Bodger potrząsnął powoli głową.

- To naprawdę okropne, Grift. Namiot rokowań to poświęcona ziemia.

- Dla Kylocka nie ma nic świętego, Bodger.

Gdy młodszy z mężczyzn unosił głowę, by skinąć nią na znak zgody, ujrzał w tłumie przed sobą znajomą postać.

- Hej, Grift, czy to nie młody Kosiarz? - Nie czekając na odpowiedź przyjaciela, Bodger pognął przed siebie. - Kosiarzu! - krzyczał. - Kosiarzu! Tu jesteśmy!

Chłopiec rozejrzał się wokół. Wysłano go z ważną misją i otrzymał jednoznaczne rozkazy, zabraniające mu wałęsać się po mieście, lecz czynność ta była dla niego potrzebą duszy, a własny głos brzmiał dla jego uszu jak muzyka. Natychmiast rozpoznał kontrastujące z sobą postacie Bodgera i Grifta. Obaj sprawiali wrażenie przemokniętych, nieszczęśliwych, niezadowolonych i - co najbardziej zaniepokoiło Kosiarza - trzeźwych jak para wieprzków.

Ku czemu zmierzał ten świat?

Bodger potruchtał ku niemu z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Jak się masz, przyjacielu? Cieszę się, że cię widzę. Obaj z Griftem piekielnie się o ciebie martwiliśmy od chwili...

- Od chwili naszego rozstania - przerwał mu Grift, obrzucając przyjaciela ostrzegawczym spojrzeniem.

Kosiarz uwolnił się delikatnie z pajęczego uścisku Bodgera. Poprawił bluzę i wygładził włosy.

- Spotkać was to zawsze przyjemność, panowie - stwierdził, kłaniając się lekko.

- Czy ciągle cierpisz z powodu swej straty? - zapytał Bodger wyjątkowo wymownym szeptem.

- Straty? Jakiej straty?

- No, twojej kochanej, zmarłej matki. Cały czas siedziałeś w kaplicy, modląc się za jej duszę.

Wygląd Kosiarza uległ natychmiastowej metamorfozie. Chłopak opuścił barki, przygarbił się i wydał wargi.

- Ani na chwilę nie zapominam o żałobie, Bodger - odparł tragicznym szeptem.

Mężczyźni pokiwali ze współczuciem głową. Kosiarz poczuł się zawstydzony. Szybcior nie byłby zadowolony z tego, że nadaremno wzywa imienia matki. Kieszonkowcy słynęli z sentymentalnego stosunku do rodziców. Sam Szybcior kochał swoją tak bardzo, że nazwał

na jej cześć jeden ze swych najślawniejszych postępów: Numer Diddley. Ten nadzwyczaj pomysłowy i podstępny sposób pozwalał pozbawiać ludzi kosztowności ukrywanych w pobliżu organów. Najwyraźniej nic nie mogło się ukryć przed mamą Diddley. Kosiarz nie miał na razie ambicji opanowania aż tak trudnej sztuki. Szczerze mówiąc, nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie tego chciał.

Czuł się nieco winny z powodu tego, że okłamał obu strażników, znacznie bardziej zaś ze względu na fakt, że znaleźli się na ulicy bez środków do życia. Ostatecznie, było w tym trochę jego winy. Skłoniło go to do złożenia im pewnej propozycji.

- Jeśli chcecie znaleźć schronienie, ciepłe posiłki i pracę jako strażnicy pewnej wysoko urodzonej damy, znam miejsce, w które moglibyście się udać.

Kosiarz powoli potrząsał głową. Na pewno będzie miał z tego powodu kłopoty z Tawlem. Poczucie winy wpędzi go kiedyś do grobu.

- A gdzie to jest? - zapytał Grift nagle zainteresowany. Charakterystyczne było, że nie zapytał, o którą damę chodzi.

Kosiarz przywołał palcem obu strażników do siebie, po czym najcichszym, najbardziej tajemniczym szeptem zdradził im adres kryjówki.

- Zapukajcie trzy razy, a kiedy ktoś się zjawi, powiedzcie, że przynieśliście ślimaki, i że przysłała was Kosiarz.

Stało się. Tawł będzie musiał wpuścić obu strażników. Albo ich zamordować.

- Muszę już lecieć - oznajmił, chcąc jak najszybciej zapomnieć o tej niepokojącej myśli. - Kazano mi dostarczyć wiadomość do pałacu.

Chciał już się oddalić, lecz Grift złapał go za ramię.

- Nie bądź głupi, Kosiarzu. Nie chodź tam - ostrzegł go. - Jeśli dorwie cię Baralis, tylko Borc zdoła cię uratować.

Kosiarz uwolnił się z uchwytu strażnika, wygładził tkaninę rękawa i pokłonił się pospiesznie.

- Dzięki za radę, Grift. Wezmę to pod uwagę. Do zobaczenia.

Potem zniknął w tłumie, tak jak to tylko potrafią kieszonkowcy.

Nie oglądał się za siebie. Było już późno i Maybor z pewnością niecierpliwie wyczekiwał jego powrotu. Kosiarz wzruszył ramionami - będzie mógł się wytłumaczyć deszczem. Po ulicach pełnych spływających z wodą nieczystości trudno było poruszać się szybko.

Wielka szkoda, że miał do wykonania misję, gdyż ulewa była najlepszym czasem dla kieszonkowca. Ludzie wpadali na siebie, unosili płaszcze ponad głowy, spuszczaali wzrok.

Znakomicie. Podczas deszczu można było zgromadzić mnóstwo gotówki. Może uda mu się poświęcić trochę czasu swojej profesji później, kiedy już doręczy list. Z pewnością lepiej będzie nie wchodzić Tawlowi w drogę. Kiedy przyjdą Bodger i Grift, rycerz się wścieknie, a gdy dowie się o liście, wścieknie się jeszcze bardziej.

Pomacał bluzę. Pismo było na miejscu. Suche jak arcybiskup na pustyni. Kolejny powód do wyrzutów sumienia. Problem polegał na tym, że Tawl nic nie wiedział o całym planie. Wymyślili go we dwóch: on i Maybor. Kosiarz był pewien, że rycerzowi nie spodoba się on w najmniejszym stopniu. Był ryzykowny - w gruncie rzeczy, właśnie dlatego Kosiarz na niego przystał: nigdy nie potrafił oprzeć się pokusie ryzyka - i jedyną korzyścią, jaką miał

przynieść, była odrobina osobistej satysfakcji dla Maybora. Chłopak jednak rozumiał uczucia grubasa. Ostatecznie dla Szybciora osobista satysfakcja była podstawowym motywem, którym kierował się w życiu. Poza tym. Kosiarz lubił swobodę. Spędzanie całych dni w kryjówce z Tawlem, Melli i Mayborem nie przypadło mu bynajmniej do gustu. Należało dobijać targów, opróżniać kieszenie, wprowadzać gotówkę w obieg, i to on był odpowiednim człowiekiem do tego typu zadań.

Nim zdążył się zorientować, znalazł się przy kanale burzowym. W Brenie nie było godnej tej nazwy kanalizacji, mieli tu jednak system ścieków i tuneli, który nie pozwalał, by miasto zalała woda podczas niezliczonych burz i ulew nadciągających przez cały rok z okolicznych gór. Zdaniem Kosiarza problem polegał na tym, iż miasto leżało między łańcuchem górskim a jeziorem. Spływająca na dół woda chciała, co dla niej naturalne, połączyć się ze swą większą, ciekłą przyjaciółką, a Bren leżał akurat na linii najmniejszego oporu. Dlatego właśnie konieczne stało się wybudowanie sieci kanałów burzowych i ścieków, które pozwalały wodzie spływać wokół miasta, a także pod nim.

Pałac diuka - a może teraz był to pałac diuszesy? - wznosił się na samym brzegu Wielkiego Jeziora, wskutek czego przebiegało pod nim mnóstwo podobnych tuneli. Kosiarz skierował się właśnie do

jednego z nich. Rzecz jasna, w swych planach nie uwzględnił

deszczu. Straszliwie przemoknie, może nawet rozchorować się i umrzeć. Pocieszała go jednak myśl, że wszystkie pająki z pewnością się utopiły. Nie cierpiał tych stworzeń.

Spojrzał szybko w lewo, a potem w prawo. Chwilowo nikogo tu nie było. Można unieść kratę. Wskoczył do kanału tak szybko i zręcznie, że Szybciorowi łza stanęłaby w oku na ten widok. Wylądował z pluskiem w potoku zimnej, cuchnącej, szybko przybierającej wody. Wspiął się prędko na mur i umieścił kratę z powrotem na miejscu, po czym ponownie zeskoczył na dół. Woda sięgała mu już kolan. Trzeba się spieszyć. Wolałby, żeby nie dotarła na wysokość szyi. Dziękuję bardzo. Nie chciał poczuć pod bluzą martwych pajaków.

Smród był przerażający. Deszcz wypłukał z miasta wszystko, co najgorsze: dawno wyschnięty koński nawóz i pomyje, krew z rzeźni, tłuszcz z wytwórni łoju, a także tyle martwych zwierząt, że mogłyby wypełnić cyrk. Wyglądało na to, że wszystko ląduje w końcu tutaj, pod pałacem. Kosiarz rozejrzał się wokół tęsknym wzrokiem - na wodzie unosiło się wiele interesujących przedmiotów, które warto byłoby zbadać - po czym pogрузił się w całkowitym mroku tuneli.

Znalazł się na znajomym terenie. Nikt nie kochał ciemności bardziej niż kieszonkowcy. Jego stopy z łatwością wyszukiwały drogę, oczy zaś wypatrywały jaśniejszego cienia. Szedł ciągle pod górę. Mijał po drodze wilgotne od szlamu, kamienne schody; każdy jego ruch budził echa pod omszałym łukowym sklepieniem; woda wyprzedzała go, spływając do jeziora, a za jego plecami czały się cienie i martwe pająki.

Wreszcie dotarł do wejścia, którego szukał. Prowadziło do komnat dla szlachty.

Kosiarz przysunął oko do szczeliny między kamieniami i ujrzał szeroki, cichy korytarz. Pod ścianami stały stare broje. Dobrze znał to miejsce. Rankiem roiło się tu od służących spieszących, by rozpaścić ogień i przygotować ciepłe kąpiele, lecz około południa w korytarzu było spokojnie jak w kaplicy. Straże przechodziły tędy tylko raz na godzinę, a większość szlachetnie urodzonych już sobie poszła. Kosiarz zaczerpnął głęboko tchu, odwołał się szybko do szczęścia Szybciora, uruchomił mechanizm otwierający i wkroczył na poświęcony grunt pałacu.

Ze szczególną mieszaniną podniecenia i strachu, młody kieszonkowiec ruszył ku komnatom Baralisa. Musiał doręczyć list, zaczekać na odpowiedź i za wszelką cenę uratować własną skórę.

\*

- Skup się, Jack. Skup się!

Głos Stillfoxa był bardzo cichy, niezmiernie odległy, jakby dobiegał spoza czasu.

Niemniej moc zawarta w ludzkim głosie była tak wielka, że Jack poddał się jej. Musiał się skupić. Jego świadomość pomknęła w dół, w stronę brzucha, myśli zaś skoncentrowały się na szklance.

- Ogrzej ją, Jack. Nie stłucz.

Chłopak napiął wszystkie mięśnie. Włosy stanęły mu dęba, a oczy piekły, gdyż od dawna nie mrugał. Spróbował wykonać polecenie Stillfoxa. Wysłał siebie - nie było na to innego określenia; wysłał to, co czyniło go tym, kim był, co trwało w jego umyśle i zawierało w sobie myśli - na zewnątrz ciała, ku szklance. Był przerażony. Przebywając poza ciałem czuł

się straszliwie bezbronny i owo wrażenie łączyło się ze słodko-gorzką lekkością duszy. „Jak ludzie mogą to robić?” - pomyślał. Jak Baralis, Stillfox i Borec wie, kto jeszcze, mogli się przyzwyczaić do podobnego szoku?

- Ostrożnie, Jack. Słabniesz.

Miał ochotę krzyknąć: „No i co z tego?” Lepiej zostawić w ciele połowę siebie niż nie zostawić nic. Mimo to skupił się bardziej. Ruszył między ruchliwymi, oddalonymi od siebie cząsteczkami powietrza ku twardej, gładkiej powierzchni szklanki. Gdy jednak do niej dotarł, nie była twarda. Zachowała gładkość, lecz stała się dziwnie miękka: plastyczna jak ołów, płynna jak gęsty miód albo dobry, letni ser. Poczuł, że szklanka spływa w dół i pojął, jak sztuczny i fałszywy jest jej obecny stan. Toczyła cichą walkę z nienaturalnym kształtem, jaki nadał jej człowiek. Nim się od niego uwolni, miną stulecia, być może eony, lecz prędzej czy później tak się stanie. Nic nie miało lepszej pamięci niż szkło.

Jack zrozumiał to wszystko bez pomocy artykułowanej myśli. Po prostu to wiedział i tyle. Pojął również, raczej instynktownie niż intelektualnie, że szkło ucieszy się z ogrzania.

Nie będzie się mu opierać. W ten sposób znajdzie się bliżej celu.

Co dziwne, to właśnie świadomość tego faktu dodała mu sił. Nie trzymał już w dłoni bicia, lecz klucz. Delikatnie, bardzo delikatnie, jakby jego dusza poruszała się na palcach, połączył się ze składnikami szkła. Strach przemknął tuż obok, lecz chłopak nie zwracał na niego uwagi. Nie liczyło się nic poza zjednoczeniem. Jeśli nawet Stillfox coś mówił, Jack go nie słyszał.

Zdał sobie sprawę, że szklanka wibruje w silnym, pewnym, niemal hipnotycznym rytmie. Poczuł, jak dostraja się do tego rytmu. Wydawał się właściwy, bardzo właściwy.

- Jack! Uważaj! Zatracasz się!

W słowach Stillfoxa było coś więcej niż sam dźwięk. Przesycała je moc czarów i Jack ją czuł. Budziła w nim odrazę. Szklanka należała do niego i nikomu nie pozwoli się wtrącać.

Wtem jednak coś wsunęło się między niego a naczynie. Odprysk myśli przerodził się w światło. Działając jak dźwignia, spróbował przerwać połączenie. Jack opierał się. Szklanka swą wibracją wprowadziła go w letarg, teraz jednak stał się przebudzonym olbrzymem. Szkło nie było już ciepłe, lecz gorące. Krawędź naczynia zaśniła pomarańczowym blaskiem.

- Jack, rozkazuję ci, cofnij się!

Chłopak poczuł gwałtowne szarpnięcie, ujrzał jasny błysk i stracił kontakt ze szklanką. Gdy mknął z powrotem do ciała, naczynie eksplodowało. Kawałki stopionego szkła przesyły powietrze,

uderzając go w tej samej chwili, w której jaźń wróciła na miejsce.

Skwierczące, palące odpryski trafiły go w pierś i ramiona z siłą bicia. Jack, któremu kręciło się jeszcze w głowie z powodu szoku wywołanego powrotem, zerwał się gwałtownie z krzesła. Jego bluza tliła się, a przykryta nią skóra była poparzona. Chłopak wrócił do ciała dopiero przed chwilą i nie poczuł jeszcze bólu. Był tylko przerażony. Musiał się uwolnić od szkła. Szarpnął za bluzę i zerwał ją z siebie. Drobiny krzepnącej substancji spadły z brzękiem na podłogę.

W tej samej chwili, w której zaczął się ból, w Jacka uderzyła od tyłu fala zimna.

Odwrócił się błyskawicznie. Stillfox stał tuż obok z wielkim, pustym wiadrem w dłoni.

Woda. Zielarz oblał go wodą. Postąpił krok naprzód.

- Jack...

- Daj mi spokój, Stillfox - krzyknął chłopak, unosząc rękę w ostrzegawczym geście.

Czuł się zmęczony i zdezorientowany, a do tego dygotał od stóp do głowy. - Niepotrzebnie się wtrącałeś. Dałbym sobie radę. Panowałem nad wszystkim.

- Nad niczym nie panowałeś, ty durniu - odparł Stillfox z równym gniewem w głosie.

- To szklanka panowała nad tobą. Mało brakowało, żebyś się w niej zatracił.

Piekące punkciki bólu sprowokowały Jacka do okazania gniewu.

- Mówiłem ci, że szklanka jest moja!

Uderzył się pięścią w bok.

Zielarz potrząsnął powoli głową. Wypuścił wiadro, które spadło na podłogę.

- Jeśli jeszcze raz popełnisz podobny błąd, Jack, przysięgam, że to będzie koniec -

oznajmił, dokładnie wymawiając każde słowo. - Drugi raz nie będę cię ratował. Nie jestem twoją niańką.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Nad kominkiem, w zatkanym szmatką flakoniku jest maść - dodał, nie spoglądając za siebie. - Posmaruj nią oparzenia.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

Jack natychmiast osunął się na krzesło. Gniew, który przed chwilą wrzał mu we krwi, opuścił ciało z następnym oddechem. Czuł się bez niego pusty... i zawstydzony. Opuścił



głowę na kolana i potarł twarz dłońmi. Jak mógł być tak głupi? Stillfox miał rację. Stracił panowanie nad sytuacją, poddał się wibracji szklanki. Bardzo trudno byłoby się jej oprzeć.

Przypominała syrenę i jej pieśń. Przeszukawszy wspomnienia, odnalazł w nich kilka odpowiednich piekarskich przekleństw, które wysyczał jadowitym tonem. Jak mógł okiełznać moc, którą miał w swym wnętrzu?

Spędził ze Stillfoxem już dziesięć tygodni. Dziesięć tygodni minęło od chwili, gdy starzejący się zielarz znalazł go w zaroślach przy zachodnim trakcie wiodącym do Annisu i zabrał z sobą do domu. Dziesięć tygodni nauki, wysiłków i niepowodzeń. Każda próba zaczerpnięcia mocy kończyła się niepowodzeniem. Stillfox z początku był cierpliwy.

Zwalniał tempo nauki, szeptał słowa zachęty i porady. Teraz jednak nawet on zaczynał mieć tego dość.

Jack potarł skronie. Posuwał się naprzód bardzo powoli. Czasami zdawało się, że potrafi czerpać moc jedynie wtedy, gdy grozi mu prawdziwe niebezpieczeństwo, gdy spotka się z czymś, co wzbudzi jego gniew. Tutaj, w spokojnej chacie Stillfoxa, w sennej wiosce, którą od Annisu dzieliło trzydzieści mil, a od Brenu całe góry, wszystkie groźby wydawały się pozbawione znaczenia. Nikt nie czyhał na jego bezpieczeństwo, nie polował na niego, nie wygrażał ani nie próbował oszukać. Nielicznym ludziom, którzy go obchodzili, nic nie zagrażało, a sądząc z tego, co mówił Stillfox, sytuacja na północy stabilizowała się. Nie miał

żadnych przeciwników ani powodów do walki, trudno więc było mu rozbudzić w sobie gniew i skierować go przeciw szklance, czy innym celom, które wyznaczał mu zielarz. Nie przywiązywał wagi do podobnych spraw. Nie warto było się trudzić po to tylko, by opanować sztukę magii. Potrzebny był czynnik emocjonalny: ktoś albo coś, co wzbudziłoby jego gniew.

Podczas pierwszego miesiąca pobytu tutaj w ogóle nie potrafił zaczerpnąć mocy, jeśli nie pomyślał o Tarissie.

Tarissa. Kiedy jej imię przemknęło przez głowę Jacka, ból w jego ramionach i piersi rozgorzał nowym płomieniem. Wstał i przewrócił kopniakiem krzesło. Nie będzie o niej myślał. Należała do przeszłości. Dawno zostawił ją za sobą, zupełnie jakby nie żyła. Nie chciał, by przetrwała w jego pamięci. Okłamała go i zdradziła. Żadne łzy ani błagania nie mogły zmienić tego faktu. Magra, Rovas, Tarissa - dobrana trójka. A on okazał się tak głupi i łatwowierny, że właściwie zasłużył na to, co go spotkało.

Podszedł do kominka i zdjął z jego obramowania zatkany szmatką flakonik. W ciągu kilku ostatnich miesięcy zrozumiał, że musi być bezlitosny zarówno wobec Tarissy, jak i wobec siebie. Tylko w ten sposób mógł się uwolnić od żalu. Był naiwny, a ona była podła i to wszystko. Koniec, kropka.

Wyciągnął szmatkę i powąchał zawartość naczynka. Cokolwiek w nim było, pachniało obrzydliwie. Z wielką ostrożnością wsunął palec do środka. Płyn okazał się zimny, tłusty, w kolorze skrzepłej krwi. Jeden Borec wiedział, co to takiego! Gdy Stillfox robił użytek z zawartości którejś ze swych

buteleczek, najpierw skapywał sobie kroplę na język, by sprawdzić, czy specyfik zachował moc. Jack jednak nie zamierzał go naśladować. Lepiej niech tajemnicza substancja zabije go powoli, wnikając w głąb ciała przez rany, zamiast otruć go na miejscu.

Zaczął wcierać maść w poparzenia, najpierw na ramionach, a potem na piersi. Trwało to znacznie dłużej niż się spodziewał. Jego dłonie drżały, co bardzo utrudniało zadanie, a do tego chłopakowi przeszkadzała wrodzona wrażliwość. Powtarzał sobie, że to tylko pieczenie i odkąd opuścił Zamek Harvell przeżył rzeczy znacznie gorsze niż zwykłe poparzenie odpryskami rozżarzonego szkła, niechęć budziła w nim jednak myśl, że ma sam sobie zadawać ból. Do tej pory był on do zniesienia. Prawdziwa udręka jednak zaczęła się dopiero wtedy, gdy posmarował oparzenia maścią. Było to tak, jakby potraktował otwarte rany ługiem. Miał wrażenie, że mazidło wnika pod jego skórę niczym tysiąc maleńkich zadziórów, a potem rozszarpuje tkanki, by wydostać się na powierzchnię. Czyżby to miała być zemsta Stillfoxa?

- Jack. Nie smaruj... - Zielarz wpadł do chaty. Ujrawszy chłopaka z naczynkiem w dłoni, przerwał w pół zdania. Wzruszył ramionami z zażenowaną miną. - No trudno, nie umrzesz od tego.

- A co mi się stanie?

- To miała być dla ciebie nauczka. - Zielarz mówił cicho, prawie mamrotał. - Ale to ja czegoś się nauczyłem. Tego, że złośliwość nie przynosi satysfakcji. - Oderwał wzrok od podłogi. - Trudno. Poboli cię przez kilka dni, ale nic ci się nie stanie.

Jack czuł się zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć. Obrzucił Stillfoxa oskarżycielskim spojrzeniem, lecz tak naprawdę, w głębi serca, wiedział, że zasłużył sobie na to. Naraził na niebezpieczeństwo ich obu, a gdy zielarz próbował mu pomóc, odepchnął go od siebie. Cisnął flakonik do ognia.

- Bądźmy kwita - zaproponował.

Stillfox uśmiechnął się. Na jego policzkach i wokół oczu natychmiast pokazało się więcej bruzd. Jack po raz pierwszy dostrzegł, jak stary i zmęczony wydaje się zielarz.

- Proszę - powiedział, podsuwając krzesło do kominka. - Usiądź sobie. Zagrzeję ci holku.

Stillfox machnął ręką od niechcenia.

- Gdybym potrzebował opieki na stare lata, Jack, wybrałbym sobie kogoś znacznie ładniejszego.

Chłopak skinął głową, uznając słuszność tej reprimendy.

- Przepraszam, Stillfox. Nie wiem, co mnie ugryzło. Mam już po prostu dość tego, że ciągle mi nie wychodzi.

Zielarz przyciągnął do kominka drugie krzesło i gestem nakazał Jackowi usiąść.

Przyniósł koc i zarzucił go na nagie ramiona chłopaka, po czym usiadł wygodnie.

- Nie chcę cię okłamywać, Jack - powiedział. - Nauka nie idzie ci najlepiej. Myślę, że problem tkwi po części w tym, że jesteś po prostu za stary. Trzeba cię było uczyć wcześniej, kiedy twój umysł był jeszcze otwarty, a procesy myślowe mniej... - przerwał na chwilę, szukając odpowiedniego słowa - ...sztywne.

- Ale ja po raz pierwszy poczułem moc dopiero rok temu.

Zaledwie rok. Wydawało się to niemal niemożliwe. Chaos władał jego życiem już tak długo, że trudno mu było uwierzyć, iż były czasy, gdy wszystko wyglądało normalnie.

Zapomniał już, co to słowo znaczy.

- Możliwe, że dopiero wówczas zdałeś sobie sprawę z jej istnienia, lecz towarzyszyła ci przez całe życie. - Stillfox pochylił się na krześle. - Czary nie przychodzą do ludzi jak oślepiający błysk światła. Są czymś realnym, wywodzącym się z głębi ciała, wrodzonym jak instynkt i niepowstrzymanym jak bicie serca. Urodziłeś się z nimi, Jack, i ktoś powinien zadać sobie trud, by odkryć ten fakt wcześniej. Gdyby tak się stało, nie byłbyś teraz ukrywającym się w obcym kraju zbiegiem, który zostawia za sobą jedynie zniszczenie.

Słowa zielarza brzmiały brutalnie, lecz kryła się w nich prawda.

- A więc jest już za późno? Nic się nie da zrobić?

- Musisz próbować - odparł Stillfox z ciężkim westchnieniem. - Nie masz wyboru.

Moc nie przestanie w tobie narastać i jeśli nie nauczysz się jej skupiać albo trzymać w ryzach, prędzej czy później cię zniszczy.

- Ale nawet nauka jest ryzykowna. Ta szklanka...

- Wszystko jest ryzykowne, Jack. Wszystko. - Z głosu zielarza zniknęły wszelkie ślady wiejskiego akcentu. - Jeśli wybierzesz się na targ, narażasz się na niebezpieczeństwo, że cię obrabują, pchną nożem albo wpadniesz pod wóz. Jeśli się ożenisz, podejmujesz ryzyko, że żona umrze przy porodzie. Jeśli uwierzysz w jakiegoś boga, może się stać tak, że po tamtej stronie znajdziesz jedynie ciemność.

- A jeśli komuś zaufam, grozi mi, że mnie zdradzi - dodał Jack cicho, niemal do siebie.

- Jack, twoja moc jest bardzo wielka. Tak ogromna, że aż się jej boję. W kilku przypadkach, gdy udało ci się ją należycie skupić, po prostu zaniemówiłem. Otrzymałeś bezcenny dar i byłoby straszną tragedią, gdybyś nie nauczył się nad nim panować.

Jack odsunął krzesło od kominka. Buchający od niego żar drażnił i tak już obolałą skórę ramion.

- Jeśli przejdę od martwych przedmiotów do żywych stworzeń, może uda mi się...

- To jest jeszcze bardziej niebezpieczne - przerwał mu Stillfox. - Zwierzęta potrafią walczyć. Stawiać opór. Najważniejsza jest wówczas szybkość. Nim posuniemy się dalej, musisz opanować

umiejętność wnikania w przedmioty. - Zielarz przesyłał Jacka dociekliwym spojrzeniem, po czym wstał z krzesła. - Chyba potrzebny ci odpoczynek. Przeżyłeś poważny szok, a te poparzenia nie wyglądają zbyt ładnie. Odrobina lakusa na pewno ci pomoże.

Jack ucieszył się ze zmiany tematu. Miał dość czarów na dziś. Może nawet na całe życie. Nie marzył też więcej o normalności. Dawno już przestał marzyć.

\*

Baralis pocierał machinalnie palce. Mimo nadejścia lata ból nie ustępował. Wszystko przez tę wszechobecną wilgoć. Jutro poprosi Catherine o inne komnaty. Miał już dość życia na podobieństwo wiszącego nad jeziorem moskita.

Biurko pokrywały najrozmaitsze mapy. Kiedyś należały do diuka, a teraz stały się jego własnością. Mapy, jak też wiele innych rzeczy: biblioteka zapchana starymi księgami, komnaty wypełnione antykami i tajemniczymi urządzeniami, piwnice pełne sekretów i skarbcce obficie zaopatrzone w złoto. Pałac diuka był wielką, pilnie strzeżoną skarbnicą, a śmierć właściciela pozwoliła Baralisowi zdobyć do niej klucz.

Miał jednak bardzo mało czasu. Odkąd pochowano diuka, nie mógł znaleźć dla siebie nawet chwili spokoju. Czekало go bardzo dużo pracy, wiele zadań do wykonania. Samo kierowanie postępkami Catherine zajmowało mu czwartą część dnia. Była dzieckiem -

zaborczym, skłonny do ataków hysterii i nieustannie domagającym się uwagi - on zaś musiał

jednocześnie grać rolę ojca, niańki i zalotnika. Wzywała go do swych komnat o najdziwniejszych porach i nigdy nie wiedział, co go tam czeka: łzy, gniew czy radość. Gdy nie miała żadnych problemów, wymyślała je sama i nigdy nie czuła się usatysfakcjonowana, dopóki nie narzuciła mu swej woli w najdrobniejszej nawet sprawie. Uważała to za swego rodzaju grę, a Baralis pozwalał jej żyć w przekonaniu, że jest jedynie kolejnym pionkiem na jej szachownicy.

Wstał i podszedł do kominka. To on był mistrzem tej gry, jego wola kierowała wszystkimi poczynaniami Catherine. Jeśli chodzi o sztukę manipulacji, młoda diuszesa była zaledwie nowicjuską. Mogła jednak szybko ją opanować. Ostatecznie uczył ją prawdziwy znawca.

Dowód jego mistrzostwa stanowiły wydarzenia ostatnich pięciu tygodni. Po pierwsze: obciążył winą za śmierć diuka Tawla, obrońcę Melli; po drugie: przekonał Catherine, by nie odwoływała ślubu z Kylockiem, a po trzecie: mimo że ten ostatni dopuścił się w Halcusie ohydneho aktu królobójstwa, skłonił dworzan i lud Brenu do zaakceptowania planowanego małżeństwa.

Właściwie to przekonała ich Catherine. Trzy dni po tym, jak do miasta dotarły wieści o śmierci króla Hirayusa, wezwała na jego polecenie wszystkich dworzan i w niedwuznacznych słowach oznajmiła im, że zamierza wyjść za króla Kylocka i jeśli ktoś ma coś przeciwko temu, powinien natychmiast dać wyraz swym zastrzeżeniom. Tylko jeden człowiek popełnił ten błąd: lord Carhill, były doradca diuka, którego jedyna córka poślubiła bogatego wielmożę z Highwall. Gdy tylko wystąpił z szeregu, pojмали go gwardziści diuszesy. Stracono go natychmiast, na oczach dworzan. Tej samej nocy

schwymano i ścięto jego synów, następnego dnia zaś w imię Catherine skonfiskowano jego ziemie.

Sprawę załagodził jeden wyrachowany akt współczucia. Catherine zaprosiła do pałacu żonę lorda Carhilla i oznajmiła, że nieszczęsna wdowa zawsze będzie miała zapewnione wyżywienie i dach nad głową. Uczyniła to z myślą o ludzkiej, nie dworzanach. „Catherine może jest surowa, ale przynajmniej potrafi okazać miłosierdzie” - szeptali mieszkańcy Brenu.

Baralis wydał wargi w wyrazie niesmaku. Prostaczków łatwo było oszukać podobnymi demonstracjami łaski.

W gruncie rzeczy, opinia publiczna była najmniej ważnym z jego problemów.

Catherine uchodziła teraz za tragiczną postać. Zamordowano jej ojca, musiała dźwigać ciężkie brzemie odpowiedzialności, a do tego została sama na świecie, który niebezpiecznie zbliżał się do wojny. Oczywiście pomagał jej też fakt, że była młoda i piękna. Prostaczkowie równie łatwo dawali się oszukiwać urodą.

Baralis potrząsnął powoli głową. Nie, źródłem jego problemów nie była Catherine ani lud Brenu, lecz Kylock. Co nowy król uczyni teraz? Najstarszy z dzieci Maybora, Kedrac, wykończy w jego imieniu Halcusów, czy jednak to mu wystarczy? Czy potem przyjdzie kolej na Annis? A jeśli tak, kiedy zamierzał go zaatakować? Baralis miał nadzieję, że nie uczyni tego przed ślubem. Mieszkańcy Brenu przystali na zawarcie małżeństwa, pozostawali jednak chwiejni i podejrzliwi. Niepokojące wieści mogły zmienić ich nastawienie. A nic nie mogło być bardziej niepokojące niż niepowstrzymana pazerność Kylocka.

Niezbędne było utrzymywanie delikatnej równowagi. Annis i Highwall z pewnością zaatakują Bren. Pytanie tylko, czy uczynią to dopiero po ślubie, czy też przystąpią do natarcia wcześniej? Baralis codziennie otrzymywał raporty z obu górskich miast. Ich zamiary nie budziły wątpliwości: najemnicy, broń, maszyny oblężnicze i środki chemiczne napływały do owych grodów szerokim strumieniem. Koszty pokrywał Tavalisk. Ten tłusty intrygant na arcybiskupim tronie postarał się o to, by Annis i Highwall miały nieograniczone zasoby gotówki potrzebnej do prowadzenia wojny. Wyglądało na to, że południe jest gotowe zapłacić wysoką cenę za to, by nie dopuścić kłopotów do swych bogatych brzegów.

Baralis westchnął, niezbyt głęboko. Poradzi sobie z tym wszystkim, jeśli okaże się to konieczne.

Był też drugi problem: Maybor i jego niesforna córka. Gdzie się podzieli? Co wiedzieli o zabójstwie, a czego się domyślali? I co zamierzali przedsięwziąć teraz? Czy opuszczą spokojnie miasto, szczęśliwi, że ocalili życie, czy też spróbują zgłosić pretensje do dziedzictwa Catherine? Znajac Maybora, bardziej prawdopodobna była ta druga możliwość.

Wielmoża ze Wschodnich Ziem nigdy nie uchodził za bojaźliwego.

Wtem Baralisa wyrwał z zamyślenia jakiś ruch za drzwiami. Przed kilkoma minutami słyszał pukanie, lecz nie zwrócił na nie uwagi. Rozkazał Croke'owi odsyłać wszystkich oprócz Catherine. Czyste po deszczu powietrze przeszył przenikliwy krzyk i Baralis pobiegł

do komnaty, w której przyjmował gości.

Crope stał w wejściu. Wielkie łapska miał wyciągnięte przed siebie. Zwiślał z nich chłopiec, którego złapał za kark. Nieszczęśnik wił się i wierzgał z gwałtownym zapalem, lecz uścisk olbrzyma był mocny.

- Kopnąłeś Wielkiego Toma - oskarżył jeńca potężny sługa.

- Daj spokój, Crope, to tylko szczur! - darł się chłopak. - Masz szczęście, że nie wpadł w oko starej Thornypurse. Zaraz by go wycisnęła i zabutelkowała.

- Nikt nie zabutelkuje Wielkiego Toma - zapowiedział Crope, unosząc chłopaka jeszcze wyżej.

- Jeśli mnie natychmiast nie puścisz, Crope, osobiście dopilnuję, żeby stara Thornypurse jeszcze dziś wtarła sobie w zmarszczki olej z tego gryzonia.

- Puść go, Crope - rozkazał Baralis.

- Ale, panie...

- Powiedziałem, puść go, Crope. - Ton głosu Baralisa natychmiast stłumił wszelkie protesty. Sługa wykonał polecenie. - Zostaw nas samych - rozkazał królewski kanclerz.

Olbrzym obrzucił Kosiarza groźnym spojrzeniem, mruknął coś uspokajającego do wielkiej, przypominającej kształtem szczura wypukłości, którą miał pod bluzą, i opuścił

komnatę.

Baralis zwrócił się w stronę chłopca.

- Co cię tu sprowadza, Kosiarzu? Przyszedłeś wydać swego przyjaciela, rycerza? -

Rozciągnął wargi w uśmiechu, który miał jedynie zademonstrować ostrość zębów. - Wiesz przecież, że jest poszukiwany za morderstwo.

Widać było, że chłopiec boi się teraz znacznie bardziej niż wtedy, gdy trzymał go Crope. Próbował jednak ukryć strach. Poprawił kołnierzyk z nonszalancką miną, a potem uniósł dłoń do światła, by sprawdzić, czy pod paznokciami nie ma czasem brudu.

Baralis bardzo się ucieszył z tej nieoczekiwanej wizyty. Jeśli czeka się w pajęczynie wystarczająco długo, ofiara zawsze wpadnie w nią sama.

- Widzę, że wlałeś w wodę. - Wskazał na mokre do kolan portki chłopca. - Muszę przyznać, że dzisiaj to nic dziwnego.

Ulicznik miał bardzo oburzoną minę.

- A co z tobą, Baralisie? Udało ci się ostatnio złapać jakieś pełzające owady?

- Właż do środka - syknął kanclerz, zły na siebie za to, że zniżył się do przerzucania się obelgami z małym chłopcem.

Kosiarz rozejrzał się pospiesznie wokół.

- Nie jestem pewien, czy mam na to ochotę.

- Achch... - rzekł powoli Baralis, tonem kogoś, kto z zadowoleniem wyciągnął

logiczny wniosek. - To znaczy, że się boisz.

- Nieprawda! Przepuść mnie.

Wszedł dumnym krokiem do komnaty.

Królewski kanclerz uśmiechnął się za jego plecami.

Kieszonkowiec szybko zbadał pomieszczenie wzrokiem. Upewniwszy się, że są sami, wydobyl spod bluzy złożoną, zapieczętowaną kartkę.

- Oczekuję natychmiastowej odpowiedzi - oznajmił, nim wręczył ją Baralisowi.

Kanclerz wyrwał mu list z ręki. Był opatrzony krwawoczerwoną pieczęcią Maybora, przedstawiającą łabędzia i obusieczny miecz, którą niełatwo było złamać, podobnie jak jej właściciela. Baralis szybko przebiegł wzrokiem niewprawnie nabazgrany tekst, po czym spojrzał na chłopca.

- Po co chce się ze mną spotkać?

Kosiarz wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Jestem tylko posłańcem.

Baralis zaczerpnął tchu, chcąc się zastanowić. Chłopiec był kłamcą i to niezłym.

- Czy to znaczy, że mam teraz udać się z tobą?

- Tak jest. W tej chwili. Bez świty, bez broni i bez możliwości zawiadomienia gwardzistów.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie pułapka?

Kosiarz uśmiechnął się słodko.

- I kto się teraz boi, Baralisie?

Kanclerz stłumił pragnienie uderzenia smarkacza.

- A co, jeśli odmówię i zawołam gwardzistów? Mógłbym wraz z twoim pierwszym krzykiem wyciągnąć z ciebie wszystkie tajemnice.

Baralis zauważył, że chłopiec skrada się w stronę drzwi, nie dbając zbytnio o zachowanie dyskrecji.

- Wiesz co, przyjacielu - odparł Kosiarz, trzymając rękę na zatrzasku - najpierw musiałbyś mnie złapać.

Był młody, można mu więc było wybaczyć głupotę.

- Naprawdę myślisz, że pozwoliłbym ci stąd wyjść?

Zatrzask uniósł się, lecz dłoń Baralisa była szybsza.

- Nie, chłopcze. Zostaw ten zamek! Zgadzam się pójść z tobą.

Kanclerzowi zabrakło tchu. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie zaczerpnąć mocy, by użyć jej przeciw chłopcu, ciekawość wzięła jednak górę nad ostrożnością.

Naprawdę chciał się spotkać z Mayborem. Pragnął usłyszeć, co ma mu do powiedzenia potężny wielmoża. Grubas podjął wielkie ryzyko, przysyłając do samego serca pałacu chłopca, który mógł zdradzić, gdzie ukrywa się on, a zapewne również jego córka. Z

pewnością miał do tego ważne powody. Och, wiedział, że mógłby złapać ulicznika i wycisnąć prawdę z jego młodego, pulchnego języczka; przebudzono w nim jednak miłość do intryg. To gra, a po co komu władza bez dreszczyku towarzyszących jej rozgrywek?

- Zaprowadź mnie do niego - polecił.

\*

Maybor zamówił drugi kufel *ale*, po czym usadowił się wygodnie na krześle. Nie był

właściwie pijany, a co najwyżej przyjemnie podchmielony. Dobrze było wyjść na dwór. Miła gospoda, płonący na kominku ogień i dorodna dziewczka, z którą można było poplirtować. Od dawna już nie bawił się tak dobrze. Ostatnie dziewięć tygodni spędził zamknięty jak wiewiórka w słoiku i gdy udało mu się na chwilę wyrwać, był zdecydowany poszukać rozrywki.

Rozrywka miała jednak wiele postaci, a najlepsza z nich dopiero go czekała.

Przyniesiono *ale*. Wspaniała piana wylewała się przez brzegi. Dziewczyna postawiła kufel na stole z wielką ostrożnością. Jej dekolt był stosunkowo płytki i pochylając się, odsłoniła spory fragment biustu. Maybor lubił kobiety, które udawały skromnisie.

- Posłuchaj, moja piękna - zwrócił się do niej. - Czy oberżysta ma pod ręką kilku osiłków?

Zamierzał zapytać go o to osobiście, chciał jednak zaimponować młodej i ładnej dziewczynie



tajemniczym zachowaniem.

Zachichotała.

- Ależ oczywiście, szlachetny panie. Kiedy ma się do czynienia z hołotą, ostrożności nigdy za wiele.

Maybor przebiegł palcami po jej pulchnym ramieniu. Gdy dotarł do otwartej wyczekująco dłoni, wcisnął w nią złotą monetę.

- Wkrótce ma się tu ze mną spotkać mężczyzna w czerni. Poproś oberżystę, żeby uważał na drzwi. Powinien mu towarzyszyć mały chłopiec. Jeśli przyjdą z nim jacyś inni ludzie, chciałbym, by zatrzymano ich przy wejściu, żebym miał szansę uciec. - Pozwolił, by jego skórzana sakiewka otworzyła się szeroko. Było w niej pełno bitych przez diuka monet. -

Mam nadzieję, że jest tu drugie wyjście?

Chciwość korzystnie wpłynęła na urodę dziewczyny. Jej oczy pojaśniały, a na policzkach wykwitł rumieniec.

- Ależ oczywiście, panie. Gospoda „Pod Przepelnionym Wiadrem” ma kilka wyjść.

Maybor skinął głową z zadowoleniem.

- Mam nadzieję, że nie omieszkasz przekazać oberżystcie moich pragnień?

Dziewczyna wahała się przez chwilę.

- Oczywiście, panie, z radością pomogłabym tak dostojnemu szlachcicowi, ale...

- Będziesz potrzebowała jeszcze trochę gotówki, żeby wiadomość dotarła do wszystkich uszu.

- Z niechęcią cię o to proszę, panie, ale wiesz, jacy są mężczyźni. Nie są skłonni nic zrobić za samą obietnicę złota.

Maybor wręczył jej garść monet. Doskonale wiedział, jacy są mężczyźni.

- Jak już załatwisz tę sprawę, przynieś mi podnózek - polecił. - Na podłodze jest pełno *ale*. Chcę, żeby moje buty mogły wyschnąć.

Dziewczyna pobiegła do oberżysty, a Maybor spojrział na stojącą na parapecie świecę.

Od czasu, gdy ostatnio na nią patrzył, wypaliła się o całą kreskę. Niech to lichu! Gdzie się podział ten chłopak? Co go zatrzymało? Czyżby Baralis postanowił go uwięzić i wydobyć z niego prawdę torturami? Grubas uniósł do ust drugi kufel *ale*. Z jakiegoś powodu nie wydawało mu się to prawdopodobne. Dobrze znał swego wroga. Baralis przyjdzie na spotkanie. Nie tylko z ciekawości, lecz również dlatego, że poczuje się do tego zobligowany.

Pociągnął potężny łyk złocistego trunku. Nie był przesądny. Nie znosił nawet najdrobniejszych wzmianek o mistyce czy magii, żywił jednak przekonanie, że jego los łączy się w jakiś sposób z przeznaczeniem królewskiego kanclerza. Karmili się sobą nawzajem, a od ich ostatniego wspólnego posiłku upłynęło już sporo czasu.

\*

Kosiarz nie był bynajmniej pewien, czy odpowiada mu towarzystwo Baralisa. Jego obecność wywierała łatwo dostrzegalny wpływ na znajdujących się w pobliżu ludzi. Gdzie tylko się zjawił, wszyscy pierzchali niczym szczury przed blaskiem pochodni. Chłopak potrząsnął głową z ponurą miną. Kanclerz nie nadawał się na kieszonkowca. Miał jednak odpowiednie stopy. Szli razem już od kwadransa i Kosiarz nie usłyszał ani jednego kroku swego odzianego w czerń towarzysza. Szybcior dałby się zabić za taki chód.

Gdy tylko Baralis minął pałacową bramę, przestało padać. Na ulicach pełno było parującej wody oraz najrozmaitszych, towarzyszących zwykle deszczowi woni. W miarę, jak posuwali się na południe, charakter otoczenia ulegał zmianie. Piękne budynki z kamienia ustępowały miejsca rozklekotanym drewnianym szopom, które wspierały się o siebie, by uniknąć upadku. Również uliczni przekupnie oferowali tu inne towary. W pobliżu pałacu sprzedawali świeże minogi, karczochy i szafran, tutaj zaś paszteciki z mięsem, puree grochowe i chleb.

Gdy skręcili w ulicę, przy której wznosiła się gospoda „Pod Przepelnionym Wiadrem”, Kosiarz zaryzykował szybkie spojrzenie w bok. Baralis nie miał zadowolonej miny. W gruncie rzeczy, wyglądał na wściekłego. Jego blade oblicze kontrastowało z mrocznymi oczami. Chłopak pociągnął z powagą nosem. Miał nadzieję, że Maybor wie, co robi.

„Pod Przepelnionym Wiadrem” zapalono już światła w oczekiwaniu na noc. Spod okiennic wydobywały się dym i blask świec, a jaskrawy szyld poskrzypywał radośnie na wietrze. Kosiarz zauważył stojącego przy drzwiach mężczyznę, który prawą dłoń skrywał pod bluzą. Nieznajomy obrzucił ich obu szybkim spojrzeniem, po czym wbił wzrok w ziemię.

Pełnił tu straż, niewątpliwie na polecenie Maybora. No cóż, z pewnością mógłby być bardziej dyskretny. Kosiarz wątpił, by Baralis go przeoczył.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił chłopak w nadziei, że odciągnie uwagę swego towarzysza od wartownika. - Maybor czeka w środku.

- Wiem - odparł królewski kanclerz z krótkim skinieniem głową.

\*

Wszedł do gospody. Łój w świecach był marnej jakości i bijący z niego dym gryzł go w oczy. Całą swą jaźń skupił w zmysłach, stał się istotą złożoną wyłącznie z postrzeżeń. Jeśli czai się tu jakieś niebezpieczeństwo, odkryje je. Nim jeszcze jego oczy przyzwyczyły się do dymu, zdołał się upewnić, że nie grożą mu czary. Był w tej sali jedynym człowiekiem, który dysponował mocą wykraczającą poza limity ciała. Ta świadomość pomogła mu odzyskać pewność siebie. Bez względu

na to, co go tu czeka, poradzi sobie.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Gapło się na niego ze trzydzieści par oczu. Podłogę pokrywała warstwa powoli kwaśniejącego *ale*. Cuchnęła nim cała gospoda. Maybor siedział

na dole, przy kominku, i Baralis z początku go nie zauważył. Grubas wstał i przywołał go do siebie skinieniem. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle blasku. Kanclerz ruszył w jego stronę, schodząc na przestrzeń okalającą kominek. Siedziało tam jeszcze dwóch mężczyzn, starszków, którzy odsunęli krzesła, gdy tylko Baralis wszedł na ich teren. W przeciwieństwie do reszty gospody, która miała uniesioną nad poziom ziemi podłogę, nawierzchnię przestrzeni kominkowej stanowiło wyłącznie dobrze ubite klepisko. Było tu jeszcze wilgotniej niż na górze. Obaj starszkwowie siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, trzymając po jednej stopie w kałuży *ale*.

- Ach, Baralisie - rzekł Maybor, zataczając ręką szeroki krąg.

- Tak się cieszę, że mogłeś się tu zjawić.

- Do rzeczy, Mayborze - syknął królewski kanclerz.

- Jesteś jak zwykle czarujący. - Maybor usiadł, Baralis jednak tego nie zrobił. - Jeśli będziesz stał, zmusisz mnie, żebym wykrzyczał swe wieści na całą gospodę.

- Wieści! - Głos Baralisa ociekał wzgardą. - Nic mnie nie obchodzą żalodne tajemnice odkryte przez ukrywającego się zbiega.

Grubas w najmniejszym stopniu nie przejął się tą tyradą. Zabębnił spokojnie palcami w drewno.

- Jeśli nie chcesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, jestem zmuszony uznać, że przyszedłeś tu tylko po to, by ujrzeć moją przystojną twarz.

- Choć gębę masz paskudną, Mayborze, niewykluczone, że uroda to największy z twych atutów.

Grubas rozpromienił się radośnie.

- Cieszę się, że tak sądzisz. Mam nadzieję, że następne pokolenia odziedziczą po mnie tę cechę.

Baralis poczuł wypełzający na policzki rumieniec. Dopadło go nagłe, zniewalające przecucie. Żołądek skurczył mu się gwałtownie. Świat wokół zawirował, po czym znowu nabrał ostrości. Gospoda „Pod Przepelnionym Wiadrem” przerodziła się w jaskinię pełną węży, a Maybor z pijanego durnia stał się diabłem.

- Co masz na myśli?

- To, mój drogi Baralisie, że za niespełna siedem miesięcy zostanę dziadkiem.

Melliandra jest w ciąży i...

- Nie!

- Ależ tak. Ojcem jest diuk. Małżeństwo zostało skonsumowane.

- Kłamiesz.

- Ojej, Baralisie, cały drzysz. Myślałem, że się ucieszysz.

Kanclerz, poirytowany tym, że okazał słabość, zaczerpnął głęboko tchu i podszedł bliżej.

- Twoja córka jest dziwką i cudzołożyła z każdym mężczyzną, który się jej napatoczył. Możesz być pewien, że ani ja, ani lud Brenu nie uwierzimy w żadne twoje słowo.

Maybor wyciągnął rękę i złapał Baralisa za szatę, tuż poniżej gardła.

- Gdy moja córka poślubiła diuka, była dziewicą.

Królewski kanclerz zdał sobie sprawę, że w gospodzie nagle zapadła cisza. Zauważył

również dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn, którzy opuścili miejsca za barem i podeszli do schodów prowadzących do przestrzeni kominkowej. W całej karczmie ruszał się jedynie kot o chorowitym wyglądzie, który lazał w stronę kominka, brodząc przez *ale*.

- Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien, Mayborze - odparł powoli Baralis. -

Kiedy miałem ją u siebie, pokazała mi kilka bardzo interesujących sztuczek.

Kanclerz ujrzał błysk noża. Gdy ostrze przeorało jego policzek, miał już na ustach zaczerpnięcie mocy. Pozwolił, by narastało na jego języku, cofając się jednocześnie od stołu.

Dwaj stojący za nim mężczyźni zeszedli na drugi stopień, Maybor jednak nie ruszył się z miejsca, najwyraźniej ukontentowany tym, że przelał krew.

- Prędzej czy później twoje kłamstwa zostaną ujawnione, Baralisie - rzekł. - Brenem będzie władał syn Melliandry.

Królewski kanclerz nie odpowiedział ani słowem. Postawił stopę na pierwszym stopniu i wypuścił z siebie czary. Powietrze zamigotało pod jego dłońmi. Wypełniło je błękitne światło. Naładowana energią błyskawica uderzyła wprost w zalaną piwem podłogę.

Baralis był zwrócony plecami do sali, błysk ujrzeli więc jedynie Maybor, dwaj starszacy i kot. Kanclerz odwrócił się, gdy tylko *ale* zaczęło skwierczeć.

Pierwszy krzyknął jeden ze starszków. Potem rozwrzeszczeli się wszyscy i nie można już było rozróżnić głosów. W plecy Baralisa uderzyła ciepła fala powietrza, niosąca z sobą woń chmielu.

Dwaj mężczyźni, którzy odeszli od baru, nie próbowali go zatrzymać.

Poczuł, że ogarnia go znajoma fala słabości. Ludzie przepychali się obok niego, biegnąc ku przestrzeni kominkowej z przerażeniem na twarzy. Spuszczali wzrok, by uniknąć jego spojrzenia. Pora stąd zniknąć; powinien wrócić do pałacu. Musiał jednak uczynić coś jeszcze.

Choć był zmęczony, ukształtował po drodze drugie zaczerpnięcie mocy.

Przymus wypełnił sobą gospodę; był delikatny jak morska piana, lecz wystarczająco potężny, by objąć trzydziestu ludzi. Opadł w dół jak pył i wniknął do płuc niby woń.

Powietrze stało się rozkazem, a krew szybko przekazała go dalej. Gdy Baralis wyjdzie, wszyscy zapomną o tym, co się tu wydarzyło. Będzie tylko tajemniczym mężczyzną w czerni, nikim więcej. Każdy z gości opíše go inaczej. Nie będzie dwóch identycznych relacji. Nie mógł dopuścić do tego, by odkryto jego tożsamość.

Dowlóknął się do drzwi z wielkim trudem. Gdy tylko wyszedł na zewnątrz, potknął się.

Nogi się pod nim uginały, a serce waliło jak szalone. Na ulicy stał prowadzący obładowanego kapustą muła mężczyzna, który przyglądał się uważnie królewskiemu kanclerzowi.

- Zabierz mnie do pałacu - wyszeptał ten. - A uczynię cię bogaczem.

Choć mogło się wydawać, że nie zostało w nim już nic, zdołał jeszcze wydusić z siebie przymus, który wsparł jego słowa. Omal go to nie zabiło.

Ostatnim, co zobaczył, nim zapadł w ciemność, były dwa rzucone na ziemię kosze kapusty.

\*

Maybor nie był pewien, co się właściwie wydarzyło. W małej przestrzeni kominkowej rozpętało się istne piekło, jemu jednak nic się nie stało. Dwaj starszacy opadli bezwładnie na stół. Włosy stanęły im dęba, a stopy i kostki poczerniały, jakby zostały poparzone. Na zalanej *ale* podłódze spoczywał martwy kot. Z jego łap nadal buchał dym. Wszędzie kręcili się ogarnięci paniką ludzie, którzy mamrotali coś o mężczyźnie w czerni. Czas już stąd zniknąć. Maybor zdjął stopy z podnóżka, wstał i ruszył ku drzwiom.

Jack miał już serdecznie dosyć ziół, zwłaszcza tych cuchnących.

Czekał w ciemnym magazynie, aż Stillfox upora się z niespodziewanym gościem. Nie ruszał się, prawie nie oddychał. Nad głową zwisały mu pęki mięty i rozmarynu. Zioła wplątywały się we włosy, a ich woń mogła sprowokować kichnięcie. Siedział tu już dość długo i w lewej nodze zaczęły go łąpać kurcze. Nie odważył się jednak jej wyprostować, zacisnął więc mocno zęby i spróbował pomyśleć o czymś innym.

Frallit zawsze mawiał, że najlepszy sposób na tę dolegliwość, to uderzyć w dotkniętą nią kończynę solidną deszczułką. Jack miał kiedyś wątpliwe szczęście zapoznać się z tym

„lekarstwem” i szybko się nauczył, że w obecności mistrza piekarskiego nie należy się uskarżać na kurcze. Uśmiechnął się na to wspomnienie. To były dobre czasy.

Czy jednak na pewno? Uśmiech zniknął z jego twarzy. Czy mógł szczerze twierdzić, że czuł się w Zamku Harvell szczęśliwy? Miał gdzie spać, co jeść i jego przyszłość była w miarę bezpieczna, czy jednak był szczęśliwy? Ludzie szeptali za jego plecami, zwąc go bękartem, a jego matkę dziwką. Był tylko uczniem i wszyscy, którzy stali wyżej od niego, traktowali go źle. Frallit nie był dobrotliwym zastępcą ojca, jakim uparcie chciał go widzieć we wspomnieniach, lecz mściwym, brutalnym sadystą. Dowodziły tego blizny na ciele Jacka.

Nie, Zamek Harvell nie był cudowną, spokojną przystanią, w której żyło się bez zmartwień i bólu serca. Roiło się w nim od ludzi, którzy odbierali mu swobodę, próbując biciem zniszczyć jego wolę i pozbawić ciało sił. Nie miał racji, spoglądając na niego przez romantyczną mgiełkę nostalgii. Przeszłość lepiej było zostawić za sobą.

Te myśli wzbudziły w nim dziwne podniecenie. Miały w sobie moc. Dlaczego nie potrafił dostrzec tego wcześniej?

Wtem z kuchni dobiegło słowo, od którego wszystkie myśli w jego umyśle zamarły:

- Melliandra.

Był pewien, że usłyszał jej imię. Często towarzyszyło mu w snach. Nie przemieszczając się nawet na odległość palca, wyteżył wszystkie zmysły, skupił je na drewnianych drzwiach, które dzieliły go od Stillfoxa i jego nieproszonego gościa.

- Któż może przewidzieć, co uczyni Catherine... - mówił zielarz. Końcówkę zdania zagłuszył zgrzyt pogrzebacza, ocierającego się o ruszt pieca.

Jack przeklął wszystko, co metalowe.

- W każdym razie, nie chciałbym być na jej miejscu - stwierdził nieznajomy.

Czy mówił o Catherine, czy o Melli?

- No cóż, mamy własne zmartwienia - odparł Stillfox. - Słyszałem, że nasi generałowie wybierają się dzisiaj do Highwall...

Jack miał wrażenie, że zielarz celowo zmienił temat.

Tydzień po spotkaniu ze Stillfoxem, zdał mu krótką relację ze wszystkiego, co go spotkało, odkąd opuścił Zamek Harvell. Pomiął wiele szczegółów - nikt nigdy nie dowie się o zdradzie Tarissy - opowiedział jednak o Melli, o tym, kim była, gdzie się spotkali i jak rozdzielono ich w Helchu.

- Córka Maybora ma wyjść za diuka Brenu - oznajmił zielarz, nim jeszcze Jack skończył swoją opowieść.

Reakcja chłopaka była skomplikowana. Poczul ulgę, że Melli nic nie grozi, dziwił się, jak udało się jej poznać diuka, a szczerze mówiąc był też odrobinę rozczarowany tym, że w końcu uległa konwenansom i zgodziła się poślubić mężczyznę z majątkiem i pozycją. Był

również zazdrosny. To on miał opiekować się Melli. Marzył o tym, że ją ocali. Teraz te marzenia spaliły na panewce. Mieszkająca w pięknym pałacu diusza nie potrzebowała nic poza fałszywymi pochlebstwami.

Od czasu tamtej rozmowy nie słyszał już o niej nic więcej.

Aż do tej chwili. Nieproszony gość Stillfoxa przyniósł wieści o ślubie Melli i - sądząc z kilku strzępków zdań, które Jackowi udało się podsłuchać - sprawy nie miały się dobrze.

Chłopak wyteżył wolę, nakazując nieznajomemu odejść. Musiał porozmawiać ze Stillfoxem, dowiedzieć się, czy z Melli wszystko w porządku. Posmarowane maścią poparzenia swędziały go uporczywie. Pomieszczenie nagle wydało mu się nieznośnie małe i zagracone. Gardło wypełniał mu dławiący, ziołowy pył, a ciemność podsyciała jego obawy.

Myśl o tym, że Melli może grozić niebezpieczeństwo, działała na jego mózg jak trucizna. Z

upływem czasu w jego głowie rodziły się coraz bardziej szalone pomysły. Czyżby diuk postanowił pozbyć się nowej żony? A może Baralisowi udało się w jakiś sposób zdyskredytować Melli? Albo porwał ją Kylock, opętany szałem zazdrości?

Wreszcie drzwi kuchni trzasnęły głośno. Jack wpadł do izby, nim jeszcze okiennice przestały grzechotać. Światło raziło go w oczy. Stillfox stał oparty o kominek w nieco sztywnej, nienaturalnej pozie.

- Przepraszam, że tak długo trzymałem cię w magazynie, Jack. Tego Garfusa nie sposób spławić.

- Co mówił o Melli?

Chłopak ledwie poznawał własny głos. Pobrzmiewał w nim zimny ton rozkazu.

- Jack, pozwól, niech chwilę odsapnę. Później powtórzę ci wszystko, czego się dowiedziałem.

- Powiedz mi to teraz.

Stillfox poruszył popioły pogrzebaczem, a potem przesunął krzesło, chcąc zyskać na czasie.

- Dziewięciu najlepszych anniskich generałów wybiera się do Highwall, by pomóc w planowaniu inwazji - rzekł po chwili.

Choć Jack gorąco pragnął usłyszeć prawdę o Melli, nie potrafił stłumić ciekawości.

- Inwazji na kogo?

- Na Bren, oczywiście - odparł zielarz ze wzruszeniem ramion.

- Co w tym oczywistego? Dlaczego nie zaatakują królestw albo nie spróbują rozgromić Kylocka w Halcusie?

- Dlatego, że Bren będzie wkrótce należał do Kylocka.

Jack poczuł przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz.

- Myślałem, że ślub diuka położył kres tej groźbie.

- No cóż, kiedy poślubi Catherine, stanie się praktycznie jego panem - mówił Stillfox, próbując naprawić błąd. - A Highwall nie jest miastem, które miałyby w zwyczaju dzielić włos na czworo, gdy w grę wchodzi wojna.

Zielarz kłamał. W Jacku zaczęło narastać oburzenie, którego smak czuł niedawno, przez krótką chwilę, gdy myślał o Zamku Harvell. Stillfox coś przed nim ukrywał. Chciał

zrobić z niego durnia.

- Co zaszło między Melli a diukiem?

Stillfox był wyraźnie podenerwowany.

- Jack, mam powody, by nie mówić ci wszystkiego...

- Powody! Nic mnie nie obchodzą żadne powody! Chcę usłyszeć prawdę.

- Jeszcze za wcześnie, żebyś gnał do Brenu. Dopiero rozpocząłeś naukę.

Stillfox postąpił krok naprzód.

Chłopak ruszył ku drzwiom.

- Nie jesteś moim stróżem, Stillfox. To ja odpowiadam za swoje życie i nikt nie będzie decydował,



co powinienem, a czego nie powinienem usłyszeć. - Jack drżał. Gniew przepływał

przez jego ciało, a on nawet nie próbował nad nim zapanować. - Albo powiesz mi, co się stało z Melli, albo Borc mi świadkiem, że pójde sobie i sam się tego dowiem.

Stillfox uniósł rękę.

- Jack, nie rozumiesz...

Chłopak dotknął zatrzasku.

- Nie, to ty nic nie rozumiesz, Stillfox. Mam już po dziurki w nosie kłamstw. To one zniszczyły wszystko, co miałem. Chce mi się od nich rzygać. A dzisiaj usłyszałem o jedno kłamstwo za dużo. - Gdy Jack wypowiadał te słowa, myślał o Tarissie, Rovasie i Magrze.

Wszyscy byli kłamcami. Nawet jego matka była winna oszustwa. Zastanawiał się, kto jest gorszy: ludzie, którzy beczelnie kłamią, jak Rovas i Tarissa, czy ci, którzy zachowują prawdę dla siebie, jak jego matka i Stillfox?

Otworzył zatrzask uderzeniem pięści. Nie widział między nimi różnicy.

- Jack, nie odchodź! - krzyknął zielarz, biegnąc w jego stronę. - Wszystko ci powiem.

- Za późno, Stillfox - rzucił Jack, otwierając drzwi. - Zresztą wątpię, czy bym ci uwierzył.

Wyszedł w ciepły, wiosenny deszcz i zatrzaskał za sobą drzwi. Ruszył w stronę gościńca. Jeśli mu się poszczęści, o zmierzchu dotrze do Annisu.

\*

Tavalisk wrócił właśnie ze swego kantoru, gdzie zajmował się liczeniem pieniędzy.

Podobne wycieczki zawsze podnosiły go na duchu. Złoto było najskuteczniejszym amortyzatorem: w razie upadku zawsze zapewniało miękkie lądowanie. Skarbiec zastępował

arcybiskupowi rodzinę. Gotów był go pocieszać, nie zadawał żadnych pytań i ani razu go nie okłamał. Do tego nigdy nie umrze i nie zostawi go na pastwę losu.

O prawdziwej rodzinie nie zachował miłych wspomnień. Matka, wydając go na świat, wybrała bardzo niekorzystne miejsce i okoliczności.

Urodził się bowiem w przytułku dla żebraków w Silburze. Jego najwcześniejszym wspomnieniem był widok należącej do matki maciory, która padła na świńską gorączkę.

Zwierzę leżało w sitowiu, pośród własnych nieczystości, i czekało na śmierć. Pamiętał, jak grzebał w ziemi, by znaleźć dla niego żołądź, lecz ono nie chciało ich jeść. Tkwiło tylko w kącie, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Kochał tę świnię, lecz gdy postanowiła zdechnąć, nawet nie

podejmując walki o życie, zwrócił się przeciw niej. Sam dobił ją rozgrzaną cegłą, którą podwędził z paleniska. Nawet w tak młodym wieku, gdy dopiero wyrastały mu młeczne zęby, Tavalisk rozumiał, że w życiu liczą się tylko dwie rzeczy: wola przetrwania i ambicja. Świni, podobnie jak jego matce, rozpaczliwie brakowało obu.

Gdy zwierzę padło, nie mieli innego wyboru, jak spożyć jego skażone mięso. Razem z matką byli najędźniejszymi z nędznych, najuboższymi z ubogich. Posiadali jedynie ubranie, które mieli na grzbietach, worek rzepy i dwie cynowe łyżki. Nie mieli noża, matka musiała więc zawlec martwą świnię na targ, by ją poćwiartowano. Rzeźnik zażądał w charakterze zapłaty wszystkiego oprócz łba. Arcybiskup pamięta go do dziś. Wcierając sobie świńską krew w wąsy, by nadać im sztywność, zaproponował, że weźmie mniej mięsa, jeśli matka chłopca zgodzi się dzielić z nim łóżko. Tavalisk nigdy nie wybaczył jej tego, że mu odmówiła.

Mogli dostać kotlety zamiast ozora.

Tego typu samolubne poświęcenie prześladowało go przez wczesne lata dzieciństwa.

Matka podjęła pracę kościelnej sprzątaczką, dlatego tylko, że nie chciała żyć z datków.

Tavalisk szybko się przekonał, że kapłani przewyższają skąpstwem nawet lichwiarzy.

Żywność, którą otrzymywali w darze, zamykali na klucz, co noc zaznaczali na butelce poziom błogosławionego wina, a po mszy skrupulatnie liczyli wszystkie święte smakołyki.

Och, ale ceremonia zapierała dech w piersiach. Kapłani byli magami, aktorami i królami jednocześnie. Czynili cuda, wybaczały grzechy i trzymali w niewoli złożone z tysięcy wiernych kongregacje. Dzierżyli władzę nad tym i nad tamtym światem. Tavalisk obserwował

ich ze swej kryjówki za chórem. Widział wszystkie wspaniałości: złoto-karmazynowe gobeliny, białe jak śnieg świece, inkrustowane klejnotami relikwiarze oraz odzianych w srebrne szaty chłopców z chóru, śpiewających anielskimi głosami. Był to świat pełen barwnych cudów i Tavalisk poprzysiągł, że stanie się jego częścią.

Po roku jego matka zmarła i wyrzucono go na ulicę bez grosza przy duszy. Co zrozumiałe, jego miłość do kościoła przygasła nieco. Ponownie usłyszał jego zew dopiero po wielu latach, na drugim końcu kontynentu. Gdy jednak tak się stało, Tavalisk nie potrzebował

wiele czasu, by zrozumieć, że istnieje więcej niż jeden sposób na to, by wspiąć się na szczyt głęboko zaangażowanej w politykę kościelnej hierarchii.

Uśmiechając się łagodnie, arcybiskup podszedł do biurka, na którym czekał wspaniały posiłek. Wspomnienia działały na niego jak znakomite białe wino. Wzmacniały apetyt i zwilżały język. Podobnie jednak jak w przypadku wina, arcybiskup wystrzegał się ich nadużywania. Nie miał zamiaru skończyć jako roztrzęsiony, sentymentalny dureń.

Uniósł kacze udko do ust. Gdy tylko poczuł na języku smak przesyconego oliwą mięsa, wszystkie myśli o przeszłości pierzchły. Kiedy przełknął je w całości, obchodziła go już wyłącznie

teraźniejszość.

Akurat w tej chwili do drzwi zapukał Gamil.

- Wejdz, Gamilu. Wejdz - zawołał Tavalisk zadowolony z przybycia sekretarza.

Musiał omówić z nim kilka spraw.

- I jak miewa się dziś Wasza Eminencja? - zapytał Gamil, wchodząc do komnaty.

- Nigdy nie czułem się lepiej, Gamilu. Kaczka jest krucha, wino cierpkie, a wojna zbliża się z godziny na godzinę.

- To właśnie wojna mnie tu sprowadza, Wasza Eminencjo.

- Ach, cóż za wspólnota myśli - rzucił jowialnym tonem arcybiskup. - To nadzwyczaj przychylny zbieg okoliczności. Powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

Porwał z talerza drugie udko, wetknął je do pieprzniczki, po czym zaczął odrywać mięso od kości.

- No więc, Wasza Eminencjo, dziewięciu anniskich generałów ma się za trzy dni spotkać ze swymi sprzymierzeńcami z Highwall.

- Chcą wyznaczyć termin, całkiem jak romantyczna para, co, Gamilu?

- Tak, Wasza Eminencjo. Mają omówić plany inwazji.

- Hmm... - Tavalisk bawił się resztkami kaczki. - Jak sądzisz, kiedy ruszą na Bren?

- Trudno to przewidzieć, Wasza Eminencjo. Uważam, że rozsądnie byłoby przyjąć założenie, że nie podejmą żadnych kroków przed zawarciem małżeństwa. Ostatecznie wdali się w spór z Kylockiem, nie z Brenem.

- To będzie już pełnia lata. Jeśli mają choć odrobinę oleju w głowie, rozpoczną atak, gdy łoża małżeńskie będzie jeszcze ciepłe.

- Pozycje wyjściowe mogą zająć wcześniej, Wasza Eminencjo. Highwall będzie potrzebowało prawie dwóch tygodni, by przeprowadzić przez przełęcz swą piechotę i maszyny oblężnicze. Jeśli zaczekają na zawarcie ślubu, zwłoka może o wszystkim rozstrzygnąć.

Tavalisk wydobył z kaczki nogi kość widełkową. Zawsze wołał samemu trzymać oba końce. W ten sposób miał pewność, że to jemu przypadnie dłuższa część, która przynosiła szczęście. Co jednak dziwne, kość złamała się dokładnie w połowie.

- Nie można do tego dopuścić, Gamilu. Musisz wysłać szybkiego posłańca, który będzie reprezentował podczas tych rozmów południowe miasto.

- Ale, Wasza Eminencjo, Annis i Highwall nie zechcą nas wysłuchać.

- Oczywiście, że zechcą, Gamilu. Jak ci się zdaje, kto finansuje tę diabelną wojnę?

Północne miasta mogą być silne i ludne, lecz rozpaczliwie brak im gotówki. Annis nie zdołałby sfinansować nawet wycieczki w góry, nie wspominając już o oblężeniu z prawdziwego zdarzenia. - Tavalisk cisnął w ogień irytujące go kawałki kości. W ich równej długości i symetrii było coś, co sprawiło, że wzdłuż kręgosłupa przemknęły mu ciarki. - Gdy wszystko zostanie już powiedziane, Gamilu, wysłuchają nas, ponieważ nie będą mieli wyboru.

- Jaką wiadomość mam im przekazać, Wasza Eminencjo?

- Annis i Highwall nie mogą podejmować żadnej akcji wymierzonej przeciw Brenowi, dopóki małżeństwo nie zostanie oficjalnie skonsumowane. Dotyczy to również zajmowania pozycji wyjściowych.

- Czy Wasza Eminencja mógłby mi powiedzieć, dlaczego?

- Gamilu, gdybym spróbował wbić cię w ścianę, natychmiast byś się rozszczępił.

- Dlaczego, Wasza Eminencjo?

- Dlatego, że jesteś tępy, jak nie naostrzony kołek! - Tavalisk parsknął radosnym śmiechem. Zawsze z wielkim ukontentowaniem dowodził innym, że jest od nich znacznie mądrzejszy. - Doprawdy, Gamilu. Czy tego nie rozumiesz? Jeśli Annis i Highwall rozpoczną działania, nim małżeństwo nabierze mocy prawnej, istnieje możliwość, że cała sprawa spali na panewce. Czyżbyś naprawdę sądził, że szacowni mieszkańcy Brenu z radością odprowadzą swą ukochaną władczynię do ołtarza, jeśli armia, jakiej nie widziano od stulecia, zgromadzi się na przełęczach, gotowa na nich uderzyć?

Arcybiskup zakończył przemowę serią wyrażających rozczarowanie cmoknięć.

- Ale jeśli armia byłaby na miejscu, a ślub by odwołano, z pewnością rozwiązałyby to nasze problemy?

- Gamilu, nasze problemy zostaną rozwiązane dopiero wtedy, gdy Tyren ucieknie z płaczem do Valdis, razem ze swym rycerstwem, a ten demon Baralis będzie leżał w grobie.

Muszę przy tym dodać, że nie jest prawdopodobne, by doszło do obu tych wydarzeń, jeśli północny kryzys nie rozgorzeje pełnym płomieniem.

- Ale...

- Jeśli jeszcze raz usłyszę od ciebie to słowo, Gamilu, przysięgam, że ekskomunikuję cię na miejscu! - Arcybiskup zamachnął się ogryzioną kością, jakby to była broń. - Pomyśl, człowieku. Pomyśl. Jeśli nawet do ślubu nie dojdzie, w jakiej sytuacji się znajdziemy? -

Tavalisk nie czekał na odpowiedź. - Kylock i tak będzie władał jedną trzecią północnych terenów i

istnieją poważne szanse, że z pomocą rycerstwa uda mu się podbić jeszcze więcej.

Za jego plecami nadal będzie się czał Baralis ze swymi spiskami i intrygami, a Tyren, niech Borc przeklnie jego małą, podłą duszę, prędzej czy później zdobędzie władzę nad północnym kościołem. Ślub zmieni tylko skalę czasową. Mariaż Catherine z Kylockiem przyspieszy wydarzenia, do których i tak musiałyby dojść.

Gamil miał należycie skruszoną minę.

- Rozumiem motywy Waszej Eminencji.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem, że je zrozumiesz - stwierdził arcybiskup, obrzucając sekretarza wyjątkowo chłodnym spojrzeniem. - Do rzeczy. Gamilu, chcę, żebyś napisał

przekonujący list do diuka Highwall. Przekaż mu, że południe nadal go popiera i dalsze pieniądze są już w drodze i tak dalej. Potem powiadom go w niedwuznacznych słowach, że całkowicie wycofamy swe wsparcie, jeśli choć jeden żołnierz wyruszy na wschód przed zawarciem małżeństwa.

- Proszę bardzo. Wasza Eminencjo. Czy jest coś jeszcze?

- Tylko jeden drobiazg, Gamilu. Czy zechciałbyś się udać do dzielnicy targowej, żeby kupić mi rybę?

- A jaką, Wasza Eminencjo?

- Taką w akwariium. Gamilu. Odkąd mojego kota spotkał ten nieszczęśliwy wypadek z gobelinem, brak mi towarzystwa miłego zwierzątka. Tym razem mam ochotę na rybę.

- Jak Wasza Eminencja sobie życzy.

Gamil pokłonił się i ruszył ku drzwiom.

- Och, Gamilu, jestem pewien, że zechcesz za nią zapłacić z własnej kieszeni - zawołał

arcybiskup do opuszczającego komnatę sekretarza. - Zbliża się Święto Pierwszego Cudu Borca i mam wrażenie, że ryba byłaby odpowiednim upominkiem. - Tavalisk uśmiechnął się słodko. - Tylko pamiętaj, żeby nie była tania.

\*

Tawl przysiadł na skąpanej w promieniach słońca ławeczce w oknie wykuszowym, zajęty struganiem kawałka drewna. Poduszkę, którą położono na kamieniu dla wygody, strącił

na podłogę. Zupełnie nie potrafił się przyzwycząić do komfortu.

Od czasu do czasu, gdy kolejny wiór padał na podłogę albo nóż trafiał w sęk, rycerz unosił wzrok i wyglądał przez otwarte okno, by sprawdzić, czy nie dostrzeże na ulicy Kosiarza. Chłopca nie było już od czterech dni i Tawl diabelnie się o niego martwił. Wiedział, dlaczego zniknął - wołał nie

wchodzić mu w drogę po tym, co wydarzyło się parę dni temu

„Pod Przepelnionym Wiadrem” - lecz przecież słynął z podejrzanych czynów dokonywanych w wątpliwych intencjach i Tawl nie potrafiłby go za to przekląć ani potępić. Sam miał na sumieniu znacznie cięższe grzechy.

Maybor wrócił do kryjówki przedwczoraj wczesnym wieczorem, lekko wstrząśnięty i zdezorientowany. Po chwili przyznał się, że rozmawiał z Baralisem i że spotkanie to pomógł

mu zaaranżować Kosiarz. Nie okazywał skruchy. Głędził z oburzeniem w głosie, że jako przyszły dziadek ma prawo poinformować o odmiennym stanie Melli kogo tylko zechce. Gdy jednak Tawl zapytał go o szczegóły spotkania, grubas okazał niezwykłą powściągliwość. Jego twarz utraciła wszelki wyraz. Wymamrotał, że nie pozwoli, by go przesłuchiowano jak więźnia zakutego w dyby. Tawl podejrzewał, że potężny wielmoża po prostu nic nie pamięta. Mogło to oznaczać tylko jedno: czary.

Potrząsnął głową, omiół ulicę szybkim spojrzeniem i wrócił do strugania. Maybor nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie miał szczęście. Był muchą, której się zdawało, że jeśli pajak opuści pajęczynę, stanie się z tego powodu mniej niebezpieczny.

Przedwczoraj Tawl wybrał się „Pod Przepelnione Wiadro”, by osobiście przekonać się, co tam się stało. Goście - pomijając fakt, że co do jednego byli kompletnie zalani - w żaden sposób nie potrafili uzgodnić relacji z wydarzeń poprzedniego dnia. „Tajemniczy człowiek w czerni uderzył w podłogę błyskawicą” - twierdził jeden. Drugi zaprzeczył mu stanowczo, upierając się, że rozlane na podłodze *ale* zaczęło skwierczeć samo z siebie.

Wszyscy jednak pamiętali, że Melliandra utrzymuje, iż nosi dziecko diuka.

Wiadomość się rozeszła. Całe miasto usłyszało, że Melli jest w ciąży. Dziś rano Cravin odwiedził ich dom, przynosząc wieści o tym, jak zareagowali na tę nowinę ludzie.

- Większość uważa, że Melliandra to dziwka i bezczelna kłamczucha - stwierdził. -

Niemniej z czasem powinno mi się udać zorganizować jakieś poparcie.

Tawl miał ochotę zamordować Maybora. Jednym aktem bezmyślnej brawury naraził

życie nie tylko własne, lecz również córki. Teraz, gdy wszyscy już wiedzieli, że Melli jest w ciąży, groziło jej jeszcze większe niebezpieczeństwo. Baralis na pewno rozkaże przeszukać wszystkie domy. Na każdym rogu napotykał się na obwieszczenia obiecujące nagrodę za wskazanie miejsca pobytu ściganej. Sieć zaciskała się szybko, a zorganizowane przez Maybora spotkanie sprawiło, że Baralis z pewnością nie zaniecha wyciągnąć jej na powierzchnię.

- Przyniosłem paszteciki, Tawl. - Głos dobiegał od podnóża schodów. - Czy mam zanieść jeden pani?

- Tylko pamiętaj wybrać najładniejszy, Bodger - odparł Tawl. - I sprawdź mleko, nim dasz je pani

do picia. Musi być świeże i zimne.

- Grift już to zrobił, Tawl. Nikt nie zna się na mleku lepiej od niego. Ma nos mleczarza i ręce dojarki.

- Zanieś jej to wszystko, Bodger - polecił Tawl z głośnym jękiem.

- Już się robi, Tawl. Grift zawsze mawia, że... - słowa ucichły w oddali, razem z odgłosem kroków.

Dwaj żołnierze z kaplicy zjawili się u ich drzwi przedwczoraj i z wyraźnie niepewnymi minami powtórzyli hasło, którego nauczył ich Kosiarz. Tawl - z czego ulicznik świetnie zdawał sobie sprawę - nie miał innego wyboru, jak ich przyjąć. Było to ryzykowne, gdyż znali adres kryjówki, lecz alternatywą byłoby zabicie ich, a akurat tego dnia nie miał

ochoty na morderstwo. Mimo wszystko nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Z tych strażników była niezła para.

A Melli zawdzięczała im życie.

Szkoda, że to samo nie dotyczyło diuka.

Dźgnął nożem ramę. Dlaczego zawsze musiał przegrywać? Dlaczego nie potrafił

uratować tych, którymi przysięgał się opiekować? Uderzał ostrzem raz za razem. Dlaczego, gdy tylko odnosił wrażenie, że wreszcie mu się udało, wydarzało się coś, co wszystko psuło?

Nóż zawisł na chwilę w powietrzu, po czym Tawl opuścił go na kolana. To nie był

odpowiedni czas na wyrzuty sumienia. Została mu jeszcze Melli i musiał otoczyć ją opieką.

Przysięga obrońcy diuka kazała mu dbać o bezpieczeństwo władcy Brenu i jego dziedziców.

Diuk mógł zginąć, lecz zobowiązanie dotyczyło również wdowy po nim i ich nie narodzonego dziecka. Miał ich bronić nawet za cenę życia. Cały Bren słyszał, jak składał tę obietnicę.

Rzucił szybkie spojrzenie przez okno. Kosiarza nadal nie było.

Musieli opuścić miasto. Baralis ich tropił, a Kosiarz i Maybor ze swymi potajemnymi spotkaniami i nocnymi wypadami wręcz upraszali się o schwytanie. Rzecz jasna, obaj uważali się za wyjątkowo sprytnych, lecz Baralis był znacznie sprytniejszy od nich. W końcu z pewnością ich złapie. Chyba że wcześniej stąd znikną.

Tawl ujął z ciężkim westchnieniem kawałek drewna i ponownie zabrał się za struganie. Jego dłonie pragnęły czymś się zająć, choć nie poinformowały jeszcze mózgu, co właściwie miałyby to być.

Ucieczkę z miasta utrudniały dwa problemy. Po pierwsze, każdej bramy, drogi i wyjścia przez mury strzegło tylu żołnierzy, że wystarczyłoby ich do zdobycia fortecy. Baralis wiedział, że prędzej czy później spróbują ucieczki i nie zamierzał podejmować ryzyka.

Przełęcz obserwowano, na murach czekali łucznicy, a brzegi jeziora otaczał kordon żołnierzy. Trudno będzie się stąd wydostać. Po drugie, nawet gdyby znaleźli łatwą drogę ucieczki, stan Melli mógłby nie pozwolić jej z niej skorzystać.

Źle znosiła ciężę. Traciła na wadze. Zrobiła się tak chuda, że Tawla bolało serce na jej widok. Całe dwa tygodnie po śmierci diuka nic nie jadła. Była w szoku. Nie mogła nic przełknąć, mówić, a nawet płakać. Potem zaczęła powoli wracać do siebie. Popijała mleko i zagryzała chleb, myła twarz i włosy, a nawet uśmiechała się na widok wygłupów Kosiarza.

Wracając myślą do tej chwili, Tawl doszedł do wniosku, że zaczęła dbać o siebie, gdy zbudziło się w niej podejrzenie, że oczekuje dziecka. Niemniej nawet teraz, gdy już odzyskała apetyt, trudno jej było utrzymać pokarm w żołądku. Wszystko, co zjadła, natychmiast

„wracało jak brzydka siostra”, jak określił to Kosiarz.

Wszyscy ją rozpieszczali. Nic nie było dla niej za dobre ani nie wymagało zbyt wiele wysiłku. Codziennie wypiekano świeże paszteciki. Maybor kupił kurę, żeby mieli świeże jaja, a Kosiarz przynosił dziewczynie kwiaty i owoce, lecz mimo tych starań jej stan się nie poprawiał.

Tawl tracił już przedtem kochane osoby. Wiedział, co to znaczy żałoba. Codziennie zmagał się z niszczącym duszę pytaniem „co by było, gdyby”. Melli widziała, jak skrytobójca poderznął gardło jej mężowi i sama będzie musiała sobie poradzić z dręczącymi sumienie problemami. Co by było, gdyby to ona weszła do sypialni pierwsza? Co by było, gdyby krzyczała głośniej? Co by było, gdyby nie zgodziła się wyjść za diuka?

Tawl potrząsnął głową. Nic dziwnego, że nie czuła się dobrze. To cud, że potrafiła przetrwać kolejne dni.

Po raz kolejny spojrzął odruchowo na ulicę. Nie zobaczył tam Kosiarza, gwardzistów ani żadnych nieznajomych.

Co miał zrobić w sprawie Melli? Czy powinien narazić nie narodzone dziecko, zabierając ją z miasta, czy też postawić na pierwszym miejscu jego zdrowie i pozostać w ukryciu? Gdyby opuścili Bren, czekałoby ich wiele dni uciążliwej wędrówki. Musieliby przejść góry, ukrywać się przed żołnierzami, żyć w trudnych warunkach i w razie pościgu być gotowi do szybkiej ucieczki. Jeśli zostaną w mieście, narażą się na pojmanie, lecz przynajmniej ciąża Melli przebiegnie spokojnie.

Spojrzał na swe dłonie i po raz pierwszy zobaczył, co właściwie wystrugał. Dziecinną lalkę.

Czy ważniejsza była lojalność wobec Melli, czy wobec dziecka?

\*

Stopy Jacka były straszliwie obolałe, zupełnie jakby przejechał po nich ciężko wyładowany wóz. Reszta jego ciała - a zwłaszcza oparzenia - również nie miała się najlepiej.

Stillfox z pewnością potrafił uczynić z maści broń. Od dwóch dni chłopaka dręczył pulsujący ból w



piersi i ramionach. W ostatnich czterech godzinach przewagę zyskał jednak ból stóp.

Wreszcie udało mu się dotrzeć do Annisu. Miasto leżało przed nim. Jego szare mury lśniły w blasku księżyca. Po obu stronach traktu wznosiły się chaty i gospody o okiennicach i nadprożach pomalowanych na najrozmaitsze odcienie błękitu. Wszędzie pełno było ludzi, którzy pędzili bydło z pastwisk, wracali z targów z niesprzedanym towarem, szli powoli na wieczorną mszę albo szybko do dobrze oświetlonych karczem. Chłodny wiaterek niósł ze sobą zapach palonego drewna. Wysoko nad górami lśniły gwiazdy, a w jakimś miejscu wodospad spadał hałaśliwie na skały, które musiały być tak potężne, że można by je było przerobić na kamieniołomy.

Nawierzchnię traktu stanowił tłuczony kamień, który chrząścił przy każdym kroku.

Chłopak był podenerwowany. Ludzie z pewnością się na niego gapili, choć przecież wyglądał

tak jak wszyscy. Ubranie, które dostał od Stillfoxa, nie różniło się zbytnio od noszonych przez miejscowych. Włosy, co prawda, miał długie, lecz związał je z tyłu głowy kawałkiem otrzymanego od Wadwellów sznurka. Uniósł rękę, żeby go dotknąć - w ostatnich dniach łapał

się na tym geście coraz częściej - i przekonał się, że nadal jest na miejscu. Nic, co zrobili Wadwellowie, nie zużywało się, nie niszczyło ani nie łamało zbyt łatwo. W gruncie rzeczy, Jack nawet pomyślał, że pewnie pochowają go z tym sznurkiem.

Podniósł wzrok z uśmiechem na twarzy. Gapiała się na niego młoda dziewczyna. Gdy tylko na nią spojrzał, odwróciła pospiesznie twarz. Ruszył w dalszą drogę, starając się iść tak, by nie padało na niego światło z domów.

Od chwili, gdy spotkał Stillfoxa, minęło dziesięć tygodni, a od pożaru garnizonu z górą trzy miesiące. Czy to możliwe, by Halcusowie nadal go szukali? Praktycznie przegrali już wojnę, a Annis i Highwall planowały atak na Bren. Czy mieli czas i środki na to, by ścigać jednego człowieka?

Gdy Jack dotarł do zewnętrznych murów Annisu, wszystkie te myśli umknęły z jego głowy. Bramę zamykano już na noc. Wrota opuszczały się ze skrzypieniem przeciążonych belek. Chłopak pobiegł w tamtą stronę.

- Uważaj, chłopcze! - ostrzegł go gruby głos. - Albo kolce zrobią z ciebie mielone mięso.

Jack cofnął się o krok.

- Muszę dziś wejść do miasta - powiedział, starając się naśladować sposób mówienia Stillfoxa. Akcent z królestw natychmiast by go zdradził.

- Sypnij nam kilka sztuk złota, a zatrzymam na chwilę wrota - krzyknął drugi mężczyzna, stojący wysoko na murze.

- Nie mam złota.

- A ja nie mam siły, żeby je zatrzymać.

Krata zaczęła opadać. Jack zastanowił się, czy nie spróbować pod nią przemknąć, doszedł jednak do wniosku, że nie byłby to dobry pomysł, zadowolił się więc wysyceniem kilku barwnych przekleństw. Kolce opadły prosto w przeznaczone dla nich otwory i bramy miasta zamknęły się na noc.

- Przyjdź rano, chłopcze - rzucił uprzejmym tonem strażnik. - Do tego czasu powinienem odzyskać siły.

Jack uśmiechnął się do niego, choć pod nosem nazwał go zarozumiałym skurczybykiem. I jak miał się teraz dostać do miasta?

Ponieważ nie pozostało mu nic innego do roboty i nie miał dokąd pójść, ruszył na spacer wokół murów. Wzniesiono je z jasnoszarego granitu. Były pięknie wygładzone i rzeźbione diamentowymi dłutami. Demony i anioły przedstawiono obok siebie, słońce dzieliło niebo z gwiazdami, a Borc i diabeł szli razem, trzymając się pod rękę.

- Annis to miasto intelektualistów - tłumaczył mu kiedyś Grift. - A oni nie poczują się szczęśliwi, dopóki nie zamącą wszystkiego do cna i nie zaczną grać roli adwokata diabła.

Jack przypomniał sobie, że pierwsza żona Grifta pochodziła z Annisu, co zapewne powinno bardzo wiele wyjaśniać.

Temperatura spadała szybko, a wiejący od gór wicher nabierał mocy. Chłopak doskonale wiedział, że najrozsądniej byłoby zawrócić i ruszyć z powrotem do chaty Stillfoxa.

Miał na sobie tylko lekką, wełnianą bluzę i portki. Był ubrany zdecydowanie zbyt cienko na tak zimną noc. Kończyny miał obolałe, a stopy straszliwie mu dokuczały. Zielarz go przyjmie, da lekarstwo i brandy, a po porannej kłótni zapewne też opowie wszystko o Melli.

Tak, pomyślał, to byłoby rozsądne. Duma jednak nie pozwalała mu tak postąpić.

Wychodząc, poprzysiął Stillfoxowi, że sam odkryje prawdę i, na Borca, dokona tego! Nawet jeśli miałyby go to kosztować życie.

Annis okazał się dużym miastem. Mury były bardzo wysokie i ciągnęły się tak daleko, że znikwały we własnym cieniu, zlewając się z nocą. Jack musiał uważnie patrzeć pod nogi, gdyż spod kamiennych ścian co kawałek wybiegały wodociągi, kanały ściekowe i burzowe.

Natychmiast po wyjściu z miasta wszystkie te starannie zbudowane rurociągi kończyły się jednak w kałużach cuchnącego plugastwa. Jack skrzywił się, gdy był zmuszony przeskoczyć nad jedną z nich. Wyglądało na to, że nawet intelektualiści byli skłonni sądzić, że „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”.

Tuż obok zahuczała przenikliwie sowa. Jack wystraszył się tak bardzo, że wdepnął w kałużę, którą przed chwilą przeskoczył.

- Na krew Borca - syknął, ocierając podeszwy butów o kamień. W górach podobno nie było sów!

W tej samej chwili usłyszał niesiony wiatrem cichy szept, a potem drugi. Jakiś mężczyzna kogoś wołał. Jack wbił wzrok w cienie, usiłując wypatrzyć w nich jakieś szczegóły. Tuż przed sobą miał szpaler wysokich krzaków. Co dziwne, sięgał on aż do samego muru. Spomiędzy liści wyłoniła się męska głowa, a za nią druga i trzecia. Skąd wzięli się tutaj ci ludzie? Jeśli wzrok Jacka nie mylił, żywoplot zaczynał się pod murem, a potem znikał w ciemności u podstawy stoku.

Bardzo powoli postawił stopę na ziemi. Nie było tu żadnych gałązek ani suchych liści, które mogłyby go zdradzić. Zaczął się skradać w stronę krzaków. Wyłoniły się zza nich kolejne głowy. Wszyscy mężczyźni zmierzali w stronę muru. Gdy Jack się zbliżył, poczuł, jak wali mu serce. W ustach mu zaschło.

Wtem czyjaś dłoń - tłusta, wilgotna i szeroka - złapała go za twarz, odcinając dostęp powietrza do płuc. Jack odwrócił się gwałtownie, uderzając łokciem niby maczugą.

Właściciel dłoni był potężnej budowy. Zwały jego tłuszczu drżały w blasku księżyca. Nim Jack zadał cios, wydał z siebie donośny ryk:

- Młynarz!

Był to okrzyk bojowy. W tej samej chwili, w której mężczyzna padł na ziemię, do boju rzuciło się kolejnych dwudziestu. Krzaki rozchyliły się i wypadła z nich armia tłustych osobników odzianych w piekarską biel, którzy wywijali pałkami i nożami. Chłopak zrozumiał, że nie ma szans. Uniósł ręce do góry na znak poddania.

Grubas, który padł na ziemię, szybko odzyskał siły i wstał z drzeniem zwałów tłuszczu. Jego żołnierze zbliżyli się. Nie biegli już, nadal jednak wyciągali przed siebie broń.

Jack znowu poczuł na ustach tłustą łapę.

Ludzie w białych fartuchach otoczyli go półkolem.

- Nie wygląda mi na młynarza - zauważył jeden z nich.

- Masz rację, Barmer. Ale znasz młynarzy. To podstępne sukinsyny.

Tym słowem, które padły z ust najgrubszego z członków grupy, towarzyszyło kilka chrząknięć aprobaty.

- Czy damy mu szansę obrony, czy od razu zdzielimy maczugą? - zapytał zza pleców Jacka mężczyzna o tłustych dłoniach.

- Zdzielić go! - zażądał najgrubszy.

- Najpierw sprawdźmy, czy nie ma złota - zawołał Barmer.

Dłoń zaciskająca się na ustach Jacka silnie pachniała drożdżami.

- Uważam, że tak czy inaczej powinniśmy go przesłuchać - orzekł jej właściciel. -

Jeśli zawiesimy jego organy nad gorącą patelnią, zaraz się dowiemy, co kombinują młynarze.

To ostatnie słowo wypowiedział tonem pogardy zwykle rezerwowanej dla wroga.

Jack zrozumiał wreszcie, z kim ma do czynienia. Uwolnił się, szarpiąc szybko głową do przodu, po czym ugryzł napastnika w kciuk.

- Nie jestem młynarzem! - krzyknął, oswobodziwszy się na chwilę z jego uścisku. -

Jestem piekarzem. Jednym z was.

Kosiarz miał wrażenie, że żadna z nocy, które spędził w Brenie, nie była tak ciemna, jak dzisiejsza. Oczywiście, nie bał się ciemności. Czuł się tylko trochę zaniepokojony i tyle.

Szybcior powiedział mu kiedyś: „Niektóre noce nie nadają się dla kieszonkowców”. To z całą pewnością była jedna z nich.

Wąlewał się po południowej dzielnicy miasta, w odległości jakichś trzech mil od kamienicy Cravina. Kręcił się w okolicy kryjówki przez cały dzień, w nadziei na to, że znajdzie odwagę, by spotkać się z Tawlem. Wiedział, że rycerz ukarze go w najdotkliwszy możliwy sposób - ostrymi słowami. Zasłużył na to. Przysłał do niego Bodgera i Grifta, zdradziwszy im przedtem hasło, i omal nie doprowadził do śmierci lorda Maybora. Do kompletu brakowało tylko tego, żeby przywiódł pod ich drzwi czarne hełmy diuka!

Jack splunął zniesmaczony własną głupotą. Szybcior za mniejsze przewinienia odebrałby mu przywileje kieszonkowca i wygnał na ulicę.

Och, wiedział, że musi wrócić do kamienicy - ukradł nawet sporo gotówki, chcąc zapewnić sobie miłe powitanie - lecz myśl, że ujrzy na szlachetnej twarzy Tawla dezaprobatę lub nawet coś gorszego, paraliżowała jego stopy. Niemniej cały czas miał kryjówkę na oku.

Chciał się upewnić, że nic nikomu nie grozi i że Tawla i Melli nie zabrali gwardziści. Nie mógłby dalej żyć, gdyby coś takiego wydarzyło się pod jego nieobecność. Rozważył starannie tę kwestię, drapiąc się w podbródek, by pomóc sobie w myśleniu. No cóż, może i mógłby żyć, lecz z pewnością czułby się bardzo zawstydzony.

Bach! Trzask! Łup!

Do jego mózgu dotarło wreszcie to, o czym jego uszy wiedziały już od pewnego czasu. Ktoś wyłonił się z zaułka i ruszył za nim. Ktoś z chorą nogą, pomagający sobie laską.

Chcąc go sprawdzić, Kosiarz celowo przeszedł na drugą stronę brukowanej ulicy.

Bach! Trzask! Łup!

Nieznajomy podążył za nim. Kosiarz, który wyglądał na chudego ulicznika bez grosza przy duszy, nie wierzył, by mężczyzna chciał go obrabować. Zostawały tylko dwie możliwości. Był albo miłośnikiem chłopców, albo szpiegiem Baralisa. Tak czy inaczej, Kosiarz nie miał wątpliwości, że pora zwiewać.

Zachowując spokój, tak jak uczył go Szybcior, przyspieszył nieco kroku. Kulas podążał za nim, utykając głośno. Jak na człowieka chodzącego o lasce poruszał się nadzwyczaj szybko. Kosiarz szukał wzrokiem drzwi lub zaułków, które dałyby mu szansę ucieczki. Ogarnął go lekki strach.

Bach! Trzask! Łup!

Kulas się zbliżał. Od nieregularnego stukotu jego kroków chłopcu przebiegały ciarki po plecach. Na ulicach nie było nikogo, kto mógłby ich zauważyć. Przed sobą ujrzał szereg bram, w których za dnia otwierali swe kramy handlarze drobiu. Dobrze znał tę okolicę.

Sprzedawcy łabędzi i pawi słynęli z beztroskiego stosunku do gotówki. Po prawej stronie znajdował się Kaczy Zaulek, który większość ludzi uważała za ślepa uliczkę. Kosiarz wiedział, że tak nie jest. Pod murem przebiegał mały tunel odwadniający. Jeśli w ciągu trzech ostatnich tygodni nie urósł zanadto, zdoła się przez niego przecisnąć. Biedny kulas nie miał

na to szans.

Kosiarz zboczył nieco w lewo, odczekał do ostatniej możliwej chwili, po czym skręcił

gwałtownie w prawo.

Bach! Trzask! Łup!

Kulasa nie sposób było oszukać.

Pośród ciemnej nocy Kaczy Zaulek stanowił jeszcze ciemniejszą plamę. Po skroni i policzku Kosiarza spłynęła strużka potu. Robi się trochę gorąco - powiedział sobie ulicznik, ocierając twarz rękawem. Kulas stał się teraz tylko podążającym za nim cieniem. Kosiarz zwiększył tempo. Deszcz, czy nie deszcz, w zaułkach zawsze było mokro i każdemu krokowi towarzyszył chłopot. Zamykająca uliczkę ściana zamajaczyła tuż przed nim. Wejście do tunelu było czarną kałużą widoczną u podstawy muru. Kieszonkowiec skierował się w jego stronę.

Bach! Trzask! Łup!

I kulas też.

Pot spływał ciurkiem po policzku Kosiarza. Odgłos kroków nieznanego bardzo go niepokoił. Od tunelu dzieliło go już tylko kilka stóp. Chłopak dał sobie spokój z dbaniem o godność i zerwał się do biegu. Spod jego stóp tryskała woda, a powietrze owiewało mu twarz.

Gwałtowne łomotanie serca zagłuszało wszelkie inne dźwięki. Poczul bijący z wylotu podmuch. Jego ohydny zaduch oznaczał wolność.

Najpierw stopy? A może głowa? Miał na podjęcie decyzji tylko ułamek sekundy.

Zaczerpnął głęboko tchu i rzucił się do tunelu głową naprzód.

Kanał otoczył go, ciemny i gościnnie. Chłopak wśliznął się w jego mroczną, wilgotną głębię. Ręce, głowa, barki, ciało, nogi... Stopy! Poczul, że coś go za nie trzyma. Bliski paniki, wierzgał nogami jak opętany. Jego dłonie przeszukiwały gładkie ściany w poszukiwaniu czegoś, za co mógłby się chwycić. Opór na nic się nie zdał. Palce kulasa nadal ścisnęły jego stopy, brutalnie jak szpony.

Wtem dłoń złapała go za kostkę. Kosiarz próbował czołgać się naprzód, lecz kulas pociągnął go do

tyłu. Chłopca zaskoczyła jego siła. Z jakiegoś powodu sądził, że jego prześladowca będzie słaby. Bezskutecznie szukał jakiegoś punktu zaczepienia. Kulas wyciągał go z tunelu. Brzuch kieszonkowca szorował boleśnie o pokryty błotem kamień, a serce waliło tak mocno, że wydawało się, iż zaraz wyskoczy z piersi. Trzymające go dłonie przesunęły się do kolan i napastnik jednym gwałtownym szarpnięciem wyciągnął Kosiarza w noc.

Ulicznik odwrócił się i spojrzał kulasowi prosto w twarz.

Choć było ciemno, zdał sobie sprawę, że już go kiedyś widział. Albo kogoś bardzo podobnego.

Mężczyzna uśmiechnął się, ściskając mocno jego nadgarstek.

- Kosiarz, zgadza się? - zapytał. Jego głos był ostry jak brzytwa. Nawet się nie zdyszał. Oddychał zupełnie normalnie. - Może mnie już znasz. Jestem Skaythe, brat Blayze'a.

- Uśmiechnął się raz jeszcze, wykręcając chłopcu rękę za plecami. Gdy znowu zaczął mówić, jego tchnienie owiewało policzek kieszonkowca. - Spotkaliśmy się w noc walki. Byłem sekundantem brata.

Kosiarz starał się nie wciągnąć do płuc oddechu napastnika. Z jego ust buchał odór gnijących słodczy. Skaythe był niższą, żylastą i mniej przystojną wersją brata. Miał takie same zęby jak Blayze, lecz nieco krzywe, oczy miał odrobinę węższe, jedynie usta nie przypominały pełnych, rzeźbionych ust jego brata, lecz były zygzakowatą linią. Nie miał też drygu do mody, tak jak Blayze. Nosił prosty strój, pozbawiony koronek. Nie brakowało mu jednak krzepy. Kosiarz nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł tak potężny uścisk.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał kieszonkowiec, ze wszystkich sił starając się nadać swemu głosowi wyzywający ton.

Zyskał w ten sposób tylko tyle, że Skaythe znowu wykręcił mu rękę.

- Wiesz, czego chcę, chłopcze - wysyczał. - Chcę Tawla.

Kosiarz spróbował się wyszarpnąć, lecz uścisk stał się jeszcze silniejszy.

- I to ty mnie do niego zaprowadzisz.

Spojrzenie Kosiarza przyciągnął jakiś błysk. Był to czubek łaski Skaythe'a. W drewno wprawiono kolec z pociemnianej stali. Serce chłopca zamarło na ten widok. Broń uniosła się ku jego twarzy.

- Gdzie on jest?

Kosiarz nie był pewien, czy cieszy się z tego, że serce zabiło znowu, miał bowiem wrażenie, że podchodzi mu do gardła.

- Nie mam pojęcia. Nie widziałem go od nocy morderstwa.

Skaythe przeciągnął kolcem pod brodą kieszonkowca ruchem tak gładkim, że o przecięciu skóry świadczył tylko ciepły strumyczek. Chłopiec zamarł w bezruchu.

- Powiedz mi, gdzie on jest, albo następnym razem nie skończy się na draśnięciu.

Kosiarz nie wątpił, że Skaythe dotrzyma słowa.

- Ukrywa się w północnej dzielnicy miasta. Na ulicy Starorzeźnickiej.

Kolec zbliżył się po raz kolejny.

- To co robisz na południu, chłopcze?

Nie mogąc się wyrwać, kieszonkowiec osunął się na bok napastnika, zmuszając go w ten sposób do przesunięcia uchwytu na lasce. Kosiarz nie zmarnował tej okazji. Uniósł prawe kolano i z całej siły walnął nim Skaythe'a w chorą nogę.

Brat Blayze'a zatoczył się do tyłu. Kosiarz kopnął jego laskę w pobliżu podstawy, co uniemożliwiło napastnikowi odzyskanie równowagi. Nie zwlekał, by sprawdzić, czy atak okazał się skuteczny. Zebrał wszystkie siły i rzucił się w stronę tunelu. Skaythe pognał za nim. Tym razem chłopiec wiedział, jak należy postąpić. Skoczył do kanału nogami naprzód.

Otoczyło go chłodne plugastwo. Skaythe chwycił go za włosy. Choć Kosiarz był do nich bardzo przywiązany szarpnął gwałtownie głową i zostawił kosmyk w jego dłoni.

Uciekł tunelem, przesuając się przezeń bokiem. Stracił garść włosów i filiżankę krwi, a jego serce postarzało się o jakieś dziesięć lat. Pora już wracać do Tawla.

\*

Sposób, w jaki Jack dostał się do Annisu, był naprawdę niezwykły. Chłopak siedział

teraz przy wielkim, pięknie oświetlonym i suto zastawionym stole biesiadnym w towarzystwie członków Cechu Mistrzów Piekarskich, którzy traktowali jego słowa z lekkim niedowierzaniem.

- Jak spowolniłbyś wzrost ciasta, które unosi się za szybko? - zapytał Banner, piekarz o bujnych, szczeciniastych wąsach i twarzy tak czerwonej, jak wino, które pił.

- Trzeba je wsadzić do kadzi pełnej wody i poczekać, aż dojdzie do brzegów.

Zebrani przyjęli odpowiedź Jacka niechętnymi skinieniami głów. Chłopak zdążył się już przyzwyczać do tego przesłuchania, które ciągnęło się od półtorej godziny. Zaczęło się, gdy tylko pojmano go pod murem i zaprowadzono przez sprytnie ukrytą furtkę do wschodniej dzielnicy miasta. Członkowie cechu zasypywali go pytaniami, które miały sprawdzić jego prawdomówność. Nie wystarczyło, że powiedział, iż jest piekarzem. Musiał jeszcze tego dowieść.

- Młynarz też mógłby to wiedzieć - stwierdził jedyny szczupły mężczyzna w izbie.



Miał zapadnięte policzki i nazywał się Nivlet.

- Nie dręcz chłopaka - skarcił go Eckles, piekarz, który pod murem zatkał Jackowi usta tłustą dłonią.  
- Nie ma wątpliwości, że to jeden z nas.

- Nie, Eckles - sprzeciwił się Scuppit, niski mężczyzna o ramionach grubych jak szynki. - Nivlet ma rację. Takie rzeczy może wiedzieć i młynarz. Lepiej zadajmy chłopakowi jeszcze jedno pytanie, żeby się upewnić.

- Ehe - wymamrotała reszta piekarzy w nieharmonijnym chórze. Było ich około dwudziestu i wszyscy opychali się wiktuałami, które ustawiono na stole w ilości godnej prawdziwej uczy. Przez pierwszą godzinę Jack przysłuchiwał się, jak członkowie Cechu Mistrzów Piekarskich omawiają bieżące sprawy, takie jak wzrost podatku od chleba, waga kosztującego pensa bochenka oraz tegoroczna lista kandydatów do przyjęcia do terminu.

Młynarze byli ich wrogami. Głównym celem Cechu Mistrzów Piekarskich było dokopać, dogryźć i dopiec Cechowi Mistrzów Młynarskich. Młynarze oszukańczo dosypywali taniego ziarna, produkowali mąkę zbyt grubą lub nazbyt drobno zmieloną, a do tego niepodważalny monopol pozwalał im dowolnie ustalać jej cenę. Jeśli ktoś powiedziałby piekarzowi, że młynarz wymordował całą swą rodzinę i zjadł ją na kolację, ten pokiwałby tylko głową i rzekł:

- Ehe. Idę o zakład, że kości przerobił na mąkę.

Młynarze słynęli z tego, że produkowali swój towar ze wszystkiego, co tylko dawało się zmielić. Jack trafił na comiesięczny wypad szpiegowski piekarzy. Eckles, który był nie tylko jednym ze starszych cechu, lecz również jedynym człowiekiem, który od samego początku wierzył, że chłopak jest piekarzem, wyjaśnił mu, że raz na miesiąc, gdy Cech Młynarzy urządzał zwyczajowe zebranie, Cech Mistrzów Piekarskich wysyłał wywiadowców do wszystkich młynów leżących w promieniu trzech mil od miasta, by sprawdzić zawartość ich magazynów. Starannie liczone worki ziarna w każdym młynie, a wyniki zapisywano.

Następnie piekarze obserwowali ilość mąki produkowanej przez dany młyn, natychmiast zauważając jej ewentualny nadmiar. Zbyt wielka ilość mąki oznaczała, że do ziarna dosypywano inne substancje.

Każdemu z mistrzów piekarskich przydzielano jeden młyn. Po dokonaniu obliczeń spotykali się wszyscy w chaszczach na południe od miasta, by wrócić do Annisu przez ukryte przejście. Szpiegowanie innych cechów uważano za haniebną zbrodnię. Karą za nie było dożywotnie pozbawienie statusu rzemieślnika. Cech Mistrzów Piekarskich narażał się na spore ryzyko.

Jack podziwiał odwagę jego członków.

- No dobra - odezwał się Barmer, przetykając kolejny kęs. - Zapytajmy go o coś naprawdę trudnego.  
- Piekarz wsunął do ust słodką bułkę, by pomóc sobie w myśleniu. -

Bardzo miękka, Scuppit - pochwalił siedzącego obok kolegę.

Scuppit pochylił głowę w uprzejmym pokłonie.

- Dodałem do ciasta pół miarki kwaśnej śmietany.

Barmer posmakował ciasto na języku.

- Nigdy nie jadłem smaczniejszej, przyjacielu. - Przełknął kęs bułki i zwrócił się w stronę Jacka. - No, chłopcze, powiedz mi, jaka maślanka lepiej się nadaje do niesfermentowanego chleba, świeża czy kwaśna?

Jack bawił się coraz lepiej. Lubił piekarzy. Byli dobroduszeni, cenili wygodę i kochali swój zawód.

- Kwaśna - odpowiedział. - Soda w kwaśnej maślance pomaga płaskiemu chlebowi wyrosnąć.

Eckles uniósł wzrok znad talerza.

- Chłopak zna się na rzeczy, Barmer.

- To prawda - zgodził się Scuppit.

- Nadal mu nie ufam - upierał się Nivlet.

Barmer wskazał na Jacka bułką.

- No dobra. Ostatnie pytanie, chłopcze. Czy jeśli dodasz więcej drożdży, żeby ciasto rosło szybciej, będziesz też musiał dosypać soli?

- Nie. Nadmiar soli spowalnia działanie drożdży. - Jack uśmiechnął się do zebranych.

- A do tego skórka robi się za twarda.

Barmer wstał z krzesła, podszedł do Jacka i klepnął go mocno w plecy.

- Witaj w cechu - powiedział. Inni piekarze podążyli za jego przykładem, przerywając na chwilę jedzenie. Gratulowali mu serdecznie, poklepując go, mierzwiąc włosy, trącąc łokciami, a nawet całując w policzki. Otoczyli go wszyscy oprócz Nivleta, który nadal siedział na krześle, wpatrując się w gościa z otwartą podejrzliwością. Popatrzył przez chwilę na gratulujących Jackowi kolegów, po czym opuścił pomieszczenie.

- Jedz, chłopcze, jedz - zapraszał Eckles. - Cech Mistrzów Piekarskich nie zwykł głodzić gości.

Jack nie potrzebował zachęty. Nie miał nic w ustach od śniadania - wydawało mu się, że upłynęły od niego co najmniej dwa dni - a ustawione przed nim smakołyki wyglądały znacznie apetyczniej niż potrawy przygotowywane przez Stillfoxa. Lśniące, pieczone szynki spoczywały obok wielkich jak maselnice pasztetów, oraz faszerowanych owocami serów, a grube sznury kiełbas o kruchych skórkach leżały na salaterkach w towarzystwie pieczonej cebuli. Wszędzie pełno było pieczywa:

ciastek na drożdżach piwnych, sucharków, ciast, podłużnych chlebów, placków i okrągłych bochnów. Jack nigdy nie zetknął się z podobną rozmaitością. Widok był wspaniały. Niektóre wypieki miały skórki chrupiące, inne zaś lekko połyskliwe albo pokryte nasionami. Wiele z nich przed upieczeniem nacięto, by przyciągnąć wzrok, kilku zaś nadano niezwykle wymyślne kształty. Wszystkie były świeże, pachnące i znakomicie upieczone.

Podczas jedzenia Jacka nawiedziły wyrzuty sumienia z powodu tego, jak potraktował

Stillfoxa. Zielarz był dla niego dobry. Uczył go, karmił, leczył i nie zadawał kłopotliwych pytań, a on odpłacił mu za to opuszczając go w napadzie gniewu. Chłopak potrząsnął powoli głową. Jutro wróci do chaty. Przeprosi Stillfoxa nie za swe słowa, gdyż powiedział to, co naprawdę myślał, lecz za okazany gniew i za to, jak go porzucił. Był mu winien przynajmniej tyle.

Podjąwszy tę decyzję, nalał sobie kufel *ale*. Zielarz traktował go dobrze przez całe dziesięć tygodni i źle by się stało, gdyby jeden przykry incydent wszystko to przekreślił. Jack pociągnął łyk mocnego, wiejskiego piwa, napawając się jego gorzkim smakiem. Czy Falk nie mówił mu przed miesiącami, że powinien akceptować ludzi takimi, jakimi są, ze wszystkimi ich słabościami i ułomnościami? Stillfox zaakceptował go bez mrugnięcia okiem, mimo że był poszukiwanym zbrodniarzem wojennym i niebezpiecznym, nie panującym nad swą mocą czarodziejem. Chłopakowi przemknęła przez głowę myśl, że jeśli sam nie jest bez wad, z pewnością powinien pogodzić się z nimi u innych. To fakt, że Stillfox coś przed nim ukrywał, niewykluczone jednak, że kierował się szlachetnymi pobudkami.

Jack wbił wzrok w ścianę. Nie widział już przed sobą domu cechowego piekarzy, lecz chatę Rovasa i stojącą przy kominku Tarissę. Nic nie mogło usprawiedliwić tego, co mu uczyniła. Była też matka z jej półprawdami i pragnieniem śmierci. A dziesięć lat wcześniej ojciec, człowiek, który porzucił go jeszcze przed przyjściem na świat. Oboje rodzice go opuścili i żadne usprawiedliwienia nie mogły zmienić tego faktu.

Tutaj, w domu cechowym, gdzie otaczało go dwudziestu hałaśliwych, opychających się po dziurki w nosie rzemieślników, Jack zadał sobie pytanie, czy jego ból służył jakiemuś celowi. Czy śmierć matki, porzucenie przez ojca i zdrada Tarissy miały jakieś znaczenie?

Tłusta, usłużna dłoń napełniła mu kufel.

- Zamyśliłeś się, co? - zapytał Eckles.

Jack poczuł się poirytowany. Przez chwilę odnosił wrażenie, że ma odpowiedź w zasięgu ręki, lecz słowa Ecklesa ją przegnały.

- Lepiej będzie, jeśli pójdziesz teraz ze mną, chłopcze. Weź kufel i tyle jedzenia, ile tylko zdołasz udźwignąć.

Eckles ruszył do bocznych drzwi. Jack podążył za nim, zabierając tylko kufel. Stracił

apetyt. Potężny, puciołowaty piekarz zaprowadził go do małego pokoiku, gdzie na kominku jasno buzował ogień.

- Siadaj, siadaj - rzucił, wskazując na przysuniętą do pieca ławę.

Jack wykonał polecenie.

- Wracasz na zebranie? - zapytał. Najwyraźniej Cech Mistrzów Piekarskich miał do omówienia jakieś tajne sprawy.

- Co? Nie. - Eckles potrząsnął głową w stanowczym geście. - Słyszałem już wszystko, co mają do powiedzenia, i z góry wiem, co z tego wyniknie. - Nie tyle usiadł, co wylądował

na ławie obok Jacka. - Zastanawiają się, czy ujawnić dawne proroctwo.

Jack poczuł zalewającą mu twarz falę gorąca.

- Jakie proroctwo?

Eckles przyjrzał mu się uważnie.

- No cóż, chłopcze, jesteś piekarzem i zdążyłeś już poznać nasz najlepiej strzeżony sekret, nie sądzę więc, by stało się coś złego, jeśli zdradzę ci następny. - Przyniósł z sali biesiadnej bukłak *ale* i po raz drugi napełnił kufel Jacka. Chłopak niemal nie zauważył, że zdążył już go opróżnić. - Cech Mistrzów Piekarskich urządza w Annisie spotkania już od czasów poprzedzających założenie miasta. W czasie, gdy było tu tylko miejsce spotkań uczonych, ugniataliśmy ciasto dla filozofów i wypiekaliśmy chleb dla mędrców. - Eckles pochylił się na ławie. - Wbrew powszechnemu przekonaniu, Annis zbudowano na chlebie, nie na potędze myśli.

Jack zdobył się na uśmiech. Piekarze słynęli z dumy.

- Tak czy inaczej - ciągnął Eckles - pewnego dnia, przed z górą stuleciem, jeden z naszych braci piekł bochen chleba dla człowieka, który podawał się za proroka. Gdy jednak skończył robotę, przekonał się, że prorok nie ma czym mu zapłacić. Był bliski śmierci głodowej i błagał piekarza, by dał mu chleb za darmo. Ten był dobrym człowiekiem i ulitował

się nad nieszczęśnikiem. Rzecz jasna, nie dał mu świeżo upieczonego chleba. Był przecież rzemieślnikiem, nie idiotą. Podarował w zamian pozostałości bochnów z poprzedniego dnia.

Prorok podziękował mu serdecznie i od tego dnia zawsze dostawał od niego czerstwy chleb.

Następnej zimy zapadł jednak na suchoty. Myśliciele po prostu nie mają takiego zdrowia, jak my, piekarze. Gdy leżał na łożu śmierci, wezwał do siebie swego dobroczyńcę. Ten był już wówczas mistrzem cechowym, lecz mimo to stawił się na jego wezwanie jak zwykły uczeń.

Prorok ujął go za rękę i powiedział: „Przywołałem cię tu po to, by spłacić dług. Jak wiesz, nie posiadam pieniędzy, mam jednak talent i on pozwoli mi się odwdziżyć”. I wtedy wygłosił

swe proroctwo, które od tego czasu jest tajemnicą cechu, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna.

Eckles zakończył opowieść dramatycznym gestem, godnym aktora.

Dłonie Jacka zrobiły się zupełnie wilgotne od potu. Czuł się winny, choć nie był do końca pewien dlaczego.

- A o czym mówi to proroctwo? - zapytał.

- O piekarzu, oczywiście.

Jack skinął głową. Nie był bynajmniej zaskoczony.

- Ale o którym?

- O tym, który przybędzie z zachodu i położy kres wojnie.

- Jakiej wojnie?

Eckles spojrzał mu prosto w oczy.

- Tej, która wkrótce wybuchnie między północą a południem. Obecnej wojnie. - Potarł

usta dłonią. - Bez zezwolenia cechu nie mogę ci powtórzyć całego wiersza, chłopcze, ale dwie ostatnie linijki brzmią:

*Jeśli czas znów zawróci, prawda pokój w ręce*

*Nie króla, lecz piekarza złoży w podzięce.*

Jack odwrócił wzrok. Czas zawróci. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie stu sześćdziesięciu bochnów. Wiedział, że Eckles wciąż mu się przygląda, usiłował więc zachować spokój. Nie chciał się niczym zdradzić.

Wstał nagle z ławy. Proroctwa, kłamstwa, tajemnice. Starczy tego jak na jeden dzień.

Pora zmienić temat, pomówić o rzeczywistości, nie o niejasnych przestrożach.

- Opowiedz mi, co słyhać w Brenie - poprosił. - Jak tam diuk i jego nowa żona?

Twarz Ecklesa skrzywiła się w osobliwym wyrazie.

- Chłopcze, gdzie się podziewałeś przez ostatnie dziewięć tygodni?

Zaalarmowało to Jacka.

- Mieszkam w chacie w górach. Jesteśmy z mistrzem odcięci od świata. Wysyła mnie do miasta tylko wtedy, gdy trzeba uzupełnić zapasy. Nie byłem tu od dwóch miesięcy.

Zwrócił twarz w stronę kominka. Cały czas powtarzał sobie, że nienawidzi mijania się z prawdą, a

okazało się, że sam jest nienajgorszym kłamcą.

- W takim razie nic nie wiesz o śmierci diuka. - W głosie Ecklesa pobrzmiwała nuta lekkiej irytacji.  
- Wdowa po nim ukrywa się przed gniewem Catherine.

- Ale dlaczego Melliandra miałaby się jej bać?

Jacka nie obchodziło już, co pomyśli sobie Eckles. Musiał za wszelką cenę poznać prawdę.

- Połowa miasta twierdzi, że to ona wpuściła mordercę diuka do sypialni. Catherine zamierzają stracić.

- Czy nadal przebywa w Brenie?

- Większość ludzi sądzi, że tak. Gdyby opuściła miasto, lord Baralis z pewnością by się o tym dowiedział.

Baralis? Jack słyszał strumień krwi, mknącej gwałtownie przez jego żyły.

- Skąd Baralis miałby to wiedzieć?

- Lord Baralis praktycznie sprawuje władzę w Brenie. - Emfaza, z jaką Eckles wypowiedział słowo „lord”, sama w sobie była pytaniem. - Nie dalej jak dziś usłyszałem pogłoskę, że lady Melliandra jest w ciąży. Najwyraźniej jej ojciec próbuje wywołać w mieście kłopoty, przysięgając, że ojcem nie narodzonego dziecka jest diuk. Nie potrafię ci powiedzieć, czy to prawda, możesz jednak być pewien, że lordowi Baralisowi nie spodoba się to w najmniejszym stopniu.

Jacka ścisnęło w gardle. Melli groziło niebezpieczeństwo.

- Czy jest sama?

- Podobno towarzyszą jej ojciec i obrońca diuka. Niektórzy twierdzą, że obrońca jest jej kochankiem.  
- Eckles wzruszył ramionami. - Wkrótce to wszystko i tak przestanie być ważne.

- Dlaczego?

- Dlatego, że za kilka tygodni Bren zostanie zrównany z ziemią.

Jack miał wrażenie, że pokój skurczył się nagle. Wstał z miejsca i zaczął nerwowo spacerować. Musiał natychmiast odnaleźć Melli. Wyruszyć do Brenu.

Eckles pociągnął z bukłaka łyk *ale*.

- Jesteś bardzo podekscytowany, jak na kogoś, kto żyje sobie spokojnie w górach.

Obrzucił Jacka dociekliwym spojrzeniem.

Chłopak zaczerpnął głęboko tchu. Zaciśnięte gardło utrudniało mu to zadanie, przełknął jednak z wysiłkiem ślinę i nakazał mięśniom się rozluźnić. Nie mógł sobie pozwolić na to, by dać Ecklesowi powód do podejrzeń. Nie miał najmniejszej ochoty na *ale*, pociągnął

jednak długi, powolny łyk, chcąc zdobyć czas do namysłu.

Nie miało sensu ruszać do Brenu już w tej chwili. Było za późno i zbyt ciemno, a jego buty i ubranie nie nadawały się do podróży przez góry. Poza tym, musiał się zobaczyć ze Stillfoxem. Potrafił się domyślić, dlaczego ukrył przed nim tę informację, chciał ją jednak usłyszeć z jego ust. Mieli do omówienia wiele spraw, a kolejne kłamstwo zamaskowane dobrymi intencjami było jedynie pierwszą z nich.

- Posłuchaj - powiedział do Ecklesa. - Muszę się gdzieś zatrzymać na noc. Przed wschodem słońca ruszę w drogę.

- W Annisie słońce wschodzi późno - odparł piekarz. Chciał w ten sposób powiedzieć, że pozwala Jackowi tu zostać. - Możesz się przespać tutaj, przy kominku. Nie będziemy zawracać innym głowy szczegółami. I tak wkrótce rozejdą się do domów. Pamiętaj tylko, żebyś zniknął, nim służąca przyjdzie raniem rozrzucić świeże sitowie.

\*

Kosiarz postanowił, że dotrze do kamienicy Cravina okrężną drogą. Po spotkaniu ze Skaythe'em nie ufał nikomu ani niczemu. Gdy tylko jakiś pijak zatoczył się w jego kierunku, prostytutka obrzuciła go wiązanką wyzwisk albo bezdomny kot spojrzał na niego spode łba, zawracał, schodził na bok lub zmieniał drogę. Czasami robił wszystkie te trzy rzeczy naraz.

Gdy wraca się do kryjówki, ostrożności nigdy za wiele. Szybcior pewnej nocy trzykrotnie okrążył cały Rorn, wiosłując od północnego do południowego portu w łodzi służącej do połowu krabów, dwukrotnie zmieniał konie i towarzyszy podróży, a przebrał się aż cztery razy, po to tylko, by zgubić ścigających go ludzi. Kosiarz westchnął tęsknie. Takie niezwykle ucieczki stawały się w świecie kieszonkowców legendą.

Myśl o Szybciorze, który stawiał czoło słonej wodzie, nieznanym ulicom i sukni -

podobno za trzecim razem przebrał się za starą dojarkę, wziął drewniane wiadra i koromysło, a do tego utykał na jedną nogę - stała się dla Kosiarza inspiracją. Chłopak postanowił, że nim ruszy w stronę kamienicy, nadłoży jeszcze trochę drogi.

Ujrzawszy ulicę pełną gospód, burdeli i kramów z pasztecikami, skręcił w nią natychmiast. Uspokajał go fakt, że spod drzwi i okiennic rozmaitych lokali wydobywał się jasny blask świec. Ciemność przestała go pociągać.

Splunął w dłoń, żeby przyglądzić włosy. Wkrótce miał się spotkać z Tawlem i chciał

wyglądać porządnie. Po kilku chwilach, które poświęcił na głaskanie, macanie i mierzenie, nabrał pewności, że zlokalizował tuż nad lewym uchem łysinę wielkości miedzianej pięciopensówki.

Przeraziło go to, gdyż Szybcior zawsze mówił, że gdy mężczyzna raz straci włosy, nigdy już mu nie odrosną. Zatrzymał się w pół kroku, by sprawdzić zawartość worka.

Przerzucił go dyskretnie przez chwilę, przeklinając jednocześnie pod nosem Skaythe'a.

Wreszcie zacisnął palce na drewnianej rękojeści lusterka.

Upewniwszy się, że nikt na niego nie patrzy, Kosiarz podkraść się do najbliższego budynku i stanął na palcach, tak by padło na niego światło wydostające się przez uchyloną okiennicę, po czym uniósł lusterko do twarzy. Pochylał się i obracał przez długi czas, aż wreszcie udało mu się ustawić tak, by blask padł wprost na niepokojącą łysinę.

Co dziwne, nie wydawała się tak wielka i łysa jak wyczuwał ją pod palcami.

Wyglądała raczej załośnie.

Kosiarza zalała ulga połączona z rozczarowaniem. Chciał już odejść od okiennicy, lecz gdy tylko opadł na podeszwy stóp, w lusterku pojawił się jasny błysk. Przez ułamek sekundy ujrzał w nim wyraźnie wnętrze budynku.

Wstrzymał oddech.

W pokoju siedział ciemnowłosy, spowity w czerń mężczyzna, zwrócony plecami do okna. Choć widać było tylko skrawek trupiobladej skóry karku, Kosiarz rozpoznał go natychmiast. Przed czterema dniami przyjrzał się temu karkowi uważnie, gdy podążał za jego właścicielem przez pół miasta. To był Baralis.

W pierwszym odruchu chciał uciekać co sił, w drugim zaś wymknąć się po cichu. Po spotkaniu ze Skaythe'em i jego zakończoną metalowym kolcem laską miał już na dziś dosyć mocnych wrażeń. Trzeci odruch podpowiadał mu jednak, by poczekać i sprawdzić, co też kombinuje ten wredny specjalista od owadów. Był ciekaw z kim Baralis postanowił się spotkać po zmierzchu w południowej dzielnicy miasta, w niewyróżniającym się niczym szczególnym budynku położonym między sklepem z pasztecikami a winiarnią. Kosiarz szczerze wątpił, by królewski kanclerz w środku nocy poczuł nagłe chętkę na szklaneczkę trunku i pasztecik z wieprzowiną.

Wahał się, rozdarty między drugim a trzecim odruchem. Naprawdę chciał już wracać do domu. W tej chwili nic na świecie nie pociągało go bardziej niż ciepły poncz, porządna kolacja i świeżo wypchany siennik na noc. Co jednak, jeśli Baralis knuł coś, o czym powinni usłyszeć Tawl i lady Melliandra? Gdyby dowiedział się czegoś użytecznego, może Tawl byłby z niego zadowolony i zapomnieliby o fiasku, do którego doszło „Pod Przepelnionym Wiadrem”. Kosiarz uśmiechnął się. Podjął decyzję. Niewykluczone, że czeka go nie tylko gorący poncz, lecz również ciepłe przywitanie.

Przykucnął, by nie zauważono go z okna i schował lusterko do worka. Jego myśli były szybsze niż dłonie. Z pewnością było to jakieś potajemne spotkanie. W przeciwnym razie, po cóż Baralis opuszczałby bezpieczny pałac? Znaczyło to, że albo jest tu sam, albo towarzyszy mu tylko jego kochający szczury sługa. Kosiarz skrył się w cieniu. Nie musiał się obawiać pościgu uzbrojonych



gwardzistów.

Był to jeden z sześciu budynków stojących w rzędzie i od pozostałych nie dzielił go żaden zaułek. Kosiarz musiał obejść je wszystkie, by zakraść się na zaplecze. Biegło tam wąskie, otoczone murami przejście, służące dostawcom. Chłopiec musiał liczyć bramy, by się upewnić, że znalazł właściwy dom. Od tyłu wszystkie wyglądały tak samo.

W winiarni najwyraźniej odbywało się jakieś przyjęcie. Za przymkniętymi okiennicami słychać było śmiechy, kaszel i śpiewy. Kosiarz ucieszył się z tej wrzawy, gdyż na podwórku środkowego domu walało się mnóstwo złomu oraz butwiejącego drewna i trudno mu było poruszać się cicho.

Wtem rozległ się głośny hałas. Kosiarz zamarł w pół kroku. Tuż pod tylną ścianą budynku poruszał się jakiś ciemny kształt. Serce chłopaka zrobiło się ciężkie jak ołów. Nie śmiał się poruszać, a nawet oddychać. Dźwięk rozległ się raz jeszcze. Tym razem towarzyszył

mu inny: ciche rzenie. To był koń! Poirytowany myślą, że przestraszył się starej szkapy, Kosiarz odważył się podejść bliżej. Zwierzę przywiązano do belki wystającej z tylnej ściany budynku. Miało bardzo niewiele swobody. Gdy kieszonkowiec przyjrzał mu się uważniej, musiał przyznać, że wierzchowiec jest nadzwyczajny. Był wielki, miał pięknie umięśnione boki i szyję oraz wciągnięty, połyskliwy brzuch. Nie była to bynajmniej stara szkapa, lecz czystej krwi rumak z Dalekiego Południa.

Kosiarz zorientował się, dlaczego konia przywiązano tak krótko. Jego właściciel nie chciał, żeby zwierzę zraniło się o kawał złomu albo nabijaną gwoździami deskę.

Wierzchowiec zarżał na widok chłopaka, ten jednak potrząsnął delikatnie głową. Nie miał zamiaru się do niego zbliżyć. Uważał, że wszystkie konie są niebezpieczne, a już zwłaszcza rumaki czystej krwi.

Zwierzę zarżało ponownie, tym razem głośniej.

- Psst - syknął Kosiarz pod nosem.

Koń nie miał zamiaru się uspokoić. Tupnął przednimi kopytami i szarpnął wodze.

Ogarnięty paniką Kosiarz podbiegł do niego i złapał za uzdę. Nie wiedząc, co mu powiedzieć, zaczął łagodnym, zachęcającym głosem wyliczać straszliwe kary, które mu wymierzy.

Okazało się to skuteczne. Rumak znieruchomiał, podchodząc bliżej ściany. Wodze zwisły rozluźnione.

Kosiarz westchnął z ulgą. Gdy zdjął dłoń z nachrapnika, zauważył na niej coś czarnego. Zbliżył rękę do twarzy i zbadał plamę, najpierw pocieraniem, a potem węchem.

Sadza.

Po plecach przebiegł mu dreszcz podniecenia. Spojrzał pospiesznie na nachrapnik.

Nawet w słabym świetle bijącym od budynku zauważył na skórze żółte pasmo. Przed dwoma minutami była zupełnie czarna. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by zamaskować prawdziwy kolor uzdy. Pochylił się bliżej i przebiegł dłońmi po skórze. Spod sadzy wyłonił się drugi żółty pas.

Żółty i czarny.

Kolory Valdis.

Wtem tylne drzwi otworzyły się i podwórko zalało światło. Kosiarz rzucił się w cień za koniem. Walnął lewą golenią o coś ostrego i musiał zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć.

W przejściu pojawiła się jakaś postać, która przesłoniła częściowo światło. Kosiarz wykorzystał nowo powstały cień, by ukryć się w załomie muru. Zaslaniała go tam również belka, do której przywiązano konia.

Chłopak nie odważył się potrzeć obolałej nogi, uniósł więc dłoń do gardła. Ranę, którą zadał mu Skaythe, pokrywała zakrzepła krew. Swędziała go przy dotyku. Przełknął ślinę.

Trzeba było posłuchać pierwszego odruchu i pognać prosto do Tawła.

Nieznajomy wyszedł na podwórko. Podążał za nim drugi, wyższy mężczyzna.

- Gwardziści pełniący straż przy zachodniej bramie przepuszczą cię bez żadnych pytań

- oznajmił pierwszemu.

Kosiarz potarł zakrzepłą krew. To był głos Baralisa.

- Nie zapominasz o niczym, zupełnie jak służki w noc poślubną, Baralisie.

Mroczna postać, w której Kosiarz rozpoznał królewskiego kanclerza, pokłoniła się nieznajomemu.

- Robię co mogę.

Obaj rozmówcy zbliżyli się o kilka kroków do ukrytego w mroku chłopca, który poczuł bijący od nieznajomego zapach egzotycznych, zagranicznych wonności, zmieszany z odorem końskiego potu. Ciemne włosy były gładkie od olejku, a mówiąc, mężczyzna odsłaniał błyszczącą biel zębów.

- Czy wiesz, że Kylock obozuje pod południową bramą? - zapytał, unosząc palce do skroni, by przygłodzić sterczące włosy. Choć miał na sobie skórzaną kurtkę, poruszał się bezszelestnie.

- Nie musimy zwracać królowi głowy szczegółową relacją z naszego małego spotkania - stwierdził gładkim tonem Baralis.

- Też tak sobie pomyślałem - odparł leniwie nieznajomy po krótkiej, starannie odmierzonej przerwie.

Jak starannie odmierzonej, można było się zorientować, obserwując jego lewą dłoń. Kosiarz zauważył, że mężczyzna przed udzieleniem odpowiedzi pięć razy zacisnął pięść, a potem ją rozluźnił.

Sądząc z barw uzdy jego rumaka, miał coś wspólnego z Valdis. A choć Kosiarz nie wiedział o tych sprawach zbyt wiele, odnosił wrażenie, że jest on kimś więcej niż zwykłym rycerzem.

Nieznajomy ruszył w stronę konia. Kosiarz przycisnął się do muru. Rumak zarżał

cicho. Mężczyzna uniósł odruchowo rękę, chcąc go uspokoić, lecz w tej samej chwili Baralis się odezwał, co odwróciło jego uwagę.

- W gruncie rzeczy - rzekł królewski kanclerz, zbliżając się do wierzchowca - im mniej król będzie wiedział o naszym... jak mam to nazwać... porozumieniu, tym lepiej.

Ostatecznie, będzie miał na głowie ślub, żonę i nowe księstwo. Nie widzę potrzeby mącenia jego spokoju detalami związanymi ze sprawowaniem władzy.

Kosiarz zadrżał. W głosie Baralisa brzmiało coś, od czego dreszcz przeniknął go aż do szpiku kości.

- Tak - zgodził się nieznajomy. - Religijne reformy, do których dojdzie w Helchu i na innych okupowanych terytoriach, nie powinny go zbyt interesować.

Jego głos nie był tak zimny i śmiertelnie groźny, jak głos Baralisa. Wydawał się gładszy i bardziej obojętny. Właściwie to wszystko w nim było gładkie: skórzana kurtka, wysmarowane olejkiem włosy, a także ruchy.

- Wiesz co, przyjacielu - ciągnął Baralis - król w pełni podziela moją opinię. Jeśli rycerze udzielą nam wsparcia na polu walki, a na okupowanych terytoriach będzie panował

porządek, wasze plany nieszczególnie nas obchodzą.

Nieznajomy uśmiechnął się. Zęby miał małe, idealnie równe. Ponownie odczekał

chwilę, nim zaczął mówić. Tym razem zacisnął pięść trzy razy.

- Cieszę się, że poglądy króla w kwestiach religijnych są zbieżne z naszymi. -

Pobrmiewająca w jego głosie nuta drwiny zniknęła przy następnym zdaniu. - Północ zbyt długo już pozostaje pod duchową władzą Silburu, Marlsu i Rornu. Nie powinniśmy być zależni od kaprysów południowego kościoła.

Zaczerpnął tchu, chcąc kontynuować przemowę, lecz Baralis wpadł mu w słowo.

- Rób, co uznasz za konieczne, Tyrenie. Nie pozwól, by Helch podźwignął się z kolan, nim złamiemy Highwall, a nie będziemy cię pytać o motywy.

Tyren. Kosiarz poczuł gwałtowny ucisk w gardle. Spróbował pochwycić powietrze w płuca i

przekonał się, że nie może tego zrobić. Tyren był wodzem rycerzy. Idolem, zbawcą i mentorem Tawla. A mimo to na oczach Kosiarza zawarł z Baralisem tajną umowę, w skład której wchodziło dopuszczenie się, Borc wie jakich, okrucieństw na niczego nie podejrzewających mieszkańcach Helchu. Kieszonkowiec nie dał się oszukać słowom

„religijne reformy”. Spotkał w życiu wielu wygadanych oszustów i potrafił dostrzec kryjącą się za tymi starannie dobranymi słowami prawdę. Tyren zamierzał nawrócić ludność Helchu na własną doktrynę, a sądząc z tego, co powiedziano dziś na tym podwórku, ani on, ani Baralis nie cofną się przed żadnymi metodami.

Słuchając rozmowy obu spiskowców, Kosiarz gorzko pożałował, że się na nich natknął. Za tę wiadomość Tawl mu nie podziękuje. Właściwie to zaczynał się zastanawiać, czy nie powinien zachować szczegółów dla siebie. Jeśli jego przyjaciel pozna prawdę o Tyrenie, będzie zdruzgotany. Wódz rycerstwa był w tej chwili jedyną osobą, której Tawl jeszcze ufał.

Poczuł ostry ból w szyi. Nieświadomie zdrapał sobie strup z rany na gardle.

Otworzyła się ona na nowo i pod bluzę Kosiarza ściekła strużka krwi. Chłopiec starał się oddychać szybko i płytko. Tylko spokojnie, powtarzał sobie. Tylko spokojnie.

Baralis i Tyren ani na chwilę nie przerwali rozmowy. Gdy Kosiarz ponownie skupił

się na ich słowach, przywódca rycerstwa sięgał właśnie po wodze rumaka.

- Nie chcę słyszeć żadnych pogłosek o tym, że w Helchu dochodzi do tortur, czy jeszcze gorszych rzeczy - mówił królewski kanclerz. - Cokolwiek postanowisz uczynić, musisz postępować dyskretnie. Południe nie może zbyt wcześnie zorientować się w naszych planach.

- Nie martw się, Baralisie - uspokoił go Tyren, delikatnie pociągając długimi, przyozdobionymi złotymi pierścieniami palcami za wodze, by rozluźnić węzeł. - Dopilnuję, żeby nie było żadnych przecieków. Istnieje niezliczona liczba metod pozwalających zdyskredytować plotkę, a więcej niż pół tuzina sposobów na to, by ją zabić.

Mówiąc, Tyren przeniósł wzrok z belki na konia. Przez mgnienie oka wpatrywał się w ciemny kąt w miejscu, gdzie mur dochodził do ściany budynku. Ukryty w odległości niespełna sześciu kroków Kosiarz napiął mięśnie. Dzieliły ich od siebie tylko koń, jego cień i drewniana belka.

Tyren zawahał się na chwilę. Zdjął dłoń z wodzy i uniósł ją ku twarzy. Wpatrzył się w ciemność.

Kosiarza ponownie ścisnęło w gardle, tym razem z siłą imadła. Po nosie spłynęła mu strużka potu.

Wtem rumak szarpnął głową, odsuwając się od ściany. Tyren był zmuszony pójść za nim, by nie wyrwał mu się z rąk.

- No cóż, Tyrenie - rzekł Baralis, skinąwszy głową. - Wygląda na to, że twój wałach jest gotów ruszyć w drogę. Chyba omówiliśmy już wszystkie sprawy. Nasze poglądy na religijną przyszłość północy są identyczne.

Tyren sprawdził popręg i rzemienie ostróg, po czym dosiadł rumaka.

- A co się stanie, gdy król postanowi powiększyć imperium? - zapytał, sadowiac się wygodnie w siodle. - Mam nadzieję, że Valdis będzie mogło zadbać o kwestie religijne również na południu?

Baralis powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

- Och, zwłaszcza na południu.

Gdy Kosiarz usłyszał te słowa, żołądek cofnął mu się gwałtownie w głąb brzucha, zostawiając w piersi bolesną pustkę. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Tyren skinął głową, usatysfakcjonowany. Gdy kierował konia ku bramie, Baralis spoglądał w ślad za nim. Nie pożegnali się nawet jednym słowem.

Królewski kanclerz stał pośrodku smugi padającego przez drzwi światła, obserwując oddalającego się rycerza. Gdy tętent kopyt ucichł w oddali, zaczerpnął lekko tchu i uśmiechnął się.

- Tavalisku - rzekł cicho, zwracając się do ciemności - choć mogło mi to zająć prawie dwadzieścia lat, zemszczę się na tobie.

Zaczekał jeszcze chwilę, po czym odwrócił się i wszedł do środka.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Kosiarz bardzo głęboko odetchnął. Dziękował za ocalenie skóry Borcowi, duchowi zmarłej matki Szybciora, a nawet koniowi. Dotknął prawą dłońią obolałej nogi i odkrył na niej wielki, krwawiący guz, niewiarygodnie bolesny przy dotyku. Z rany na szyi nie przestawała sączyć się krew, a bluzę miał przesiąkniętą potem.

Choć pragnął uciec stąd tak szybko, jak tylko się da, nakazał sobie poczekać, aż zgasną światła. Nawet wówczas odważył się poruszyć dopiero po dłuższej chwili. Nie zamierzał już dziś podejmować żadnego ryzyka. Ścigano go, zaatakowano i zwabiono w pułapkę, grożono mu i omal nie schwytano. Wystarczy mocnych wrażeń na całe życie. A przynajmniej na znaczną jego część.

Zesztywniał od zbyt długiego trwania w bezruchu. Gdy opuścił wreszcie podwórko, był zziębnięty, zmęczony i rozdygotany. Nie potrafił już wzbudzić w sobie entuzjazmu dla prób wymknięcia się potencjalnym prześladowcom. Wrócił do Tawla najkrótszą, najszybszą drogą.

\*

Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio Kylock odmierzył sobie porcję proszku, tak jak uczył go Baralis. Nie zawracał już sobie głowy pilnowaniem, by było go tylko tyle, żeby pokrył zagłębienie dłoni. Połykał narkotyk garściami. Gdy wsypywał go do kieliszka, proszek błyszczał niczym grot mknącej do celu strzały, następnie zwilżał go czerwonym winem.

Dopiero kiedy spłynął mu do żołądka, Kylock mógł oddychać swobodnie.

Na chwilę uspokoją się straszliwe rozbłyski, podczas których czaszka miażdżyła jego umysł, a myśli

zwracały się do wewnątrz, odsłaniając surowe tkanki mózgu. Narkotyki dawał

mu przynajmniej tyle.

Gdy po raz drugi uniósł kielich do warg, dwaj strażnicy zabrali z namiotu ciało dziewczyny. Atak był szczególnie nieprzyjemny. Namiętność budziła w nim coś znacznie gorszego od bestii.

- Unieście wyżej to łapsko - rozkazał żołnierzom. Ci durnie nieśli zwłoki zbyt nisko i ręka ciągnęła się po dywanie, który był teraz poplamiony, podobnie jak poduszki i prześcieradło. Jej odór wypełniał cały namiot. Wszystko trzeba będzie zniszczyć. Kylock przepchnął się obok żołnierzy i wyszedł w noc.

Niebo zawsze było ciemne, gdy podnosił wzrok. Nie poczuł się bynajmniej zmartwiony, przekonawszy się, że fioletowo-czarny firmament Brenu nie jest pod tym względem wyjątkiem.

Rozbili obóz tuż na południe od miasta, tak blisko, że widzieli mury, czuli odór palonego drewna i słyszeli turkot jadących po ulicach wozów. Rzucił spojrzenie na wyniosłe obwarowania Brenu. Tak jest. To było miasto dla niego. Nie przerośnięta wiocha, jak Harvell czy stara, nędzna dziura, jak Helch lecz młody, wspaniały gród, który nie przestawał rosnać.

Straszliwe dziecko. Bren nie taplał się we własnym plugastwie, jak inne miasta. Górskie wiatry co noc unosiły z niego smród, a deszcz zmywał brud do jeziora.

Jezioro, góry, fortyfikacje: Bren był najlepiej bronioną twierdzą w Znanych Krainach, wręcz stworzoną na ośrodek imperium. Liczne pokolenia diuków przygotowały gród dla niego. Wzniesli mocne mury i niezdobyte bramy, otoczyli miasto siecią opuszczanych wrót.

Zrobili swoje i musieli odejść. W Brenie nie będzie już więcej diuków.

Wysączył ostatni łyk. Narkotyki nadawał winu słodszy smak. Nozdrza Kylocka wypełniła woń pieczonego mięsa. Domyślił się, że żołnierze wrzucili dziewczynę do ognia.

W ten sposób najłatwiej było uniemożliwić rozpoznanie zwłok. Nikt poza nim i dwoma strażnikami nie będzie wiedział, kim była i jaki los ją spotkał. Klatka piersiowa pęknie pod działaniem gorąca, a połamane nadgarstki przerodzą się w kupki luźnych, zwęglonych kości.

Wzruszył ramionami. Być może ogień wypali nawet wyraz przerażenia z jej ładnej buzi.

Będzie tylko kolejną zżartą chorobą dziwką, którą spalono dla dobra obozu.

Czuł się już znacznie lepiej. Narkotyki spełnił swe zadanie. Świat stał się pod jego wpływem cięższy, mroczniejszy i nieporównanie bardziej solidny, a trawiący Kylocka gniew przygasł. Działo się z nim coś niepokojącego. Coraz częściej tracił panowanie nad sobą.

Między jego ciałem a myślami dochodziło do gwałtownego rozłamu. Zawsze czuł wówczas w ustach posmak metalu. Przed chwilą, gdy był w łóżu z tą dziewczyną - kiedy przywiązał ją za ręce do słupka baldachimu, a szyję do deski, воск zaś rozgrzał się już wystarczająco, by na skórze powstały

pęcherze - jego ciałem targnął straszliwy wstrząs. Czuł się tak, jakby trzewia ścisnęła mu potężna dłoń i wskutek tego żółć buchnęła ustami. Jego mózg się powiększył, czaszka skurczyła, myśli zaś stały się nagle zbyt liczne, by mogły się pod nią pomieścić. W

jego wnętrzu narastał przerażający ucisk i mógł go rozładować jedynie poprzez atak na dziewczynę, którą miał pod sobą.

Rzucił się na nią jak zwierzę. Jego zęby przerodziły się w kły, a palce w szpony.

Opadła na niego ciemność i, walcząc ze swą ofiarą, bronił się przed tym potworem. Jeśli nawet krzyczała, nic nie usłyszał, jeśli stawiała opór, nic nie zauważył. Poczuł jedynie na policzku chłodzącą fontannę jej krwi oraz słabe, przedostatnie tchnienie. Gdy wydała z siebie ostatnie, zdołał już wyrwać się z ciemności w światło. Wnętrznosci odzyskały połączenie z wątrobą, a z głowy zniknął ucisk. Z nosa spływała mu strużka krwi. Kylock splunął w szmatkę, by usunąć z ust metaliczny posmak.

- Nadeszło pismo z Halcusu, panie.

Odwrócił się natychmiast. Nie słyszał zbliżającego się strażnika. Gdy ten wręczył mu zapieczętowany pergamin, Kylock zauważył, że żołnierz przygląda się jego bluzie. Krew zamordowanej utworzyła na złotym tle ciemną plamę.

- Krew przelana potajemnie tworzy więź między mężczyznami - powiedział bardzo cicho młody monarcha. - Idź, przyjacielu, i nie mów nikomu, co tu widziałeś.

Mężczyzna padł na kolana.

- Panie, na twe polecenie mógłbym przelać całe morze krwi.

Kylock skinął lekko głową i nakazał mu gestem wstać.

- Twa lojalność nie będzie zapomniana.

Mężczyzna pokłonił się i odszedł.

Kylock uśmiechnął się. Każdego dnia odkrywał w sobie nowe moce, dostępne jedynie królom. Umiejętność wzbudzania ślepej wierności była prawdziwym darem bogów. Wiara kazała ludziom bez wahania czynić to, czego nigdy nie zrobiliby dla pieniędzy, a jego żołnierze wierzyli w niego. Wygrywał wojny, nie cofał się przed ryzykiem, a wrogowie nienawidzili go. Obiecał swym żołnierzom łupy i dopilnował, by je otrzymali: kobiety albo dzieci, wedle gustu. Złoto, zboże, nominacje... zniszczenie, jeśli tego właśnie chcieli.

Miasteczko puszczone z ogniem w szale krwawej żądzy często było najlepszą nagrodą po dniu spędzonym na polu bitwy. Nic nie budziło większej pogardy dla wrogów niż rzucenie ich na pastwę płomieni.

Kylock złamał pieczęć. Tak jest, ludzie byli mu wierni i zawartość pisma tego dowodziła.

Dziś, tuż przed świtem, jego matka zginie. Na jej zamek na Ziemiach Północnych napadnie banda halcuskich maruderów. Nikt nie ocaleje, by zdać relację z wydarzeń. Kedrac, najstarszy syn Maybora, zaplanował wszystkie szczegóły, łącznie ze zgwałceniem i zbezczeszczeniem ciała królowej wdowy. Najbardziej błyskotliwy pomysł pochodził jednak od samego króla. Po wszystkim ciało Arinaldy miało zostać ułożone na anniskim sztandarze, co zasugeruje, że Halcusowie działali w zмовie z tym górskim miastem. Gdy wiadomość wyjdzie na jaw, w królestwach zapanuje oburzenie i następne posunięcie Kylocka - którym akurat miał być atak na Annis - spotka się z całkowitym poparciem. Jakie państwo pozwoliłoby, żeby zamordowanie jego ukochanej, niedawno owdowiałej monarchini uszło bezkarnie?

Rzecz jasna, najazd na Annis miał na celu jedynie zmylenie przeciwnika. Armia będzie mu potrzebna gdzie indziej, chciał jednak, by jego wrogowie sądzili, że zaangażował

się w podyktowane wymogami honoru oblężenie tak głęboko, że nie zdecyduje się przenieść wojsk. Przesunął wzrokiem po ciemnych liniach breńskich blanków. Gdy jego plany wreszcie zostaną zrealizowane, wszyscy poczują się bardzo zaskoczeni. Oczywiście, Annis prędzej czy później będzie należał do niego. Kilka miesięcy różnicy nic w ostatecznym rozrachunku nie zmieni.

Kylock czytał dalej. Kedrac był sprytny i posługiwał się kodem. Nie tylko zaaranżował śmierć królowej, lecz również znakomicie wybrał czas zdobycia ostatnich halcuskich miast. Król był bardzo z niego zadowolony. W dzień ślubu będzie mógł

sprezentować Catherine Halcus. Gest będzie wspaniały, choć dar nie był jej godny. Nic nie mogło być dla niej zbyt cenne.

Nie mógł się doczekać spotkania z nią. Przyjdzie do niej jako wolny mężczyzna.

Pozbędzie się matki i nie będzie z nikim związany. Cały odda się swej nowej żonie. Gdy uklęknie u jej stóp, Catherine na zawsze oczyści go ze skazy macicy.

Spojrzał na obóz. Sługa znał go dobrze i pod jego nieobecność zagrzał trochę wody.

Kylock był brudny i musiał się umyć. Jego dłonie i szaty śmierdziały. Nie godziło się, by nawet myślał o Catherine, dopóki cuchnął dziwką, którą przed chwilą zabił.



Jackowi znowu śniła się Tarissa. Za dnia starannie unikał myślenia o niej, lecz nocą wracała do niego regularnie. Nigdy go nie opuszczała. W jednej chwili śmiała się i kusiła go, radosna jak krowiarka, w następnej zaś padała na kolana i błagała go z płaczem, by zabrał ją ze sobą.

Zawsze, nawet we śnie, odchodził.

Jednak dzisiejszej nocy usłyszał, że poszła za nim.

Serce zabiło mu gwałtownie. Odwrócił się, lecz nie zobaczył Tarissy. Nie było jej tam.

Odgłos jednak się zbliżał. Jack obrócił się wkoło. Gdzie się podziała? Kroki były już tak blisko, że grunt wibrował pod nimi.

- Jest tutaj - rozległ się czyjś głos.

Nie należał do Tarissy. Nie poznawał go, nawet we śnie. Zerwał się nagle, wyęzając zmysły. Był w domu cechowym i światło wpadające przez okiennice świadczyło, że nadchodzi świt.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do izby wpadło czterech uzbrojonych po zęby mężczyzn. Za nimi stał Nivlet, jedyny chudy członek Cechu Mistrzów Piekarskich.

- To on! - krzyknął. - To jego szukają Halcusowie.

Dwaj napastnicy runęli w jego stronę. Dłoń Jacka spoczęła już na nożu. Czuł suchość w ustach, a w głowie kręciło mu się jeszcze od snu. Ruszył na spotkanie przeciwnikom, rozglądając się dokoła, by znaleźć coś, co pozwoliłoby mu odwrócić ich uwagę. Po lewej stronie stała skrzynia pełna przeznaczonych na opał kłód. Skoczył w jej stronę i przewrócił ją kopniakiem. Kłody potoczyły się po podłodze, zmuszając dwóch żołnierzy do cofnięcia się.

Jack skoczył na nich. Nóż wysunął przed siebie, zataczając nim w powietrzu coraz mniejsze kręgi. Gdy trafił jednego z napastników w ramię, wzmocnił cios ciężarem swego ciała, przecinając nie tylko skórę, lecz również mięśnie.

Coś ukłuło go od tyłu. Odwrócił się błyskawicznie i stanął twarzą w twarz z trzecim żołnierzem, rudowłosym mężczyzną z sumiastym wąsem tego samego koloru. Trzymał

najdłuższy nóż, jaki chłopak w życiu widział.

- No chodź, chłopcze - zachęcał Jacka. Zdradziło go jednak rzucone ukradkiem w bok spojrzenie. Chciał odwrócić jego uwagę, by drugi z napastników mógł go zaatakować od tyłu.

Ani na moment nie spuszczać wzroku z rudzielca, Jack próbował odgadnąć, gdzie stoi drugi przeciwnik, po czym przeniósł ciężar ciała na lewą nogę i kopnął prawą z siłą konia. Trafił go prosto w kolano. Mężczyzna padł z jękiem na twarz. Jack runął wprost na nóż rudzielca, lecz w ostatniej

chwili gwałtownie zmienił kierunek. Żołnierz rzucił się już do ataku i nie zdołał wyhamować. Uderzył w drugiego z napastników, który kołysał się na jednej nodze.

Jack nie czekał na rezultat. Paliło go w gardle, a płuca w każdej chwili groziły rozerwaniem. Skierował uwagę na pierwszego żołnierza, którego zranił w ramię. Czwarty ciągle stał w drzwiach, czekając na odpowiednią chwilę. Pierwszy znalazł gdzieś włócznię i prowokował nią Jacka, udając, że atakuje jego pierś i uda. Chłopaka rozgniewało takie tchórzostwo. Trzymając się w bezpiecznej odległości od grotu włóczni, uniósł do twarzy nóż, na którego ostrzu nie zakrzepła jeszcze krew jego przeciwnika.

- Hmm - rzekł Jack, w nadziei, że żołnierz skieruje wzrok na ranę. - Na twoim miejscu poszedłbym do lekarza. Twoja krew ma jakiś dziwny kolor.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nie dam się tak łatwo nabrać, chłopcze.

Znowu dźgnął włócznią.

Jack musiał odskoczyć. Zdał sobie sprawę, że nie ma już dokąd się cofać. Za plecami miał tylko ścianę.

- Chyba jednak będziesz musiał pójść do lekarza, przyjacielu, żeby ci opatrzył tę paskudną szramę pod okiem.

Na twarzy żołnierza pojawił się wyraz zdziwienia. Mięśnie ręki, w której Jack trzymał

nóż, napięły się z siłą sprężyny. Chłopak machnął gwałtownie dłonią i wypuścił nóż, który pofrunął wprost ku oku przeciwnika. I tym razem nie czekał na rezultat. Nie miał już broni.

Odskoczył błyskawicznie od ściany. Rudzielec podniósł się już, lecz drugi żołnierz leżał

jeszcze na podłodze. Z noża stojącego mężczyzny ściekała krew. Czwarty z napastników przesunął się na bok. We dwóch zablokowali Jackowi drogę do drzwi.

Miał przed sobą dwóch mężczyzn, uzbrojonych i gotowych do walki. Zrozumiał, że czas użyć czarów. Skupił się na metalu w ich broni. Poczuł jego gęstość, sztywność i nieustępliwy opór. Robiąc dokładnie to, czego się nauczył, wszedł w jego chłodną twardość.

To nie była jedna z udzielanych przez Stillfoxa lekcji, gdzie niebezpieczeństwa były wyimaginowane, a skutki ściśle kontrolowane, jak podczas przeprowadzanego eksperymentu ze szkłem. Tu wszystko działało się naprawdę.

Miał tylko ułamki sekund. Nie było czasu na wysiłek czy finezję. Nie groziło mu wciągnięcie w trans przez substancję, do której wchodził. Karcił się niecierpliwością i strachem. Przed oczyma jego umysłu pojawił się obraz Tarissy. Przywołał go w jednej chwili.

Stał przed nią Rovas. Uniosła delikatnie dłonie i dotknęła jego czoła, by sprawdzić, czy nie ma gorączki. Jack czuł narastające w nim czary. Pod spodem krył się wstyd, na to jednak nie miał teraz czasu. Pozwolił, by moc wypłynęła z jego brzucha, a myśli ściekły w głąb umysłu.

Oba strumienie spotkały się w ustach i wzdłuż języka przesunęło się metaliczne ukąszenie czarów.

Pomknęło prosto do oręza. Gdy przesywało powietrze, umysł Jacka ukształtował

intencję. Lepił czary jak rzeźbiarz. Z chwilą uderzenia w cel, były już w pełni uformowane.

Przeszły z jego myśli w substancję noży. Kiedy uczyniły to, po co je przywołał, Jack cofnął

się od napastników. Ich broń przerodziła się w rozgrzane do czerwoności pogrzebaczki. Obaj mężczyźni wrzasnęli głośno, rozchylili dłonie i wypuścili ją na podłogę.

Chłopak poczuł, że zalewa go fala słabości. Zwalczył ją, przepchnął się między dwoma przeciwnikami i ruszył ku drzwiom. Ani rudzielec, ani jego przyjaciel nie mieli najmniejszej ochoty go powstrzymać. Unosili w górę czerwone, poparzone dłonie, rozglądając się jak szaleni w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby je ostudzić.

Jack przeszedł przez próg i zbliżył się do Nivleta. Frallit powiedział mu kiedyś:

„Nigdy nie ufaj chudemu piekarzowi”. Wyglądało na to, że miał rację. Zdzielił chudzielca w twarz. Nivlet upadł na podłogę. Chłopak przeszedł nad jego ciałem.

- Przynies tym żołnierzom trochę wody, żeby wychłodzić poparzenia - rzucił.

Odwrócił się i odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Opuszczając dom cechowy, czuł dziwne uniesienie. Udało mu się! Czary usłuchały jego woli! Był zachwycony. Czuł się potężny, pewny siebie, gotów zmierzyć się z każdym przeciwnikiem. Przechodząc przez salę biesiadną, pozrzucał ze stołu resztki jedzenia.

Bochny, kurczaki i owoce pofrunęły w powietrze. Odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. Wreszcie udało mu się zrobić coś jak należy.

Znowu usłyszał kroki. Był to albo Nivlet, albo któryś z rannych strażników. Pora stąd zniknąć. Z twarzy Jacka zniknął uśmiech. Wyglądało na to, że nie będzie miał czasu zwiedzić Annisu. Opuści go tak samo, jak przyszedł, tylnym wejściem. Uniósł z sitowia nóż do krajania mięsa, który wyglądał szczególnie groźnie, wepchnął sobie pod bluzę mnóstwo chleba i sera, a na pożegnanie wychylił kufel *ale*, samemu wznosząc toast. Krzywiąc się -

stanie przez całą noc w kufli nie wyszło piwu na dobre - Jack odwrócił się na pięcie i ruszył

w świt.

\*

- Wasza Miłość, czy mogę ci przedstawić Jego Królewską Wysokość króla Kylocka, suwerena Czterech Królestw?

Baralis cofnął się, pozwalając, by Kylock ruszył na spotkanie Catherine.

Prezentował się wspaniale. Odziany w czarny jedwab i sobole, z wyszywanymi złotą nicią mankietami i kołnierzem, wyglądał na kogoś więcej niż król, którym był. Był wysoki, ciało miał smukłe i zachowywał się ze swobodną dumą. Z jego twarzy trudno jednak było cokolwiek wyczytać. Choć przez okno wpadały jasne promienie słońca, spowijały ją cienie, czyniąc ją nieprzeniknioną tak dla światła, jak i dla słów.

Wyciągnął wypielęgnowaną dłoń i Catherine odwzajemniła się tym samym. Uniósł jej blade palce do ust. Przeszył ją słaby dreszcz. Nie miała zamiaru dygnąć, gdy go spotka -

władczyni Brenu nie kłania się nikomu - wiedziała jednak, jak atrakcyjnie wygląda, jak kusząco pogłębia się szczelina dzieląca jej piersi i jak pełna staje się jej dolna warga, gdy padnie na nią pożąta słonecznego blasku.

- Jest dla mnie zaszczytem powitać cię w naszym pięknym mieście, Wasza Królewska Mość.

- To ja czuję się zaszczycony - odparł Kylock.

Przebywali w wielkiej komnacie, otoczeni tłumem dworzan. Ściany zdobiły girlandy letnich róż, w okna zaś wprawiono szyby z barwionego szkła, które nadawały wpadającym do środka promieniom słońca barwy państwowe. Intensywny błękit, granat, fiolet i szkarłat: kolory, które wybrał jej ojciec. Kolory tkaniny, w którą spowito jego zwłoki. Choć słońce mocno przygrzewało, Catherine przeszył dreszcz.

Kylock nadal nie puszczał jej dłoni.

- Jeśli jest ci zimno, powiedz tylko słowo, pani - rzekł cicho - a, by cię ogrzać, spalę któreś z miast.

Catherine nie była jedyną osobą, która wciągnęła gwałtownie powietrze. Dworzanie, którzy usłyszeli słowa Kylocka, poruszyli się niespokojnie.

Krępującą ciszę wypełnił Baralis.

- Wasza Królewska Mość z pewnością czuje się zmęczony długą podróżą. Jeśli pozwolisz, zaprowadzę cię do twych komnat.

Kylock nawet na niego nie spojrzał. Nie odrywał wzroku od Catherine. Wciąż trzymał

ją za rękę. Mocno zaciśnięte, docierające aż do kości palce, hamowały dopływ krwi.

- Masz rację, kanclerzu. Potrzebny mi odpoczynek. Ujrzałem dziś swą przyszłą żonę i na ten widok zaparło mi dech w piersiach.

Puścił nagle jej dłoń.

Catherine pragnęła, by to uczynił, teraz jednak poczuła się zagubiona. Miał w sobie wielką moc i dopóki trwał jego dotyk, ona również czuła się jej częścią.

- Panie, ufam, że komnaty przypadną ci do gustu - rzekła, chcąc zatrzymać go jeszcze choć przez chwilę. - Sama wybrałam meble.

Ruszył szybko w jej stronę. Cofnęła się o krok w nagłym przypiływie paniki. Z

jakiegoś powodu bała się, że ją uderzy, on jednak pokłonił się nisko, ukazując białą skórę karku. Poruszył nerwowo nozdrzami, jakby próbował wyczuć jej zapach.

- Przewrotności mej pani dorównuje jedynie jej czystość.

Catherine wbiła paznokcie w skórę dłoni, by powstrzymać rumieniec. Czystość? Cóż to za osobliwe słowo? Ogarnęła ją niepewność.

- Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję - wyszeptała, pochylając głowę.

Kylock przeszył ją wzrokiem. Oczy miał ciemne, lecz nie potrafiła określić ich koloru.

Uśmiechnął się, odsłaniając równe, białe zęby, odgięte lekko ku tyłowi.

- Moja pani mnie nie rozczaruje.

Odsunął się od niej tak szybko, że nie potrafiła skupić wzroku na jego postaci, dopóki znowu nie znieruchomiał.

- Kanclerzu, odprowadź mnie na pokoje - polecił, zwracając się w stronę Baralisa. Ten natychmiast znalazł się u boku króla i wyprowadził go z komnaty.

Catherine patrzyła, jak się oddalają. Było w nich coś dziwnego. Przypominali sobie wzrostem i kolorem włosów. Nawet poruszali się identycznie. Ich kroki były zupełnie niesłyszalne. Catherine potrząsnęła głową, nie chcąc wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Kylock i Baralis pochodzili z tego samego kraju, tego samego dworu. Nic dziwnego, że wyglądali podobnie.

Owładnęło ją nagle pragnienie odpoczynku. Odprawiła dworzan skinieniem dłoni.

Czuła się zmęczona i wyczerpana. Świetnie zdawała sobie sprawę ze swej bezradności.

Kylock okazał się znacznie potężniejszą osobowością niż się tego spodziewała. Niepokoiła ją jego bliskość. Za osiem dni zostanie jego żoną. Odwróciła się i ruszyła do swoich komnat.

Nigdy nie czuła się tak pełna życia, jak w chwili, gdy król Kylock ujął jej dłoń.

\*

- Pstrąg smaży się jak złoto, Grift. Za parę minut zjemy naprawdę pyszną rybkę.
- Osobiście nigdy nie przepadałem za rybami, Bodger. Ale przynajmniej pomagają mężczyznom na klejnoty.
- Na klejnoty, Grift?
- Ehe, Bodger, na klejnoty. Mężczyzna, który wtrzącha mnóstwo ryb, nigdy nie dostanie ruptury.
- A to dlaczego, Grift?
- Dlatego, że ryby wzmacniają zawieszenie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Dwa pstrągi na dzień i twoje klejnoty zrobią się takie sprężyste, że będą się odbijały od podłogi.

Bodger miał niepewną minę.

- Nie jestem pewien, czy byłbym z tego zadowolony, Grift.
- Nie mam prawa decydować, co jest dla ciebie najlepsze, Bodger. Przedstawiam ci tylko fakty.

Grift skinął głową z mądrą miną. Bodger odwzajemnił mu się tym samym.

- Jak myślisz, czy powinienem zanieść pstrąga Tawlowi, Grift?
- Nie, Bodger. Lepiej nie wchodzić mu dzisiaj w drogę. No wiesz, mamy dziś Święto Pierwszego Cudu Borca. To najświętszy dzień dla rycerzy. Widok ryby podziałałby na niego jak sól wtarta w ranę.
- Ehe, Grift. Chyba masz rację. Widziałem go rano i w ogóle mnie nie zauważył. Lady Melliandra próbowała go pocieszać, ale kazał jej odejść.
- Nie można mieć do niego pretensji, Bodger. Każdy, kto był pasowany na rycerza, puszcza dziś sobie krew ku chwale Borca. Tawl żywo pamięta utratę kręgow.

- A o co tu właściwie chodzi, Grift?

- No więc, jak ci wiadomo, Borc był pasterzem na podgórzu Wielkiego Wododziału.

Pewnego dnia, gdy strzegł swej trzody, opadło go stado oszalałych z głodu wilków. Ścigały Borca i jego owce aż do wodospadu Faldara. Borc nie miał już dokąd uciekać, zaczął więc błagać Boga o przewodnictwo. Nim jeszcze słowa zdążyły wydostać się z jego ust, wodospad obrócił się w lód. Każda kropla wody zamarzała w mgnieniu oka, razem z pływającymi w rzece rybami. Borc przeprowadził owce na drugi brzeg, a gdy tylko wilki weszły na lód, wszystko znowu się roztopiło i drapieżniki się potopiły.

Bodger westchnął niecierpliwie.

- Wszyscy znają tę historię, Grift. Nie bardzo tylko wiem, co ma z tym wspólnego Valdis.

- Dobra. Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? - Grift przełknął łyk *ale* i rozsiadł

się wygodnie na krześle. - No więc, jak ci wiadomo, Valdis był pierwszym z uczniów Borca.

Gdy jego mistrz wybrał się na Dalekie Południe w poszukiwaniu prawdy, Valdis został na północy, by szerzyć jego słowo. Tak czy inaczej, dokładnie dziesięć lat po cudzie przy Faldarze, Valdis głosił kazanie do gniewnego tłumu niedowiarków. Ci zaczęli na niego wykrzykiwać, twierdząc, że żadnego cudu nie było i każdy, kto spróbuje przejść przez wodospad, z pewnością zginie. Valdis był tylko zwykłym człowiekiem i wiedział, że nie ma mowy, by mógł uczynić cud. Dlatego zdecydował się na coś innego. Na Pierwszy Akt Wiary.

Skoczył do rzeki i pozwolił, by prąd zniósł go ku wodospadowi. Rzecz jasna, wszyscy myśleli, że już po nim, że na pewno zaraz roztrzaska się o skały. Tłuszcza rozeszła się do domów, do żon i dzieci i natychmiast o nim zapomniała. Valdis jednak ocalał. Nikt nie wie na pewno, jak to się stało, choć większość ludzi uważa, że Bóg nagroził go za wiarę. Przepłynął

wodospad i wrócił do wioski. Wieśniacy tak się zdumiali na jego widok, że wszyscy padli na kolana i złożyli przysięgę Borcowi. Valdis ucałował każdego z nich w czoło, po czym odszedł, mówiąc, że mają ruszyć w świat i szerzyć słowo zbawiciela.

Grift osuszył kufel na znak, że to już koniec opowieści.

- Valdis był bardzo odważny, Grift - powiedział cicho Bodger.

- Ehe, Bodger. A rycerstwo, które założył, miało być wierne jego ideałom.

- Biedny Tawl. Na pewno bardzo się martwi tym, że rycerstwo upadło tak nisko.

- Jeśli mnie o to pytasz, Bodger, ma szczęście, że nie jest już rycerzem.

- Gdybyś widział, jak wyglądał dziś rano, Grift, zrozumiałbyś, że on na pewno tak nie sądzi. Siedział na tej swojej ławeczce w oknie wykuszowym i gapił się na południe.

- Miasto Valdis leży na południu, Bodger.

- Ehe. I tam jest dziś serce Tawla.

\*

Baralis zamknął za sobą drzwi. Po chwili zastanowienia zasunął rygiel. W pałacu był

Kylock i jego obecność z jakiegoś powodu wszystko zmieniała.

Odkąd Baralis widział go po raz ostatni, chłopak znacznie wydorósł. Właściwie nie był już chłopakiem, lecz mężczyzną. Królem. Władcą. Siłą swej osobowości zdominował całą wielką komnatę! Wszyscy wyteżali słuch, by usłyszeć każde jego słowo, a gdy wyszedł, odetchnęli z ulgą. Nie było wątpliwości: Kylock urodził się - a nawet został spłodzony - po to, by być imperatorem.

Był jednak młody i niedoświadczony, pełen młodzieńczego okrucieństwa. Trzeba go było ukształtować, delikatnie pokierować jego decyzjami, nadać polityce subtelniejszą formę.

Gdy ujrzał go dziś rano, miał wrażenie, że ma przed sobą zupełnie inną osobę. Kylock nie był już półczłowiekiem, który bezwzględnie pozwolił sobie na manipulowanie. Był silny, pełen energii, gotowy ująć swój los we własne ręce. Baralis pozwolił sobie na słaby uśmiech. No, może niezupełnie silny. Zadbał o to połyskliwy narkotyk zwany *ivysk*. Uniemożliwił on przepływ czarów przez ciało i dopóki Kylock pozostanie od niego uzależniony, nie zdoła zaczerpnąć mocy.

Nie było wątpliwości, że nowy król nadal przyjmuje egzotyczny medykament.

Cuchnęły nim jego włosy, ubranie i oddech. Niemniej Kylock dobrze maskował skutki uboczne.

*Ivysk* u jednych powodowało obłądzenie, u innych paranoję, u wszystkich zaś niszczycielskie urojenia. Mężczyźni z Hanatty przyjmowali je po to, by zbliżyć się do Boga, kobiety - żeby zapomnieć o okrucieństwie tamtejszych mężczyzn, dzieciom zaś dawano do ssania posypane *ivysk* szmatki, jeśli za dużo płakały. Baralis poczuł jego smak tylko raz, w ustach młodej bratanicy swego nauczyciela. Nigdy już więcej go nie próbował. Nie zamierzał

się tak łatwo wyrzec panowania nad sobą.

To imponujące, że choć Kylock przyjmował narkotyk już od pięciu lat, zdołał

zachować pozory normalności. Baralis nie miał pojęcia, jakie są długofalowe skutki jego używania. Wyglądało na to, że nowy król ma się dobrze. Był naprawdę niezwykle młodym człowiekiem.

Baralis poczuł lekki przyływ ojcowskiej dumy. Stłumił ją pospiesznie. Nie czas jeszcze sobie gratulować. Czekają na niego wiele zadań, które odkładał już od kilku dni, chcąc dać swemu ciału czas na odzyskanie sił po spotkaniu z Mayborem w gospodzie.

Gdy usiadł przy kominku, zjawił się Croke, który nalał mu holku.

- Przygotuj eliksiry, Croke. Czeka mnie długa podróż.

Zaczerpnienia mocy, których dokonał „Pod Przepelnionym Wiadrem”, osłabiły go niezmiernie. Dopiero dziś odzyskał siły na tyle, by móc opuścić ciało. Wolno popijał holk, starając się jak najdłużej odwlec kluczowy moment. Nienawidził tej procedury. Gdy umysł

znajdował się poza ciałem, dusza traciła kontakt z tym, co ją karmiło, a serce pompowało krew przez opuszczoną powłokę, najważniejszy był czas. W mrocznych otchłaniach czaiły się, gotowe uderzyć, straszliwe groźby, takie jak nieświadomość i obłądzenie.

Baralis zaczerpnął głęboko tchu i rozpoczął przygotowania: proszek, liść, krew.

Wciągnął miksturę do płuc i osunął się w oczekujące ramiona Croke'a.

Straszliwa lekkość zawsze była dla niego szokiem. Nadał swym myślom ciężar, by jego umysł nie



wzleciał wysoko nad firmament, skąd nigdy już by nie wrócił. Porzucone ciało zaprotestowało gwałtownie, był już jednak zbyt daleko, żeby zwrócić na to uwagę. Wznosił

się wciąż w górę, przez warstwy chmur i coraz radszego powietrza. Ruch wirowy świata zakrzywił jego trasę na podobieństwo łuku. To dziwne, że tak mocno odczuwał zimno. Upał, wiatr i woda nie wpływały na niego w najmniejszym stopniu, chłód jednak miał w sobie własną moc.

Nim zdążył się zorientować, był już na miejscu. Ujrzał na dole larneską świątynię: kamienny prostokąt na wyspie o kształcie gruszki. Przeniknął przez dachówkę, skałę i drewno, zmierzając do komnaty, którą przygotowano na jego przyjęcie. Czterech mężczyzn, stół, cztery świece i misa.

- Witaj, Baralisie - rzucił pierwszy z zebranych.

Królewski kanclerz odczekał chwilę, by się uspokoić. Gdyby mógł oddychać, zabrakłoby mu tchu w piersiach. Tym razem nie popełni błędu, jakim poprzednio okazało się przybranie dostrzegalnego kształtu. Nie będzie marnował energii na błahostki po to tylko, by zadowolić kapłanów.

- Przybyłem tu po odpowiedzi.

- Wybrałeś właściwe miejsce. Co jednak oferujesz nam w zamian?

- Nie duszę, jeśli o to wam chodzi.

- Ty nie masz duszy, Baralisie. Żyjesz wyłącznie ambicją.

Baralis wyteżył wolę i wszystkie świece zgasły.

- Larnescy kapłani nie mają prawa mnie potępiać.

- Mów, czego chcesz, Baralisie - odezwał się pośpiesznie najstarszy z czterech.

Był pewien, że wiedzą, po co się zjawił. Bawili się z nim w kotka i myszkę.

- Niedawno owdowiała żona diuka jest w ciąży. Chcę się dowiedzieć, czy dziecko to chłopiec, czy dziewczynka.

Kapłani milczeli przez chwilę, wymieniając jakieś sekretne przekazy.

- Chyba mamy dla ciebie złe wieści, Baralisie - odezwał się wreszcie najmłodszy z nich.

- A więc chłopiec. - Na Larnie nie mógł liczyć na bardziej jednoznaczną odpowiedź.

Szybko przeszedł do następnego pytania. Kapłanom nigdy nie należało dawać zbyt wiele czasu na zastanowienie. - Kiedy Annis i Highwall ruszą do ataku na Bren?

Najmłodszy z kapłanów zacmokał gniewnie.

- Nic z tego, Baralisie. Najpierw przysługa za przysługę.

Królewski kanclerz był na to przygotowany. Larn słynął przede wszystkim z tego, że zawsze żądano tu zapłaty.

- Znam tożsamość człowieka, którego się boicie - wyrzekł powoli, napawając się każdym słowem.

Przez długą chwilę nikt w pomieszczeniu nie oddychał.

- Mów dalej - wyszeptał najstarszy kapłan.

- Tym, kto może was zniszczyć, jest piekarczyk z Zamku Harvell. Ma na imię Jack i był kiedyś moim skrybą.

- A gdzie przebywa teraz? - wysyczał najmłodszy.

Baralis bawił się coraz lepiej. Żałował, że nie ma ramion, którymi mógłby wzruszyć.

- Gdzieś na zachód od Brenu. Może w Helchu, może w Annisie. Kto to wie?

- Skąd masz pewność?

- Ach, przyjacielu, czy ja cię pytam, skąd jasnowidze biorą swe opowieści?

Nie miał zamiaru mówić im o prorocztwie Maroda. Niech sami się tego domyślą.

Marod wspominał o wielu sprawach, które nie powinny ich obchodzić.

- A co z rycerzem, który szuka chłopca zwanego Jackiem?

- Nie sądzę, by opuścił Bren. To niemal niemożliwe, by udało mu się wymknąć z miasta w towarzystwie ciężarnej kobiety i jej starzejącego się ojca. - Nie potrafił oprzeć się pokusie dorzucenia złośliwej uwagi. - Ale o tym już chyba wiecie?

- Nie potrafimy zmusić naszych jasnowidzów, by to zobaczyli.

- W przeciwnym razie z pewnością byście to zrobili. - Baralis skierował swe myśli na inny tor. Miał już dosyć przerzucania się docinkami, a do tego zaczynało mu brakować czasu.

- Powiedzcie, co wam wiadomo o planach Highwall.

- Te plany układa teraz kto inny. Żołnierze nie opuszczą miasta, dopóki ślub nie zostanie zawarty.

- Dlaczego mieliby czekać?

- Dlatego, że ten, kto płaci, również wymaga.

Tavalisk. Przygotowania wojenne finansował podstępny arcybiskup Rornu. Co jednak przyjdzie mu z

czekania? Baralis poczuł, że słabnie. Czuł zew wypełniającej jego ciało krwi.

- Tak szybko nas opuszczasz, Baralisie? - zadrwił najmłodszy z kapłanów.

- Mamy dla ciebie propozycję - rzekł najstarszy. - Jeśli wytropisz, a potem zlikwidujesz rycerza i chłopca, pokierujemy ruchami twoich armii.

Słowa „Zgadzam się” dobiegły z odległości tysięcy mil. Baralis uległ wreszcie zewowi ciała.

\*

Jack poczuł, że włoski na karku jeżą mu się jak u psa. Powietrze było chłodne i wilgotne, a do tego wiał lekki wietrzyk, nic jednak nie tłumaczyło tego wrażenia. To było tak, jakby przemknął nad nim złowrogi cień.

Otulił się ciasniej nowym płaszczem. Niebo ciemniało z każdą chwilą. Nadciągał

zmierzch. Stał przy wiodącym w góry trakcie i widział pod sobą cały Annis. Postanowił, że nie wróci do Stillfoxa. Ryzyko było zbyt duże. W mieście z pewnością roiło się od poszukujących go ludzi. Droga prowadząca do wioski, w której mieszkał zielarz, była często uczęszczana. Mogłoby go na niej rozpoznać ze sto osób. W gruncie rzeczy, idąc do Annisu, zachował się głupio. Stillfox mówił, że w całym mieście rozwieszono jego podobizny.

Nie. Całe szczęście, że tam nie poszedł. Naraziłby tylko zielarza. Choć ukrył przed nim prawdę o Melli, nie zasługiwał na to, by oskarżono go o zdradę. Jack nie wiedział, jaka kara grozi za ukrywanie osławionego zbrodniarza wojennego, potrafił się jednak domyślić, że w jej skład zapewne wchodziły tortury, a potem śmierć.

Ruszył przed siebie wąską, górską ścieżką. Choć wiedział, że postępuje właściwie, nie wracając do Stillfoxa, by się z nim pożegnać, czuł się z tego powodu nieswojo. Zielarz pomyśli, że opuścił go w przyływie gniewu, przysięgając, że nigdy już nie wróci. No cóż, takie jest życie, nieprawdaż? Składa się z nieporozumień, półprawd i wyrzutów sumienia.

Zacisnął usta w grymasie, który w blasku świec mógłby uchodzić za uśmiech.

Niekiedy, tylko niekiedy, człowiek miał szansę stłumić cichy, karcący głos sumienia.

Nim poznał prawdę o Melli, przez całe miesiące dręczył się myślą o tym, co spotkało ją w kurniku. Gdyby tylko jej nie opuścił. Gdyby silniej opierał się Rovasowi. Gdyby Halcusowie pojмали je zamiast niej. Teraz otrzymał drugą szansę. Melli groziło niebezpieczeństwo i tym razem nie opuści jej w potrzebie.

Stillfox zataił przed nim wieści o jej losie, wiedząc doskonale, że Jack będzie chciał

jej pomóc. Być może potrafi się domyślić, dlaczego do niego nie wrócił. Nie był przecież głupi.

Zza chmur wynurzył się księżyc. Przygasły ostatnie resztki dziennego światła.

Staruszka, którą spotkał rano, powiedziała mu, że do Brenu prowadzą dwie drogi. Trakt Diuka był szeroki i wykuty w skale. Zwężał się jedynie w wąwozach. Ową wspaniałą drogą wędrowali żołnierze, posłańcy i kupcy. Jeśli jednak szukał bardziej dyskretnej trasy, którą można podróżować jedynie latem i wczesną jesienią, wąskiej i krętej drogi, dłuższej o dobre trzydzieści mil, powinien wybrać Starą Kozią Ścieżkę. Kobieta mówiła, że korzystają z niej jedynie szpiedzy i pasterze kóz. Gdy Jack nagroził ją trójkątem sera, pocałowała go w policzek ustami suchymi jak papier.

Przez cały dzień zobaczył tylko jednego pasterza. Ten przyjrzał mu się podejrzliwie i Jack domyślił się, że wziął go za szpiega. Ogarnął go lekko figlarny nastrój i ostentacyjnie policzył wszystkie kozy, z taką powagą, jakby byli to nieprzyjacielscy żołnierze. Mężczyzna podszedł do niego z dziwnie skrepowaną miną.

- Czy liczysz dla Annisu, czy dla Brenu? - zapytał.

- Dla żadnego z nich - odparł Jack, który szybko się zorientował, że otwiera się przed nim szansa zysku. - Liczę tylko dla Highwall.

Pasterz zachowywał się tak, jakby potwierdziło to jego podejrzenia. Skinął głową z mądrą miną i wciągnął policzki.

- Highwall - powtórzył. - Rozumiem. - Popatrzył na kozy, spojrzął na Jacka, wbił

wzrok w odległy horyzont i zaczerpnął głęboko tchu. - A co byś chciał za to, żeby zmniejszyć ich liczbę o połowę? - zapytał.

Chłopak wiedział już, czego zażądać. Wskazał na płaszcz z surowej wełny, który pasterz miał na grzbiecie.

- Czy masz drugi, lepszy, który zakładasz w święta?

Pasterz, który cuchnął kozim łajnem, kozim serem i kozami, uniósł dłoń do twarzy i podrapał się w podbródek.

- A więc zadowolisz się moim najlepszym płaszczem? - zapytał z dziwną mieszaniną podejrzliwości i ulgi w głosie.

- Nie. Chcę dostać ten, który masz na sobie.

- Ten stary łach jest sztywny od koziego łajna - ostrzegł go pasterz.

Jack zacisnął zęby, by nie parsknąć głośnym śmiechem.

- Wystarczy mi - oznajmił po chwili. Wszystko było lepsze od zamrażnięcia w cieniu góry. Lato mogło się już zacząć, lecz z nastaniem nocy pory roku nic nie znaczyły. Ubrany tylko w lekką bluzę i koszulę, nie będzie miał szans na przetrwanie. Kusiło go, by zabrać pasterzowi również buty. Uczyniłby to, gdyby nie fakt, że z pewnością by na niego nie pasowały.

Pasterz wręczył mu płaszcz.

- I ile kóz mam teraz? - zapytał.

Jack naliczył czterdzieści.

- Tak mało, że nie warto o tobie wspominać w raporcie.

Przyjął płaszcz, który nie cuchnął tak paskudnie, jak się tego obawiał.

Mężczyzna skinął głową z aprobatą.

- Moja żona będzie ci wdzięczna za to, że uwolniłeś mnie od tego starego łacha. Już od lat namawiała mnie, żebym się go pozbył.

- Powiedz jej, że musi dziękować Highwall, nie mnie.

Jack ukłonił się pasterzowi i ruszył w dalszą drogę, ściskając mocno w ręku zdobyczny płaszcz.

Borcu! Jakże się teraz cieszył, że go ma. Gdy tylko pojawił się księżyc, lato całkowicie dało za wygraną. Ten sam wietrzyk, który wiał przez cały dzień, zrobił się nagle złośliwy i przenikał aż do kości. Jack zwolnił tempo, zatrzymując się co kilka kroków, by rzucić spojrzenie na obie strony ścieżki. Czas już, by znalazł jakieś miejsce, w którym będzie mógł się przespać.

Dzięki Cechowi Mistrzów Piekarskich miał zapasy żywności wystarczające na kilka dni, a gdyby nawet się wyczerpały, zawsze mógł liczyć na to, że wyłudzi ser od kolejnego naiwnego pasterza. Uśmiechnął się na myśl o tym, że ten, którego spotkał, wrócił do żony bez płaszcza. Rovas nauczył go nie tylko samoobrony. Najwyraźniej Jack przejął też od niego trochę sprytu.

Jego wzrok przyciągnęła sterta kamieni. Dzisiaj nic lepszego już nie znajdzie. Zszedł

ze ścieżki i ruszył w stronę głazów. Wiatr dał od gór i tym razem niósł ze sobą deszcz. Na twarz Jacka padło kilka kropli, a potem jeszcze kilka. Nim zdążył się zorientować, otoczyła go nawałnica. Pognał ku kamieniom, przyciskając płaszcz do piersi.

Głazy tworzyły obręcz, otaczającą zagłębienie gruntu. Kotlinka dobrze chroniła przed wiatrem, lecz podczas deszczu była tylko czekającą na wypełnienie misą. Jack spojrział na niebo. Pomiędzy łąwicami chmur wciąż było widać księżyc, co znaczyło, że deszcz zapewne będzie przelotny. Postanowił, że zaryzykuje przeczekanie nocy w zagłębieniu. Na lewo od głazów rosło kilka młodych drzewek. Jack wziął w rękę nóż, naciął naręczę gałęzi i rozłożył

je między kamieniami. Dzięki temu nie będzie musiał leżeć na mokrej ziemi. Uciął jeszcze kilka, po czym położył się, przykrywając się nimi. Nie jest tak źle, pomyślał, moszcząc się wśród wonnych, letnich liści.

Natychmiast ogarnęła go senność. Ostatnie dwa dni były bardzo męczące. Staruszka mówiła, że wędrówka do Brenu Starą Kozią Ścieżką trwa z górą tydzień. No cóż, może zajmie mu to trochę

czasu i niewykluczone, że jego stopy nigdy mu tego nie wybaczą, lecz tak czy inaczej dotrze do Melli. Z tą dodającą otuchy myślą, Jack zapadł w sen. Nic mu się nie śniło. Deszcz szemrał cicho jeszcze przez chwilę, po czym stopniowo ucichł.

Melli policzyła tygodnie, które minęły od dnia ślubu. Jedenaście. Czy to możliwe, by upłynęło już tak wiele czasu? Znaczyło to, że jest w trzecim miesiącu ciąży. Dotknęła dłońmi brzucha, by sprawdzić, czy zaczął się powiększać. Nic z tych rzeczy. No, może przytyła trochę w talii.

Rankiem Kosiarz wrócił ze złodziejskiej wyprawy z kilkoma nowymi sukniami. Melli zaalarmował ich rozmiar. Były wielkie i luźne, jak kapłańskie sutanny, nie wspominając już o fakcie, że wszystkie były w różnych odcieniach czerwieni. Po chłóście w Duvitt Melli nabrała silnej niechęci do tego koloru, a po ślubie, który również brała w czerwonej sukni, owa odraza wzmogła się jeszcze. Kosiarz jednak uwielbiał czerwień i wszystko, co jej przynosił -

sakiewki, kwiaty, wstążki - było szkarłatne, rubinowe lub karmazynowe. Nie miała serca, by mu powiedzieć, że woli kolor niebieski.

Wszyscy byli dla niej bardzo dobrzy. Bodger i Grift zmuszali ją do spożywania słodyczy i innych smakołyków niczym para niezamężnych ciotek, Kosiarz obsypywał ją prezentami jak nadgorliwy zalotnik, a Maybor zaglądał do niej co godzina niby niańka. Tawl jednak zachowywał się inaczej. On jeden zostawiał jej odrobinę swobody. Och, zawsze był na miejscu, siedział za drzwiami na ławeczce w oknie wykuszowym, lecz nigdy nie przeszkadzał

jej myśleć ani nie odbierał wolnego czasu.

Często słyszała za drzwiami jego kroki. Wiedziała, że nasłuchuje. Nie potrafiła określić, co wówczas czuła: bezpieczeństwo, pewność, lecz również coś więcej. Znacznie więcej. Tawl był gotów oddać za nią życie. Była tego tak samo pewna, jak własnego imienia.

Na tym jednak nie koniec. Całymi dniami strzegł jej drzwi, a noce przesypiał pod nimi.

Wierność nie pozwalała mu odejść, lecz to miłość kazała mu podchodzić na palcach do drzwi i słuchać jej płaczu.

Ta właśnie skromna, niewypowiedziana miłość pozwalała jej przetrwać kolejne dni.

Pewnego razu, przed blisko dwoma tygodniami, Tawl opuścił kryjówkę, nie informując jej o tym. Melli wyszła z pokoju, by go o coś zapytać. Gdy zobaczyła, że go nie ma, serce zabiło jej jak szalone. Tawl zawsze był na miejscu. Poprzysiągł, że nigdy jej nie opuści. Przez jedną, straszliwą chwilę sądziła, że złamał przysięgę. Nikt nie wiedział, dokąd się udał. Kosiarza również nie było. Melli ogarnęła panika. Bez Tawla była bezbronna, sama w świecie, który pragnął jej zguby. Potem wrócił. Drzwi frontowe się otworzyły, Tawl wszedł

do środka i natychmiast wyczytał wszystko z jej twarzy. Powiedział tylko:

- Nigdy już cię nie opuszczę.

Zawsze był rycerski.

Gdy Melli usłyszała te słowa, po jej plecach przebiegł dreszcz. W głębi duszy wiedziała, że nie zdoła dotrzymać obietnicy.

Co dziwne, owo przeczucie dodało jej siłę, pozwoliło skupić myśli na sobie. Zawsze była silna, lecz odkąd zamordowano diuka z jakiegoś powodu przestała polegać na sobie.

Tawl całkowicie przejął kontrolę nad jej życiem, a ona mu na to pozwoliła. Od owego dnia zaczęła powoli odzyskiwać panowanie nad sytuacją. Przeczucie mówiło jej, że ją opuści i postanowiła przygotować się na to. Musiała być silna ze względu na dziecko.

Kochał ją. Zdała sobie z tego sprawę w dzień ślubu z diukiem. W pewien sposób wykorzystwała tę miłość. Niosła jej ona pociechę w czasie chaosu. Przez długie tygodnie po ślubie jej życie było posępnym, niejasnym snem i to cicha siła Tawla pozwoliła jej przetrwać ten okres. Jego kroki pod drzwiami, jego spokojna rozważa, a nade wszystko świadomość, że to on trzyma rękę na pulsie wydarzeń, przywracały jej spokój ducha podczas długich godzin żałoby.

Ktoś zapukał cicho do drzwi.

- Melli, nie śpisz?

To był Tawl.

- Wejdz. Nie śpię. Czuwam i mam mdłości jak pies.

Wszedł do pokoju z uśmiechem na ustach.

- Przynieść miskę?

Miska stała się przekleństwem jej życia. Podążała za nią wszędzie, gotowa do użytku.

- Nie. Na razie chyba nie będę wymiotować.

Podszedł do niej, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Wiesz, że dziś Catherine wychodzi za Kylocka.

Skinęła głową.

- Wiem.

Nie chciała o tym myśleć. To małżeństwo nic dla niej nie znaczyło.

- Ma to też dobre strony - ciągnął cicho Tawl. - Baralis był przez ostatnie dziesięć dni tak zajęty przygotowaniem, że nie miał właściwie czasu nas szukać. Na ulicach było spokojnie.

- Za spokojnie, jak na miasto, którego ukochana władczyni zawiera dziś ślub.



Tawl zaczerpnął szybko tchu.

- Wiesz, że powinniśmy stąd zniknąć. Dziś w nocy Kosiarz odkrył wrota śluzy, biegnące pod murem. Mówił, że po obu stronach jest tam tylko dwóch wartowników. Z

łatwością mógłbym ich załatwić.

- Nie. Nie czuję się jeszcze gotowa opuścić miasta. Sam powiedziałaś, że na razie jesteśmy bezpieczni. - Odwróciła się do niego plecami. - Nie wiem, czy dałabym sobie radę, gdyby ścigali nas gwardziści. Nie zdołam biec. Jak tylko wstaję z krzesła, dostaję nudności.

Zdrowie dziecka jest zbyt ważne, żeby je narażać. Grift mówi, że kiedy skończy się trzeci miesiąc, będę mogła podróżować bezpiecznie.

- A co z ryzykiem, które grozi ci tutaj? - zapytał Tawl. Złapał ją za ramiona i odwrócił

twarzą do siebie. - Jeśli pomyślą, że opuściliśmy miasto, przestaną nas poszukiwać...

- Czyżby? - przerwała mu ostrym tonem Melli. - Teraz, gdy mój ojciec wypaplał w pełnej pijaków gospodzie, że jestem w ciąży, ile czasu twoim zdaniem upłynie, nim Baralis zarządzi pościg?

- W Annisie i Highwall Baralis nie ma żadnej władzy. Moglibyśmy uciec do któregoś z tych miast. Jeśli będziemy zwlekać zbyt długo, cała północ przerodzi się w jedno wielkie pole bitwy.

- W takim razie sam uciekaj - rzuciła Melli, ogarnięta nagłym gniewem. - W tej chwili szukają ciebie, nie mnie. Połowa miasta nadal jest przekonana, że to ty zamordowałaś diuka. -

Gdy tylko słowa te wyrwały się z jej ust, pożałowała tego. Pochyliła głowę. - Przepraszam, Tawl. Nie wiem, co wygaduję. Cięża odbiera mi rozum.

Chciała rzec coś jeszcze, powiedzieć mu, że czuje głęboką pewność, iż nigdy jej nie opuści, i że to właśnie owo uczucie wycisnęło brutalne słowa z jej ust.

Tawl wsunął palec wskazujący pod podbródek dziewczyny i uniósł go, by spojrzeć jej w twarz.

- Melli - powiedział, przeszywając ją spojrzeniem niebieskich oczu. - Uczyniłbym wszystko, by zapewnić ci bezpieczeństwo, i gdybym choć przez chwilę pomyślał, że moja obecność stanowi dla ciebie zagrożenie, zniknąłbym stąd, nim zdążyłabyś zaczerpnąć tchu.

W jego głosie pobrzmiwały silne emocje. Tuż pod powierzchnią ukrywał coś mrocznego i pełnego bólu. Zdała sobie sprawę, jak mało o nim wie. Nigdy nie opowiadał o sobie ani o swej przeszłości. Wiedziała tylko, że opuścił rycerstwo, a w zeszłym tygodniu, podczas Święta Pierwszego Cudu Borca, dostrzegła, jak wielki ból mu to sprawiło. Ten czyn kosztował go duszę. Całą resztę otaczała jednak tajemnica: jego rodzinę, pochodzenie, plany na przyszłość. Dzień i noc pełnił straż pod jej drzwiami, lecz gdy przekraczał jej próg, nie mówił o sobie nic.

Podeszła do Tawla, który uniósł ramiona i przytulił ją do piersi. Oparła się o niego, czując potężne

bicie jego serca. Miała ochotę błagać go, by nigdy jej nie opuszczał bez względu na to, czy będzie to leżało w interesie jej i dziecka; coś jednak - być może duma, a być może instykt - nie pozwoliło jej ubrać tej myśli w słowa.

\*

Gdy Jack wszedł na teren miasta Bren, było popołudnie. By dotrzeć tu Starą Kozią Ścieżką potrzebował dziesięciu dni forsownego marszu. Pogoda mu sprzyjała. Najgorsze, z czym miał do czynienia, to odrobina deszczu, dokuczliwy wiatr i gwałtownie spadająca nocą temperatura. Rzecz jasna, sama wędrówka okazała się znacznie bardziej uciążliwa. Miał na stopach więcej pęcherzy niż cała armia cierpiących na platfusa piechurów. Takie przynajmniej odnosił wrażenie.

Zapasy żywności skończyły mu się przed trzema dniami i czuł ogromną ochotę coś zjeść. Właściwie to już przechodząc przez południowo-zachodnią bramę Brenu, snuł plany zdobycia jakiegoś posiłku. Z pewnością nie napotka tu żadnych naiwnych pasterzy kóz.

Będzie musiał kogoś obrabować. Po trzydniowym poście było mu właściwie wszystko jedno kogo. Zapewne będzie to pierwszy napotkany człowiek niosący gorący pasztecik.

Wielkość miasta zaparła mu dech w piersiach. Były tu budynki wzniesione z kamienia, cegły i drewna, czasami nawet dwupiętrowe. Szerokie ulice, których większość pokrywały kamienne płyty albo bruk. Wzdłuż nich zbudowano opierające się o siebie sklepy, gospody i magazyny. Wszystkie starały się przyciągnąć uwagę przechodniów jaskrawymi szyldami i figurami, które umieszczano nad drzwiami. Nad wszystkim jednak górował mur.

Dominował nad miastem, znacznie wyższy niż budynki. Jego długi cień padał na wschód.

Jack nigdy w życiu nie widział nic podobnego. W porównaniu z nim mury Annisu wyglądały jak sterta nagich kamieni.

Stillfox mówił, że wojska Annisu i Highwall zamierzają oblegać Bren. Jack obrzucił

blanki pełnym podziwu spojrzeniem. Chciałby zobaczyć armię, która spróbuje zrobić wyłom w tych murach.

Ruszył na obchód miasta w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Było tu znacznie spokojniej niż się spodziewał. Zrobiło się już późno, straganiarze zwijali więc kramy, a sklepikarze zamykali okiennice. Ludzie, którzy przebywali jeszcze na ulicach, sprawiali wrażenie dziwnie przygnębionych. Nie widziało się hałaśliwych pijaków, dzieci uganiających się za świniami ani grup plotkujących staruszek. Nawet żebracy zachowywali się cicho.

Podszedł do starzejącego się straganiarza, który ładował nie sprzedane towary na grzbiet muła. Kosze pełne miał jabłek, nie bułek, Jack postanowił jednak podjąć próbę.

Mężczyzna miał sympatyczną twarz.

- Czy mogę ci pomóc z tymi koszami? - zapytał.

Handlarz obejrzał go od stóp do głowy.

- Proszę bardzo, młody człowieku, ale dostaniesz w nagrodę tylko kwaśne owoce. -

Wskazał na kosze, które trzeba było podnieść. - Sądząc po akcencie, przybyłeś tu na wojnę.

Ludzie napływają do nas ze wszystkich stron, w nadziei, że będą mieli okazję spróbować sił w walce z armią Highwall.

Jack potrząsnął głową.

- Nie, nie chodzi mi o wojnę.

Zaczął ładować kosze na mula. Były cięższe niż się tego spodziewał. Zastanawiał się, jak staruszek radzi sobie z nimi codziennie.

- W żaden inny dzień nie potrzebowałbym twojej pomocy - odezwał się handlarz, jakby czytał w jego myślach. - Ruch był dzisiaj wyjątkowo kiepski. Zostało mi tyle jabłek, że grzbiet mojego biednego muła może tego nie wytrzymać.

Jack obawiał się tego samego. Z pewnością rano owoce musiał dostarczać ktoś inny, gdyż muł nie sprawiał wrażenia zdolnego poradzić sobie z tym zadaniem.

- Czyli że normalnie sprzedajesz wszystkie?

- Ehe. Ale nie dzisiaj. - Staruszek splunął ze złością. - Jeszcze nie miałem takiego dnia. Zupełnie jakby całe miasto przywdziało żałobę.

Jack poczuł gwałtowny ucisk w żołądku.

- Dlaczego? Co takiego się stało?

Straganiarz spojrział na Jacka jak na obłąkanego.

- Gdzie się podziewałeś przez ostatnie miesiące, chłopcze? Siedziałeś schowany pod kamieniem? Dziś Catherine wychodzi za króla Kylocka. - Uniósł wzrok ku intensywnie błękitnemu niebu. - Jeśli się nie mylę, ceremonia powinna już dobiegać końca.

Jak na sygnał, w oddali zabrzmiał dzwon, który oddzwonił trzy poważne nuty. Serce Jacka zabiło szybciej na ten dźwięk, zupełnie jakby przeznaczony był tylko dla jego uszu.

Zamarł w bezruchu, trzymając w ręku kosz. Nie mógł poruszyć żadnym mięśniem ani nawet zaczerpnąć oddechu. Słuchał zwiastujących przeznaczenie Kylocka dzwonów. Ich głos był

silny i czysty, wypełniał swą wibracją całe miasto. Nawet mury wpadły w rezonans. Dźwięk brzmiał dla duszy chłopaka jak wiadomość, ostrzeżenie, uderzenie miecza. Od chwili, gdy obudziwszy się w

chacie Stillfoxa, ujrzał wizję wojny, wiedział, że jego przeznaczeniem jest stać się przeciwnikiem Kylocka. A dźwięk dzwonów oznajmiał początek walki.

Kosz wypadł mu z dłoni i jabłka potoczyły się po ziemi. Znalazł się we właściwym miejscu i chwila też była odpowiednia. Słyszał zew Brenu już od dawna, a teraz, gdy wreszcie tu przybył, nie było przypadkiem, że zastał w mieście Kylocka, Baralisa i Melli.

Wtem odezwały się setki różnych dzwonów, zupełnie jakby sam gród chciał

potwierdzić myśli Jacka. Wszystkie kaplice w mieście oznajmiały zawarcie ślubu, a każda z nich starała się przelicytować poprzednią. Wygrywały wysokie i niskie tony, lecz nie znalazłoby się między nimi choćby dwóch, które biłyby takim samym rytmem.

\*

Uczta weselna była dla Kylocka torturą. Dotykały go niezliczone setki ludzi, którzy wyciągali dłonie do uściśnięcia, nadstawiali policzki do ucałowania i wznosili kielichy, by spełnić z nim toast. Pobrudzili całe jego ciało swą śliną i potem. Małeńkie fragmenty ich skóry przywarły mu do rękawów, a jego płuca wypełniał ich oddech. Miał ochotę spalić wszystkich tych ludzi, by odpłacić im za te cierpienia.

Nie robi tego jednak. Podjął grę. Okazywał dworskie maniery, uśmiechał się i kłaniał

z nienaganną uprzejmością. Obiecywał stanowiska, apanaże i awanse tym, którzy się liczyli, a ledwie raczył zauważyć tych, którzy nie mieli znaczenia.

Wszystko to pomagała mu przetrwać jedna myśl: dziś w nocy Catherine będzie należała do niego. Jedno spojrzenie na nią wystarczało, by go uspokoić. Twarz miała bladą i pogodną, a oczy niebieskie i czyste. Była aniołem, którego stworzono tylko dla niego. Jedyłą częścią jego ciała, która pozostała nieskalana, były koniuszki palców, albowiem ucałowała je przed wyjściem z komnaty.

Ruszyli w górę, do swej sypialni. Trzymający lampy służący schodzili im z drogi, a dworzanie obserwowali ich cicho z dołu. Na górze czekał Baralis. Gdy Kylock pochylił

głowę, w oczach kanclerza pojawił się błysk ostrzeżenia. Młody monarcha nie zwrócił na to uwagi. Wyciągnął rękę, pozwalając, by poślubiona przed chwilą żona położyła na niej dłoń.

- Dostojny panie kanclerzu, dobrze spełniłeś swój obowiązek - rzekł. - Twoja obecność nie będzie nam już dziś potrzebna.

Poczuł, że stojąca obok niego Catherine zadrżała. Jej pierś otarła się delikatnie o jego ramię.

- Jak sobie życzysz, panie - wyszeptał Baralis, gdy przechodzili obok niego.

Gdy dotarli do komnat dla szlachty, otwarto dwuskrzydłowe drzwi i na spotkanie wybiegła im uderzająca do głowy woń róż - Zabierz stąd te kwiaty. Natychmiast! - rozkazał

Kylock jednemu z trzymających drzwi służących.

Sługa zerwał się do biegu, by wykonać rozkaz. Kylock wprowadził Catherine do środka. Rozejrzał się uważnie, zauważając wszystkie szczegóły. Świetnie. W rogu stała pełna gorącej wody wanna, z której buchała para.

- Zasłoń tę wannę - rozkazał słudze, którego ręce były teraz pełne róż. Mężczyzna przekazał swe brzemie jednemu z towarzyszy i zaczął rozsuwać stojący pod ścianą parawan.

Gdy uporał się z tym zadaniem, Kylock rozkazał sługom odejść. Stał u boku Catherine, dopóki drzwi nie zamknęły się za odchodzącymi, po czym zwrócił się ku świeżo poślubionej żonie. W blasku ognia wyglądała promiennie. Była teraz kimś więcej niż aniołem. Boginią. Złote włosy lśniły niczym aureola, a skórę miała gładką jak u posągu. Była uosobieniem świętości i nie było nic dziwnego w tym, że ukląkł u jej stóp.

\*

Gdy Kylock się zbliżył, Catherine poruszyła się nerwowo. Dotknęła dłonią piersi.

Spoglądając na niego z góry, zauważyła ze zdumieniem, że unosi obrąbek jej sukni. Nie potrafiła powstrzymać drżenia. Był bardzo poważny i skupiony, zupełnie jak opętany.

Wyciągnął jeszcze bardziej szyję i ucałował jej atlasowe ślubne pantofelki. Nawet przez tkaninę poczuła chłodny dotyk jego ust.

Jakaś część jej jaźni poczuła się podekscytowana tym gestem - król padł przed nią na kolana - inna część wiedziała jednak, że coś tu nie jest w porządku. Nie wiedziała, co robić.

Kylock był nieznanym, tajemniczym człowiekiem, który wyraźnie był zdecydowany oddawać jej cześć. Zaniepokojona, cofnęła się o krok.

Wydawało się, że zdjęła w ten sposób czar. Kylock uniósł głowę. Potrzebował

dłuższej chwili, by skupić wzrok. Na jego wargach pojawiły się ślady śliny.

- Ukochana - szepnął tak cicho, że musiała wyteżać słuch, by go dosłyszeć. - Wręcz nie potrafię uwierzyć, że niedługo będziesz moja.

- Dlaczego niedługo? - zapytała. - Dlaczego nie miałbyś osiąść mnie natychmiast?

Sięgnęła ręką za plecy i pociągnęła za sznurówki sukni. Chciała stanąć przed nim naga. Nie pragnęła budzić czci, lecz pożądanie.

Kylock uniósł dłoń.

- Nie teraz, kochanie. Nie w ten sposób. - W jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

Catherine wypuściła sznurówki z palców. - Muszę się najpierw przygotować - dodał

usatysfakcjonowany tym Kylock, wskazując na parawan.

Ukryła rozczarowanie. Miała nadzieję, że Kylock będzie podobny do Blayze'a: niezdolny się jej oprzeć.

- Jak sobie życzysz, mój panie - rzekła ze wzruszeniem ramion. Odwróciła się do niego plecami i podeszła do toaletki. - Jeśli ty chcesz się przygotować, ja również to uczynię.

Nim zdążyła nalać sobie kielich wina, Kylock zniknął już za parawanem. Odetchnęła głęboko z ulgą i jednym haustem przełknęła trunk.

No cóż, było oczywiste, że by przyciągnąć jego zainteresowanie, będzie potrzeba trochę więcej wysiłku. Nie ulegało wątpliwości, że nie jest Blayze'em.

Spojrzała w zwierciadło. Własna uroda nigdy nie przestawała jej zachwycać.

Wyciągnęła powoli szpilki z włosów, napawając się widokiem opadania każdego złotego loku. Potem zwróciła się w stronę pudrera z kosmetykami i zanurzyła w nim dwa palce, żeby zaczerpnąć trochę różu. Celowo nie używała w obecności Kylocka żadnych kosmetyków, sądząc, że woli naturalną urodę kobiet. Teraz jednak wyglądało na to, że nie obędzie się bez pomocy. Nie pozwoli, żeby traktował ją jak świętą relikwię, którą otacza się czcią. Była kobietą i czuła kobiece potrzeby. Kiedy wyjdzie z wanny, zobaczy ją taką, jaka jest w istocie.

Podczas bankietu nie mogła nic pić ani jeść. Jej żołądek skurczył się z powodu podniecenia wywołanego nadchodzącą nocą poślubną. Minęło wiele miesięcy, odkąd ostatnio była z mężczyzną. Brakowało jej gwałtownego, a zarazem delikatnego uniesienia, jakie dawała namiętność. Kylock był ciemnowłosy i przystojny. Kąciki zastygłych w grymasie okrucieństwa ust miał opuszczone, a głęboko osadzone oczy przesłonięte gęstymi rzęsami.

Catherine była pewna, że podczas aktu miłosnego będzie się zachowywał agresywnie, a nawet brutalnie. A teraz, gdy w końcu znaleźli się sam na sam, postanowił najpierw się wykapać!

Z uśmiechem na ustach nalała sobie kolejny kielich wina. Kiedy wyjdzie zza parawanu, stopy będą ostatnią częścią jej ciała, którą zapagnie całować. Dopilnuje tego.

Wtarła sobie róż w policzki, a potem w wargi, zmieniając ich kolor z blad różowego na krwawoczerwony. Kiedy skończyła, ujęła puchar w dłonie. Wino nie było rozcieńczone i szybko uderzyło jej do głowy. Poczula się od niego przewrotna i występna. Od stuleci powiadano, że breńskie kobiety są jak grzejące się kotki. Nie było sensu próbować temu zaprzeczać.

Catherine czuła się coraz weselsza. Pociągnęła za sznurki gorsecika. Gdy ten się rozchylił, dziewczyna spojrzała w zwierciadło, by podziwiać krzywiznę swych piersi. Nagle ją olśniło. Wtarła sobie róż w oba sutki.

Tak jest, pomyślała pochylając się bliżej, by przyjrzeć się swemu dziełu. Blayze byłby zachwycony!

Co teraz? Catherine złapała słoiczek wonnego olejku i zaczęła wcierać go w skórę za uszami, w kark i w każde miejsce, które przyszło jej do głowy. Skończywszy toaletę, wyteżyła słuch, chcąc usłyszeć za parawanem charakterystyczne dźwięki, które powiedziałyby jej, że mąż jest już gotowy. Z początku nie słyszała nic, potem jednak jej uszu dobiegł plusk wody... i coś jeszcze. Nie wiedziała, co to takiego. Zsunęła z siebie halkę i pończochy, po czym podeszła do zasłony. Bez pasa cnoty czuła się dziwnie lekka, jakby nie była sobą. Dziś rano Bailor wręczył jej klucz i cały dzień chodziła bez tego straszliwego urządzenia. Było jej go niemal brak. Uciskało i ocierało jej skórę, co stało się dla niej źródłem swego rodzaju subtelnej przyjemności.

Stała za parawanem. Chcąc odgarnąć opadający na czoło kosmyk włosów, zauważyła, że koniuszki palców nadal ma zabrudzone różem. Naga podeszła do pobliskiego gobelinu, by wytrzeć o niego ręce, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili. Głęboko w jej gardle zrodził się pełen zachwytu chichot. Zamiast wytrzeć barwnik o gobelin, wtarła go sobie we włosy łonowe, które utraciły barwę blond, przybierając kolor zaróżowionych policzków. Przygryzła wargę. Miała ochotę roześmiać się głośno na ten widok.

Dobiegające zza parawanu ciche odgłosy szorowania położyły kres jej rozbawieniu.

Było w nich coś niepokojącego. Mężczyzna, który miał spędzić noc poślubną ze swą nową żoną, poświęcał całą godzinę na kąpiel. Catherine poczuła przebiegające jej po plecach zimne ciarki. To nie było normalne zachowanie.

Podkraśla się do końca parawanu i powoli wysunęła zza niego głowę.

Z wanny wypełnionej wodą tak gorącą, że poparzyłaby większość ludzi, buchała para.

Kylock siedział zwrócony plecami do Catherine. Wzdłuż jego boków przebiegały czerwone zadrapania. Z niektórych nie opadły jeszcze strupki. Pochylał się do przodu, wbijając wzrok w coś, co miał przed sobą. Catherine nie widziała, co to takiego. Wychyliła się trochę bardziej i ujrzała, czym jest zajęty. Szorował dłonie drewnianą szczoteczką, poruszając nią tak szybko, że wyglądała jak zamazana plama.

Catherine przyglądała się temu przez chwilę. Chyba przestanie, nim zetrze ciało do kości, pomyślała. Nie uczynił tego jednak. Szorował się ze straszliwą, ślepą determinacją, zupełnie jakby nic innego nie miało znaczenia.

Gdy oderwała wzrok od jego dłoni, przenosząc go na policzek, zauważyła, że Kylock porusza szczękami. Nie widziała jego warg ani nie słyszała słów, lecz mięśnie policzka nie przestawały się napinać, a szczęka to opadała, to znowu się podnosiła.

Cofnęła się za parawan. Zobaczyła już wystarczająco wiele. Widok mamroczącego do siebie, zdzierającego skórę z dłoni Kylocka całkowicie odmienił jej nastrój. Z jej nowym mężem coś było bardzo nie w porządku. Sprawiał wrażenie nie w pełni zdrowego na umyśle.

Potrząsnęła głową. Nie. Nie pozwoli sobie na podobne myśli. Ostatecznie nie dalej jak przedwczoraj Kylock dowiedział się o śmierci matki. Mówił o tym każdy w Brenie.

Według wszystkich relacji zginęła straszliwą śmiercią z rąk halcuskich maruderów.

Zgwałcono ją i poćwiartowano, a ciało owinięto w anniski sztandar. Nic dziwnego, że Kylock zachowywał się dziwnie. Ta wiadomość musiała być dla niego wielkim ciosem. W ciągu niespełna roku stracił oboje rodziców. Catherine wiedziała, jak trudno jest znieść podobną utratę. Nie. Jej mąż nie wpadł w szal ani nie był obłąkany. Po prostu nie potrafił sobie poradzić z żałobą.

Po dojściu do tego wniosku Catherine poczuła się znacznie lepiej. Jej obowiązkiem jako żony było pomóc mężowi w tych trudnych chwilach. Wiedziała z doświadczenia, że gdy tylko Blayze niepokoił się o wynik czekającej go walki albo był zły na brata, nic nie pomagało mu zapomnieć o kłopotach skuteczniej niż noc wypełniona gorącą namiętnością.

Pogrążona w podobnych myślach, naląła sobie trzeci kielich wina.

- Kylocku, mój mężu, twoja żona ma już dość czekania - zawołała, pociągnawszy zdrowy łyk. Nasłuchiwała przez chwilę. Wreszcie za parawanem rozległ się plusk. Swym krzykiem wyrwała króla z transu.

Po raz ostatni przejrzała się w zwierciadle i uśmiechnęła się z zadowoleniem. To będzie wspaniała noc. Oczyma wyobraźni widziała już, jak Kylock po wielu godzinach wspaniałych miłosnych igraszek traci panowanie nad sobą i wybucha łzami w jej ramionach.

Najpierw jednak namiętność, a dopiero potem żałoba. Podeszła do łoża i zaczęła kolejno zdmuchiwać świece, aż wreszcie uznała, że jest już wystarczająco ciemno. W jednej dłoni trzymała kielich wina, w drugiej zaś słoiczek z wonnym olejkiem. Chichocząc, spryskała nim łożo. Gdy już poczuła się usatysfakcjonowana, dopiła wino i wsunęła się radośnie pod kołdrę.

Zza parawanu dobiegły podnoszące na duchu odgłosy kroków, wycierania się i ubierania.

Catherine zaczęła układać poduszki w stos, by oprzeć na nich szyję i plecy.

Wypróbowała kilka póz; wypięła pierś, rozprostowała ramiona, rozrzuciła włosy na poduszce niczym wachlarz. Nic z tego nie wydawało się jej odpowiednie. Gdy Kylock wreszcie wyjdzie z wanny, chciała go zachwycić i zaskoczyć. Sądząc ze wzmożonego ruchu za parawanem, nie pozostało jej wiele czasu na podjęcie decyzji. Gdyby tylko miała trochę jaśniej w głowie. Wypiła stanowczo zbyt wiele wina, znacznie więcej niż wypadało damie podczas nocy poślubnej. Z drugiej strony, trunek w cudowny sposób uwalniał ją od zahamowań.

Ssąc kciuk, wpadła wreszcie na pewien pomysł. Ułoży się dla niego pod kołdrą. Nad pościelą widoczna będzie tylko twarz, wyglądająca jak u skromnej dziewczycy, pod spodem zaś rozruci szeroko kończyny, gotowa na jego przyjęcie. Tak jest!

Z uśmiechem na twarzy, przykryła się kołdrą i - z lekką niecierpliwością - czekała na przyjście męża.

\*

Kylock nie był jeszcze tak czysty, jak zasługiwała na to Catherine. Choć jego matka od niedawna



leżała już w grobie, wciąż nie mógł się uwolnić od jej smrodu. Przenikał do niego z tej czeluści piekielnej, do której trafiła jej dusza: odór, skaza, grzech. Królowa Arinalda była dziwką i zginęła, jak dziwka. Nie pozwoli, by pociągnęła go za sobą. Dziś wreszcie się od niej uwolni. Sama śmierć żadną miarą nie mogła wystarczyć. Żeby pozbyć się ostatnich śladów jej żądy, potrzebował czystego uścisku Catherine.

Był bękartem i nic nie mogło tego zmienić, lecz związek z Catherine usunie tę zmazę.

W jej świętej macicy narodzi się na nowo.

Ogarnęła go niecierpliwość. Wytarł włosy, usuwając z nich resztki wilgoci. Na jego polecenie przygotowano czysty szlafrok, który leżał na stojącym w kącie krześle. Przesunął

po nim poparzonymi palcami. Był jedwabny. Świetnie.

Po niespełna minucie był już gotów pójść do żony. Czuł się zniecierpliwiony, podekscytowany, oddychał szybko i płytko. Wyszedł zza parawanu i rozejrzał się po komnacie. Wszystko się zmieniło: światło było słabsze, bardziej intymne, powietrze wypełniała mdląca woń perfum, a Catherine już nie stała. Leżała w łóżu i czekała na niego.

Kiedy się zbliżył, powitała go uśmiechem.

- Rzuciłeś dziś do mych stóp Halcus, panie, i jeszcze cię za to nie wynagrodziłam.

Kylock również zaczął się uśmiechać, nagle jednak zauważył, że Catherine także się zmieniła. Wargi i policzki miała wymalowane na czerwono. Jak tania dziwka. Poczł, że w skroni drga mu jakiś drobny mięsień. We wszystkich jego marzeniach o odrodzeniu Catherine nigdy tak nie wyglądała. Zbliżył się o krok. Woń perfum nasiliła się. Poczł zamaskowany nią inny zapach. Zapach wina. Cuchnęło tu jak w burdelu. Potrząsnął powoli głową. Nie tak to sobie wyobrażał.

Uśmiechnęła się do niego, bezwstydnie jak karczemna dziewczka.

- Chodź już, mężu - zażądała. - Twa żona pragnie cię wreszcie zadowolić.

Płonące za plecami Kylocka świece rzucały na łóże jego cień, który padł na Catherine.

- Jestem gotowa, mój panie - szepnęła, odrzucając kołdrę. - Weź mnie.

Kylock spojrzł na swą świeżo poślubioną żonę. Leżała na łóżu z rozchyłonymi nogami. Wygięła plecy ku górze, wysuwając biodra w jego stronę.

Świat nagle pociemniał. Nacisk, który czuł w skroni, rozszerzył się na czoło, przeradzając się w ciasną opaskę bólu. Oczy zaszły mu mgłą. Przestał oddychać. Jego ciało zeszywniało niczym deska, a wewnątrz czaszki narastało straszliwe ciśnienie. Coś uciskało mu mózg.

Catherine zbladła.

- Co się stało, panie? - zapytała.

Kylock czuł podchodzącą mu do gardła żółć. Spojrzał na nagie ciało Catherine. Sutki miała groteskowo jaskrawe, jeszcze czerwiejsze od warg.

Zaczerpnął głęboko tchu.

- Nie - wyszeptał. - Nie.

I wtedy ujrzał jej srom. Był wysmarowany tą samą ohydłą czerwienią. Przygotowała się jak ladacznica. Nie była niedoświadczoną, płonąącą rumieńcem dziewicą, lecz podłą, rozwiązłą dziwką.

Jak jego matka.

Coś w nim pękło. Wątła nić łącząca go z rzeczywistością zerwała się natychmiast.

Catherine krzyknęła. Uciszył ją ciosem w usta. Jej głowa zatoczyła się do tyłu na poduszkach.

Kylock skoczył na łóżko. Wszystko przesycił jej smród: okropny, mdlący odór rozkładu.

Musiał się od niego uwolnić. Wyciągnęła rękę i przeorała mu paznokciami policzek. Wezbrał

w nim straszliwy, mroczny gniew. Zacisnął dłoń na szyi żony. Z nosa pociekła jej krew.

Miała taki sam kolor, jak jej wargi, sutki i łono.

Uderzył mocno jej szyję o wezglowie łóżka. Coś złamało się z trzaskiem. Ciało Catherine zeszywniało na chwilę, a potem osunęło się na pościel. Kylock zwolnił uścisk i jej głowa opadła na poduszkę, nienaturalnie przekrzywiona. Krew pokrywała wezglowie i spływała po obu stronach poduszki.

Nacisk w głowie Kylocka stał się zbyt potężny, by zdołał go powstrzymać. Żołądek skurczył mu się gwałtownie, wywołując mdłości. Niedawno poślubiona żona leżała pod nim nieruchomo.

- Nie! - krzyknął.

Gdy to słowo wydarło się z jego ust, przyniosło ze sobą coś realnego, coś, co smakowało jak metal.

\*

Przebywający w swych komnatach Baralis nagle coś poczuł. Wcierał sobie właśnie olejek w dłonie, gdy załapała go fala ciepłego powietrza. Zamarł w bezruchu. Czary! Tutaj, w pałacu. Zerwał się z krzesła. Wszystkie włosy na jego ciele zjeżyły się na znak ostrzeżenia, wszystkie zmysły skupiły się na próbie odkrycia źródła. Osłaniająca oczy warstewka słonej cieczy natychmiast wyparowała, wskutek czego musiał mrugać raz za razem, by łzy znowu popłynęły. Język kanclerza opadł w głąb ust. Baralis wciągnął w płuca powietrze, a razem z nim posmak mocy. Wydawał mu się znany, a zarazem nieznan. Do pewnego stopnia znajomy, a jednocześnie całkowicie obcy.

To było coś nowego. Coś niebezpiecznego. Baralis poczuł strach.

- Crope! - zawołał. - Crope!

Czekając na przybycie sługi, spacerował po komnacie niczym pies, który zwęszył trop. Fale nadbiegały ze wschodu, co oznaczało komnaty dla szlachty...

- Borcu, nie - wymamrotał pod nosem.

Oznaczało to również sypialnię Catherine.

Crope wszedł do komnaty.

- Chodź ze mną - rozkazał Baralis, kierując się ku drzwiom. Czuł w żołądku zimny strach. Nie miał czasu do stracenia. Musiał się dowiedzieć, co się stało. Ruszył biegiem przez korytarze. Jego szata łopotała. Crope podążał tuż za nim. Z każdym krokiem fale czerpanej mocy stawały się silniejsze. Zaprowadziły go prosto pod drzwi Catherine. Kiedy się zbliżył, dwaj pełniący straż w korytarzu gwardziści skrzyżowali włócznie.

Nie miał czasu na rozmowy z nimi. Ukształtował przymus, który działał nasennie, a zarazem wywoływał urojenia. Głęboko zakorzeniony instynkt ostrzegł go, by nie wkładał w czar zbyt dużo z siebie. Borc jeden wiedział, co go czekało w środku. Twarze obu żołnierzy nie wyrażały żadnych uczuć, a mięśnie się rozluźniły. Crope złapał ich i opuścił delikatnie na podłogę.

- Świetnie - pochwalił go Baralis, kiwając głową. Potężny sługa stanął u jego boku i razem podeszli do drzwi.

Baralis nigdy w życiu tak się nie bał. Każda cząstka jego duszy ostrzegała go, że stało się tu coś strasznego. Zaczerpnął głęboko tchu i otworzył drzwi.

Pozostałość zaczerpnięcia mocy zalała jego ciało kolejnymi falami. Było ciemno, bardzo ciemno. Komnatę wypełniała woń egzotycznych wonności. Powietrze było przesycone wilgocią. Wszystko zamarło w bezruchu. Tylko w nogach łoża coś się ruszało. Kylock klęczał

na podłodze, wspierając dłonie na pościeli. Wydawało się, że coś głaszcze. Baralis nie chciał

tam podchodzić, nie chciał tego widzieć, nie chciał wiedzieć, co się wydarzyło. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma innego wyjścia. Był przede wszystkim człowiekiem, który kształtował losy świata, i musiał sobie radzić nie tylko z aktami stworzenia, lecz również z katastrofami.

Jeden krok naprzód wystarczył, by ujrzał nagie ciało Catherine. Leżała na stercie kołder i poduszek. Głowę miała odgiętą pod nieprawdopodobnym kątem, a poduszki po obu stronach jej twarzy zboczyła krew. Kylock klęczał nad nią. Mamrotał coś do siebie, głaszcząc delikatnie jej stopy.

Wezglowie zostało całkowicie zniszczone, nie spalone, lecz raczej rozbite. Wszystkie szklane i metalowe przedmioty w komnacie były gorące w dotyku. Niektóre nawet się świeciły. Powietrze

wypełniała przypominająca całun mgiełka pary wodnej.

Baralis rozpoznał oznaki nieukierunkowanego zaczerpnięcia mocy: gorący metal, para wodna, umiarkowane, chaotyczne zniszczenia. Mimo straszliwie silnie hamującego działania *ivysh*, Kylock zdołał zaczerpnąć mocy ze swego wnętrza. Było prymitywne i z pewnością niekontrolowane, z łatwością jednak wyczuwał czary. Baralis zadrżał. Jak potężny musi być człowiek, który mógł zaczerpnąć mocy z siłą wystarczającą, by wyrwać się spod wpływu *ivysh*? To nie powinno być możliwe. Niemniej gwałtowne emocje potrafiły wywierać niezwykle wpływ na ludzkie ciało i umysł.

Potrząsnął głową, starając się na razie zapomnieć o wszystkich możliwych implikacjach tego faktu. Nie mógł sobie w tej chwili pozwolić na to, by się nad nimi rozwodzić. Czekwały go pilniejsze zadania. Skinął na Crope'a, nakazując mu zamknąć drzwi, po czym podszedł do łóżka.

Kylock w żaden sposób nie zareagował na jego obecność. W dalszym ciągu głąskał stopy martwej żony.

Baralis wyciągnął rękę i koniuszkami palców dotknął szyi Catherine. Ciało już stygło.

Tętna nie było. Przesunął ręką po karku. Kręgosłup został złamany. Uniósł nieco dłoń i pomacał czaszkę od tyłu. Wyczuł pęknięcie u jej podstawy. Skinął lekko głową, cofnął rękę i wytarł krew o szatę.

Gdy spoglądał na zmarłą przed chwilą diuszese Brenu, w jego głowie zaczął się rodzić plan. Nim Baralis zdążył go ukształtować, dotarło do niego, że Catherine nie żyje. Minęła minuta, najwyżej dwie. Potem królewski kanclerz zwrócił się w stronę swego sługi i wydał

mu polecenia.

\*

Po godzinie był już gotowy. Crope przyniósł mu eliksiry, narkotyki, zioła i rekwizyty.

Subtelny przymus sprawił, że nikt nie zauważył olbrzyma. Usuwał on właśnie zniszczone wezglowie, by zastąpić je podobnym, przydźwiganym z komnaty Baralisa.

Najpierw musiał się uporać z Kylockiem. Przyklęknął obok niego u podstawy łóżka i z wielką delikatnością odciągnął dłonie króla od stóp Catherine.

- Psst - szepnął, unosząc puchar do jego ust. - Wypij to, panie. Wypij.

Kylock przełknął lekarstwo jak posłuszne dziecko. Był to specjalny napój nasenny, używany przez wojowników z Górnego Północnego, by uśmierzyć strach i znużenie towarzyszące bojowi. Po niespełna godzinie Kylock obudził się wypoczęty, pełen siły, zdrowy na ciele i w pełni władz umysłowych. Na to przynajmniej liczył Baralis. O alternatywie lepiej było nie myśleć.

- Crope - zawołał. - Weź Kylocka i połóż go za parawanem.

Narkotyki działały szybko. Nim pracujący przy wezglowiu sługa zdążył do niego podejść, monarcha zamknął już oczy.

Baralis przeniósł swą uwagę na wnętrze komnaty. Okiennice otwarto, by para buchająca z wanny mogła wydostać się na zewnątrz. Crope przyniósł świeżą pościel i miskę ciepłej wody, żeby zmyć krew z dłoni Kylocka i włosów Catherine. Baralis dokonał obchodu komnaty, sprawdzając wszystkie szklane i metalowe przedmioty. Trzeba było wyrzucić tylko stojące wokół łóżka lichtarze. Metal rozgrzał się tak bardzo, że aż się stopił i ściekł ku podstawie, a spływający po nim воск zastygł w groteskowych kształtach. Crope będzie musiał przynieść nowe świeczniki i świece.

W chwili, gdy zaczerpnięto mocy, dzban z winem był zatkany, na dnie zostało więc kilka kropli. Baralis wyciągnął własną butelkę i napełnił go, tak by wydawało się, że wypito tylko jeden kielich trunku. Następnie przyjrzał się pucharowi Catherine. Był niezwykle piękny. Wykonano go ze specjalnie gładzonego drewna. Brzegi miał cienkie niczym pergamin, podstawę zaś całkiem solidną. Wydawał się pod każdym względem doskonały.

- Crope, kiedy już skończysz z tym wezglowiem, chcę, żebyś wziął swój najostrzejszy nóż i wyrznął w podstawie tego pucharu dwa kręgi - rozkazał Baralis. - Jeden wewnątrz drugiego.

- Takie, jakie noszą rycerze, panie? - zapytał podekscytowany sługa.

Baralis uśmiechnął się, po raz pierwszy tego wieczoru.

- Tak jest, właśnie takie. Nie zapomnij też dodać linii, która będzie przecinała je przez środek - dodał po chwili namysłu. Tak, jak u pewnego rycerza, który rankiem dowie się, że jest poszukiwany za morderstwo. Ponownie spojrzął na sługę. - Jak już się z tym uporasz, idź

do moich komnat po trochę świec i lichtarzy.

Crope skinął z entuzjazmem głową. Uwielbiał być użyteczny dla swego pana.

Baralis miał wreszcie czas zadbać o siebie. Wydobył z serwantki małą fiołkę i wylał

jej zawartość na język. Lepki płyn palił mu gardło. Nie tyle doda mu sił, co pomoże zachować te, które jeszcze mu pozostały. Umożliwi normalne funkcjonowanie po zaczerpnięciu mocy, którego musiał dokonać. Rzecz jasna, nie za darmo. Jutro w pewnej chwili kanclerz po prostu zemdleje i może minąć tydzień, nim odzyska przytomność. To jednak nie miało znaczenia.

Musiał za wszelką cenę wyeliminować wszystko, co mogłoby zdradzić, co zaszło między Kylockiem a Catherine. Jeden błąd, jeden przeoczony dowód będzie oznaczał koniec. Układał

plany z górą trzy dziesięciolecia i nic, absolutnie nic, nie przeszkodzi mu w zdobyciu władzy nad północą.

Zaczerpnął głęboko tchu i podszedł do Catherine. Jej ciało zsiniało już i zeszywniało.

- Odwróć ją w moją stronę, Crope - wyszeptał. - I przynies mi krzesło, żebym miał na czym usiąść.

Olbrzym wykonał polecenie i po chwili Baralis siedział już przy łożu, spoglądając na pogruchotane kości kręgosłupa Catherine. Szczelina w czaszce to drobiazg. Było w niej więcej krwi niż kości i łatwo ją będzie załatać. Ale kręgosłup... Baralis potrząsnął głową. Tu będą potrzebne umiejętności chirurga.

U nasady szyi ze skóry sterczał ostry kostny odłamek. Kanclerz nakrył go dłonią.

Podczas swego pobytu na równinach widział wiele złamanych kości. Pasterze potrafili sobie z nimi radzić. Biała, porowata substancja zrastała się dzięki eliksirom, czarom i składaniu ofiar.

Nigdy jednak nie widział, by naprawili złamany kręgosłup. Był to bardzo trudny zabieg i w jego trakcie można było popełnić mnóstwo błędów. Gdyby nerwy zostały uciśnięte albo naczynia krwionośne uszkodzone, kości mogłyby się zrosnąć nieprawidłowo, doprowadzając do kalectwa lub jeszcze gorszych skutków. Baralis przygryzł język, przygotowując się do zapadnięcia w trans. W przypadku Catherine wszystko to nie miało znaczenia. Kręgosłup trupa nie musiał się zrosnąć prawidłowo. Ważne tylko, by wyglądał jak należy.

Crope wręczył mu liść i miseczkę. Z języka Baralisa skapnęły duże krople krwi. Nie miał pod ręką nikogo, kogo mógłby złożyć w ofierze, musiał więc polegać wyłącznie na własnych siłach.

Wysłał swą świadomość do zwłok. Wielokrotnie już pracował ze świeżo zabitymi zwierzętami, lecz żadne szkolenie nie mogło przygotować człowieka na przerażający szok, jaki wywoływała śmierć. Zimny, cuchnący, rozkładający się już trup nie był miejscem, w którym czarodziej powinien się zatrzymywać na dłużej.

Palce Baralisa przystąpiły do pracy. Ogrzewały, kształtowały i przesuwały. Naciskał

dłonią kości, lecz resztę pracy wykonywał umysł. Gdy tylko dany fragment znalazł się na miejscu, zaczynał go spajać z resztą. Nie miał czasu na finezję ani subtelność chirurga.

Skupiał się wyłącznie na łączeniu kości w całość. Kiedy skończył, szyja Catherine zeszywniała. Cztery górne kręgi były po śmierci połączone znacznie silniej niż za życia.

Przesunął świadomość do czaszki zabitej. Sztywność wytłumaczy się działaniem trucizny.

W porównaniu z kręgosłupem czaszka stanowiła łatwe zadanie. Wystarczyło połączyć kości ze sobą. Nie poświęcił temu zadaniu zbyt wiele wysiłku. Gęste, złote włosy Catherine i tak przykryją wszystkie siniaki. Wystarczy, by głowa wydawała się gładka, gdy lekarz przesunie po niej dłoń.

Baralis pracował szybko. Zdawał sobie sprawę z bliskości mózgu Catherine i niepokoiły go ostatnie, bezsilne impulsy jej komórek nerwowych. Gdy już uporał się z zadaniem, ogarnęła go niewiarygodna słabość. Po wycofaniu się ze zwłok poczuł się oszołomiony światłem, ciepłem i świeżością życia. Potwierdzało to tylko jego przekonanie, że za wszelką cenę musi pozostać wśród żywych. Śmierć niosła ze sobą bardzo niewiele chwały.

Osunął się na krzesło, spoglądając na pacjentkę. Szyję miała gładką jak łabędź, a gdy zmyje się z włosów krew, czaszka będzie wyglądała normalnie. Spojrzał na zatknięte w lichtarzach na ścianie świece i przekonał się, że gdy pracował, wypaliły się o dwie kreski.

Crope zdążył już wrócić. Bez słowa zastępował zniekształcone świeczniki nowymi. Gdy zauważył, że jego pan odzyskał przytomność, podszedł do niego ze szklanką grzanego holku.

Baralis ujął ją w dłonie.

- Połóż diuszęsę na plecach, a potem obudź Kylocka - rozkazał.

- Czy mam najpierw zmienić pościel, panie?

- Nie. Tym zajmiesz się na koniec. Zostało mi jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

Crope zniknął za parawanem. Baralis poczuł się tak zmęczony, że pragnął jedynie zasnąć. Złączył dłonie i rozmasował obolałe palce. Zza parawanu dobiegł głos Crope'a, który błagał Kylocka, by ten się obudził. Baralis zebrał siły i wstał z krzesła. Nogi bolały go od zbyt długiego siedzenia, nakazał sobie jednak podejść do serwantki. Stał na niej drewniany puchar Catherine, na którego podstawie znajdowały się obecnie dwa kręgi. Nalał do niego odrobinę zatrutego wina. Podszedł do łóża i spryskał kilkoma kroplami nieskazitelne wargi zabitej, po czym rozchylił jej zęby, by wlać trunek do gardła i postawił kielich na najbliższym kufierku.

Zza parawanu wyszedł Kylock.

- Co zrobiłeś? - zapytał.

Baralis pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi. Król miał jasny umysł.

- Upozorowałem śmierć z powodu trucizny. Wszystko wygląda tak, jak przed... -

powstrzymał się w porę. - Wszystko wygląda normalnie. Musisz zeznać, że gdy zapadałeś w sen, Catherine wyglądała na zdrową, a kiedy się obudziłeś, już nie żyła. Proponowała przed snem, byś wypił trochę wina z jej kielicha, i choć z początku nie chciałeś tego robić, pociągnąłeś maleńki łyżeczek, żeby sprawić jej przyjemność. Rankiem, na chwilę przed podniesieniem alarmu, przełkniesz to. - Baralis wskazał na stojącą na serwantce fioletkę. -

Skutki będą podobne do działania trucizny, ale nie zaszkodzi ci to zbyt. W podstawie pucharu są wyrżnięte kręgi Valdis, ale nie ty je odkryjesz. Lepiej żeby zauważył je kto inny.

Masz tylko udawać wstrząśniętego, oburzonego i gotowego zrównać z ziemią całe miasto, żeby znaleźć winnego.

Kylock skinął głową.

- A kto nim jest?

- Tawł, obrońca diuka. Gdy tylko odkryją puchar, przesłuchają wszystkich służących.

Wychodząc przekonam jednego z tych żalosnych nędzników, że pewien złotowłosy rycerz przekupił go, by dostarczył wino i puchar do komnaty. - Baralis wypowiedział się zwięźle. -

Zrozumiałeś wszystko?

- Tak.

- Świetnie. Croye zostanie tu jeszcze, żeby zmienić pościel i pomóc ci ułożyć ciało Catherine. Trzeba usunąć krew z jej włosów i wytrzeć róż z ciała. Kiedy z nią skończysz, musisz jej założyć koszulę nocną...

- Jak to, skończę? - przerwał mu Kylock.

- Jak rozumiem, małżeństwo nie zostało skonsumowane?

- Nie.

- W takim razie jest nieważne. Jeśli masz zachować prawa do Brenu, nie może być wątpliwości, że doszło do zbliżenia.

Kylock potrząsnął głową.

- Nie. Nie. Nie!

- Tak! - nie ustępował Baralis. - Nie po to zadałem sobie tyle trudu, żeby teraz wszystko poszło na marne. Lekarz przede wszystkim sprawdzi, czy są ślady nasienia. Będą szukać jakiegoś pretekstu, który pozwoliłby im unieważnić małżeństwo. - Podniósł głos. - Nic mnie nie obchodzi, jak sobie poradzisz. Masz to zrobić i tyle. - Podeszedł do drzwi i nacisnął

klamkę. - I to zaraz! - syknął przekraczając próg.



Tavalisk był zachwycony nową rybą. Miała maleńkie ząbki i rozszarpywała nimi wszystko, co zanurzono w akwarium. Kieł, jak arcybiskup nazwał swego nowego ulubieńca, zajął się właśnie atakiem na nieruchomą, lecz nie całkiem bezbronną kiełbasę. Pewną obronę zapewniały wędlinie już same rozmiary, gdyż, mimo iż Kieł był śmiertelnie groźny, był też raczej nieduży. Dwukrotnie mniejszy od kiełbasy. Tavalisk żałował tylko, że szkło nie jest przezroczyste. Gruba, zielona szyba utrudniała mu obserwację wydarzeń.

Gdy tylko Kieł wbił porządnie zęby w wędlinę, do komnaty wszedł Gamil. Nie zapukał ani nie marnował czasu na uprzejmości. Wymachiwał małym, szarym skrawkiem papieru.

- Wasza Eminencjo! Cóż za wieści!

Zaczął się wachlować trzymaną w ręku kartką. Dyszał ciężko, twarz miał czerwoną, a włosy stanowczo wymagały czesania.

Podobnie jak kapłan odwiedzający trędowatych, Tavalisk postanowił zachować dystans. Uniósł dłoń, by powstrzymać sekretarza.

- Gamilu, choć doceniam fakt, że tak ci spieszno, by zapoznać mnie z ważnymi informacjami, nie mogę znieść widoku twego potu - rzekł. - Kto wie, jakie obrzydliwe substancje wydzielają się z solą.  
- Tavalisk spojrział znacząco na sekretarza, który sprawiał

wrażenie gotowego eksplodować, jeśli arcybiskup nie da mu dojść do słowa. - No trudno.

Pozwalam ci zapoznać mnie z tymi wieściami. Tylko nie podchodź bliżej.

- Wasza Eminencjo, Catherine z Brenu nie żyje. Podobno ją otruto.

- Kiedy to się stało?

- Cztery, może pięć dni temu. Przed chwilą ptak przyniósł wiadomość.

Tavalisk podszedł do sekretarza, zapominając o wygłoszonym przed chwilą ostrzeżeniu, i wyrwał mu kartkę z ręki. Nie przejmował się tym, czy jest na niej pot Gamila.

- Czy to wszystko? - zapytał, zapoznawszy się z treścią notatki.

- Tak, Wasza Eminencjo. Więcej dowiemy się za kilka tygodni, gdy przybędą szybcy posłańcy.

Tavalisk zmiął papier w pięści.

- Otruto, tak?

Czuł w tym rękę Baralisa. Ostatecznie sam dostarczył mu potrzebnej wiedzy. Ten łotr przetrzymywał jego bibliotekę całe pięć lat. Kolekcja arcybiskupa zawierała tuziny ksiąg dotyczących trucizn. Z

pewnością śliczna Catherine padła ofiarą któregoś z nich.

Jeśli jednak Baralis otruł diuszese, znaczyło to, że obciąży winą kogoś innego. Ten człowiek nie był głupcem. Potrafił rzucać oskarżenia z taką łatwością, z jaką inni zmieniali ubranie. Kogo więc postanowi wrobić? Nadawałby się do tego celu każdy, kto pochodził z Highwall lub Annisu. W ten sposób mógłby rozbudzić w Brenie nienawiść do obu północnych rywali. Tavalisk pokiwał powoli głową. A może Baralis spróbuje wyeliminować bardziej bezpośrednią groźbę: córkę Maybora, która twierdziła, że jest w ciąży z diukiem?

Wszystkie relacje zgadzały się co do tego, że lord Maybor rozsiewa po mieście pogłoski, iż nie narodzone dziecko jego córki z całą pewnością jest dziedzicem diuka. Jeśli Baralisowi uda się oskarżyć o zamordowanie Catherine Melliandry lub któregoś z jej zwolenników, natychmiast zdyskredytuje jej twierdzenia. Tak jest. Tavalisk był tego pewien. Baralis miał

obecnie więcej powodów, by obawiać się Melliandry i jej nie narodzonego dziecka niż potęgi połączonych armii Annisu i Highwall.

Kylock z całą pewnością ogłosi się władcą Brenu, lecz szacowni mieszkańcy tego miasta przegnąją go do królestw z podkulonym ogonem, jeśli tylko dojdą do wniosku, że istnieje prawowity dziedzic.

Arcybiskup rozciągnął wargi w swym szczególnym, sekretnym uśmiechu. Baralis znalazł się w trudnej sytuacji i już najwyższy czas, żeby on, wybrany, pociągnął za sznurek, by wykorzystać tę sposobność.

- Gamilu - rzekł, podchodząc do akwarium. - Co nam wiadomo o ruchach wojsk Highwall?

- No więc, Wasza Eminencjo, wiemy, że otrzymali nasz list, nakazujący im zaczekać z podjęciem kroków do ślubu, lecz możemy się tylko domyślać, jak na ich plany wpłynie wiadomość o śmierci Catherine.

- Domyślać się, Gamilu! - warknął Tavalisk, wrzucając zmiętą kartkę do akwarium. -

Nie jestem wróżbitą, lecz politykiem. - Kieł zbliżył się do kartki niczym ścigający zdobycz rekin. Wędlina przerodziła się już w pokrywające powierzchnię wody strzępki. - W gruncie rzeczy, uważam, że już najwyższy czas, bym ogłosił się obrońcą.

- Obrońcą, Wasza Eminencjo?

Ząbki Kła wbiły się w papier, rozdierając go na setki maleńkich kawałków. Tavalisk przyglądał się temu z ogromną satysfakcją. Być może powinien wrzucać do akwarium wszystkie swe poufne dokumenty.

- Tak, Gamilu, obrońcą, a ściślej mówiąc, obrońcą Melliandry. Właściwie to jestem przekonany, że my wszyscy, cztery południowe miasta, Highwall, Annis i to, co zostało z sił

biednych, pokonanych Halcusów, powinniśmy poprzeć roszczenia tej nieszczęsnej damy. Nie rozumiesz? To wyśmienita okazja. Nie walczymy już ze strachu, lecz dla sprawy! O to, by

przywrócić tron diuków prawowitemu dziedzicowi!

Podniecony Tavalisk nieopatrznie oparł palce o brzeg akwarium. Kieł, który był tylko głupią rybą, natychmiast wyskoczył z wody i ukąsił arcybiskupi kciuk.

- Ach! - krzyknął tłścioch, cofając gwałtownie rękę. Z małej, lecz pięknie ząbkowanej ranki sączyła się krew. Gdy zaczął ssać palec, rana zaraz się zamknęła. Lubił

smak własnej krwi. - Gamilu, chcę byś jeszcze dzisiaj wysłał pisma do wszystkich zainteresowanych stron - ciągnął spoglądając nienawistnie na Kła. - Od tej chwili nasi sojusznicy mają oficjalnie popierać pretensje Melliandry. - Tavalisk uśmiechnął się, częściowo odzyskując dobry humor. - Nic chyba nie mogłoby bardziej poirytować Baralisa!

Czeka go w Brenie mnóstwo kłopotów. Jeśli nie będzie ostrożny, w mieście może nawet dojść do rozłamu. Spory o następstwo tronu bardzo często prowadzą do wojen domowych.

- Podobnie jak religia, Wasza Eminencjo.

- W tej chwili nie czuję potrzeby wysłuchiwania twych mądrości, Gamilu. Gdy jestem zajęty wytyczaniem linii politycznej, wystarczy mi proste: „Tak, Wasza Eminencjo”. Czy to jasne?

- Tak, Wasza Eminencjo - odparł Gamil skwaszonym tonem.

- Świetnie. Oprócz wysłania listów do Annisu i Highwall, których armie zapewne maszerują już w tej chwili na Bren, chcę, żebyś zlokalizował Maybora i jego córkę. Jestem pewien, że nadal przebywają w Brenie. Poproś miejscowy kler, żeby miał ich na oku.

Dziewczynę trzeba znaleźć i ukryć w bezpiecznym miejscu. - Tavalisk przerwał na chwilę, by rozważyć swój plan. - Rzecz jasna, najdziwniejszy w tym wszystkim jest fakt, że Baralis tak szybko pozbył się Catherine. Po prostu tego nie rozumiem. Zdestabilizował tylko swoją pozycję. - Arcybiskup wzruszył ramionami. - No cóż, każdy popełnia błędy, a inteligentny człowiek, taki jak ja, musi tylko poczekać na okazję, by je wykorzystać.

- Tak, Wasza Eminencjo.

Arcybiskup obrzucił sekretarza podejrzliwym spojrzeniem. Nie spodobał mu się ton głosu Gamila.

- Możesz już odejść. Dopilnuj, by listy wysłano natychmiast. Ach, jest jeszcze ta ryba... - dodał, odczekawszy, aż sekretarz dojdzie do drzwi.

- Czy mam ją zabrać, Wasza Eminencjo?

- Nie, Gamilu. Polubiłem to małe, wojownicze stworzenie. Po prostu woda zrobiła się trochę brudna i byłbym wdzięczny, gdybyś ją wymienił.

\*

- Musisz dziś opuścić Bren - nalegał Maybor. Starał się mówić cicho, lecz nie do końca mu się to udawało. - Każda minuta, którą tu spędzasz, zwiększa grożące Melliandrze niebezpieczeństwo.

- Reputacja Melliandry musi pozostać nieskalana, Tawl - dodał Cravin, który przemawiał głosem gładszym i bardziej wyrachowanym niż Maybor. - Nosi pod sercem jedynego żyjącego dziedzica diuka Brenu i byłoby katastrofą, gdyby kojarzono ją z człowiekiem podejrzanym o morderstwo. W mieście jest wielu możnowładców, którzy pomogą nam wesprzeć jej roszczenia, żaden jednak tego nie uczyni, jeśli będziesz jej towarzyszył. Cały Bren uważa, że to ty zamordowałaś Catherine i, choć może to nie być prawdą, z pewnością przyznasz, że dowody wyglądają przekonująco. - Cravin zbliżył się o krok do Tawla, kładąc mu na ramieniu wypielegnowaną dłoń. - Jeśli tu zostaniesz, zgubisz nie tylko siebie, lecz również Melliandrę.

Tawl odsunął się. Dotyk Cravina przywodził mu na myśl gada. Odwrócił się plecami do obu mężczyzn i podszedł do kominka.

Przebywali w kamienicy Cravina, w piwnicy służącej im jako kryjówka. Właściciel domu odwiedził ich dziś po raz pierwszy. Lord Cravin zjawił się przed godziną i większość tego czasu spędził na rozmowie w cztery oczy z Mayborem. Przed około piętnastoma minutami wezwali do siebie Tawla.

Z góry wiedział, co od nich usłyszy. Catherine nie żyła już od pięciu dni, a o świcie drugiego dnia ogłoszono, że to on ją zamordował. U jej łoża znaleziono puchar, w którym wyrżnięto jego znak. W kielichu była trucizna, ta sama, którą odkryto na wargach diuszesy.

Ponadto jeden ze służących zeznał na torturach, że przyjął złoto od człowieka, który wyglądał jak obrońca diuka, w zamian za umieszczenie pucharu z zatrutym winem w komnacie Catherine. W jego pokoju znaleziono pięćdziesiąt sztuk złota.

Tawl zacisnął pięści. Cravin miał rację. To faktycznie wyglądało przekonująco.

Ktoś wykonał bardzo dobrą robotę, starając się zrzucić na niego podejrzenie o zamordowanie Catherine. Sytuacja wyglądała zupełnie inaczej niż po śmierci diuka, gdy nikt nie wiedział, co się naprawdę wydarzyło. Co prawda, przeciw Tawlowi wysuwano oskarżenia, lecz mimo wysiłków Baralisa nikt nie mógł z pełnym przekonaniem twierdzić, że to na pewno on jest winien. Były to tylko podejrzenia. Tym razem jednak... Potrząsnął głową.

Baralis przeszedł sam siebie.

- Tawl, dzisiaj siły Kylocka przeczesują południowo-wschodnią część miasta. Jutro będą tutaj. - Maybor starał się mówić cicho, by Melli nie mogła podsłuchać ich rozmowy. -

Nie ma zbyt wielu szans, byśmy tym razem umknęli ich uwadze.

- Tak - zgodził się Cravin. - Przeszukują wszystkie domy, wszystkie pokoje. Jutro w południe dotrą do tej ulicy. - Ściszył głos do wyrażającego groźbę szeptu. - Nie możemy się narażać na to, że złapią Melliandrę.

„Nie w domu, który należy do ciebie” - pomyślał Tawl. Nie powiedział jednak tego głośno.

- Nawet gdybym stąd zniknął, poszukiwania nie ustaną - stwierdził tylko.

Cravin miał gotową odpowiedź na to zastrzeżenie.

- Masz rację. Nie wystarczy, żebyś opuścił miasto. Muszą cię zobaczyć. Dopiero wtedy Kylock odwoła żołnierzy.

Tawl poczuł się nagle bardzo zmęczony. Pochylił się i oparł o obramowanie kominka.

Buchający z niego żar nie ogrzewał go już. Wciąż było mu zimno. Nie pamiętał, by kiedykolwiek tak marzył. Myśl o opuszczeniu dziewczyny wypełniała mrozem jego duszę.

Melli była wszystkim, co zostało mu na świecie. Strzegłby jej nawet gdyby nie złożył przysięgi. Żył jedynie po to, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Wyglądało jednak na to, że jego obecność jest tylko kolejnym zagrożeniem.

Podszedł do niego Maybor. Tawl kąciakiem oka zauważył, że grubas wymienił spojrzenia z Cravinem.

- Posłuchaj, Tawl - rzekł. - Wiem, że uczyniłeś dla nas bardzo wiele, ale czas już, byś odszedł. Jeśli dziś stąd nie znikniesz, Melliandra wpadnie w łapska Baralisa. - Maybor potrząsnął powoli głową. - A wtedy nie uratuje jej żadna przysięga.

- Właśnie. Nie zapominaj o przysiędze, Tawl - wtrącił stojący za jego plecami Cravin.

- Każe ci ona chronić żonę diuka, lecz również, co ważniejsze, jego dziedziców. - Tawl czuł na karku oddech breńskiego wielmoży. - Nie narodzonego dziecka trzeba bronić za wszelką cenę.

- Moglibyśmy wszyscy opuścić miasto dziś w nocy - zaproponował Tawl, odwracając się gwałtownie, by spojrzeć rozmówcy w oczy. - Potrafiłbym po zmierzchu wyprowadzić stąd Melliandrę.

Cravin i tym razem nie dał się zaskoczyć.

- Nie. Nie można jej ruszać. Nie czuje się dobrze. Dziecku groziłoby zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Maybor zamachał ręką, by go uciszyć.

- Zniknij tylko na pewien czas, Tawl - powiedział łagodnym tonem. - Zaczekaj, aż przycichnie wrzawa wywołana śmiercią Catherine. Za jakiś miesiąc będziesz mógł wrócić.

- Za niespełna dziesięć dni pod miastem rozbiją obóz armie Highwall i Annisu. - Tawl tracił już

cierpliwość. - Nadchodzi wojna. Bren stanie się polem bitwy. To szaleństwo, kazać Melli tu zostać.

- Nie, Tawl - sprzeciwił się Cravin. - Szaleństwem byłoby, gdybyś nie opuścił miasta, doskonale wiedząc, że narażasz w ten sposób Melliandrę. Wiedziałem, że nie jesteś już rycerzem, ale sądziłem, że mogę przynajmniej liczyć na twoje poczucie honoru.

- Honoru! Nic nie wiesz o honorze. - Tawl zrzucił z kominka wszystkie świece. -

Obchodzi cię tylko polityka i własna drogocenna głowa. - Drżał cały. Miał szczerą ochotę zatłuc wielmożę na śmierć. - Powinieneś być wdzięczny kodeksowi honorowemu Valdis, Cravinie - wyszeptał. - Gdybym go dobrze sobie nie przyswoił, byłbyś już teraz trupem.

Obaj mężczyźni patrzyli sobie przez dłuższą chwilę w oczy. Wreszcie, ku satysfakcji Tawla, Cravin odwrócił spojrzenie.

Ciszę przerwał Maybor.

- Tawl, wiem, że jesteś człowiekiem honoru - rzekł pojednawczym tonem. - Mam nadzieję, że wybierzesz to, co słuszne. Zapomnij o lordzie Cravinie i dziecku. Myśl tylko o Melliandrze. Nie możemy dopuścić do tego, by wpadła w ręce Baralisa.

Tawl westchnął ciężko. Gniew na Cravina opuścił go równie szybko, jak się pojawił.

Maybor miał rację. Nie mogli pozwolić, by Baralis pojmał Melli. Żołnierze Kylocka będą tu jutro. Dziś rano Kosiarz przyniósł z targu straszliwe opowieści o rewizjach. Palono domy i torturowano ludzi, nie cofając się przed niczym, co mogło doprowadzić do schwytania Tawla.

Szukało go całe miasto.

Był też brat Blayze'a, Skaythe, który zaatakował Kosiarza nieopodal kryjówek. Nie upłynie wiele czasu, nim ich wytropi. Z relacji Kosiarza jednoznacznie wynikało, że Skaythe pragnie zemsty. Tawl wiedział, że brat Blayze'a chce jego śmierci. Uciekając z miasta, wyeliminuje również i tę groźbę. Skaythe albo zrezygnuje z poszukiwań, albo opuści Bren, by go ścigać.

- A jak macie zamiar bronić Melliandry pod moją nieobecność?

- Rozmieszczę w dzielnicy swoich ludzi. Na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa, każę przenieść dziewczynę w inne miejsce. - Cravin obrzucił Tawla nieprzyjaznym spojrzeniem. -

Gdy już odejdziesz, zagrożenie znacznie się zmniejszy. Kylock odwoła żołnierzy i życie w mieście wróci do normy. Nie będzie zbyt trudno zadbać o bezpieczeństwo Melliandry.

Ostatecznie ukrywa się tu już trzy miesiące.

Choć Tawl przyznawał to z niechęcią, Cravin miał rację. Jeśli jutrzejsze poszukiwania zostaną odwołane, Melli będzie tu bezpieczna. Ciężko mu jednak było znieść myśl o rozstaniu z nią. Żałował teraz, że złożył przysięgę przed diukiem. Miał wrażenie, że wpędziła go ona w pułapkę. Dla Melli i

dziecka lepiej byłoby, gdyby odszedł, przysięga nakazywała mu więc uczynić właśnie to. Wiedział, że to rozsądna decyzja, lecz serce i dusza mówiły, by został.

Przed dziewięcioma laty opuścił chatkę na bagnach, żeby wyruszyć do Valdis, a gdy po trzech latach wrócił, przekonał się, że jego siostry od dawna nie żyją. Ta tragedia wytyczyła cały kurs życia Tawla. Kierowała wszystkimi jego uczynkami i uczyniła go tym, kim był. Prześladowała go w snach, za dnia, rankiem i w nocy. Wiedział, że nie zdoła żyć dalej, jeśli Melli spotka ten sam los. Niczyje sumienie nie wytrzymałoby podobnego brzemienia.

Niemniej jednak, jutro gwardziści mogli pojmać lub zabić Melli i to jego obecność przyciągnie sługusów Kylocka pod jej drzwi. Nie mógł dopuścić do tego, by kontynuowano poszukiwania. Wiedział, że jeśli żołnierze wtargną do domu, zginie w obronie Melli, nie zdoła jednak dokonać nic więcej. Życie miał tylko jedno, a gdy je utraci, dziewczyna zostanie bez opiekuna.

- Pójdę już - powiedział. Musiał to uczynić dla Melli i dla dziecka, a także ze względu na przysięgę, którą złożył przed diukiem. Wierność mógł okazać na wiele sposobów, ale najtrudniej było zrozumieć, kiedy należy odejść.

Maybor poklepał go po plecach.

- Tak będzie najlepiej, Tawl. Ja i lord Cravin zadamy o bezpieczeństwo Melli.

- I Kosiarz - dodał Tawl.

Pokładał w chłopcu więcej wiary niż w dwóch samolubnych wielmożach, których miał przed sobą.

Maybor skinął głową.

- Tak jest.

Tawl zatrzymał się jeszcze przy drzwiach i spojrzał na Cravina.

- Jeśli Melli spadnie z głowy choć jeden włos, przysięgam na Borca, że zapłacisz za to życiem.

Zamknął za sobą drzwi i wbiegł na górę, przeskakując po trzy stopnie. Czekał na niego Kosiarz, lecz nie zwrócił na chłopca uwagi i zaczął ładować dobytek do worka.

Najwięcej miejsca zajmowały w nim miecz i noże.

- Jak ci poszło ze staruszką Cravinem i z Mayborem? - zapytał kieszonkowiec, coraz bardziej zniecierpliwiony tym, że przyjaciel go ignoruje.

Tawl odwrócił się ku niemu.

- Kosiarzu, muszę na jakiś czas zniknąć. Nie przejmuj się, nie będę daleko. Pilnuj Melli pod moją nieobecność.

- Ale, Tawl...

- O nic nie pytaj. Zrób, co ci kazałem. - Uścisnął dłoń ulicznika. - Obiecuję, że wrócę.

Kosiarz skinął głową z bardzo poważną miną.

- Rozumiem, Tawl.

Chyba rzeczywiście rozumiał. Tawl uniósł worek i zarzucił go sobie na ramię.

- Uważaj na siebie, Kosiarzu. Powiedz Melli, że ani na moment o niej nie zapomnę.

- Nie pożegnasz się?

Chłopiec wskazał na drzwi jej pokoju.

Tawl potrząsnął głową. Błagałaby go, żeby został, a słysząc jej głos, żadna siła nie zmusiłaby go do odejścia. Nie, nie pożegna się. Jej bezpieczeństwo było ważniejsze niż jego obawy. Melli nie przypominała jego siostr. Była od nich starsza, mądrzejsza i silniejsza.

Poradzi sobie bez niego. Musi sobie poradzić.

Przed zejściem na dół zbliżył się cicho do jej drzwi. Nie dobiegał zza nich żaden dźwięk. Odwrócił się, uniósł rękę, by pożegnać się z Kosiarzem, i wyszedł po cichu z domu.

\*

Jack przebywał w południowej części miasta. Zdążył już obejść wiele dzielnic, coś jednak ciągnęło go właśnie tutaj. Labirynt wąskich uliczek i mrocznych zaułków o zmierzchu spowijał głęboki, fioletowy cień. Wokół małych placików tłoczyły się gospody, burdele i piekarnie. Odór rzeźni i garbarni, dym buchający z opalanych węglem drzewnym piecyków oraz opary pochodzące z warsztatów farbiarzy - wszystko to stanowiło bardzo poważne wyzwanie dla płuc.

Mimo obrzydliwego smrodu Jackowi podobało się w mieście. Nie musiał tu ukrywać twarzy. W Brenie nikogo nie obchodziło, że jest poszukiwanym przez Halcusów zbrodniarzem wojennym. Po raz pierwszy w życiu mógł robić, co tylko zapragnie. Nie było tu Frallita, Rovasa ani Stillfoxa. Sam był sobie panem i chodząc po ulicach Brenu zaczynał

doceniać to uczucie.

Dobrze było iść ciemnym zaułkiem, wiedząc, że gdyby napadł na niego jakiś rabuś, morderca albo alfons, potrafił sobie z nim poradzić. Dzięki Rovasowi opanował sztukę samoobrony. Myśl o niespodziewanym ataku nie budziła w nim strachu. Jeżeli będzie miał

nóż i odrobinę wolnego miejsca, sprosta prawie każdemu przeciwnikowi.

Szkoda tylko, że czarami nie władał równie sprawnie. Po incydencie w domu cechowym w Annisie



wiedział, że, gdy tylko zechce, potrafi czerpać moc. Niemniej jakaś część jego jaźni wciąż bała się jej używać. Obawiał się, że popełni jakiś błąd, źle wyliczy czas, zbyt mocno pograży się w tym, co chce zmienić, albo - co najgorsze - zaczerpnie zbyt wiele. Wiedział, że jest potężny - to, co wydarzyło się w garnizonie, dowiodło tego ponad wszelką wątpliwość - nie wierzył jednak zbyt w swe umiejętności panowania nad mocą.

Przypominał olbrzyma zrywającego stokrotki. Niezgrabne ruchy i wielkie łapska utrudniały mu wykonanie tak delikatnego zadania.

Czary nie miały w sobie nic widzialnego, nic dotykającego: noża, przed którym można się uchylić; rękocyści, którą można złapać; krwi, pozwalającej ocenić skuteczność ciosu.

Wszystko rozgrywało się wewnątrz umysłu. Atak trzeba dokładnie zaplanować i ukształtować w myśli. Gdy na języku pojawiał się smak metalu, było już po wszystkim.

Niebezpieczeństwo jest równie realne, jak podczas walki na miecze, lecz trudno w to uwierzyć, gdyż nie widać broni ani nic, co pozwala ocenić umiejętności przeciwnika. Jeśli ktoś przystawi człowiekowi nóż do gardła, instynkt skłania ofiarę do zachowania ostrożności.

W przypadku czarów sprawy wyglądały inaczej. Groźba miała charakter nie tylko cielesny, lecz również psychiczny i niekiedy trudno było określić granicę dzielącą bezpieczeństwo od samounicestwienia. Jack nieraz już omal nie uległ przyciąganiu nieożywionych przedmiotów.

Bardzo łatwo wpaść z nimi w rezonans, poddać się ich wpływowi, a potem zapomnieć się wycofać. Trudno jest zerwać kontakt, zupełnie jak porzucić ciepły, przyjemny kominek, by wyjść na dwór, w mróz.

Zaułkiem przemknął podmuch zimnego, przenikliwego wiatru. Jack otulił się płaszczem, który wyłudził od pasterza kóz. Gdy dotarł do skrzyżowania, skręcił w lewo.

Niemniej jednak, to nie wycofanie się było najtrudniejszym elementem czerpania mocy. Przynajmniej nie dla niego. Najtrudniej wykrzesać iskrę; to, co budzi czary do życia.

Przed incydem w domu cechowym zawsze posługiwał się w tym celu obrazem Tarissy.

Wyglądało na to, że nie potrafi tego dokonać bez pomocy gwałtownych emocji. Być może właśnie dlatego nie skorzystał zbyt wiele z nauk Stillfoxa. Trudno mu było przywołać fałszywe uczucia.

Stillfox próbował zapoznać go z innymi sposobami, raz zarazem powtarzał: „Skup myśli na zamiarze”. Jack skupiał je, aż oczy wychodziły mu z orbit, a pod czaszką czuł

gwałtowny ból, i nic z tego nie wynikało. Właściwie to przed incydem w domu cechowym nie był do końca pewien, o co właściwie chodzi Stillfoxowi z tym całym skupianiem.

Dotarł do końca ulicy i skręcił w przypadkowo wybranym kierunku. Szedł samym środkiem zaułka, trzymając się z dala od pełnych plugastwa rynsztoków.

Przywitał noc cichym westchnieniem. Musiał się jeszcze wiele nauczyć. W głębi duszy wiedział, że postępuje źle, wykorzystując jako iskrę gniew, który żywił wobec Tarissy.

Powinien uważniej słuchać słów Stillfoxa, bardziej się starać, więcej ćwiczyć. Pomyślał, że pewnego dnia wróci, by dokończyć to, co zaczął. Był to winien zielarzowi i sobie samemu.

To jednak była jeszcze sprawa odległej przyszłości. Na razie musiał odszukać Melli.

Przebywał w Brenie już od pięciu dni i nadal nie udało mu się jej odnaleźć. Co dziwne, nie przejmował się tym zbyt. Czuł pewność, że prędzej czy później natrafi na jakiś trop.

Na razie jednak musiał codziennie znajdować coś do jedzenia i bramę, w której mógł

spędzić noc. Nie było to zbyt trudnym zadaniem. W którymś momencie udało mu się nawet zdobyć nową parę butów. Zawdzięczał je nieostrożnemu szewcowi. Ani przez moment nie zaznał pragnienia ani głodu, choć bywały chwile, że miał ochotę napaść na pierwszego napotkanego człowieka niosącego bukłak pełen *ale*. Jak dotąd jego umiejętności nie pozwalały na zdobywanie trunków. Zważywszy wszystko razem, nie radził sobie jednak źle.

Polegał tylko na sobie i czuł się z tego powodu zadowolony.

Pora już było znaleźć jakieś schronienie przed wiatrem. Rozejrzał się wokół. Nie wiedząc kiedy, dotarł aż pod południowy mur Brenu, który majaczył wysoko nad dachami, w odległości nie większej niż szerokość łąki. Jack ruszył w tamtą stronę, przyspieszając kroku.

Mur również stanowił dobrą osłonę przed wiatrem.

Gdy tylko skręcił w wiodącą do niego ulicę, usłyszał za sobą tupot czyichś stóp.

Obejrząwszy się, ujrzał biegnącego mężczyznę. Ścigała go grupa zbrojnych. Jack nigdy jeszcze nie widział, by ktoś gnał tak szybko. Złote włosy nieznajomego powiewały na wietrze, a klatka piersiowa poruszała się miarowo jak pompa. Kiedy się zbliżył, Jack ujrzał

jego twarz. W oczach uciekiniera płonął intensywny ogień, a usta przypominały dzieło rzeźbiarza. W dłoni ścisnął wypolerowany miecz.

Mężczyzna minął Jacka w mgnieniu oka, nawet na niego nie spoglądając. Wzrok wbił

przed siebie. Młodzieniec zerknął w tamtym kierunku. Nieznajomy biegł w stronę muru.

W jego wyglądzie, w jego twardej i pięknej twarzy oraz straszliwym skupieniu, było coś, co głęboko poruszyło chłopaka. Złote włosy przywołały wspomnienie dawnych snów.

Ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, Jack skoczył w stronę ścigających. Chciał

dać nieznajomemu czas na ucieczkę. Nie wiedział dlaczego. Być może spowodował to jasny błysk jego miecza lub rozpaczliwe położenie, w jakim się znalazł. Coś ukrytego w głębi duszy powiedziało

mu, że musi pomóc temu człowiekowi.

Zatoczył się i wpadł między uzbrojonych ludzi. Jego jedyną bronią było zaskoczenie.

Żołnierze musieli się zatrzymać, by poradzić sobie z nieoczekiwaną sytuacją. Jack padł

twarzą na ziemię, jak pijany. Nie wyciągnął noża. Poczul dotyk miecza na plecach, a potem również na karku. Dwaj zbrojni kontynuowali pościg za złotowłosym mężczyzną.

Znaczyło to, że nad nim stało czterech. Jack czknał głośno. Jeśli będzie to konieczne, z czterema poradzi sobie sam.

- Ty cholerny, pijany durniu! - krzyknął jeden z nich, dźgając Jacka mieczem w udo. -

Jak śmiesz przeszkadzać gwardzistom Kylocka, którzy ścigają zbiega?

- Przepraszam, kolego - wybełkotał Jack. - Myślałem, że łapiecie ludzi do wojska. No bo przecież mamy wojnę.

Nawet nie próbował ukryć akcentu. W mieście roiło się od żołnierzy z królestw, którzy przybyli tu, by wziąć udział w walkach.

Dwaj żołnierze, którzy pognali za nieznajomym, wrócili już, dysząc ciężko.

- Uciekł, kapitanie - oznajmił jeden z nich. - Wrota służby były otwarte i skoczył prosto w nie.

- Dlaczego go nie ścigaliście? - zapytał kapitan.

- Kiedy już znalazł się w środku, zablokował bramę i we dwóch z Haroldem nie daliśmy rady jej otworzyć. Gdybyś był z nami, moglibyśmy podważyć ją włócznią.

Kapitan ponownie dźgnął Jacka w udo wspomnianą bronią.

- To przez tego pijanego sukinsyna.

Wysyczał wiązaną szpetnych przekleństw, przy każdym słowie kopiąc Jacka w brzuch.

Chłopak poczuł w ustach smak krwi. Na pewno przygryzł sobie język podczas upadku. Znosił biernie kopniaki, pojękując cicho dla efektu. Złotowłosy mężczyzna uciekł i teraz sam musiał ratować własną skórę.

- Kylock i Baralis nie będą z tego zadowoleni - odezwał się inny gwardzista. -

Mieliśmy mordercę Catherine w zasięgu ręki...

Potrząsnął głową.

- Słuchajcie wszyscy - zaczął kapitan. - Niech żaden nie odważy się wspomnieć, że przeszkodził nam

jakiś ogłupiały od *ale* dureń. Słyszycie? Nie pozwolę, żeby uznano nas za bandę nieudolnych amatorów. Jeśli ktoś was o to zapyta, powiedzcie mu, że obrońca miał na murze współników, którzy strzelali do nas z łuków.

- Spojrzał na każdego ze swych ludzi po kolei. - Jasne?

- Tak jest - odpowiedzieli chórem.

- A co zrobimy z tym tutaj, kapitanie? - zapytał ten, który przystawił Jackowi miecz do pleców.

- Zostaw go, Civralu. On nic nikomu nie powie. - Kopnął Jacka po raz kolejny. -

Prawda?

- Nie powiem. Ani słóweczka - zapewnił chłopak, obracając głowę. - Macie jakieś piwo? - dodał z uśmiechem.

Przygotował się na kolejnego kopniaka i zdziwił się, gdy kapitan odsunął się o parę kroków.

- Idziemy, chłopaki - rzucił. - Musimy wrócić do pałacu i powiedzieć, żeby odwołali poszukiwania. - Zwrócił się w stronę żołnierza zwanego Civralem. - Leć do bramy i każ starymu Greengillowi, żeby przeszukał obszar położony tuż na południe od muru.

Jack zdał sobie sprawę, że mu darowali. Przetoczył się po gruncie dla efektu. Kapitan spojrzał na niego z niesmakiem.

- Brudny żebrak - warknął, oddalając się.

Jack zczekał, aż żołnierze znikną za rogiem, po czym podniósł się z ziemi. Cały był

utyłany. Płaszcz i portki pokrywały mu końskie łajno, pomyje i błoto. Uda krwawiło, lecz kilka minut ucisku wystarczy, by temu zaradzić. Otrzeptał się i ruszył w stronę muru. Z

jakiegoś powodu chciał zobaczyć, którądy uciekł nieznajomy. Bez trudu znalazł bramę służy.

Kratę zablokowano kamieniem i nie sposób było jej poruszyć. Jack przebiegł palcami po metalu. Wiedział, że pomagając złotowłosemu mężczyźnie zachował się jak szaleniec, jednak czuł, że był to właściwy uczynek.

Po kilku minutach położył się na kracie. Dzisiejszej nocy posłuży mu jako łoże.

Szybko zapadł w drzemkę, która przyniosła ze sobą sny. We wszystkich pojawiał się złotowłosy mężczyzna, któremu pomógł w ucieczce.

Melli wiedziała, że lepiej będzie, jeśli zostanie w łóżu jeszcze chwilę, żeby poczekać, aż miną mdłości. Choć zdawała sobie sprawę, że tak właśnie należałoby postąpić, postawiła nogi na podłodze i usiadła. Czując aż zaudto znajome poruszenie w żołądku, wyciągnęła niezgrabnie rękę po miskę. Jak zwykle, w ostatniej chwili zdołała ją znaleźć, jednak nie było przy niej Tawla, który za każdym razem podawał jej naczynie.

Całe jej ciało zadrżało gwałtownie i Melli zwymiotowała.

- Wszystko w porządku, panienko? - krzyknął stojący za drzwiami Kosiarz. Ten chłopiec miał uszy jak nietoperz.

Splunęła, żeby oczyścić sobie usta. Od pewnego czasu dała sobie spokój z udawaniem dystyngowanej damy. Z jej ciałem działo się wiele nieprzyjemnych rzeczy, a w domu byli sami mężczyźni i nie miała nikogo, kto powiedziałby jej, jak sobie z tym wszystkim radzić i czego spodziewać się potem. Traktowała ciężę z podejrzliwością i stoicyzmem: nieustannie wypatrywała nowych objawów, a gdy już wystąpiły, zaciskała zęby i stawiała im czoło jak mężczyzna, bez względu na to, jak bardzo były nieprzyjemne. Absolutnie nie miała zamiaru mdleć z powodu wysypki na szyi czy uporczywego zatwardzenia. Córkę Maybora stworzono z twardego materiału.

- Czy mam zawołać Grifta? - rozległ się znowu głos Kosiarza.

Grift przypominał starą wieśniaczkę tak bardzo, jak tylko było to możliwe w wypadku mężczyzny. Znał recepty na wszystko, od bólu zęba aż po utratę kończyny. Melli jednak stanowczo odmawiała skorzystania z jego sposobu na mdłości. Nie miała najmniejszego zamiaru zjadać co noc trzech niedojrzałych moreli.

- Nie, Kosiarzu - powiedziała, ruszając w stronę wejścia. - Nie wołaj go. - Otworzyła drzwi. - Wolę porozmawiać z tobą.

Chłopak splunął w dłoń i przyglądał włosy.

- Proszę. Wejdz.

Wróciła na łóżę, zatrzymując się na chwilę, by wsunąć kopniakiem miskę pod spód.

Ulicznik podążył za nią, otrzepując się ostentacyjnie i podciągając portki.

- To dla mnie zaszczyt, że mnie tu zaprosiłaś, panienko - odezwał się. Omiótł izbę wyrachowanym spojrzeniem. Melli domyśliła się, że ocenia wartość zegara wodnego i innych znajdujących się wokół przedmiotów. - Ładnie masz tu urządzone, panienko.

Melli uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Niestety, nic z tego nie należy do mnie. Wszystko to jest własnością lorda Cravina.

- Ehe, tacy jak on lubią chomikować kosztowności.

- I całe szczęście. W przeciwnym razie nie miałabym się gdzie ukryć.

- Znalazłbym dla nas miejsce, panienko. Powiedz tylko słowo.

Spojrzał na nią z całą wywodzącą się z młodości pewnością siebie.

- Nie wątpię, że potrafiłbyś tego dokonać, Kosiarzu. - Wskazała na krzesło, każąc chłopcu usiąść. - Chciałabym, żebyś od dziś mówił mi Melli.

- Jasna sprawa, Melli - odparł, spoglądając podejrzliwie na krzesło. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, lepiej postoję. Mój serdeczny przyjaciel zwany Szybciorem zawsze powtarzał, że na siedząco nigdy nie słyszy się dobrych wieści.

Melli z zaskoczeniem usłyszała własny śmiech. Wczoraj, gdy dowiedziała się, że Tawł ją opuścił, myślała, że to już koniec. Nic jednak nigdy się nie kończyło. Wszystko było tylko zamaskowanym początkiem - zarówno śmierć diuka, jak i odejście Tawła. Życie toczyło się dalej, a śmiech był jego nieodłącznym towarzyszem.

- Kosiarzu, chcę, żebyś opowiedział mi wszystko, co wiesz o Tawlu - zażądała, pochylając się ku niemu. - Skąd pochodzi jego rodzina, dlaczego opuścił rycerstwo, co robił, kiedy go spotkałeś. Muszę to wiedzieć.

- On wróci, Melli. Obiecał mi.

Twarz Kosiarza wyrażała niezachwiane przekonanie. Wierzył w przyjaciela bardzo głęboko.

Melli poczuła nagły ucisk w gardle. Odkąd zaszła w ciążę, dokuczały jej gwałtowne zmiany nastroju. W jednej chwili się śmiała, a w następnej płakała jak małe dziecko. Teraz miała ochotę płakać. Zasmuciła ją wiara, jaką pokładał w Tawlu ulicznik.

- Powiedz mi, co wiesz.

Kosiarz wydobyl ze swego nieodłącznego worka chusteczkę i wręczył ją Melli.

- Proszę bardzo. Od czego mam zacząć?

Gest kieszonkowca zaskoczył ją, a potem wzruszył. Wydawało jej się, że dobrze ukrywała smutek.

- Opowiedz mi, jak go spotkałeś.

Kosiarz zaczerpnął tchu z aktorską emfazą.

- No więc, to się zdarzyło w Rornie, wiele miesięcy temu. Pogoda była piękna. Tawł wrócił właśnie z przeklętej wyspy Larn i chciał doręczyć parę listów. Zaproponowałem, że pomogę mu odnaleźć adresatów. Od samego początku było jasne, że mnie potrzebuje i od tego czasu jesteśmy razem.

- A co było w tych listach?

Tawł wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Mogę ci tylko powiedzieć, że popłynął na Larn po to, żeby pogadać z jasnowidzami o chłopcu. No wiesz, zlecono mu misję. Miał odnaleźć tego chłopca, ale nie mógł trafić na żaden ślad. Na Larnie wskazano mu właściwy kierunek i od tego czasu szukaliśmy go razem, aż do chwili...

Kosiarz przerwał nagle.

- Aż do chwili, gdy?

Ulicznik milczał przez długi czas, zastanawiając się, ile może powiedzieć.

- Aż do chwili, gdy zabito człowieka, który zlecił Tawłowi tę misję.

Melli wyczuła w głosie chłopaka nutę napięcia.

- Zabito?

- Ehe. No wiesz, to trochę załamało Tawła - paplał pospiesznie Kosiarz. - Gdyby nawet znalazł tego chłopca, nie miałby go do kogo zaprowadzić. Zupełnie stracił wolę działania. Dlatego wylądowaliśmy tutaj, w Brenie. On walczył na arenie, a ja pilnowałem, żeby go nie pokonali. No wiesz, praca zespołowa.

Melli skinęła powoli głową.

- Czy trudno mu było zrezygnować z misji?

- Nawet nie potrafię tego opisać. Żył po to, by odszukać chłopca. Poprzysiągł, że to zrobi. Dla człowieka honoru, jakim niewątpliwie jest, rezygnacja z czegoś takiego... - Kosiarz potrząsnął głową.

- To prawdziwa tragedia.

- Czy istnieje możliwość przekonania go do podjęcia misji na nowo?

To proste pytanie wywarło na Kosiarzu zdumiewające wrażenie. Chłopak zaczął

spacerować po pokoju, potrząsając głową i mamrocząc pod nosem. Raz czy dwa Melli usłyszała, jak wypowiedział półgłosem imię „Szybcior”. Po jakiejś pół minucie kieszonkowiec spojrzał na nią, wyciągając z worka zapieczętowany list. Papier był stary i zmiętoszony. Czas i pot pozostawiły na nim żółte plamy.

- To mogłoby zmienić wszystko - oznajmił, unosząc pismo nad głowę, lecz nie podając go Melli.

- A co to jest?

- List od zmarłego.

Melli poczuła nagle zimny powiew. Otuliła się kołdrą.

- Od człowieka, który zlecił Tawlowi poszukiwania chłopca?

- Zgadza się. Miał na imię Bevlin. To był miły gość, chociaż nie potrafił gotować.

Wysłał ten list do Starego z Rornu, ze wskazówką, by w razie jego śmierci przekazać pismo Tawlowi.

- To dlaczego mu go nie dałeś?

- Ktoś inny próbował to zrobić, ale Tawl nie chciał przyjąć listu. Zostawił go na ulicy, gdzie każdy mógł go sobie wziąć. Akurat napatoczyłem się ja, więc wsadziłem pismo do kieszeni, żeby je zachować dla niego.

Melli zdawała sobie sprawę, że Tawl opuścił ją, chcąc zapewnić jej bezpieczeństwo.

Bardzo dobrze wiedziała, jak wiele bólu musiała mu sprawić ta decyzja. Nie traktował

przysięgi lekko, a tu wchodziło w grę coś więcej niż przysięga. Tawl ją kochał. Znała go wystarczająco długo, by wiedzieć, że miłości również nie traktował lekko. Właściwie to nie potrafiła sobie wyobrazić, by traktował tak cokolwiek. Taki już był.

Nie zauważyła, kto pierwszy podniósł wzrok, ona czy Kosiarz. Tak czy inaczej, ich spojrzenia się spotkały i w lśniących, brązowych oczach chłopaka wyczytała tę samą myśl, która przyszła do głowy i jej.

- Bez ciebie, panienko, Tawl nie ma po co żyć - rzekł Kosiarz cichym głosem, na znak szacunku nie zwracając się do niej po imieniu.

Wstała i podeszła do niego. Poczowała przyływ mdłości, lecz zwalczyła go, zaciskając pięści. Kiedy minął, położyła dłoń na ramieniu Kosiarza. Pod bluzą wymacała kości. Był

bardzo młody i drobny. Łatwo było zapomnieć, jak niewiele ma lat.

- Znasz go bardzo dobrze, prawda?

- Tak.

- A ten list - ciągnęła, muskając pergamin koniuszkami palców - otrzymał już po tym, jak złożył przysięgę diukowi. - Nie było to właściwie pytanie, ponieważ Melli była pewna, jak brzmi odpowiedź. Kosiarz skinął głową. - I to ta przysięga nie pozwoliła mu go otworzyć?

- zakończyła.



- Tak to mniej więcej wygląda, panienko.

Melli nieświadomie wsparła się całym ciężarem na chłopcu. Cofnęła się szybko i wyprostowała na pełną wysokość.

- Kosiarzu - rzekła silnym, dźwięcznym głosem. - Musisz natychmiast dostarczyć ten list Tawłowi. Znajdź go, gdziekolwiek się znajduje i powiedz... - przerwała na chwilę, żeby się zastanowić. - Powiedz, że rozkazuję mu go przeczytać.

- Ale...

- Nie, Kosiarzu, nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Wiem, że prosił cię, byś się mną opiekował, ale w tej chwili możesz mi zapewnić spokój ducha tylko w ten sposób, że odszukasz Tawła i oddasz mu list. Zbyt długo już czekał na otwarcie.

Twarz Kosiarza przerodziła się w studium z trudem ukrywanej radości. Och, sprzeciwiał się głośno, ze wszystkich sił szukając argumentów, które pozwoliłyby mu zostać, lecz tak naprawdę chciał tylko udać się na poszukiwania Tawła. Sercem już przebywał u boku przyjaciela.

Po kilku minutach pozwolił się wreszcie przekonać. Melli nie miała mu za złe tej małej demonstracji.

- No cóż, skoro nalegasz, panienko, lepiej już ruszę w drogę.

Pokłonił się i wypadł z pokoju. Melli pożegnała go uśmiechem. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, opadła na łożo. Z jej oczu natychmiast popłynęły rześiste łzy, lecz otarła je, powtarzając sobie, że to tylko kolejny objaw nadpobudliwości macicy.

\*

Jack nie potrafił zapomnieć o złotowłosym nieznajomym. Widział go w każdym śnie.

Tuż przed świtem przyśniło mu się, że nie tylko pomógł mu w ucieczce, lecz podążył za nim i uciekł z miasta. Po przebudzeniu poczuł się dziwnie rozczarowany. Nadal przebywał w Brenie, a tajemniczy mężczyzna odszedł razem z nocą.

Nastał już późny ranek. Letni dzień był ciepły i wietrzny, a po niebie przemykały blade kosmyki chmur.

W mieście roilo się od żołnierzy. Jack przebywał tu już od sześciu dni i zauważył, że do Brenu napływa coraz więcej wojska. W gospodach i burdelach pełno było najemników, gwardzistów diuka i czarnych hełmów wycofanych z pola bitwy. Spotykało się tam nawet trochę żołnierzy Kylocka, odzianych w błękitno-złote uniformy Królewskiej Straży. Jack starał się unikać ich wszystkich. Żołnierze oczekujący na bitwę skłonni byli wywoływać awantury tylko dla rozrywki.

Nie chciał też jednak zbyt od nich oddalać. Podobnie jak jego, żołnierzy przyciągała południowa dzielnica miasta. Jack z całą pewnością nie zamierzał zmieniać miejsca pobytu. Gdzieś tu ukrywała się Melli. Ostatnia noc dowiodła tego, czego już wcześniej się domyślał.

Gwardziści wspominali, że złotowłosy nieznajomy zamordował władcę Brenu. Jack słyszał o nim wiele pogłosek. Mówiono, że był obrońcą diuka, upadłym rycerzem, opiekunem Melli, a wreszcie jej kochankiem. Znaczyło to, że wczorajszej nocy ją opuścił, albowiem uciekł z miasta sam. Jack nie miał pojęcia, co z zasłyszanych słów jest prawdą, a co fikcją, widział jednak twarz nieznajomego i choć bardzo łatwo było uwierzyć, że potrafił zabić człowieka, wydawało się zupełnie niewiarygodne, by uczynił to bez uzasadnionego powodu.

Jack spojrział w jasnoniebieskie oczy zbiega i poznał jego naturę.

Nie. Nawet jeśli obrońca diuka uciekł od Melli, Jack nie żałował, że mu pomógł.

Niektóre uczynki nie podlegały kryteriom dobra i zła. Ich charakter określało przeznaczenie.

Wybrał ruchliwą ulicę i wmieszał się w najgęstszy tłum. Niedaleko stąd znajdowało się targowisko. Mógł tam znaleźć coś do jedzenia i jednocześnie obserwować ludzi.

Przepychając się przez tłum, Jack spoglądał w twarze wszystkim, którzy byli w pobliżu. Właściwie nie wiedział, kogo ani czego szuka. Z pewnością jakiejś wskazówki, być może kogoś, kto zachowywałby się podejrzanie, albo kogoś znajomego. Złotowłosy mężczyzna uciekał ulicą odległą stąd o niespełna milę i Jack był przekonany, że Melli jest gdzieś niedaleko.

Resztę ranka spędził na wałęsaniu się po rynku. Pomógł rzeźnikowi ćwiartować tusze w zamian za pieczonego kurczaka, poplotkował trochę z dwoma staruszkami o okolicznościach zamordowania diuka - znał teraz imię złotowłosego nieznajomego: Tawl - i wypytał o okolicę mężczyznę, który siedział na ulicy, strugając łódeczki ze szczap drewna przeznaczonego na opał.

Najwyraźniej, choć dzielnica słynęła ze zbrodni i prostytucji, w odległości zaledwie dwóch przecznic od targowiska znajdował się placyk, przy którym niektórzy potężni i wpływowi wielmoże utrzymywali dyskretne kamienice.

- Mieszkają tam ich łatwe dziewczki - wyjaśnił Breńczyk, znacząco mrugając.

Jack nie miał nic lepszego do roboty, postanowił więc wybrać się na ów placyk.

Pieczony kurczak leżał mu kamieniem w żołądku, a perspektywa beznadziejnych poszukiwań przyprawiała o przygnębienie. Szedł powoli, powłócząc nogami. Nie spodziewał się, że cokolwiek tam znajdzie. Robił to tylko dla zabicia czasu.

Gdy wreszcie dotarł na miejsce, przekonał się z rozczarowaniem, że placyk jest taki sam, jak inne. Był brudny i zaśmiecony, a budynki nie wyglądały zbyt imponująco, a do tego stanowczo wymagały remontu. Jak wszędzie w Brenie, na jego środku stała nieprzyjemnie bulgocząca fontanna. Otaczało ją kilka starych kwiaciarek, które skrapiały wodą bukiety.

Miał już zamiar odejść, kiedy doszedł do wniosku, że skoro już tu jest, równie dobrze może zaspokoić pragnienie. Musiał jakoś ulżyć przygniecionemu ciężkim kurczakiem żołądkowi.

Kiedy się zbliżył, kwiaciarki pierzchły jak chrząszcze. Uśmiechnął się. Nie przyzwyczał się jeszcze

do myśli, że kobiety się go boją. Zawsze był wysoki, ale dopiero po lekcjach, które pobierał u Rovasa, jego masa dorównała wzrostowi. Zrobił się szeroki w barach, potężne mięśnie rozsadyły mu bluzę, a ręce i nogi nadawały mu wygląd człowieka walczącego na arenie. Nawet kasztanowe włosy, związane w opadający na plecy koński ogon, z pewnością upodabniały go do dzikusa. Podobał mu się własny wygląd i do wczoraj, gdy zobaczył uciekającego ulicą nieznanego, wyobrażał sobie, że jest twardym facetem. W

porównaniu z tamym wciąż jednak wyglądał na niedorostka.

Uśmiechnął się i pochylił nad fontanną, by się napić. Woda była chłodna i miała smak ołowiu. Podeszedł jeszcze bliżej i wsadził twarz pod strumień. Spływająca po skórze woda przynosiła Jackowi ulgę.

Miał już zamiar odejść, gdy nagle zauważył mężczyznę, który wyszedł z domu po przeciwnej stronie placu. Nawet przez przesłaniającą wzrok kaskadę wody wydawał mu się znajomy. Wtem tajemniczy człowiek skręcił i Jack ujrzał jego profil: wielki nochal i wydatne brzuszysko. Chłopak cofnął się od fontanny, ocierając twarz. Mężczyzna skręcał już w jedną z odchodzących od placu ulic. Jack bez zastanowienia pobiegł za nim.

Znał go. Wysłuchiwał jego fatalnych, lecz szczerze udzielanych rad, przyglądał się ze zdumieniem, jak pochłania kolejne kufle *ale* i jako chłopiec wykonywał jego rozkazy. To był

Grift, zamkowy strażnik i ekspert od wszystkiego. Chłopak pognął w jego stronę, wołając go głośno po imieniu.

Mężczyzna odwrócił się, spojrzawszy na Jacka i zaczął uciekać.

- Grift! - krzyknął chłopak. - To ja, Jack. Z Zamku Harvell!

Strażnik zwolnił kroku. Po chwili znowu się odwrócił. Czekał, aż Jack go doścignie, mrużąc nerwowo oczy. Przyglądał mu się uważnie przez jakąś minutę.

- Na jaja Borca! - powiedział wreszcie. - To rzeczywiście ty. - Podeszedł do Jacka i obdarzył go potężnym uściskiem. Pachniał cudownie, zupełnie jak browar. Nagle odsunął się od niego. - Bez obrazy, chłopcze - mruknął. - To nie wygląda najlepiej, jeśli mężczyźni ściskają się publicznie. Popsujemy sobie reputację.

Serce Jacka wypełniała radość.

- Masz szczęście, że cię nie pocałowałem, Grift. Od miesiący nic mnie tak nie ucieszyło, jak to spotkanie.

- Ehe, chłopcze. Mniejsza z tym. - Grift rozpromienił się. - Gdybyś nie powiedział, kim jesteś, w ogóle bym cię nie poznał. Zrobiłeś się wielki niczym stodoła. Wyglądasz groźnie jak wdowa Harpit, kiedy coś ją rozeźli.

Jack parsknął śmiechem. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

- Za to ty wyglądasz tak samo jak zawsze, Grift. To twoje piwne brzuszysko to jeden z dziewięciu cudów świata.

Grift poklepał się z zadowoleniem po brzuchu.

- Ehe, chłopcze. Nic nie przyciąga wzroku dziewczek skuteczniej niż kałdun wielki jak okręt liniowy.

Nim Jack przestał się śmiać, Grift wciągnął go w cień. Rozejrzał się na boki, by się upewnić, że nikt ich nie obserwuje.

- Przybyłeś tu na wojnę, chłopcze? - wyszeptał.

- Nie, Grift. Próbuję odszukać Melliandrę. Muszę się upewnić, że nic jej nie grozi.

Grift spojrział mu prosto w oczy.

- A dlaczego miałbyś się nią interesować? Wszyscy w królestwach popierają Kylocka.

- Nic mnie nie obchodzi Kylock. Szukam Melli.

Grift pokiwał z namaszczaniem głową, jakby otrzymał odpowiedź, na którą liczył.

- Wygląda na to, że potrafisz sobie radzić, chłopcze. - Wskazał na zatknięty za pas Jacka nóż. - Umiesz się tym posługiwać?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Można by tak powiedzieć.

- No dobra, chłopcze. Szukasz lady Melliandry. No więc, tak się składa, że jest znacznie bliżej niż ci się zdaje.

- W tym domu, z którego wyszedłeś? - Jack ledwie mógł zapanować nad podnieceniem.

- Ehe. Chodź, chłopcze. Pójdziemy tam, żebyś mógł ją spotkać. Od wczoraj jest okropnie przygnębiona. Może twój widok deczko ją rozweseli.

Mówiąc to, Grift zawrócił w stronę budynku.

Jack tylko z największym wysiłkiem powstrzymywał się, by nie ruszyć biegiem.

Wreszcie znalazł to, po co tu przybył. Droga skończyła się, nim na dobre zdążyła się zacząć.

Rozległo się pukanie do drzwi, wymieniono pozdrowienia i odsunięto rygle. Za drzwiami stał

Bodger. Przywitał Jacka słowami, których ten właściwie nie usłyszał.

Bez żadnych wskazówek, chłopak skierował się ku schodom. Poczul na swych plecach czyjeś dłonie.

Nie wiedział, czy go poklepują, czy też próbują powstrzymać. Grift powiedział coś ostrzegawczym tonem, lecz Jack nie zwracał na niego uwagi. Minął okno wykuszowe z ławeczką, a potem znalazł się pod zamkniętymi drzwiami.

Nim serce zdążyło mu uderzyć choć raz, drzwi otworzyły się przed nim. Na progu stała Melli. Jej usta poruszyły się, lecz nie wydała z siebie głosu. Rozpostarła ramiona i, nim Jack zdążył się zorientować, wpadł w nie, przytulił się do jej piersi i całował słodką skórę jej szyi, z każdym oddechem dziękując Borcowi za to, że wskazał mu drogę.

\*

- Połączone armie Annisu i Highwall dotrą do miasta nie później niż za cztery dni.

Baralis stał, choć chętnie by usiadł. Wciąż czuł się zmęczony po zaczerpnięciu mocy, którego dokonał, by naprawić kręgosłup Catherine. Wołał jednak nie okazywać słabości w obecności Kylocka. Dlatego stał w obecności króla, w razie potrzeby wspierając się o obramowanie kominka.

- Potwierdzasz tylko informacje, które przynieśli mi zwiadowcy - rzucił obojętnym tonem monarcha.  
- Jutro będę już znał ich liczebność.

- Sądzę, że możemy śmiało założyć, iż będzie ich wystarczająco wielu, by przystąpić do oblężenia na pełną skalę.

Baralis był poirytowany wyniosłością Kylocka. Przed niespełna tygodniem młody król omal nie zepsuł wszystkiego, a teraz spokojnie udawał, że nie ma się czym przejmować.

Choć komnata należała do Baralisa, Kylock czuł się w niej jak u siebie w domu.

Usadowił się w niedbalej pozie na wyściełanej ławie i zdążył już nalać sobie kielich wina.

- Wszystko zaplanowałem - zapewnił.

Baralis wybiegł myślami naprzód.

- Odwołałem breńskie wojska z pola walki, ale nim dotrą tu oddziały rozlokowane na wschodzie, minie kilka tygodni. Na twoim miejscu porozmawiałbym z lordem Gresifem. On zna fortyfikacje Brenu jak własną kieszeń. Przeciągnij go na naszą stronę. Obiecuj mu, co tylko będziesz musiał.

Nieoczekiwanie Kylock skinął głową.

- Masz rację. Mam już serdecznie dość widoku map. Potrzebuję kogoś, kto wszystko mi przekaże. Przyślij go do mnie wieczorem.

- Proszę bardzo. - Baralis nie lubił, by ktoś mu rozkazywał, uznał jednak, że w chwili, gdy Brenowi groziło oblężenie, lepiej będzie trzymać język za zębami. - Są jeszcze bramy.

Powinniśmy zamknąć na noc wszystkie oprócz jednej i od tej chwili nie wpuszczać do miasta

żadnych cudzoziemców. Za dwa dni należy zamknąć i tę. Obwieszczenia musimy rozwiesić już dzisiaj. - Baralis przerwał na chwilę, by się zastanowić. - Jeśli chodzi o zapasy, nie powinniśmy mieć problemów. Dziś rano przybyły ostatnie transporty zboża i bydła. Gdyby się okazało, że potrzebujemy więcej, będziemy musieli wszystko sprowadzać przez jezioro.

- A co ze zbożem na polach?

- Do żniw zostało jeszcze kilka tygodni.

- Wszystko, czego nie uda się zebrać w ciągu najbliższych trzech dni, trzeba spalić.

Baralis zaczerpnął głęboko tchu.

- Jeśli to zrobisz, będziesz miał na głowie rozruchy.

Kylock pociągnął łyk wina.

- W takim razie buntowników również trzeba będzie spalić. - Przesunął się na ławie, opuścił stopy na podłogę i usiadł prosto. Wiesz, że nie możemy dopuścić do tego, by armia Highwall zastała nie zebrane zboże. W ten sposób karmilibyśmy wrogich żołnierzy. Nie pozwolę, żeby ogołocili nasze pola i żywili się naszym zbożem.

Pod koniec tyrady głos Kylocka stał się twardy jak metal.

Baralis przyglądał mu się przez chwilę. To, co mówił, miało sens, lecz jego ton budził

niepokój kanclerza. Jak poważne ślady zostawiła w nim noc poślubna? Patrząc na niego, nikt by się nie domyślił, że dopuścił się tak okropnego czynu. Był pięknie i starannie ubrany, ciemne włosy miał świeżo przystrzyżone, podbródek gładko wygolony, a strój w subtelnych odcieniach czerni. Jego pewność siebie dochodziła do granic nonszalancji. Nie okazywał

żadnych oznak napięcia czy wewnętrznej udręki.

Jeśli jednak przyjrzeć mu się uważnie, tak jak uczynił to Baralis, można było zauważyć dziwne przyzwyczajenia monarchy. Pijąc z własnego kielicha, Kylock nigdy nie zapominał wytrzeć najpierw jego brzegu i tylko z najwyższym niesmakiem brał w ręce cokolwiek, co najpierw dotknął sługa. Ponadto opuszki palców zawsze miał czerwone i pokryte drobnymi rankami. Tak jest, pomyślał Baralis. Kylock z pozoru wydaje się normalny, lecz jego dusza jest kufrem pełnym sekretów. Kluczem do tego kufra z pewnością było *ivysh*.

Obłąd, paranoja, urojenia: wszystko brało początek w białym, połyskliwym narkotyku.

Kanclerz nie miał pojęcia, co spowodowało, że Kylock skrzył kark Catherine, był

jednak przekonany, że przyczyną ataku szału było *ivysh*. Narkotyk przywołał jego demony i król nie zdołał udźwignąć ich ciężaru.

Nie było ważne, dlaczego Kylock zamordował żonę. Co się stało, to się nie odstanie, a sprawę udało się skutecznie zatuszować. Liczył się wyłącznie fakt, że potrafił w jakiś sposób zaczerpnąć mocy. Zdołał tego dokonać mimo straszliwie wysokiego poziomu *ivysh* we krwi.

Wszystkie jego naczynia krwionośne pokrywała od wewnątrz warstewka narkotyku. Coś takiego nie powinno być możliwe. Nie istniało nic silniejszego od *ivysh*. A jednak Kylockowi się udało. Przewyciężył potężne działanie hamujące narkotyku, wyrywając się z jego białych jak kość okowów.

Niemniej mógł to być przypadek, jedno z owych niezwykłych wydarzeń spowodowanych gwałtownymi, rzadko odczuwanymi emocjami. Być może w noc poślubną Kylock postanowił wziąć mniejszą dawkę. Nawet Baralis nie wiedział, jak *ivysh* wpływa na potencję.

Bez względu jednak na przyczynę, nie mógł dopuścić do tego, by coś takiego się powtórzyło. Trzeba zwiększyć Kylockowi dawki. Baralis polecił już, by wszystko, co król je, posypywano narkotykiem. Po paru tygodniach, gdy w jego daniach zabraknie „przyprawy”, młody monarcha poczuje zwiększony głód *ivysh*, co zmusi go do zażywania większej ilości.

- Jeszcze dziś wyślę do miasta kontyngent Królewskiej Straży - zapowiedział Kylock, przerywając tok jego myśli. - Chcę, żeby zdrowo nastraszyli każdego, kto odważy się choć wymienić imię Melliandry. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek popierał ją albo jej dziecko. -

Zacisnął skrytą w rękawicy dłoń w pięść. - Tych, którzy mi się sprzeciwiają, trzeba przykładowo ukarać.

Wtem jego oczy utraciły wszelki wyraz. Widząc, że skierował wzrok do wewnątrz, Baralis zadrżał. Kylock żywił upodobanie do ostrych mieczy, płonących ciał i rozlewu krwi.

Kanclerzowi żal było nieszczęsnych nędzników, którzy odważą się przeciwstawić nowemu monarsze.

Po chwili spojrzenie Kylocka odzyskało ostrość.

- Królewska Straż może się zająć też kowalami - stwierdził, rozluźniając pięść. -

Niektórzy z nich lekceważą moje rozkazy i wykuwają lichtarze albo sprzączki do pasów, podczas gdy ja potrzebuję grotów do strzał i włócznie.

- Lepiej wyślij ludzi diuka - poradził Baralis. - Miejscowi żołnierze wzbudzą mniej wrogości niż cudzoziemcy.

Kylock spojrzał na niego ostro.

- Zawsze jesteś dyplomata, Baralisie.

- Ktoś musi nim być - warknął kanclerz.

Dwaj mężczyźni spoglądali sobie przez chwilę w oczy. Powietrze między nimi zaiskrzyło nagle

napięciem. Baralis wiedział, że to on musi odezwać się pierwszy.

- Poza tym - dodał - chcę, żeby Królewska Straż wznowiła przeszukiwanie miasta.

Południowa część nadal pozostaje nietknięta.

Zgodnie z przewidywaniami kanclerza, te słowa natychmiast rozproszyły napięcie.

Kylock wstał.

- Przecież obrońca diuka uciekł z miasta. Ścigało go sześciu gwardzistów, którzy widzieli, jak czmychnął pod murem niczym szczur.

- Zrobił to dla zmylenia nas, Kylocku - stwierdził Baralis.

- Myślisz, że wrócił do Brenu?

- Nie, sądzę, że uciekł stąd dlatego, że wiedział, iż zbliżamy się do celu. - Podszedł do rozmówcy. - Pomyśl, panie. Dlaczego postarał się o to, by go zobaczono? Już wcześniej otworzył bramę służy. Dlaczego nie uciekł wtedy? - Baralis uśmiechnął się zdawkowo. -

Jestem przekonany, że chodziło mu o to, byśmy się dowiedzieli, iż opuścił miasto.

- I odwołali poszukiwania?

- W rzeczy samej. Uczyniliśmy to, czego od nas chciał. Uważam, że powinniśmy jutro przeszukać pominięty obszar. Zapewne nie znajdziemy mordercy, ale może uda się nam odszukać pewną damę.

Kylock skinął głową.

- Zgoda. Poszukiwania zaczną się przed świtem.



W życiu człowieka trafiają się niekiedy noce, które mogłyby nigdy się nie skończyć.

Dla Jacka była to właśnie jedna z takich nocy.

Nadchodził już świt. Na ich oczach wiele świec zdążyło się wypalić i zgasnąć w kałuży wosku.

Rozmawiali, śmiali się, dzielili winem, chlebem i milczeniem, dotykali swych dłoni i barków, a także opowiadali o tym, co ich spotkało. Była to noc pełna niespodzianek i wzajemnego, subtelnego zrozumienia. Melli była piękna, bardziej promienna, lecz zarazem twardsza niż niegdyś. Jej osobowość stała się mocna jak stal, a gdy żartowała, w jej głosie pobrzmiwała niekiedy nuta goryczy. Jednak była nie tylko rozgoryczona, lecz również pełna smutku. Dwukrotnie już ujrzał w jej oczach łzy - raz? gdy opowiadała o spotkaniu z Mayborem w komnacie bankietowej pałacu diuka, a drugi raz, gdy mówiła o mężczyźnie imieniem Tawl. Nad diukiem nie roniła łez.

Jack wywnioskował z jej słów, że jest zakochana w Tawlu. Co dziwne, zaprzeczyła temu, twierdząc, że to Tawl ją kocha. Jack nie dał się oszukać. Kiedy kobieta mówi o mężczyźnie tak, jak Melli o Tawlu, można wyciągnąć tylko jeden wniosek. Po prostu jeszcze o tym nie wiedziała.

Gdy jej oznajmił, że widział, jak Tawl uciekał z miasta, uściśniła mu dłoń tak mocno, że knykcie zbieleły jej z wysiłku.

- Jak wyglądał? - zapytała.

Powiedział jej, że wyglądał wspaniale, co zresztą było prawdą.

Potem do izby wszedł lord Maybor i rozmowy o Tawlu ustały. Jack wyczuwał między ojcem a córką odrobinę napięcia i domyślił się, że jego przyczyną jest ucieczka obrońcy diuka.

Grubas potraktował Jacka z chłodną uprzejmością, lecz jego stosunek do niego poprawił się nieco, gdy usłyszał, że chłopak biegle włada bronią. Wszedł po kilku minutach, mamrocząc pod nosem, że nadeszły naprawdę kiepskie czasy, jeśli wielmoże muszą polegać na opiece kuchcików. Melli zaczęła przeproszać za jego zachowanie, lecz Jack ją powstrzymał.

- Już od dawna nie jestem kuchcikiem, lecz nie obrażam się, gdy ktoś mi wypomina przeszłość - stwierdził. - Nie wstydzę się tego, kim byłem.

Potem ich nastrój się poprawił. Bodger i Grift zapukali dyskretnie do drzwi, a gdy weszli do środka, urządzili w izbie prawdziwy bankiet. Przynieśli wino, *ale*, ser i szynkę.

Grift zalecał jajka na trawienie, węgore dla pokrzepienia duszy, zimną baraninę dla znużonych podróżą i niedojrzałe morele dla dręczonych mdłościami. Jedli, aż żołądki zaczęły im pękać w szwach, i pili, aż pokój wokół nich zawirował. To oddawali się radości, to wygłupiali, to popadali w melancholię, to znowu się rozrzewniali. Rolę wodzireja nastroju zawsze grał Grift.

Potem, gdy Bodger spadł z krzesła i przyjaciel był zmuszony wynieść go z pokoju, zapadła spokojna, senna cisza. Jack siedział obok Melli. To przysypiali, to znowu się budzili.

W jednej chwili zwierzali się sobie z rozmaitych sekretów, w następnej zaś cicho pochrapywali. Opowiedział jej wtedy o Tarissie, lecz pominął wszystkie nieprzyjemne szczegóły. Podczas tej relacji jego stosunek do tego, co zaszło, zaczął się powoli zmieniać.

Od dawna myślał tylko o tym, co było złe, i gdy teraz mówił głośno o tym, co było dobre, poczuł się głęboko poruszony. Kiedy opowiadał Melli o temperamencie Tarissy, o jej umiejętności w walce i błyszczących piwnych oczach, wszystko to ożyło w jego pamięci. Ból zelżał, przechodząc w żal, który dodatkowo łagodziło zrozumienie. Tarissa nie miała innego wyjścia. Kłamała, twierdząc, że Melli nie żyje, gdyż w przeciwnym razie musiałaby sama zabić Vanly'ego.

Melli wysłuchiwała jego relacji z wielką cierpliwością, choć wypytywała go o wygląd Tarissy tak długo, iż był w końcu zmuszony przyznać, że wcale nie była idealną piękną, a nos miała trochę krzywy.

- Tak samo jak ty - zauważyła Melli, zadowolona z tego, że zaspokoił jej próżność. Jej nosowi nie sposób było nic zarzucić.

Żartowali ze sobą jeszcze chwilę, dogryzając sobie nawzajem. W pewnej chwili Melli kopnęła go w gołe nogi, a potem uszczypnęła mocno w przedramię, on zaś w rewanżu pociągnął

ją za ucho i ścisnął czubek nosa. W ich atakach nie było jednak siły ani złości. Stanowiły jedynie pretekst, który pozwalał im się dotykać.

Teraz siedzieli cicho, czekając na świt. Żadne nie chciało pożegnać się pierwsze.

Gdy umysł Jacka spowiła mgiełka, która zwykle poprzedza nadejście snu, rozległ się donośny łoskot.

Nie przejmuj się, to tylko sen, przemknęło mu przez głowę. Hałas rozległ się jednak znowu, tym razem głośniejszy i bardziej natarczywie. Chłopak otworzył oczy. Melli zdążyła już zrobić to samo. Odgłos łomotania do drzwi wypełniał echem całą izbę.

- Przyszli po mnie - stwierdziła dziewczyna, spoglądając na niego.

Jack zerwał się na równe nogi.

- Zostań tutaj.

Sprawdził nóż i wypadł z pokoju, błyskawicznie zbiegając po schodach. Na dole znalazł Bodgera i Grifta. Ten pierwszy miał podkrążone oczy, a wargi pokrywały mu płatki popękanej, zeschniętej skóry. Strażnicy dźwigali we dwóch wielką deskę, którą próbowali zabarykadować drzwi.

Łoskot rozległ się ponownie.

- Otwierać! Otwierać! - wołał ktoś po drugiej stronie. - W imieniu króla.

Jack przejął koniec deski z rąk Bodgera.

- Znajdź Maybora - polecił mu. - Obudź go i powiedz, żeby poszedł po Melli.

Dopilnuj też, żeby wzięła ciepły płaszcz.

Bodger zawahał się.

- Pędź już! - krzyknął Jack. Gdy strażnik go usłyszał, chłopak zwrócił się w stronę Grifta. - Umocujmy tę deskę.

- Liczę do dziesięciu - krzyknął ktoś na zewnątrz. - Potem wywalimy drzwi.

- Jak myślisz, ilu ich jest? - zapytał Jack, gdy obaj z Griftem pociągnęli deskę ku drzwiom.

- Dziesięć!

- Jeśli to ta sama grupa, którą Kosiarz widział w zeszłym tygodniu, to jest ich sześć -

odparł strażnik, przekrzykując odliczającego żołnierza. - Mają miecze, halabardy i pochodnie.

Bez wahania puszczą dom z dymem.

- Sześć!

Jack oparł koniec deski o futrynę i spróbował wepchnąć drugi w otwór drzwi. Za sobą usłyszał kroki kogoś, kto wbiegał po schodach. Odliczanie dobiegało końca.

- Trzy!

Pot spływał mu po czole, skapując na drewno. Chłopak wyęczał każdy miesiąc. Deska była trochę za długa.

- Dwa!

Ale, na Borca, wsuwała się. Jack przesunął lekko uchwyt, wciskając mocno pierwszy koniec deski w futrynę. Grift nacisnął na nią z całej siły i udało mu się wsunąć ją trochę dalej.

- Jeden!

Jack wtłoczył koniec deski w futrynę. Uderzenie tylko o włos chybiło palców Grifta.

Było tak silne, że drewniana powierzchnia rozprysnęła się w drzazgi.

- Koniec! Wchodzimy!

Jack dyszał szybko i ciężko. Bluza przesiąkła mu potem. Grift spojrział na niego z uśmiechem.

- Dobra robota, chłopcze.

Przez krótką chwilę po drugiej stronie drzwi panowała cisza, po czym rozległ się straszliwy hałas, od którego dom zatrzęsł się w posadach. W drzwi uderzył taran.

Deska wytrzymała.

Na schodach pojawili się Melli, Maybor i Bodger.

- Czy jest stąd inne wyjście? - zapytał Maybora Jack.

- Są drzwi w kuchni - odpowiedział za grubasa Bodger. - Prowadzą na drugą ulicę.

Trzask! Taran uderzył po raz drugi. Tym razem wstrząsowi towarzyszył odgłos pękającego drewna.

- Dobra - powiedział Jack. - Będziecie musieli podjąć to ryzyko. Macie broń? -

Wszyscy, w tym również Melli, skinęli głowami. - W porządku, zwiewajcie. Ja zostanę tutaj i dopilnuję, żeby was nie ścigali.

- Ale, Jack...

- Nie, Melli - przerwał Maybor. - Chłopak ma rację. Jeśli ruszą za nami w pościg, nie będziemy mieli szans.

Trzask! Znowu posypały się drzazgi.

- Macie gdzie się ukryć? - zapytał Jack.

Maybor skinął głową.

- Lord Cravin ma tu niedaleko podziemny magazyn. Chyba pod jatką. - Podał Jackowi adres. - Spotkamy się na miejscu.

Trzask! Drzwi przesunęły się trochę. Zawiasy zaczynały puszczać.

- Uciekajcie! - krzyknął Jack. Nieustanny łoskot drażnił mu nerwy. - Dogonię was za kilka minut.

Grift położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie rób nic głupiego, chłopcze.

Melli, Maybor i Bodger zbiegli ze schodów i zniknęli w kuchni. Dziewczyna zatrzymała się na chwilę, by bezgłośnie przekazać mu słowa: „Uważaj na siebie”.

Gdy wreszcie wyszła, Jack poczuł ulgę. Teraz przynajmniej miała szansę ucieczki.

Spokój szybko go jednak opuścił. Drzwiami wstrząsnęło kolejne uderzenie. Jeden z zawiasów nie

wytrzymał. Futryna zaczęła pękać. Między nią a drzwiami pojawiły się prześwity. Natychmiast padł następny cios. Pękł drugi zawias. Całe drzwi przesunęły się, a deska złamała.

Jack spojrział w stronę kuchni. Jego przyjaciele uciekli przed niespełną minutą. Musiał dać im więcej czasu.

Drzwi runęły na podłogę w obłoku kurzu i drzazg. Chłopak wyciągnął nóż i podszedł bliżej. Dwaj uzbrojeni w halabardy mężczyźni ruszyli ku niemu, przechodząc nad resztkami drzwi. Mieli na sobie uniformy Królewskiej Straży. Za nimi podążali następni. Nie widział, ilu ich jest. Musiał się upewnić, że wszyscy zajmą się nim. Melli potrzebowała czasu.

Dwaj żołnierze wymierzili swój oręż w stronę jego brzucha. Jack nie potrafił ich powstrzymać. Nóż nie mógł się równać długością z halabardą i chłopak musiał się cofnąć.

Myślami przebywał z Melli. Chciał pobiec za nią, upewnić się, że nikt nie będzie jej ścigał.

Nie zdoła się przecież sama bronić. Była w ciąży!

Wdzierający się do środka żołnierze wzbudzili w nim gniew. Nie pozwalali mu pójść do Melli. Gdy uchylał się przed ich ciosami, ani na chwilę nie przestając się cofać, narastało w nim znajome napięcie. Wzmacniała je myśl, że mogą pojmać Melli, skrzywdzić ją, znęcać się nad nią. Czaszkę otoczyła mu ciasna opaska, a żołądek zaczął się kurczyć. Nie walczył z tym uczuciem. Pozwalał mu narastać, przywoływał je, kształtował, wpływając na otaczające go powietrze.

W korytarzu było już kilku strażników. Jack cofnął się jeszcze o krok i poczuł za plecami ścianę.

Jeden nóż przeciw siedmiu halabardom. Nie miał szans.

Celowo skupił myśli na Melli, na jej niedoli, grożącym jej niebezpieczeństwie. W ten sposób łatwiej mu będzie przywołać gniew. Potrzebował go, gdyż tylko on mógł wykrzesać iskrę.

Strażnicy posuwali się ostrożnie naprzód. Choć Jack przebywał myślami w innym miejscu, nie zapomniał o nożu. Zataczał nim kręgi, robiąc gwałtowne wypadki w stronę napastników.

Skierował umysł na powietrze przed sobą. Dostrzegał jego luźną naturę, czuł jego taniec.

Ktoś spróbował trafić go halabardą w twarz. Jack uchylił się. Za plecami miał ścianę i nie mógł już cofnąć się bardziej. Zostały mu tylko ułamki sekund.

Skupił się na powietrzu, zagęścił je, przyciągnął do siebie. Z początku opierało się, a potem zaczęło rzucać na niego czar. Zignorował i jedno, i drugie. Kolec halabardy ukłuł go w ramię, a przypominające topór ostrze otarło się o bark. Zamachnął się nożem jak szaleniec.

Zdesperowany, przerażony, zagnany pod ścianę Jack skupił powietrze w kulę. W tej samej chwili jego żołądek skurczył się gwałtownie, na języku poczuł smak metalu, a w głowie nieznośny ucisk.

Wyobraził sobie Melli, która biegła ulicą, ścigana przez strażników.

Powietrze stało się ciężkie jak olej. Zagęściło się, skłębilo. Strażnicy zaczęli się cofać.

Nie sposób tu było oddychać. Jack poczuł na języku smak czarów. Powstrzymywał je tak długo, jak tylko mógł, a potem pchnął ku gęstniejącemu powietrzu.

Fala uderzeniowa trafiła prosto w strażników. Trzej grzmotnęli o przeciwległą ścianę, czwarty o framugę, a piąty wypadł przez drzwi. Powracający podmuch wcisnął Jacka w ścianę. Uszy bolały go od ogłuszającego hałasu. Nadal nie mógł oddychać. Powietrze przeszył odrażający trzask łamanych kości. Nawet jeśli ktoś zdołał zaczerpnąć tchu, by krzyknąć, Jack tego nie usłyszał.

Wtem chaos się uspokoił, równie gwałtownie, jak się zaczął. Powietrze zamigotało, a potem znieruchomiało. Kurz opadł na podłogę wraz z kawałkami tkaniny i skóry oraz włosami. Jack wciągnął powietrze w płuca, gwałtownie i spazmatycznie. Gdy podmuch ucichł, chłopak osunął się w dół. Musiał się złapać najbliższej belki, żeby nie paść na kolana.

Czuł się słaby, oszołomiony. Miał wrażenie, że jego ciało nigdy nie było tak ciężkie.

Przed sobą zobaczył rezultaty zaczerpnięcia mocy. Korytarz wyglądał tak, jakby przeszło nim tornado. Wokół wejścia wałały się odłamki drewna i skrawki dywanu. Drzwi rozpadły się na kawałki. Niektórzy ze strażników z jękiem ocierali krew z twarzy lub sprawdzali stan połamanych kończyn, próbując się podnieść. Inni milczeli. Wysiłek, jaki włożyli w uniesienie głowy, czy wyciągnięcie ręki spod ciała, pochłonął całą resztkę ich wątłych sił. Jeszcze inni nie poruszali się w ogóle.

Jack odwrócił się. Zobaczył już wystarczająco wiele. Spojrzawszy na własną dłoń, przekonał się, że ani na moment nie wypuścił z ręki noża. Rovas byłby z niego dumny.

Rozciągnął usta w posępnym uśmiechu. Pora wracać do Melli.

\*

Kiedy Kosiarz zbyt długo przebywał poza miastem, czuł się jak nałogowiec na głodzie. Miał we krwi miejskie życie. Karmił się podnieceniem, które znajdował na ulicach: emocjami związanymi z wyborem ofiary, dreszczykiem towarzyszącym kradzieży i zadowoleniem z odniesionego sukcesu. Nic nie mogło się równać z miastem. Pełno w nim było cudów: woniejących stosów odpadków, które wymagały zbadania, rulonów gotówki, którą koniecznie należało wprowadzić w obieg i podejrzenie wyglądających typków, którzy szukali zaczepki. Wszędzie zawierano umowy, wymieniano towary i sprzedawano usługi.

Interes kwitł.

Kosiarz również był człowiekiem interesu i tego właśnie najbardziej mu brakowało.

Tutaj, pośród pól, można było dobić targu tylko z myszą albo z wieśniakiem! Równie dobrze mogłby zwinąć się w kłębek pośród pszenicy i spać aż do żniw.

Ułożenie się do snu na tych polach nie byłoby jednak dobrym pomysłem, chyba że ktoś chciałby spalić się na węgiel razem ze zbożem. Kosiarz potrząsnął powoli głową, spoglądając na widoczną na horyzoncie smugę czarnego dymu. Kylock palił plony.

Przez cały ranek mijał oddziały żołnierzy. Wszyscy nieśli pochodnie i drewniane beczułki. Kosiarz nie znalazł się na takich sprawach, nie wątpił jednak, że mają w nich jakiś materiał, który ułatwiał szerzenie się ognia. Pewnie naftę, albo szcurzy olej.

Tak czy inaczej, wypełniająca beczki substancja spełniała swe zadanie.

Wczesnopopołudniowe powietrze przesyciła woń spaleniwna, wiatr niósł ze sobą zwęglone płatki, a słup gęstego dymu z minuty na minutę był coraz bliżej. Wszystkie plony, których nie można jeszcze było zebrać, palono.

W innej sytuacji Kosiarz z przyjemnością zobaczyłby coś takiego na własne oczy, teraz jednak spoważniał na ten widok. Wojna wydała mu się czymś realnym i nieuniknionym.

Co prawda, mówiono o niej od tygodni, a nawet miesięcy, lecz do tej pory nie traktował tego zbyt poważnie. Płonące pole ukazywało prawdziwe oblicze wojny: bezmyślne zniszczenie, marnotrawstwo środków i czysty obłęd całego tego przedsięwzięcia.

Żołnierze z pochodniami byli weseli, a nawet szczęśliwi. Cieszyli się, że mają coś do roboty, zamiast czekać biernie na nadejście nieprzyjaciela. Wieśniacy wpadli w szal.

Niektórzy próbowali atakować żołnierzy widłami i maczugami, inni starali się zebrać tyle, ile mogli, garstka zaś siedziała przy drodze i płakała.

Kosiarz starał się trzymać od tego wszystkiego z daleka. Wybierał spokojne ścieżki biegnące polami, z których zebrano już plony, czy obok sennych siół, gdzie zamiast uprawy ziemi zajmowano się hodowlą. Nic jednak nie mogło go powstrzymać przed spoglądaniem na osnuwający horyzont czarny dym. Gdy tylko pomyślał o nadchodzących wydarzeniach, jego drobnymi ramionami wstrząsał dreszcz.

Wszyscy porzucali swe domostwa. Główne trakty były zapchane ludźmi, którzy uciekali do Brenu, chcąc skryć się w jego murach przed armią Highwall. Całe rodziny, ciągnące objuczone muły i zwierzęta gospodarskie, szły obok mnichów z wozami wypełnionymi winem i młynarzy, którzy nieśli worki pełne ziarna, a przed sobą toczyli kamienie młyńskie. Żołnierze, rycerze i najemnicy przepychali się przez tłum. Ich poranione stopy broczyły krwią, a bojowe rumaki szczyrzyły poźółtkę zębiska. Z tłumy regularnie wyciągano młode kobiety, zwierzęta gospodarskie, płody rolne i konie. Zbrojni brali sobie wszystko, co tylko wpadło im w oko. Stare wieśniaczki wrzeszczały, gdy ich wiosenne jagnięta ładowano na wozy, a dobytek podczas towarzyszącej temu bijatyki rozbijano w drzazgi. Żołnierze skręcali kurom łebki, a dzieci zawodziły, kiedy ich matki odciągano na bok.

Kosiarzowi nie podobały się takie widoki. Nigdy jeszcze nie widział wojny i zdecydowanie nie miał ochoty zapoznawać się z nią bliżej.

Z drugiej strony - pomyślał, przeciągając te słowa, by nacieszyć się zdradziecką myślą, która je zrodziła - na wojnie można zarobić sporo gotówki. Całe worki. Rozkwitnie czarny rynek, chomikowania zapasów, konfiskaty, wymuszenia i spekulacja, a także wiele innych, towarzyszących zwykle działaniom wojennym, form działalności. Oto dlaczego powinien teraz być w mieście. Na pięknych ulicach Brenu czekała na niego życiowa szansa, a on przebywał na wsi, niezdolny jej wykorzystać.

Szczerze mówiąc, w żadnym wypadku nie opuściłby tego grodu, gdyby nie zleciła mu tego pewna piękna, szlachetnie urodzona dama. No cóż, może nie było to do końca prawdą - z całego serca pragnął odnaleźć Tawla - dlaczego jednak dobre uczynki zawsze pozostawały w konflikcie z wymogami interesów? Dlaczego nie mógł uczynić czegoś dobrego i do tego na tym zarobić?

Splunął, przyglądał sobie włosy, podciągnął portki i odwrócił się od dymu i płonących płonów. Nie powinien marnować czasu, w jednej chwili żałując, że nie został w mieście, a w następnej czując z tego powodu wyrzuty sumienia. To po prostu nic nie dawało.

Jego zadaniem było odnaleźć Tawla i oddać mu list od Bevlina. Musi się skupić na swej misji. Pora już zrobić użytek z głowy.

Odkąd wczoraj opuścił Bren, odwiedzał wszystkie pobliskie miasteczka i wioski, poszukując śladów pobytu rycerza. Nie znalazł żadnych, co go nie zaskoczyło. Tawl z pewnością wolał nie rzucić się w oczy, w obawie, by nie pojmały go władze. Na pewno był

niedaleko - nie chciał oddalać się zbyt od lady Melliandry - lecz przebywał w jakimś bezpiecznym miejscu. Mogła to być stodoła, ruiny chaty albo nawet kurnik. Wszyscy uciekali do miasta i miejsc, mogących służyć za kryjówkę było pod dostatkiem.

Na myśl o tym, że Tawl przebywa gdzieś tu sam, Kosiarz nie mógł nie czuć zadowolenia, że nie opowiedział mu o spotkaniu Baralisa z Tyrenem. Jego przyjacielowi i tak było w tej chwili bardzo ciężko i nie potrzebował dodatkowych zmartwień. Och, zamierzał

mu o tym wspomnieć, lecz gdy wrócił do kamienicy, czuł się zbyt znużony, a nazajutrz było Święto Pierwszego Cudu Borca i w żaden sposób nie mógł opowiedzieć rycerzowi o zdradzie Tyrena w tym najświętszym z dni. Tawl prawie całą dobę siedział przy oknie, spoglądając na południe, w stronę Valdis.

Kosiarz westchnął. Wiedział, że kiedyś będzie musiał powiedzieć mu prawdę, lecz z upływem czasu stawało się to coraz trudniejsze.

Teraz jedno było pewne. Kiedy odszuka rycerza, nie wspomni mu o tym ani słowem.

Musiał przekazać list Bevlina, by dać Tawlowi powód do wznowienia misji.

Podjąwszy tę decyzję, Kosiarz poczuł się znacznie lepiej. Zostało mu tylko domyślić się, gdzie może ukrywać się jego przyjaciel. Potarł dłonią podbródek, wyęzając myśli.

Szybcior, który zawsze poszukiwał kogoś z myślą o zemście, nagrodzie lub morderstwie, powiedział



kiedyś: „Szczur może uciec z tonącego okrętu, lecz zawsze zamieszka we wraku.

Ludzie są tacy sami. Jeśli tylko mają wybór, zawsze wolą to, co znane”. Zakładając, że Szybcior miał rację - a do tej pory Kosiarz nigdy nie miał powodów, by zwątpić w jego mądrość - znaczyło to, że Tawl uda się w miejsce, w którym już kiedyś był. Gdzieś niedaleko.

Chłopak ścisnął podbródek tak mocno, że krew przestała mu dopływać do warg. Ten pomysł z myśleniem był znacznie trudniejszy niż mu się zdawało.

I nagle, jak dar od bogów, zstąpiło na niego olśnienie. Domek myśliwski diuka!

Oczywiście! Dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Tawl uda się właśnie do niego. Znał to miejsce, tam po raz pierwszy spotkał Melli; domek leżał niedaleko od miasta, a z uwagi na śmierć diuka, wojnę i tak dalej, zapewne nikogo w nim nie zastanie.

Kosiarz był tak podekscytowany sprawnością własnego mózgu, że aż podskoczył w górę i strzelił obcasami. Natychmiast jednak się opanował. Z podnieceniem nie można było przesadzać.

Ruszył na północ z taką samą nonszalancją jak poprzednio. Wiedział tylko tyle, że domek myśliwski leży gdzieś na północny zachód od miasta, w odległości mniej więcej sześciu godzin konnej jazdy. O resztę będzie się musiał wypytać po drodze. Wzruszył

ramionami. Podobne zadania zawsze rozwiązywał z łatwością. I kto wie? Może nawet ktoś go podwiezie.

\*

Dzień chylił się już ku końcowi. Chmury przesłaniające słońce były już czarne, a niebo szybko ciemniało. Z gór wiał nocny wiatr. U podstawy potężnych turni było tak zimno, że musiał rozpalic ogień i założyć zimowy płaszcz. Chłód przenikał go aż do szpiku kości.

Spoczął na trawie, której nie koszone przynajmniej od miesiąca. Przed wiatrem chroniła go ściana budynku, w którym od równie długiego czasu nikt nie mieszkał. Siedział

pod domkiem myśliwskim diuka u stóp Wielkiego Wododziału, czekając na odpowiednią chwilę.

Dziś rano Tawl przekonał się, że jeśli wdrapie się na dach domku i spojrzy na południowy wschód, zobaczy Bren. Do miasta wcale nie było tak daleko. Spędził na górze cały dzień, próbując dostrzec w blasku słońca ulice i większe budynki. Gdy nadszedł

zmierzch, spoglądał na ciemny zarys grodu, próbując sobie wyobrazić, gdzie w tej chwili przebywa Melli. Wreszcie jednak zimno i wiatr zmusiły go do zejścia na dół. W jego dłonie powbijało się pełno drzazg z belek wiązania dachowego, a kończyny miał zupełnie zeszywniałe. Mimo to spoglądając na dach, wiedział, że z pierwszym brzaskiem natychmiast tam wróci.

Ani na moment nie zapominał o Melli. Każda myśl, każdy obraz, każdy ruch kojarzyły mu się z nią. Nawet w tej chwili dostrzegał jej twarz pośród płomieni.

Czy powinien ją tak zostawić? Bez wyjaśnienia i pożegnania? Przebiegł palcami po złotych włosach. Czy w ogóle powinien odejść?

Obrócił piekącego się nad ogniskiem królika. Przebywanie na dachu miało tę zaletę, że zwierzęta zbierały się na dole, nieświadome jego obecności. Łatwo było cisnąć kamieniem i w ten sposób zdobyć kolację. Czuł wspaniałą, apetyczną woń pieczystego. Ognisko skwierczało, gdy wpadały w nie krople tłuszczu. Gdyby Melli tu była, mięsa wystarczyłoby i dla niej.

Tawl wstał i oddalił się od ognia. Zapach nagle wydał mu się obrzydliwy. Dlaczego nie zabrał jej z sobą siłą, choćby nawet miała krzyczeć i wierzgać nogami? Dlaczego posłuchał Maybora i tego podstępного intryganta, lorda Cravina? Dlaczego? Dlaczego?

Dlaczego?

Walnął pięścią w drewnianą ścianę domku. Ból przyniósł z sobą odpowiedź. Dlatego, że bez niego Melli była bezpieczna, a to było najważniejsze.

Utracił rycerstwo oraz misję i pozostała mu tylko Melli. Ciężko było ją opuścić, gdy już przestała go potrzebować, w głębi serca wiedział jednak, że trzeba to zrobić. Szkoda tylko, że to tak bolało.

Pora pozbyć się dawnych obaw. Nawet jeśli jego siostry spotkało nieszczęście pod jego nieobecność, nie znaczyło to, że z Melli musi się stać tak samo. Minęło już prawie dziesięć lat, a poza tym sytuacja była inna. Melli nie była dzieckiem, które nie potrafi samo sobie poradzić.

Trudno jednak stłumić lęk. Bardzo, bardzo trudno.

Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wrócił do ogniska. Podniósł nóż i obrócił go w dłoni. Czasami myślał, że lepiej byłoby umrzeć niż żyć ze wspomnieniem wszystkich porażek. Anna, Sara, dziecko, Bevlin, misja, rycerstwo. Ponoślił klęskę za każdym razem.

Spoglądając na posępne szczyty Wielkiego Wododziału, odnosił wrażenie, że nigdy już nie będzie miał szansy naprawienia swych błędów.

Nagle usłyszał jakiś szelest. Odwrócił się błyskawicznie. Odgłos dobiegał z krzaków.

Zacisnął dłoń na nożu, przygotowując się na atak. Znowu coś zaszeleściło. Tawl cofnął się w głęboki cień domku. Z chaszczki wyłoniła się jakaś postać. Była niska i przygarbiona.

- Kosiarz? - zawołał cicho.

- Ehe, Tawl. To ja! - Chłopak wyszedł na obszar oświetlony ogniskiem i blaskiem księżyca. - Przyszedłem coś ci dać.

Zaczął grzebać w worku.

Tawl wetknął nóż za pas.

- Czy Melli jest bezpieczna? Czy odwołano poszukiwania?

Kosiarz nie przestawał przerzucać swych skarbów.

- Wszystko z nią w porządku. Po twoim odejściu poszukiwania natychmiast ustały.

- Mówiłem ci, żebyś z nią został.

- Ehe. A ona mi kazała cię odszukać... - ulicznik wydobyl z worka jakiś płaski przedmiot kremowego koloru - ...i dać ci to.

Wyciągnął rękę w stronę Tawla.

Ten nawet nie drgnął. Kosiarz trzymał w dłoni zapieczętowany list. Pergamin lśnił w blasku księżyca, łopocząc delikatnie na wietrze. Tawl wiedział, co to jest. Widział już kiedyś ten list. Znał jego pieczęć, papier i sposób złożenia. Kiedy widział go po raz ostatni, leżał na ziemi w ciemnej, wąskiej uliczce.

Czuł suchość w gardle. Jego serce biło powoli.

- Gdzie go znalazłeś? - zapytał.

- Tam, gdzie go zostawiłeś. W zaułku obok rzeźni. - Kosiarz podsunął mu list. - Weź go. Melli chce, żebyś go otworzył.

Tawl popatrzył na pismo. Pismo od Bevlina. Myślał, że już nigdy go nie zobaczy. Nie chciał go czytać. Oferował je jednak chłopiec, który był jego jedynym przyjacielem.

- Kosiarzu - rzekł cicho - jeśli otworzę ten list, wszystko się zmieni.

- Wiem. Melli też o tym wie. Opowiedziałem jej o twojej misji i o Bevlinie...

- O Bevlinie?

- Nie bój się, Tawl. Powiedziałem tylko tyle, ile powinna wiedzieć.

Tawl spojrzał Kosiarzowi w oczy. To był naprawdę niezwykły dzieciak. Był nie tylko jego jedynym przyjacielem, lecz również najlepszym przyjacielem.

Wiatr się uspokoił. List znieruchomiał. Tawl i Kosiarz spoglądali sobie w oczy, oddzieleni od siebie kartą pergaminu.

- Weź go, Tawl - poprosił Kosiarz łagodnym tonem. - Mam wrażenie, że nigdy w życiu nie postąpiłem słuszniej.

Tawlowi zamgliło się przed oczyma. Poczul, że po policzku spływa mu coś wilgotnego.

- Jeśli otworzę ten list, przywołam z powrotem przeszłość.

Oczy Kosiarza również lśniły od łez. Potrząsnął powoli głową.

- Tawł, przeszłość zawsze była z tobą. Towarzyszy ci każdego dnia.

Jak ktoś równie młody mógł zdobyć tak wielką mądrość? Tawł otarł łzy z policzków.

- Nosileś go wiele miesięcy - stwierdził, wyciągając rękę. - Pora już, bym przejął od ciebie to brzemie.

Pergamin był gładki w dotyku i nagrзany od dłoni Kosiarza. Tawł podniósł wzrok.

Chłopiec gdzieś przepadł.

Usiadł przy ognisku. Księżyc w pełni lśnił jasno, zupełnie jak lampka oliwna. Tawł pochylił głowę i odmówił prostą modlitwę, po czym złamał pieczęć.

*Drogi Tawłu*

*Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że nie żyję. Już od pewnego czasu zdawałem sobie sprawę, że wkrótce odbiorą mi życie, i dlatego napisałem ten list. Muszę ci przekazać kilka informacji i wyjaśnić niektóre sprawy, a nie jestem już pewien, czy będę miał okazję zrobić to osobiście. Dlatego piszę, choć wolałbym mówić, i mam nadzieję, że zdołam na papierze przekazać tyle samo serdeczności, co żywym słowem.*

*Po pierwsze, Tawł, chciałbym nadmienić, że sercem zawsze ci towarzyszę. Nigdy nie pozbędę się wyrzutów sumienia z powodu tego, że wyznaczyłem ci niemal niewykonalne zadanie i w ten sposób ograbiłem cię z szansy na własne życie. Proszę cię o wybaczenie, tu i teraz, gdyż jestem już stary i nie chcę zabrać tego brzemienia do grobu. Jesteś dobrym człowiekiem i nie wątpię, że z chęcią mi wybaczysz.*

*Musimy teraz poruszyć sprawę twojej misji. Kiedy wysłałem cię w drogę, z echem proroctwa Maroda w uszach i błyskiem determinacji w oczach, wielu spraw jeszcze nie rozumiałem. Nie znałem właściwego znaczenia proroctwa i nie wiedziałem, jaką rolę ma odegrać chłopiec, którego szukasz. Pewien byłem jedynie tego, że dojdzie do wojny.*

*Z biegiem lat dowiedziałem się więcej. Jestem obecnie przekonany, że dwoma bogatymi domami, które połączą się małżeństwem, są Bren i królestwa. To z ich związku zrodzi się wojna. Wszystkie znaki wskazują, że podobnej nie oglądaliśmy od tysiąca lat. Jeżeli nie zdusi się jej w zarodku, spustoszy cały kontynent.*

*Obawiam się, że Bren będzie miał nienaturalnego sojusznika. Larn, wyspa jasnowidzów, będzie dostarczał informacji jego armiom. Te dwa miejsca łączy jakaś więź, której charakteru nie znam. Świątynię trzeba zniszczyć, gdyż w przeciwnym razie sprzymierzy się z Brenem i wesprze go mocą swych jasnowidzów. Jeśli Bren ma zaznać pokoju, Larn musi leć w gruzach.*

*Larn. Ta wyspa prześladowuje mnie w snach. Obawiam się, że stanie się moją zgubą.*

*Tawl, odszukaj chłopca. Tylko on może zniszczyć tę przeklętą świątynię. Nim odejdę, muszę powierzyć pergaminowi jeszcze jedno. W snach prześladowuje mnie nie tylko Larn. Widzę w nich stojącego nade mną mężczyznę z nożem. Ów sen nawiedza mnie każdej nocy i każdej nocy budzę się, nim ostrze przeszyje mi serce. Obawiam się, że za którymś razem po przebudzeniu przekonam się, że to prawda. W moich snach ten, kto trzyma nóż, porusza się na sznurkach, jak marionetka. Nie ma władzy nad swymi poczynaniami.*

*Tawl, człowiek, który mnie zabije, nie jest odpowiedzialny za moją śmierć. Powiedz mu, że mu wybaczam i że nie musi się oskarżać. Starcowi, takiemu jak ja, zawsze towarzyszy cień grobu.*

*Żegnaj, drogi przyjacielu. Niech Borc wspomóż cię w twych podróżach.*

*Na zawsze pozostanę twym dłużnikiem.*

*Bevlin*

Tawl położył sobie list na kolanach i podniósł wzrok na nocne niebo. Było pełne gwiazd. To dziwne, że do tej pory nie zauważył, jak wielki spokój tu panuje. Jak piękne są góry, jak bardzo świeże jest powietrze.

Piekącego się nad ogniskiem królika zdążyła już pokryć czarna skorupa. Tawl zdjął go z patyka i odłożył na bok, żeby ostygł. Miał wrażenie, że będzie mu smakował nawet przypalony. Wyciągnął rękę, nie wypuszczając listu, i wydobył ze swego worka mniejszą z dwóch manierek. Wyjął zatyczkę i pociągnął zdrowy łyk najlepszej brandy Maybora. Tylko jeden. Złocisty płyn rozgrzał żołądek. Tawl wstał i przeszedł kilka kroków, by oddalić się od domku. W dłoni nadal ścisnął list od Bevlina.

Przed nim rozpościerała się wielka, skąpana w blasku księżyca dolina. Na tle porośniętych trawą zboczy rysowały się ciemne kształty drzew, a płynąca w oddali struga przypominała cienką wstęgę najczystszej srebra. Widok był wspaniały: cichy i podniosły niczym katedra. Miejsce odpoczynku, czci, a nade wszystko przebaczenia. Delikatny wietrzyk, słabe światło gwiazd i ciemne, bezkresne niebo działały jak balsam na jego duszę, a ziemia pod stopami była dla niego niezachwianym oparciem.

Nie wiedział, jak długo tak stał, poddając się działaniu natury i wybaczenia Bevlina.

Gdy wreszcie wrócił do ogniska, królik już wystygł, lecz i tak wydał mu się najsmaczniejszym posiłkiem w życiu. Spowity w otaczającą ognisko aureolę ciepła, Tawl położył się na ziemi, przyciskając mocno do serca list od mędrca. Szybko zapadł w głęboki sen.

- Nie, Bodger, najpierw trzeba przemyć ranę odrobiną wina, a dopiero potem posmarować maścią. - Grift, leżący na drewnianej pryczy otoczonej wyściełającą podłogę wonną trawą, sam sobie służył jako lekarz. - Okrężnymi ruchami, Bodger. Tak, jakbyś mazał, a nie wycierał. Tylko uważaj na wyrostek - dodał po kilku sekundach. - Jeśli go uszkodzisz, nigdy już nie będę mógł się grzmocić. Wyrostek to klucz do męskich apetytów. Bez niego mężczyzna równie dobrze mógłby ogolić sobie nogi i kazać się nazywać kobietą.

- Słyszałem, że są mężczyźni, którzy to robią, Grift. - Bodger ambitnie starał się mazać, mimo że wycieranie było znacznie łatwiejsze. Jego przyjaciel nie przestawał krwawić.

Krwotok nie wyglądał już tak groźnie jak wczoraj, jednak nadal był poważny. Za każdym maźnięciem na szmatce pojawiała się plamka czerwieni.

- Ehe, Bodger, niektórzy mężczyźni przebierają się za kobiety. Zwłaszcza w Marlsie.

Podobno kobiety są tam tak brzydkie, że... aj! - krzyknął Grift, gdy Bodger dotknął rany.

Podczas wczorajszej ucieczki z kamienicy oberwał nisko w brzuch królewską halabardą.

Bodger bardzo się o niego martwił. Ranę powinien obejrzeć ktoś, kto znał się na takich sprawach. Na przykład Tawl.

- Myślisz, że jest szansa, że Tawl wróci, Grift? - zapytał, starając się nadać swemu głosowi nonszalanckie brzmienie.

Ranny miał zlaną potem twarz, czoło pokryły liczne zmarszczki. Mimo to, gdy tylko usłyszał pytanie, natychmiast zapomniał o bólu. Udzielanie odpowiedzi stanowiło dla niego treść życia.

- Nie wydaje mi się, Bodger. Zresztą nawet gdyby wrócił, nie zdołałby nas odszukać.

Siedzimy w piwnicy pełnej wina pod jatką i nikt nie wie, że tu jesteśmy... - potrząsnął głową.

- Mógłby przejść tuż obok i nic nie zauważyć.

Bodger pokiwał powoli głową, spoglądając na ranę Grifta. Żywił gorącą nadzieję, że jest to jeden z tych rzadkich przypadków, gdy jego drogi przyjaciel się myli.

\*

- Jack, jeśli nie staniesz na chwilę spokojnie, żebym mogła oczyścić to draśnięcie, daję słowo, że podzielę cię miską.

Melli tupnęła, by podkreślić wagę swych słów. Dlaczego mężczyźni zawsze musieli być takimi upartymi osłami?

Jack spojrział na wspomniane naczynie.

- Ale chyba nie jest pełna?

Melli udało się zamienić uśmiech w pełne oburzenia prychnięcie. Podbiegła do miski, złapała ją i cisnęła w niego.

- Sam zobacz! - krzyknęła.

Rzut był celny, lecz Jack wykazał się szybkim refleksem, wykonując wspaniały uskok w bok. Lądowanie nie było już jednak tak udane. Uderzył w szereg beczek z winem, które potoczyły się po brukowanej podłodze.

Melli podbiegła do niego.

- Nic ci się nie stało?

Spojrzała na Jacka, który leżał rozciągnięty na wilgotnej powierzchni.

Podrapał się po głowie.

- A więc była pusta?

Tym razem Melli nie próbowała ukryć uśmiechu. Czuła się trochę winna. Zupełnie nie nadawała się na niańkę.

- Od paru dni przestałam jej potrzebować - oznajmiła, wyciągając rękę do Jacka. -

Minał już trzeci miesiąc. - Pomogła mu wstać. - Nie wymiotowałam od...

Od dnia odejścia Tawla. Nie mogła wykrztusić z siebie tych słów. Odwróciła się szybko od chłopaka. Poczowała gwałtowny ucisk w gardle i choć ze wszystkich sił starała się przełknąć ślinę, nie potrafiła się od niego uwolnić.

Gdzie był Tawl? Czy Kosiarz już go odnalazł? A jeśli tak, to czy jeszcze kiedyś go zobaczy? Jeśli list rzeczywiście był tak ważny, jak twierdził kieszonkowiec, rycerz może opuścić północ i nigdy już nie wrócić.

Raz jeszcze przełknęła ślinę, zdecydowana nie uzalać się nad sobą. Tawl nie opuściłby jej bez pożegnania. Był człowiekiem honoru, a tacy ludzie zawsze mówią „do widzenia”.

- Melli, co się stało?

Jack dotknął dłonią jej ramienia.

- Nic.

Zwróciła się ku niemu. Czułe brzmienie jego głosu z powrotem przywołało ucisk w gardle. Przez ostatni rok Jack znacznie wydoroślał. Czoło pokrywały mu linie, a w spojrzeniu kryła się mądrość. Nie był już tym chłopakiem, który przed wieloma miesiącami przyszedł jej z pomocą przy trakcie. Stał się mężczyzną. Nagle opuściła ją potrzeba ukrywania wszystkiego za fasadą siły. Zaczerpnęła szybko tchu.

- Jack, ja tylko...

Nim zdążyła skończyć, objął ją i przytulił do piersi. Wsparła głowę na jego ramieniu, dotykając policzkiem miękkiej tkaniny bluzy. Kilka ostatnich dni przyniosło ze sobą obłąkany korowód wydarzeń: Tawl opuścił ją bez słowa pożegnania, znikąd pojawił się Jack, po czym uciekli z kamienicy po potyczce ze strażnikami. Nerwy miała sterane od nadmiaru emocji.

Wszystko działo się za szybko, niebezpieczeństwa były zbyt realne, a koniec tak daleko, że trudno było cokolwiek przewidzieć.

Od wczorajszego ranka nie miała niemal czasu odetchnąć. Gdy zbrojni załomotali do drzwi, uciekła z Mayborem tylnym wyjściem. Czekają tam na nich dwóch strażników. Na jej oczach Maybor, Bodger i Grift stoczyli z nimi walkę. Grift odniósł poważną ranę. Stracił

sporo krwi. Ledwie mógł chodzić. Bodger dowlókl go do jatki. Gdy już tam dotarli, pojawił

się Jack. On również krwawił, lecz jego rany nie wyglądały na zbyt poważne. Nie chciał

mówić o tym, co wydarzyło się w domu, z którego uciekli.

Zarzucił płaszcz Maybora, by ukryć krew, po czym zamienił z rzeźnikiem kilka słów na osobności. Część należącego do Maybora złota przeszła z rąk do rąk, po czym właściciel jatki zaprowadził go do drewnianej zapadni na podwórku, pod którą znajdowała się należąca do Cravina piwnica. Jack postarał się o to, by rzeźnik nie zobaczył reszty grupy.

Na dole cuchnęło kwaśnym winem i wilgocią. Sufit zwieszał się nisko, po ścianach ściekała woda, a podłogę porastał dywan sprężystego mchu. Były tam w sumie cztery pomieszczenia, połączone korytarzami. Największe z nich, w którym przebywali w tej chwili, znajdowało się bezpośrednio pod zapadnią. Było również zdecydowanie najbardziej wilgotne.

Zapadnia przepuszczała wodę i pomyje z podwórka, lecz tylko niewiele światła. Grifta umieszczono w najmniejszym, najbardziej suchym pomieszczeniu, gdzie pielęgnował go Bodger. Melli przespała noc na drewnianej pryczy w trzeciej izdebce, a Jack i Maybor podzielili się czwartą.

Nocą nie mieli światła, sitowia, jedzenia ani lekarstw. Dopiero wczesnym rankiem Bodger zaproponował, że wybierze się na zakupy. Mieli teraz lampy, dwa pieczone bażanty, trzy wiązki wonnej, wiosennej trawy oraz miseczkę jakiejś dziwnie wyglądającej mazi.

- Lekarstwo - wyjaśnił Bodger, nim ktokolwiek zdążył go zapytać.

Maybor zajął się próbowaniem rozmaitych win - oznajmił, że większość „zniszczyła wilgoć” -



Bodger opiekował się Griftem w najmniejszej izbie, a Melli Jackiem w głównej piwnicy.

W tej chwili wyglądało jednak na to, że to Jack opiekuje się nią. Wysunęła się z jego objęć. Choć była całkiem zdrowa, użalała się nad sobą bez powodu i płakała, bezradna jak uwięziona w wieży księżniczka.

- Podwijaj portki - rzuciła radosnym tonem. - Muszę wysmarować ci nogę tym mazidłem.

- Później - odparł Jack, odsuwając się od niej. - Najpierw chcę sprawdzić, czy zapadnia jest porządnie umocowana, a potem pójdę zobaczyć, co z Griftem. Moje rany mogą zaczekać. To tylko draśnięcia.

Melli nie sprzeciwiała się. I tak nie wiedziała, co właściwie powinna zrobić.

Niewykluczone, że to lekarstwo należało połknąć. Usiadła na przewróconej beczce, patrząc, jak Jack zamyka zasuwę zapadni.

- Jutro skombinuję młotek i trochę gwoździ, żeby zabić tę zasuwę na głucho - oznajmił. - Tak będzie bezpieczniej.

Uporawszy się z tym zadaniem, zeskoczył ze skrzyń.

- Czy znalazłaś gdzieś jakieś wyjście? - zapytał.

Melli potrząsnęła głową.

- Nie. Można tu się dostać tylko tędy - odparła wskazując na zapadnię.

- W takim razie będę musiał od dzisiaj spać tutaj. - Zaczął odsuwać skrzynie spod zapadni. - W ten sposób nie damy się zaskoczyć, jeśli ktoś spróbuje włamać się do środka. Melli miała już zamiar powiedzieć, że wczoraj poradzili sobie mimo zaskoczenia, powstrzymała się jednak. Wiedziała, że Jack wolałby, żeby nie przypomniano mu o tym, co się wydarzyło. Skinęła tylko głową i wyciągnęła do niego dłoń. Razem poszli do Grifta.

\*

Tawl obudził się późno. Słońce stało już wysoko na niebie. Było południe. Choć minęło tak wiele czasu, ognisko nadal się paliło. Na dodatek dorzucono do niego świeże drwa, a w garnku coś się gotowało. Zajrzawszy w mroczne głębie naczynia, Tawl odkrył

miksturę złożoną z suszonych jabłek, kawałków słodkich bułek, pierników, jabłecznika i sera.

Kosiarz. Podobne danie mógł wymyślić tylko dwunastoletni chłopiec. Tawl wstał z uśmiechem na ustach i wykrzyknął głośno jego imię.

Ulicznik po chwili wyłonił się zza gęstego krzaka.

- Już najwyższy czas - powiedział, podchodząc do rycerza, by się z nim przywitać. -

Myślałem, że nigdy się nie obudzisz. Jeszcze pięć minut, a sam bym zjadł gulasz.

- Gulasz? - Tawl uśmiechnął się szerzej. Czuł się szczęśliwy jak dziecko. - A więc tak to nazywasz?

- Już nigdy nic ci nie ugotuję. W życiu nie spotkałem się z taką niewdzięcznością. -

Kosiarz usiadł przy ognisku i zaczął mieszać w garnku. - No wiesz, nikt ci nie każe go jeść.

Tawl usiadł obok niego.

- Nie, zjem trochę. Nałóż go do misek. Chcę jak najwięcej tych rozmiękłych słodkich bułek.

Rycerz przyglądał się, jak kieszonkowiec nakłada dwie kopiaste porcje. Gdy otrzymał

od niego jedną z misek, zauważył, że wciąż ściska w pięści zmięty list od Bevlina. Prawie o nim zapomniał. Wsunął pismo pod bluzę i wziął w ręce naczynie.

- Kosiarzu, dzisiaj ruszamy z powrotem do miasta.

- Tak też myślałem - odparł ulicznik z ustami pełnymi jedzenia.

- Muszę jeszcze przed odejściem zobaczyć się z Melli.

Tawl myślał o liście od Bevlina. Nigdy już nie będzie musiał go czytać. Znał jego treść na pamięć. Wszystko stało się dla niego jasne. Wiedział, co i dlaczego musi uczynić.

Otrzymał wczoraj niezwykły, cudowny dar. Nie, dwa dary.

Pierwszym było przebaczenie Bevlina.

Drugim szansa dotrzymania przysięgi, którą złożył przed diukiem, bez złamania zobowiązań wobec mędrca. Poprzysiągł, że będzie bronił Melli i jej dziecka. Gdy wypowiadał

te słowa w obecności diuka i mieszkańców Brenu, sądził, że nie ma dla niego powrotu.

Valdis, Bevlin i misja znalazły się za drzwiami, które zamknięto na zawsze. Gdy jednak przeczytał wczoraj list, zdał sobie sprawę, że choć drzwi od wielu miesięcy pozostawały zamknięte, rygli nigdy nie zasunięto.

W gruncie rzeczy, składając przysięgę, związał się z misją jeszcze silniej.

Potomek Melli był prawowitym władcą Brenu, a on miał obowiązek bronić interesów dziedzica diuka. Nie narodzone dziecko będzie mogło odzyskać należne mu miejsce jedynie wtedy, gdy Tawl odnajdzie chłopca, o którym mówiło prorocтво Maroda. Należało zniszczyć Larn, położyć kres wojnie oraz wyeliminować Kylocka i Baralisa. Dopiero wówczas będzie mógł powiedzieć, że

dochowal przysięgi. Melli i jej dziecko nie będą bezpieczni, dopóki w Brenie nie zapanuje pokój, a jedyny dziedzic diuka nie odzyska należnych mu praw.

Dziecko powinno władać Brenem, a ten, kto mógł do tego doprowadzić, był tym samym człowiekiem, którego szukał Bevlin.

Zaczerpnął w płuca potężny haust górskiego powietrza. Wszystko łączyło się ze sobą.

Dostrzegł to dopiero po przeczytaniu listu mędrca. Melli nie mogła sobie pozwolić na to, by kojarzono ją z człowiekiem uważanym za mordercę Catherine, lecz nawet z oddali będzie pracował dla niej. Zapewni jej bezpieczeństwo na dłuższą metę. A ponieważ przysięga miała go obowiązywać do końca życia, musiał brać pod uwagę przyszłość.

Do tej pory myślał tylko o najbliższych tygodniach i miesiącach, nie zastanawiając się nad tym, co będzie dalej. Teraz musiał snuć plany obejmujące całe lata, być może nawet dziesięciolecia. Gdyby Baralis i Kylock zwyciężyli w nadchodzącej wojnie, Melli i jej dziecko musieliby całe życie się ukrywać. Ścigano by ich jak przestępców, nigdy nie zaznaliby spokoju, nie mogliby nikomu zaufać, każdego dnia towarzyszyłby im strach.

Nie mógł do tego dopuścić.

- Jedz, Tawl. Gulasz stygnie.

Zamrugał powiekami. Oczy kleiły mu się, jakby był senny.

- Przepraszam, Kosiarzu. Moje myśli zawędrowały... - potrząsnął głową - ...bardzo daleko.

- Jeden łyk mojego gulaszu sprowadzi cię z powrotem na ziemię, Tawl. To zasługa tej szczególnej kombinacji topionego sera z jabłecznikiem.

Tawl wyciągnął rękę i poklepał chłopaka po ramieniu.

- Jesteś wspaniałym przyjacielem, Kosiarzu.

- Robię dla ciebie tylko to, co Szybcior zrobiłby dla mnie.

Ulicznik nie chciał mu patrzeć w oczy. Poczul nagle gwałtowną potrzebę zsypania całego popiołu na stos.

Tawl uśmiechnął się. Wiedział, że pora zmienić temat.

- No dobra. Kończmy posiłek i wracajmy do miasta. Jeśli się pospieszymy, o zmierzchu będziemy na miejscu.

\*

Szli cały dzień, zatrzymując się tylko na chwilę, by odpocząć przy drodze. Było ciepło, lecz słońce

nie świeciło tak jasno, jak zwykle, niebo przesłaniał bowiem dym.

Większość zbóż wokół Brenu systematycznie niszczone. Dwaj towarzysze mijali wypalone pola pszenicy, żyta i owsa.

Wioski zastali wyludnione. Wszyscy uciekli do miasta, zabierając ze sobą tyle zwierząt gospodarskich i dobytku, ile tylko udało im się ukryć przed najemnikami. Pojawili się już rabusie, którzy plądrowali opuszczone domy, terroryzując tych, którzy byli zbyt starzy, chorzy albo uparci, żeby odejść z pozostałymi.

W pewnej chwili Tawl dostrzegł w oddali sztandar Valdis. Żółto-czarna chorągiew powiewała ponad liczną grupą rycerzy. Nie zdołał dostrzec zbyt wielu szczegółów, zauważył

jednak błysk stalowych zbroi i kurz wzbijany przez końskie kopyta.

Rycerze nie byli jedynymi uzbrojonymi ludźmi w okolicy. Gdy dwaj wędrowcy zbliżyli się do miasta, zastali drogi pełne żołnierzy w czarnych hełmach Brenu, niebiesko-złotyach uniformach królestw, najemników, którzy nie mieli własnych barw, oraz dźwigających widły i kosy wieśniaków.

Tawl wszędzie wokół dostrzegał twardą rzeczywistość wojny. Z upływem dnia czuł

coraz głębsze przekonanie, że podjął właściwą decyzję. Jego obowiązkiem było położyć temu kres. Och, w tej chwili wszyscy byli szczęśliwi, radośni, podekscytowani, pewni siebie i chętni do walki, lecz w ciągu najbliższych kilku tygodni ich nastrój się zmieni. Cały czas będzie ich prześladował łoskot posuwających się machin oblężniczych i huk wystrzałów.

Wielu zobaczy, jak ich bliscy giną, synowie zostają kalekami, ojcowie wykrwawiają się na śmierć z powodu braku chirurga, a braciom na całe życie zostają blizny. Prędzej czy później ludzie poczują się uwięzieni w mieście, a woda w jeziorze zacznie cuchnąć trupami. Jeśli oblężenie potrwa wystarczająco długo, głód i choroby pochłoną więcej istnień niż cały rok walk.

A w tym wielkim mieście wojna dopiero się zacznie.

Baralis i Kylock nie zadowolą się Brenem. Jeśli przetrwają oblężenie i rozgromią armię Highwall, wyślą swych żołnierzy w pościg za wrogiem aż za góry. Zdobędą Highwall i Annis, a potem skierują wzrok na południe.

Trzeba ich powstrzymać. Zniszczyć Larn. Odnaleźć chłopca.

Zbliżywszy się do murów grodu, Tawl i Kosiarz zauważyli, że omal nie doszło pod nimi do zamieszek. Bramy zamknięto na noc i strażnicy nie mogli zagwarantować, że rano znowu je otworzą. Tawl popatrzył na setki, być może tysiące ludzi, którzy czekali na wpuszczenie do miasta. Dwie trzecie z nich stanowili mężczyźni, którzy chcieli walczyć. Ich Baralis wpuści.

Obaj z Kosiarzem ominęli gniewny tłum, kierując się ku kanałom. Wegetowała w nich garstka bezdomnych i żebraków, którzy leżeli na swych posłaniach, mocno owinięci kocami.

Gdy mijało ich dwóch nieznanym, spuszczała dyskretnie wzrok. Tawł pozwolił Kosiarzowi iść przodem. Chłopak brodził po kolana w wodzie, wlaził na półki nadające się jedynie dla szczurów i wciskał się w otwory, które były zbyt ciemne, by można je było dostrzec. Tawłowi trudno było dotrzymać mu kroku. Wreszcie ujrzał przed sobą blady księżycowy blask. Była to brama słuzy.

Ktoś zadał sobie bardzo wiele trudu, by solidnie ją zamknąć. Tawł i Kosiarz zabrali się do roboty i po pół godzinie udało im się wykuć tyle kamienia, że zdołali unieść kratę.

Mokry i wyczerpany rycerz wyszedł z kanału, odwrócił się i wyciągnął rękę do przyjaciela. Chłopiec z uśmiechem na ustach pozwolił się wyciągnąć na ulicę.

- Znowu nam się udało, Tawł.

- Nikt nie zna się na tajnych przejściach lepiej od ciebie, Kosiarzu. - Tawł rozejrzył się wokół. Ulica była pusta. Nie było tu sklepów, karczem ani burdeli, które przyciągnęłyby ludzi.

- Chodź - rzucił. - Wracajmy do Melli.

Gdy ruszył w stronę kamienicy, serce biło mu jak szalone. Miał Melli bardzo wiele do powiedzenia. Chciał się z nią podzielić tym, czego się dowiedział, wytłumaczyć to jej. Nade wszystko jednak pragnął wziąć ją w ramiona i wyznać, że ją kocha. Była dla niego wszystkim i nim opuści miasto, by na nowo podjąć misję, te słowa muszą paść z jego ust.

Gdy tylko ujrzeli przed sobą placyk, wiedział już, że coś się stało. W domu panowała ciemność. Podbiegł do niego. Drzwi rozbite. Korytarz był zniszczony. Tawł przeskakiwał po cztery stopnie. Ubrania Melli zniknęły. Pokój przewrócono do góry nogami. Rycerz gorączkowo przeszukał pozostałości. Gdzie się podziała? Co tu się stało? Dlaczego, na Borca, zostawił ją samą?

- Tawł - odezwał się stojący w drzwiach Kosiarz. - Chyba ich nie złapali.

- Słucham? - Tawł szukał sensu w jego słowach, rozpaczliwie jak obłąkaniec. Musiał

się powstrzymać przed wytrząśnięciem siłą odpowiedzi z Kosiarza. - Co ci każe tak sądzić?

- Krew jest nie tylko w korytarzu, lecz również pod kuchennymi drzwiami. Wygląda na to, że komuś udało się uciec.

Tawł próbował się uspokoić. Uczepił się myśli, że Melli może jednak być bezpieczna.

Tylko dzięki temu mógł pozostać przy zdrowych zmysłach. Zaczepił głęboko tchu, starając się skupić myśli na tym, jak ją odszukać.

- Dokąd mogli pójść?

- Cravin na pewno ma w mieście jeszcze inne kryjówki.

- Wiesz, gdzie?

Zażenowany Kosiarz zaszurał nogami.

Tawl zdawał sobie sprawę, że kieszonkowiec nie lubi, gdy przyłapie się go na tym, że czegoś nie wie. Postanowił szybko przerwać ciszę.

- W takim razie będziemy musieli odnaleźć Cravina.

- W tej chwili pewnie przebywa w pałacu - zauważył Kosiarz, który poczuł wyraźną ulgę na myśl, że może przyjacielowi w czymś pomóc. - No bo przecież jest wojna. Ten lord Cravin wygląda mi na faceta, który lubi być tam, gdzie rozstrzygają się ważne sprawy.

Tawl skinął głową. Chłopak miał rację.

- Znasz drogę. Znajdź go i zapytaj, co się stało. - Tawl wybiegł myślami naprzód.

Cravin z pewnością znalazł się w trudnej sytuacji. Niewykluczone, że Baralis odkrył, do kogo należała kamienica. - Jeśli nie okaże się rozmowny, zagroź, że wyjawisz całemu miastu, iż ukrywaliśmy się tu za jego zgodą. - Biorąc pod uwagę panującą obecnie w mieście sytuację, skończyłoby się to dla niego w najlepszym razie stryczkiem. - Zrozumiałeś?

Kosiarz natychmiast przybrał rzeczową minę. Skinął głową.

- I co jeszcze?

- Zapytaj go o nazwy i adresy wszystkich budynków, które ma w mieście. A potem spotkaj się ze mną tutaj. Będę na ciebie czekał.

- To może potrwać wiele godzin, Tawl. Poruszanie się po pałacu, gdy się nie wie, dokąd idzie, jest bardzo trudne.

- Pójdę z tobą - zaproponował bez wahania Tawl.

- Nie. Spowolniłbyś tylko moje ruchy. - Głos Kosiarza był zaskakująco stanowczy. -

Poza tym, łażąc po ulicach z najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Brenie, raczej rzuciłbym się w oczy. No wiesz, nie chcę cię obrazić.

- Nie ma takiej obawy - zapewnił go szeptem Tawl. Wyciągnął rękę i dotknął policzka Kosiarza. Wolałby nie rozstawać się z chłopcem, wyglądało jednak na to, że nie ma wyboru.

Szukał pospiesznie jakichś słów, które wyraziłyby jego miłość i przypomniały o potrzebie zachowania ostrożności, nic jednak nie wydawało mu się odpowiednie. - Bez względu na sytuację, uważaj na siebie, Kosiarzu - rzekł tylko.

Ulicznik zachnął się.

- To tak, jakbyś namawiał niedźwiedzia do pałaszowania miodu. Nie martw się o mnie, Tawl.

Wróć, nim zdążysz się zorientować.

Wypowiedziawszy te słowa, zbiegł na dół i zniknął w nocy.

\*

Odległy dzwon wybił drugą po północy. Jack przetrzymał już dwie długie, bezsenne godziny. Wciąż się niepokoił o Grifta, o Melli i o to, czy w piwnicy jest bezpiecznie. Przed wtargnięciem intruzów do środka broniła ich jedynie cienka, drewniana, kiepsko przytwierdzona zasuwka. Gdy tylko wstanie, musi ją umocować porządniej. Potem poszuka lekarza dla Grifta. Nie mógł biernie się przyglądać, jak ze strażnika powoli wycieka życie.

Potrzebna mu była opieka i choć sprowadzenie pomocy wiązało się z niebezpieczeństwem, oboje z Melli zgodzili się, że muszą podjąć to ryzyko.

Chłopak przesunął się na pryczy. Od drewna oddzielał go tylko koc i nie miał zbyt wielkich szans porządnie się wyspać. Nie wspominając już o szczurach. Nienawidził tych zwierząt. Gdy został uczniem piekarskim, pan Frallit uparł się, że już pierwszego dnia wyśle go do spichrza, i od tej pory Jack nie lubił tych tłustych, lecz poruszających się na chudych kończynach stworzeń. Nawet teraz, po ośmiu latach, leżąc na drewnianym wyrku, uważał, by palce jego rąk i nóg nie wystawały za krawędzie, w obawie przed ukąszeniami złośliwych gryzoni.

Noc pełna była hałasów. Szczury biegały po pomieszczeniu, stygnące belki skrzypiały, a w oddali słychać było grzmoty. Zbierało się na późnoletnią burzę.

Wtem rozległ się inny dźwięk. Tuż nad jego głową. Kroki. Jack poczuł, że włoski na ramionach jeżą mu się ostrzegawczo. Zerwał się z pośłania, szukając na oślep noża. Cisza.

Podszedł do zapadni. Było tak ciemno, że ledwie dostrzegał nad sobą jej kwadratowy zarys.

Znowu usłyszał kroki, tym razem nad samym wejściem. Poczul strach. Serce biło mu jak szalone. Uniósł nóż do piersi.

Tym razem rozległ się głośny trzask rozbijanego drewna. Podtrzymująca zapadnię belka puściła. Drzwi ustąpiły i do piwnicy wskoczył jakiś mężczyzna. Krzyknął coś, lecz jego słowa zagłuszył łoskot spadającej na podłogę belki.

Jack rzucił się naprzód. Nieznajomy był tylko ciemną sylwetką. Chłopak poczuł, że jego nóż wbija się w miękkie ramię przeciwnika. Potem otrzymał cios pięścią w żołądek.

Zatoczył się do tyłu i upadł na skrzynie, które wcześniej tam ustawił. Napastnik runął na niego, nim zdążył zaczerpnąć tchu. Jack ujrzał błysk jego zębów. Nieznajomy złapał go wolną ręką za nadgarstek. Uścisk miał mocny jak stal. Palce docierały aż do kości.

Jack nie mógł już znieść bólu. Wypuścił nóż, poderwał gwałtownie kolana i grzmotnął

nimi napastnika w pierś. Ten zachwiał się na nogach, lecz nie upadł. Chłopak wciągnął

gwałtownie powietrze. Inny człowiek leżałby już na ziemi.

Stracił nóż, próbował więc rozpaczliwie zyskać na czasie i znaleźć wolne miejsce.

Uskoczył na bok, wyciągając ręce w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co oddzieliłoby go od mrocznego cienia, którym był jego przeciwnik. Wymacał beczułkę wina - dzięki Mayborowi była pełna tylko w połowie - uniósł ją i rzucił w kierunku nieznajomego.

Usłyszał, jak trzasnęła o kamienie, było jednak zbyt ciemno, by mógł zobaczyć, gdzie wylądowała.

Gdy wyciągnął rękę w poszukiwaniu drugiej beczułki, w czoło ukuło go coś ostrego.

Stracił grunt pod nogami i osunął się na ścianę. Po policzku spłynęła mu ciepła strużka krwi.

Potem do gardła przystawiono mu nóż.

- Przestańcie!

Pomieszczenie wypełniło światło. Podbiegła do nich Melli.

Jack spojrzał w twarz napastnika. Miał niebieskie oczy i złote włosy. Był to człowiek, któremu pomógł w ucieczce. Nim któryś z nich zdążył zaczerpnąć oddechu, z podbródka Jacka na gołe ramię mężczyzny spadła kropelka krwi, która wylądowała na ranie zadanej przed kilkoma sekundami przez chłopaka.

Krew ich obu zmieszała się ze sobą z cichym sykiem, przypominającym odgłos gaszonej dłonią świecy.

Obaj mężczyźni zamarli. Nie poruszali się. Nie oddychali. Ich ciała były nieruchome niczym posągi.

Wtem, prosto w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była zapadnia, uderzyła błyskawica. Za nią nadciągnął grzmot. Budynek zatrzęsł się w posadach. Gdy w piwnicy ponownie zapadła cisza, cała natura nocy uległa zmianie.

Jack nie przestawał wpatrywać się w niebieskie oczy nieznajomego. Znał tego człowieka. Wielokrotnie widywał go w snach.

Jego tęczy były tak błękitne, jak to tylko możliwe. Kryły się w nich nieodgadnione uczucia, lśniła niezachwiana wiara. Ruchem tak szybkim, że Jack nie potrafił nadażyć za nim spojrzeniem, mężczyzna cofnął nóż, który przystawił mu do gardła. Następnie uniósł

zakrwawione ramię i przycisnął je do rany na czole chłopaka.

Jack poczuł ogarniającą całe jego ciało reakcję. Miał wrażenie, że krew w jego żyłach płynie ku górze, by połączyć się z krwią nieznajomego. Słyszał w uszach jej gwałtowny poszum. Opadły wszelkie przesłaniające jego sny i wspomnienia zasłony, odsłaniając wreszcie klarowny obraz. Każdy sen, każda myśl, każda nadzieja, jaką kiedykolwiek żywił -



wszystko to skrzystalizowało się w jednej chwili i narodziło się coś nowego.

Serca obu mężczyzn biły w tym samym rytmie. Znaleźli się w świecie, w którym istnieli tylko oni. Piwnica, Melli i jej lampa przerodziły się w ledwie dostrzegalne cienie.

Przestrzeń między nimi wypełniła energia, której trzask słyszeli przy każdym oddechu.

Nieznajomy nadal wpatrywał się w niego, nawet na chwilę nie spuszczał wzroku.

Jack poczuł, że jego ciało się odnawia. Skóra, błona śluzowa, zmysły - wszystko to zmieniało się, kształtowało na nowo. W ciągu niewielu sekund upłynęły całe godziny. Nim nieznajomy zdążył mrugnąć, w pamięci chłopaka przesunęło się całe jego życie. Przypomniwał

sobie, jak jego matka wyglądała przed chorobą. Była piękna i bystra, choć paznokcie zawsze miała usmarowane sadzą. Przypomniwał sobie, jak Baralis sondował jego umysł w poszukiwaniu odpowiedzi, których omal nie udało mu się znaleźć. Ujrzał Kylocka jako młodego chłopca, walącego o ścianę gabinetu workiem, w którym było dwoje kociąt.

Powędrował pamięcią do domku myśliwskiego i zobaczył starą, rozsypującą się księgę, która leżała na dnie kufra. Gdy ujął ją w dłonie, na podłogę znowu wyleciał list od króla.

Przypomniwał sobie słowa Falka: „Nie poddawaj się rozgoryczeniu, Jack” i usłyszał, jak Tarissa mówi: „Kocham cię”.

Wszystko to jednak błyskawicznie minęło i wraz ze złotowłosym nieznajomym wrócili do rzeczywistości.

- To ciebie szukałem - oznajmił Tawl.

- Tak - odparł Jack. - Wiem.

Gdy wypowiedział te słowa, otaczający ich szklany kokon roztrzaskał się, a jego ostre odłamki przeszły noc.

\*

Baralis obudził się nagle. Jego serce opuściło dwa uderzenia. Ciemność przyprawiała go o dezorientację, a sny nie chciały odejść jeszcze przez chwilę po przebudzeniu. Po raz pierwszy od wielu lat owładnął nim paraliżujący strach. W ciemności coś się kryło. Coś, co mogło doprowadzić go do zguby.

Drżącymi dłońmi szukał krzesiwa i łojowej świecy. Minęło sporo czasu, nim rozniecił

iskrę, a płomień okazał się dziwnie blady. W powietrzu, którym się karmił, zaszła niedostrzegalna zmiana. Było rzadsze i miało gorzki smak. Coś, co przypominało czary, lecz nimi nie było, wypełniało otoczenie niczym dym.

Mógłby tego nie rozpoznać, gdyby nie dalej jak wczoraj nie zaznał podobnego wrażenia. Pamiętał je jednak i dzięki temu dobrze wiedział, kto był odpowiedzialny za zmianę samej natury nocy. Piekarczyk Jack.

Wczoraj o świcie w domu w południowej dzielnicy miasta zaczerpnięto mocy. Baralis dowiedział się o tym, nim jeszcze nadeszły meldunki. Natychmiast rozpoznał pozostałość.

Jego były skryba pomógł Melliandrze w ucieczce. Była to niemal dokładna kopia zaczerpnięcia mocy, którego dokonano przed rokiem pod opuszczonym domkiem myśliwskim w samym sercu Puszczy Harvelskiej. Istniały jednak pewne różnice. Rezultat był

identyczny - eksplozja zagęszczonego powietrza - lecz w technice zaszły subtelne zmiany.

Całość była bardziej wyrafinowana, zrównoważona, zaplanowana od początku do końca. To pierwsze zaczerpnięcie mocy było dziełem niebezpiecznego amatora, drugie zaś kogoś, kogo nauczono, jak należy władać mocą. Wciąż brakowało mu pewności siebie, subtelności i umiejętności wyliczenia czasu, lecz chłopak dokonał wyraźnych postępów.

A teraz, następnego dnia, wydarzyło się to.

Baralis sięgnął po puzderko ze środkiem przeciwbólowym. Wysypał sobie proszek na język i przełknął na sucho.

Szczerze mówiąc, nie wiedział, co właściwie się wydarzyło. Nie były to czary ani prorocstwo, lecz coś innego i nieporównanie bardziej niebezpiecznego.

Baralis wyteżył umysł, by rozważyć wszystkie możliwości. Co wiedział o Jacku? Na Larnie powiedziano mu, że rycerz szuka chłopca. W głębi duszy wiedział, że owym chłopcem jest nie kto inny jak Jack, uczeń piekarski i ślepy skryba. Wczorajsze wydarzenia dowiodły, że udało mu się w jakiś sposób odnaleźć Melliandrę... Baralis zacisnął pięści. Tak jest!

Łączyła ich ze sobą Melliandra. Najpierw opiekował się nią rycerz, a potem Jack.

Co, jeśli rycerz wrócił ukradkiem do miasta? Jeśli spotkał się tu dziś z piekarczykiem?

Myśli Baralisa gnały jak szalone. Jeżeli się spotkali, prorocstwo Maroda o kolejny krok zbliżyło się do wypełnienia. Północne imperium - jego imperium, które najpierw wymarzył, a potem stworzył w pojedynkę - znalazło się w niebezpieczeństwie. Sam fakt, że Jack i rycerz sprzymierzyli się z Melliandrą i, co za tym idzie, zapewne popierali pretensje do tronu jej nie narodzonego dziecka, ponad wszelką wątpliwość dowodził, że przeznaczeniem ich obu było zostać jego przeciwnikami.

Podobnie jak Larnu. Mieli stać się przeciwnikami Larnu. Władcy wyspy z pewnością o tym wiedzieli. Jasnowidze zapewne bełkotali o tym już w tej chwili.

Baralis odprężył się, wsparty na poduszkach, czekając, aż środek przeciwbólowy zadziała. Zauważył, że świeca zapłonęła jaśniej.

Larn pomoże mu wytropić i zabić Jacka oraz rycerza. Władcom wyspy zależało na ich śmierci tak samo, jak jemu. To jednak nie wystarczy. Trzeba uśmiercić również Melliandrę.

Dopiero wtedy jego przyszłe imperium będzie bezpieczne.

Uspokojony Baralis zaczął pogrążyć się w drzemce. Jutro wybierze się na Larn.

\*

Tawl podszedł do chłopca, którego szukał, i uściśnął mu dłoń. Nie, nie chłopca, lecz mężczyzny. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał wyraziste piwne oczy i gęste, kasztanowe, opadające na plecy włosy.

Uścisk jego dłoni miał taką samą siłę, jak spojrzenie.

Tawl odnosił wrażenie, że ziemia pod jego stopami zmieniła się, a powietrze, którym oddychał, stało się gęstsze i słodsze. Ogarnął go przyływ emocji, które potem odpłynęły, nie zostawiając po sobie nic. Poczul kolejno uniesienie, dezorientację, strach, zadowolenie i wyczerpanie.

I w nim, i w chłopcu zaszła transformacja. Odczuli ją obaj. Ich krew zmieszała się ze sobą, a więź, która w ten sposób powstała, zmieniła wszystko. „Kiedy go znajdziesz, poznasz go” - powiedział Bevlin przed sześciu laty. Mędrzec miał rację. Gdy ich krew się połączyła, było to tak, jakby przemówił do niego Bóg. Wydarzyło się coś świętego, co przypominało komunię, i na zawsze połączył ich wspólny cel.

I pomyśleć, że chwilę przedtem omal go nie zabił.

Przed trochę więcej niż godziną Kosiarz wrócił z pałacu. Udało mu się porozmawiać z Cravinem. Był zmuszony uciec się do gróźb, lecz wreszcie zdołał wyciągnąć z wielmoży, że Melli i jej towarzysze rzeczywiście uciekli przed strażnikami. Cravin przyznał również, że ma w mieście dwie inne kryjówki, o których wspomniał Mayborowi podczas ich ostatniego spotkania. Pierwszą z nich była opuszczona stajnia położona w cieniu wschodniego muru, drugą zaś piwnica z winem pod podwórką jatk. Tawl wysłał Kosiarza do stajni, sam zaś zajął się piwnicą.

Gdy się przekonał, że zapadnia jest zamknięta, po prostu ją rozwalił, używając do tego celu stojącego obok rzeźnickiego pniaka. Wskoczywszy do środka, znalazł się w nieprzeniknionej ciemności, gdzie natychmiast zaatakował go jakiś nieznajomy. Nie miał

innego wyboru, jak się bronić. Zaskoczyła go siła i szybkość przeciwnika, lecz nigdy jeszcze nie spotkał człowieka, który potrafiłby go pokonać w otwartej walce.

Gdy jednak był już gotów poderznąć chłopakowi gardło, Melli krzyknęła głośno i zapaliła lampę.

Za ten krzyk i za światło będzie jej zawsze wdzięczny. Nie tylko wysłała do niego Kosiarza z listem od Bevlina, lecz również zapobiegła najstraszliwszej tragedii. To prawda, że łączyła go z chłopcem więź, lecz ich związek obejmował również Melli.

Puścił Jacka i zwrócił się w jej stronę. Była blada. Lampa drżała w jej dłoni.

- Wiedziałaś, że wrócisz - powiedziała.

Tawl nigdy w życiu nie słyszał nic piękniejszego niż jej czysty, pełen pewności głos.

Ta wspaniała, odważna kobieta wierzyła w niego. Wszystko poza ciepłem jej ciała straciło nagle znaczenie. Podbiegł do Melli i pochwycił ją w ramiona. Wszystko się odnowiło. Świat wypełniła świeża radość, światło i nadzieja. Liczyła się jedynie prawda.

- Kocham cię - wyszeptał, kryjąc usta w jej ciemnych włosach. - Wróciłem po to, by ci to powiedzieć.

- Ja też cię kocham - odparła.

Tego było już za wiele dla jego serca. Najpierw przebaczenie Bevlina, potem spotkanie z człowiekiem, którego szukał od lat i znalazł pod ostrzem swego noża, a teraz to.

Przytulił mocno Melli, rozpościerając szeroko palce, by objąć nimi jak najwięcej. To naprawdę była ona, piękna i silna. Nie potrafił uwierzyć, że należy do niego.

Wreszcie się odsunęła.

- Co tu się wydarzyło?

Podejrzewał, że już się tego domyśliła.

- Znalazłem człowieka, którego szukałem.

Tawl spojrział na Jacka. Chłopak patrzył na nich z twarzą pozbawioną wyrazu.

Melli skinęła głową.

- Tak. To Jack - powiedziała cicho. - Wczoraj uratował mi życie. Przed miesiącami ocalił mnie z lochu Baralisa, a jeszcze wcześniej spłoszył rabusia, który zaatakował mnie na trakcie.

Melli wyciągnęła rękę. Jack podszedł bliżej i uściśnął jej dłoń.

A potem uniósł ją do warg.

- A ty - rzekł spoglądając w jej ciemnoniebieskie oczy - wlokłaś mnie przez całą puszcę, choć mogłaś mnie zostawić, żebym umarł.

Tawl przeniósł wzrok z Jacka na Melli. Jego dłoń powędrowała w ślad za spojrzeniem, przenosząc się delikatnie z jednego ramienia na drugie. Cieszył się, że się znają.

Miał wrażenie, że tak właśnie powinno być. Wszystko połączyło się w doskonały krąg. Ani przez

moment nie czuł się zazdrosny o ich przyjaźń. Jack opiekował się Melli, ocalił jej życie, nim jeszcze Tawl ją poznał. Było to niespodziewanym błogosławieństwem. Naprawdę mu na niej zależało, co znaczyło, że znajdzie w nim sojusznika bardziej pewnego niż na to liczył.

Wspólnie będą się trudzić dla Melli i dla jej dziecka.

- Tawl - odezwała się cicho Melli. - Grift jest ciężko ranny.

Nie była zaskoczona tym, co się stało. Zdążyła już sobie przypomnieć o praktycznych sprawach.

Tawl przesunął skrzynię pod otwór po zapadni, wszedł na nią i podciągnął się do góry.

Złapał swój worek i zeskoczył z powrotem na dół.

- Zaprowadź mnie do niego - polecił.

Spędził u boku rannego wiele godzin. Oczyszczył jego ranę oczarem, skauteryzował

krwawiące naczynia, zszył skórę i zalecił herbatę z kory wierzbowej na gorączkę i zapalenie.

Potem wtarł Griftowi w mięśnie garść lanoliny i dał trochę brandy, żeby łatwiej mu było zasnąć.

Gdy skończył, nadszedł już świt. Jack i Melli też nie kładli się spać. Rozżarzali żelazo i gotowali herbatę, cały czas wysłuchując udzielanych przez Grifta rad. W pewnej chwili do piwnicy trafił Kosiarz. Podobnie jak Melli wcale go nie zdziwiła wiadomość, że wymienionego w proroctwie chłopca znaleźli tuż pod ręką.

- Szybcior mówi, że warto stawiać tylko na to, co niespodziewane - stwierdził, kiwając głową z mądrą miną.

Kieszonkowiec zasnął już, zwinięty w kłębek na posłaniu leżącym w kącie największej z piwnic. Pochrapywał z całym niezmiernym zapałem młodości.

Bodger również drzemał obok Grifta, a Maybor, który miał oddzielną izbę tylko dla siebie, przespał całą noc. Jack i Melli jednak nadal się nie położyli. Tawl popatrzył na nich.

Dziewczyna była wykończona. Oczy miała podkrążone, a dłonie, którymi składała ostatni z koców, drżały. Jack również wyglądał na zmęczonego. Siedział ze spuszczoną głową na beczulce z winem. Czekał.

- Prześpijmy się trochę - zaproponował Tawl, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Jest już za późno, żeby rozmawiać. Jutro o wszystkim wam opowiem.

Chłopak podniósł wzrok. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Czuję się tak, jakbym był dzisiejszej nocy w niebie, w piekle i we wszystkich miejscach, które leżą pośrodku.

Tawł odwzajemnił jego uśmiech.

- Nie ty jeden - odparł cicho.

Tavalisk jadł rybę. Nie była to jakaś tam sobie zwykła ryba, lecz stworzenie, które sprezentował mu Gamil. Kucharz arcybiskupa przyrządził je w całości, z wnętrznościami, głową, płetwami i tak dalej. Tavalisk złapał agresywne ongiś stworzonko za ogon i wsunął je sobie do ust, zdrapując łuski zębami.

Uporawszy się z tym zadaniem, połknął rybkę w całości i wypluł łuski w szmatkę.

Gotowe! To z pewnością oduczy tego małego diabła kąsać rękę, która go karmi.

Za jego plecami rozległy się ciche kroki, po których nastąpił skruszony kaszel.

- Wejdz, Gamilu - rzekł z westchnieniem arcybiskup. - Jak widzisz, drzwi nie są zamknięte.

Wszystkie drzwi w pałacu były szeroko otwarte. Wszystkie drzwi, okna, a nawet koszule wstydlivych dziewcz. W Rornie była pełnia lata i słońce prażyło bezlitośnie. Miasto ogarnął rozkład i nawet na poświęconej ziemi pałacu łatwo było wyczuć woń wszechobecnej, płodnej zgnilizny.

Tavalisk z zasady źle znosił upał. Jego obfite zwały tłuszczu stawały się wówczas wylęgarnią smrodu, a piękny jedwab pod pachami robił się nieprzyjemnie śliski od potu. W

takich chwilach jak ta, gdy nawet sama myśl o podniesieniu masywnego ciała z krzesła stawała się przykra, arcybiskup lubił wspominać odległe czasy.

Nie zawsze był grubasem. W młodości był piękny, niektórzy twierdzili nawet, że za piękny. Miał zmysłowe wargi i gładką skórę, która nigdy nie wymagała dotyku brzytwy. Gdy po śmierci matki wyrzucono go na ulicę, miał tylko siedem lat. Wkrótce poznał wszystkie sposoby, pozwalające ładnemu dziecku zarabiać pieniądze w mieście pełnym kapłanów.

Zwykł czekać pod wielkimi silburskimi bibliotekami, siedząc na schodach nieopodal ważnych domów spotkań, gdzie wpływowi ludzie naradzali się z ludźmi bożymi. Jego uderzająco dziewczęcy wygląd przyciągał spojrzenia uczonych, duchownych i szlachty.

Za pójście z nimi do domu brał najpierw trzy miedziaki, potem dwa srebrniki, a wreszcie sztukę złota.

Większość młodych chłopców kręciła się na starym targu rybnym, gdzie tradycyjnie oddawano się temu drażliwemu procederowi. Ale nie on. Nie. Tavalisk wiedział, że jest kimś szczególnym. Innym. Nie chciał mieć nic wspólnego z pozbawionymi gustu kupcami, którzy śmierdzili swym towarem, czy wieśniakami, którzy kupowali w mieście paszę. Nie, on obsługiwał wyłącznie klientów wywodzących się z najwyższych warstw silburskiego społeczeństwa. Pachnieli ładniej, myli się regularnie i pod każdym względem byli lepsi.

Pomijając oczywiście seks. To zawsze wyglądało tak samo.

Czas spędzony na ulicach nauczył go, jak ważne są pozory. Chcąc przyciągnąć spojrzenia mężczyzn, których najbardziej podziwiał, stworzył dla siebie nową osobowość.

Ubierał się jak szlachecki syn, dla którego nastały ciężkie czasy. Zmienił głos, nawyki i zachowanie. Udawanie przychodziło mu z łatwością i wkrótce pozbył się brudu oraz manier ulicznika.

Siedział pod biblioteką, czasem ze szkicownikiem i kawałkiem węgla drzewnego, udając pogrążonego we wzniostych myślach o sztuce i pięknie. Zawsze podchodzili do niego mężczyźni. Nawiązywali rozmowę, potem przychodziły lekkie dotknięcia - to mężczyzna dotykał jego, nigdy odwrotnie - a wreszcie padała propozycja: kolacja i wypad do mieszkania.

Posiłek niezmiennie był mocnym przeżyciem. Pijany winem, żądzą i urodą Tavaliska mężczyzna stawał się żaloszny: błagał o jego względy, padał mu do stóp. Albo zdmuchiwał

świece i pokazywał mu bicz.

Z biegiem lat Tavalisk nauczył się odmawiać używania bicia, prowokować mężczyzn, igrać z nimi, wywoływać obsesje. A potem ich szantażować.

Już wtedy był skąpcem. Oszczędzał niemal wszystko, co zarobił. Wydawał pieniądze jedynie na piękne stroje. Za całą resztę płacili jego przyjaciele. Gdy skończył dziewiętnaście lat, odłożył już pokaźną sumę. Pieniądze pozwoliły mu znaleźć czas na zastanowienie. Zdał

sobie sprawę z dwóch faktów. Z tego, że jego uroda powoli odchodzi razem z młodością, i z tego, że jeśli ma do czegoś dojść, musi stworzyć dla siebie nową osobowość. W obecnym wcieleniu męskiej prostytutki znało go zbyt wiele osób w Silburze.

Opatrzność sprawiła, że gdy tylko Tavalisk doszedł do tego wniosku, spotkał

mężczyznę, który umożliwił mu znalezienie idealnego rozwiązania. Był to starzejący się, schorowany kapłan imieniem Venesay. Miał on na szczęście kiepski wzrok, a poza tym cieszył się sławą wielkiego uczonego, erudyty i podróżnika. Tavalisk szybko wkradł się w jego łaski i przekonał się, że Venesay szuka raczej ucznia niż kochanka. Rzecz jasna, odpowiadał mu fakt, że Tavalisk ogrzewał nocą jego kościste ciało, naprawdę jednak pragnął

mieć syna.

Tavalisk zawsze był kameleonem, szybko więc stworzył dla siebie nowy wizerunek -

przybranego syna, ucznia i pomocnika uczonego.

We dwóch wędrowali po Znanych Krainach. Venesay nauczył go czytać i pisać, zapoznał z filozofią, historią i kościołem. Tavalisk żył wygodnie, jego kochanek był bowiem bardzo bogaty. Młodzieniec utuczył się na wystawnych obiadach spożywanych w pięknych miastach, rozpieścili go służący, zawsze gotowi podać miękkie poduszki czy jedwabne szale.

W tym samym czasie, gdy wyrobił w sobie upodobanie do luksusu, na nowo zainteresował się



religią.

Venesay był kapłanem wysokiej rangi i wszędzie cieszył się dobrą opinią. Niższe klasy go uwielbiały, a wyższe darzyły szacunkiem. Tavalisk pragnął podobnego uznania dla siebie.

Pewnego dnia Venesay oznajmił, że wybierają się na północ, na barbarzyńskie terytoria położone za górami. Wielu ludzi, w tym również Tavalisk, próbowało odwieść go od tego zamiaru, nie pozwolił jednak na to. Gdzieś tam mieszkał wielki uczyony, mistyk, którego gorąco pragnął odwiedzić.

Podróż trwała sześć tygodni. Zimno było nieznośne. Dręczyło ich dzień i noc, wraz z przenikliwym wiatrem. Venesay był już za stary, by dosiadać konia. Przewieziono go przez góry w zakrytym powozie. Nim dotarli na północne terytoria, nerwy Tavaliska ucierpiały równie dotkliwie, jak kości Venesaya.

Człowiek, którego chciał odwiedzić jego kochanek, był po części kapłanem, po części mnichem, a po części czarodziejem. Nosił imię Rapascus i słynął z mądrości w całych Znanych Krainach. Ongiś był duchownym, kandydatem do godności biskupiej, lecz usunięto go z kościoła za zainteresowanie wiedzą tajemną. Po wygnaniu z ojczyzny osiedlił się u podnóża potężnych Gór Północnych. Żył jak pustelnik, nie spotykając się z nikim i zapracowując się niemal na śmierć. Czytał, tłumaczył i reinterpretował święte teksty, tworzył

religijne poematy i komentarze, eksperymentował z magią i wiedzą tajemną. Jego bystry umysł zawsze był pełen pytań, a gwałtowne pragnienie poznania odpowiedzi nie pozwalało mu zaznać spokoju.

Venesay toczył z Rapascusem długie dysputy o Bogu, Tavalisk zaś jeszcze dłuższe, o czarach. W owym czasie otworzyły mu się oczy. Przekonał się, że na świecie istnieje wiele spraw niedostrzegalnych dla zwykłych ludzi, a do władzy można dojść nie tylko dzięki zasługom. Gdy Venesay uznał, że pora wracać, Tavalisk postanowił, że nie będzie mu towarzyszył. Chciał zostać i się uczyć.

Po odjeździe starego kapłana, Rapascus zaczął mówić o magii znacznie jaśniej niż do tej pory. Przeszedł od historii i moralności czarów do ich rzucania i wykorzystywania. Gdy przekonał się, że Tavalisk posiada niewielkie wrodzone zdolności, nauczył go kilku prostych zaczerpnięć mocy. Mijały miesiące. Młodzieniec pragnął poznać coś więcej, lecz Rapascus potrząsnął tylko głową i rzekł, że jeśli pragnie wielkości, musi do niej dojść inną drogą, gdyż do mrocznej ścieżki czarów brak mu talentu.

Tavalisk popadł w rozgoryczenie. Czytał korespondencję wielkiego człowieka i wiedział, że istnieje ktoś, z kim dzieli się on całą swą mądrością. Ów człowiek miał na imię Baralis. Co tydzień Rapascus przysyłał do mieszkającego w Silburze młodego uczonego pełne notatek bruliony. Gdy tylko obok jego domu przejeżdżała grupa wędrownych kupców, przywozili listy opatrzone imieniem Baralisa. Tavalisk czekał, aż Rapascus zaśnie, a potem czytał je wszystkie.

Z jednego z nich dowiedział się, że Baralis zamierza odwiedzić Rapascusa, by dokończyć szkolenie i osobiście poznać wielkiego człowieka. Tavaliska natychmiast dopadł

atak zazdrości. Widział w Baralisie rywala, groźbę i ulubieńca mędrca. Dlaczego ten osobnik, ten młody nuworysz, którego Rapascus nawet nie widział na oczy, miał poznać wszystkie jego tajemnice? Tavalisk pomacał ręką po blacie w poszukiwaniu odpowiedzi Rapascusa.

Znalazł list adresowany do Baralisa. Był ukończony, lecz jeszcze nie podpisany. Mędrzec pisał w nim, że cieszy się na myśl o jego przyjeździe. Nadmieniał również, że ma wiele ksiąg i innych darów, które pragnie mu ofiarować. W ostatniej linijce napisał: „Kiedy przybędziesz, znowu będę sam, gdyż mego obecnego ucznia nauczyłem już wszystkiego, co potrafił

opanować”.

Tavalisk odłożył list, uważając, by umieścić go w tym samym miejscu, w którym leżał

przedtem. Rozsiadł się w wygodnym fotelu Rapascusa, by zastanowić się nad następnym posunięciem. Nie zamierzał pogodzić się z tak szybkim odesłaniem. Myśląc, przebiegł

machinalnie palcami po stosie rozrzuconych na blacie ksiąg. Jego spojrzenie przyciągnął

cienki, oprawny w skórę tomik. Złote litery wytłoczone na grzbiecie tworzyły słowa: *Trucizny, ich produkcja i wykorzystanie*.

Tej nocy zostawił za sobą swe trzecie wcielenie ucznia mędrca, zamieniając je na czwarte: truciciela i kowala własnego losu.

Rapascus umierał pięć tygodni. Tavalisk jako nowicjusz skłaniał się ku ostrożności.

Wolał powolną, pozbawiającą sił chorobę, po której nastąpi niemal nieunikniona śmierć, od nagłego, wzbudzającego podejrzenia zgonu. Rapascus niczego się nie domyślił. Zdolności wieszczenia nie zdały mu się na wiele. W gruncie rzeczy, pod koniec mędrzec stał się naprawdę wzruszający. Błagał Tavaliska, by dopilnował, żeby jego księgi, pisma i dobytek przesłano do wielkiej biblioteki w Silburze. Chciał w ten sposób pogodzić się z kościołem, który go ekskomunikował.

Równie gorąco pragnął, by niektóre z ksiąg i zwojów trafiły do młodego uczonego Baralisa.

- To człowiek o niezwykłym geniuszu - wyszeptał w jednej z ostatnich chwil przytomności. - Trzeba jednak ukształtować jego sumienie. Musi poznać wartość dobroci i miłosierdzia. Mam nadzieję, że zdołają go tego nauczyć księgi, które mu wysyłam.

Umarł następnego dnia.

Ksiąg nie wysłano do Baralisa. Żadnej z nich.

Tej nocy Tavalisk tak szybko, jak tylko jest to możliwe dla grubasa na koniu, popędził

do najbliższej wioski w poszukiwaniu jakiejś grupy ludzi, która wybierała się za góry.

Sprzyjało mu szczęście. Następnego dnia osadę miała opuścić karawana wędrownych artystów.

Przekupił ich złotem Rapascusa, skłonił, by wrócili z nim do domu mędrca i rozpoczęli podróż dopiero następnego dnia.

Wczesnym rankiem zaczął przerzucać cały dobytek Rapascusa. Karawana mogła zabrać tylko ograniczony ładunek, był więc zmuszony wybrać to, co najlepsze z kolekcji mędrca. Załadował wiele kufrów rzadkimi księgami i zwojami. Każda decyzja zostawienia czegoś sprawiała mu ból. Gdyby tylko mógł, wywiózłby wszystko. Wreszcie udało mu się odnaleźć religijne dzieła Rapascusa: poematy, komentarze, reinterpretacje starożytnych tekstów. Były bardzo ciężkie i Tavalisk miał już zamiar je zostawić, gdy nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Przerzucił pospiesznie niektóre papiery, poszukując w nich klejnotów myśli. Znalazł oczywiste przejawy talentu, intuicji i wiary. Zdumiewające osiągnięcia intelektualne tylko akapity dzieliły od pokornych wyznań wiary. Ten człowiek naprawdę był

geniuszem.

Tavalisk przepakował kufer, wyrzucił wiele ksiąg, by zrobić miejsce dla teologicznych rozpraw Rapascusa. Nie zostawił jednak dzieł, które mędrzec chciał wysłać Baralisowi. Póki żyje, nie odda ich nikomu.

Wreszcie był gotowy do wyjazdu. Wozy załadowano i artyści niecierpliwie pragnęli ruszyć w drogę. Tavalisk po raz ostatni rozejrzał się po domu Rapascusa. Na biurku wciąż paliła się lampka oliwna. Kierując się ku drzwiom, uniósł ją i cisnął na stos pozostawionych manuskryptów. Gdy zamknął za sobą drzwi, papier ogarnęły płomienie.

Kiedy dotarli na obszar podgórze, strawiły już dom do fundamentów.

\*

Kasznięcie Gamila przywołało arcybiskupa do rzeczywistości.

- Wasza Eminencja jest dziś jakiś nieswój - zauważył sekretarz. - Czy mam przynieść coś, co pomogłoby Waszej Eminencji się rozbudzić?

Tavalisk wyciągnął gwałtownie rękę, chwytając sekretarza za ramię.

- Nie jestem inwalidą, Gamilu, i nie potrzebuję twojej opieki - powiedział, rozluźniając uścisk. - Powiedz mi, czego się dowiedziałeś, i zostaw mnie w spokoju.

- Armia Highwall powinna dziś dotrzeć pod mury Brenu, Wasza Eminencjo.

Tavalisk natychmiast zapomniał o przeszłości. Ważna była tylko chwila obecna.

- A Annis? Czy to miasteczko intelektualistów też wniosło swój wkład?

- Tak, Wasza Eminencjo. Dwa bataliony. Większość anniskich żołnierzy została w domu. Odkąd znaleziono zwłoki królowej Arinaldy leżące na anniskim sztandarze, w mieście obawiają się najazdu wojsk Kylocka. Szczerze mówiąc, nie dalej jak dziś rano dotarła do mnie wiadomość, że widziano,

jak główna część armii Kylocka zmierza w kierunku Annisu, nie Brenu.

Tavalisk mlasnął głośno.

- Kylock pragnie pomścić śmierć ukochanej matki. Jakie to wzruszające. - Nalał sobie kielich schłodzonego białego wina. - Oczywiście, ponieważ armie Kylocka będą zajęte w Annisie, Bren czeka trudniejsze zadanie. Armii Highwall nie można lekceważyć.

- A już z pewnością nie teraz, gdy Wasza Eminencja wsparł ją tak wielką darowizną.

- Darowizną! - zawołał Tavalisk, unosząc tłustą dłoń do piersi. - To nie była darowizna, Gamilu, lecz pożyczka. Wojna jest takim samym towarem, jak zboże czy cenne korzenie, a moim zadaniem jest rozsądnie inwestować pieniądze. Pożyczka wojenna dla Highwall jest właśnie taką inwestycją.

Pouczywszy sekretarza, arcybiskup zainteresował się innymi kwestiami.

- Jeśli wojska Kylocka ruszyły na Annis, jak udaje mu się zachować spokój w Halcusie?

- Zostawił tam jedną czwartą swych sił, Wasza Eminencjo. Są też rycerze. Valdis praktycznie włada teraz Helchem. Tyren rozkazał tracić wszystkich wielmożów i pomniejszych szlachciców, którzy uparcie uczęszczają na nabożeństwa odprawiane przez kapłanów i biskupów dawnego obrządku. Stara się zachować to w tajemnicy, lecz nasi szpiedzy odkryli, że rozkazał swym rycerzom konfiskować ich domy, pieniądze i kobiety.

Słyszeliśmy nawet pogłoski o torturach i jeszcze gorszych ekscesach.

- Tyren pragnie nie tylko nawróceń, lecz również złota, Gamilu.

- To może być prawdą, Wasza Eminencjo. Musi jednak udawać, że chodzi mu tylko o nawrócenia, gdyż w przeciwnym razie utraci poparcie swoich ludzi. Rycerze nie mogą zabijać dla zysku. To kłóci się z ich przekonaniami.

- Przekonania są w rycerstwie mniej ważne od lojalności - warknął Tavalisk. -

Podstawowym dogmatem Valdis jest absolutne posłuszeństwo wobec wodza. Rycerze uczynią wszystko, czego chce Tyren, nie cofając się przed torturami i mordem. Muszą.

Złożyli przysięgę wierności. Och, niektórzy z nich mogą być głupi, a inni pewnie są łotrzykami, ale to ślepa, niezachwiana wiara pozwala Tyrenowi realizować swe zamiary.

Rzecz jasna, on o tym wie i przy każdej okazji robi z tego użytek. - Arcybiskup przeszył

Gamila ostrym spojrzeniem. - Tyren to jedyny przywódca, który może liczyć na poświęcenie i dyskrecję swych podwładnych.

Gamil kaszlnął nerwowo.

W normalnej sytuacji Tavalisk byłby zadowolony, że udało mu się wygłosić niemal jawną obelgę. Był jednak zbyt podenerwowany, by cieszyć się rumieńcem, który pokrył szyję Gamila. Zaniepokoiła go wiadomość, że Baralis postanowił dać Tyrenowi wolną rękę w Helchu. Rozumiał jego motyw. Królewski kanclerz miał w tej chwili kłopoty z Annisem i Brenem, a brakowało mu ludzi, by poradzić sobie ze wszystkimi trzema miastami, zostawił

więc to, które niedawno podbił, w rękach kogoś, kto potrafi utrzymać je pod kontrolą.

Wyglądało na to, że nie jest wybredny w doborze współników.

Czy jednak miał inne wyjście?

- Gamilu, czy dotarły do ciebie jakieś meldunki o tym, że ludzie Tyrena zmierzają na północ, w stronę Brenu?

- Tak, Wasza Eminencjo. Każdego tygodnia Valdis opuszcza kontyngent rycerzy.

Wszyscy są ciężko uzbrojeni i kierują się ku Brenowi.

A więc Baralis oddał Tyrenowi Helch w zamian za pomoc w przetrwaniu oblężenia.

Gdy Tavalisk odkrył prawdę kryjącą się za tym dziwnym sojuszem, poczuł się znacznie lepiej. Nienawidził wszystkiego, czego nie rozumiał, a wymiana usług była czymś, co pojmował bardzo dobrze.

Pozostał mu tylko jeden powód do niepokoju. Dlaczego podstawowa część armii Kylocka ruszyła w stronę Annisu, podczas gdy nie ulegało wątpliwości, że jest niezbędna w Brenie?

\*

- A więc mędrzec Bevlin nie żyje?

- Tak - potwierdził Tawl, pochylając głowę. Nie zamierzał mówić nic więcej, lecz list Bevlina wszystko zmienił. Uwolnił go od winy, choć nie od wyrzutów sumienia. - Zginął z mojej ręki. Ja trzymałem nóż, lecz moimi ruchami kierował Larn.

Usłyszał, że siedząca za nim Melli zaczerpnęła gwałtownie tchu. Cisza trwała chyba ponad minutę.

Przez cały ten czas Jack wpatrywał się w niego, ani na moment nie spuszczał wzroku.

- Możemy więc liczyć tylko na siebie - stwierdził wreszcie.

Po raz kolejny zaskoczył Tawla. Spędzili na rozmowie cały ranek, lecz nadal nie potrafił rozgryźć tego chłopaka. W jednej chwili wydawał się dojrzały, poważny i opanowany

- tak jak teraz - w następnej zaś pełen zachwytu, skłonny do ekscytacji, a niekiedy naiwny.

Był jednak przecież tylko chłopcem - najwyżej dwiętnastoletnim - czegoż więc miał się po nim spodziewać?

Poznawali się nawzajem stopniowo, za pośrednictwem opowieści o swych przeżyciach. Tawl właśnie skończył relację o tym, jak - przed prawie sześciu laty - Bevlin zlecił mu poszukiwanie chłopca, o którym mówiło prorocstwo. Później opowiedział o samym prorocstwie i o tym, jak zinterpretował je Bevlin, a także o Larnie i o przyczynach, dla których wyspę trzeba zniszczyć.

Jack po raz pierwszy zaskoczył go, wspominając, że słyszał o Larnie. Powtórzył

historię, którą opowiedział mu człowiek imieniem Stillfox. Mówiła ona o urodzonej na wyspie dziewczynie. Tawl ucieszył się, że chłopak wie już coś na ten temat. Podobnie jak fakt, że obaj niezależnie od siebie poznali Melli, gdyż zacieśniało to łączący ich krąg.

Najtrudniej Jackowi przyszło opowiadanie o sobie. Nie sposób było nie zauważyć niechęci, z jaką wreszcie przyznał, że potrafi używać czarów. Wspominał o tym, iż został

zmuszony do ucieczki z Zamku Harvell, potem spotkał Melli, a w końcu pojmał ich oboje Baralis. Później udało im się uciec, lecz podczas mroźnej halcuskiej zimy zostali rozdzieleni.

O następnych miesiącach nie chciał mówić zbyt wiele. Wyszeptał tylko, że przyjęła go do siebie halcuska rodzina. Tawl wyczytał z twarzy chłopaka, że kryje się w tym coś więcej, nie naciskał jednak zbyt. Przypomniał sobie słowa Bevlina: „Każdy z nas ma wiele wspomnień, o których lepiej nie mówić”.

Mędrzec znał wiele różnych rodzajów mądrości.

Później Jack opowiedział o tym, jak zamieszkał u anniskiego czarodzieja, który uczył

go panowania nad mocą, a potem dowiedział się, że Melli przebywa w Brenie i grozi jej niebezpieczeństwo.

Na koniec, głosem ledwie głośniejszym od szeptu, opisał uczucia, które budził w nim Kylock.

- Mam wrażenie, że łączy nas jakaś więź - mówił. - Gdy tylko słyszę jego imię, coś odzywa się w mojej krwi. Cały czas czułem, że powinienem się udać do Brenu, ale wydaje mi się, iż dobrze się stało, że nie przybyłem tu przed Kylockiem.

Tawl skinął głową. Z każdym słowem Jacka obraz stawał się klarowniejszy. Ich losy łączyło ze sobą bardzo wiele nici: Melli, Baralis, Larn, Bren i Kylock. A nawet Bodger i Grift. Choć dzieliły ich od siebie setki mil, z każdym oddechem byli coraz bliżej siebie.

Przez cały ten czas Melli siedziała spokojnie na pryczy. Kosiarz to się pojawiał, to znowu znikał. Bodger przebywał w najmniejszej izbie, opiekując się Griftem, który ciągle spał, a Maybor wyszedł do miasta, nie zważając na protesty towarzyszy.

Zostali tylko we troje i nadeszła pora, by pomówić o przyszłości. Tawl poczuł na barku lekki ucisk.

Melli musnęła dłonią jego policzek.

- Musicie obaj opuścić miasto - rzekła cicho, uwalniając Tawla od konieczności wypowiedzenia tych słów. - Armia Highwall przybędzie lada dzień. Gdy już otoczy Bren, ucieczka będzie zbyt trudna - ciągnęła, bezskutecznie starając się ukryć dręczące ją napięcie. -

Poza tym, oblężenie zaprzętnie uwagę Baralisa. Nie będzie miał czasu mnie szukać.

Tawl niemal był skłonny jej uwierzyć. Znał jednak Baralisa. Nawet gdyby miał na głowie tysiąc kłopotów, i tak nie zapomniałby o tropieniu Melli.

- Jutro ruszymy w drogę. - Uniósł dłoń i splótł palce z palcami dziewczyny.

Wykorzystywał każdą okazję, by jej dotknąć. - Zaczyna nam brakować czasu.

Niewykluczone, że już jest za późno. Kylock z dnia na dzień staje się coraz potężniejszy. Ma już w kieszeni Cztery Królestwa, Bren i Halcus. Teraz może przyjść kolej na Annis. - Tawl potrząsnął głową. - Jeśli mamy zapewnić bezpieczeństwo tobie i dziecku, musimy powstrzymać Kylocka i Baralisa.

- Wiem o tym - zapewniła Melli. - Chcę, żebyście uciekli z miasta. - Cofnęła dłoń i dotknęła nią brzucha. - Noszę pod sercem jedyne żyjącego dziedzica breńskiego tronu. Jest twoim obowiązkiem, Tawl, dopilnować, by to dziecko zajęło należną mu pozycję. - Była to ceremonialna, z góry przygotowana przemowa. Melli z pewnością ułożyła ją podczas jego rozmowy z Jackiem. Wzruszyła Tawla swą odwagą. Nawet teraz, gdy miała najwięcej do stracenia, chciała ułatwić mu odejście.

- Jak daleko jest stąd na Larn? - zapytał Jack.

- Kilka tygodni drogi.

W rzeczywistości wyspa leżała znacznie dalej, lecz Tawl tak gorąco pragnął, by było inaczej, że po prostu nie chciał uznać tych słów za kłamstwo.

- Będziemy potrzebowali zapasów i koni.

- Zdobędziemy je, gdy tylko wydostaniemy się z miasta.

Tawl rzucił pospieszne spojrzenie na Melli. Nie był pewien, jak dziewczyna zniesie podobną rozmowę. Niesłusznie zwątpił w jej odwagę.

- Kosiarz zgromadził już pewnie tyle gotówki, że mógłby kupić okręt liniowy -

odezwała się natychmiast.

- Kosiarz zostanie z tobą - odparł Tawl.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Bez ciebie chłopiec czuje się zagubiony, Tawl. Dopóki nie wrócisz, będzie się tylko wałęsał bez celu.

W jej ciemnoniebieskich oczach lśniła niezachwiana determinacja. A dusza kryła w sobie nieprzebrane zasoby stali.

- Zgoda - powiedział. - Pojedzie z nami. Musisz mi jednak coś obiecać. - Nie czekał

na jej zgodę. - Bodger zna tajne wyjście z miasta. Gdy żołnierze Highwall rozpoczną oblężenie na pełną skalę, chcę, żebyś wysłała go z wiadomością do nich. Poinformuj ich, kim jesteś i czyje dziecko nosisz, a potem poproś o azyl. Jeśli się zgodzą, natychmiast opuść miasto i poszukaj schronienia w ich obozie. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Nie opuszczę cię, jeśli mi tego nie obiecasz.

Skinęła krótko głową.

- Lepszy wróg niż Baralis - powiedziała, powtarzając słowo w słowo myśl Tawla.

- Highwall nie jest naszym wrogiem - sprzeciwił się Jack. Tawl i Melli spojrzeli na niego. - Jego wojska nie chcą zająć Brenu. Chodzi im tylko o to, żeby przegonić Kylocka do królestw. Jeśli Melii powie im, że ma urodzić dziedzica diuka, przyjmą ją z otwartymi ramionami. Wiedzą, że nigdy nie zdołają rządzić miastem, nawet gdyby udało im się je zdobyć. W ten sposób sami stworzyliby imperium. Tylko uznanie praw dziecka Melli pozwoli im ustabilizować sytuację po pokonaniu Kylocka. Jeśli północ ma zaznać pokoju, w Brenie potrzebne jest silne, niepodważalne przywództwo.

Tawl i Melli wymienili spojrzenia. To, co powiedział Jack, było niewątpliwą prawdą.

Północny sojusz potrzebował Melli. Rycerz poczuł nowy przyływ nadziei. Dziewczyna z łatwością mogła wymknąć się za mury i uciec do nieprzyjacielskiego obozu.

- Nie wiedziałem, że jesteś politykiem, Jack - powiedział.

- Ja też nie.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, po raz pierwszy tego dnia.

Wtem ktoś trzy razy zastukał głośno w zapadnię.

- Wpuście mnie - rozległ się głos Maybora. - Na dworze jest mokro jak na gnojowisku po bankiecie.

Jack wspiął się na skrzynię i odsunął rygiel. Maybor zszedł do piwnicy z godnością, jak niosący pomstę do piekieł anioł.

- Na wzgórzach wypatrzone armię Highwall - oznajmił. - Dzisiaj zaczyna się wojna.

\*



Deszcz przestał padać dopiero po zmierzchu. Trwająca cały dzień ulewa oczyściła teren przed rozpoczęciem boju.

Baralis stał w osłoniętej alkowie na jednym z najwyższych pięter pałacu diuka, spoglądając na południe, w stronę szybko rozrastającego się nieprzyjacielskiego obozowiska.

W ciemności płonęło chyba z tysiąc ognisk i każde z nich oświetlało małą część całości.

Po zawietrznej stronie wzgórza wznoszono namioty i stawiano maszyny oblężnicze.

Gdy przestało padać, do uszu Baralisa dobiegł odgłos piłowania drewna i uderzeń młotów.

Wzniesienie skutecznie osłaniało poczynania przeciwnika, królewski kanclerz potrafił się jednak domyślić, jakiego rodzaju konstrukcje tam powstają: tarany oblężnicze wyposażone w osłony z utwardzanej skóry, chroniące żołnierzy przed ogniem i wrzącym olejem; toczące się na rolkach wieże oblężnicze, dorównujące wysokością breńskim murom; sztolnie o ścianach z drewna i daszkach z żelaza, od których ekipy saperów rozpoczną podkopy pod murami. Inne urządzenia, takie jak trebusze, katapulty i drabiny oblężnicze z pewnością przygotowano już wcześniej i sprowadzono tu przez góry w całości.

Choć Baralis był tego wszystkiego świadomy, nie obawiał się. Diuk Brenu całe życie umacniał fortyfikacje miasta i pałacu na rozmaite, nie przyciągające uwagi sposoby.

Okiennice wykonano z żelaza, nie drewna. Mur kurtynowy był od północy gruby na długość dwóch koni. Do tego był pochyły u podstawy, dzięki czemu pociski odbijały się rykoszetem i uderzały w nieprzyjaciela. Nawet wieże u bram wzniesiono na nowo, wykorzystując najnowsze osiągnięcia w zakresie konstrukcji opuszczanych wrót. Zwiększono też znacznie ich wysokość. Ciężki kamień zrzucony z breńskiej wieży bramnej spadał na ziemię z impetem wystarczającym, by rozbić taran.

Niedawno zmarły diuk wprowadził tak wiele modyfikacji, że Baralis nie potrafił ich zliczyć.

Nawet w najgorszym razie, gdyby wojskom Highwall udało się zrobić wyłom zarówno w murze kurtynowym, jak i wewnętrznym, pałac będzie bezpieczny. Bez względu na swą arystokratyczną nazwę, pałac diuka był najpotężniejszą fortecą w Znanych Krainach. Nic nie mogło się równać z jego zaokrąglonymi basztami, pułapkami i czarcimi zapadkami.

Nawet jego pozycja była najlepsza z możliwych. Wznosił się wysoko nad Wielkim Jeziorem i można go było zaatakować jedynie od południa.

Tak, pomyślał Baralis, dotykając krzywym palcem kamienia, nawet jeśli miasto Bren zostanie zdobyte, tylko cud boski mógłby doprowadzić do upadku pałacu.

Najpoważniejszym problemem obleganych będą zapasy żywności. Już od tygodnia do miasta nieustannie napływali ludzie. Rolnicy i drobni właściciele ziemscy przywieźli z sobą zboże i zwierzęta gospodarskie, lecz najemnicy i poszukiwacze szczęścia podróżowali bez obciążenia. W tej chwili zapasów było pod dostatkiem, lecz trwające kilka tygodni, czy może nawet miesięcy, oblężenie radykalnie zmieni sytuację. Odcięci od dostaw mieszkańcy, których liczba ostatnio

gwałtownie wzrosła, zaczęła jeść wszystko, co wpadnie im w ręce: psy, konie, szczury.

Baralis wzruszył ramionami. Nie martwił się zbyt perspektywą głodu. Budził

desperację, a zdesperowani ludzie wygrywali wojny.

Opuścił blanki, nie oglądając się za siebie. Nie obawiał się wojsk Highwall, lecz pewnego piekarczyka z Zamku Harvell. Pora już wybrać się na Larn. Dzisiaj przybyła armia, a ostatniej nocy zrodził się jego przeciwnik.

Szybko schodził na dół. Zawsze potrafił odnaleźć drogę w ciemności. Cieniste przejścia były jego kochankami, a nie oświetlone klatki schodowe przyjaciółmi. Pograżone w mroku korytarze, galerie i komnaty wiodły go przez noc i nim zdążył się zorientować, pałac zwabił go z powrotem do jego komnat.

Crope czekał na niego z tygłem w ręku. Ogień zdążył już rozgorzeć. Olbrzym przysunął krzesło do kominka i przyniósł jedwabne pantofle, by zastąpić nimi skórzane, które dawno już przesiąkły wilgocią. Pan i sługa przeżyli razem z górą dwadzieścia pięć lat i zdążyli dobrze się poznać. W chwilach takich, jak ta, nie potrzebowali właściwie słów.

Baralis osunął się na krzesło. Naciął skórę dokładnie w tym samym miejscu, co przy niezliczonych uprzednich okazjach. Zgrubiła już od licznych blizn, lecz mimo to krew popłynęła od razu.

Opary eliksiru powiodły go w górę, a siła woli poprowadziła naprzód.

Tym razem podróż nie była łatwa. Wody drugiego świata zmaciły tajemnicze prądy, które targały wędrującą cząstką jego jaźni, unosząc ją w górę, na spotkanie zimnego blasku gwiazd. Przez całą drogę musiał się opierać ich wpływowi. Gdy wreszcie dotarł na Larn, czuł

się zmęczony aż do szpiku kości, które zostawił w Brenie.

Czterech kapłanów czekało już na niego. Jak zawsze.

Baralis nie miał dziś czasu ani energii na przerzucanie się z nimi słówkami.

- Jestem przekonany, że rycerz odnalazł tego, kogo szukał. Chłopca imieniem Jack, mojego dawnego skrybę. Dysponuje wielką mocą i jeśli wierzyć proroctwu Maroda, wkrótce przybędzie tu, by was zniszczyć.

Choć był zmęczony, te słowa sprawiły mu wielką przyjemność. Z satysfakcją ujrzał

lęk na twarzach swych rozmówców.

Wymienili bezgłośnie jakieś uwagi. Wreszcie najmłodszy z nich nadał swym myślom kształt słów.

- Jesteś tego pewien?

- Nie jestem sługą, którego możecie przepytować - warknął Baralis.

- Czego od nas oczekujesz?

Tym razem przemówił najstarszy, wzywając do uspokojenia.

Baralis nie dał się udobruchać.

- Chcę, żebyście mi pomogli wytropić chłopca - oznajmił. - A także spełnili obietnicę dotyczącą wojny - dodał po chwili zastanowienia. - Zapewnialiście, że pomożecie sprawie Brenu. Jakiego wsparcia możecie mi udzielić?

- Każemy naszym jasnowidzom poszukać informacji o chłopcu - odparł najstarszy z kapłanów. W jego głosie pobrzmiwała nuta reprimendy. - Jeśli zaś chodzi o wojnę, Baralisie, to masz rozpaczliwie krótką pamięć. Czyż podczas poprzedniego spotkania nie powiedzieliśmy ci, że Highwall nie zaatakuje przed zawarciem ślubu?

- Jedno proroctwo nie oznacza jeszcze wypełnienia umowy.

- Dostarczamy ci takich informacji, jakie są nam znane. W tej chwili możemy ci powiedzieć, że Kylock nie zdobędzie Annisu podczas pierwszego oblężenia, a armia Highwall planuje zrobić pod północno-wschodnim murem podkop wiodący wprost do pałacu.

Jutro będzie już ukończony.

Wreszcie dowiedział się czegoś konkretnego! Podczas oblężenia nic nie było groźniejsze niż dobrze wykonany podkop. Jeśli go podpalić, całe budynki mogą lec w gruzach. Baralis był zadowolony. Nikt nie wpadłby na to, że nieprzyjaciel spróbuje dotrzeć do samego pałacu.

- Wiecie coś jeszcze?

Choć najstarszy z kapłanów przemawiał w myśli, nie używając słów, udało mu się wykonać coś, co bardzo przypominało pełne oburzenia prychnięcie.

- Gdybyś tylko mógł, wytoczyłbyś z naszych jasnowidzów całą krew. To już wszystko. Musi ci wystarczyć to, co usłyszałeś. - Chciał powiedzieć coś więcej, lecz przerwał

mu inny kapłan. Bezgłośnie wymienili z sobą tajemnice. - Dziś jeden z jasnowidzów wspomniał o tej dziewczynie, Mellindrze - dodał najstarszy. - Wkrótce uda ci się ją pojmać.

- Ściszył głos. - Czy to ci wystarczy, Baralisie?

- Absolutnie.

- W takim razie odejdz już. Skontaktujemy się z tobą, gdy dowiemy się czegoś więcej o chłopcu imieniem Jack.

Baralisowi nie podobało się, że odprawiają go jak nieposłusznego giermka, nie protestował jednak. Przed chwilą usłyszał, że niedługo osiągnie najważniejszy dla siebie cel.

Bez słowa pożegnania pomknął z powrotem ku ciału. Po drodze zaryzykował spojrzenie na nieboskłon. Jego szeroki łuk nigdy dotąd nie wydawał mu się tak podobny do korony.

- Nie, Kosiarzu. Zachowaj część na drogę. - Melli odsunęła worek. - Nie mogę zabrać wszystkiego.

Odwróciła się pospiesznie, zadowolona z panującej w piwnicy ciemności, dzięki której nikt nie mógł zobaczyć jej pełnych łez oczu.

Wszyscy byli dla niej bardzo dobrzy, okazywali wielką troskę. Jack i Tawl ściszali przy niej głos i co chwila ściskali jej dłoń, pytając, czy da sobie radę. Czowała się jak na pogrzebie. Wiele też wskazywało na to, że jest to jej pogrzeb.

Był wczesny ranek. Choć przez szczeliny w zapadni nie przedostawała się jeszcze nawet odrobina światła, słychać było mnóstwo niepokojących odgłosów. Odgłosów bitwy. O

południowy mur uderzyły pierwsze pociski. Głośny huk wybuchów drażnił uszy, a od czasu do czasu cała piwnica trzęsła się z grzechotem. Melli była bardzo podenerwowana. Chciała, żeby Jack i Tawl wreszcie sobie poszli. Mogłaby wtedy wziąć się w garść i znaleźć ukojenie.

Potrafiła znieść towarzyszący bitwie hałas, lecz nie przesyconą poczuciem winy atmosferę wytwarzaną przez mającą ją opuścić trójkę przyjaciół.

Skryta w mroku, otarła oczy, po czym zwróciła się w stronę Tawla.

- Posłuchaj, naprawdę powinniście już iść. Zwlekacie stanowczo zbyt długo. Do świtu została tylko niespełna godzina. Zabierajcie wszystko i w drogę.

Wiedziała, że jej słowa brzmią gniewnie, lecz tylko poprzez gniew mogła zachować panowanie nad sobą.

Tawl obrzucił ją łagodnym spojrzeniem.

Melli nie mogła już tego dłużej znieść.

- Tawl, nie jestem kaleką ani świętą relikwią. Odejdź wreszcie i pozwól mi odzyskać spokój.

Mimo czynionych wysiłków oczy zaszyły jej łzami. Ponownie zwróciła się w stronę cienia.

Tawl stał tylko o krok za nią. Tym razem nie uścisnął jej dłoni, lecz odwrócił ją i pocałował w usta. Nie był to pocałunek świętego ani kaleki, lecz pocałunek dwojga kochanków. Ich pierwszy. Wargi obojga rozchyliła namiętność, nie troska. Objął jej ramiona w bardzo mocnym uścisku. Odsunął się jednak zbyt szybko.

- Przysięgnij, że gdy wrócę, będziesz tu na mnie czekała - rzekł, ściskając jej podbródek w wielkich, zręcznych dłoniach.

Spojrzała mu w oczy, lecz nic nie odpowiedziała.

- Przysięgnij.

Nigdy jeszcze go takim nie widziała. Drżał na całym ciele. Jego palce wpijały się w jej podbródek, a grymas twarzy mógł niemal budzić przerażenie. Zrozumiała, że Tawl potrzebuje jej zapewnienia.

- Przysięgam - powiedziała. Zdała sobie nagle sprawę, że mówi szczerze. Zrobi wszystko, by doczekać jego powrotu.

Wyraźnie się uspokoił. Puścił ją.

- Tawl, jesteś już gotowy? - Głos Kosiarza dobiegał zza jego pleców. - Zbliża się świt.

Musimy wymknąć się z miasta, nim zrobi się jasno.

Rycerz spojrział jeszcze na Melli po raz ostatni, po czym odwrócił się i złapał za plecak.

- Jestem gotowy, Kosiarzu. A jak z tobą, Jack?

Od chwili, gdy przed dwoma godzinami obudził ich nocny atak wojsk Highwall, młodzieniec mówił bardzo niewiele. Wczoraj też nie był zbyt rozmowny, a wieczorem, gdy wszyscy raczyli się winem, by uczcić wigilię odjazdu, wypił najmniej i położył się spać jako pierwszy.

Melli podeszła do niego. Z pewnością był udręczony. Wczoraj dowiedział się, że tylko on może zniszczyć imperium, które zamierzali stworzyć Kylock i Baralis. Melli nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co czuje człowiek obarczony podobną odpowiedzialnością. Skarciła się w myśli za to, że użala się nad sobą, podczas gdy inni - zwłaszcza człowiek, który stał w tej chwili przed nią - muszą dźwigać znacznie cięższe brzemiona. Miała za zadanie wyłącznie zadbać o własne bezpieczeństwo i urodzić zdrowe dziecko. Jack musiał położyć kres wojnie.

- Nie mogę uwierzyć, że spędziliśmy razem tylko trzy dni - rzekła z łagodnym uśmiechem.

Skinął głową.

- Lepsze trzy dni niż nic.

Popatrzył jej w oczy. Oboje wiedzieli, że nie zostało już nic więcej do powiedzenia.

Kosiarz kaszlnął taktownie.

- Proszę, Melli - powiedział, wręczając jej worek, któremu zdecydowanie ubyło ciężaru. - Zostawiłem sobie trochę, tak jak radziłaś.

Uśmiechnęła się. Gdy podniosła wzrok, Jack i Tawl podeszli już pod zapadnię. Byli objuczeni zapasami, dźwigali na plecach posłania, a do pasów przytroczyli sobie pakunki.

Mieli też broń, całe mnóstwo broni: noże schowane pod bluzami i miecze u pasów. Tawl niósł

nawet na plecach krótki łuk.

Jack wyszedł pierwszy, za nim Kosiarz, a na końcu Tawl. Bodger podał im resztę bagażu. Grift siedział na pryczy pod ścianą. Był jeszcze słaby, lecz czuł się coraz lepiej. Tawl jeszcze dziś rano poświęcił sporo cennego czasu na to, by nauczyć Melli, jak dbać o jego ranę.

Maybor w najmniejszym stopniu nie przejmował się ich odejściem. Nie sądził, by ich plan miał jakiegokolwiek szanse powodzenia, nie powstrzymało go to jednak przed zachęcaniem ich do wyruszenia w drogę. Melli popatrzyła na ojca. Kochała go, nawet jeśli tym razem się mylił.

Grift, krzyżąc, udzielił im jeszcze jakiejś rady, po czym wszyscy się pożegnali. Gdy Melli usłyszała z ust Tawla słowa „do widzenia”, opuściło ją opanowanie. Wdrapała się na skrzynie, sięgając ku zapadni.

- Tawl! - krzyknęła, przeklinając się za własną słabość. - Tawl!

Rycerz przykucnął przy wejściu. Wyciągnął rękę i potężnym szarpnięciem uniósł

Melli w górę.

- Przysięgnij, że wrócisz - zażądała.

- Przysięgam, że dopóki zdołam zaczerpnąć tchu, a w moich żyłach będzie płynęła choć kropla krwi, będę się starał do ciebie wrócić.

Była to prawdziwa przysięga i w takim też duchu ją wypowiedział.

Patrzyli na siebie tylko przez chwilę, po czym Tawl pocałował ją w czoło. Nie mówili już nic więcej. Opuścił ją delikatnie w otwarte ramiona Maybora. Ostatnim, co zobaczyła Melli, był błysk miecza, który Tawl miał u pasa.

\*

- Panie, ktoś chce się z tobą widzieć.

- Każ mu odejść, ty nieudolny durniu. Jestem zbyt zmęczony, żeby przyjmować gości.

- Ale to kaleka, panie. Chodzi o lasce.

Baralis świetnie zdawał sobie sprawę z faktu, że Crope ma słabość do inwalidów. Cały czas nosił przy sobie trzynogiego szczura.

- No dobrze - ustąpił. - Powiedz mi przynajmniej, kto to taki.

- Mówi, że nazywa się Skaythe, panie. Podobnież jest bratem Blayze'a.

Baralis pociągnął łyk holku. Siedział w wygodnym fotelu o wysokim oparciu, niedaleko kominka.

Miał na sobie dzienny strój, bez względu bowiem na to, jak bardzo czuł

się osłabiony, zawsze starał się sprawiać wrażenie silnego. Podróż na Larn całkowicie pozbawiła energii jego ciało, lecz umysł miał aktywny jak zawsze. A więc brat Blayze'a chciał się z nim zobaczyć. Skinął na Crope'a, nakazując mu wprowadzić gościa. Jego ciekawość została rozbudzona.

Człowiek, który wszedł do środka, nie był bynajmniej kaleką. Co prawda, nosił laskę, a lewą nogę miał sztywną w kolanie, lecz nie poruszał się jak inwalida. Był pewny siebie i świetnie trzymał się na nogach. Otaczała go aura arogancji. Podszedł zamaszystym krokiem do Baralisa i wyciągnął rękę na przywitanie.

Królewski kanclerz zbył go wzgardliwym gestem. Nie miał zamiaru pokazywać nieznanemu zniekształconych dłoni. Skaythe usiadł bez zaproszenia, opierając o biurko laskę. Była długa i prosta, a od czubka na długość mniej więcej dłoni miała zgrubienie. Było ono żebrowane, by ułatwić uchwyt, nad nim jednak sterczał kolec z lśniącej stali. Laska w rzeczywistości pełniła funkcję lancy.

Baralis popatrzył na jej właściciela. Przypominał Blayze'a, lecz był niższy, starszy i twardszy.

- Mów szybko, jaki masz do mnie interes, a potem zostaw mnie w spokoju.

- Mój interes jest też twoim interesem, lordzie Baralisie. - Skaythe uśmiechnął się, ukazując ostre, nierówne zęby. Nim wyjaśnił sens swych słów, odczekał chwilę, sadowiając się demonstracyjnie na krześle. - Morderca Catherine zamordował również mojego brata. Chcesz, żeby go schwytano. Jest to także moim pragnieniem. Uważam, że powinniśmy podjąć współpracę, by osiągnąć to, czego żaden z nas nie zdoła dokonać osobno.

Baralis nie lubił, żeby ktokolwiek wypominał mu niedociągnięcia, przełknął jednak gniewną odpowiedź, popijając ją odrobiną kwaśnego wina. Ten człowiek mu się przyda.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał.

- Pieniądzy, informacji... - Skaythe wzruszył ramionami - ...wsparcia twych szczególnych zdolności.

Królewski kanclerz pochylił się naprzód o włos. Wciągnął w płuca głęboki haust powietrza i zatrzymał je tam przez dłuższą chwilę. Sytuacja z minuty na minutę stawała się ciekawsza. Skaythe umiał używać czarów, a to mogło się okazać użyteczne.

- Chcesz więc wytropić rycerza? - zapytał, omijając ten temat.

- Nikt nie zna Brenu lepiej ode mnie. Gdy następnym razem otrzymasz jakąś wskazówkę - Skaythe wypowiedział to słowo ze szczególnym naciskiem, by podkreślić, że doskonale wie, w jaki sposób zdobywa się podobne wskazówki - mógłbyś powiadomić najpierw mnie. Ja nie pozwolę wszystkim uciec, jak ci dumie z Królewskiej Straży.

Baralis uniósł brwi. Skaythe najwyraźniej miał bardzo wysokie mniemanie o sobie.

- A gdybym ci powiedział, że rycerz zamierza opuścić Bren i skierować się na południe?



- W takim razie podążę za nim - odparł Skaythe obojętnym tonem, bezwiednie obracając w dłoniach zgrubienie łaski. - Znam południe bardzo dobrze. Nie znajdziesz nikogo, kto jeździłby konno szybciej ode mnie. Nikt w Brenie nie sprosta mi w walce na noże. Nie zdarzyło mi się też jeszcze chybić z łuku.

Było to doprawdy wyjątkowo fortunne spotkanie. Takiego właśnie człowieka potrzebował Baralis. Skaythe był gnany obsesją, dysponował licznymi talentami, biegle opanował sztukę walki, a nade wszystko można go było poświęcić bez żalu. Baralis postanowił poddać go próbie.

- A gdybym ci powiedział, że pragnę również śmierci drugiego człowieka? I że będzie on towarzyszył rycerzowi?

- To kosztowałoby cię więcej niż tylko pokrycie moich wydatków.

Baralis odsłonił zęby w uśmiechu nieporównanie groźniejszym niż grymas Skaythe'a.

- W takim razie umowa stoi, przyjacielu.

Twarz Skaythe'a nie zdradzała żadnych uczuć.

- Jeśli mam opuścić miasto, będę potrzebował co najmniej dwustu sztuk złota. Mogę być zmuszony do zmiany koni, dawania łapówek, płacenia za informacje, nie wspominając już o zwykłych wydatkach związanych z podróżą.

- Nie wspominając o nich - zgodził się Baralis z lekkim skinieniem głową.

- Oczywiście, jeśli wyślesz mnie dalej na południe, koszty wzrosną.

Baralis nie przestawał kiwać głową.

- Oczywiście.

\*

Sądząc po pozycji słońca, które usiłowało przyciągnąć ich uwagę spoza ławicy wysokich chmur, zbliżało się południe. Przez cały ranek czołgali się na łokciach i brzuchach po błocie, które teraz przeszło w wypalone ściernisko. Jack rozciągnął usta w posępnym uśmiechu. Błoto było znacznie miłsze w dotyku.

Opuścili miasto o świcie. Armia Highwall szturmowała południowo-zachodni mur, oni zaś udawali się na południowy wschód. Pod grodem zalegały już sterty trupów. Rzecz jasna, bramy na noc zamknięto, a ludzi, którzy czekali pod nimi, licząc na to, że rano dostaną się do miasta, żołnierze natychmiast wymordowali.

Tawl nalegał, by od razu padli na miękkie, zbrotzone krwią grunto, gdyż w przeciwnym razie mógłby ich wypatrzeć jakiś bystrooki łucznik. Kosiarz przywarł do błota niczym pijawka. Pełzł naprzód z opuszczoną brodą i uniesionym nosem. Posłanie ciągnęło się za nim jak nieposłuszne dziecko. Tawl

poruszał się sprawnie i bezszelestnie. Nie ulegało wątpliwości, że już kiedyś robił podobne rzeczy. Wyraz jego ogorzałej twarzy był łatwy do odczytania. Znaczył: „Nic nie mów, nie zwracaj mi głowy, mam własne problemy”.

Jack widział go przedtem z Melli i domyślał się, na czym one polegają. Rankiem rycerz musiał oderwać się od niej siłą. Rozstanie było dla niego nie tylko trudne, lecz wręcz tragiczne. Udręczony wyraz jasnyniebieskich oczu świadczył, że choć ciałem przebywał tutaj, na spopieliałych podbreńskich polach, jego dusza została w mieście, z kobietą, którą kochał.

Jack nie zwracał mu głowy. Wszyscy trzej czołgali się bez słowa po dymiącym jeszcze polu. Wraz z powietrzem do płuc dostawał im się popiół i drobiny zwęglonej słomy, a suche, poczerniałe źdźbła drapały ich po policzkach i goleniach. Wszystko było tu martwe.

Trawy wypaliły się do korzeni, polne myszy zwęgliły do kości, a niezliczone tysiące owadów obróciły w maleńkie pyłki, podobne do płatków śniegu, tyle że czarne.

Od czasu do czasu mijali drogi. Wędrowała jeszcze po nich garstka ludzi, nieszczęsnych, zbłąkanych dusz, które nie miały dokąd pójść, gdyż bramy miasta zamknięto na czas oblężenia.

Niekiedy widywali też żołnierzy Highwall. Wszyscy mieli pochodnie i palili ocalałe resztki zabudowań: stodoły, gospodarstwa rolne i całe wioski. Jack uważał, że między Kylockiem podpalającym pola a armią Highwall podkładającą ogień pod budynki nie ma większej różnicy. Popioły w obu przypadkach wyglądają tak samo.

Słońcu udało się na chwilę wyrzeć zza chmur i zalać pola swym blaskiem. Jack odwrócił się i spojrzał na miasto. Jego mury lśniły niczym kute srebro. Żołnierzom Highwall niełatwo będzie złamać Bren.

Zdziwiło go, jak niewielki odcinek dotąd pokonali. Ruszyli w drogę przed sześcioma godzinami i nadal byli blisko miasta. A może było to tylko złudzenie, wywołane wysokością i ogromem murów?

Wzruszył ramionami i poczołgał się dalej. Po chwili Tawl uniósł dłoń, nakazując im się zatrzymać. „Znowu żołnierze Highwall?” - zastanawiał się Jack. Tawl wezwał ich skinieniem. Podpełzli do niego, po czym wszyscy przywarli brzuchami do ziemi.

- To już koniec pól - wysyczał rycerz. - Przed nami otwarty teren. Są tu tylko pastwiska. Trudniej nam będzie się ukryć. Jeśli kogoś zauważymy, najprawdopodobniej będą to najemnicy albo maruderzy zmierzający do Brenu. Gdyby ktoś nas o to pytał, jesteśmy kupcami z Lanholtu i opuściliśmy miasto, ale boimy się udać na zachód z uwagi na wojska Highwall. Ja będę mówił. Jasne?

- A jeśli spotkamy żołnierzy Highwall? - zapytał Kosiarz.

- Trzech albo mniej zabijemy, przed większą grupą uciekniemy. - Tawl popatrzył na Jacka, który skinął głową. - Przed nami jest trochę zarośli. Doczołgajmy się do nich, a potem trochę odsapnijmy. Chciałbym wyciągnąć spod bluzy tę przeklętą suchą trawę i przepłukać sobie gardło. Co wy na to?

Po dziesięciu minutach siedzieli już wokół małej kałuży, która kiedyś mogła być stawem, jedząc pierniki i popijając najlepszą brandy Cravina. Wczoraj Tawl zlecił

przygotowanie zapasów Kosiarzowi. Chłopiec najwyraźniej nie przepadał za tradycyjnym pokarmem wędrowców, w menu nie było bowiem sucharów ani suszonego mięsa, a tylko potrawy bogate w miód, cukier lub i w jedno, i w drugie. Mieli też ser.

Wszyscy posilali się w milczeniu. Kosiarz wydobyl z worka pincetę i z finezją godną dworskiego dandysa zaczął wydłubywać sobie z portek zwęglone łądygi. Tawl po prostu zdjął

bluzę i wytrzepał ją o pień najbliższego drzewa. Jack nie wziął się jeszcze za usuwanie resztek trawy. Wciąż próbował ułożyć sobie wszystko w głowie. W gruncie rzeczy, pochłaniało go to już od trzech dni.

Pewnych rzeczy nadal nie potrafił pojąć. Według Tawla mówiło o nim starożytne proroctwo. Miał położyć kres wojnie i cierpieniom powodowanym przez Larn. Przed trzema tygodniami, w Annisie, zetknął się z inną przepowiednią. Domyślał się, że ona również dotyczy jego. Do tej chwili starał się nie myśleć o wierszu, który usłyszał od mistrza piekarskiego, teraz jednak, gdy spotkał Tawla, coraz trudniej było mu to wszystko ignorować.

Odnosił wrażenie, że wokół niego gromadzą się starodawne siły, które kształtują jego przeznaczenie, kierują poczynaniami i każą ujrzeć siebie w nowym, przerażającym świetle.

Od dwóch dni żył w stanie oszołomienia i szoku. Było to tak, jakby jakaś niewidzialna moc zdzieliła go pięścią w brzuch i wlokła teraz na południe, by tam go zabić. Całe jego ciało odczuwało jeszcze skutki ciosu. Nie potrafił jasno myśleć. Próbował sobie przypomnieć, jak dokładnie brzmią słowa proroctwa, o którym mówił Tawl, lecz szczegóły wciąż mu umykały.

Było tam coś o dwóch domach i głupcu, który znał prawdę. Miał ochotę poprosić rycerza, by powtórzył mu ten tekst raz jeszcze, wstydził się jednak przyznać, że zapomniał coś tak ważnego.

Wszystko działo się bardzo szybko. Nie umiał tego ogarnąć. Omiótł Tawla pospiesznym spojrzeniem. Rycerz stał oparty o pień drzewa i na nowo przywiązywał cięciwę łuku. Jackowi trudno było uwierzyć, że człowiek, którego miał przed sobą, poświęcił pięć lat życia na to, by go odnaleźć. Takie rzeczy zdarzały się tylko w legendach. Nie czuł się wart takiego wysiłku. Był tylko piekarczykiem z Zamku Harvell, a nie zbawcą świata, nieustraszonym bohaterem obdarzonym licznymi zdolnościami.

„Larn trzeba zniszczyć - powiedział Tawl. - Kylocka należy usunąć”.

Jak, w imię Borca, miał dokonać podobnych czynów? Dlaczego odpowiedzialność spadła na niego? Z pewnością istnieli inni, lepiej przygotowani do wykonania tego zadania ludzie? Highwall miało armię, rycerze mieli swych braci, Kylock Baralisa, a Larn jasnowidzów. On nie miał nikogo.

No cóż, nie było to do końca prawdą. Miał Tawla i Kosiarza. I tak jednak nie chciał tej odpowiedzialności. Nie pragnąłby jej nawet wtedy, gdyby dano mu batalion wojska i wielki zapas mieczy.

Tawl i Melli traktowali go w identyczny sposób. Oboje byli przekonani, że jest gotów zrobić to, czego od niego żądają. Nikt go nie pytał, czy chce się udać na Larn. Wszyscy uważali to za oczywiste. Dlaczego jednak miałyby tak być? Och, znał dolę jasnowidzów i musiał przyznać, że przywiązanie do skały na całe życie nie wydaje się zbyt atrakcyjnym losem, te praktyki uprawiano już jednak od stuleci, dlaczego więc wszyscy nagle uznali, że to on powinien położyć im kres? Nic go nie łączyło z tą wyspą. Nie był odpowiedzialny za jasnowidzów z Larnu. Z pewnością zadanie zniszczenia świątyni powinno przypaść komuś, kto miał z nią kiedyś kontakt, komu wyrządziła krzywdę. Komuś takiemu, jak Tawl.

Odgarnął opadający na czoło kosmyk. Czuł się zmęczony i zbity z tropu. Wydarzenia go przytłaczały. Musiał rozważyć mnóstwo spraw. Wielu rzeczy nadal nie rozumiał.

Co miał uczynić, kiedy już dotrą na miejsce? W jaki sposób zdoła zniszczyć Larn?

Potrafił dokonać paru sztuczek z powietrzem i metalem, lecz nie umiał wywołać trzęsienia ziemi, sprawić, by morze wystąpiło z brzegów, ani zrobić niczego, co mogłoby spowodować zniknięcie całej wyspy.

A jeśli mu się nie uda? Jaki los czeka wówczas Melli? Jack nic nie wiedział o prorocत्वach, lecz Tawl uparcie utrzymywał, że Larn trzeba zniszczyć, by dziecko Melli mogło zająć należne mu miejsce. Chłopaka ogarnęło nagłe pragnienie ucieczki do Zamku Harvell. Nie potrafił podźwignąć tak wielkiej odpowiedzialności. Stawka była zbyt wysoka, a on za mało wiedział. Prawda wyglądała tak, że po prostu się bał. Tawl i Melli wierzyli w niego, a on nie był bynajmniej pewien, czy jest tego godzien.

Bez względu jednak na dręczącą go niepewność, Jack ani przez chwilę nie wątpił, że to on jest człowiekiem, o którym mówi prorocत्व. Na swój sposób był tego świadomy już przed spotkaniem z Tawlem. Rzecz jasna, nic wówczas nie wiedział o przepowiedni Maroda, zdawał sobie jednak sprawę, że z Kylockiem, Baralisem i wojną łączy go jakaś więź. Już od miesięcy towarzyszyło mu wrażenie, że ma odegrać pewną rolę w nadchodzących wydarzeniach. Cały ten czas wędrował też w stronę Brenu. Nie było przypadkiem, że tam właśnie znalazł go Tawl. Z całą pewnością nie było to przypadkiem.

Jack zauważył, że rycerz nie opiera się już o drzewo. Stał za jego plecami, wyciągnął rękę i wsparł mu dłoń na ramieniu.

- Nie jesteś sam - zapewnił go.

Chłopak odwrócił się błyskawicznie, by spojrzeć mu w oczy. Chciał już udzielić Tawlowi gorzkiej odpowiedzi, lecz gdy zobaczył jego twarz, słowa uwięzły mu w ustach. Nie tylko on nie miał wyboru. To samo dotyczyło człowieka, którego miał przed sobą. Tawl nawet za milion lat nie opuściłby Melli z własnej woli. Zrobił to wyłącznie dlatego, że musiał.

Słowa rycerza nabrały nagle wielu różnych znaczeń, a wszystkie z nich wzmacniały łączącą ich więź. Jack faktycznie nie był sam i mogło się to okazać dla niego nie tylko źródłem pociechy, lecz również jedyną szansą.

\*

- Chodź, Jack - powiedział Tawl, wyciągając do niego rękę. - Przed nami długi dzień drogi.

Z zadowoleniem zauważył, że chłopak odwzajemnił jego uśmiech. Obserwował go już od pewnego czasu i bez trudu potrafił odgadnąć, o czym myśli. Dlatego właśnie do niego podszedł. Chciał jakoś dodać mu otuchy, jednak jak zwykle nie znalazł pięknych słów.

Dlatego wyciągnął rękę i powiedział coś, co naprawdę miało znaczenie:

- Nie jesteś sam.

Żył już na świecie wystarczająco długo, by znać wartość podobnego zapewnienia.

Przed wieloma laty Tyren zmienił jego życie, mówiąc mu to samo.

Dla uwięzionych, cierpiących i dotkniętych żałobą czas miał niewielkie znaczenie.

Dni i noce były dla nich jedynie cieniami we wszechogarniającej ciemności istnienia.

Tawl do tej pory nie był pewien, ile czasu minęło od chwili, kiedy dowiedział się o śmierci sióstr do nocy, gdy trafił do Valdis. Kiedy ktoś utraci duszę, tygodnie i miesiące wydają się długie jak całe życie, a owego dnia na bagnach Tawla spotkał ten właśnie los.

Utracił serce, rodzinę i duszę. Jego siostry nie żyły. Gdy on uganiał się za chwałą w Valdis, one leżały w zimnym grobie.

Nie mógł winić ojca. Był tylko zapijaczonym, bezwartościowym durniem i Tawl wiedział o tym, odkąd sięgał pamięcią. Nie powinien zostawiać z nim sióstr. Dał się oszukać kilku pięknym słówkom i garści złota. Ojcu mogło się raz udać wygrać w karty, on jednak powinien zdawać sobie sprawę, że wygrana nie zmienia hazardzisty, a jedynie stanowi dla niego zachętę.

Przeklinał siebie za to, że gdy tylko ojciec ukradł należne mu miejsce w domu, bez chwili zastanowienia pognął „Pod Sitowie” do Greyving.

Do dziś przypominał sobie gniew, który poczuł w chwili jego powrotu. Pamiętał

gwałtowny płomień zazdrości, który ogarnął go, gdy zobaczył, jak bardzo jego siostry kochają swego tatę, a także narastającą powoli wściekłość, która skłoniła go do opuszczenia domu jeszcze przed świtem. To dziwne, ale w owej chwili myślał, że wreszcie jest wolny. Ta wolność już wtedy miała jednak gorzki smak i musiało minąć wiele miesięcy, nim pozbył się go z ust.

Po trzech latach zapłacił za swą impulsywność i gniew. Gdy wrócił na bagna, jego życie się skończyło. Owego ranka nadzieja dla niego umarła i wszystko przestało go obchodzić. Valdis, świeżo wypalony drugi krąg, marzenia o wielkości i nadzieje na przyszłość utraciły całe swoje znaczenie. Oto do czego doprowadziła go duma.

Przeciął kręgi i wyrzucił miecz, po czym zmusił wierzchowca do obłąkańczego galopu. Nie chciał nigdzie dojechać. Paliło go pragnienie jak najszybszego oddalenia się od bagien. To były najgorsze chwile w jego życiu. Mógł zagłuszyć własne myśli tylko gnając na oślep i nie oglądając się za siebie. Wreszcie rumak padł pod nim. Tawl podniósł się z ziemi, przeklinając wyczerpane zwierzę, po czym poszedł sobie, zostawiając je na pastwę powolnej, lecz nieuniknionej śmierci. Wstydził się tego teraz, zwłaszcza gdy zastanowił się nad tym, dokąd zaniósł go koń.

Gdy w końcu wstał świt, Tawl zorientował się, że zna tę okolicę. Znalazł się w dolinie położonej tuż na południe od Valdis. Jechał tak długo, nie zważając na upływ czasu ani na otoczenie, że naprawdę poczuł się zaskoczony. W jego zamroczonym umyśle zrodziło się pytanie, czy tu właśnie chciał dotrzeć. Spojrzał na swe kręgi - pokryte strupami i obrzękłe od zakażenia - i postanowił, że pójdzie do Tyrena, by mu powiedzieć, iż nie może już być rycerzem. Był mu winien przynajmniej tyle.

Tyren był teraz wodzem zakonu, lecz mimo to przyszedł zobaczyć się z Tawlem, gdy tylko dowiedział się o jego przybyciu. W dłoni trzymał jakiś list, lecz schował go sobie pod bluzę i uściskał serdecznie młodego rycerza.

Ten zeszywniał i odepchnął go od siebie.

- Co ci jest, synu? - zapytał Tyren. Spojrzał na ramię towarzysza. - Co ci się stało?

Tawl wreszcie się załamał. Padł na kolana i rozplakał się jak dziecko.

- Nie żyją - powtarzał raz za razem. - Nie żyją.

Tyren objął go ramionami. Skądś przyniesiono ciepłe koce i dwie butelki znakomitej brandy.

- Twoi bliscy? - zapytał łagodnym tonem wódz rycerstwa, podając mu trunek.

Tawl skinął głową. Próbował coś powiedzieć, lecz nie zdołał nic z siebie wykrztusić.

Słowa nie mogły wyrazić tego, co spotkało jego najbliższych.

- Nie mogę już być rycerzem - oznajmił wreszcie.

Tyren uniósł dłonie ku bluzie, pod którą wyraźnie odznaczał się list.

- Synu - rzekł z wielką powagą. - Rycerstwo cię potrzebuje. Ja cię potrzebuję. Nie pozwolę ci odejść.

Tawl potrząsnął gwałtownie głową.

- Jak człowiek, który nie ma duszy, może być rycerzem?

I wtedy Tyren znalazł słowa, które wszystko zmieniły.

- Nie jesteś sam - rzekł. - Wszyscy musimy żyć z rozpaczą. Trzeci krąg nic nie znaczy, jeśli jego

zdobycie nie wiąże się z krwią i ofiarami. Nim osiągniesz wielkość, musisz poznać ból i cierpienie. Nie jesteś pierwszym rycerzem, który utracił rodzinę. Każdy, kto przybywa do Valdis, wyrzeka się swej przeszłości. Musisz nadać śmierci swych sióstr znaczenie. Tylko w ten sposób możesz odzyskać duszę. Zapewniam cię, że jeśli opuścisz teraz Valdis, całe życie będziesz tego żałował. Będziesz żył i umrzesz we wstydzie, niespełniony i udręczony aż po kres swych dni. Jeśli zaś zostaniesz i uczynisz to, o co cię poproszę, przysięgam, że osiągniesz odkupienie.

Tyren wyglądał jak bóg. W jego brązowych oczach jarzyło się nadprzyrodzone światło. Tawł uwierzył w niego.

Pochylił nisko głowę, by oddać cześć wielkości człowieka, którego miał przed sobą.

- Czego ode mnie żądasz, panie? - zapytał.

Tyren wydobył list spod bluzy. Zamachał nim Tawłowi pod nosem, lecz go nie otworzył.

- Otrzymałem dziś pismo od mędrca imieniem Bevlin. Prosi, żebym przysłał mu rycerza, gdyż musi odnaleźć chłopca, który zdoła powstrzymać wojnę światową jeszcze przed jej wybuchem...

- Nie, Bodger, uwierz mi, najgorszym niebezpieczeństwem, jakie grozi żołnierzowi, wcale nie jest israński ogień.

- Ale israński ogień pali wszystko, czego dotknie, Grift. Kamień, żelazo, utwardzoną skórę. Płonie nawet na wodzie.

- Ehe, ale dobry druh może cię wybawić z kłopotu, po prostu szczając na ciebie.

Bodger. Nic nie gasi israńskiego ognia skuteczniej od moczu. - Bodger potrząsnął głową z mądrą miną. - Nie, Grift, najgorsze, co może spaść na żołnierza z miejskich murów, to zdechły królik.

- Zdechły królik!

- Ehe, Bodger. Wszyscy wiedzą, że nic w całym wszechświecie nie cuchnie paskudniej od zdechłego królika. Jego smród bardzo szkodzi na zdrowie. Na samą myśl robi mi się niedobrze.

- Ale dlaczego króliki, Grift? Dlaczego nie skunksy?

- Zdawało mi się, że już ci kiedyś opowiadałem o tym, jak dziwnie parzą się króliki, Bodger.

- Opowiadałeś, Grift.

- No to już chyba pora, żebyś zrobił wielki krok naprzód i samemu wyciągnął wnioski, Bodger.

Młodszy ze strażników ściągnął brwi, przybierając na chwilę zdumioną minę, pociągnął łyk wina i uśmiechnął się triumfalnie.

- Ach. Nie musisz mówić nic więcej, Grift.

Grift rozpromienił się jak dumny nauczyciel.

- Hmm, Kylockowi deczko się poszczęściło - zauważył, sadowiąc się wygodniej na pryczy. - Udało mu się znaleźć podkop i tak dalej.

- Ehe. Kto by pomyślał, że spróbują się podkopać pod sam pałac?

- Ale nie wszystko idzie po jego myśli. Po tym, jak wczoraj zrobili wyłom w murach, czarne hełmy straciły chyba z pięciuset ludzi, nim udało im się go zamknąć. Wszyscy gadają, że to była prawdziwa jatka.

- Mur dalej nie jest bezpieczny, Grift. Widziałem to na własne oczy. Zamknęli wyrwę palisadą i wykopali fosę, ale myślę sobie, że jeden porządny atak wystarczy, żeby się tamtędy przedrzeć.

Grift pokiwał głową.



- Jutro o tej porze to już nie będzie nasze zmartwienie, Bodger. Masz ten list przy sobie?

- Ehe. Ale jest zapieczętowany. Lady Melliandra dała mi go godzinę temu. Mówi, że przed świtem mam przemknąć się do obozu nieprzyjaciela.

- Nie masz pietra, Bodger?

- No więc, zastanawiałem się, czy nie wziąć białej flagi albo czegoś podobnego. Nie chcę, żeby zaczęli do mnie strzelać.

- Chyba lepiej ją weź, Bodger - poradził Grift po chwili zastanowienia. - Na wszelki wypadek. Oczywiście, kiedy się połapią, kto napisał ten list, przyjmą cię z otwartymi ramionami. Lord Maybor mówi, że widział powiewający nad wieżą oblężniczą Highwall sztandar diuka. Już w tej chwili twierdzą, że walczą za jego prawowitego dziedzica.

- Lord Baralis natychmiast rozkazał zestrzelić ten sztandar, Grift.

- Ehe. To ostatnie miejsce, w którym chciałby go zobaczyć, Bodger.

Młodszy strażnik dopił wino. Rozejrzał się po piwnicy, chcąc się upewnić, że są sami.

- Nie tylko Highwall broni praw lady Melliandry - zaczął cichym głosem. - W mieście również są ludzie, którzy wolą ją od Kylocka. Sam dzisiaj widziałem, jak gwardziści diuka zgarnęli na Placu Starokarczmarskim dwóch ludzi, którzy utrzymywali, że lepszy bękart diuka niż krwiożerczy zagraniczny król.

Grift potrząsnął powoli głową.

- Kylock nie będzie tolerował podobnego gadania, Bodger. Wyrwie język każdemu, kto ośmieli się zaatakować jego rządy.

Obaj strażnicy umilkli nagle. Do głównej izby wszedł Maybor, który skierował się ku zapadni.

- Miej Melliandrę na oku pod moją nieobecność - polecił Bodgerowi, po czym otulił się płaszczem, wdrapał na świeżo ustawioną drabinę i zniknął w ciemnościach nocy.

- To dziwne - zauważył Grift, szturchając przyjaciela pustą szklanką.

Bodger natychmiast napełnił ją winem z najbliższej z trzech stojących wokół nich beczulek. Niestrudzenie zacierali do zaliczenia wszystkich antałów w piwnicy. W wielu z nich wino było kwaśne, nie trafili jednak jeszcze na takie, którego nie dałoby się wypić.

- Co jest takie dziwne, Grift?

- To, że staruszek Maybor założył w taką noc gruby płaszcz.

- Masz rację, Grift. To chyba najgorętsza noc w roku.

\*

Gdy tylko Maybor usłyszał trzask zamykającej się za nim zapadni, zrzucił płaszcz i ukrył go w najciemniejszym kącie podwórka. Cuchnęło tu krwią zaszlachtowanych zwierząt, lecz wielmoża nie przejmował się zbytnio tym, gdzie zostawi to szare, zapchłone paskudztwo.

Spał na nim już od miesięcy i płaszcz dawno utracił styl, jaki nadał mu krawiec. Zresztą od początku był on nieciekawym.

Choć zapadał już zmierzch, światła było wystarczająco, by Maybor mógł podziwiać piękny, ciemnokarmazynowy kolor swej bluzy. Ten strój z pewnością zaimponuje dziewczkom.

Uśmiechnął się, zachwycony widmową wspaniałością, którą dostrzegał w półmroku.

Następnie opuścił podwórko, wychodząc na ulice.

Pociski Highwall wstrząsały budynkami, rozświetlając południowo-zachodnie niebo.

Znudzony się całodziennym ostrzałem murów, wojska sojuszu północnego przeniosły katapulty wyżej i zaczęły bombardować samo miasto, przerzucając pociski ponad murami.

Najgorszy był hałas. Straszliwy łoskot machin oblężniczych, od którego burzyło mu się w żołądku, stukot głazów uderzających o kamienne umocnienia, cichy świst cięciw i wysokie, przeraźliwe krzyki rannych.

Nasłuchując odgłosów wojny, Maybor posuwał się ciągle na wschód. Nie mógł już doczekać się jutrzejszego dnia. Jutro list Melli przeczyta lord Besik, wódz armii Highwall.

Dzisiaj lord rozkazał wywiesić sztandar diuka, co świadczyło, że popiera Melliandrę i jej dziecko - Maybor domyślał się czyja pulchna, upierścieniona dłoń się za tym kryje - i że zarówno ona, jak i jej ojciec będą w nieprzyjacielskim obozie mile widzianymi gośćmi.

Wreszcie będzie mógł wziąć czynny udział w wojnie, zamiast kryć się w piwnicy jak tchórz.

W ostatnich dniach wiele czasu poświęcił na dyskretną obserwację miasta i wpadło mu do głowy kilka pomysłów, które mogły doprowadzić do jego zdobycia. Silną stroną Brenu były mury i choć sojusznikom udało się zrobić niewielki wyłom w ich zewnętrznej części, potrzebowali na to niemal tygodnia. Słabością grodu było jednak jezioro. Jego zimna, przejrzysta woda stanowiła krew Brenu. Czerpały ją wszystkie studnie w mieście i zależało od niej życie tysięcy ludzi. Gdyby udało się ją zatruć, ci sami ludzie w niespełna tydzień padliby na kolana.

Highwall powinno wysłać do jeziora nurków. Kosiarz mówił mu, że pod powierzchnią kryją się bramy prowadzące do samego serca pałacu. Skoro znajdował się pod nim labirynt korytarzy, należało zrobić podkop pod jeziorem, żeby się do niego dostać, a potem wypełnić go sianem oraz drewnem i podpalić. Fundamenty zawaliłyby się w mgnieniu oka.

Jeśli zaś chodzi o barwy zmarłego diuka, kazałby nimi ozdobić każdy namiot, drabinę obłęźniczą i kuszę. Wielu mieszkańców Brenu wolałoby Melli od Kylocka. Potrzebowali tylko odrobiny zachęty. Cravin starał się obecnie zorganizować poparcie dla Melliandry.

Maybor z niechęcią przyznawał, że jest to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Jak dotąd, wszyscy z garstki szlachetnie urodzonych, którzy dali do zrozumienia, że byliby skłonni opowiedzieć się po jej stronie, przypłacili to życiem. Rzecz jasna, oficjalnie podano, że zaginęli, lecz taki stary spryciarz, jak Maybor, nie miał zamiaru w to uwierzyć.

Z zamyślenia wyrwały go dwie młode, stojące w bramie kobiety.

- Hej, przystojniaczku! - zawołały. - Chcesz trochę pobaraszkować w pościeli?

- Mój pokoik możesz oblegać w każdej chwili, kolego.

Maybor przyjrzał się pospiesznie ich wdziękowi, czy raczej brakowi takowych, po czym uklonił się uprzejmie.

- Nie dziś, miłe panie. Może innym razem.

Dziewczyny zachichotały z uznaniem na jego uprzejme słowa, po czym obiecały mu specjalną bonifikatę, gdyby jeszcze miał tędy przechodzić.

Maybor zapisał sobie w pamięci to miejsce. Jeśli szybko nie znajdzie tego, czego szuka, może jeszcze skorzystać z ich oferty. Ostatecznie brzydkie dziewczyny zwykle bywały najbardziej pomysłowe w łożu. Jedno było pewne: dzisiejszej nocy zaspokoi swe żądze.

Obywał się bez kobiet już tak długo, że prawie zapomniał, co się z nimi robi. Tak długa abstynencja może zabić mężczyznę! Po jutrzejszym dniu, gdy znajdzie się w obozie Highwall zapewne aż do końca obłężenia nie przytrafi mu się żadna okazja. Dlatego właśnie wyszedł dziś na ulice. To była dla niego ostatnia szansa.

Zrządzeniem fortuny podczas poprzedniego wypadu odwiedził gospodę, w której podano mu adres najbardziej dochodowego burdelu w mieście. Pracowała tam dziewczyna tak niezwyklej urody, że mężczyźni schodzili się do niej z daleka. Usłyszawszy o jej wdziękach, Maybor postanowił, że to z nią spędzi ostatnią noc w Brenie. Wynagrodzi sobie długie dni powściągliwości jednym wspaniałym - i zapewne bardzo kosztownym - aktem.

Maybor długo błędził i musiał się kawałek cofnąć, wreszcie jednak znalazł budynek, którego szukał. Czerwone okiennice szeroko otwarto i w noc uciekały dym, hałas oraz wabiące klientów wonie. Maybor sprawdził jeszcze wypisane nad wejściem nazwisko, dotknął sakiewki, by dodać sobie pewności, i zastukał głośno do drzwi.

Otworzyła mu kobieta, która obejrzała go od stóp do głowy, klepiąc się po pokrytych grubą warstwą pudru włosach.

- Witaj, szlachetny panie - powiedziała. - Wejdz proszę i strzep z butów pył obłężenia.

Złapała go za ramię z siłą obcęgów i wciągnęła do środka przez próg.

Maybor poczuł naturalne pragnienie ucieczki. Kobieta nie była młoda ani ładna, a do tego cuchnęła zdechłymi gryzoniami.

- Moxie! Franny! - zawołała jednak, nim zdążył wyjść. - Chodźcie pokazać się temu panu.

Pojawiły się dwie młode dziewczyny i kobieta zwolniła uścisk. Stały po obu stronach Maybora, a właścicielka wcisnęła mu w dłoń kufel *ale*.

- Specjalny gatunek - oznajmiła.

Biorąc pod uwagę fakt, że paliło się tu niewiele świec, dymu było zdumiewająco dużo. Pomieszczenie było ciemne, straszliwie zatłoczone i pełne intensywnych odorów.

Maybor pociągnął łyka *ale*. Smak wydał mu się dziwnie znajomy. Przypominał piwo warzone w królestwach.

- Od początku wojny nie mieliśmy takiego ruchu - oznajmiła kobieta. - Cały dzień służby na murach okrutnie wzmaga męskie żądze.

Uśmiechnęła się kokieteryjnie, poprawiając ufryzowane włosy.

Maybor czuł się lekko oszołomiony. Odprężył się pod wpływem dymu i mocnego *ale*.

Niemniej cuchnąca gryzoniami kobieta nadal wydawała mu się odrażająca.

- Powiedz mi, gdzie jest twoja piękność? - zapytał.

Obie dziewczyny zbliżyły się do niego.

Zalutująca szczurami niewiasta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Ach. No cóż, przystojny panie, Cherry jest w tej chwili zajęta, ale niedługo będzie wolna. Dlaczego nie nacieszysz się tymczasem towarzystwem Franny i Moxie?

Franny i Moxie ucałowały go w szyję z obu stron. Obie dziewczyny wyglądały całkiem atrakcyjnie, Maybor podejrzewał jednak, że w świetle dnia prezentują się znacznie gorzej.

- Posiedzę tu z nimi chwilę - zgodził się. - Ale przyślij mi Cherry, kiedy tylko będzie wolna.

Kobieta zawahała się.

- Jak sobie życzysz, szlachetny panie. Ale cena będzie podwójna za wszystkie trzy.

Maybor pozwolił, by poprowadziła go ku stojącej na uboczu ławie. Franny i Moxie natychmiast zaczęły go całować i pieścić.

- Mniejsza o cenę, kobieto - zawołał, przekrzykując czyniony przez pijących hałas. -

Przyślij mi swoją najlepszą dziewczynę.

\*

Nietoperzowe uszy pani Greal wszelkie wzmianki o pieniądzach wychwytywały na odległość mili. Przed chwilą usłyszała swe dwa ulubione zdania: „Mniejsza o cenę” i

„Przyślij mi swoją najlepszą dziewczynę”. Jej małe serce zabiło szybciej na ich dźwięk, jakby były najpiękniejszą muzyką. Najwyraźniej ich lokal odwiedził dziś gość, który mógł sobie pozwolić na to, co najlepsze.

Rzecz jasna, tak naprawdę nie potrzebowała już pieniędzy. Odkąd nabyła swą wyjątkową piękność, interes szedł świetnie jak nigdy. Z całego miasta ściągali mężczyźni pragnący ujrzeć porażające wdzięki Cherry: włosy barwy jasnoblond, skórę gładką jak jedwab i oczy zielone niczym szmaragdy. Nie wspominając już o tyłku wielkim jak beczka na piwo! Dziewczyna szybko stawała się sensacją. W gospodach śpiewano o niej pieśni, jej podobizny wymalowano na kilku pociskach przeznaczonych dla nieprzyjaciela, a poprzedniej nocy poprosił o nią sam król Kylock.

Wtem zza pleców dobiegł ją wysoki, nosowy głos madame Thornypurse.

- Najmilsza siostró - mówiła. - Chyba mamy problem.

- Co się stało tym razem, miła siostró? Znowu ktoś narzeka na dym? - zapytała pani Greal wzgardliwym tonem. Nikt nie robił więcej hałasu o drobiazgi niż jej siostra. Wczoraj chodziło o chrząszcze w specjalnym piwie!

- Najmilsza siostró - zaczęła madame Thornypurse, ścisząc głos do szeptu -

odwiedził nas jakiś szlachetny pan, który życzy sobie Cherry. Sądząc z tego, jak jest odziany, może sobie pozwolić na to, żeby zapłacić za nią podwójną stawkę.

Pani Greal natychmiast zrozumiała, na czym polega problem.

- Czy zaproponowałaś mu Franny?

Franny była drugą po Cherry dziewczyną w lokalu. Gdyby nie zbyt długi nos i krzywe zęby, mogłaby uchodzić za piękność.

- Tak, najmilsza siostró, ale on nadal domaga się Cherry.

- Jej nie może dostać - warknęła pani Greal. - Nikt jej nie dostanie, dopóki nie poczuje się lepiej.

Rano Cherry wróciła z pałacu diuka. Miała nie tylko złamaną rękę, lecz również trzy małe ślady po poparzeniach na prawym barku. Dziewczyna przysięgała, że spadła ze schodów i uderzyła o stół, na którym stały zapalone świece, pani Greal nie uwierzyła w to jednak.

Wiedziała z doświadczenia, że niektórzy mężczyźni lubią zadawać kobietom ból i odnosiła wrażenie, że król Kylock jest jednym z nich.

W normalnej sytuacji przymknęłaby oko na podobne praktyki, zwłaszcza u klienta, który płacił tyle co król, lecz z drugiej strony jej najlepsza pracownica wypadła z obiegu na co najmniej tydzień. Cherry mogłaby pracować ze złamaną ręką - zwiększyłoby to nawet otaczającą ją aurę niezwykłości - lecz siniaki i oparzenia muszą zniknąć, nim będzie mogła pojawić się publicznie. Było to doprawdy bardzo niedogodne, zwłaszcza, kiedy trafił się bogaty klient, skłonny zapłacić za jej usługi podwójną cenę.

- Pokaż mi tego szlachetnego pana, miła siostró.

Madame Thornypurse uniosła nagle palec, jakby był różdżką, a ona różdżkarzem, który właśnie odkrył złoto.

- Jest tam - oznajmiła. - Ten w szkarłatnej bluzie, zwrócony do nas plecami.

Oczy pani Greal prześcignęły już palec siostry. Zobaczyła szkarłatny strój i oceniła, że jest uszyty z najszlachetniejszego jedwabiu. Miała już podejść do gościa, gdy ten nagle zwrócił twarz ku światłu.

Pani Greal stanęła jak wryta. Powietrze w jej płucach obróciło się w pył. Cały dym na świecie nie zdołałby ukryć przed nią tożsamości mężczyzny w szkarłacie. Co noc widywała w snach jego twarz. Uniosła kciuk do ust, delikatnie dotykając miękkiego dziąsła. Kiedyś miała tam zęby.

- Co się stało, najmilsza siostró? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Pani Greal zapanowała nad sobą z najwyższym wysiłkiem. Uśmiechnęła się na swój szczególny sposób, zaciskając wargi i rozciągając je w wąską linię.

- Nie, miła siostró - odparła. - Zobaczyłam coś znacznie bardziej zyskowego niż duch.

Madame Thornypurse zadrżała jak wstydliva dziewczica.

- A co, najmilsza siostró? A co?

- Drugiego na liście najbardziej poszukiwanych mężczyzn w Brenie - wyszeptła pani Greal, raczej do siebie niż do siostry. Kto by pomyślał, że lord Maybor trafi akurat tutaj?

Uśmiechnęła się szerzej. Nadarzała się jej okazja zemsty i zysku, a w jej osobistym wszechświecie te dwie sprawy liczyły się najbardziej.

Nieźle byłoby też wkraść się w łaski lorda Baralisa. Och, zdawała sobie sprawę, że ma coś na tego potężnego wielmożę - ona jedna w całym Brenie wiedziała, iż to on uknuł spisek mający na celu zamordowanie diuka - prawda jednak wyglądała tak, że trochę się bała zrobić użytek ze swej wiedzy. Ludzie, którzy zadzierali z lordem Baralisem, niezwykle często kończyli w grobie. Jeśli królewski kanclerz mógł zamordować diuka, a zapewne również i diuszese, z pewnością nie cofnie się przed zabiciem kogoś, kto spróbuje go szantażować.

Znacznie lepiej będzie najpierw poznać lorda Baralisa i przekonać się, czy potrafi być szczodry. Na szantaż przyjdzie kolej później. Doświadczenie uczyło ją, że tajemnice podobne do tej, którą poznała, zawsze nabierają z czasem mocy. Pieniądze, które zdobędzie, wydając Maybora i tę zdzirę, jego córkę, pozwolą jej zaczekać.

- Musisz go tu zatrzymać, nim wrócę - poleciła siostrze.

- Ale...

Pani Greal uniosła rękę.

- Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Możesz nawet kazać dziewczynom tańczyć nago.

Dopilnuj, żeby ten stary sukinsyn sobie nie poszedł.

Madame Thornypurse była wstrząśnięta, lecz nawyk słuchania starszej siostry we wszystkim zakorzenił się już w niej tak głęboko, że natychmiast skinęła głową.

- Ale to nie potrwa zbyt długo, najmilsza siostro?

Pani Greal zdążyła już założyć płaszcz.

- Nie, miła siostro. Wrócę, nim się obejrzysz.

\*

Baralis zakończył właśnie pierwszy kontakt ze Skaythem. Brat Blayze'a opuścił

miasto przed pięcioma dniami i kierował się na południe, licząc na to, że natknie się tam na Tawla. Aczkolwiek kanclerz od pewnego czasu podejrzewał, że rycerza nie ma już na tym terenie, do dziś nie był tego pewien. Teraz, dzięki pracowitym jasnowidzom z Larnu, wiedział

nie tylko, dokąd Tawl się wybiera, lecz również którą trasą tam zmierza. Posuwał się wzdłuż półwyspu, przez Ness, Toolay i Rorn.

Władcy Larnu skontaktowali się z Baralitem we śnie. Fakt, że czekali z tym do wczesnego ranka, wiele zdradzał. Liczyli na to, że ze śniącego umysłu kanclerza uda się im wyczytać jego tajemnice. Uśmiechnął się półgębkiem. Żeby przeniknąć mroczny labirynt jego podświadomości trzeba by czegoś, więcej niż jasnowidze z Larnu.

Nie ulegało wątpliwości, że władcy odległej wyspy są coraz bardziej zaniepokojeni.

Usiłowali zachować zwykłą dla siebie fasadę wyniosłości, lecz w ich gotowości zdradzenia wszystkiego, co wiedzą, wyczuwało się nutę lęku. Chcieli, żeby zabił rycerza i chłopca, i byli skłonni posunąć się bardzo daleko, by mu w tym pomóc. Nie tylko powiedzieli mu, którą trasę wybrała dwójka zbiegów, lecz również próbowali go przekupić nowymi informacjami na temat wojny. Najwyraźniej armie Highwall czekały na przybycie dwóch tysięcy najemników. Koszty ich wynajęcia

i wyposażenia w pełni pokrył czcigodny arcybiskup Rornu.

Baralis bez zwłoki przekazał tę wiadomość Kylockowi. Ostatecznie wojna była specjalnością młodego króla.

Natomiast jego specjalnością były polityka i nie załatwione sprawy.

Królewski kanclerz z uśmiechem nalał sobie kielich czerwonego wina. Skaythe okazał

się nadzwyczaj użytecznym nabytkiem. Mógłby wynająć wielu ludzi, którzy podjęliby się wytropienia rycerza, lecz brat Blayze'a posiadał amatorską znajomość czarów, dzięki czemu można się z nim było skontaktować na odległość. Wysłać wiadomość było trudno, ale odebrać ją znacznie łatwiej. Wystarczyło się skupić i słuchać bez użycia uszu, a to potrafił

każdy dureń.

Skaythe odebrał przekaz i natychmiast zmienił trasę. Baralis wierzył w niego głęboko.

Może nie władał bronią tak biegle jak Blayze, lecz był od niego nieporównanie sprytniejszy.

Z zamyślenia wyrwało go głośnie łomotanie do drzwi. Croke z reguły tak późno w nocy był nieobecny. Zajmował się zwierzętami. Baralis podniósł się z fotela. Nim zdążył

podejść do drzwi, stukanie rozległo się ponownie. Ten, kto czekał pod drzwiami, był bardzo niecierpliwy.

Otworzył je szeroko.

- Kto ośmiela się zawracać mi głowę o tej porze?

W korytarzu czekała jakaś kobieta. Jej twarz zastygła w zawziętym wyrazie, a ciało miało tyle uroku, co zawiązana w supły lina.

- Ktoś, kto zaprowadzi cię do największej dziwki w Brenie.

- A kto nią jest?

Baralis rozejrzał się po korytarzu. Kto wpuścił tę wariatkę do pałacu?

- Ależ córka Maybora, oczywiście.

- Wiesz, gdzie jest Melliandra? - Być może nieznajoma wcale nie była nienormalna.

W jej małych oczkach lśniła chciwość, nie obłąd. - Wejdz, proszę, na chwilę. - Zaprosił ją gestem do środka. - Nalać ci kieliszek wina?

- Tylko kropelkę, żeby zwilżyć gardło.



Potarła suche usta.

Baralis nalał jej kielich z meniskiem.

- A z kim mam przyjemność rozmawiać?

- Z panią G.

Kobieta starała się jak najmniej poruszać ustami.

- No więc, pani G., zechciej mi zdradzić, gdzie ukrywa się ta młoda morderczyni. -

Baralis uczynił ze swego głosu słodką pułapkę na muchy. - Potem będziemy mogli omówić kwestię nagrody.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym najpierw porozmawiać o nagrodzie.

W moim zawodzie człowiek szybko się uczy, że lepiej zawsze żądać zapłaty z góry.

- Słucham.

- No więc. - Kobieta rozejrzała się po komnacie w poszukiwaniu inspiracji. - Chodzi mi oczywiście o gotówkę.

Baralis skinął głową.

- Oczywiście.

- Powiedzmy, pięćset sztuk złota.

- I?

Kobieta uśmiechnęła się z satysfakcją godną kata sprawdzającego zapadnię.

- Oboje wiemy, jak bardzo ważne jest odnalezienie lady Melliandry. Jeśli uda się jej zbiec do obozu nieprzyjaciela, może to doprowadzić do wojny domowej. - Pani G.

potrzęsnęła ze smutkiem głową. - W Brenie nie brakuje ludzi, którzy woleliby zobaczyć w pałacu jej dziecko niż Kylocka, choć nikt nie odważy się powiedzieć tego głośno, z uwagi na to, jak król traktuje jej zwolenników.

- Mów, czego żadasz.

Zmiana tonu Baralisa nie umknęła uwagi niewiasty. Po raz pierwszy okazała nerwowość, przełykając duży łyk wina. Królewski kanclerz dopiero teraz zauważył, że brak jej dwóch przednich zębów.

Trunek dodał kobiecie odwagi. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chciałabym dostać jakieś stanowisko w pałacu. Mogę być ochmistrzynią, archiwariuszką, piwniczą... - Pani G. zamachała rękami, by podkreślić swe słowa, a na jej małej, pełnej napięcia twarzy pojawił się wyraz łatwej do rozpoznania złości. - Mogłabym nawet sama pilnować tej dziwki.

Bez względu na wszelkie wysiłki Baralis nie potrafił powstrzymać uśmiechu. To babsko byłoby znakomitą strażniczką.

- Spełnię twoje życzenie - zapewnił. - A teraz powiedz mi...

- Nim posuniemy się dalej, muszę dostać złoto i twoje słowo - przerwała mu pani G.

Baralis podszedł do biurka, wyjął szybko weksel, podpisał go i przybił swą osobistą pieczęć. Potem wręczył dokument kobiecie.

Przeczytała go powoli.

- Będzie mi potrzebny zadatek.

- Jeśli natychmiast mi nie wyjawisz, gdzie są Maybor i jego córka, nie wyjdiesz z pałacu żywa. - Podeszedł do niej bardzo blisko. - Przyjmij to, co ci dałem, albo utracisz wszystko.

Pani G. wsunęła drżącą dłonią weksel pod gorsecik.

- Proszę bardzo. Lord Maybor zabawia się obecnie w lokalu mojej siostry. Wyślij kilku ludzi, którzy pójdą za nim. Zaprowadzi cię prosto do Melliandry.

Baralis natychmiast pociągnął za sznurek dzwonka.

- A co to za lokal?

- Znajduje się w południowej dzielnicy miasta. Pójdę tam z twoimi ludźmi, żeby przypadkiem nie zabłądzili.

- Proszę bardzo - zgodził się Baralis. Kobieta przestała już go obchodzić. Równie dobrze sama mogła prowadzić pościg. Jasnowidze z Larnu nigdy się nie mylili. Melliandra wkrótce wpadnie w jego ręce.

\*

Maybor nawet już nie próbował spamiętać imion wszystkich dziewcząt. Dwie pierwsze nazywały się Moxie i Franny, a cała reszta to były tylko miłe, skąpo odziane ciała.

Dym, od którego zakrztusiłby się nawet węglarz, w połączeniu ze specjalnym piwem, tak mocnym, że mogłoby zabić przedstawiciela tego szlachetnego zawodu, doprowadził

Maybora do stanu półprzytomnego oszołomienia. Pewny był tylko jednego: tego, że pora już wracać

do siebie, a śmierzcząca zdechłymi szczurami kobieta nie chce mu na to pozwolić. Gdy tylko ruszał ku drzwiom, stawiała mu na drodze i podsuwała kolejną nagą dziewczynę.

Lokal opustoszał prawie całkowicie. Kilku kompletnie pijanych wyrzutek chrapało na podłodze, jeden mężczyzna płakał cicho nad *ale*, a drugi śpiewał o swojej żonie. Nawet dym zaczynał się przersedzać.

Maybor odepchnął dziewczyny i wstał na równe nogi. Minęła chwila, nim podłoga uspokoiła się pod jego stopami. Wtem zmaterializowała się przed nim zalatująca padłymi gryzoniami właścicielka lokalu.

- Och, panie, nie odchodź jeszcze - powiedziała, łapiąc go za rękę. - Nie widziałeś, jak tańczy Esmi.

Maybor odtrącił jej dłoń.

- Borc mi świadkiem, kobieto, wychodzę! I nie przeszkodzisz mi w tym.

Zatoczył się ku drzwiom. Nim zdążył do nich dojść, otworzyły się i do środka głowę wsadziła jakaś niewiasta. Tak mu się przynajmniej zdawało, gdy bowiem skupił wzrok, już jej nie było.

Cuchnąca szczurami kobieta, która stała krok za nim, natychmiast zwróciła się ku swoim dziewczętom.

- Powiedzcie szlachetnemu panu „dobranoc” - rozkazała.

- Dobranoc, przystojniaczku - powtórzyły chórem.

Instynkt podpowiedział Mayborowi, że w obecnej chwili lepiej będzie się nie kłaniać, pomachał im więc tylko ręką. Woniejące gryzoniami babsko bez sprzeciwów odprowadziło go do drzwi.

Zaczerpnął w płuca głęboki haust nocnego powietrza, starając się przypomnieć sobie drogę do schronienia. Wbił wzrok we własne stopy i podszedł do końca ulicy. Wszystko wydawało mu się tu znajome, skręcił więc w lewo i ruszył przez plac targowy. Zapadła cisza.

Armia Highwall przerwała na noc bombardowanie i słychać było jedynie szmer fontanny oraz szelest jego atłasowej bluzy.

To była naprawdę niezwykła noc. Dowiedział się dziś czegoś, co go straszliwie rozczarowało: nawet nagie kobiety mogą się z czasem stać nudne. Niemniej jednak, człowiek powinien od czasu do czasu obrzydliwie się zalać, choćby po to, by nie wyjść z wprawy.

Sądząc z tego, jak szybko tłukło mu serce, dzisiejszej nocy nadrobił wiele zaległości.

Idąc przez miasto, Maybor poczuł, że zaczyna powoli trzeźwieć. Lekki wietrzyk pomógł mu oczyścić płuca z dymu, a ohydny zaduch bijący z rynsztoków działał skuteczniej niż najlepsze sole trzeźwiące.

Z przytomnością umysłu wracała też ostrożność. Nie tylko jego serce stukało. Maybor zatrzymał się

nagle i kroki również ucichły. Ktoś go śledził, zapewne bandyta albo kieszonkowiec przyciągnięty jego pięknym strojem i stanem oszołomienia. Przyspieszył

kroku. Piwnica była już niedaleko.

Maybor skręcił jeszcze kilka razy, rozejrzał się szybko wokół i wszedł na podwórko.

Borcu, ależ tu było ciemno! Dowłókł się chwiejnym krokiem na środek placu, szukając wzrokiem płaskiego kwadratu zapadni. Kiedy ją znalazł, zastukał stopą o drewno.

- To ja, Maybor! - syknął. - Wpuście mnie.

Na dole coś się poruszyło. Wielmoża chrząknął z zadowoleniem. Ci leniwi żebracy jeszcze nie spali. Gdy zapadnia się otwierała, Maybor przypomniał sobie, że zostawił płaszcz w rogu podwórka.

- Wrócę za chwilę - wyszeptał do czekającego na dole Bodgera.

Maybor nie był pewien, w którym kącie dziedzińca leży jego strój. Po ciemku wszystkie wyglądały tak samo. Gdy ruszył ku najdalszemu z nich, nocną ciszę zmącił

ochrypły krzyk:

- Brać ich!

Miecze wysunęły się z pochew i podwórko nagle wypełniły mroczne postacie, biegnące ku zapadni.

Maybor zobaczył, że dwóch napastników ruszyło prosto na niego. Wyciągnął nóż i skrył się głębiej w cieniu muru. Uderzył o coś biodrem. Stół rzeźnicki. Ominął go z przekleństwem na ustach.

Podniósł wzrok i dostrzegł grupę wskakujących do piwnicy uzbrojonych żołnierzy.

Ktoś wrzasnął.

Dwaj napastnicy zbliżyli się do niego na odległość kilku kroków. Maybor zamachnął

się nożem. Jeden z przeciwników cofnął się. Wielmoża złapał za stół i pchnął go z całej siły, przygniatając drugiego żołnierza. Grubas padł na ziemię i czołgał się przed siebie, dopóki nie wymacał miękkiej tkaniny.

Przygnieciony rzeźnickim stołem żołnierz głośno wzywał pomocy towarzysza.

Z piwnicy wyłoniło się kilku mężczyzn. Jeden z nich kogoś niósł. Kogoś, kto nie krzyczał ani się nie opierał. Było tak ciemno, że Maybor nie dostrzegał żadnych szczegółów, domyślał się jednak, że to jego córka. Melliandra przyjęłaby schwytanie z godnością. Serce zabiło mu szybciej, gdy zobaczył, że postać się poruszyła. Zobaczył w blasku gwiazd skrawek spódnicy. To rzeczywiście była Melli. Żyła i nic się jej nie stało. Po obu jej bokach szli żołnierze.

- Trevis! Brunner! Złapaliście już tego starego capa?

- Nie wymknie się nam, kapitanie.

Rozległ się łoskot. To pierwszy mężczyzna zrzucił stół ze stopy drugiego.

Maybor wiedział, że zostały mu tylko ułamki sekund na podjęcie decyzji. Jego córkę pojmano i wątpił, by zdołał ją uratować. Napastników było zbyt wielu, by mógł im sprostać w pojedynkę. Musiał zebrać myśli. Dla Melli.

Dwaj żołnierze zbliżali się, ostrożnie poruszając wyciągniętymi przed siebie mieczami. Maybor skrył się głęboko w cieniu i podejrzewał, że przeciwnicy go nie widzą.

Wiedział, że najlepiej będzie, jak ucieknie. Jeśli dostanie się do niewoli lub zginie, wtedy w niczym jej nie pomoże Melli. Jeżeli dobrze sobie przypominał, w połowie drogi między miejscem, w którym stał, a kuchnią, znajdowała się dodatkowa furta. Złapał płaszcz i wyrzucił go w górę niczym sieć. Strój wydał się na wietrze i pofrunął na środek podwórka. W

mroku przypominał człowieka.

- Tam jest, Trevis! - krzyknął pierwszy z żołnierzy. - Ucieka!

Obaj pognali w stronę płaszcza.

- Ojczy! Nie! - krzyknęła Melli.

Maybora ścisnęło w żołądku, gdy usłyszał jej głos. Z pewnością poznała jego płaszcz.

Zawahał się na mgnienie oka, po czym pomknął w drugą stronę, kierując się wzdłuż muru ku bramie. Cienie były współnikiem jego ucieczki. Powietrze paliło mu płuca. Charczał przy każdym oddechu. Nie musiał oglądać się za siebie, by wiedzieć, że odkryto jego podstęp. Za jego plecami rozszalał się krzyżowy ogień krzyków i kroków biegnących ludzi.

Wreszcie dotarł do bramy. Dłoń drżała mu tak bardzo, że nie potrafił odsunąć rygła.

- Jest tam, pod murem! - wrzasnął ktoś.

Złapał rygiel obiema dłońmi i odciągnął go. Brama otworzyła się. Zaryzykował

spojrzenie do tyłu.

Melli wywołała spore zamieszanie. Kopała i wrzeszczała, ze wszystkich sił starając się przeszkodzić żołnierzom w pogoni za nim. Mayborowi wydawało się, że serce mu zaraz pęknie. Była najodważniejszą córką, na jaką mógł liczyć ojciec.

Tupot biegnących był coraz bliżej i Maybor wiedział, że pora zniknąć. Wymknął się przez furkę, zatrzasnął ją natychmiast za sobą. W zaułku było trochę jaśniej i grubas natychmiast zauważył, że

pod murem po lewej stronie pełno jest skrzyń z jabłkami. Biegając naprzód, uderzył bokiem w ich stos, który przewrócił się z głośnym łoskotem. Skrzynki popękały i owoce posypały się na ziemię. Brama otworzyła się i dwaj żołnierze przeszli przez nią akurat na czas, by spotkać się z bombardowaniem.

Maybor nie miał sił radować się tym widokiem. Odwrócił się szybko i umknął w głąb zaułka. Każdy krok był dla niego torturą. Pierś uciskała mu ciasna opaska bólu, a piękna bluza zrobiła się mokra od potu. Zgubiwszy się w wielkim labiryncie miasta, stopniowo zwolnił kroku.

Wytrzeźwiał już całkowicie. Ucieczka nie sprawiła mu radości. Przed oczami wciąż miał obraz Melli, takiej, jaką widział ją po raz ostatni. Prześladował go on aż do świtu.

- Musimy przyjąć założenie, że ktoś nas śledzi - odezwał się Tawl. - Przez cały czas.

- Masz najśluszniejszą rację, przyjacielu - wtrącił Kosiarz. - Szybcior zwykł mawiać, że ludzie łazili za nim tak często, że pewnego dnia ktoś pójdzie za nim do grobu.

Tawl uśmiechnął się, spoglądając pospiesznie na Jacka. Nie był pewien, jak chłopak przyjmie tę wiadomość. Nie zdążył go jeszcze poznać zbyt dobrze.

Jack nie przestał przygotowywać ogniska.

- Już od tygodnia jestem o tym przekonany.

- Czy to wyczułeś?

- Nie poprzez czary, jeśli o to ci chodzi, Tawl.

Jack wypowiedział słowo „czary” z lekką emfazą.

Rycerz zaakceptował reprimendę. Zasłużył na nią, nie wyrażając się jasno.

- W takim razie dlaczego tak sądzisz?

- Dlatego, że Baralis zawsze wie, co kombinują inni. Jeśli używają czarów, potrafi wykryć ich ślad. - Jack rzucił do ognia ostatnie drwa. - Wytropił mnie już kilkakrotnie.

Płomienie zamigotały w chłodnym podmuchu. Słońce skryło się za wzgórzami na zachodzie, zabierając ze sobą resztkę dnia. Konie zarżały cicho, po czym ponownie zajęły się skubaniem trawy. Tawla ogarnął jakiś trudny do określenia niepokój. Podejrzewał, że Jack również go czuje.

Opuścili miasto przed dziewięcioma dniami. Mieli za sobą tyleż dni późnego chodzenia spać i wczesnego wstawania, długiej i trudnej wędrówki, obolałych nóg i braku odpoczynku. Przed tygodniem kupili dwa konie od rolnika, który tak bardzo bał się obrabowania lub pobicia, że oddał im zwierzęta niemal za darmo. Nie były już młode, lecz za to silne i przyzwyczajone do ciężkiej pracy. Tawl dał Jackowi gniadosza, który był mniejszy, a sobie wziął bułanego. Kosiarz, choć głośno protestował, musiał jechać za jego plecami.

Do tej chwili konie właściwie spowalniały ich wędrówkę. Kosiarz nie znosił tych zwierząt, a Jack nigdy nie uczył się konnej jazdy. Tawl ciągle zapominał, że jego towarzysz do niedawna był piekarczykiem. Nie wskazywały na to jego zachowanie ani wygląd, a do tego władał nożem jak zabójca, nie jak kuchcik. Był jednak bardzo młody i wielu rzeczy jeszcze nie umiał. Nie opanował prostych umiejętności, takich jak jazda konna, pakowanie bagażu tak, by uchronić go przed wilgocią, znajdowanie nocą drogi za pomocą gwiazd, czy poranne gaszenie ogniska.

Tawl uczył go stopniowo wszystkiego, co sam umiał. Jack był bystrym uczniem. Już w tej chwili

jeździł konno lepiej niż Kosiarz. Rycerz liczył na to, że jutro pokonają znacznie dłuższy odcinek. Za parę dni powinni być w Ness. Gdy już tam dotrą, będą mogli wymienić konie na szybsze. Droga do Rornu zajmie im najwyżej dwa tygodnie.

Rycerz uśmiechnął się. Wiedział, że jest wielkim optymistą - mogło to potrwać dwa razy dłużej - nie potrafił się jednak powstrzymać. Melli została w Brenie i mógł myśleć jedynie o tym, aby jak najszybciej dotrzeć na Larn, a potem wrócić do niej. Śniła mu się co noc.

- Tawł, nigdzie już chyba dziś nie pojedziemy, co? Nogi mam krzywe jak kurze kości.

- Kosiarz zatoczył krąg ramieniem. - Poza tym, dobrze by było tu się przekimać. To miejsce to niezła kryjówka.

Rycerz spojrział na ognisko, które płonęło już jasno. Odkąd Jack opanował sztukę szybkiego rozpalania ognia, nie marnował żadnej okazji, by się tym pochwalić. Kosiarz miał

rację. Nie powinni już dziś wędrować dalej. Mieli piękne ognisko i miejsce, w którym mogli się przespać, a poza tym księżyc w kwadrze świecił słabo, co utrudniało konną jazdę. Tawł liczył na to, że będą jechali jeszcze kilka godzin, wiedział jednak, że Kosiarz jest zmęczony.

- Dobrze - powiedział. - Zatrzymamy się tutaj.

Ulicznik podniósł się z ziemi.

- Pójdę napełnić manierki. Za tymi drzewami jest strumyk.

- Uważaj na wilki - zawołał z uśmiechem na ustach Tawł. Kosiarza interesowała nie tyle woda, co szansa podokuczania traszkom i żabom. Spoglądał w ślad za chłopcem, aż ten zniknął mu z oczu, zapamiętując, w którym dokładnie kierunku się oddalił.

- Wciąż jesteś niespokojny? - zapytał Jack.

Tawł ukrył zaskoczenie.

- Nigdy nie lekceważę kwestii bezpieczeństwa.

Jack milczał przez chwilę, mieszając soczewicę i suszone mięso, bulgoczące w garnku nad ogniskiem.

Siedzieli na opadającym łagodnie zboczu porośniętym rzadkim lasem. Otaczające ich drzewa skupiały się w luźne grupki niczym stare baby. Były tu dęby, buki oraz krzaki głogu.

Wszystkie sprawiały wrażenie, że rosną w tym miejscu już od dawna. Nawet trawa wydawała się pożółkła i stara.

Tawł rozsiadł się wygodnie, oparty plecami o stary, sękaty dąb. Obserwował, jak Jack przygotowuje gulasz.



- Mówisz, że Baralis już cię kiedyś wytropił? - odezwał się po chwili.

Chłopak skinął głową.

- I Melli też. Razem uciekliśmy z Zamku Harvell. Znalazł nas dwa razy.

- Dlaczego Melli zbiegła z zamku?

- Ojciec chciał ją zmusić do poślubienia Kylocka.

- A ona tak po prostu uciekła?

- Tak. Opuściła zamek w środku nocy.

Tawl poczuł się nagle bardzo szczęśliwy. Wyobraził sobie, jak Melli ogarnia coraz większe oburzenie, które w końcu skłania ją do tak lekkomyślnego uczynku. Nigdy nie spotkał kobiety, która miałaby więcej werwy.

- Jaka ci się wydała, kiedy spotkałeś ją po raz pierwszy?

- Zarozumiała. - Jack zdjął sagan z ognia i odstawił na bok, po czym wziął swój plecak i usiadł obok Tawla. - Dłoń jej krwawiła i przed chwilą ją obrabowano, ale i tak nie chciała przyjąć mojej pomocy. Minęła przeszło godzina, nim raczyła mi powiedzieć, jak ma na imię - ciągnął Jack z uśmiechem. - Była jednak piękna.

Tawl odwzajemnił jego uśmiech.

- Tak, rzeczywiście jest piękna.

- I silna. Do dziś nie wiem, jak udało jej się zawlec mnie przez las do wschodniego traktu harvelskiego. Do tego przekonała hodującą świnie starą wieśniaczkę, żeby się mną zaopiekowała. Powiedziała jej, że miałem wypadek na polowaniu.

- I staruszka jej uwierzyła?

- Jak Melli czegoś chce, trudno się jej sprzeciwić.

- Chcesz powiedzieć, że sterroryzowała wieśniaczkę?

- A jak ci się zdaje?

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Serce Tawla wypełniła radość. Przyjemnie było siedzieć na polanie w bladym księżycowym blasku i rozmawiać o Melli. Lepiej czułby się tylko wtedy, gdyby był z nią.

- Bardzo ją lubisz, prawda? - zapytał, gdy śmiech ucichł.

Jack podniósł wzrok.

- Tak.

Tawl wyczuwał w jego głosie nutę niechęci. Milczeniem skłonił Jacka, by ten powiedział coś więcej.

- Ale nie jestem w niej zakochany, tak jak ty.

Chciał mu w ten sposób wyjaśnić, że nie ma w nim rywala. Tawl uniósł rękę i położył

dłoń na jego ramieniu. Świat wydał mu się nagle dobrym miejscem. Były na nim honor, przyjaźń i miłość.

- A w kim, Jack? - zapytał cicho. - O kim śniesz nocami?

Tawl uśmiechnął się. Wiedział, że udało mu się zaskoczyć chłopaka.

Jack podszedł do ogniska. Był odwrócony plecami do Tawla i gdy przemówił, jego głos wydawał się bardzo odległy.

- Jest taka dziewczyna w Halcusie. Jej rodzina przyjęła mnie do swego domu. Była piękna, nie doskonała jak Melli, ale... - Jack wzruszył ramionami. - Ale i tak piękna.

Wyczuwając, że jego towarzysz jest w takim samym nastroju, jak on, Tawl znowu oparł się o drzewo. Rzucił pospieszne spojrzenie w kierunku, w którym zniknął Kosiarz, lecz nie zauważył nic niepokojącego.

- Powiedz mi, jak się nazywa - poprosił.

- Tarissa.

Ton, z jakim Jack wypowiedział jej imię, zdradził Tawlowi bardzo wiele. W jego głosie slychać było tęsknotę, lecz również coś innego. Nutę twardości. Rycerz nie był

przyzwyczajony do podobnych rozmów i instynkt podpowiadał mu, że powinien zachować ostrożność.

- A jak wygląda?

Przemknęła mu przez głowę myśl, że zadał niewłaściwe pytanie, gdyż minęło kilka minut, a Jack wciąż milczał.

Wiatr uspokoił się, a księżyc zniknął za ławicą chmur. Ognisko trzaskało radośnie, a odpryski świeżego, letniego drewna strzelały w górę wraz z dymem. Wreszcie chłopak zaczął

mówić:

- Oczy ma brązowe i błyszczące, a włosy kasztanowo-złote. Na nosie ma malutki garbek, a kiedy się uśmiecha, robią się jej dołeczki.

Tawl spojrział na Jacka. Młodzieniec miał włosy dokładnie tego samego koloru, co kobieta, którą opisywał.

Coś przemknęło przez mrok z cichym świstem.

Tawl poczuł lekki, chłodny powiew, który musnął jego twarz.

Trzask!

- Padnij! - krzyknął. Tuż nad jego głową z pnia drzewa sterczała strzała. Jej drzewce wciąż wibrowało.

Jack przypadł do ziemi.

- Zasyp ognisko!

Tawl poczołgał się w kierunku, z którego nadleciała strzała. Napastnik znajdował się na północ od nich. Z tyłu, Jack zasypywał ognisko, wierzgając gwałtownie nogami. Po chwili ogień zgasł.

- Podczołgaj się do koni i odwiąż je - polecił mu Tawl. Myślał jednak o Kosiarzu. -

Idź z nimi nad strumyk. Tam się spotkamy. Trzymaj krótko wodze i prowadź konie tak, żeby osłaniały cię przed łucznikiem.

Chciał mu też powiedzieć, żeby wydobył nóż, lecz jego spojrzenie przyciągnął błysk stali. Jack zdążył już o tym sam pomyśleć.

Tawl podczołgał się do ogniska. Garnek z gulaszem przewrócił się. Nie zjedzą dziś kolacji. Złapał plecaki i posłania, po czym pobiegł w stronę strumienia.

Łucznik nie miał już szans na skuteczny strzał. Cele się poruszały, a ognisko wygaszono. Zadanie utrudniały mu również drzewa. Co dziwne, Tawl ani przez chwilę nie wątpił, że napastnik jest tylko jeden. Gdyby było ich więcej, Jack już by nie żył.

Nie. To był jeden człowiek, który działał sam. Tawl odnosił też wrażenie, że właśnie przesłano mu wiadomość. Strzał był zbyt precyzyjny, by można go było uznać za niecelny.

Szerokość dłoni nad czołem, dokładnie między oczami - klasyczny strzał ostrzegawczy. Ktoś nie tylko chciał, by dowiedzieli się o jego obecności, lecz również nie spieszyło mu się, by ich zabić. Zamierzał ich najpierw nastraszyć.

Rycerz wypatrzył przed sobą jasną smugę strumienia. Poruszały się przed nim jakieś cienie. Konie. Pognał w ich stronę.

- Czy Kosiarz jest z tobą? - zawołał, gdy tylko zobaczył Jacka.

Młodzieniec nie zdążył mu odpowiedzieć.

- Hej, Tawl, co jest grane? - odezwał się Kosiarz piskliwym głosem. - Nie można się nawet chwilę rozejrzeć, bo zaraz zaczyna się zamieszanie.

Wyszedł na oświetlony blaskiem księżyca obszar. Pod bluzą miał kilka poruszających się wyrzuteń.

- Zostaw te ropuchy, Kosiarzu - rozkazał Tawl, opierając się pokusie uściskania chłopca. - Ruszamy w dalszą drogę. Musimy oddalić się od człowieka, który wypuścił tę strzałę.

\*

Skaythe rzadko się uśmiechał. W chwilach takich, jak ta, gdy miał uzasadnione powody do zadowolenia, pozwalał sobie na lekkie zaciśnięcie warg. Nic więcej.

Stojąc na szczycie wzniesienia, widział tylko dwa poruszające się powoli kształty koni. Nie dostrzegł, czy zbiegowie je prowadzą, czy też ich dosiedli. Nie miało to znaczenia.

Osiągnął to, co zamierzał. Wystrzelił czerwony znak.

Szkoda tylko, że Tawl nawet nie rzucił okiem na strzałę. Mógłby się domyślić, co jest grane.

Strzały mają w sobie coś świętego. Przeszywają powietrze, niosąc śmierć, napędzane jedynie mocą mięśni i siłą rozciągającą cięciwę. Każda ich część mówi coś o zamiarach łucznika, stanowi przekaz ukryty w przekazie niczym użyty w liście kod.

Skaythe'a rozczarowało nieco, że Tawl nie zatrzymał się na chwilę, by odczytać wbitą w pień strzałę. Ostatecznie był kiedyś rycerzem, a rycerze wiedzieli wszystko o tajemnym języku łucznictwa.

Gdyby się jej przyjrzał, zobaczyłby mały grot, pięknie ukształtowany, by zapewnić precyzję strzału. Nie był to grot myśliwski, lecz turniejowy, mający wbić się w tarczę, a nie powalić zwierzynę. Nie wystrzelono go z myślą o zabójstwie, lecz po to, by udzielić ostrzeżenia. Jeśli zaś chodzi o drzewce, wykonano je z najznakomitszego drewna cedrowego.

Amatorowi niełatwo byłoby zdobyć coś takiego, lecz człowiek traktujący łucznictwo poważnie zadałby sobie ten trud. Drzewce było naprawdę piękne: tak gładkie, że nie uraziłoby nawet skóry wysoko urodzonej damy, i tak proste, że można by go użyć do celowania. Drzewce wiele mówiło o łuczniku, o jego umiejętnościach, perfekcjonizmie i znajomości rzemiosła. Tylko zawodowcy używali drewna cedrowego.

Potem było pierzysko, najbardziej charakterystyczna część strzały. Dawało ono łucznikowi szansę pokazania swych prawdziwych kolorów. Było jego sztandarem, flagą powiewającą na wietrze po uderzeniu w cel. Pierzysko strzały Skaythe'a było jedyne w swoim rodzaju.

Składało się z czerwonego jedwabiu i ludzkich włosów.

Czerwony jedwab symbolizował chustkę, którą rzucono na arenę po zamordowaniu Blayze'a. Włosy zgolił ze zwłok brata na dzień przed złożeniem go w grobie.

Strzała stanowiła hołd jego pamięci i przysięgę zemsty.

Skaythe był przy Blayze w chwili jego śmierci.. Przyglądał się walce na arenie, patrzył, jak rycerz uderzał czaszką przeciwnika o ziemię, aż wreszcie mózg rozpryskał się na nasypie, widział, jak jego ciało zaniecono do pałacu, gdzie zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Tawl nie stoczył tej nocy walki, lecz popełnił morderstwo. Blayze stracił

przytomność, gdy jego czaszka po raz pierwszy uderzyła o kamień. Rycerz mógł się wówczas powstrzymać, ogłosić się zwycięzcą. Nie zrobił tego jednak, nie przestał tłuc, dopóki nie odciągnął go sekundant. Blayze mógł wyjść z walki żywy, zdolny wrócić któregoś dnia na arenę, odzyskać utraconą godność i spłacić zaległe długi. Rycerz położył temu wszystkiemu kres.

Skaythe przytroczył sobie kołczan do pleców, dosiadł wałacha i skierował go ku polanie.

Nigdy już nie będzie miał szansy pokonać Blayze'a w pojedynku.

Byli najpierw rywalami, a dopiero potem braćmi. Urodzili się w odstępie równo dziewięciu miesięcy. Skaythe był starszy. Ludzie mówili, że Blayze'owi przypadły w udziale urok osobisty i uroda, Skaythe'owi zaś zręczność i bystry umysł. Walczyli ze sobą, nim jeszcze nauczyli się chodzić. Gdy Skaythe ukończył szesnasty rok życia, wydawało się, że może osiągnąć wszystko, czego zapragnie. Walczył jak demon. Nikt nie potrafił go pokonać, choć brat zawsze zmuszał go do maksymalnego wysiłku.

To były szczęśliwe dni. Rywalizacja była dla nich bodźcem. Żyli dla niej i to ona zrobiła z nich wielkich wojowników. Gdy tylko Skaythe opanował nową sztuczkę, wykorzystywał ją przeciwko Blayze'owi, a potem, po zwycięstwie, uczył go jej. Czasami, choć rzadko, to Blayze pierwszy poznawał nową metodę. Och, wtedy walka była naprawdę wspaniała. Nic nie uszczęśliwiało Skaythe'a bardziej niż trudne wyzwania. Każdy atak niósł

mu wówczas radość, każdy cios miał znaczenie.

Patrząc na nich, ludzie potrząsali głowami. Mówili, że nigdy nie widziano dwóch takich braci.

Potem, gdy Blayze skończył szesnaście lat, stoczyli swą ostatnią walkę. Zapadł już zmrok i obaj byli pijani. Skaythe wypił jeden bukłak, a Blayze, któremu zawsze brakowało umiaru, dwa. Walka była chaotyczna, pozbawiona reguł. Odbyła się na podwórku za sklepem ojca. Światła dostarczała im tylko jedna lampka oliwna i dwie świece.

Piwo nie tylko spowolniło ich ruchy, lecz również wzbudziło rozgoryczenie. Nie minęło wiele czasu, nim zmagania nabrały brutalności. Ujawniły się długo skrywane resentymenty. Blayze zawsze był ulubieńcem obojga rodziców. Jego przystojna twarz stanowiła gwarancję sukcesu. Skaythe'a

uważano za aroganckiego, skłonnego do gniewu łobuza, który nie panuje nad swymi nastrojami. Obelgi padały szybciej niż ciosy.

Skaythe był trzeźwiejszy i wykorzystał tę przewagę. Przejechał nożem wzdłuż ramienia brata, a potem przycisnął mu oręż do piersi. W normalnym, przyjacielskim pojedynku z chwilą popłynięcia krwi z rany, tego, kto zadał cios, uznawano za zwycięzcę.

Skaythe odwrócił się plecami do brata i zaczął się oddalać. I wtedy otrzymał mocny cios w głowę. Zatoczył się do przodu i upadł na ziemię. Odwrócił się akurat na czas, by zobaczyć Blayze'a. Brat stał nad nim, trzymając w dłoni kamień, którym następnie uderzył go w nogę.

Kolano eksplodowało bólem. Noc pojaśniała, gdy Skaythe krzyknął, a potem pociemniała, kiedy cierpienie wywołane przebijającymi mięśnie odpryskami kości stało się zbyt silne, by mógł je znieść.

Twarz Skaythe'a sposępniała na to wspomnienie, a kostki zaciśniętych na wodzach dłoni zbieleły.

Od tego dnia nie walczył już ani razu. Kolano z czasem się zagoiło, nie przestał jednak utykać. Żaden z braci nigdy nie wspominał o tym incydencie. Skaythe wszystkie siły poświęcił na to, by pomóc Blayze'owi w zdobyciu pozycji obrońcy diuka. Zwycięstwa brata były jego zwycięstwami, a porażki zdarzały się tak rzadko, że nie miały znaczenia. Skaythe nadal doskonalił w tajemnicy swe umiejętności, ćwicząc z łukiem zamiast miecza i z lancą zamiast cepa. Poleciał miejscowemu kowalowi wykuć kolec, który następnie zamontował w lasce, i w ten sposób obrócił swą słabość w broń. Mógł już teraz chodzić bez laski, lecz była dla niego zbyt użyteczna, by chciał z niej zrezygnować.

Od incydentu z kamieniem minęło dziesięć lat. Blayze w końcu osiągnął cel i został obrońcą diuka, a Skaythe cały czas był u jego boku. Aż do ostatniej walki.

Nadal trudno mu było uwierzyć, że Blayze'a już nie ma. Przez dziesięć długich lat codziennie wyobrażał sobie, że nadejdzie chwila, gdy znowu stanie do walki z bratem. I pokona go po raz ostatni.

Tak jednak nie miało się stać. I dlatego wszystkie zwycięstwa utraciły dla niego smak.

Skaythe zsiadł z konia. Wyszedł na polankę i skierował się do drzewa, w które wbiła się strzała. Zacisnął pięść na drzewcu i wyciągnął je z pnia. Strzała rozszczerzyła się w jego dłoni.

Rycerz musiał mu odpowiedzieć za wiele.

\*

Wszystkie jabłka i skrzynki zniknęły. Ktoś je sprzątnął.

Maybor skrył się w tym samym cieniu, który przed czterema nocami pozwolił mu umknąć. Stał w zaułku i właśnie otworzył bramę na podwórko. Było ciemno i cicho. Nic się nie poruszało, a z ciemnej piwnicy nie dobywał się nawet najślabszy blask.

Spędził tu już trzy godziny. Czekał i obserwował, chcąc się upewnić, że w pobliżu nie ma innej osoby, która na niego czeka. Światła w jacie zgasły przed dwiema godzinami. Potem pojawił się jej właściciel, który oddał mocz pod murem. Od tego czasu nie wydarzyło się już nic. Nie było słychać kroków, stłumionych kaszlnięć ani okrzyków. Podwórko było puste i wydawało się, że piwnica również.

Maybor znał tylko jedną modlitwę. Była egoistyczna, nieskromna i bardzo często występowało w niej słowo „ja”. Postanowił odmówić ją teraz, gdy skradał się ku zapadni.

Drewniane drzwi zamontowano z powrotem. Grubas trącił je stopą. Były otwarte.

Pochylił się, wsunął palce pod deskę i uniósł klapę. Nie zamknięto jej od wewnątrz rygłem, który uniemożliwiałby otworzenie jej kopniakiem. Wielmoża zajrzał do środka; było bardzo ciemno i cuchnęło kwaśnym winem. Żołnierze z pewnością rozbili sporo beczek.

Nie tracąc czasu na rozglądanie się wokół, Maybor zsunął się do piwnicy. Wylądował

z bolesnym wstrząsem. Skrzynie, które zwykle stały na dole, zniknęły. Szczury pierzchły we wszystkie strony. Buty szybko przesiąknęły mu winem.

- Jest tu kto? - zawołał półgłosem.

Cisza.

Pomacał ręką w ciemności, aż wreszcie znalazł świecę. Knot był wilgotny i nie chciał się zapalić od krzesanych iskier.

- Do licha - syknął.

Wtem usłyszał odgłos nie przypominający wydawanych przez szczury: skrobanie.

Gdzieś z prawej strony coś przesuwało się po podłodze.

- Kto tam? - zapytał Maybor. Jego głos nie zdradzał dręczącego go strachu.

Znowu coś zaskrobało, po czym rozległ się ledwie słyszalny szept:

- Lordzie Mayborze, to ty?

Wielmoża pobiegł w tamtym kierunku. Minął główną piwnicę, potem mniejszą, a wreszcie pochylił się, by wejść pod niskim łukiem do magazynu. Na podłodze leżał Grift. U

jego boku stała świeca. Brzuch miał owinięty przesiąkniętym krwią bandażem, a wargi blade i suche.

- Czy jest z tobą Bodger? - zapytał bez chwili zwłoki.

Maybor potrząsnął głową.

- Zabrali go razem z Melliandrą.

Grift rozkasłał się, najpierw cicho, potem coraz gwałtowniej. Kaszel wstrząsał całym jego ciałem. Maybor wetknął rękę pod bluzę i wydobył stamtąd manierkę. Została w niej tylko odrobina brandy. Ukląkł i podtrzymał plecy Grifta, by pomóc mu ją wypić. Ranny pilnie potrzebował opieki lekarskiej. Zapewne przydałyby mu się też jedzenie i woda. Maybor zastanawiał się, jak udało mu się umknąć uwadze żołnierzy.

- Masz gdzieś drugą świecę? - zapytał, gdy Grift przestał kasłać.

Ranny wskazał na stos świec leżący na wysoko położonej półce. Maybor wziął jedną z nich i natychmiast zapalił.

- Wrócę za chwilę - oznajmił.

Udał się do swej piwniczki. Ograbiono ją. Jego ubrania zniknęły, posłanie było pocięte, a kilka beczek rozbito. Wszystko zalało wino. Maybor pochylił się i ściągnął z pryczy mokre sitowie. Skrzynka zniknęła. Przewrócił posłanie na bok. Ukradli mu złoto. Nie potrafił

w to uwierzyć! Padł na kolana, po czym przeszukał wszystkie zakamarki izdebki. Kiedy skończył, jego ubranie przesiąkło do cna.

Żołnierze zabrali złoto. Całe dwieście sztuk. Nie zostało mu nic. Siedząc w kałuży kwaśnego wina, Maybor podjął decyzję.

Wziął świecę i wrócił do Grifta.

- Możesz chodzić? - zapytał.

Strażnik w odpowiedzi spróbował się podźwignąć, lecz, nim zdążył wstać, nogi się pod nim załamały. Maybor podtrzymał go.

- Wiesz, gdzie jest wyjście z miasta?

- Ehe. Ale to kawał drogi stąd. Chyba nie dam rady dojść.

- Dasz radę. Nawet gdybym musiał cię zanieść. - Maybor wyprostował rannego. - No dobra, wesprzyj się na mnie.

Grift postąpił niepewny krok naprzód.

- Ale mogą nas capnąć albo strzelać do nas z łuku.

- Niech nas nawet bombardują bezgłowymi trupami - odparł Maybor. - Dziś w nocy opuścimy miasto.



\*

Kosiarza bolały uda i plecy, a stopy miał kompletnie odrętwiałe. Wszystkich dręczył

niepokój. Nawet najślabszy szelest wystarczał, by zamierali w bezruchu, a na widok każdego szybciej poruszającego się cienia wyciągali noże. Tawł szedł z łukiem w rękę, zaciskając dłoń tak mocno, że kostki mu zbieleły. Jack jechał sześć kroków za nim, co chwila rozglądając się na boki. Dłoń trzymał na rękojeści miecza.

Nie sposób było określić, ile godzin minęło od chwili, gdy strzelano do nich z łuku.

Kosiarz wiedział tylko, że było to bardzo dawno. Noc jednak nadal była ciemna, a gdy udawało mu się dostrzec gwiazdy w przerwach między chmurami, ich pozycja pozostawała niezmienna. Dla winnych czas płynął wolniej.

Chłopiec spojrzał na Tawła. Rycerz wpatrywał się przed siebie, uważając, by nie zgubić ścieżki. Od chwili zwinienia obozu nie odezwał się ani słowem. Kosiarz kaszlnął

głośno pod wpływem nagłego impulsu. Tawł obejrzał się gwałtownie za siebie.

- Kosiarzu, co się stało? - wyszeptał. - Dobrze się czujesz?

Ulicznik skinął głową, czując się jeszcze bardziej winny niż przedtem. Chciał po prostu ujrzeć twarz przyjaciela. Wiedział, że kasznięciem przyciągnie jego uwagę, nie spodziewał się jednak, że Tawł będzie się o niego martwić. Myślał, że skarci go za zakłócenie ciszy. Oklapł bezwładnie w siodle. Na tym właśnie polegał problem rycerza. Był zbyt ufny.

- Tawł, zamieńmy się - zaproponował Jack. - Teraz ja poprowadzę konie. Musisz odpocząć.

Odkąd opuścili obóz, rycerz prowadził konie na piechotę. Nie było księżyca, który oświetlałby im drogę, a zwierzęta były płochliwe i dlatego Tawł musiał iść, podczas gdy Jack i Kosiarz jechali wierzchem.

- Chyba powinniśmy urządzić krótki postój - stwierdził rycerz. - Całą noc nic nie jedliśmy, a Kosiarzowi wyraźnie zaschło w gardle.

Kieszonkowca zaskoczyła ta decyzja. Nie liczył już dziś na odpoczynek. Ostatecznie strzelano do nich z łuku. Nie zamierzał się jednak sprzeciwić. Ogarnęła go rozpaczliwa potrzeba zamienienia z przyjacielem kilku słów.

Zjechali ze szlaku, by skryć się wśród wysokich sosen. Ze smukłych drzew zwisały połyskliwe pajęczyny. W oddali zahuczała sowa. Ćmy przefrunęły z gałęzi na gałąź, nim znowu zniknęły na tle kory. Po zsunięciu się z konia Kosiarz natychmiast wydobyl z plecaka bukłak i - upewniwszy się, że nikt nie patrzy - wylał jego zawartość na trawę.

- Tawł - wysyczał po chwili. - Chyba zrobiła mi się dziura w bukłaku. Nie mam już w nim ani kropli.

Rycerz wszedł na skałę i spojrział w kierunku, z którego przybyli.

- Jack, zostało ci trochę wody?

- Tylko parę kropel. Będziemy musieli znaleźć więcej.

- Jakies pięć minut temu słyszałem strumień. Chyba płynął na wschód od szlaku - oznajmił Kosiarz, ze wszystkich sił starając się zachować nonszalancki ton.

- Zaczekajcie tu - rzucił Tawl, zeskakując ze skały. - Wrócę za...

- Nie - sprzeciwił się szybko kieszonkowiec. - Nie odchodź. Chciałem, żebyś obejrzał mi gardło. Trochę mnie boli.

Tawl obrzucił go szybkim spojrzeniem.

- W takim razie ja pójdę - zaproponował Jack, przenosząc spojrzenie z jednego na drugiego. Zsiadł z wierzchowca i zaczął się oddalać. - Zostawcie mi trochę sera i sucharów.

Rycerz odczekał, aż Jack zniknie z pola widzenia, po czym podszedł do chłopca.

- No dobra, zostaliśmy sami. Mów, o co chodzi - zażądał. - Słyszałem, jak wylewałaś wodę z bukłaka.

Nawet po ciemku jego oczy wydawały się bardzo niebieskie. Nie gniewał się ani nie śmiał, jak mogliby postąpić w podobnej sytuacji inni. Był po prostu zatroskany. Kosiarz zwątpił nagle, czy postępuje właściwie. Wszystko przez to poczucie winy. Zawsze zachowywał się przez nie, hmm... po prostu dziwnie.

- Kosiarzu - mówił cicho Tawl. - Możesz mi wyznać wszystko. Absolutnie wszystko.

Swym pełnym wyrozumiałości tonem pogorszył tylko sprawę. Jak Kosiarz mógł

powiedzieć temu ufnemu, dobremu człowiekowi, że ktoś, kogo darzy największym szacunkiem, jest do cna przeżarty zgnilizną?

Chłopiec westchnął. Będzie musiał jakoś to zrobić. Nocny atak wszystko zmienił, utrudnił mu ukrywanie prawdy. Gdy tylko Jack wypadł spomiędzy drzew, krzycząc, że ktoś strzelił do Tawla, Kosiarz zrozumiał, że postąpił źle, zachowując ją dla siebie. Co by się stało, gdyby strzał okazał się celny? Gdyby Tawl zginął na miejscu, daleko od domu i kobiety, którą kochał, i nigdy się o niczym nie dowiedział? Nie mógł znieść myśli o jego śmierci. Tawl był

jego przyjacielem, towarzyszem podróży, współnikiem. Ufali sobie nawzajem.

A mimo to od chwili, gdy natknął się w południowej dzielnicy Brenu na Baralisa i Tyrena, ukrywał

coś przed nim. Coś, czego Tawl z pewnością powinien się dowiedzieć.

Tań prawdę już od tygodni, powtarzając sobie, że musi znaleźć właściwy czas i miejsce. Dzisiaj przekonał się jednak, jak bardzo kruche jest życie. Jeśli będzie zwlekał zbyt długo, szansa może się już nie powtórzyć. Spojrzał na Tawla i zaczerpnął głęboko tchu.

- Pamiętasz tę noc, kiedy omal nie złapał mnie Skaythe? - Tawl skinął głową. - No więc, nie wróciłem od razu do kamienicy, tak jak mówiłem - ciągnął chłopiec. - Kręciłem się jeszcze po południowej dzielnicy miasta, by się upewnić, że nikt za mną nie idzie. Tam właśnie natknąłem się na Baralisa.

Rycerz napiął natychmiast mięśnie.

- Zrobił ci coś?

Kosiarz potrząsnął głową. Z jakiegoś powodu wszystkie słowa nabierały w jego ustach niepożądanego znaczenia.

- Nie, nie widział mnie. No wiesz, schowałem się na podwórku. Był tam koń, który miał czarną uzdę. Tyle, że ona nie była czarna, nie całkowicie. Ktoś wysmarował ją sadzą, żeby ukryć żółte pasy.

- Żółte pasy?

W głosie Tawla brzmiał niepokój.

- Tak, żółte i czarne. - Kosiarz wiedział, że musi mówić szybko, by opowiedzieć całą historię, nim Tawl będzie miał szansę wyrzec następne słowo. - To był koń Tyrena, Tawl -

ciągnął pospiesznie. - Obaj z Baralisem wyszli na podwórko. Spotkali się w tym budynku, a potem Tyren przyszedł po swojego rumaka. Mówili o Helchu, o nawracaniu ludzi i o tym, żeby nie pozwolić im podnieść się z kolan, dopóki Kylock nie załatwi sprawy z Highwall. -

Kosiarz nie mógł patrzeć przyjacielowi w oczy. Wbił wzrok w jego buty. - Tyren jest złym człowiekiem, Tawl. Zabije każdego, kto będzie rozsiewał obciążające go pogłoski. Słyszałem, jak to powiedział. Chce też zawładnąć wszystkimi innymi podbitymi przez Kylocka terytoriami, łącznie z południem. Pragnie złamać kościół.

Kosiarz chciał mówić dalej, lecz nie przychodziło mu już do głowy nic, co mógłby jeszcze powiedzieć. Odważył się spojrzeć rycerzowi w twarz. Tawl wbił wzrok w dal. W

policzku drgał mu mięsień.

- Nie jest tajemnicą, że Tyren chciałby zmienić oblicze kościoła - odparł, nie spoglądając na Kosiarza. - Wszyscy w rycerstwie wiedzą o tym od lat. Zawsze był zdania, że Silbur ma nadmierne wpływy na północy, że jego kapłani zrobili się miękcy i zapomnieli o prawdziwym słowie bożym.

Kosiarzowi w najmniejszym stopniu nie podobał się wyraz twarzy przyjaciela. Rycerz wydawał się

oszołomiony, jak lunatyk albo pijak.

- Tawł, ja tam byłem. Słyszałem słowa Tyrena. W jego głosie nie było troski o los mieszkańców Helchu, ale... - Kosiarz przerwał w poszukiwaniu właściwego słowa -

...chciwość.

Twarz Tawła nabrała surowszego wyrazu. Spojrzał chłopcu prosto w oczy.

- Tyren nie zawarłby porozumienia z Baralisem bez poważnych powodów. Nie znamy jego prawdziwych motywów. Może chciał zwabić Baralisa w pułapkę, skłonić go oszustwem do oddania Helchu rycerstwu, przyłapać go na czymś. Cokolwiek. Mógł powiedzieć to wszystko tylko dlatego, że wiedział, iż to właśnie chce usłyszeć Baralis.

- Ale, Tawł...

- Nie, Kosiarzu. Mylisz się. - Tawł chciał dotknąć jego ramienia, lecz chłopiec się odsunął. - Znam Tyrena. Pomógł mi w bardzo trudnej chwili, uratował moją duszę i życie.

Nie wdałby się w takie... porozumienie bez naprawdę istotnych powodów.

Kosiarz otwierał już usta, by wypowiedzieć jakieś wzgardliwe słowa, lecz w oczach Tawła pojawił się blask, a jego czoło pokryły liczne bruzdy. Wyglądał na zmartwionego i niespokojnego. Ktoś niedawno do niego strzelał i zapewne zamierzał ponowić próbę. Chłopca ogarnęła nagła fala zmęczenia. Nigdy w życiu nie czuł się taki stary. Tawł był dla niego wszystkim. Absolutnie wszystkim. A mimo to denerwował go, mówiąc mu, że człowiek, którego szanował najbardziej na świecie, jest łotrem. To nie była odpowiednia noc. Popełnił

błąd, poruszając ten temat akurat teraz, gdy jego przyjaciel był wstrząśnięty niedawnym atakiem, cierpiał po rozstaniu z Melli i niepokoił się czekającą ich podróżą. Nawet bez konieczności przejmowania się myślą, że jego dawny druh zszedł na złą drogę, miał

wystarczająco wiele zmartwień.

Tawł spojrział na Kosiarza, czekając na odpowiedź. Chłopiec skinął powoli głową.

- Jeśli się nad tym zastanowić, Tawł, to masz rację - zaczął. - Nie mam pojęcia, co kombinował Tyren. Było ciemno, prawie nic nie widziałem, obaj mówili szeptem, a do tego byłem świadkiem tylko ostatnich minut spotkania. Kto wie, co działo się przedtem?

Rycerz przyglądał mu się uważnie. Po chwili znowu wyciągnął rękę i tym razem Kosiarz nie cofnął się. Pozwolił, by przyjaciel przytulił go do piersi. Tawła otaczały tylko uczciwe zapachy potu, liści wawrzynu i koni. W przeciwieństwie do Tyrena nie używał

pachnącego olejku do włosów ani drogich, egzotycznych wonności, które ukrywały prawdziwy zapach mężczyzny. Kosiarz uściskał go serdecznie. Bardzo kochał swego przyjaciela, choć za nic w świecie nie wyznałby tego głośno.

Po dłuższej chwili Tawl odsunął się od niego.

- Chodźmy - powiedział. - Trzeba poszukać Jacka. Nie podoba mi się myśl, że jest sam na ścieżce.

Kosiarz podążył za przyjacielem. Był smutny i zmęczony, lecz już nie miał nawet cienia wątpliwości, że postąpił właściwie.

\*

Wysoko w pałacu, nad taflą jeziora, kobieta stoi samotnie w pokoju, w którym nie ma kątów, a jedynie krzywizny. Znajduje się w celi, w wieży, której drzwi zamknięto i zaryglowano od zewnątrz.

Nie ma tu okna, a jedynie wąski otwór strzelniczy o kształcie krzyża. Jeśli kobieta wespnie się na palce i przycisnie ciało do kamienia, może na chwilę zobaczyć gwiazdy.

Kamień, którego dotyka brzuchem, jest jednak zimny. Zimny, twardy i wilgotny. A jeśli stoi tak zbyt długo, bolą ją nogi.

Wygląda na zewnątrz tylko przez krótki czas.

Nie dają jej na noc świece, musi więc na oślep wymacywać drogę do ławy. To dziwne, że nigdy dotąd nie zauważyła, jak ciepłe potrafi być drewno. W przeciwieństwie do kamienia, jest czymś, co żyje i oddycha. Drewniana ława stanowi dla niej jedyną pociechę. Kobieta oplata ją ramionami, jakby była jej przyjaciółką.

Nie ma koców, zwija się więc w kłębek. Drewno grzeje ją tylko w tych miejscach, w których go dotyka, i znaczna część jej ciała jest wystawiona na zimno. Zaciska powieki, by osłonić się przed ciemnością swych wrogów, zastąpić ją inną, własną. Żałuje tylko, że nie może przestać dygotać ze strachu i zacząć dygotać z zimna.

Choć wie, że jutro będzie wyglądało tak samo, ze wszystkich sił próbuje zasnąć. Sny przerażają ją bardziej niż cęła. Budzi się w środku nocy. Siada, podciąga kolana pod brodę i zaciska bardzo mocno usta. Nie będzie ronila łez. Zbliża się czwarty miesiąc ciąży i nie chce, żeby pierwszym, co usłyszy dziecko, był odgłos płaczu.

Jack kazał Jęczmieniowi wjechać na szczyt wzniesienia. Zbocze było bardzo strome i koń posuwał się powoli, krocząc ostrożnie, jak chłopiec, który tańczy pierwszy raz w życiu.

W miarę, jak wspinał się w górę, powietrze stawało się coraz chłodniejsze i świeższe.

Pojawił się wiatr, który niósł ze sobą smak soli. Jęczmień ostatni odcinek pokonał znacznie pewniej i Jack popuścił mu wodze. Usiadł nawet wygodniej w siodle.

Nic jednak nie przygotowało go na to, co zobaczył ze szczytu. Gdy Jęczmień wyszedł wreszcie na płaski grunt, Jack ujrzał coś, czego nigdy jeszcze nie widział: ocean.

Ciemny i połyskliwy, niewiarygodnie rozległy, ciągnął się aż po horyzont, stykając się z niebem. Nad głową Jacka krążyły i pikowały skrzeczące głośno mewy - białe plamki pośród błękitu. W powietrzu unosiło się mnóstwo nowych, nieznanych zapachów. Było tak słone, że wyraźnie czuł jego smak, a wypełniająca je woń była tak skomplikowana, że nigdy nie zdołałby wyliczyć wszystkich jej składników. Jack dosłownie stracił dech w piersiach.

Zastąpiło go tchnienie oceanu. Zasypany lawiną uczuć i wrażeń, czuł się tak, jakby wrócił do domu.

Ich wędrówka trwała już kilka tygodni. Najpierw zmierzali na południowy wschód, a potem prosto na południe. Okrążyli jezioro Herry i przebyli północno-wschodnie równiny.

Następnie dotarli do wschodniego łańcucha górskiego i podążyli wzdłuż niego do Ness.

Spędzili w tym ruchliwym, rolniczym mieście dwa dni. Kosiarz miał w swym worku tyle pieniędzy, że mogli zamienić konie na lepsze. Tawl zniknął na cały dzień. Gdy wrócił, niósł

na plecach pięknie wykonany długi łuk. W tłumie Jack dostrzegł rudowłosą dziewczynę, która machała rycerzowi ręką na pożegnanie.

Tawl nie chciał nic mówić o tym, co robił, Kosiarz opowiedział jednak później Jackowi, że ruda dziewczyna próbowała kiedyś uwieść jego przyjaciela i że od tej pory dręczyły go z tego powodu wyrzuty sumienia. Nastrój Tawla wyraźnie się poprawił i Kosiarz doszedł do wniosku, że pewnie odwiedził ją, by ją przeprosić. Albo tym razem sam ją uwiódł.

Przez następne tygodnie posuwali się wzdłuż gór na południe i dziś dotarli wreszcie do morza. Tawl zapowiedział, że jutro o tej porze będą w Toolay.

Pogoda cały czas im sprzyjała. Późne lato przeszło w jesień, a drzewa zmieniły zielony strój na złoty. Deszcz, gdy padał, był delikatny i ciepły, a wiatr wiał tylko po zmierzchu. Wędrowali naprzód szybko, aż do chwili, gdy Kosiarza postrzelono w ramię.

To był dla nich szok. Na swój sposób przyzwyczaili się już do widmowej obecności nieustannie

śledzącego ich człowieka. W ciągu trzech ostatnich tygodni wypuścił też inne strzały. Wszystkie były bezbłędnie wymierzone. Ocierały się o cel, lecz nigdy weń nie trafiały. Jack zaczął się stopniowo uspokajać. Nawet Tawl zapomniał o ostrożności. I nagle, pięć dni temu, strzała pomknęła wprost ku piersi Kosiarza. Od tej pory żaden z nich nie spał

zbyt dobrze. Chłopiec miał pękniętą kość i musiał chodzić z ręką na temblaku. Nie przejął się jednak zbytnio tym incydentem. Powtarzał, że całe szczęście, iż nie tej ręki używa do kradzieży.

Choć od tej pory panował spokój, Jack podejrzewał, że nie potrwa to długo. Ktoś bawił się z nimi i gdyby Kosiarz nie odwrócił się nagle, by złapać uciekającą żabę, byłaby to śmiertelna zabawa. Strzała miała go zabić. Uderzyła w miejsce, gdzie przed mniej niż jedną dziesiątą sekundy biło serce chłopca.

Tawl dzień i noc zachowywał czujność. Jack i Kosiarz również. Problem polegał na tym, że łucznik nigdy się nie pokazywał. Miał długi łuk i mógł strzelać z tak daleka, że nie mieli szans go wypatrzeć. Zdecydowanie też wolał czekać, aż zapadnie ciemność. Od chwili zranienia Kosiarza ani razu nie zapalili ogniska. Nie mogli sobie pozwolić na takie ryzyko.

Płomienie stanowiły nocą bardzo wyraźną wskazówkę.

Niekiedy udawało im się przelotnie dostrzec prześladowcę. Podczas wędrówki przez równiny zauważyli go dwukrotnie. Było jasne, że jedzie konno, nie udało im się jednak wypatrzeć więcej szczegółów. Tawl miał wówczas tylko krótki łuk i strzały, które oddał, nie były właściwie warte napinania cięciwy. Teraz jednak zdobył piękny, cisowy długi łuk, zakrzywiony wspanialej niż biodra karczemnej dziewczki. Następny raz, gdy zauważą łucznika, będzie zarazem ostatnim.

- Hej, Jack! Co się tak gapisz na ocean! Chodź zjeść trochę jeżyn.

Młodzieniec odwrócił się nagle. Tawl i Kosiarz wspięli się na szczyt urwiska przed nim. Zsiedli już z koni i zabrali się za jedzenie. Poczuli się lekko zdezorientowany. Nie był

pewien, ile czasu minęło. Jak długo stał bez ruchu, wpatrując się w ocean?

Tawl podniósł się i podszedł do niego. Poklepał Jęczmienia po szyi i wyciągnął rękę do Jacka.

- Nic ci nie jest? - zapytał cicho.

- Nic. Po prostu ocean... - Jack zeskoczył z konia - ...mnie zadziwił. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

Tawl ujął wodze w dłonie i poprowadził konia ku prowizorycznemu obozowi.

- Nigdy go jeszcze nie widziałeś, prawda?

- Nigdy. Harvell leży bardzo daleko stąd.

- Wiesz, że gdzieś tam jest Larn?

Jack zaczerpnął szybko tchu.

- A gdzie dokładnie?

Twarcz Tawla sposepniała. Zwrócił się na południe, a potem nieco na wschód.

- O, tam. Jakies sześćset mil stąd.

Jack spojrzal w kierunku wskazanym przez wyciągnięty palec Tawla. Horyzont ciemniał już, a morze zmieniało kolor z błękitnego na czarny. Od południa minęły dopiero cztery godziny, lecz piętrzące się na zachodzie wysokie góry przesłaniały już słońce. Jacka przeszył nagły dreszcz. Wbił wzrok w horyzont i dopiero słowa Tawla przywołały go do rzeczywistości.

- Chodź, Jack. Musisz odpocząć.

Chłopak zwrócił się w jego stronę. Niebieskie oczy rycerza były bardzo wyraziste.

- Czy ty też to wyczuwasz? - zapytał.

Tawl spuścił wzrok.

- Odkąd tam byłem, codziennie czuję jego obecność.

Obaj mężczyźni stanęli obok siebie, wpatrzeni w lśniący jak klejnot ocean. Mewy już się uspokoiły.

Z transu wyrwał ich Jęczmień, który szarpnął wodze, skuszony wyjątkowo wonną kępą trawy.

Tawl zaskoczył Jacka, krzycząc do Kosiarza:

- Idź nazbieraj tyle drewna, ile tylko zdołasz udźwignąć. W taką noc jak dziś dobrze byłoby rozpalić ognisko.

Chłopiec oddalił się pospiesznie. Jack czekał na wyjaśnienia. Rycerz nie chciał patrzeć mu w oczy. Młodzieniec domyślał się, że nie tylko on przemarzył do szpiku kości.

Po godzinie ogień płonął już jasno i wesoło. W węgielkach piekły się kiełbasy owinięte w liście szczawiu, a w płomieniach stał dzban pełen holku. W Ness zaopatrzyli się nie tylko w nowy łuk dla Tawla, lecz również w najrozmaitsze rodzaje prowiantu. Co prawda, z mięs dostępna tam była jedynie baranina, a wszystkie sery produkowano z owczego mleka, lecz nim dotarli do miasta, żywili się tylko tym, co przygotował Kosiarz, którego upodobania były wysoce specyficzne, z radością więc rzucili się na wszystko, co nie było lepkie od miodu albo grubo posypane cynamonem.

- Czy ktoś chce jeżyn? - Kieszonkowiec wyciągnął garść pełną owoców. Gdy nikt się po nie nie zgłosił, potarł dłonią ranną kończynę. - Ostatni raz zbierałem dla was świeże owoce. Ryzykowałem głową i co mnie spotyka w nagrodę? - Sam odpowiedział na własne pytanie. - Powiem wam, co. Dwóch facetów patrzy na mnie spode łba, jakbym chciał ich otruć.



Jack uśmiechnął się. Kosiarz z niezwykłą wrażliwością potrafił wyczuwać zmiany nastroju. Zauważył, że jego towarzysze nagle ucichli, uznał, że takiego zachowania nie można tolerować i postanowił ich rozweselić atakiem pełnego werwy uzalania się nad sobą.

- Dobra, dawaj te jeżyny - zażądał Jack. - Zjem je.

- Co, wszystkie?

- Tak. Nawet te ze śladami ślimaków.

- Jakimi śladami? Tych pięknych owoców nie dotknął żaden ślimak. Zresztą są za małe, żeby mógł na nie wleźć.

Jack parsknął śmiechem na widok ogromnego oburzenia, które uwidoczniło się zniecka na twarzy chłopca. Tawl po chwili poszedł za jego przykładem. Kosiarz z łatwością rozbudzał instynkty opiekuńcze. Choć obcesowo dawał do zrozumienia, że potrafi sam o siebie zadbać, nie potrafił ukryć faktu, iż jest jeszcze mały i bezbronny. Nocą, gdy go postrzelono, nie rozplakał się ani razu. Co prawda, zemdlał, twierdził jednak, że nie było to dziewczynskie omdlenie dowodzące słabości, lecz męski rodzaj omdlenia, który ma na celu zablokowanie bólu i oszczędzanie sił.

Stracił mnóstwo krwi. Grot był szeroki i miękki. Metal wygiął się na złamanej kości.

Pierzysko jak zwykle wykonano z czerwonego jedwabiu i ludzkich włosów. Jack nie miał pojęcia, co miało to oznaczać, podejrzewał jednak, że Tawl i Kosiarz to wiedzą.

Obrzucił rycerza przelotnym spojrzeniem. Tawl sprawdzał długość strzał, dotykając nimi piersi. Jeśli któraś wystawała za jego palce więcej niż o długość kciuka, skracał ją.

- Po co kazałeś rozpaść ognisko, Tawl?

Rycerz wypuścił z rąk strzałę, którą właśnie przycinał, i odgarnął z czoła kosmyk włosów.

- Rozejrzyj się wokół. Jack. Jak myślisz, dlaczego nas tu przyprowadziłem?

Młodzieniec wykonał polecenie. Rozbili obóz na szczycie niskiego, skalistego urwiska. Przed nimi rozpościerał się ocean, na dole były skały, a z tyłu wzgórze, wśród których spędzili większą część dnia. Nic nigdzie nie zasłaniało widoku. Świat rozpościerał się pod nimi, a księżyc w pełni oświetlał wszystkie krzaki i kępy trawy.

- Chcesz zastawić pułapkę.

- Można by tak to ująć. Jeśli nasz tajemniczy przyjaciel zamierza dziś czegoś spróbować, mam nadzieję dostrzec go pierwszy.

- Wcale nie jest dla ciebie taki tajemniczy, prawda?

Tawl wciągnął gwałtownie powietrze przez zęby.

- Chyba wiem, kto to jest.

- A kto?

- Brat człowieka, którego zamordowałem.

- Nie zamordowałeś go, Tawl. Pokonałeś go w uczciwym pojedynku - wtrącił Kosiarz, starając się bronić przyjaciela. - Ten Skaythe to po prostu szalony diabeł i tyle.

- Skąd wiecie, że to on?

Jack poczuł się z jakiegoś powodu poirytowany.

- Czerwony jedwab na strzałach - wyjaśnił Kosiarz. - Tego samego koloru używają na arenach.

- A włosy?

- Nie jestem tego pewien, ale wydaje mi się, że mają tę samą barwę, co włosy Blayze'a. Mam rację, Tawl?

- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?

Jack spoglądał na Tawla. W jego głosie pobrzmiwał ton oskarżenia.

- Dlatego, że ty go nie obchodzisz, Jack. Jemu chodzi o mnie.

- Jakoś nie powstrzymało go to przed postrzeleniem Kosiarza.

Tawl odwrócił się błyskawicznie.

- Co masz na myśli?

- To, że powinieneś mi o tym powiedzieć. Niebezpieczeństwo dotyczy nas wszystkich i nie wolno ci było ukrywać przede mną prawdy. Nie pozwolę traktować się jak dziecko, które wymaga opieki. Jeśli czekają nas kłopoty, chcę wiedzieć, czego dokładnie możemy się spodziewać.

Mówiąc to, cały dygotał.

Minęła dłuższa chwila. Wiatr wzmógł się nieco, unosząc w stronę oceanu tryskające z ogniska skry.

Tawl zaczerpnął głęboko tchu.

- Masz rację, Jack - powiedział. - Przepraszam cię. Powinieneś powiedzieć ci wszystko, gdy tylko się domyśliłem, co jest grane. - Patrzył mu prosto w oczy i nie umniejszył wagi swych przeprosin szukaniem usprawiedliwień. - Jak sobie radzisz z łukiem?

- zapytał po kilku sekundach.

Jack uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że Tawl próbuje uwzględnić go w swym planie.

- Kiepsko - przyznał.

Rycerz podszedł do koni, zdjął z grzbietu wałacha krótki łuk i wręczył go Jackowi.

- To może, nim nasz przyjaciel się zjawi, udzielę ci kilku lekcji?

- Myślisz, że będziemy czekać długo?

- Jeśli okaże się to potrzebne, to nawet całą noc.

Tawl spojrział na wzgórza. Nie dostrzegł tam żadnego ruchu, którego przyczyną nie byłby wiatr.

Jack wypróbował cięciwę.

- W takim razie może będziesz miał czas nauczyć mnie paru rzeczy.

\*

Tavalisk siedział w swej komnacie, jedząc pyszne, pieczone na wolnym ogniu gołębie.

Jednocześnie omawiał ze swym sekretarzem rozmaite kwestie dotyczące oblężenia Brenu.

Nic nie mogło się równać ze spożywaniem symboli pokoju podczas ożywionej rozmowy o wojnie. Same ptaki były rzecz jasna dość chuderlawe, arcybiskup żywił jednak przekonanie, że nic nie dodaje potrawie smaku skuteczniej niż zdrowa domieszka symbolizmu. Zresztą gołębie stanowiły jedynie zakąskę. Czekał już na niego utuczony cielak.

- Gamilu, krój go od barku do boku, nie w przeciwną stronę. - Tavalisk kazał swemu sekretarzowi wykonywać obowiązki kucharza. - I nie tak cienko, Gamilu. Mam zamiar jeść to mięso, nie nosić je jako bieliznę.

- Tak, Wasza Eminencjo.

- Czy odkryliśmy już, skąd Kylock dowiedział się o tych dwóch tysiącach najemników?

Tavalisk ujął gołębia w dłonie i złamał mu kręgosłup. W ten sposób mięso łatwiej odchodziło od kości.

- Nie, Wasza Eminencjo. Nie ulega jednak wątpliwości, że ktoś przekazał mu tę informację. Nie tylko znał ich liczbę, lecz również wiedział, którą drogą skierują się do Brenu.

- Taka zasadzka to naprawdę coś. Tysiąc pięciuset zabitych żołnierzy! Ich konie zaszlachtowano, a ekwipunek wrzucono do jeziora. To była prawdziwa klęska! - Tavalisk był

tak podenerwowany, że pozwolił, by kawałek gołębiego mięsa upadł na podłogę. Przeszedł

mu apetyt na ptactwo. - Kylock zawsze jest o krok przed nami. Jeśli robimy podkop, dowiaduje się o nim. Jeśli wysyłamy zapasy, kradnie je. Jeśli zmieniamy plany strategiczne, on również zmienia swoje, nim zdążymy wykonać jakikolwiek ruch. Ktoś dostarcza mu informacji, a ja chcę się dowiedzieć, kto to jest.

- Zajmę się tym, Wasza Eminencjo - zapewnił Gamil, układając na talerzu platy cielęciny.

Widok czerwonego mięsa poprawił humor arcybiskupa.

- Masz jakieś wieści z Annisu?

- Nic się nie zmieniło, Wasza Eminencjo. Sytuacja jest bardzo dziwna. Główna część armii Czterech Królestw nadal obozuje pod miastem, zaangażowana w coś w rodzaju połowicznego oblężenia. Cały czas obserwują mury, lecz nie zbliżają się na tyle, żeby wyrządzić jakiegokolwiek szkody.

- Nie ma w tym nic dziwnego, Gamilu. To genialne posunięcie. Oblegając Annis, Kylock nie tylko męczy szacownych mieszkańców tego grodu, lecz również uniemożliwia jego armii wyruszenie do Brenu. Nikt nie opuści domu, by wziąć udział w zagranicznej wojnie, gdy jego ojczyzna jest zagrożona. - Tavalisk wziął talerz z rąk Gamila. - Kylock praktycznie trzyma Annis pod kluczem. I nic go to nie kosztuje.

Arcybiskup nadział płat mięsa na mały, srebrny szpikulec.

- Niepokoi mnie jednak myśl, że w każdej chwili może podnieść stawkę i rozkazać swym wojskom przekroczyć góry. Armii Highwall będzie wtedy groziło oskrzydlenie.

Gamil skinął z powagą głową.

- Tak jest. Wasza Eminencja umie trafić w samo sedno.

Tavalisk z całą pewnością umiał trafić w samo sedno. Podkreślił ten fakt, wbijając szpikulec w ramię Gamila.

- Gdybym życzył sobie protekcyjnego traktowania, zwróciłbym się do Boga, Gamilu. Nie do ciebie. - Wyrwał srebrny sztuciec z ciała sekretarza. - Ręka mi się omsknęła, Gamilu - dodał. - Chciałem nadzieć kawałek cielaka.

Jego sekretarz nie wyglądał na zadowolonego.

- Daj spokój, Gamilu. Przestań się dąsać. To był wypadek. - Lekko skruszony arcybiskup podał sekretarzowi serwetkę, by miał czym wytrzeć spływającą z rany krew, po czym szybko zmienił temat. - Czy córkę Maybora nadal trzymają pod kluczem?

Gamil na miarę swych możliwości zemścił się na pracodawcy, zakrwawiając obficie jedwabną tkaninę.

- Odkąd lord Maybor opuścił miasto, nikt już o niej nie słyszał, Wasza Eminencjo.

Baralis i Kylock zaprzeczają, jakoby cokolwiek wiedzieli o porwaniu. Twierdzą, że Maybor jest obłąkany.

- Ale w dalszym ciągu ją więżą?

- Chyba że już ją zabili.

- Dla nas to wszystko jedno, czy Melliandra żyje, czy nie, Gamilu. Dopóki nikt nie jest pewien, co się z nią stało, możemy nadal walczyć w jej imieniu. - Tavalisk przesunął

łustym palcem po brzegu talerza. - Czy ma w mieście jakichś zwolenników?

Gamil potrząsnął głową.

- Każdego, kto otwarcie wyrazi poparcie dla lady Melliandry, ludzie Kylocka natychmiast aresztują i wieszają. Egzekucje są wykonywane publicznie, żeby wszyscy je zobaczyli.

- Hmm. A co z tymi, którzy popierają tę szacowną damę potajemnie?

- W ciągu ostatnich miesięcy spora liczba szlachetnie urodzonych zniknęła bez śladu, Wasza Eminencjo. Wszyscy ulotnili się ze swych komnat pośrodku nocy. Ich przyjaciele i rodziny są przerażeni.

- Znikają, tak?

Uśmiech Tavaliska wyglądał niemal rzewnie.

Gamil odchrząknął.

- Pozwoliłem sobie rozkazać szpiegom zbadać tę sprawę, Wasza Eminencjo.

Dowiedziałem się, że Kylock ma wszędzie w mieście donosicieli. Każdemu wielmoży, który choć szepnie przy kolacji imię Melliandry, grozi zniknięcie.

- Niedobrze - stwierdził z westchnieniem Tavalisk. - Gdyby Kylock nie był tak bezwzględny, mieszkańcy miasta z pewnością łatwiej zmieniliby zdanie.

- Z drugiej strony, lord Maybor wywołuje wielki rwetes w obozie Highwall, Wasza Eminencjo. Ma mnóstwo planów, które mają umożliwić infiltrację miasta i szybko zakończyć oblężenie.

Tavalisk machnął ręką w geście znaczącym: „A nie mówiłem?”

- Zawsze wiedziałem, że nadejdzie chwila, gdy będzie potrzebował mojej pomocy, Gamilu. Dopilnuj, żeby otrzymał potrzebnych ludzi i środki. Równie dobrze możemy pozwolić mu spróbować. Jak dotąd, generałowie Highwall wykazali się rozpaczliwym brakiem inwencji. Kilka

wyłomów w murze to jeszcze nie powód do radości.

- Proszę bardzo, Wasza Eminencjo. Jeśli to wszystko, to czy mogę już odejść?

- Oczywiście. - Tavalisk uśmiechnął się jak zaniepokojony przechodzień. - Na twoim miejscu nie żałowałbym pieniędzy na wizytę u chirurga, Gamilu. Tę ranę chyba lepiej by było zaszyć.

\*

Melli zmusiła się do zjedzenia resztek chleba. Nie miała już wody, przełknęła go więc na sucho. Potem zajęła się świńskim udźcem. Składał się głównie ze skóry i tłuszczu, lecz mimo to zjadła go jak najsmakowitsze mięsiwo. Nie miała na to ochoty, wiedziała jednak, że musi tak postąpić. Jeśli okaże się to konieczne, będzie jadła znacznie gorsze rzeczy.

Światło zaczynało blednąć. Na krawędzi otworu strzelniczego pojawiła się wąska smuga złotego blasku. Melli wiedziała z doświadczenia, że za chwilę nie będzie już jej widać.

Oczekiwanie na nadejście zmroku było najgorsze, znacznie okropniejsze niż sama ciemność.

O tej porze Melli zawsze ogarniał niepokój. Rozglądała się po małej celi o zakrzywionych ścianach, starając się dokładnie zapamiętać jej rozkład. W ostatniej chwili dokonywała jeszcze poprawek: przestawiała miskę, przesuwała siennik, przeganiała chrząszcze z ławy. Na koniec, gdy światło dnia już zniknęło, spoglądała na swój brzuch i szeptała do dziecka słowa pociechy.

Prawdziwa ciemność zdarza się rzadko. Melli całe życie spała po ciemku, lecz mrok panujący w wygodnej komnacie - gdzie przez szparę pod drzwiami wdzierało się do środka światło świec, a na kominku żarzyły się delikatnie węgielki - w niczym nie przypominał

ciemności, jaką poznała teraz. Zdarzały się noce, podczas których czuła się jak w grobie. Ten, kto nie widzi wyciągniętej przed własną twarzą dłoni, łatwo może uwierzyć, że nie istnieje.

Tak właśnie czuła się Melli, gdy nie było księżyca. Zupełnie jakby świat zniknął, zostawiając ją za sobą.

Dlatego słowa pociechy były właściwie przeznaczone dla niej, choć wołała udawać, że mówi do dziecka.

Śledziła teraz fazy księżyca i dzisiejszej nocy spodziewała się pełni. To, czy coś zobaczy, zależało jednak od chmur. Jezioro odbijało światło słoneczne za dnia, lecz nocą zasnuwało niebo chmurami. Melli nie opracowała jeszcze metody, która pozwoliłaby jej przewidywać zachmurzenie, zawsze jednak wiedziała, kiedy będzie padało.

To był efekt ciąży. Gdy w kostkach łapał ją dokuczliwy, kłujący ból, a nogi puchły jej powoli, jak rosnące ciasto, był to pewny znak, że niebo wkrótce się rozstąpi i małe, lodowate kropelki wpadną do środka przez otwór strzelniczy.

Otwór wychodził prosto na jezioro; był jak zaproszenie dla wiatru i deszczu. Przez jakiś tydzień po

jej pojmaniu było ciepło. Znad wody nadlatywały brzęczące muchy, a kamień rozgrzewał się od słońca. Teraz, po miesiącu, pogoda zrobiła się zmienna. Dręczyły ją narastające objawy zimy, która nie mogła się jeszcze zdecydować, co zamierza uczynić. W

jednej chwili szalała ulewa, w następnej zaś pojawiała się słońce i nad jeziorem rozbłyskiwała przypominająca wyrzut sumienia tęcza. Wczoraj padał nawet grad.

Noce zawsze były zimne. Po zmierzchu Bren był zdany na łaskę gór. Temperatura opadała gwałtownie, a wicher stawał się przenikliwy.

Pewnej nocy próbowała zatkać otwór szalem. Nic to nie dało. Tkanina łopotała tylko na wietrze, uderzając o ścianę.

Starła się nie stracić rachuby dni. Początkowo robiła kreski na ścianie - codziennie jedną. Potem jednak ich liczba zaczęła narastać i to, co miało być kalendarzem, upodobniło się do ostatniej woli. Wyobraziła sobie, że gdy ludzie znajdą jej ciało, będą potrzęsali ze smutkiem głowami na widok tak licznych kresek.

Na ogół starała się zapanować nad makabrycznymi myślami, powtarzając sobie, że gdyby mieli zamiar ją zabić, z pewnością już by to uczynili.

Raz dziennie przynosili jej jedzenie i wodę. Żołnierzy było dwóch. Jeden otwierał drzwi i przepuszczał niosącego tacę towarzysza, mierząc w jej twarz halabardą aż do chwili, gdy drugi strażnik zabrał wczorajszą tacę i nocnik. Próbowwała prosić ich o ciepłe ubranie, świece i jakieś deski, którymi mogłaby zatkać otwór, lecz w ogóle nie reagowali na jej głos.

Nie chcieli nawet patrzeć jej w oczy. Najwyraźniej ktoś wydał im surowe rozkazy. Ktoś, kogo bali się tak bardzo, że ledwie ważyli się oddychać w jej obecności, by przypadkiem nie wywołać jego niezadowolenia.

Baralis. To nie mógł być nikt inny. Żaden człowiek nie potrafił budzić strachu tak skutecznie, jak on. W jej przypadku z pewnością osiągnął ten cel. Gdyby przyszedł do niej choć raz - choćby po to, by odmówić spełnienia jej próśb albo nacieszyć się jej pogarszającym się stanem - bałaby się go mniej. Potrafiła się przeciwstawić każdemu mężczyźnie. Wiedziała, że gdyby zobaczyła go osobiście, mit, który stworzyła sobie pod jego nieobecność, prysnąłby natychmiast.

Baralis jednak nie przyszedł i dlatego wymyśliła sobie potwora i przypisała mu monstrialne motywy. Dręczyło ją podejrzenie, że o to właśnie mu chodziło. Chciał, żeby się bała. Sprawiało mu to zadowolenie. Strach był podstawą jego władzy.

Nie wszystko jednak szło po jego myśli. Nie, nie wszystko. Była silna. Żeby ją złamać trzeba będzie czegoś więcej niż samotność i zakrzywione, kamienne mury. Gdy karmili ją resztkami, jadła je. Gdy nie chcieli przynieść jej koców, obywatła się bez nich. Gdy odbierali jej światło, uczyła się żyć w ciemności, jak grzyb. Nie podda się Baralisowi i jego siepaczom.

Oboje z dzieckiem nie tylko trzymali się przy życiu, lecz z każdym dniem stawali się silniejsi i

nabierali witalności.

Usłyszała odległy stukot, lecz nie zwróciła na niego uwagi. Trwało oblężenie i hałasy nie milkły przez całą noc. Odgłos rozległ się po raz drugi, tym razem bliżej. Melli znieruchomiała. To nie była machina oblężniczą Highwall. Przez szparę pod drzwiami do celi przedostała się wątła jak dym smużka światła. Ktoś się zbliżał.

Cała jej brawura zniknęła szybciej niż spadająca na rozgrzany ruszt woda. Nikt nie przychodził tu nocą. Nikt.

Stukot przeszedł w łatwy do rozpoznania odgłos kroków, a smużka światła przerodziła się w szeroką smugę. Dziewczyna oparła się o kamienny mur. Dygotała. Poczowała gwałtowny ucisk w gardle. Gdy klucz obrócił się w zamku, dotknęła dłońmi brzucha i uniosła wysoko głowę.

Drzwi otworzyły się. Światło oślepiło Melli. W wejściu stała jakaś postać. Jej zarys świadczył, że to Baralis. Uniósł powoli lampę do twarzy.



- Co właściwie poczułeś, kiedy zobaczyłeś ocean?

Tawl siedział skulony blisko ogniska. Łuk trzymał po lewej stronie, a strzały po prawej. Choć właśnie dodawał opału do ognia, nie spuszczał wzroku ze wzgórz.

Kosiarz spał. Szybko się znudził łucznictwem. Owinął się wszystkimi ich dobrymi kocami, zmusił Tawla i Jacka do złożenia solennej obietnicy, że obudzą go, gdyby coś się działo, po czym natychmiast zapadł w sen. Zdarzyło się to jakąś godzinę temu i teraz na wietrze unosiło się jego dźwięczne chrapanie.

Na szczycie urwiska było bardzo jasno. Blask księżycy w pełni padał na kredowe stoki oraz popielate skały, a odbiwszy się od nich, oświetlał wzgórze na dole. W roku zdarzało się tylko kilka nocy wystarczająco jasnych, by umożliwić naukę strzelania z łuku.

Jack rozpostarł koc po przeciwnej stronie ogniska i położył się na nim, by patrzeć w gwiazdy. Nie odpowiedział na pytanie Tawla.

Być może go nie usłyszał. Było późno i czuł się zmęczony. Niewykluczone też, że wiatr porwał słowa ku morzu. Rycerz nie powtórzył pytania. Obaj mieli za sobą długi dzień.

Tawl wsadził rękę do plecaka, wydobyl stamtąd słoiczek wosku, nałożył odrobinę na szmatkę i przystąpił do czyszczenia łuku. By nie zasnąć całą noc, najlepiej było dostarczyć zajęcia dłoniom i umysłowi.

- To było tak, jakbym zobaczył dawno niewidzianego przyjaciela.

Tawl w pierwszej chwili nie zrozumiał, o czym mówi jego towarzysz. Zdążył już zapomnieć o zadanym pytaniu.

- Znałem go - ciągnął Jack. - Woń, dźwięki, barwy, wszystko to było znajome, lecz zarazem... - wykonał dłonią drobny gest - ...niezwykłe. Obce. Jak coś, co śniło mi się dawno temu.

Jego głos był cichy i pełen bezradności. Tawl uprzytomnił sobie, że Jack jest niewiele więcej niż chłopcem. Nie skończył jeszcze dwudziestu lat. Nie miał wyboru ani przewodnika.

Nic nie przygotowało go na to, co miało się wydarzyć. A mimo to ze wszystkich sił starał się zachować spokój, zapanować nad kłębiącym się w jego duszy chaosem.

Rycerz otarł wosk z palców. Jego sytuacja była inna. Miał na przygotowania całe lata.

Zawdzięczał to Bevlinowi. A w ostatecznym rozrachunku, sam z własnej woli postanowił

zostać rycerzem, służyć prawdzie i honorowi, podejmować ryzyko i „zasłużyć się Bogu”.

Jackowi nie pomagało żadne credo.

Był zdany na własne siły.

- Tawł, powtórz mi jeszcze raz to proroctwo.

Prośba chłopaka zaskoczyła rycerza. Tego się nie spodziewał. Spojrzał na niego z ukosa i zobaczył, że Jack wciąż wpatruje się w gwiazdy.

Tawł zaczął powtarzać tekst:

*Gdy ludzie honoru zapomną o swej sprawie...*

Już po pierwszym wersie głos mu się załamał. Słowa napisano jakby specjalnie dla niego. To on zapomniał o wierności i przysięgach. On ściągnął na rycerstwo niesławę. Nie Tyren, o czym usiłował go przekonać Kosiarz, ale on.

Przełknął z wysiłkiem ślinę. Ból towarzyszył mu przez cały czas. Nigdy nie łagodniał

ani nie stawał się mniej uciążliwy, a jedynie zastygał w kolejnych warstwach, z których każda była stalową obręczą uciskającą mu serce. Tawł wbił wzrok w ziemię i dwukrotnie zaczerpnął

głęboko oddechu, by się uspokoić, po czym zaczął mówić dalej. Bez względu na to, jak było mu ciężko, nie mógł już się cofnąć.

*A krew trojga ludzi jednego dnia posmakowana będzie*

*Dwa bogate domy małżeństwem się połączą*

*A rozkład zrodzą ich lędźwie*

*Zjawi się człowiek nie mający ojca ni matki...*

Przerwał na chwilę, by pochwycić powietrze w płuca. Jack przesunął się na kocu, zbliżając się do ogniska. Jego blask padł na włosy chłopca, w których zalśniły niewidoczne w świetle księżyca kolory. Kasztanowy i złoty. Przez umysł Tawła przemknął kolejny wers.

*Lecz siostrę za kochankę*

W tej samej chwili w jego głowie zabrzmiał cichy sygnał ostrzegawczy. Tawł nie zwrócił na niego uwagi, nie poświęcił mu żadnej myśli, ale z jakiegoś powodu pominął tę linijkę.

*I powstrzyma zarazę*

*Kamienie się rozstąpią, świątynia upadnie*

*Rozrost imperium mroku jego głos powstrzyma snadnie*

*A prawdę zna tylko głupiec.*

Gdy skończył, zapadła cisza. Jack się nie ruszał, wiatr się uspokoił, nawet fale przestały uderzać o brzeg.

Tawl zdawał sobie sprawę, że musi coś powiedzieć, nie tyle ze względu na Jacka, co na siebie. Podczas ciszy można było jedynie myśleć, a on nie chciał nawet przez chwilę zastanawiać się nad tym, co i dlaczego przed chwilą uczynił.

- Czy coś z tego ma dla ciebie jakiś sens? - zapytał.

Minęła dłuższa chwila.

- I tak, i nie - odpowiedział wreszcie chłopak. - Moja matka nie żyje, a ojca nigdy nie znałem. Przypuszczam też, że te dwa domy to Bren i królestwa.

Tawl skinął głową, ciesząc się, że ma okazję skierować myśli na mniej zdradliwy grunt.

- A ludźmi, którzy utracili honor, są rycerze - rzekł. - Świątynia to Larn, a imperium mroku powstaje na naszych oczach.

- Kylock.

W głosie Jacka pobrzmiwało coś przypominającego tęsknotę. Tawl odwrócił głowę, by spojrzeć na niego. Chłopak nie patrzył już w gwiazdy, lecz gapił się jak zahipnotyzowany w płomienie.

- Znasz go, prawda?

Jack skinął głową, nie odrywając wzroku od ognia.

- Myślę, że moim przeznaczeniem jest zabić go.

Po plecach Tawla przebiegły ciarki, zupełnie jakby ktoś oblał go lodowatą wodą.

Kącikiem oka zauważył cienką linię światła, która przesuwała się ku górze. Rycerz - zaniepokojony już tym, co usłyszał od chłopaka - natychmiast zwrócił na nią uwagę.

- Połóż się powoli, Jack - wyszeptał, nie odwracając wzroku. - Jakbyś miał zamiar zasnąć.

Chłopak zasymulował ziewnięcie, wygładził koc i położył się z twarzą zwróconą ku wzgórzom. Dłoń trzymał na krótkim łuku.

- Gdzie jest? - wysyczał.

- Na tym pagórku po lewej, w jednej trzeciej drogi w dół.

Mówiąc, Tawl niemal się nie poruszał. Cały czas wpatrywał się przed siebie. Nie ulegało wątpliwości, że to łucznik. Poruszał się na piechotę i w pewnej chwili jego łuk zaśnił

w świetle księżyca. Rycerz nie widział konia, podejrzewał jednak, że stoi ukryty za drzewami.

Powoli sięgnął po strzałę.

- Na mój sygnał rzuć koc na ognisko - rozkazał Jackowi, zaciskając dłoń na drzewcu.

Widmowa postać znieruchomiła. Uniosła widoczny w księżycowym blasku łuk.

Gdy łucznik zobaczy, że ognisko zgasło, będą mieli tylko mgnienie oka. Szansa była jednak zbyt obiecująca, by ją zmarnować. Stojący na zboczu Skaythe stanowił znakomity cel.

Tawl złapał łuk, nałożył strzałę i naciągnął cięciwę.

- Teraz, Jack. Teraz!

Rycerz wycelował.

Ognisko zgasło.

Wygięty łokieć Skaythe'a świadczył o tym, że on również jest gotowy do strzału.

Tawl pocałował cięciwę i wypuścił ją z dłoni. Strzała pomknęła w stronę celu.

W następnej chwili rycerz rzucił się w stronę ogniska. Usłyszał świst strzały, której grot otarł mu się o policzek. Poczł gwałtowny, piekący ból, a potem muśnięcie pierzyska.

Padł na gorący i dymiący koc. Jego ciało przetoczyło się pod wpływem impetu i uderzyło w Jacka.

Chłopak uniósł już krótki łuk i nałożył strzałę. Tawl złapał go za kostkę i obalił na ziemię.

- Trafiłem go?

Ledwie mógł oddychać. Prawe oko zalewała mu krew. Ścisnął kostkę Jacka, nie pozwalając mu wstać.

- Nie wiem. Padł na ziemię zaraz po tobie. - Jack wyszarpnął nogę z uścisku. - Gdybyś mnie nie przewrócił, mógłbym do niego strzelić. Nie straciłem go z oczu, nawet kiedy już leżał.

Kosiarz poruszył się pod kocami.

- Co jest grane?

- Nie wstawaj. - Rycerz otarł oko. Ranę miał na kości policzkowej i krew spływała wprost do oczu. - Gdzie się podział? - zapytał Jacka. Nadał nie widział dobrze.

- Zniknął. Kiedy podniosłem wzrok po tym, jak mnie przewróciłeś, zdążył już uciec.

Tawl wysyczał przekleństwo. Skaythe z pewnością skrył się już poniżej linii drzew.

Nawet jeśli go trafił, rana nie okazała się śmiertelna. Fakt, że padł na ziemię, o niczym nie świadczył. Obaj znali zasady gry: dwóch łuczników, dwie strzały, dwie szanse. To był

pojedynek. Instynkt z pewnością podpowiadał Skaythe'owi to samo, co jemu: wypuścić strzałę, a potem zmykać.

Tawl był niemal skłonny go podziwiać. Strzał był naprawdę piękny.

- Bierzmy się do roboty - zdecydował, podnosząc się z ziemi. - Pora zwijać obóz.

- Ja nigdzie się nie wybieram - zaprotestował leżący pod kocami Kosiarz. - Nie pozwolę, żeby ktoś sobie do mnie strzelał.

Tawl oderwał pas lnianej koszuli i przycisnął go do draśnięcia na policzku.

- Dziś już nas nie zaatakuję.

- Skąd wiesz? Trafiłeś go?

- Być może. Nie jestem pewien.

- W takim razie dlaczego sądzisz, że nie strzeli do nas znowu? - zapytał Jack.

- Dlatego, że nie o to mu chodzi.

- A o co?

Tawl wpatrzył się w dal, szukając wzrokiem miejsca, w którym przed chwilą stał

Skaythe.

- O pojedynek, Jack. Chce mnie pokonać w uczciwej walce. Takiej, jaką stoczyliśmy przed chwilą. Ja przeciw niemu. Równe szanse i niech zwycięży lepszy.

- Ale dlaczego?

- Chce się zemścić za brata. Albo udowodnić, że potrafi zwyciężyć człowieka, który pokonał Blayze'a. - Tawl wruszył ramionami. - Nie znam jego motywów.

Zaczął chodzić po obozie, wrzucając do worka garnki i manierki.

- A co twoim zdaniem robi teraz?

W głosie Jacka zabrzmiała twarda nuta. Nie był zadowolony z tego, że Tawl nie chce mu opowiedzieć wszystkiego o tajemniczym łuczniku.

- Jeśli został ranny, ukryje się gdzieś do jutra, żeby poczekać, aż się oddalimy. Jeśli nic mu się nie stało, zapewne ruszy za nami na południe. Tak czy inaczej, będzie planował

kolejny atak.

- A jeśli zraniłeś go naprawdę poważnie, Tawl? - zapytał Kosiarz, który wreszcie zdobył się na odwagę i wstał spod koca.

- W takim razie zatrzymałem go na kilka dni. Może nawet tygodni. Naprawdę nie wiem.

Tawl podszedł do koni i zarzucił siodło na grzbiet wałacha.

Jack był tylko o krok za nim.

- Z tobą może i chce stoczyć pojedynek, ale nie cofnie się przed zabiciem Kosiarza i mnie z zimną krwią. Mam rację?

Tawl spojrzał pospiesznie na kieszonkowca, który zwijał już koc.

- Posłuchaj - rzekł cicho, tak by usłyszał go tylko Jack. - Sądzę, że się nie mylisz. Ma zamiar zabić nas wszystkich. Muszę go powstrzymać, ale jest naprawdę dobry. Tropi nas jak zwierzynę. Pokazuje się tylko po to, by do mnie wycelować. Do ciebie i do Kosiarza będzie mierzył z ukrycia. Dlatego muszę się mu wystawiać na strzał, tak jak dzisiaj. Mamy szansę go pokonać tylko wtedy, gdy będzie się starał zabić mnie. - Tawl zacisnął popręg na brzuchu wałacha. - Nie mamy wyboru. Musimy go zmusić do stoczenia otwartej walki.

- Dlaczego nie pozwoliłeś mi do niego strzelić?

- Ty masz krótki łuk, a on długi. Wystawiałeś się tylko na strzał.

- A nie chodziło czasem o to, że ty też chcesz go pokonać w uczciwej walce?

Tawl potrząsnął głową.

- Nie. Człowiek, który strzela po ciemku do bezbronnego chłopca, nie zasługuje na taki zaszczyt. Jeśli go zauważysz, Jack, zabij go. Nie będę ci miał tego za złe. Ale jeśli będę uważał, że nie masz najmniejszych szans go trafić, zawsze obalę cię na ziemię.

Chłopak uśmiechnął się.

- Rozumiem. - Zajął się przytraczeniem juków. - To znaczy, że w Toolay musimy kupić jeszcze jeden długi łuk?

Mimo zmęczenia Tawl czuł się zadowolony. Jack chciał mu w ten sposób powiedzieć, że nie pozwoli się wyłączyć z tej sprawy. Rycerza radowała myśl, że ma przy sobie kogoś, kto jest gotów dzielić z nim niebezpieczeństwo.

- Musisz najpierw poćwiczyć - stwierdził. - Jeśli nawet masz w sobie zadatki na łuczника, jak dotąd tego nie zauważyłem.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Tawl wyciągnął rękę i uściśnął dłoń towarzysza.

Ten odwzajemnił uścisk.

- Cieszę się, że jesteś ze mną szczerzy.

- A ja cieszę się z każdej pomocy.

Obaj mężczyźni przypatrywali się sobie przez chwilę, poddając rewizji swe dotychczasowe opinie. Po raz pierwszy od wielu tygodni Tawl miał wrażenie, że wszystko może się jeszcze skończyć dobrze.

\*

Lampa się uniosła. Melli wyteżała wzrok, próbując coś wypatrzeć w jej blasku.

Cofnęła się instynktownie o krok i uderzyła kostką o kamień. Nie miała dokąd uciec.

Światło wędrującej w górę lampy rzucało długie cienie na twarz przybysza, zmieniając ją w okrutną maskę. Mężczyzna postąpił krok naprzód.

- Dawno już się nie widzieliśmy, Melliandro.

Melli zaczerpnęła gwałtownie tchu. To nie był Baralis, lecz Kylock. Obaj mieli taką samą figurę i wzrost, a nawet kolor włosów. Ogarnął ją narastający lęk. Jeśli chodzi o Baralisa wiedziała przynajmniej, czego się spodziewać. Królewski kanclerz był

wyrachowany, sprytny i metodyczny. Kylock bardzo się od niego różnił charakterem. Był niebezpiecznie niezrównoważony.

Melli uniosła brodę, zdecydowana nie okazywać strachu.

- Przyszedłeś mnie uwolnić? - zapytała.

Rozglądał się po celi, ignorując dziewczynę. Miał na sobie czarną bluzę z kozłej skóry i jedwabną koszulę tego samego koloru. Wyglądał tak, jakby przyszedł prosto z uroczystej kolacji. Po chwili pokiwał lekko głową.

- Nie wiesz ci się za dobrze, prawda, Melliandro?

- Gdybym wyszła za ciebie, wiodłoby mi się znacznie gorzej. Nim noc poślubna dobiegła końca, twoja żona zdążyła już ostygnąć.

Poczuła, że coś twardego uderzyło ją gwałtownie w twarz. Zatoczyła się do tyłu i uderzyła głową o ścianę.

Kylock stanął nad nią, wycierając pięść w bluzę.

- Na twoim miejscu uważałbym na to, co mówię, Melliandro. Masz stanowczo za ostry języczek.

Potarła obolałą szczękę. Spróbowała się podnieść, lecz Kylock pchnął ją na podłogę.

- Myślę, że powinnaś chwilę sobie poleżeć - rzucił tonem malarza zwracającego się do modelki. Pochylił się, by odgarnąć z jej twarzy kosmyk włosów. - O, właśnie tak.

Poczuła w ustach smak krwi. Bała się poruszyć. Pozbawione wszelkiego wyrazu oczy Kylocka wpatrywały się w pustkę. Wyglądał jak pijany.

Wtem ukląkł u jej boku, ruchem tak szybkim, że Melli myślała, iż znów ją uderzy.

Widząc, że się wzdrygnęła, uśmiechnął się.

- Już nie jesteś taka harda, co?

W jego oddechu nie czuło się nawet śladu alkoholu, biła jednak od niego nienaturalna, słodka woń. W kąciku ust miał kilka drobin białego proszku.

- Wiesz, co myślę? - zapytał.

- Nie. Dlaczego mi tego nie powiesz?

Melli nieświadomie otoczyła ramionami brzuch. Rozpaczliwie pragnęła zaatakować Kylocka, fizycznie i słownie, powstrzymała się jednak. Musiała myśleć o dziecku.

- Że zasługujesz na coś lepszego.

Uniósł dłoń, tym razem jednak pogłaskał ją po policzku.

Wolała, kiedy ją uderzył.

- I dlatego tu przyszedłeś? - zapytała, cofając się przed jego dotykiem.

Kylock był już bardzo blisko. Twarz miał okropnie pobladłą, a oczy podkrążone.

- Chciałem zobaczyć, jak cię traktują.

- Jak widzisz, traktują mnie źle.

Nie była właściwie pewna o kim mówił: o Baralisie, o strażnikach, czy może i o nim i o nich.

- Hmm.

Przesunął dłoń z jej policzka na szyję. Koniuszki palców miał miękkie jak małe dziecko.



Melli jeszcze ciaśniej oplótła brzuch rękami i zadała jedyne pytanie, które naprawdę warto było zadać:

- Ale dlaczego przyszedłeś dzisiaj? Siedzę tu już od wielu tygodni. Mogłeś mnie odwiedzić w każdej chwili.

Kylock rozciągnął pięknie rzeźbione wargi w lekkim uśmiechu.

- Baralis chce cię jutro stracić.

Znieruchomiła. Całkowicie znieruchomiła. Nie zdradził jej ani jeden mięsień twarzy. Nie zamrużyła, nie zadrżała, nie okazała w ogóle żadnych uczuć. Nadal jednak oddychała. Głęboko i powoli.

- Tak jest, przyjdą po ciebie rano. W wodzie, którą ci dadzą, będzie narkotyk, żebyś była... - Kylock z radością zastanawiał się nad właściwym sformułowaniem - ...bardziej uległa. Potem wbiją ci nóż w serce. Nigdy już nie opuścisz tej celi. Wszystko odbędzie się tutaj.

Uśmiechnął się, jakby wyświadczył jej wielką uprzejmość.

- Kiedy obaj strażnicy skończą robotę, zamkną za sobą drzwi i ruszą schodami w dół, lecz zostaną zabici, nim zdążą dotrzeć do ostatniego stopnia. Następnie kobietę, która dba o twą wygodę, spotka taki sam nieszczęśliwy koniec. Nie zostanie nikt, kto mógłby opowiedzieć, co się tu zdarzyło.

Mówiąc, nie zdejmował dłoni z jej gardła. Gdy skończył, przesunął ją niżej. Na pierś, a potem na brzuch.

- Tak przynajmniej wygląda plan.

Melli nie próbowała już się odsuwać. Pozwoliła mu trzymać dłoń tam, gdzie chciał.

Jej myśli pochłonał ton, z jakim Kylock wypowiedział ostatnie zdanie. Czyżby usłyszała w nim niechęć? Wysunęła mały palec, by dotknąć jego dłoni, po czym poddała go próbie.

- Wygląda, czy wyglądał?

Odsunął się raptownie. Uniósł drugą dłoń, w której trzymał lampę, zbliżając ją do twarzy Melli.

- Widzę, że na twoich wargach nie ma rózu.

Serce Melli biło bardzo szybko. Lampa była tak blisko, że czuła na policzku jej żar.

Mimo rozpaczliwych wysiłków zaczynała ulegać panice. Nie wiedziała, czego chce od niej Kylock. Nie rozumiała, dlaczego zmienił temat.

- Nie ma - potwierdziła. Miała wrażenie, że błąka się w ciemności.

Zbliżył lampę jeszcze bardziej. Płomień dzieliła od jej twarzy odległość mniejsza niż długość rzęs.

- Nigdy nie malowałaś się jak dziwka, prawda?

Ogień parzył jej skórę. Nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Uniosła pięść i z całej siły uderzyła Kylocka w ramię.

Wypuścił z ręki lampę, która poleciała w górę i upadła z grzechotem na kamienną podłogę, po czym zdzielił dziewczynę w szczękę. Wszystkie kości jej szyi trzasnęły głośno.

Następnie rzucił się na nią i zaczął zdzierać z niej szaty.

Krzyknęła.

Wsunął dłoń pod zuchwę swej ofiary i z całej siły walnął jej głową o ścianę.

Pod czaszką dziewczyny eksplodował ból. Zamgliło się jej przed oczami. Nie przestawała krzyżeć.

Wyczuła palce Kylocka wciskające się pod gorsecik. Próbowwała się opierać, lecz jej dłonie nie reagowały tak, jak powinny. Czuła się jak pijana. Złapał tkaninę w obie dłonie i rozerwał ją.

Choć jej wzrok utracił ostrość, zauważyła za plecami Kylocka jasną łunę. Sitowie na podłodze stanęło w płomieniach.

Poczuł żar albo dym i odsunął się od niej. Wstał i odkopnął cienką warstwę sitowia na drugi koniec celi. Drewniana ława stała obok stóp Melli, znalazła się więc poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Cała reszta pomieszczenia była z kamienia. Zaczął deptać płonące sitowie, ale ogień sięgnął mu goleni. Odwrócił się błyskawicznie w poszukiwaniu wody, lecz nagle stanął jak wryty.

Melli się nie poruszyła. Jej piersi i tułów były nagie. Blask płomieni podkreślał

wypukły zarys brzucha.

Kylock wbił wzrok w dziewczynę. W jej powiększony brzuch.

Na oczach Melli wyraz jego twarzy uległ gwałtownej metamorfozie. Ślepy gniew skryształizował się, przechodząc w obłęd. W owej chwili zawładnął nią strach tak gwałtowny, że powietrze umknęło jej z płuc, wypływając między wargami niczym ostatnia nadzieja.

Kylock uniósł wzrok, spojrzał jej w oczy. Ogień za jego plecami zaczął gasnąć, stłumiony przez dym i zagłodzony brakiem paliwa. Melli miała w płucach przypominającą głód próżnię. Musiała zaczerpnąć tchu, bała się jednak, że wciągnie do płuc substancję bardziej toksyczną niż dym. Z rany w tyle głowy sączyła się krew. Czuła, jak spływa wzdłuż szyi. Oczy zaszyły jej łzami.

Dym był czarny. Unosiły się w nim maleńkie, zwęglone płatki. Kylock uniósł ręce i zbliżył się do niej o krok. Rozchyliła wargi i wciągnęła opary do płuc. Przez krótką chwilę nie mogła zapanować nad własnym ciałem. Zaczęła się krztusić. Stłumiła jednak ten impuls, wdychając coraz więcej dymu. Z

początku wydawał się jej gorzki. Gorący i gryzący. Parzył

jej płuca. Potem jednak dotknęły jej dłonie Kylocka i to, co przed chwilą było trucizną, stało się wybawieniem.

Świat wokół niej zniknął i Melli zapadła w ciemność.

\*

Gdy Skaythe znalazł się wreszcie między drzewami, jego bluza zdążyła już przesiąknąć krwią. Strzała wbiła mu się wysoko w lewą łopatkę. Grot przebił kość. Ranny doczłogał się na bezpieczny obszar, pomagając sobie tylko prawą ręką.

Przywiązana do cienkiego jesionu żrebica zarżała cicho, gdy poczuła jego zapach.

- Psst, Kali - wyszeptał.

Większość liści nie spadła jeszcze z drzew i blask księżyca był tu znacznie słabszy.

Odpowiadało to Skaythe'owi. Zawsze łatwiej mu było pracować po ciemku. Złapał za pobliski pień i podniósł się z ziemi. Jego bok przeszył ból. Dopadł go nagły atak mdłości.

Odchylił głowę do tyłu i przełknął z wysiłkiem ślinę, by powstrzymać wymioty. Lewa dłoń zacisnęła się w pięść równie sprawnie, jak prawa. Dobrze. Znaczyło to, że mięśnie lewego ramienia nie zostały uszkodzone.

Po chwili nudności ustąpiły, zostawiając w ustach ostry posmak. Wyprostował się, a potem wsparł o pień. Cmoknął cicho językiem, żeby przywołać wierzchowca. Żrebica zbliżyła się na tyle, na ile pozwalały wodze. Skaythe zdjął juki z końskiego grzbietu.

Gdy je dźwignął, ponownie dopadły go ból i mdłości. Znalazł to, czego potrzebował: maść, ostry nóż, lniane bandaże oraz małą butelkę mocnego alkoholu. Zaczął od tego ostatniego. Wychylił jednym haustem prawie całą zawartość naczynia, zostawiając tylko niewielki łyk. Palący płyn przemknął w dół gardła, po czym rozgrzał mu brzuch niczym płonący węgielek. Skaythe musiał się spieszyć. Gdy trunek był tak mocny, między znieczuleniem zmysłów a utratą przytomności upływało niewiele czasu. Resztkę alkoholu wylał na połowę bandaża, po czym przetarł nim obszar wokół rany, dolną stronę drzewca, ostrze noża i palce.

Wcześniej złamał już strzałę wpół i z łopatki sterczał mu tylko kawałek długi na dłoń.

Wziął w rękę nóż i wbił go w ranę, rozcinając ciało po obu stronach grotu. Rycerz używał

klasycznego typu w kształcie litery V. Takimi właśnie grotami z reguły posługiwali się ludzie honoru. Nie miały zadziorów, ostrego czubka ani nie były ścięte na ukos. Skaythe wzruszył

ramionami. On używał grotów z ostrymi, ząbkowanymi zadziorami.

Gdy już naciął ciało po obu stronach, ujął w rękę pozostałość strzały, rozluźnił

mięśnie i wyrwał ją z rany.

Wzdłuż jego ramienia przebiegł gorący, ostry, rozdzierający spazm bólu, który sięgnął

serca. Po udzie spłynął mu mocz. Choć naciął ciało, by zrobić miejsce dla grotu, jego krawędzie i tak wbiły się w mięśnie. Nie krzyknął jednak. Nigdy nie krzyczał, nawet jako dziecko.

Wyciągnąwszy grot, Skaythe osunął się na ziemię. Wsparł się o pień. Wziął w rękę drugą połowę bandaża i owinał nią mocno ranę. W świetle księżyca krew wydawała się czarna. Słabł szybko. Czuł, że powoli trunek pozbawia go przytomności.

Owijając łopatkę pasmem lnianej tkaniny, przeklinał Tawla z całą nienawiścią pokonanego. Rycerz podjął ryzyko. Celowo skierował strzałę na lewo od niego. Przyjął

założenie, że jego przeciwnik rzuci się na ziemię, a na dodatek przewidział, że skoczy w lewo. Skaythe sądził, że umyka przed niebezpieczeństwem, a w rzeczywistości rzucił się wprost pod pocisk. Gdyby rycerz mierzył w serce, nawet by go nie drasnął. Wycelował

jednak w pustkę i dzięki temu udało mu się zranić przeciwnika.

Skaythe potrząsnął głową z ponurą miną. Krwawienie wciąż nie ustawało.

Z dzisiejszego pojedynku wypływał jednak jeden pocieszający wniosek. Tawl miał

szczęście, to wszystko. Skaythe wiedział o szczęściu wiele, w tym również to, że prędzej czy później karta zawsze się odwraca. Nad człowiekiem, któremu jednego dnia się poszczęściło, następnego dnia najprawdopodobniej zawiśnie klątwa. Gdy spotka Tawla po raz kolejny, los będzie po jego stronie.

A spotka go z całą pewnością.

Jutro znajdzie kogoś, kto zaszyje mu ranę. Potem będzie zapewne potrzebował kilku dni odpoczynku, żeby wrócić do zdrowia. Na krótko może zgubić ślad rycerza, wiedział

jednak, dokąd Tawl wędruje i gdzie będzie musiał wrócić. Wystarczy jeden kontakt z Baralisem, a znajdzie go nawet w ciemności.

Wiatr był dość silny i niósł z sobą zapach ryb. Poranek wstał wcześnie. Dzień był

pogodny, białe budynki Toolay rzucały w blasku wschodzącego słońca złote cienie, a morze grało klifom swą pieśń.

Byli znużeni całonocną wędrówką, lecz widok miasteczka zbudowanego na górujących nad oceanem urwiskach podziałał na nich jak śniadanie, a zarazem środek wzmacniający. Jack wiedział, że nie tylko on odczuwa ten efekt. Twarz Kosiarza rozpromieniła się. Chłopiec wymamrotał długie, radosne zdanie, w którym kilkakrotnie powtarzały się zwroty „organizować fundusze” i „nareszcie”. Nawet Tawl sprawiał wrażenie zadowolonego. Nie mógł się jednak uśmiechnąć. Groziłoby to otwarciem rany na policzku.

- Kozie mleko i *ale* - powiedział, popędzając wierzchowca.

- Kozie mleko i *ale*?

Jack wbił pięty w boki wałacha. Nie zamierzał pozwolić, by Tawl dotarł do miasta przed nim.

Oczy rycerza lśniły jaśniej niż morze.

- To właśnie dają tu na śniadanie mężczyznom.

W powietrzu unosiła się lekka aura rywalizacji. Jack wyraźnie widział, że jego towarzysz zamierza zmusić konia do galopu.

- A co dają kobietom?

- Widziałem tutejsze kobiety, Jack - wtrącił Kosiarz. - Sądząc z ich wyglądu, dostają tylko *ale*.

Koń Tawla pomknął nagle naprzód przy akompaniamencie stłumionych okrzyków protestu Kosiarza. Jack rzucił się w pościg. Mknąc przez obłoki pyłu, które zostawili za sobą jego przyjaciele, czuł się naprawdę szczęśliwy. Słońce ogrzewało jego twarz, a w ustach czuł

słony smak wiatru.

Choć byli jego przyjaciółmi, zamierzał ich prześcignąć. Jeszcze mocniej wbił pięty w boki Jęczmienia i poluzował mu wodze. Wierzchowiec rycerza był silniejszy, musiał jednak dźwigać dwóch jeźdźców. Jęczmień wykrzesał z siebie resztki sił i wkrótce znalazł się tuż za nim. Kosiarz pochylał nisko głowę.

- Ostatni raz siadam z tobą na konia, Tawl! - darł się głośno jak róg mgłowy.

Wyprzedzając ich, Jack się uśmiechnął.

- Nie dziwię ci się, Kosiarzu - zawołał. - Jeździć warto tylko z najlepszymi.

Nie obejrzał się za siebie, po pierwsze dlatego, iż nie chciał, by Tawl zobaczył, że się uśmiecha, a po drugie dlatego, że był przerażony. Nigdy jeszcze nie jeździł tak szybko.

Jęczmień zmienił się ze słodkiego, łagodnego stworzenia w szarżującego rumaka bojowego.

Jack mógł jedynie trzymać się mocno i liczyć na zmiłowanie.

Gdy wałach gnał ku zwycięstwu, nieoczekiwanie ujawnił się u niego talent do skakania przez rowy, wybierania kamienistych ścieżek i zwlekania do ostatniej chwili z wymijaniem zbliżających się drzew.

Wreszcie wierzchowiec i jeździec znaleźli się na gościńcu. Widok wozów, ludzi i innych koni wywarł dobroczynny wpływ na Jęczmienia, który - zupełnie jak niegrzeczne dziecko przy gościach - stał się nagle wzorem dobrego zachowania. Zwolnił do kłusa, a nawet zjeżdżał na bok, by przepuszczać tych, którym się spieszyło. Jack tak się cieszył, że zwierzę zaprzestało galopu, iż nie miał serca go karcnąć.

- Jeśli masz w zanadrzu jeszcze jakieś sztuczki, zachowaj je dla następnego właściciela - szepnął mu tylko do ucha.

- Hej, Jack! - Tawl i Kosiarz wreszcie go dogнали. Rycerz poklepał Jęczmienia po boku. - Gdybym wiedział, że jest taki dobry, wziąłbym go dla siebie.

Chłopak odnosił wrażenie, że gdyby nie gojąca się rana na policzku, Tawl roześmiałby się w głos.

- No to jedźmy - zaproponował, popędzając Jęczmienia. - Kozy czekają.

Toolay było ruchliwym miastem. Na wąskich, krętych uliczkach roiło się od kupców, wieśniaków, rybaków oraz chłopców obwożących stragany na kołach. Ludzie zachwalali głośno swe towary, witali się ze znajomymi, targowali się, gędzili i plotkowali. Jackowi od razu się tu spodobało. Jediną wadą miasta były w jego oczach ogromne masy kręcących się po ulicach gęsi. Wiosną przeżył niemiłe spotkanie ze stadkiem złośliwych, gęgających zwierząt i od tej pory uważał, że dobra gęś to pieczona gęś.

Nagle poczuł się bardzo głodny. Ucieszył się, gdy Tawl skierował ich do pobliskiej gospody o nazwie „Pod Nogami Homara”. Była mała i przytulna. Oberżysta, mężczyzna o rumianych policzkach, który miał na imię Blaxer, przywitał ich serdecznie, kazał chłopcu zająć się końmi, po czym osobiście zagotował kozie mleko. Jego wyjątkowo przystojny syn przyniósł im złożone z gorącej owsianki i zimnych homarów śniadanie, po czym zaproponował, że przygotuje dla nich pokój.

Jack miał nadzieję, że Tawl wyrazi zgodę. Przez całą noc nawet nie zmrużyli oka i myśl o przespaniu się w wygodnym, bezpiecznym łóżku zamiast na twardym gruncie pod gołym niebem wydawała mu się co najmniej atrakcyjna. Rycerz spojrzął na Kosiarza, który stłumił teatralne ziewnięcie.

- Proszę bardzo. Zostaniemy tu na noc, a rano wyruszymy do Rornu.

Syn oberżysty skinął uprzejmie głową, dolał im *ale* do koziego mleka, po czym się oddalił.

Karczmarz przyglądał się chłopcu z kąta izby. Jego twarz promieniała ojcowską dumą.

Zjedli śniadanie w milczeniu. Byli zmęczeni, głodni i pogrążeni w myślach, żaden z nich nie miał więc ochoty na rozmowę. Kiedy skończyli, Tawl wstał z krzesła.

- Prześpijcie się trochę. Wrócę za parę godzin.

Jack potrząsnął głową.

- Nie. Pójdę z tobą.

Tawl przeszył go twardym spojrzeniem.

- Chcę tylko znaleźć kogoś, kto założy mi parę szwów.

Jack nie pozwolił się zbyć.

- Bardzo dobrze. Potem rozejrzemy się za długim łukiem dla mnie.

Rycerz ruszył do drzwi.

- No to chodź - rzucił, spoglądając za siebie.

Chłopak poszedł za nim, czując się tak, jakby odniósł drobne zwycięstwo. Zmrużył

powieki, osłepiony blaskiem słońca. Ulice nadal były ruchliwe, lecz teraz panował na nich większy porządek. Kupcy ustawili już swe stragany, a wszyscy pozostali zajęli się poważną pracą, jaką były zakupy. Tawl zapytał pierwszą napotkaną osobę, gdzie można znaleźć porządnego chirurga.

- Panie - odparła starsza kobieta. - Z taką raną, jak twoja, poradzi sobie każdy cyrulik na Balwierskiej.

Uśmiechnęła się uprzejmie, życzyła im dobrego dnia i oddaliła się, dźwigając przed sobą wielki, pusty kosz niczym tarczę.

Jack i Tawl uśmiechnęli się do siebie. Ludzie z Toolay nie byli podobni do innych.

Gdy wreszcie znaleźli Balwierską, zbliżało się już południe.

O klientów konkurowało tam ze sobą chyba z pół tuzina cyrulików. Wszyscy otworzyli szeroko drzwi swych lokali, ukazując zestawy ostrych noży, ucięte odciski i słoiki z usuniętymi kamieniami żółciowymi.

- Niech będzie ten - zdecydował Tawl, wskazując na zakład, którego przedsiębiorczy właściciel umieścił nad drzwiami wielką, wystruganą z drewna pijawkę.

- Ach, panowie! Widzę dwóch mężczyzn, których włosy wymagają skrócenia.

Cyrulik podbiegł do nich, gdy tylko weszli do środka. Był chudy, miał czerwony, skórzany pas, a w rękę trzymał ostry jak brzytwa nóż. Nagle zwrócił uwagę na policzek Tawla.

- Proszę siadać. Taka rana wymaga co najmniej czterech szwów.

Tawl spoczął na wskazanym krześle. Jack został na miejscu. Przyzwyczał się już do długich włosów i nie zamierzał pozwolić, by golibroda się do niego zbliżył.

Balwierz był prawdziwym mistrzem w cmokaniu. Przyglądając się policzkowi Tawla, wydał z siebie kilka wiele mówiących cmoknięć pod rząd.

- Oj, panie - zawołał, potrząsając głową. - Cóż za tragedia. Żeby taką piękną twarz spotkała podobna... - tu cmoknął kilka razy - ...katastrofa! Jesteś już żonaty, panie?

Tawl potrząsnął głową. Gdy cyrulik zaczął przemywać ranę czystym alkoholem, skrzywił się gwałtownie.

- W takim razie muszę się naprawdę przyłożyć do pracy. - Zaczął rozwijać czarną nić z wielkiej szpuli. - Kiedy skończę, nawet twoja rodzona matka nic nie zauważy. Stać cię na dodatkową zapłatę, panie? Małe, piękne szewki, osiem zamiast czterech.

- Wystarczą mi cztery - odparł Tawl.

- Nie - sprzeciwił się Jack. - Zrób mu osiem.

Rycerz zmarszczył brwi.

- Musimy jeszcze kupić łuk.

Jack potrząsnął głową.

- Wystarczy mi ten, który mam. Zrób wszystko, co uważasz za konieczne - dodał, zwracając się do cyrulika. Tawl mógł nie dbać o wygląd zewnętrzny, chłopak jednak nie robił

tego dla niego, lecz dla Melli.

Golibroda skinął głową z mądrą miną.

- Widzę, że nie brak ci rozsądku. - Obejrzał Jacka od stóp do głowy, po czym zacmokał raz jeszcze. - Jeśli jednak wybaczysz mi śmiałość, powinno się doprowadzić cię do porządku.

Jack przesunął się bliżej drzwi.

- Najpierw go pozszywaj. Zobaczymy, ile pieniędzy nam zostanie.

Cyrulik odpowiedział cmoknięciem przewyższającym ekspresją wszystkie poprzednie.



Jednym ruchem języka zdołał wyrazić: „Borcu, broń mnie przed takimi barbarzyńcami! Nie mają za grosz ogłady!” Wykonał jednak, co do niego należało. Wziął najcieńszą igłę i zmienił

nić na dopasowaną do niej grubością.

- Brandy? - zaproponował przed przystąpieniem do pracy.

- A ile musiałbym za nią zapłacić?

- Dwa srebrniki.

- Obejdę się bez niej.

Cyrulik dał wyraz zaskoczeniu w ten sposób, że nie cmoknął w ogóle.

- Jak sobie życzysz. Przygotuj się.

Jack odwrócił wzrok.

- Przybywacie z północy? - zapytał właściciel lokalu podczas zabiegu.

- Nie - odparł chłopak.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że znacie jakieś wieści.

- O oblężeniu?

- Hmm. - Golibroda milczał przez chwilę. Jack wolał nie wiedzieć, czym jest zajęty. -

I o lady Melliandrze.

Jack odwrócił się błyskawicznie.

- Co się z nią stało?

- No wiecie, to ta kobieta, która wyszła za diuka. Wszyscy mówią, że jest bardzo piękna.

Tawl wyciągnął gwałtownie rękę, łapiąc cyrulika za ramię.

- Do rzeczy.

Mężczyzna zacmokał po raz kolejny, wyszarpnął rękę i znowu wziął się do szycia.

- No więc, jej ojciec uciekł do obozu nieprzyjaciela i opowiada wszystkim, że pojmał

ją Kylock. Oczywiście, to na razie tylko pogłoski.

Tawl spróbował wstać, lecz cyrulik pchnął go z powrotem na krzesło.

- Jeszcze chwileczkę, panie.

- Kiedy to się zdarzyło? - zapytał Jack.

Cyrulik wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wiadomości docierają tu powoli. - Skończył, zawiązał węzeł, uciął nitkę, zmył z twarzy Tawla świeżą krew i posmarował skórę odrobiną maści. - Szwy wyjdą same za siedem dni.

Tawl wstał z krzesła.

- Ile się należy?

Cyrulik sprawiał wrażenie rozczarowanego, że jego pracy odpowiednio nie doceniono.

- Dwie sztuki złota.

Jack wręczył mu pieniądze.

- Niezła robota.

Balwierz pokłonił się. Zaczął coś mówić, lecz Jack nie dosłyszał jego słów, gdyż obaj z Tawlem zmierzali już do wyjścia.

- Ruszymy w drogę jeszcze dziś. Natychmiast - oznajmił rycerz, gdy drzwi zamknęły się za nimi. - Wejdziemy po Kosiarza, zmienimy konie i za niespełną godzinę wyjeżdżamy.

- A dokąd? - zapytał Jack. Nie był pewien, czy Tawl zamierza kontynuować podróż do Rornu, czy też chce zawrócić do Brenu.

Zwykle niebieskie oczy Tawla były ciemne jak niebo o północy.

- Na Larn, zgodnie z planem.

\*

- Co ty, na Borca, wyprawiasz? Tę dziewczynę trzeba zgładzić.

Melli słyszała rozmowę już od pewnego czasu, to jednak były pierwsze słowa, które jej umysł zechciał zarejestrować. Wynurzała się z pełnej dymu otchłani. W pierwszym odruchu chciała się rozkasłać - charczeć, odpluwać i prychać. Oprzytomniała jednak szybko i zacisnęła mocno oczy oraz usta. Zaczerpnęła głęboko tchu, by przynieść ulgę płucom.

- Nie, Baralisie. To nie ją trzeba zabić, ale jej dziecko.

- W tej chwili są jednym i tym samym.

Melli zadrżała. Nie mogła się powstrzymać. Poznała obu rozmówców - Kylocka oraz Baralisa - i

brzmienie ich głosów przeszło ją głębokim dreszczem.

- Posłuchaj, dopóki ona żyje, jest nożem wbitym w nasz bok - przemówił znowu Baralis, tym razem ciszej. - Maybor wszystkim opowiada, że ją więzimy, połowa ludzi w Brenie wolałaby zobaczyć w pałacu jej syna niż ciebie, a Highwall utrzymuje, że walczy w jej imieniu. Dziewczyna musi umrzeć.

Ostatnie słowa pełne były z trudem hamowanej furii.

- Nie. Nie pozwolę na to - odpowiedział Kylock bez chwili zwłoki.

- Jeśli jej pożądasz, weź ją teraz i tyle. Nie zapominaj, kim ona jest.

- A kim, Baralisie?

- Twoim jedynym rywalem.

Do świadomości Melli dotarł przeszywający jej głowę ból. Coraz bardziej pragnęła kaszlnąć, stłumiła jednak ten impuls.

- Nie, Baralisie - sprzeciwił się cicho Kylock. - Nie ona jest moim rywalem, lecz jej dziecko.

Łatwo było wyczuć panujące w pomieszczeniu napięcie. Powietrze stało się gęste i ciężkie, jak przed burzą. Melli czuła metaliczną woń, przywodzącą na myśl stalowy miecz.

Przesunęła się nad nią fala ciepłego powietrza, od której po skórze przebiegły jej ciarki.

Przez chwilę panowała cisza.

- No trudno, jeśli nalegasz - odezwał się wreszcie królewski kanclerz.

- Nalegam, Baralisie. - Kylock podszedł do łoża. Melli wyczuła, że na nią patrzy. -

Och, i zostanie na razie tutaj. Nie powinna spać w wieży.

Baralis podszedł do niego lekkim krokiem.

- Trzeba ją będzie cały czas uważnie obserwować.

- Ta kobieta poradzi sobie z tym zadaniem.

- Jak sobie życzysz. - Głos Baralisa brzmiał twardo. - Przyślę ją tu, żeby wszystko przygotowała.

Królewski kanclerz opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

Melli nie była pewna, czy powinna czuć ulgę, czy strach. Wiedziała, że Kylock stoi obok, obserwując ją. Poczowała, że coś dotknęło jej policzka. Rozchyliła powieki i spojrzała prosto w jego oczy.

Wokół tęczówek miał czarne obwódki.

- Ach, przyszła matka się budzi.

Miał na dłoniach rękawiczki. Przebiegł palcem wzdłuż jej policzka i wsunął go pod kołdrę. Następnie przejechał nim powoli po jej piersi i dotarł do brzucha. Zatrzymał się na chwilę, a potem dźgnął ją mocno, jakby sprawdzał, czy owoc jest już dojrzały. Melli wysunęła rękę, by go powstrzymać, lecz złapał ją za nadgarstek i przycisnął do pościeli.

- Nie. Nie, kochanie, nie tak splota się dług.

Melli rozpaczliwie pragnęła kaszlnąć. Płuca wypełniał jej pył. Kylock wykręcił jej rękę, tak że nie mogła nią poruszyć.

- Czego ode mnie chcesz? - krzyknęła.

Potrząsnął powoli głową.

- Nie sędzę, żebyś miała prawo zadawać pytania - stwierdził. W kąciku jego ust pojawiła się odrobinka śliny. Wpił osłonięte rękawiczką palce w jej ciało, sięgając aż do kości.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam? - warknął Kylock.

- Pani Greal, panie. Lord Baralis kazał mi przyjść.

Pani Greal. Melli zakrztusiła się spazmatycznie. Jej głowa spadła z poduszki. Kasłała i prychała, nie mogąc się powstrzymać.

- Wejdz.

Drzwi uchyliły się i do środka weszła pani Greal. Oczy Melli były pełne łez. Kobieta wyglądała jakoś inaczej. Była niższa, a dolną część twarzy miała dziwnie zniekształconą. Gdy jednak się odezwała, nie sposób było nie rozpoznać jej cienkiego, drapieżnego głosu.

- Widzę, że ta mała zdzira udaje chorą. - Podeszła do łóżka. Kylock cofnął się, by zrobić jej miejsce. Złapała Melli za włosy, wyprostowała ją i uderzyła mocno w plecy. -

Proszę bardzo. To jej pomoże.

Dziewczyna przestała kasłać.

Kylock popatrzył z niesmakiem na panią Greal, po czym ruszył w stronę drzwi.

- Dopilnuj, żeby się wykąpała - polecił.

- Ale...

- Rób, co ci każę.

Pani Greal wzdrygnęła się, sprawiając tym Melli chwilową przyjemność. Drzwi zatrzęsły się. Kobieta zwróciła się w stronę łoża.

- Znowu spadłaś na cztery łapy, co?

- Skąd się tu wzięłaś?

Pani Greal prychnęła pogardliwie.

- Żadna dziwka nie będzie mnie o nic pytać - Rozejrzała się po pomieszczeniu z miną właścicielki. - Powinni zostawić cię w wieży. Ten pokój jest dla ciebie za dobry. Piękne łoże, dywany... można by pomyśleć, że jesteś księżniczką, a nie największą dziwką w Brenie.

Melli ze wszystkich sił starała się zachować zdrowe zmysły. Miała wrażenie, że obudziła się pośrodku koszmaru. Baralis, Kylock, a teraz pani Greal. Kto będzie następny, zastanawiała się, Fiscel i kapitan Vanly?

Skupiła myśli.

- Skąd wiesz o wieży?

- To ja wybrałam tę celę. Piękne, nagie ściany. Bez żadnych ozdóbek, koców, czy świec. Dopilnowałam tego.

Uśmiechnęła się. Wyglądała obrzydliwie: brakowało jej dwóch przednich zębów.

- A więc Baralis powierzył ci opiekę nade mną? - ciągnęła Melli, która zdała sobie sprawę, że pani Greal z chęcią odpowiada na jej pytania, jeśli daje jej to szansę zademonstrowania swej władzy.

- Tak jest - potwierdziła kobieta z niemal zachwyconą miną.

- Powiedział, że mogę robić wszystko, co uznam za stosowne. Nie chciał mieć z tobą nic do czynienia. Trudno go o to winić.

Melli wsparła się o wezglowie. Obraz stał się jaśniejszy. To pani Greal odpowiadała za warunki, w jakich ją przetrzymywano, nie Baralis. On umył ręce od całej tej sprawy.

Poczuła się odrobinę rozczarowana, wmawiała sobie jednak, że wcale tak nie jest.

- Chyba bardzo ci ufa - odezwała się pośpiesznie.

Pani Greal nalewała sobie właśnie kielich wina. Jej nadgarstki pokrywały sterczące pod dziwacznymi kątami kostne narośla.

- Lord Baralis ma u mnie wielki dług.

- A z jakiego powodu?

Pani Greal odwróciła się błyskawicznie.

- Nie bądź taka wścibska.

Melli spróbowała innego podejścia.

- Z pewnością wyświadczyłaś mu wielką przysługę, jeśli powierzył ci tak odpowiedzialne zadanie.

- Masz mnie za głupią, moja panno? Zajmowałam się dziewczynami, kiedy jeszcze nie było cię na świecie. Znam wszystkie sztuczki w repertuarze takich zdzir, jak ty. Pochlebstwo to najprostsza z nich.

Nagle kielich wysliznął się jej z dłoni i wino splamiło suknię. Pani Greal przeszyła dziewczynę jadowitym spojrzeniem. Podeszła do łóża i postawiła przed nią puste naczynie.

Nadgarstek miała wyraźnie uszkodzony.

- Chcesz się dowiedzieć, jak się tu dostałam, co? - Pochyliła się nad łóżem i podsunęła Melli rękę pod nos. - Obejrzyj to sobie dokładnie, moja panno. To ci wszystko wyjaśni.

Dziewczyna nie dała się zastraszyć. Odepchnęła przedramię kobiety.

- Czyżby niezadowolony klient?

Pani Greal spoliczkowała ją zdrową dłonią. Głowa Melli odskoczyła do tyłu, uderzając w wezłowie. Choć cios nie był zbyt silny, gwałtowny ból zmałcił jej myśli. Uniosła powoli rękę i pomacała tył czaszki. Skrzywiła się, dotknąwszy bolesnego miejsca. Włosy miała sztywne od zeschniętej krwi.

- To twój ojciec mi to zrobił. - Pani Greal podsunęła jej rękę pod twarz. - Zęby też on mi wybił. Pozbawił mnie urody i władzy w ręce, a tego nigdy mu nie zapomnę.

Melli ukryła zaskoczenie. Widocznie Maybor dowiedział się o tym, co się stało w Duvitt! Poczowała czystą, złośliwą radość. Żeby wybić tej starej wiedźmie zęby, musiał jej zdrowo przywalić.

- I teraz chcesz wyrzucić na mnie swą żalosaną zemstę? - zapytała.

Pani Greal pogroziła jej kościstym palcem.

- Nie powiedziałabym, że wytropienie najbardziej poszukiwanej kobiety w Brenie jest takie żalodne.

- To ty nas znalazłaś?

- Twój ojciec zabawiał się w lokalu mojej siostry. No wiesz, ma słabą głowę.

- Ale udało mu się uciec? - rzuciła od niechcienia Melli, starając się ukryć, jakie to dla niej ważne.

- Ten stary sukinsyn ma szczęście jak sam diabeł.

Melli rozluźniła się nagle. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest spięta. Bolały ją wszystkie mięśnie i głowa, a serce tłukło się w klatce piersiowej jak oszalałe.

Nie miało to już jednak znaczenia. Nic jej się nie stało, dziecko żyło, a Mayborowi udało się zbiec.

- Od gorącej wody zaraz ci zniknie ten uśmieszek, moja panno - zapowiedziała pani Greal, kierując się do drzwi.

- Przynies choćby najgorętszą, kobieto - odparła Melli. - Żeby zabić córkę Maybora, trzeba by czegoś więcej niż wrzątek.

\*

- Tawł, wracaj do Brenu - zaproponował Jack. - Sam dotrę na Larn.

Znajdowali się w stajni. Nowe konie czekały już osiodłane i gotowe do drogi. Kosiarz tarł rozspane oczy. Przystojny syn oberżysty przyniósł zapasy, o które prosił Tawł, i właśnie teraz, na chwilę przed wyjazdem, Jack wystąpił z tą sugestią.

Rycerz codziennie dowiadywał się o nim czegoś nowego i za każdym razem musiał przyznawać, że nadal go nie doceniał.

Potrząsnął głową. Wolał na razie nic nie mówić. Potrafił rozpoznać szczerą chęć pomocy, lecz również nutę dobrze ukrytego strachu. Jack nie zdawał sobie sprawy, na co chciał się porwać. A może wiedział to? Nie chciałby znowu go nie docenić.

Złapał chłopaka za ramię i odciągnął w ciemne miejsce, ukryte za górą siana.

- Jack, nie mogę cię puścić na Larn samego.

- Czy wiesz, co mam tam zrobić?

- Nie.

- W takim razie na nic mi twoja pomoc - stwierdził spokojnie młodzieniec. - Równie dobrze możesz wrócić do Brenu i spróbować uratować Melli.

Słowa Jacka brzmiały rozsądnie, Tawł wątpił jednak, by chłopak w nie wierzył. On nie wierzył w nie z całą pewnością.

- To nie takie proste. Larn nie należy do miejsc, w które dobrze jest udawać się samemu.

- Ty to zrobiłeś.

- Tak. I spójrz, co mnie spotkało. Zamordowałem człowieka, który mógłby nam pomóc. - Głos Tawla przybrał twardszą nutę. - Nie mogę cię tam puścić samego, Jack. Będę ci towarzyszył.

Za drewnianą przegrodą zamuczała cicho krowa. Rycerz popatrzył na Jacka, który zastanawiał się już nad odpowiedzią. Wiedział, co od niego usłyszy, nie dał mu więc szans dojść do słowa.

- Jack, czy wiesz, co powiedział mi Bevlin na krótko przed śmiercią?

Chłopak potrząsnął głową.

- Mówił o nas dwóch. Rzekł: „Łączy was więź. Przeznaczone ci jest dopomóc w wypełnieniu się jego przeznaczenia”.

Te słowa wywołały w nim silny emocjonalny odzew. Dobrze pamiętał, jak Bevlin je mówił. Jego oczy błyszczały, głos miał pełen napięcia, a pierś falowała pod wpływem mocy proroctwa. Albowiem było to proroctwo, równie nieodparte, jak wiersz Maroda. Nie tylko życiem Jacka władały słowa nieżyjącego człowieka.

- Ale co z Melli, Tawl? - zapytał Jack. - Co się z nią stanie?

Powiedział dokładnie to, czego rycerz nie chciał usłyszeć. Znacznie łatwiej było stłumić obawy, gdy z nikim się nimi nie dzielił. Teraz Jack dał im wyraz głośno i otworzył

śluzę, wypuszczając nagromadzoną wodę.

Tawl kopnął wierzeje stajni.

- Nie wiem, co się stanie z Melli! - krzyknął. - Nie wiem. Nawet gdybym zawrócił

teraz do Brenu, po przybyciu na miejsce mógłbym się dowiedzieć, że już nie żyje. Jeśli wyruszę z tobą, ryzyko będzie jeszcze większe. Niech ci się nawet przez moment nie zdaje, że o niej nie myślę. To dla niej tu jestem. Dla niej budzę się co rano i dla niej oddycham. Jest jedyną osobą, która się dla mnie liczy. Oddałbym wszystko, żeby być teraz u jej boku. Ale nie mogę do niej wrócić. Muszę dotrzeć na Larn i doprowadzić tę piekielną sprawę do końca.

Wtedy i tylko wtedy Melli będzie naprawdę bezpieczna.

Gdy skończył, cały drżał. Skórę miał śliską od potu.

Jack nie mógł na niego patrzeć. Wbił wzrok w klepisko.

- Przepraszam cię, Tawl. Wiem, co czujesz do Melli.



- To dlaczego stoimy tu i marnujemy czas? Dosiadajmy koni i w drogę. - Tawł wiedział, że jego słowa brzmią brutalnie, czuł jednak potrzebę działania. Stajnia wydawała mu się więzieniem. - Chodź, Kosiarzu - zawołał, podchodząc do ostatniego wierzchowca. -

Pomożemy ci wsiąść.

Po pół godziny opuścili już miasto. Słońce jeszcze nie zaszło, lecz dla Tawła pora dnia nie miała większego znaczenia. Melli została na północy, a on zmierzał na południe.

Wszystko inne bladło wobec tego niezaprzeczalnego faktu. Musiał wierzyć, że nic jej się nie stanie do jego powrotu, że sam czas w jakiś sposób zatrzyma dla niego swój bieg. Tylko w ten sposób mógł zachować zdrowe zmysły i kierować konia naprzód, zamiast go zawrócić.

\*

Kylock słuchał słów lorda Guthry'ego, który niepokoił się działaniami podjętymi przez armię Highwall na jeziorze. Oblegający zbudowali potężną tratwę, umieścili na niej swój największy trebusz i cały dzień bombardowali północną część murów oraz sam pałac.

Dwie północne wieże uszkodzono. Również w kopulaste sklepienie, które było najsłabszym punktem pałacu, trafiło kilka dobrze wymierzonych pocisków.

W podobnych sytuacjach Kylock nigdy się nie zastanawiał, a po prostu reagował.

- W porządku. Chcę, żeby cieśle weszli dziś na dach i wznieśli nad kopułą drewniane rusztowanie, a potem wzmocnili je metalowymi płytami. Chcę też, żeby osłaniało ich dwustu łuczników. Co do tratwy...

- Na jutro zapowiadają burzę, panie. Fale będą zbyt wysokie, by mogła wypłynąć.

Kylock przeszył lorda Guthry'ego chłodnym spojrzeniem.

- Nigdy mi nie przerywaj - rozkazał. Wielmoża zaczął coś mówić, lecz uciszył go gestem dłoni. Nie był zainteresowany przeprosinami.

- Życzę sobie, żeby zniszczono ją dzisiejszej nocy. Jak rozumiem, problem polega na tym, że nasze pociski nie mogą jej dosięgnąć. Ich trebusz ma dwukrotnie większy zasięg niż nasze maszyny. Dlatego chcę, żebyś, gdy tylko się ściemni, wysłał na jezioro dwóch nurków.

Wezmą ze sobą oliwę do lamp i podpalą tratwę. Zrozumiano?

Wiedział, że dla nurków będzie to pewnym samobójstwem. Przeszył Guthry'ego wzrokiem, próbując go sprowokować do wyrażenia sprzeciwu.

Wielmoży zabrakło odwagi. Podszedł do biurka i nalał sobie kielich wina. Kylock zapamiętał sobie, którego pucharu użył i których mebli dotykał.

- Czy jest coś jeszcze, panie? - zapytał Guthry, przelknąwszy trunek.

- Tak. Otrzymałem dziś meldunek, że po powierzchni jeziora pływają tysiące śniętych ryb.

Lord Guthry skinął głową. Był roslym mężczyzną o czerwonej twarzy i siwiejących włosach, najbardziej zaufanym doradcą wojskowym zmarłego diuka.

- To prawda. Widziałem to dziś rano na własne oczy. Diabelnie dziwna sprawa.

- Nie sądzę, by było w tym coś dziwnego - rzekł cicho Kylock. - Jestem przekonany, że armia Highwall zatrąła wodę.

- To możliwe, panie. - Lord Guthry był z natury raczej ostrożny. - Najlepiej byłoby na wszelki wypadek ostrzec wszystkich, żeby przez kilka najbliższych dni nie czerpali wody ze studni. Potem trucizna się rozproszy. Nie ma możliwości, żeby zatruli całe jezioro. Co najwyżej wodę przy brzegu.

- Tak, masz rację - zgodził się Kylock. - Chcę, żeby ostrzeżono tylko wojsko - dodał

po chwili namysłu. - Nie ma potrzeby wywoływać w mieście paniki.

- Ale kobiety. Dzieci...

Kylock złapał za biurko i przewrócił je jednym szybkim ruchem. Dzban z winem i kielichy pospadały z trzaskiem na posadzkę, a karty papieru powoli opadły w dół.

Lord Guthry cofnął się o krok. Jego twarz pobladła.

Kylock zaczerpnął szybko tchu, spoglądając na leżące na podłodze puchary. Nie wiedział już, z którego pił gość. Trzeba będzie wyrzucić wszystkie.

- Zrób, co ci każe - rzekł spokojnym głosem. - Kobiety i dzieci nigdy jeszcze nie wygrały wojny.

Och, lord Guthry gorąco pragnął coś powiedzieć. Słowa niemal wrywały mu się z ust. Zachował jednak milczenie. Pokłonił się i wyszedł.

Dopiero gdy zamknął za sobą drzwi, Kylock zdjął rękawiczki. Po przewróceniu biurka w komnacie zapanował bałagan. Irytowało go to. By móc jasno myśleć, musiał się odwrócić plecami do walających się na posadzce kielichów i papierów. Ostatnio nawet najdrobniejszy przejaw nieporządku uniemożliwiał mu koncentrację. Wystarczała jedna drobina popiołu na ruszcie albo krzywa fałda zasłony, a nie potrafił myśleć o niczym innym.

Ludzie również drażnili go coraz bardziej. Wszyscy byli brudni i obrzydliwi. W

łapska, w które wycierali nos, brali kielichy; palcami, w które przed kilkoma minutami ujmowali organy płciowe, by oddać mocz, nasypywali sobie soli. Na każdej dłoni można było wyczuć smród seksu, potu i uryny.

Komnata cuchnęła oddechem Guthry'ego. Tym, co ostatnio jadł i pił, a także jego toczonymi powolnym rozkładem zębami. Kylock ledwie mógł to znieść. Nigdy już nie wpuści tego człowieka na swe komnaty.

Wszystko to miała powstrzymać Catherine. Piękna, niewinna Catherine. Nie była jednak niewinna. Była dziwką, tak jak każda kobieta. Zginęła śmiercią dziwki, a wraz z nią Kylock utracił nadzieję zbawienia.

Tak przynajmniej sądził do wczoraj.

Odwiedził Melliandrę tylko z ciekawości. Następnego dnia miała umrzeć i pomyślał, że byłoby interesujące ujrzeć w jej oczach strach. Nie zawiodł się. Była piękniejsza niż ją pamiętał. Choć udawała odważną, oczy miała wielkie z przerażenia, a jej dolna warga drżała.

Potem jednak zdarł z niej szaty i wszystko się zmieniło.

Blask ognia rozświetlił skórę dziewczyny, podkreślając wypukłość brzucha. Światło spowiło ją niby świętą figurę. Piersi urosły pod wpływem ciąży, a brzuch rozděło ukryte wewnątrz nowe istnienie. Była symbolem jedyne, co dobre w kobietach - ich zdolności odnawiania życia.

Dopóki pozostawała brzemienna, była ponad wszelkie niewieście przywary, czysta jak anioł. Oczyszcza ją siła natury. Kiedy już wyda na świat dziecko, uczyni to samo dla niego.

Gdy jej macicę uświęcą narodziny nowego życia, posiadzie ją i odrodzi się jak nowy. W jej osobie zesłano mu zbawienie. Wykorzysta ją po to, by zmyć z siebie grzechy matki.

Catherine go zawiodła. Śmierć matki przyjął dziwnie obojętnie. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebował teraz kogoś, kto się dla niego poświęci. Życie zaciskało wokół

niego swą pętlę. Ruchliwe i cuchnące, gnało go ku unicestwieniu. Musi zacząć od początku.

Nadać swej istocie nowy kształt.

Melliandra będzie naczyniem, w którym oczyści swą duszę. Życie jej dziecka potrwa krótko - nawet niejeden krok w tańcu losu - wystarczająco jednak, by uczyniło to, po co zostało poczęte. Oczyszcziło świętą drogę dla króla.

Jeżeli w życiu istniało coś gorszego niż podróżowanie, Kosiarz nigdy się z tym nie zetknął. Nie można też powiedzieć, żeby miał za mało czasu na to, by zapoznać się z zaletami życia wędrowca. Już od prawie dziewięciu tygodni dzień w dzień siedział na końskim grzbiecie za plecami Tawla, rankiem wypatrując nadejścia południa, a przez cały dzień oczekując na zapadnięcie zmroku. Nigdy w życiu nie spotkał się z niczym, co byłoby mniej zyskowne, pełniejsze niewygód i nudniejsze.

Tawl narzucił ostre tempo, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się w Toolay. Codziennie wstawali przed świtem, jechali szybko aż do południa, a potem drugą część dnia, aż po zmierzch, poświęcali na tę samą czynność. Miał już tego dość.

Gdyby podróżowali przez egzotyczne, obce krainy, nie byłoby może aż tak źle.

Podziwiałby krajobraz, nosiłby w kieszeni niezwykle stworzenia, a w plecaku nieznanne prowianty. Posuwali się jednak przez jałowy półwysep na północ od Rornu i nie było tu nic bardziej interesującego niż szczury ziemne i skały. Cóż można sądzić o mężczyźnie, który w kieszeni miał tylko wielkiego gryzonia i kawałek wapienia?

Już najwyższy czas, by dotarli do Rornu. Kosiarz był pewien, że jeśli szybko się tam nie znajdą, uderzy w kalendarz. A może mówiło się, kopnie w kalendarz? Tak czy inaczej, czekało go w najbliższej przyszłości spotkanie z kalendarzem, którego zapewne nie przeżyje.

Zgodnie ze słowami Szybciora, kieszonkowca mogło zabić nie tylko poczucie winy, lecz również brak praktyki. Zwykł mawiać: „Kieszonkowiec, który straci czucie w palcach, równie dobrze może rąbnąć się w głowę drewnianym młotkiem. Albo zaczekać, aż strażę zrobią to za niego”. Ta groźba nie pozwalała kieszonkowcom spać po nocach. Ten strach kazał im wychodzić na ulice bez względu na chorobę, czy niepogodę. Kieszonkowiec bez czucia w palcach po prostu nie mógł wykonywać swej pracy.

Kosiarz zamierzał poćwiczyć trochę w Toolay - zostać tam kilka dni i poświęcić się kradzieży, żeby uzupełnić topniejący zapas pieniędzy na czarną godzinę - Tawl jednak położył kres tym planom. Jedno wspomnienie o tym, że Melli grozi niebezpieczeństwo, i rycerz zmienił się w demona. Kazał im natychmiast opuścić miasto. Pogalopowali przez ulice, nie mówiąc nikomu „proszę” ani „dziękuję”. Odtąd cały czas zachowywał się tak samo. Jeśli natknęli się na rzekę, forsowali ją natychmiast, nie tracąc czasu na szukanie mostu. Jeśli widzieli rów, kazali koniom przez niego przeskakiwać, a jeśli gospodę, przejeżdżali obok niej, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Gdy spotykali innych wędrowców, Tawl pytał ich, czy mają jakieś wieści o wdowie po diuku, a dowiedziawszy się, że nie mają żadnych, spinał

konio i jechał dalej.

Nie mówił prawie nic. Nie tolerował niczego, co mogłoby opóźnić podróż. Nie było mowy o myciu, gotowaniu ani wypoczynku. Jechali konno i spali, to wszystko.

Dobrze chociaż, że od kilku tygodni nie niepokoili ich Skaythe. Tawl musiał

wymierzyć naprawdę nieźle, gdyż od owej nocy na urwisku nie widzieli już kulasa. Kosiarz bardzo się cieszył z tego faktu. Dopiero niedawno zdjął rękę z temblaka i nie miał

najmniejszej ochoty, by tam wróciła. Miał już na całe życie dość łubków, bandaży i temblaków. Jedyłą korzyścią, jaką przynosiło bycie rannym, była brandy, ale i jej zabrakło im dwa dni po opuszczeniu Toolay.

Podniósł wzrok na niebo. Późny ranek był wyjątkowo długą porą dnia. Kosiarz był pewien, że trwa już co najmniej pół doby.

Przeniósł wzrok na horyzont. Miał aż po dziurki w nosie błękitnego nieba, wschodnich wiatrów, skał, pagórków i pyłu. Chciał już skierować spojrzenie gdzie indziej, lecz nagle wypatrzył w oddali białą plamkę. Białą plamkę, a za nią ocean.

- Rorn! - krzyknął. - Tawl, to Rorn.

Rycerz skinął głową.

- Dotrzemy tam o zmierzchu.

Chłopcu trudno było w to uwierzyć. Przez kilka ostatnich dni minęli parę wiosek i spotkali na trakcie sporo ludzi, nic jednak nie przygotowało go na myśl o bliskości Rornu.

- Widok nie wydaje mi się znajomy, Tawl - zauważył.

- Tym razem podróżowaliśmy blisko brzegu, a kiedy stąd odjeżdżaliśmy, posuwaliśmy się środkiem półwyspu. Tam właśnie znajduje się większość miasteczek i wiosek. Tutaj są prawie wyłącznie wzgórza.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać.

Siedzący za plecami rycerza Kosiarz rozpromienił się. Odkąd zobaczył miasto, miał

ochotę zeskoczyć z konia i pobiec prosto ku morzu. Rorn był jego domem. Tam grasowali jego wspólnicy i urzędował Szybcior. Znał w tym mieście każdą ulicę, zaułek i wyłom w murach.

- Zatrzymamy się tutaj - zawołał Tawl do Jacka.

Czyżby było już południe? Co się stało z późnym rankiem? Kosiarz poklepał rycerza po ramieniu.

- Mógłbym przejechać jeszcze kawałek.

Tawl roześmiał się, po raz pierwszy od bardzo dawna.

- Albo tracę słuch, albo w nocy ktoś ukradł nam Kosiarza i zastąpił go tobą. Odkąd to chcesz spędzać więcej czasu w siodle?

Rycerz sprowadził konia ze szlaku. Po osłoniętej stronie wzgórza znajdował się porośnięty trawą obszar i Tawl skierował się w jego stronę.

- Nie zamieniły mnie skrzaty - zapewnił chłopiec, zsuwając się z konia. - Pomyślałem sobie tylko, że zrobię, co do mnie należy. Powiem ci jedno. To był ostatni dobry uczynek w moim życiu. - Kosiarz przerzucił zawartość worka, w którym zostało mu żałośnie mało dóbr, wydobyl czerstwy piernik i zaczął go przeżuwać. - Niektórzy naprawdę powinni nauczyć się wdzięczności.

Jack, który właśnie przywiązał konia do skały, podszedł do Kosiarza i wskazał na piernik.

- Masz w worku jeszcze jakiś? - zapytał.

- Biorąc pod uwagę, że prosisz mnie o to ty, a nie pewien niewdzięczny rycerz, który właśnie zdejmuję siodło z końskiego grzbietu... - Kosiarz zmiażdżył Tawla spojrzeniem -

...chyba coś znajdę. - Ponownie wsadził rękę do plecaka, i wydobyl z niego ostatnią jadalną rzecz, jaką miał przy sobie, nie licząc rzecz jasna ziemnego szczura. - Proszę bardzo. Jeśli zetrzesz z niego włosy, będzie czysty jak łza.

Jack otarł piernik o nogawkę.

- To znaczy, że nigdy tu nie byłeś?

- Nigdy. Poprzednim razem jechaliśmy z Tawlem inną drogą.

Kosiarz spojrzał w dal. Rorn z jakiegoś powodu przestał być widoczny.

- Czy ta droga jest szybsza?

- Nie zyskamy zbyt wiele - odezwał się Tawl, podchodząc do nich. Przyjrzał się uważnie Jackowi. - W linii prostej jest krótsza, ale trzeba się przebijać przez wzgórza. Druga trasa jest dłuższa...

- Ale spotyka się na niej ludzi - dokończył młodzieniec.

Tawl nawet nie próbował mu zaprzeczyć.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi.

- A czego mamy się wystrzegać? - wtrącił Kosiarz, który nie znosił owijania w bawełnę.

Znowu to samo! Jack i Tawl wymienili znaczące spojrzenia. Robili to zawsze, gdy tylko była mowa o niebezpieczeństwie. Kosiarz nie miał jednak zamiaru porzucić tego tematu. Mogli sobie na siebie spoglądać, aż im rzęsy powypadają. Jeśli coś im groziło, musiał

się o tym dowiedzieć.

- Kogo właściwie chcesz uniknąć, Tawl? - zapytał. - Skaythe'a?

- Tak - odparł rycerz ze wzruszeniem ramion.

- Jest w tym też coś więcej, prawda? - wtrącił Jack. - Nie chodzi o samego Skaythe'a, ale o to, jak udało mu się nas znaleźć. Ktoś mu powiedział, gdzie nas szukać.

Kosiarz miał wrażenie, że równie dobrze mógłby być niewidzialny. W jakiś sposób udało im się wyłączyć go z rozmowy, którą sam zaczął. Była to teraz sprawa między Tawlem a Jackiem.

Rycerz spojrział w stronę, z której przyjechali. Wzgórza ciągnęły się bez końca.

- Jeśli Skaythe żyje, znajdzie nas znowu. A jeśli zginął, wyślą kogoś innego.

- Baralis?

- I Larn. Zapewne ze sobą współpracują. - W głosie Tawla pobrzmiwało wywołane podróżą napięcie. - Widziałem tych jasnowidzów i wiem, czego potrafią dokonać. Ich moce to nie przesąd ani nie legenda. Są realne, a kapłani umieją je wykorzystywać.

- A więc będą nas tropić? - Ciebie, Jack. Będą tropić ciebie. - Tawl odwrócił się nagle do Jacka. - Dowiedzieli się już wszystkiego. Znają proroctwo Maroda, rozumieją jego sens i wiedzą, że wyruszyłeś w drogę. Wiedzą, że zamierzasz ich zniszczyć i nie będą na to biernie czekali.

Twarz Jacka pobladła. Kosiarz nie rozumiał, dlaczego Tawl przemawia do niego tak ostro.

- Nie jestem głupi, Tawl - stwierdził młodzieniec. - Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z ryzyka? A może uważasz, iż wybrałem się z tobą tylko dlatego, że szukam przygód?

Obaj mężczyźni z każdym słowem zbliżali się do siebie, aż wreszcie dzieliła ich tylko odległość oddechu.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego wyruszyłeś na tę wyprawę? - zapytał

Tawl.

- Dlatego, że musiałem. - Nastąpiła długa cisza. - Po to się urodziłem.

Kosiarz zadrzał. Wiejący od morza wiatr ciął ostro jak miecz. Nikt się nie ruszał. Jack i Tawl stali naprzeciw siebie. Kosiarz zaczynał rozumieć, co między nimi zaszło. To była próba. Tawl chciał sprawdzić Jacka.

Chłopiec wiedział wszystko o męskiej dumie i sytuacjach patowych. Wiedział, że żaden z mężczyzn nie zamierza się cofnąć. Szybcior powiedział mu kiedyś: „Jeśli ustąpisz komuś choć raz, całe życie będziesz tego żałował”. Tawl i Jack znaleźli się w takim właśnie impasie. Jeśli ktoś czegoś nie zrobi, będą tu stali, aż Rorn pochłona morskie fale. Kosiarz nie miał zamiaru do tego dopuścić. W żadnym wypadku. Zatopiony Rorn na nic mu się nie przyda.

Wsadził rękę do worka i wyciągnął z niego igłę do cerowania. Służyła chłopcu do otwierania

zamków, walki, sprawdzania złota i nabijania owadów. Nigdzie się bez niej nie ruszał. Podszedł do koni i uśmiechnął się słodko do wałacha Tawła.

- To za te wszystkie godziny tortur - wyszeptał, po czym wbił igłę w jego bok.

Wierzchowiec stanął dęba i zaczął wierzgać, kwicząc jak Świnia. Szarpnął głową do tyłu i zerwał wodze.

Impas został przerwany. Tawł rzucił się w stronę konia, a Jack podążył za nim.

Zwierzę pogalopowało w dół stoku.

- Popilnuję obozu - krzyknął Kosiarz, po czym poklepał wierzchowca Jacka po nosie, usiadł spokojnie i zaczął czekać.

\*

- Jego Wysokość odwiedził ją dziś rano, panie - oznajmiła pani Greal.

- Ile czasu z nią spędził? - zapytał Baralis.

- Niespełna godzinę.

Królewskiemu kanclerzowi nie podobało się to w najmniejszym stopniu. Kylock bywał u córki Maybora niemal codziennie, a to oznaczało kłopoty. Zaczął przechadzać się po komnacie, myśląc intensywnie. Okna zasłonięto żelaznymi okiennicami, przez co pomieszczenie pogrążyło się w ciemności. Na biurku paliło się kilka świec, lecz wypełniały one tylko półmrok cieniami.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś podczas jego następnej wizyty...

- Wytężyła słuch - dokończyła natychmiast pani Greal.

- Tak - potwierdził Baralis, starając się ukryć niesmak. - Chciałbym się dowiedzieć, co się między nimi dzieje.

- Mogę ci to powiedzieć już teraz, panie. Kylock ją bije. Dziewczyna zawsze ma potem podbite oko, siniaki na ramionach albo rozciętą wargę. - W głosie pani Greal pobrzmiwał ton niechętnego szacunku. - Trzeba przyznać, panie, że Jego Wysokość nie da się oszukać ładnej buzi.

- A co z tobą? Jak ty ją traktujesz?

- Już ja wiem, jak postępować z taką dziwką. Może sobie siedzieć w eleganckiej komnacie, ale pilnuję, żeby dostawała tylko niezbędne minimum. Żadnego ognia ani świec.

Jeden zimny posiłek dziennie.

- I jak to znosi?



- Nie da się ukryć, że twarda z niej sztuka. Jest chyba w piątym miesiącu. Brzuch już jej się zaczął powiększać. Urodzi pewnie gdzieś pośrodku zimy.

- Odejdź już - rozkazał Baralis. Nie lubił tej kobiety. Wiedziała o nim stanowczo zbyt wiele, a nie ufał jej w najmniejszym stopniu. Z jej słów wynikało, że szpiegowała już Kylocka i Melliandrę.

Pani Greal dygnęła w charakterystyczny dla siebie, przywodzący na myśl ruchy kraba sposób, uśmiechnęła się do kanclerza, jakby byli współnikami w spisku i opuściła komnatę.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, z sypialni wynurzył się Croke.

- Czy szczerbata kobieta już sobie poszła, panie?

Baralis skinął głową. Jego sługa również nie darzył pani Greal sympatią.

- Tak, możesz już wyjść. Dorzuć dREW do ognia i nalej mi trochę holku.

Croke trzymał właśnie w rękach swą drewnianą szkatułkę. Nim wykonał polecenie, wsunął ją pospiesznie pod bluzę.

Baralis usiadł przy kominku. Wrócił myślami do Kylocka. Król był coraz bardziej niezrównoważony. Miał obsesję na punkcie córki Maybora. Kanclerz pytał go o nią dwukrotnie: dzień po tym, jak przeniesiono ją z wieży, i w zeszłym tygodniu po raz drugi. W

obu przypadkach niewiele brakowało, by Kylock zaczerpnął czarów. Za pierwszym razem Baralis musiał się uciec do własnej mocy, by go powstrzymać. Król był silny, potężny. Czary spłynęły mu z języka i wypełniły powietrze. Szkodom zapobiegł jedynie szybki refleks Baralisa.

Narkotyk wyraźnie już nie wystarczał. Kylock używał go całe życie i specyfik przestawał na niego działać. Albo też młody król stawał się coraz potężniejszy.

Baralis powątpiewał, by Kylock wiedział, co robi, czerpiąc moc. Był to skutek gniewu, nie świadomej intencji, co samo w sobie było niepokojące. Młody monarcha nie mógł sobie pozwolić na to, by jeszcze bardziej zrazić do siebie mieszkańców Brenu.

Miasto dobrze znosiło oblężenie, lecz od sześciu tygodni wojska Highwall czyniły postępy. Najpierw zaatakowano północny mur pałacu, potem zatruto wodę w jeziorze, wczoraj zaś podpalono podkop, wskutek czego zawalił się znaczny fragment muru kurtynowego. Dzięki Tavaliskowi Highwall nie brakowało najemników, broni i zapasów.

Wskazówki, które otrzymywał na Larnie Baralis, pozwalały przechwytywać jakieś trzy czwarte dostaw, reszta jednak wystarczała, by oblegająca armia nie musiała wracać do domu.

A Breńczycy okazywali coraz większe zaniepokojenie. Królewska Straż regularnie przeczesywała miasto w poszukiwaniu zdrajców, nie przejmując się zbyt kwesiją winy czy dowodów. Żywności brakowało, a jej ceny wzrosły dziesięciokrotnie. W ostatnim miesiącu kilkuset ludzi zmarło wskutek spożycia zatrutej wody z jeziora. Wybuchł skandal, który doprowadził do stracenia lorda Guthry'ego.

Najwyraźniej otrzymał on rozkaz, by przed niebezpieczeństwem ostrzeżono jedynie zdolnych do walki mężczyzn. Och, Baralis świetnie się orientował, kto naprawdę stał za tym rozkazem, dopilnował jednak, by nie dowiedział się o tym nikt inny. Kylocka trzeba było za wszelką cenę chronić przed niesławą.

Królewski kanclerz podszedł do biurka i podniósł list, który czytał przed przyjściem pani Greal. Jego autorem był Tyren, wódz rycerzy z Valdis. Wyrażał w nim zaniepokojenie moralnym tonem przywództwa Kylocka. Miał pewne trudności z przekonaniem swych braci, by służyli sprawie monarchy, o którym krążyły pogłoski, jakoby porwał kobietę mającą urodzić prawowitego dziedzica diuka.

Poza Brenem szybko zapomniano, że to obóz Melliandry był odpowiedzialny za zamordowanie diuka i jego córki. Baralis wrzucił list do ognia. Tyrenowi trzeba będzie przypomnieć o pewnych faktach.

Wódz rycerzy nie dbał jednak o kwestie moralne. Liczyły się dla niego wyłącznie pieniądze i władza. Dlatego właśnie napisał ten list. Był to jedynie wstęp do właściwej rozgrywki. Tyren chciał renegocjacji porozumienia, które zawarli w Brenie przed trzema miesiącami. Złupił już doszczętnie Halcus i zagarnął wszystkie dobra tamtejszego kościoła, a teraz chciał więcej. Więcej złota, wpływów i wszystkiego, co byłoby dla niego użyteczne.

Helch nie zaspokajał już jego ambicji.

Baralis zatarł obolałe dłonie. Piętrzyło się przed nim zbyt wiele zadań. Należało zorganizować drugie spotkanie z Tyrenem, mieć na oku Kylocka, odeprzeć oblegającą miasto armię Highwall i uważnie obserwować Bren, by stłumić w zarodku wszelkie próby buntu. Jak dotąd Kylock dobrze sobie radził ze zwolennikami Melliandry - nic nie zamykało ust kandydatom na zdrajców skuteczniej od szubienicy - lecz sam fakt, że musiał się uciekać do publicznych egzekucji, mówił wiele. Breńscy nie darzyli go miłością.

Baralis westchnął, lecz niezbyt głęboko. Musiał się również uporać z drugą stroną wydarzeń: odnaleźć i zlikwidować piekarczyka. Skaythe jechał za nimi, jednak spóźniony o ponad tydzień, a to znaczyło, że Jack i jego mała grupka mogą przybić do brzegów Larnu, nim brat Blayze'a zdoła dotrzeć do Rornu.

Ostatniej nocy skontaktowali się z nim larnieńscy kapłani. Zaczęła ich ogarniać panika.

Wiedzieli, że Jack ruszył już w drogę i rozpaczliwie błagali o pomoc. By zapewnić sobie współpracę Baralisa, zdradzili mu wiele tajemnic. Wiedział teraz, którego dnia rozpoczną się w górach zimowe śnieżyce, znał najważniejszy słaby punkt obrony Ness, otrzymał

informację, że zimą, podczas pierwszej odwilży, w Helchu wybuchnie powstanie, a także dowiedział się, kto jest odpowiedzialny za niedawną zmianę taktyki oblegających: Maybor.

Przez jedną noc usłyszał od nich więcej niż w ciągu sześciu miesięcy nieustannych słownych utarczek.

Uśmiechnął się, czując docierające do jego nosa opary holku. Przekona się, w jaki sposób będzie się mógł im odwdzińczyć.

Drzwi się otworzyły. Królewski kanclerz wstał z krzesła, nim jeszcze zobaczył, kto za nimi stoi. Tylko Kylock ośmielał się wchodzić do jego komnat bez pukania.

- Ach, Baralisie, widzę, że podeszły wiek zmusza cię do grzania się przy ogniu.

Kylock wszedł do środka zamaszystym krokiem. Pochodził trochę po komnacie, po czym stanął przy biurku. Rzadko gdziekolwiek siadał.

Dziś nie miał na dłoniach rękawiczek, a jego skórzane buciory były mokre. Ich podeszwy zostawiały na dywanie ciemne ślady, co zapewne znaczyło, że Kylock przed chwilą wyszedł z lochów. Baralis wiedział, że lepiej go nie pytać, czym się tam zajmował.

Nie chciał ani nie musiał znać szczegółów.

- Słyszałem, że znów odwiedziłeś dziś Melliandrę.

- Nie jesteś moim stróżem, Baralisie. Będę się widywał z kim zechcę.

W jego głosie zabrzmiała ostra nuta i królewski kanclerz postanowił na razie nie drażnić tej kwestii. Po wczorajszej rozmowie z Larnem był zbyt osłabiony, by poradzić sobie z gniewem Kylocka.

- Otrzymałeś pismo, które ci wysłałem? - zapytał, zmieniając temat.

- Tak. Właśnie dlatego tu jestem. - Nalał sobie kielich wina, lecz Baralis wiedział, że go nie wypije.

- Czekałem na wiadomość o zimowych śnieżycach.

- Dlaczego?

Kylock uśmiechnął się lekko, obrzucając kanclerza bystrym, pełnym wyrazu spojrzeniem.

- Według naszych przyjaciół z Larnu, pierwsza śnieżycyca rozsiale się w górach za dwa tygodnie. Śnieg i lód na wiele miesięcy zablokują przełęcze. Warunki staną się tak trudne, że żadna armia nie zdoła przekroczyć gór. Jeszcze dziś wyślę do moich wojsk w Annisie rozkaz natychmiastowego wymarszu do Brenu. Już od kilku tygodni pozostają w stanie gotowości i mogą natychmiast wyruszyć w drogę. Zdążą akurat przed śnieżycami. -

Uśmiech pojawił się znowu. - Anniska armia z pewnością spróbuje podążyć za nimi -

kontynuował Kylock - lecz nie jest przygotowana i nim będzie zdolna do marszu, minie co najmniej tydzień, a wtedy przełęcze będą już zamknięte, co zmusi ją do spędzenia zimy w domu. Natomiast wojska królestw przybędą do Brenu, gdzie oskrzydlą, a potem rozbiją siły Highwall.

Plan był prosty i genialny. Baralis od dość dawna zadawał sobie pytanie, dlaczego Kylock rozkazał swym wojskom obozować pod Annisem. Teraz już znał na nie odpowiedź.

Król czekał na okazję, która pozwoli mu izolować anniską armię na jej własnym terenie. Do tej pory nie mógł wydać swym oddziałom rozkazu wymarszu w obawie, że siły Annisu i Highwall wezmą je w kleszcze.

Kylock nie przestawał się uśmiechać. Świetnie zdawał sobie sprawę z własnej błyskotliwości.

- Gdy tylko żołnierze królestw przekroczą góry, chcę, żeby armia Brenu przystąpiła do bardzo zdecydowanego ataku na wroga. Oblegający poświęcą całą uwagę obronie i nawet nie zauważą zbliżania się naszych sił. Kiedy ci wreszcie znajdą się w zasięgu wzroku, obrońcy Brenu wyjdą zza osłony murów i stoczą z armią Highwall walną bitwę. Wróg nie będzie miał

szans. Przed sobą będzie miał Breńczyków, na wschodzie czarne hełmy, za plecami góry, a z zachodu nadciągną wojska królestw. Nastąpi rzeź - nie będziemy brać jeńców, nie okazemy litości ani nie damy nieprzyjacielowi szansy ucieczki. - Kylock odstawił nietknięty puchar i spojrzał wprost na Baralisa. - I co o tym sądzisz, kanclerzu?

- Sądzę, że za niespełna rok cała północ będzie należała do nas - odparł Baralis. Był

przekonany, że faktycznie tak się stanie. Kylock miał wiele wad - był niezrównoważony, nieracjonalny i przesadnie okrutny - lecz jako strateg był geniuszem. Nikt w Znanych Krainach nie mógł się z nim równać. Baralis od miesięcy nie czuł się tak pewnie, jak w tej chwili. - Sprawię, by twe rozkazy zaniósł orzeł, panie - zapowiedział.

\*

Jack poklepał Kosiarza po barku.

- Chcę dostać to samo, co on - powiedział usługującej im dziewczynie.

- Bardzo rozsądnie, Jack. Bardzo rozsądnie.

Kosiarz się rozpromienił. Dziewczyna też. Tylko Tawl nie okazywał wesołości. Jego uwagę zaprzętało co innego. Kącikiem oka obserwował dwóch mężczyzn siedzących w głębi gospody.

- Życzysz sobie placek z kruszonką czy z rzepą, panie?

Jack popatrzył na kieszonkowca, który odpowiedział za niego.

- Z kruszonką, panienko. Mój przyjaciel chciałby się w nocy trochę przespać.

Młodzieniec nie prosił Kosiarza, by mu wyjaśnił, dlaczego rzepa powoduje bezsenność. Zajął się obserwacją dwóch mężczyzn, którzy przyciągnęli uwagę Tawla.

Tawerna „Pod Różą i Koroną” była wielka i ruchliwa. Przybyli do miasta już po zmierzchu i choć Jack nie widział jeszcze morza, wyczuwał jego bliskość. W pomieszczeniu roiło się od smagłych mężczyzn o twarzach poczerwieniałych od soli i wiatru. Domyślał się, że to marynarze. Ludzie, którym przyglądał się Tawl, nie przypominali jednak reszty klientów. Nie tylko mieli jaśniejszą

skórę, lecz również byli wyżsi i trzymali się prościej.

Podobnie jak Tawl, obserwowali uważnie wszystkich, choć starali się nie odrywać wzroku od kufli.

Dziewczyna przyniosła piwo. Z wielkiego cynowego dzbanka skapywała piana.

Kosiarz napełnił kufle ze zręcznością godną syna oberżysty.

Przybyli do Rornu przed niespełną godziną. Gdy tylko minęli bramę miejską, Tawl kazał im ruszyć w stronę portu. Słońce zaszło szybko i większą część drogi pokonali po ciemku, Jack nie miał więc okazji wyrobić sobie opinii o najślawniejszym mieście południa.

Zauważył tylko, że cuchnie raczej paskudnie, a budynki nie są bynajmniej tak białe, jak wyglądały z daleka. Po ulicach kręciło się też mnóstwo osób o podejrzanym wyglądzie, wśród których było sporo kobiet.

Tu jednak jedyną kobietą była ta, która przyniosła im piwo.

Jack przesunął kufel Tawla bliżej siebie.

- Czy powinienem mieć nóż pod ręką? - zapytał półgłosem.

Rycerz uniósł naczynie do ust.

- Zawsze miej go pod ręką, Jack - powiedział, nim pociągnął łyk. Otarł pianę z ust, po czym zwrócił się w stronę Kosiarza. - Zapytaj oberżystę o pokój na noc i stajnię dla koni.

Chłopiec się zawahał.

- I to już.

Kosiarz wykonał polecenie, zaciskając wargi z oburzenia.

Ten z dwóch nieznanomych, który miał jaśniejsze włosy, wstał z krzesła. Patrzył

prosto na Tawla. Jack ścisnął nóż w spoczonej, ukrytej pod blatem dłoni. Mężczyzna ruszył ku nim. Był wysoki i dobrze zbudowany. Ani na moment nie odrywał wzroku od rycerza. Dłonie miał puste, lecz prosto zwisająca bluza świadczyła, że ukrywa pod nią broń. Zatrzymał się niespełna piędź od stołu. Choć Jack nie dotykał przyjaciela ani na niego nie patrzył, wyczuwał jego napięcie. Biła od niego woń gotowego do walki zwierzęcia.

Mężczyzna rozejrzał się wokół.

- Czy Tyren kazał ci nas pojmać? - wysyczał.

Tawl nawet nie drgnął.

- Dlaczego miałby to zrobić? Jesteście dezserterami?

- A ty?

Jack nie rozumiał, co się tu dzieje. Zaczynał podejrzewać, że jasnowłosa mężczyzna i jego towarzysze są rycerzami, nie wyjaśniało to jednak ich słów.

Obaj rozmówcy nadal okazywali nieufność.

- Co robisz w mieście, w którym traci się wszystkich pojmanych rycerzy? - zapytał nieznajomy.

- To samo, co wy. Jestem tu przejazdem.

- A dokąd się wybierasz?

- To nie twój interes. - Tawl pochylił się lekko. - O twoje motywy chyba nie muszę cię pytać.

Nieznajomy popatrzył przelotnie na towarzysza. Jego spojrzenie wyraźnie mówiło:

„Miej się na baczności”.

- Czy w ciągu ostatnich pięciu miesięcy byłeś w Helchu? - zapytał.

Tawl potrząsnął przecząco głową.

- W takim razie tylko ci się wydaje, że znasz moje motywy - rzekł nieznajomy cichym, ochrypłym głosem. - Nie będzie mnie osądzał nikt, kto siedzi sobie wygodnie na południu, podczas gdy na północy szaleje wojna.

Mężczyzna poruszył się nagle.

Tawl wyciągnął rękę i złapał go za ramię. Nieznajomy próbował wyrwać się z uścisku, szarpiąc gwałtownie trzymającą go dłoń.

- Wracaj do stolika, bracie - powiedział mu. - Masz rację. Nie mam prawa nikogo osądzać. Nie chcę też z tobą walczyć.

Mężczyzna wyszarpnął rękę.

- Tyren morduje duszę Valdis - oznajmił. - A ciało bez duszy trzeba głęboko pochować w nie oznaczonym grobie.

Patrzył przez chwilę Tawlowi w oczy, po czym odwrócił się i odszedł. Jego towarzysz wstał z krzesła i razem opuścili tawernę.

Jack dygotał. Powietrze było gęste od silnych emocji: dumy, goryczy, wstydu.

Spojrzał na Tawla. Rycerz spuścił wzrok. Złote włosy opadły mu na twarz. Powoli, bardzo powoli, potrząsnął głową.

- Czy doszło już do tego? - zapytał głosem cichym jak dziecko. - Rycerze wymykają się z Valdis, jakby uciekali z więzienia?

Jack wiedział, że przyjaciel nie mówi do niego, musiał go jednak o coś zapytać.

Musiał zrozumieć.

- Ci ludzie byli rycerzami, takimi jak ty?

- Nie takimi jak ja. Nie. - Nie uniósł wzroku, zdobył się jednak na gorzki uśmiech. -

Ale z drugiej strony, może i takimi. Ostatecznie, zdezerterowałem z rycerstwa przed nimi.

- To znaczy, że są dezerterami?

Tawl skinął głową.

- Tak. Myśleli, że wysłano mnie po to, bym ich pojmał. - Gorzki uśmiezek przerodził

się w ironiczny śmiech. - Mnie. Jedyne go człowieka w całym rycerstwie, który nie jest godny stać w cieniu Valdis. Zdrajca miałby ścigać zdrajców.

- Ten rycerz, który przed chwilą wyszedł, nie wyglądał mi na zdrajcę - zaprotestował

Jack. - Wydawał się raczej człowiekiem pozbawionym nadziei.

W pierwszej chwili wyglądało na to, że jego słowa nie wywarły na Tawlu żadnego wrażenia, gdyż rycerz nie próbował mu odpowiedzieć. Stojąca na środku stołu świeca dopalała się już. Ciekły wosk spłynął po blacie niczym strumień połyskliwych klejnotów.

Obaj przyglądali się w milczeniu, jak się zestala, nabiera mlecznej barwy i matowieje.

Tawl odgarnął włosy z czoła, spoglądając w kierunku, w którym oddalili się dwaj rycerze.

- Mówisz, pozbawionym nadziei?

Jack był podenerwowany, nie wiedząc właściwie dlaczego. Nagle stało się bardzo ważne, by udzielił właściwej odpowiedzi.

- Gdybyś jeszcze był w rycerstwie, jakbyś się czuł, gdyby kazano ci walczyć po stronie Kylocka?

- Zrobiłbym to, czego zażądałby ode mnie Tyren. Wierność jest nicią, która spaja rycerstwo.

Świeca zamigotała i zgasła. Wosk wypalił się do cna. Płomień najpierw zmienił kolor z żółtego na pomarańczowy, potem na czerwony, a wreszcie zgasł, zostawiając jedynie cienką smużkę unoszącego

się ku sufitowi dymu.

- Nie pytałem, co byś zrobił, tylko jak byś się czuł.

Jack rozpaczliwie pragnął się napić. W ustach miał sucho jak na pustyni. Nie odważył

się jednak sięgnąć po kufel. Nawet najdrobniejszy ruch mógłby zniszczyć to, co działo się między nim a Tawlem.

Rycerz po raz pierwszy spojrział wprost na niego. Jego niebieskie oczy lśniły - Jack nie wiedział, od wspomnień, czy od łez.

- Masz rację, przyjacielu - przyznał. - Czułbym się jak człowiek pozbawiony nadziei.

- Ale ty nie jesteś taki, jak ci dwaj. Sam potrafisz stworzyć własną nadzieję - Jack nachylił się bliżej.  
- Wspólnie możemy to powstrzymać. Nie wszystko, co dobre, musi zginąć.

Może rycerstwo odzyska jeszcze chwałę, a na północy zapanuje pokój.

- Jack, jesteś młody. Nic nie rozumiesz.

- W takim razie wytłumacz mi to.

Tawl poruszył lekko dłonią w bezradnym geście.

- Wódz rycerstwa, człowiek, przed którym uciekali ci dwaj, był dla mnie jak ojciec.

To Tyren ściągnął mnie do Valdis. Uczynił mnie tym, kim jestem. Inni mnie odrzucali i wyśmiewali, lecz na jego wsparcie zawsze mogłem liczyć. Gdy myślałem, że moje życie się skończyło, dał mi powód, by żyć dalej. Jakim człowiekiem bym się stał, gdybym zwrócił się teraz przeciw niemu? - dokończył Tawl bliskim załamania głosem.

Serce chłopaka waliło szybko. Słowa Tawla głęboko go poruszyły. Kryły się w nich całe światy. Tragedia, prawda i kłamstwa. Jack lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, że wszyscy ludzie mają dwa oblicza. Mogli dokonywać dobrych uczynków i mówić piękne słowa, a jednocześnie tworzyć wokół siebie fałszywy obraz. Tarissa, Rovas, Stillfox, nawet jego matka - wszyscy oni oszukiwali go z uśmiechem.

- Zwykłym człowiekiem, Tawl - odrzekł. - Rycerz, który z tobą rozmawiał, nie był

kłamcą. Nie był zdrajcą. Po prostu rozwiały się przed nim złudzenia. Na pewno w swoim czasie wierzył w Tyrena tak samo, jak ty.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Jack?

- To, że jeśli nawet Tyren był dla ciebie dobry, to jeszcze nie znaczy, że nie może być złym człowiekiem.



Tawl uśmiechnął się, tym razem bez goryczy.

- Można by pomyśleć, że wiesz o czym mówisz.

Jack potrząsnął głową. Nie chciał z tego robić sprawy osobistej. Nie w tej chwili.

- Na pewno wiem tylko tyle, że obaj stoimy po przeciwnej stronie niż Tyren. On walczy przeciw Melli, a to czyni go naszym wrogiem. - Jackowi przypomniało się nagle coś, o czym pod wpływem chwili niemal zapomniał. - Gdy zobaczyłeś tych rycerzy, pomyślałeś, że Tyren rozkazał im zamordować nas obu. Dlatego odesłałeś Kosiarza.

Tawl nie zaprzeczył. Wstał z krzesła.

- Dziś rano wyjaśniłeś mi, dlaczego zgodziłeś się wyruszyć na Larn. Powiedziałeś, że po to się urodziłeś. Pozwól, że powiem ci, po co ja się urodziłem. Po to, by służyć. Najpierw matce, potem siostrze, wreszcie Tyrenowi. A teraz Melli. Nie jestem głupi, Jack. Wiem, że Tyren jest moim wrogiem. Jeśli okaże się to konieczne, stanę z nim nawet do walki. Dowiedz się jednak jednego. Dopóki nie ujrzę na własne oczy dowodów jego winy, nie chcę już słyszeć przeciw niemu ani słowa. - Zaczął się oddalać. - Jeśli się komuś służy, nie można go odrzucać tylko dlatego, że wzięło się na siebie nowe zobowiązanie.

Jack patrzył, jak jego przyjaciel zmierza do drzwi. Pewnie poszedł poszukać Kosiarza.

Sięgnął po kufel *ale*. Przełknął resztę płynu, po czym również opuścił tawernę. Rycerz mógł być mądrym człowiekiem, lecz jednej rzeczy musiał się jeszcze nauczyć.

Jak zwykle, zdrapała tłuszcz z chleba. Pani Greal nie dawała jej masła, musiała więc zadowalać się tym, co dostawała. Sądząc po zapachu, dziś był to łój z boczku. Uniosła suknię i wtarła go sobie w brzuch. Rozciągnięta, napięta skóra szybko wchłaniała tłustą substancję.

Podczas pracy przemawiała do ukrytego wewnątrz dziecka. W delikatnych, bezsensownych słowach wyrażała bardzo wiele miłości. To była jej ulubiona pora dnia. Było jeszcze zdecydowanie zbyt wcześnie na wizytę pani Greal albo Kylocka, mogła więc spokojnie siedzieć na nie wyściełanym krześle z ramionami owiniętymi szalem, i wyobrażać sobie, że wkrótce uratuje ją Tawl.

Właściwie było to dziwne. Całe życie uważała, że ludzie, którzy oddają się marzeniom, są słabymi, bezmyślnymi głupcami. Teraz rozumiała, że była w błędzie. W

marzeniach można było znaleźć siłę. Mnóstwo siły. A gdy w jej życiu nie pozostało już nic poza przemocą i strachem, siła czerpana z wyobraźni wystarczała, by się nie poddać.

Siedziała więc, wcierała tłuszcz w skórę i marzyła. Jeśli była ostrożna i nie spoglądała na dłonie, nogi ani ramiona, czasami udawało się jej zapomnieć, gdzie się znajduje.

To zdumiewające, ile mogło znieść jej ciało. Wyglądało na to, że ciąża dodaje mu sił.

Jeśli Kylock wiązał jej nadgarstki, co robił często, otarcia po sznurach goiły się w niespełna dwa dni. Oparzenia po płynnym wosku utrzymywały się dłużej, lecz siniaki często znikwały już nazajutrz. W tej chwili po wewnętrznej stronie prawej dłoni miała maleńkie oparzenie, a jedna z kości prawego nadgarstka opuściła właściwe miejsce.

Nie wiedziała, czy ma sińce na twarzy. W komnacie nie było zwierciadła. Jeśli jednak nawet je miała, nie było to winą Kylocka. On nigdy nie bił jej po twarzy. Robiła to tylko pani Greal.

Twarz i brzuch były dla Kylocka nietykalne.

Rygiel zgrzytnął cicho. Melli opuściła suknię, wycierając resztkę tłuszczu w rąbek.

Brzuch skurczył się jej nagle i dziecko zaprotestowało przeciw temu gwałtownymi kopniakami. Bez względu na to, jak zdrowa się czuła, jak wiele sił dodawały jej marzenia, odgłos otwieranych drzwi natychmiast odbierał jej odwagę.

Do środka wszedł Kylock. Melli natychmiast zauważyła, że umysł ma jasny, gdyż jego oczy lśniły bystro jak u lisa.

- Dzień dobry, mój skarbie - powiedział.

Nikt nie poruszał się tak, jak on. Przypominał tańczącego z nożami. Był pełen gracji, ostrożny i śmiertelnie groźny.

W ciągu ostatniego miesiąca Melli poznała go dobrze. Wiedziała, co mówić, a czego nie mówić. Znała jego nastroje i potrafiła je rozpoznawać.

Wiedziała, czego od niej oczekuje.

Było jeszcze bardzo wcześnie i miał na sobie piękny strój, nie przeleje więc krwi.

Założył rękawiczki - jedwabne, nie skórzane - istniała więc możliwość, że jej dotknie. Splotła ręce na brzuchu i pochyliła głowę w geście powitania.

- Cieszę się, że zechciałeś mnie dziś odwiedzić.

Te słowa bolały ją niczym sól wcierana w ranę. Krzywdziły jej dziecko, poniżały ją i znieważały pamięć ojca, lecz mimo to wypowiadała je. Tak jest, wiedziała, czego chce Kylock. Zdawała sobie też sprawę, że, by ocalić życie, musi spełniać jego żądania. W

przeciwnym razie, zginęłaby w niespełna godzinę.

Nie wątpiła, że jest obłąkany. Szaleństwo zaprowadziło go na mroczne i kręte ścieżki.

Owej nocy w wieży, gdy lampa spadła na podłogę i sitowie stanęło w ogniu, z jakiegoś powodu stała się dla niego światłem przewodnim na mrocznym szlaku obłądu. Uważał, że jest mu potrzebna. Że może go ocalić. Nie zorientowała się jeszcze, na czym polega jego plan, wiedziała jednak, że jej ciąża jest dla niego ważna. Dotykał jej brzucha tylko po to, by poczuć ukryte wewnątrz dziecko.

Nie tylko Kylock miał plan. Melli przygotowała własny. Wiedziała, że nie ma szans ucieczki. Armia Highwall nie przyjdzie jej na ratunek, choć ojciec z pewnością będzie próbował. Strzegli jej dzień i noc, drzwi zawsze były zamknięte, a z komnaty jej nie wypuszczano. Jediną nadzieją był dla niej Tawl. Gdy obaj z Jackiem wykonają oczekujące ich na południu zadanie, wróci, by ją uratować. Nie powstrzyma go nic ani nikt: mury obronne, oblegające miasto armie, Kylock, czy nawet Baralis.

Musiała tylko ocalić życie, doczekać jego powrotu.

A ponieważ tylko Kylock nie pozwalał Baralisowi jej stracić, będzie go tolerowała, zachęcała, a nawet szanowała. Zrobi wszystko, co tylko okaże się konieczne.

Podszedł bliżej i ukląkł przy niej. Ujął jej dłoń, odwracając ją, by obejrzeć poparzenie.

- Czy ból pozwolił ci widzieć jaśniej? - zapytał.

Wiedziała już, że to pytanie jest pułapką. Jeśli odpowie „nie”, Kylock zada jej nowy ból, raniąc inną część jej ciała. Jeśli odpowie „tak”, czeka ją więcej tego samego.

Uśmiechnęła się ponuro. Przynajmniej pozwalał jej na wybór.

Przeklinała własną dłoń za to, że drży, i serce za to, że bije tak szybko. Zaczerpnęła tchu, by się uspokoić, po czym wyciągnęła rękę przed siebie, żeby dłoń znalazła się jak najdalej od brzucha. W

bezpiecznej odległości.

- Ból rozjaśnia moje myśli, panie - stwierdziła. - Ostatniej nocy wyraźnie ujrzałam wszystkie megrzechy, posegregowane i wyposażone w karteczki, jak okazy przechowywane w słoikach.

To zdumiewające, jakie bzdury potrafił spłodzić jej umysł. Spojrzała szybko na Kylocka, który skinął głową, a potem wstał. Nie odwracając głowy, wiedziała, że sięga po stojącą przy łożu świecę. Pani Greal pozwalała Melli ją mieć, lecz nie chciała dać jej nic, czym mogłaby ją zapalić. Kylock zawsze przynosił ze sobą krzesiwo.

Skrzeszał ogień. Melli zamknęła oczy. Zawładnął nią dziecinny lęk przed poparzeniem, bólem i potworami. Jego żołądek skurczył się gwałtownie, a całe ciało zaczęło dygotać.

Kylock podszedł bliżej, trzymając w dłoni jasno płonąca świecę. Jego oczy traciły już wyraz.

Melli zapiekło gwałtownie w gardle. Przełknęła z wysiłkiem ślinę, skupiając wszystkie myśli, koncentrując się na tym, co nadawało sens pełnemu udręki szaleństwu, w jaki przerodziło się jej życie.

Sił dodawały jej nie tylko marzenia, lecz również dziecko.

\*

Do portu nie było daleko, lecz w jakiś sposób udało im się po drodze zgubić Kosiarza.

Jack pomyślał, że jak na poranek, jest z pewnością bardzo ładnie. Według jego obliczeń, na północy zbliżała się już zima, lecz w Rornie bryza była co najwyżej chłodna.

Niebo było błękitne i pełne mew, a słońce wielkie i złociste. W porcie panował ożywiony ruch. Ludzie, świnie, skrzynie i osły potracali się nawzajem, rywalizując o miejsce na drodze.

Śmierdziało tu jak w kanale, a widoki były tak liczne, że Jack nie wiedział, na co skierować spojrzenie.

Jeśli jednak musiał wybierać między łodzią a ładną dziewczyną, decyzja nie sprawiała mu większych trudności.

Przed niespełna kwadrans opuszczili tawernę we trzech, a teraz, gdy zbliżali się do nabrzeża, za ich plecami widać było tylko dwa cienie.

Gdy Tawl się zorientował, że Kosiarz zniknął, wrzucił ramionami.

- Kiedy znów go zobaczymy, będzie nam potrzebny wózek, żeby załadować jego łupy.

Wyglądało na to, że chłopiec postanowił zająć się trochę kradzieżą, a Tawl nie ma nic przeciwko temu.

Rycerz był dziś rano jeszcze bardziej zamknięty w sobie niż zwykle. Twarz miał pełną napięcia, w słowach był skąpy, a w ruchach maksymalnie oszczędny. Sądząc z podkrążonych oczu, incydent, do którego doszło wczoraj w tawernie, nie pozwolił mu spać. Jack chętnie zapytałby go, jak się czuje, wiedział jednak, że jego przyjaciel nie lubi się zwierzać. Nie mógł

nie podziwiać go za to, że wciąż wierzy w Tyrena, choć zdawał sobie sprawę, że owa iluzja wkrótce pryśnie. Nic nie było trudniejsze niż zachowanie wiary wbrew wszelkim dowodom.

Kopnął deski nabrzeża. On nie dokonał tej sztuki. Przestał wierzyć w Tarrisę. Gdy tylko się dowiedział, że uczyniła coś złego, potępił ją, ukarał i opuścił. Gorzko teraz tego żałował. Był zbyt surowy, osądził ją nazbyt pochopnie. Dostrzegął tylko biel i czerń, bez żadnej szarości.

Tawl klepnął go w ramię.

- Tędy - powiedział.

Jack cieszył się, że przyjaciel wyrwał go z zadumy. Myślenie o Tarrisie było niebezpieczne. Żal był niebezpieczny. Dopóki ta podróż się nie skończy, musi zostawić przeszłość w spokoju. Teraźniejszość była zbyt ważna.

Tawl poprowadził go wąskim nabrzeżem, biegnącym między dwoma szeregami łodzi.

Deski były mokre, śliskie od soli i znajdowały się tuż nad wodą. Po obu stronach pomostu stali zajęci wyładunkiem marynarze, którzy rzucali do siebie wielkie skrzynie, łapali je zręcznie, a potem stawiali na molo, jakby było płaską, pewną drogą.

- Niech się stanę niewyżyty mors! Jeśli to nie nasz stary druh Tawl, cały tydzień mogę zreć tylko rybie ogony!

Jack podniósł wzrok. Na końcu nabrzeża była zacumowana wielka łódź. Na wyższym z dwóch masztów stał człowiek o zdumiewająco rudych włosach, który szczyrzył zęby w uśmiechu godnym samego diabła.

Tawl pomachał ręką, unosząc ją wysoko nad głową.

- Faktycznie cuchniesz jak niewyżyty mors, Carver. Czuć cię nawet tu na dole.

Na pokładzie pojawił się drugi rudzielec.

- Słyszałem, że grzmoci się też jak niewyżyty mors. Piekielnie głośno chrząka, żeby sobie dodać animuszu.

- Fyler!

Tawl przemknął po trapie i wbiegł na pokład. Drugi rudzielec uściskał go serdecznie.

Ten, który stał na maszcie, rozpromienił się radośnie.

- Po tak długim czasie poczułeś wreszcie chętkę mnie odwiedzić, co? - zawołał.

- No cóż, sprowadza mnie tu twoja urocza gęba i specjalny trunek kapitana Quaina.

Jack ruszył za Tawlem, zdumiewając się zmianą, jaka w nim zaszła. Trudno było uwierzyć, że ten pyskаты szelma jest tym samym człowiekiem, z którym tu przyszedł.

Rycerz obejrzał się na niego i zaprosił skinieniem na pokład.

- Chodź, Jack. Poznaj najlepszych marynarzy, jacy kiedykolwiek kotwiczyli w Rornie.

Tawla otoczyła grupa w większości rudych mężczyzn. Obelgi fruwały szybciej niż mewy, nie sposób jednak było nie zauważyć, że żeglarze przywitali go ciepło.

- Jack - zawołał człowiek stojący na maszcie. - To jeszcze gorsze imię niż Tawl. Nie nazwałbym tak nawet pokładowego kota.

- Wolałbyś go wtrząchnąć na obiad. Carver - wtrącił marynarz zwany Fylerem. -

Widziałem, jak na niego zerkałeś w zeszłym tygodniu. Zastanawiałeś się zapewne, czy nadałby się na pasztet.

Carver pokiwał głową z radosną miną.

- Byłby z niego znacznie lepszy pasztet niż szczurołap.

- Ale jeśli to Tawl będzie go przyrządzał, zdechniemy wszyscy, razem z gryzoniami.

Marynarze wybuchnęli śmiechem, gadając coś o surowych rzepach i szczurach lądowych, które nie potrafią rozpalić ognia w pokładowym piecu. Kącikiem oka Jack zauważył wyłazającego spod pokładu mężczyznę. Podobnie jak pozostali miał rude włosy, był

jednak starszy i masywniej zbudowany.

- O co ten cały rwetes? - zawołał.

Wszyscy marynarze natychmiast umilkli. Cofnęli się od Tawla, by przybysz mógł go zobaczyć.

- Na pływy! Toż to nasz stary towarzysz żeglugi, Tawl. - Mężczyzna ruszył w jego stronę, rozpościerając ramiona. Uścisnął obie dłonie rycerza. - Serce mi rośnie na twój widok.

Z twarzy Tawla trudno było cokolwiek odczytać. Ścisnął nieznanego tak mocno, że kostki dłoni mu zbiały.

- Zbyt długo się nie widzieliśmy, kapitanie - rzekł.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie, chłopcze. Dla przyjaciół nic nie trwa zbyt długo. Każda chwila jest odpowiednia.

Słyszając serdeczny ton kapitana, Jack poczuł się pominięty. Jego nigdy nie witał stary przyjaciel. Szedł ciągle przed siebie i nigdzie nie wracał. Zaczął się powoli przepychać między marynarzami. Zauważył to stojący na maszcie Carver, który wrzasnął ze wszystkich sił:

- Hej, kapitanie, Tawl przyprowadził ze sobą nową zieloną gębę. Wstyd przyznać, ale nazywa się Jack.

Kapitan zwrócił się w kierunku wskazanym przez Carvera. Jack stanął jak wryty.

Szare, bystre oczy skupiły się na nim.

- Kapitanie Quain - odezwał się Tawl. - To mój dobry przyjaciel Jack.

Kapitan, potężny mężczyzna, który wyglądał na zdrowego jak pies, uniósł dłoń do piersi i zwałił się na plecy.

\*

- Nie wiem, co mi się stało - stwierdził kapitan Quain, unosząc do ust szklaneczkę rumu. Przełknął jej zawartość jednym haustem.

- Ach... Od razu mi lepiej. - Odstawił z łoskotem naczynie na otoczony bandami blat drewnianego stołu. - Żegluję po szerokich morzach już prawie pół wieku i nigdy jeszcze nie przytrafiło mi się nic podobnego.

Jack zauważył, że kapitan nie chce mu patrzeć w oczy.

Przebywali pod pokładem w małej, jasno oświetlonej kajucie, Fyler przed Chwilą wyszedł. Choć kapitan upierał się, że zejdzie na dół „na własnych, marynarskich nogach”, Fyler nie odszedł od niego, dopóki Quain nie usiadł bezpiecznie w fotelu.

- Właśnie wróciłeś z Marlsu, kapitanie? - zapytał Tawl.

Jack spojrzał na przyjaciela, zaskoczony tak nagłą zmianą tematu. Quain zemdlał

dopiero przed chwilą. Rycerz obrzucił go ostrzegawczym spojrzeniem i chłopak zrozumiał

jego motywy. Kapitan był dumnym człowiekiem i nie lubił okazywać słabości, nie wspominając o niedawnym incydencie. Tawl chronił jego dumę.

- Ehe. Z pierwszym brzaskiem. Cały statek mam załadowany israńskim jedwabiem.

Taki ładunek jest wart fortunę.

Quain tym razem wziął w rękę butelkę brandy i napełnił wszystkie trzy szklaneczki.

Nalewając trunek Jackowi, wbił wzrok w podłogę.

- Często przewozisz jedwab, kapitanie? - zapytał młodzieniec, zdecydowany zmusić go, by na niego spojrział.

Nim Quain się na to zdobył, musiał przełknąć drugą szklaneczkę trunku. Gdy wreszcie podniósł wzrok, nawet się uśmiechnął.

- Jedwab, korzenie, proch obłąkający. Wszystko, co się nadarzy.

Na jego twarzy malowała się wyraźna ulga, zupełnie jakby skoczył do wody, spodziewając się, że będzie zimna, i niespodziewanie przekonał się, iż jest ciepła.

- Interes naprawdę kwitnie, chłopcze, dzięki wojnie i całej tej sytuacji - ciągnął, nie spuszczać wzroku z Jacka. - Ci, którzy już uczestniczą w zmaganiach, potrzebują wszystkiego, ci, którzy dopiero się nad tym zastanawiają, gromadzą zapasy, a cała reszta jest tak zaniepokojona, że robi to samo, po prostu na wszelki wypadek.

- To znaczy, że nie zechcesz wyczarterować „Rybackiej Szajki”? - zapytał Tawl.

Kapitan Quain podniósł się z fotela. Jego potężna postać zajmowała większą część kajuty. Resztę wypełniał grzmiący głos.

- Powiem ci szczerze, chłopcze, że nie potrzebuję gotówki. W obecnym czasie rejsy między Rornem a Marlsem są nieprawdopodobnie zyskowne. Mógłbym zarobić na życie, nawet żeglując z opaską na oczach. - Odwrócił się do nich plecami, spoglądając na szeroką, zabezpieczoną bandami półkę pełną książek. - Jest jednak pewien mały problem - dodał po chwili.

- A jaki, kapitanie? - zapytał Jack.

Quain zwrócił się w jego stronę.

- Cieśniny, chłopcze. O tej porze roku morze między Rornem a Marlsem jest gęste jak krem śmietankowy. Nie ma wiatru, fal ani niczego, w co można by wbić zęby. „Rybacka Szajka” właściwie nie potrzebuje załogi. - Kapitan potrząsnął ze smutkiem głową. -

Wszystkiego się od tego odechciewa.

Tym razem Jack nie potrzebował znaczącego spojrzenia Tawla, by się zorientować w czym rzecz.

- A co z morzami na wschodzie, kapitanie? - zapytał. - Jak wyglądają o tej porze roku?

- Nie będę owijał w bawełnę, chłopcze. Rejsy na wschód są teraz piekielnie trudne.

- A co byś powiedział na rejs na Larn? - zapytał Tawl.

Kapitan nawet nie mrugnął.



- Tak też sobie myślałem, że o tym mówimy, Tawl. - Uśmiechnął się. Jego szare oczy lśniły jak powierzchnia morza. - A więc to tam chcesz się wybrać?

Jack polubił kapitana. Podobał mu się jego głośny, tubalny głos, przytulnie urządzone kajuta i figlarny błysk w oczach. Quain od początku wiedział, czego chcą. Zapewne domyślił

się tego, gdy tylko ujrzał Tawla. Chłopak dopił drugą szklaneczkę rumu. W porównaniu z tym złocistym trunkiem brandy była tylko oliwą do lamp.

Tawl pochylił się nad stołem.

- Musimy się tam dostać jak najprędzej.

Kapitan potarł policzki. Popatrzył na rycerza, po czym znowu przeniósł wzrok na Jacka.

- Jak rozumiem, sprawa jest pilna?

- Od tego zależy przyszłość północy - stwierdził Tawl.

- A także życie pięknej kobiety - dodał Jack po chwili namysłu. Rycerz obrzucił go zdziwionym spojrzeniem, młodzieniec wiedział jednak, że wspominając o tym postąpił

słusznie. Kapitan Quain nie sprawiał wrażenia człowieka, który przejąłby się myślą o ratowaniu północy.

- Pięknej kobiety, co?

- Najpiękniejszej - ciągnął Jack. - Oczy ma koloru nieba o północy, skórę miękką jak jedwab, a włosy... - potrząsnął głową, próbując znaleźć odpowiednie słowa. - Ciemne i wonne jak las tropikalny.

Mówiąc, patrzył tylko na kapitana. Z jakiegoś powodu wolał unikać spojrzenia Tawla.

Quain uniósł butelkę rumu do światła, przekonał się, że jest już pusta i wydobyl z komody następną. Była zakorkowana i zapieczętowana lakiem. Kapitan zdjął z półki jedną ze świec i zbliżył ją do pieczęci.

- Ehe, chłopcze. Wiem, co sobie myślisz - stwierdził, widząc zdziwione spojrzenie Jacka. - Gdybym złamał pieczęć ręcznie, szybciej dostałbym się do zawartości. Tyle, że w ten sposób ominęłoby mnie to, co najprzyjemniejsze.

- Oczekiwanie?

Kapitan uśmiechnął się do niego.

- Lubię cię, Jack. Bystry z ciebie chłopak.

Obrzucił go szybkim, dociekliwym spojrzeniem, jakby chciał dopasować imię do twarzy. Tyle, że już je znał. Otrząsnął się i strącił z butelki resztkę płynnego laku. Zacisnął

pięść na korku, który zdążył już poczernieć, i wyciągnął go. Skinął na Jacka i Tawla, każąc im dopić to, co mieli w szklaneczkach, po czym znów nalał wszystkim rumu. Wysączyli trunek w milczeniu.

Gdy jego szklaneczka była już pusta i minęło wystarczająco wiele czasu, by rum nabrał na języku łagodnego smaku, kapitan zaczął mówić.

- Kobieta o oczach koloru nieba o północy to skarb, dla którego warto wyruszyć w rejs. Szczerze wam powiem, że „Rybacka Szajka” podnosiła już kotwicę ze znacznie mniej ważnych powodów. Ludzie, którzy wybierają się na morze, kierują się różnymi motywami.

Szukają złota bądź przygód, chcą uciec przed przeszłością albo odnaleźć nową przyszłość. Ja jednak żegluję tylko dlatego, że to kocham.

Oczy Quaina nie kierowały się już w jakiś określony punkt. Widziały coś, czego nie było w kajucie.

- Robię to dlatego, że morze z dnia na dzień zmienia kolor, że wiatr w jednej chwili kąsa i smaga, a w następnej pieści jak kochanka. Dlatego, że w moim ciele jest więcej soli niż krwi i że schodząc na brzeg, zostawiam duszę na statku. - Jego oczy odzyskały powoli klarowność. Spojrzał prosto na Jacka. - Pożegluję na Larn, przyjacielu. Dla pięknej kobiety, dlatego że kocham morze i z uwagi na fakt, że marynarz nie zna naprawdę żadnego miejsca, którego nie odwiedzi trzy razy.

Serce Jacka waliło jak szalone. Głos kapitana Quaina był tak pełen emocji, posiadał

tak szczególny rytm, że nie sposób było nie dać się porwać jego słowom. Chłopak czuł zew morza, ten sam, o którym mówił kapitan, choć do dziś nigdy w życiu nie był na pokładzie łodzi. Przełknął pospiesznie rum. Nic z tego nie miało sensu.

- Kiedy wypłyniemy? - zapytał Tawl.

- A jak byś sobie życzył?

- Jutro z pierwszym brzaskiem.

- Rankiem pływy nie będą nam sprzyjały, chłopcze - stwierdził z uśmiechem kapitan. -

Musimy wypłynąć dziś w nocy albo wcale.

Jack i Tawl popatrzyli na siebie. Żaden z nich na to nie liczył.

- Kapitanie, nie wiem, jak ci się odwdzięczę - rzekł Tawl.

- Och, przychodzi mi do głowy parę pomysłów - odparł Quain z błyskiem w oczach. -

Na przykład, mamy ładownię pełną jedwabiu. Nie możemy wypłynąć, dopóki go nie wyładujemy.

Przyda mi się też ktoś, kto przyniesie zapasy. Będziemy oczywiście potrzebowali mnóstwo rumu. Ponieważ jest was dwóch, nie będę tym razem musiał zostawiać kucharza na łądzie, ale z pewnością przyda mu się wasza pomoc.

- A co z Kosiarzem? - zapytał Jack Tawla.

- Zostanie tutaj. Larn to nie miejsce dla małego chłopca. - Rycerz zwrócił się w stronę Quaina. - W tej chwili nie mamy pieniędzy, kapitanie, ale kiedy wrócimy, nasz przyjaciel powinien już zdobyć wystarczającą sumę. Gdyby mu się nie udało, oddamy ci wszystko, co mamy, oba konie, a na resztę weksel.

- Tym razem nie pomoże wam Stary, co?

Tawl potrząsnął głową.

- To dobrze. Taki układ bardziej mi odpowiada. Nie dlatego, żebym miał coś przeciwko Staremu. Po prostu czuję się lepiej, wiedząc, że ja trzymam ster, a ty trzymasz kasę. - Otworzył drzwi kajuty. - Kiedy wrócimy, wezmę, co będziesz miał. Jesteś słownym człowiekiem, Tawl. Wiem, że nie zostawiłbyś moich marynarzy bez grosza.

- Przeciągnęliby mnie za to pod stępką.

Rycerz wstał i ruszył do wyjścia. Jack podążył za nim. Uścisnęli kapitanowi dłoń i wyszli na pokład. Czekali ich cały dzień ciężkiej pracy.

\*

Tavalisk urządzał wyścigi żab. Jego kucharz, pan Bunyon, przyniósł je przed zaledwie kilkoma minutami, chcąc zapytać arcybiskupa, której ma najpierw urwać kończyny. Tavalisk natychmiast rzucił małe, gumowate płazy na podłogę i obecnie zachęcał je do skakania, strasząc, że zje pokonanego w sosie cytrynowo-czosnkowym.

Żaby nie zwracały na niego szczególnej uwagi. Fakt ten przyprawił arcybiskupa o taką konsternację, że chciał już rozdeptać bardziej ospałego z dwóch płazów, gdy do komnaty wszedł Gamil.

- Wiesz coś o żabach, Gamilu?

- Żaba to płaz pozbawiony ogona, Wasza Eminencjo. - Gamil stał przy drzwiach i nie zauważył jeszcze stworzeń, o które chodziło arcybiskupowi. - Jej najbardziej charakterystyczną cechą są długie tylne nogi. Najczęściej występuje w wodzie i na terenach podmokłych.

Plask!

- Hmm - dodał arcybiskup. - Łatwo też je rozmaścić. - Przywołał gestem sekretarza i obaj przyjrzeni się szczątkom płaza. - Miałeś rację, Gamilu. Nie ma ogona.

Nagły kres, który spotkał jej towarzyszkę, skłonił drugą żabę do zmiany opinii w kwestii skakania.

Zwierzę umknęło przed Gamiłem i panem Bunyonem, chowając się pod biurko arcybiskupa.

- Wstawaj, człowieku! - warknął Tavalisk, gdy jego sekretarz spróbował wpełznąć pod rzeczony mebel w poszukiwaniu uciekinierki. - Doprawdy, oczekuję od ludzi, którzy mi służą, zachowania choć odrobiny godności.

Wiedział, że Gamil ścigał żabę po to, by mu się przypodobać, wolał jednak, by jego sekretarz żył w stanie ciągłej dezorientacji. To go mobilizowało.

Zwrócił się w stronę pana Bunyona.

- Na co się gapisz? - Wskazał na zmiażdżoną żabę. - Nie stój tak. Zdrap ją z posadzki i ugotuj.

- Ale nogi się zmarnowały, Wasza Eminencjo.

- To dodaj je do jajecznicy albo zapiecz w cieście. Nic mnie to nie obchodzi, pod warunkiem, że zjem je nie później niż za godzinę.

Pan Bunyon skinął głową, zdrapał szczątki żaby i opuścił komnatę.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Gamil podszedł do arcybiskupa.

- Wasza Eminencjo, musimy działać.

- Co znowu, Gamilu? - zapytał z jękiem Tavalisk. - Czy rycerze zdobyli Marls? A może Kylock ogłosił się bogiem?

- Nie, Wasza Eminencjo. Rycerz wrócił do Rornu. Wszystko wskazuje na to, że zamierza pożegłować na Larn.

- *Ridit, riclit* - odezwała się ukryta pod biurkiem żaba.

- To interesujące. A kiedy przybył?

- Wczorajszej nocy zauważono go w portowej tawernie. Nadal towarzyszy mu kieszonkowiec, ale przygarnął też po drodze kogoś drugiego. Jakiegoś młodego człowieka.

Rankiem wybrali się razem do portu. Sprzyjało im szczęście, bo „Rybacka Szajka” akurat wróciła z Marlsu. - Gamil sprawiał wrażenie lekko podenerwowanego. Czoło zalewał mu pot, który ocierał rękawem szaty. - Nie możemy dopuścić, by opuścili miasto, Wasza Eminencjo.

- A dlaczegoż to, Gamilu? Co nas obchodzi ich wyprawa na zapomnianą przez Boga wyspę Larn?

- Ale rycerz jest poszukiwany za zabójstwo diuka. I Catherine. To notoryczny przestępca.

- Ja go nie poszukuję. To Baralis chce zatknąć jego głowę na palu. - Tavalisk zdjął

lewy but. Jego podeszwa była śliska od szczątków żaby. - Uważam, że powinniśmy jak zwykle ograniczyć się do spokojnej obserwacji.

- Ale masz obowiązek działać, Wasza Eminencjo. Jesteś wybranym.

Cóż to miało być? Pochlebstwo? Gamil zachowywał się dziś bardzo osobliwie.

- A co twoim zdaniem powinienem uczynić, Gamilu?

- Wysłać oddział zbrojnych, żeby pojмали rycerza i jego nowego towarzysza. Uwięzić ich. poddać torturom, a potem stracić.

- To wydaje się nieco zbyt pochopne.

- Ale Wasza Eminencja cały czas twierdził, że rycerz ma odegrać ważną rolę w konflikcie, do którego dojdzie na północy. Co, jeśli znajdzie się po przeciwnej stronie niż Wasza Eminencja? Może ograbić Waszą Eminencję z jedynej szansy na osiągnięcie chwały.

- Gamilu, człowiek taki jak ja ma wiele okazji, by ją zdobyć. - Tavalisk poruszył

łustymi palcami stopy. - Chwała to mój żywioł. Kąpię się w jej blasku niczym w promieniach słońca. Nikt nie może mnie z niej ograbić, chyba że byłaby to kostucha. Sądzę zresztą, że byłby ze mnie wspaniały nieboszczyk.

- Z całą pewnością, Wasza Eminencjo.

Tavalisk podniósł nagle wzrok. Gamil wpatrywał się w podłogę.

- *Ridit, ridit.*

- Gdzie się zatrzymali? - zapytał arcybiskup z ciężkim westchnieniem. - Przesłuchać ich nigdy nie zaszkodzi.

- „Pod Różą i Koroną”, Wasza Eminencjo.

- Proszę bardzo. Wyślę tam kogoś jutro z rana. Mała wizyta przed świtem powinna ich zaskoczyć.

- Nie możemy zrobić tego dzisiaj, Wasza Eminencjo?

Skwapliwość Gamila zaczęła się wydawać Tavaliskowi lekko podejrzana.

- Nie. Zaczekam do jutra. Statek, który przed chwilą wrócił z Marlsu, z pewnością do rana nigdzie nie odpłynie. - Wręczył but Gamilowi. - Jak już złapiesz tę piekielną żabę, Gamilu, sprawdź, czy uda ci się usunąć tę plamę. Och, i będziesz mi dziś potrzebny w pałacu przez cały dzień - dodał po chwili zastanowienia. - Pomożesz mi z dokumentami Jego Świątobliwości.

- Ale, Wasza Eminencjo, mam inne zajęcia.

Tłuste wargi Tavaliska stały się nagle twarde jak suszone owoce.

- Zostaniesz ze mną, Gamilu. Koniec gadania.

\*

Tawl przyglądał się, jak wciągają na pokład ostatnią cumę. Carver rozwijał żagle, w czym pomagał mu jeszcze jeden marynarz. Było już prawie ciemno. Wkrótce Rorn stanie się białym miastem, którego blask pada na fale, punkcikiem na horyzoncie, przypominającym wąski sierp księżyca. Kto wie, co się wydarzy, nim znowu go ujrzą? Być może nie zobaczą go już nigdy.

Larn był na całej Ziemi miejscem najbardziej przypominającym piekło, a diabeł zawsze dba o swe sługi.

Tawl czuł już bliskość wyspy. Oczekiwała ich na wschodzie oceanu. Wiedziała, że się zbliżają, i była pewna siebie.

Spojrzał na Jacka. Chłopak pytał Fylera, dlaczego Carver nazwał go zieloną gębą.

Chodziło mu o chorobę morską. Ci, którzy żeglowali po raz pierwszy w życiu, z reguły na nią zapadali. Rycerz z uśmiechem odwrócił wzrok. Jackowi brakowało doświadczenia nie tylko w żegludze. Wybierał się na Larn, nie mając najbledszego pojęcia, co właściwie ma tam uczynić. Tawl wiedział, że jego zadanie jest stosunkowo łatwe. Musiał tylko stworzyć swemu towarzyszowi szansę, znaleźć drogę, oczyścić ją i powstrzymać kapłanów. Jack miał do zrobienia więcej. Znacznie więcej. Tawl nie potrafił nawet o tym myśleć. Jak jeden człowiek miał zrównać świątynię z ziemią? Podobna odpowiedzialność mogła zmiażdżyć ludzkiego ducha i zmaćcić umysł. A mimo to Jack stał na pokładzie, gawędząc sobie z Carverem, jakby niczym się nie przejmował.

Tawl przeszedł na dziób łodzi. Będzie się martwił za nich obu.

Kosiarz wciąż się nie pokazywał. Zapewne należało się z tego cieszyć. Zacząłby tupać, domagając się, by wzięli go z sobą, i Tawl musiałby zignorować te błagania. Będzie spokojniejszy wiedząc, że chłopiec został w Rornie. Jeśli nawet na Larnie spotka ich coś złego, Kosiarzowi w mieście, które zwał domem, nic nie powinno grozić.

Larn nie był jego sprawą. Zajmą się nim we dwóch z Jackiem. Tawl w głębi duszy wolałby uczynić to sam. Zasłużył sobie na to, by przynieść mu zgubę. Wyspa zniszczyła jego życie, marzenia i misję. Tamtejsi kapłani zrobili z niego mordercę i czas już, by za to zapłacili.

Deski „Rybackiej Szajki” zakołysały się, skrzypiąc, a żagle wypełnił wiatr. Statek ruszył w drogę.

Tawl skierował się do kajuty. Nie miał na razie ochoty sprawdzać, czy zachował

umiejętność poruszania się po chwiejącym się pokładzie. Gdy otwierał rygiel głównego luku, Jack popatrzył na niego. Ich spojrzenia się spotkały i Tawl natychmiast zrozumiał, że błędnie ocenił towarzysza. Jack nie był beztroskim poszukiwaczem przygód. Był młodym człowiekiem o oczach

pełnych strachu.

W Rornie łatwo było powrócić do dawnych nawyków: pozdrawiać innych kieszonkowców dyskretnym skinieniem głowy, trzymać się na bezpieczny dystans od alfonsów, podkradać gorące placki chłopcom powoli pchającym swe obwoźne stragany i zawsze uważnie wypatrywać przyjaciół Starego.

To dopiero było życie! Taki chłopiec, jak on, mógł się tu wygodnie urządzić, znaleźć dom i zdobyć utrzymanie. A nawet zarobić krocie gotówki. W gruncie rzeczy, od chwili, gdy przed niemal czterema dniami Jack i Tawl odpłynęli w siną dal, nie miał do roboty prawie nic poza gromadzeniem łupów.

Nie chodziło o to, by sądził, że Jack i Tawl postąpili źle, wybierając się na Larn bez niego. Każdy sam kierował własnym życiem i mógł robić to, co uznał za stosowne. Miło byłoby jednak usłyszeć kilka słów pożegnania. Na przykład: „Cześć, Kosiarzu. Zobaczymy się za parę dni. Za tydzień. Za miesiąc. W przyszłym życiu”. Coś w tym rodzaju byłoby wskazane. Nie musiałyby sam wszystkiego się domyślać.

Fakt, że był wyjątkowo domyślny, nie miał tu znaczenia. Tawl powinien zaznajomić go ze swymi planami. Odpływając w środku nocy, zachowali się naprawdę niehonorowo.

Inny chłopiec mógłby to uznać za śmiertelną zniewagę. Inny chłopiec mógłby umyć ręce od całej tej sprawy.

Ale nie on. Nie zważając na straszliwą krzywdę, jaka go spotkała, wykona swój obowiązek wobec nich, choć ci dwaj niewdzięczni zdrajcy bynajmniej na to nie zasługiwali.

Wiedział, że gdy wrócą, będzie im potrzebna gotówka. Wielki i piękny statek, taki jak

„Rybacka Szajka”, nie podnosił kotwicy bez zapłaty w złocie, a o ile Kosiarz wiedział, Tawl nie miał grosza przy duszy. Oznaczało to, że rycerz obiecał szacownemu kapitanowi zapłatę po powrocie. To był pierwszy szczegół, który wydedukował Kosiarz.

Potem odgadł, iż Tawl z pewnością oczekuje od niego, że zorganizuje gotówkę pod jego nieobecność, zupełnie jakby był jego osobistym skarbnikiem. Stanowczo za dużo sobie wyobrażał!

Właściwie to, gdyby nie trzeci fakt, który udało mu się odkryć, mógłby zapomnieć o całej sprawie i wrócić do pracy dla swego starego druha Szybciora. Jeśli oczywiście zdołałby go odnaleźć. Nikt nie potrafił się ukrywać tak skutecznie jak on. To jednak nie wchodziło już w grę. Gdy tylko Jack i Tawl wrócą do Rornu, znajdą się w niebezpieczeństwie. Szukały ich zbiry arcybiskupa. Wczesnym świtem „Pod Różą i Koroną” pojawiła się grupa zbrojnych, którzy o nich pytali. Jack i Tawl mieli szczęście, że „Rybacka Szajka” odbiła od brzegu jakieś siedem godzin wcześniej, w przeciwnym wypadku, siedzieliby teraz w głębokim, ciemnym lochu.

To najście było powodem, dla którego musiał na nich zaczekać. Ktoś powinien ostrzec Jacka i Tawla przed planami arcybiskupa, nim zdążą zsiąść z łodzi. Kosiarz potrząsnął ze smutkiem głową. Ci dwaj po prostu nie dorównywali mu bystrością, gdy chodziło o wymykanie się uzbrojonym w noże



ludziom.

Chłopiec dotarł do skrzyżowania i wybrał trasę, która wydawała mu się bardziej interesująca: ciemny, ohydnie cuchnący zaułek, w którym kocie łby wyglądały na wyjątkowo śliskie. Wałęsał się po mieście już od jakiegoś czasu. Pierwszy okres pracy kieszonkowca -

targowe handlowanie między wschodem słońca a godziną drugą - okazał się nadzwyczaj zyskowny, a do drugiego - który trwał od ósmej do północy, gdy po ulicach chodziły dziwki -

zostało mu jeszcze parę godzin. Nie miał chwilowo nic do roboty poza zbijaniem bąków i odwiedzaniem starych zakątków.

Co dziwne, nic nie wyglądało tak wspaniale, jak w jego wspomnieniach. Och, zaułki były podejrzane i pełne możliwości jak żądny zysku biskup, lecz mimo to rozczarowały go.

Czując się lekko zniechęcony, postanowił skierować się z powrotem do dzielnicy targowej. Gdy się odwracał, na jego głowę zarzucono coś ciemnego, cuchnącego figami.

- Mordują! - krzyknął na cały głos. - Ratunku! Alfonsy!

Ktoś uniósł go z ziemi, zawiązał mocno worek na twarzy i zabrał ze sobą, nie zważając na jego krzyki.

\*

Baralis był niespokojny. Dzisiejszej nocy miał uczynić coś, czego nigdy dotąd nie próbował. Coś tak nieprzewidywalnego i odbierającego siły, że mógł nawet zrobić sobie krzywdę.

Przebywał w swych komnatach. Zapadał już zmierzch, lecz Croke rozniecił ogień na kominku i zapalił tak wiele świec, że było jasno jak w dzień. U stóp Baralisa stała miedziana wanna, w której znajdowało się nowo narodzone ciele. Choć ledwie żyło, wciąż głośno wyrażało tęsknotę za matką. Gdy Croke kupił je dziś rano, spowijał je jeszcze czepek, lecz mimo to traciło już szczególny połysk, charakterystyczny dla stworzeń, które niedawno opuściły macicę.

W narodzinach była moc. Wiedzieli o tym pasterze z Wielkich Równin i jego nauczyciel z Hanatty. Teraz, gdy na wyciągnięcie ręki od niego spoczywało stworzenie, które zaczerpnęło swój pierwszy oddech zaledwie dziewięć godzin temu, Baralis również to wiedział.

Macica była czymś więcej niż tkanką, mięśniami i krwią. Stanowiła granicę między światami. Po jednej jej stronie znajdowało się życie: płodne, bujne, dotknięte rozkładem, po drugiej zaś byt i jego początki: bezbronne, czyste, dobrotliwe. Gdy te dwa światy się spotykały - kiedy odchodziły wody, a mięśnie kurczyły się niczym potężna prasa do oliwek, wypychając na zewnątrz młode - rodziła się moc, która przesycała noworodka.

Życie, które przed chwilą opuściło macicę - bogate w tajemnice jajników i gęste od łożyskowej krwi - było najsilniejszym na świecie źródłem czarów.

Podczas pobytu na Wielkich Równinach Baralis widział, jak pasterze wykorzystują moc nowo narodzonego dziecka, by stworzyć lakus. Żeby ją pomieścić, potrzeba było sześciu ich mędrców. Do dziś pamiętał potężną pozostałość, czuł straszliwy żar i woń spalonego ciała. Ręce dwóch mężczyzn zwęgliły się aż po łokcie. Zadrżał. Po fakcie mędrcey - pijani zbożowym alkoholem i walerianą - przysięgali, że zaczerpnięcie mocy się udało. Utrata kończyn była drobiazgiem w porównaniu z wartością lakusa. Ręce mędrców można było poświęcić. Myśliwych należało leczyć bez względu na koszt. Baralis przesunął palcem po wargach. Sam nigdy by się nie odważył zaczerpnąć mocy z ludzkiego noworodka.

Crope wszystko już przygotował. Przyniósł czarę, nóż i proszek. Baralis usiadł na krześle z wysokim oparciem, by się przyjrzeć, jak jego sługa zajmuje się zwierzęciem.

Długi były niebezpiecznym brzemieniem. Zwłaszcza długi zaczerpnięte na Larnie.

Kapłani z owej wietrznej wyspy skrupulatnie prowadzili księgi i zawsze żądali zwrotu pełnej sumy.

To właśnie uczyni dziś w nocy: spłaci dług. Zdradzili mu wiele tajemnic, a teraz on zadziała w ich imieniu. Piekarczyka należy powstrzymać. Wyruszył na Larn, by zniszczyć świątynię, i Baralis wiedział, że jeśli mu się uda, nie minie wiele czasu, nim jego były skryba skieruje się z powrotem do Brenu. Och, Larn był bardzo użytecznym sojusznikiem.

Dostarczał mu informacji wywodzących się od samych bogów. Mógł się jednak bez niego obejść. Potrafi zapanować nad północą bez korzystania z pomocy jasnowidzów. Dzisiejszej nocy nie tylko spłaci dług, lecz również pomoże sobie.

Jack był jedyną osobą, która mogła poważnie zagrozić jego planom. Wspierało go starożytne proroctwo i dysponował mocami, które urągały zdrowemu rozsądkowi. Najpierw zawrócił czas, a ubiegłego lata zniszczył cały garnizon. Fale wywołane tym wstrząsem można było wyczuć nawet w najdalszym zakątku Znanych Krain. Baralis musiał go zgładzić. Był

tego pewien tak mocno, jak małe dziecko tego, że niebo jest niebieskie.

Dziś jednak, nad morską głębią na południowy zachód od Larnu firmament nie będzie błękitny, lecz czarniejszy niż najgłębsza otchłań piekieł.

Pochylił się i przeciął skórę drżącego cielaka. Krew trysnęła na jego twarz i bluzę.

Zwierzę zakwiliło jak niemowlę. Crope stał w pobliżu, trzymając w rękach rozgrzaną nad paleniskiem miskę. Baralis przygryzł język, wbijając zęby głęboko w mięsień, by trysnęła gęsta krew. Zebrał siły, po czym uderzył o bariery świata fizycznego. Wyrwał się z objęć ciała, sięgnął ku zwierzęciu i pochwycił jego esencję, która przeszła go gwałtownie niczym lanca.

Zawirowało mu w głowie. Dusza cielaka należała jeszcze do matki, lecz moc była wyłącznie jego własnością. Uniosła Baralisa ku górze. W pierwszej chwili poczuł się zdezorientowany, zбитy z tropu siłą, którą uwolnił nóż. Potem, jak zwykle, jego wola stawiała czoło wyzwaniu. Okiełznała moc, zmieniła jej kształt, zawładnęła nią. Niby Bóg, królewski kanclerz ukształtował ją na własne

podobieństwo i stał się jej jedynym panem.

Jej potęga zapierała dech w piersiach. Komnata nie mogła jej pomieścić. Baralis przestał się wznosić ku górze. Sięgnął teraz na zewnątrz. Ogarnął sobą pałac, potem Bren, a wreszcie całą północ. Nie był już przypadkowym zbiorem cząsteczek, lecz śmiertcionośną siłą natury. Gdy mknął na południe wzdłuż wybrzeża, pływy za nim odwracały swój bieg.

\*

- Mówisz, że to twój trzeci rejs na Larn, kapitanie? - zapytał Jack.

Quain obrzucił go bystrym spojrzeniem. Żeglowali już od czterech dni i gdy tylko chłopak spotykał kapitana, odnosił wrażenie, że przygląda się Jackowi niczym mapie wskazującej drogę do ukrytego skarbu.

Po raz pierwszy mieli okazję porozmawiać w cztery oczy. Tawł przebywał na pokładzie, gdzie z pewnością przerzucał się obelgami z Carverem albo ostrzył noże.

Poświęcał swej broni bardzo wiele uwagi. Od dwóch dni nieustannie smarował ostrza tłuszczem, by uchronić je przed działaniem wilgotnego, słonego powietrza.

Quain zawsze miał pod ręką butelkę rumu. Napełnił nim dwie niskie szklaneczki. Gdy trunek wypełnił drugą z nich, statek przechylił się nagle na burtę. Bursztynowy płyn wylał się na błąd, zbierając się pod drewnianą bandą.

- Fale są coraz wyższe, kapitanie - oznajmił Fyler, zaglądając do środka.

- Ehe. Miej wszystko na oku - polecił kapitan. Marynarz skinął głową i zniknął. Quain ponownie zajął się rumem.

Jack zauważył, że morze robi się niespokojne. Czuł, że łódź kołysze się pod jego stopami, niespodziewanie wpadając w przerwy między falami. Zachował jednak dziwną obojętność. Nie dręczyła go choroba morską, nudności ani strach. Carver powiedział mu, że jest urodzonym marynarzem.

- A kiedy byłeś tam po raz pierwszy? - zapytał, sięgając po szklaneczkę.

Kapitan uśmiechnął się z niechętnym szacunkiem.

- Muszę przyznać, że jesteś uparty, chłopcze.

- No to wypijmy za mój upór - zaproponował Jack. Uniósł szklaneczkę, uśmiechając się jak łotrzyk. - I za twoją znajomość mórz.

Kapitan stuknął się z nim szkłem.

- Za morza.

Obaj przelknęli płyn jednym haustem. Quain walnął szklaneczką o blat.

- Ach. Taki trunek zawsze pobudza krążenie.

Rozsiadł się wygodnie, by nacieszyć się działaniem rumu. Po chwili odezwał się znowu.

- Pierwsza wyprawa na Larn omal nie kosztowała mnie utraty patentu oficerskiego. To było przeszło trzydzieści lat temu. Służyłem na wielkim statku kupieckim o nazwie „Hojna Bryza”. Miał cztery maszty i prawie czterdziestoosobową załogę. To był mój pierwszy rejs w charakterze nawigatora i trząsałem się jak meduza. Gdy myślę o tym teraz, dziwię się, że w ogóle pozwalali mi się zbliżyć do koła sterowego. Niemniej w tamtym czasie w Rornie handel kwitł i kupcy byli gotowi przyjąć każdego, kto umiał odróżnić dziób od rufy. Mieliśmy pozełgować wzdłuż wybrzeża, do Toolay. Wieźliśmy jedwabne nici do haftowania, a z powrotem mieliśmy zabrać transport owoców morza, ale gdy tylko „Hojna Bryza” odbiła od brzegu, wszystko zaczęło się psuć. Wiatr dał z północnego wschodu, co samo w sobie było dziwne, bo właśnie zaczęła się zima, a takie wiatry pojawiają się dopiero wiosną. Nie skończyło się jednak na tym. Kompas oszalał. W jednej chwili kręcił się jak bąk, a w następnej nieruchomieł niczym zardzewiała kotwica. Potem rozszalał się sztorm...

Kapitan Quain potrząsnął głową. „Rybacka Szajka” zakołysała się gwałtownie. Na zewnątrz słychać było coraz głośniejsze zawodzenie wiatru.

- Był naprawdę paskudny. Zjawił się znikąd. Fale zalewały fordek i wdzierały się do ładowni. Żagle natychmiast zerwało. Straciliśmy trzech ludzi, którzy wypadli za burtę. Kiedy sztorm się skończył, wiedziałem o naszym położeniu tyle, co pokładowy kot.

Jack musiał się teraz trzymać stołu, żeby nie spaść z krzesła. Cała kajuta skrzypiała.

Za każdym przechyłem szklanki, książki i przyrządy nawigacyjne uderzały o zabezpieczające półki drewniane bandy. Wisząca na ścianie lampa oliwna kołysała się jak tańczący pijak.

Quain nie tracił spokoju. Jego niski, ciepły głos nie milkł ani na chwilę, jakby nic poza opowieścią nie miało znaczenia.

- No więc, wyciągnąłem lunetę, rozejrzałem się szybko wokół i wypatrzyłem na horyzoncie skalistą wysepkę. Rzuciłem okiem na mapy i przekonałem się, że nie ma jej na nich. Pogadałem z kapitanem, który sam przyjrzał się wyspie i stwierdził, że to Larn.

Powiedział wtedy: „Lepiej stąd zmiatajmy, chłopcze, żeby diabeł nas nie zaskoczył”. Mówię ci, że zawróciłem statek tak szybko, jakby był łodzią wiosłową. Nikt nie jest bardziej przesądny od marynarza, który zgubił się na morzu. Tak czy inaczej, kiedy oddalaliśmy się tym samym kursem, którym przyплыliśmy, raz jeszcze zerknąłem przez szkiełko. I wtedy właśnie ją zobaczyłem.

- Kogo?

- Dziewczynę z Larnu. Unosiła się na falach w łódeczce bez żagli i wiosła.

Natychmiast zauważyłem, że ma kłopoty, bo leżała bez ruchu. W jednej chwili zawróciłem.

Kapitan wypadł na pokład, przeklinając i wrzeszcząc. Kazał mi uciekać. Doszło do strasznej kłótni. Nie chciał zabrać dziewczyny. Mówił, że przyniesie nam pecha. Ściągnie na nas klątwę. Odpowiedziałem mu, że to nie przypadek, iż „Hojną Bryzę” zniosło z kursu. Że naszym przeznaczeniem jest ją uratować. Wkrótce poparła mnie reszta załogi i kapitan musiał

ustąpić. Marynarskie przesady są obusieczne. Udało mi się przekonać wszystkich, że pech spadnie na nas wtedy, gdy pozwolimy dziewczynie umrzeć.

Sztorm nasilał się coraz bardziej. Jack słyszał nawoływania żeglarzy, starających się przekrzyczeć huk fal.

- Gdy wciągnęliśmy ją na pokład, biedactwo ledwie dychało. Nie miała w łódce nic.

Ani jedzenia, ani wody, ani ubrania na zmianę. Dręczyła ją gorączka. Majaczyła. Przez sen ciągle wykrzykiwała imię jakiegoś chłopca. Była jednak piękna. Małe dziewczątko z długimi, ciemnymi włosami. Kochali się w niej chyba wszyscy na pokładzie, nawet kapitan. Każdy kto na nią spojrzał, natychmiast pragnął jej pomagać. Karmiliśmy ją ze swych racji, kucharz gotował dla niej specjalny rosół, a kapitan otworzył beczkę specjalnego piwa. Opiekowałem się nią dzień i noc. Gdy zawinęliśmy do Rornu, gorączka ustąpiła. Zapytałem dziewczynę, dlaczego płynęła na łódce w pobliżu Larnu. Wiesz, co mi rzekła?

- Nie.

- Powiedziała: „Proszę, nie zmuszaj mnie do kłamstwa. To, co wydarzyło się na Larnie, to sprawa między Bogiem, kapłanami i mną”.

Lampa zakołysała się gwałtownie i po twarzy kapitana przemknęły cienie. Wszystko w kajucie tańczyło w rytm sztormu: stół, krzesła i rum. Najszybciej jednak biło serce Jacka.

- Jak myślisz, dlaczego wypłynęła w tej łodzi? - zapytał.

- Uciekała.

Quain spojrzał chłopakowi w oczy. Przyglądał się przez moment jego twarzy, po czym przeniósł wzrok na szklanekę. Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odzywał.

Ciszę zmącił ogłuszający trzask. Statek przechylił się gwałtownie na lewą burtę.

Wszystkie należące do kapitana drobiazgi uderzyły o bandy, a kolekcja zwiniętych w rulony map stoczyła się na podłogę. Lampa oliwna stuknęła o ścianę. Zaślniła błyskawica.

Kapitan zerwał się z krzesła.

- Muszę lecieć na pokład. Przygaś lampy, a potem idź za mną.

\*

- Wstawaj, chłopcze! Wstawaj! Spanie w obecności Starego świadczy o braku szacunku.

Ktoś potrząsał Kosiarzem, szturchał go i zasypywał zachęcającymi słówkami, a wreszcie zdjął mu wiązki. W pierwszym odruchu chłopiec przyglądał włosy. W drugim sięgnął po swój worek. Nie znalazł go. Dręczony bólem głowy, pełen oburzenia Kosiarz rozejrzał się zażalonymi oczami po pokoju. Był ładny. Bardzo ładny. Na kominku palił się przyjemny ogień, a meble miały złote ozdoby. Stało tu też tyle kwiatów, że wystarczyłoby ich na pogrzeb czteroosobowej rodziny.

- Masz wielkie szczęście, młody człowieku - zabrzmiał za jego plecami czyjś głos.

Kosiarz odwrócił się nagle. W kącie siedział jakiś staruszek. Strój, który miał na sobie, był w dobrym gatunku, lecz pozbawiony ozdób, a na głowie nie dało się dojrzeć ani jednego włosa. Chłopiec uznał, że wie, o co tu chodzi.

- Coś panu powiem - oznajmił. - Nic przeciwko wam nie mam, ale po prostu w tym nie gustuję.

Staruszek wybuchnął śmiechem. Stojący za nim mężczyzna zrobił to samo.

Nie wiedząc, jak się zachować, Kosiarz popatrzył na nich przeciągle spode łba. Gdy jednak spojrzął w oczy człowieka, który go tu sprowadził, nagle go olśniło. Znał go. To był

młodszy z dwóch mężczyzn, którzy w Brenie próbowali doręczyć Tawlowi list. Co on takiego powiedział, kiedy go budził? Że o braku szacunku świadczy spanie nie w obecności jakiegoś tam staruszka, ale Starego. Przełknął ślinę tak gwałtownie, jakby połykał jabłko w całości.

Był w jaskini Starego. I to właśnie jego przed chwilą obraził.

- Moth, czy mógłbyś zostawić nas samych? - padło pytanie.

- Nie ma sprawy. Stary. Obaj z Clemem zaczekamy na zewnątrz.

Człowiek zwany Mothem pokłonił się i wyszedł.

Stary skierował uwagę na Kosiarza.

- Siadaj, siadaj - polecił, wskazując stojące przy kominku krzesło.

Chłopiec spoczął na nim. Jeśli ktoś znalazł się w obecności największego króla zbrodni w Rornie, lepiej było spełniać jego rozkazy.

- Ładnie urządzone to mieszkanko - stwierdził, wskazując głową na rozliczne wazonny.

- O tej porze roku pewnie trudno jest znaleźć tak wiele różnych kwiatów.

Stary rozciągnął wargi w słabym, bezbarwnym uśmiešku.

- Staram się, jak mogę.

Kosiarz przeklinał sam siebie za to, że nie wie więcej o kwiatach. Trudności sprawiało mu nawet odróżnienie tulipana od rzepy.

- Pachną też nieźle. Bardzo upiększają pokój.

- Wszyscy mamy swoje słabostki. Moja to świeże kwiaty, a twoja, jak słyszałem, pewien zbłąkany rycerz. - Kosiarz chciał coś powiedzieć, lecz Stary nie dał mu dojść do słowa. - Jak już wspominałem, masz wielkie szczęście, przyjacielu. Mogłem rozkazać Mothowi i Clemowi, żeby ogłuszyli cię paskudnym ciosem w głowę, zamiast tylko zarzucić ci na nią worek.

- Przez ten worek o mało się nie udusiłem! - Nikt, nawet Stary, nie będzie mu wmawiał, że miał szczęście, gdy ledwie uniknął śmierci. - Zemdlałem w mgnieniu oka. Za nic nie mogłem zaczerpnąć tchu.

- Tak, to doprawdy niefortunne zdarzenie. - Stary uśmiechnął się znowu, tym razem znacznie radośniej. - Chyba pora już przejść do rzeczy. Słyszałem, że twój druh opuścił

miasto. Podobno wybiera się na Larn. Jeśli chodzi o niego, jestem zmuszony umyć ręce.

Zamordował mojego bliskiego przyjaciela i gdybym nie postąpił honorowo, nie mógłbym się zwać człowiekiem honoru, prawda?

Kosiarz skinął głową. Stary miał trochę racji.

- Stoję więc przed następującą alternatywą. Mogę nie zrobić nic, uznając, że dostarczając list spełniłem już obowiązek wobec Bevlina, albo mogę na miarę swych niewielkich możliwości dopomóc sprawie zmarłego mędrca.

Kosiarz był wystarczająco bystry, by się zorientować, że gdyby Stary wybrał tę pierwszą opcję, nie byłoby go tutaj. Zachował jednak nonszalancję. Niech jego rozmówca powie, co ma do powiedzenia.

- Uważam, że jestem winien Bevlinowi coś więcej niż przekazanie listu. Przed wieloma laty ocalił życie mojej córki. Nie za pomocą czarów, lecz eliksirów. Daisy zapadła na czerwoną gorączkę i wszyscy mówili, że jest już za późno. Bevlin przebywał wówczas w Toolay. Wysłałem do niego gołębia. Do dziś nie wiem, jak tego dokonał, ale przybył do Rornu już po trzech dniach i uratował moją słodką Daisy. Dlatego właśnie kazałem cię tu dzisiaj przyprowadzić. Uważam, że do dziś nie spłaciłem tego długu.

Stary wstał, podszedł do kominka i przestawił stojące na jego obramowaniu kwiaty, ciskając do ognia wszystkie, które były czerwone.

- Nigdy już nie będę mógł porozmawiać ani zobaczyć się z Tawlem, oszukiwałbym się jednak, gdybym nie przyznał, że Bevlin chciałby, żebym mu pomógł. Bez względu na to, co się zdarzyło. - Zwrócił się w stronę Kosiarza. - Dlatego tu jesteś.

- Chcesz pomówić ze mną, żebym ja pogadał z Tawlem, czy tak?

Chłopiec wbił wzrok w stojące nad kominkiem kwiaty. Gdy zabrakło wśród nich czerwonych, zestaw wyglądał bardzo dziwnie.

- Tak jest. Słuchaj uważnie, bo nie będę nic powtarzał. - Stary podszedł bliżej. Jego drobna twarz o ostrych rysach stanowiła jedynie tło dla oczu, które były niemal czarne i lśniła w nich lisia chytryść. - Po pierwsze, nie licz na pieniądze ani przysługi. Informacja to co innego, ale nie zamierzam służyć bezpośrednią pomocą komuś, kto zamordował mojego przyjaciela. Tawł zapewne zdaje sobie z tego sprawę, ale mówię to teraz jasno, żeby uniknąć nieporozumień. Po drugie, arcybiskup więzi w lochach pod pałacem dawną znajomą Tawła.

To młoda prostytutka imieniem Megan. Siedzi tam już z górą rok i jeden Borc wie, w jakim jest stanie. - Stary przerwał, by zaczerpnąć szybko tchu. - Na koniec, zostaje jeszcze sprawa samego czcigodnego arcybiskupa, czy raczej jego głównego sekretarza, Gamila, który już od pięciu lat regularnie prowadzi korespondencję z Larnem. Jestem przekonany, że arcybiskup nic o tym fakcie nie wie. Nie wątpię też, że nie byłby zbyt zadowolony, gdyby się o tym dowiedział.

Stary popatrzył znacząco na Kosiarza, który odwzajemnił mu się takim samym spojrzeniem.

- Zdajesz sobie sprawę, że arcybiskup zamierza przymknąć Tawła, gdy tylko

„Rybacka Szajka” zawinie do portu?

- W tej sprawie byłem od ciebie szybszy, Stary.

Król zbrodni nie wyglądał na niezadowolonego z tego powodu.

- No cóż, to już wszystko, co miałem ci do powiedzenia. - Ruszył do drzwi. - Od tej chwili Tawł może liczyć tylko na siebie.

Kosiarz wstał, czując, że gospodarz za chwilę każe mu odejść.

- Nie - powiedział. - Nie tylko na siebie.

- Masz rację. Ma ciebie. - Stary otworzył drzwi, unosząc do twarzy pokrytą starczymi plamami dłoń. - Wiesz co, Kosiarzu, myślę, że kiedy cały ten galimatias się skończy, powinieneś mnie znowu odwiedzić. Moglibyśmy zostać współnikami.

Bez względu na wszelkie starania chłopiec uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mogę cię jeszcze złapać za słowo, Stary.

- Mogę się ucieszyć, jeśli to zrobisz.

Kosiarz podziękował za komplement ukłonem. Wychodząc z pokoju, przypomniał sobie o worku.



- Moth dopilnuje, żebyś go odzyskał - uspokoił go Stary. - Och i powtórz mu, że powiedziałem, żeby podczas powrotu potraktował cię delikatnie. Może tym razem wystarczy przepaska, co?

- To brzmi nienajgorzej.

Kosiarz wyszedł na słabo oświetlony korytarz. Drzwi zamknęły się za nim. No, no, no, myślał, podczas gdy Moth poddawał go rewizji w poszukiwaniu kosztowności. Stary praktycznie podsunął mu plan.

\*

- Przyszedł znikąd, kapitanie - wrzasnął Fyler, przekrzykując łoskot fal. - Przed godziną niebo było czyste jak górski staw.

Tawl nie dosłyszał odpowiedzi kapitana, gdyż o kadłub uderzyła nagle potężna fala.

Pokład zalała góra wodnej kipieli. Statek przechylił się na sterburtę. Trzymając się z całej siły relingu, rycerz opuścił głowę, by deszcz nie siekł w jego twarz.

Wtem niebo przeciął błękitny zygzak błyskawicy, który oświetlił je z przyprawiającą o dreszcz jasnością. Po niespełna dwóch sekundach zahuczał grom.

Tawl spojrział na wykrzykującego rozkazy kapitana. Grupa marynarzy zwijała już żagle. Zabezpieczono pokład i zamykano właśnie ostatnie luki. U steru stał Fyler, lecz gładkie, dębowe koło wyrywało mu się z rąk.

Na pokładzie były trzy lampy: jedna nad kotwicą, druga nad sterem, a trzecia przybita do grotmasztu na wysokości człowieka. Wszystkie się paliły, lecz otaczające je blade aureole wielkości wiadra podkreślały jedynie ciemność. W ciągu ostatniej godziny temperatura gwałtownie spadła, a wiatr przeszedł z silnej bryzy w prawdziwy huragan, który szalał nad morzem, zrywając szczyty fal i niosąc z sobą uderzający wściekle o statek deszcz.

Kącikiem oka Tawl zauważył Jacka, który wyszedł spod pokładu. Chłopak zamknął za sobą luk, walcząc z potężną nawałnicą. Żaglowiec kołysał się na wszystkie strony, a oba maszty trzęsły się jak szalone. Flaga nad bocianim gniazdem zerwała się ze sznura i zniknęła z żółtym blaskiem w mroku.

Nadeszła kolejna fala. Woda uderzyła z impetem w lewy bok Tawla, a potem zalała główny pokład i fordek. Jack zamknął luk i skierował się w stronę dziobu. Rycerz ze zdziwieniem zauważył, że chłopak porusza się bardzo sprawnie. Choć po pokładzie sływała słona woda, a statek kołysał się niczym wahadło, Jack stąpał pewnie. Deszcz lał teraz gęstymi, białymi strugami i Tawl nie widział twarzy przyjaciela, dopóki ten nie podszedł na odległość wyciągniętego ramienia.

Jack zacisnął dłonie na relingu. Oczy spowił mu mrok, a w szyi poruszał się miarowo jakiś mięsień.

Marynarze miotali się jak szaleni po pokładach, przywiązując liny i zwijając takielunek. Ster trzymały teraz dwie pary dłoni: Fylera i kapitana. Tawl nie wiedział wiele o żegludze, odnosił jednak wrażenie, że ruchami statku kieruje wyłącznie sztorm.

Znowu błyskawica. Grom zabrzmiał niemal natychmiast.

Tawl wyraźnie ujrzał twarz przyjaciela i to, co zobaczył, przeraziło go. Zaciśnięte usta Jacka przerodziły się w cienką linię. Oczy miał pozbawione wyrazu. Wydawało się, że wpatruje się nie w burzę, lecz w to, co kryje się za nią.

- Kapitanie, fale są coraz wyższe. Nim się zorientujemy, sięgną burt.

Carver przemknął obok nich, zmierzając w stronę steru.

Jack podążył za nim. Tawl nie miał ochoty oddalać się od relingu, wiedział jednak, że z chłopakiem coś się dzieje i musiał sprawdzić, co to takiego. Oderwał od barierki zdrętwiałe z zimna dłonie i poszedł za przyjacielem. Pokład był śliski jak zamarznięty staw. Tawl ślizgał

się przy każdym kroku. Deszcz utrudniał mu posuwanie się naprzód. Ze wszystkich stron uderzały weń fale. Po nagłym, potężnym podmuchu coś pękło z trzaskiem.

- Hej! Uważaj!

Tawl uskoczył w bok, kierując się raczej instynktem niż rozumem i rzucił się na reling, wybiegając na spotkanie nadchodzącej fali. Woda uderzyła w niego. Wypełniła mu oczy, nos i gardło. Nie mógł oddychać. Powietrze wypełnił wysoki, głośny trzask. Statek przechylił się ostro na sterburtę. Rycerz musiał z całej siły trzymać się relingu, żeby fala go nie porwała.

Trzask!

Choć oczy szczypały go od morskiej soli, Tawl skierował spojrzenie na bezanmaszt, który runął na pokład niczym ścięte drzewo, miażdżąc reling po prawej burcie jak szczapy drewna przeznaczonego na opał.

- Ciąć liny! - krzyknął kapitan.

Przytwierdzone do bezanmasztu liny ściągały grotmaszt w dół. Już w tej chwili cała wielka konstrukcja przechylała się na lewo. Tawl słyszał, jak belka skrzypi pod wpływem naprężenia. Carver pomknął w tamtą stronę, ściskając w dłoni nóż. Rycerz poszukał ręką własnej broni. Nim zdążył się zorientować, zerwał się do biegu. Gdy tylko dotknął lewą stopą pokładu, jego kostkę przeszył ból. Zignorował go. Nie miał wyboru. Dał straszliwy wicher i grotmaszt pochylał się coraz bardziej, gotowy się złamać. Gdyby do tego doszło, statek pójdzie na dno.

Wreszcie dowlókł się do zwałonego bezanmasztu. Liny były grube jak jego nadgarstki i napięte tak mocno, że dźwięczały na wietrze niczym cięciwa łuku. Trzej marynarze, w tym Carver, przecinali je zawzięcie. Wznoszący się nad nimi grotmaszt wygiął się już wyraźnie.

Fale uderzały o kadłub, zalewając pokłady pianą wodną. Statek nie kołysał się już, lecz skakał na wodzie.

Błyskawice przesywały niebo. Biły pioruny. Wicher nadawał strugom deszczu ostrość brzytw.

Przecinali kolejno wszystkie liny. Zwykle wygadany Carver milczał. Tawl pracował u jego boku, posługując się swym nożem. Wreszcie zostały tylko cztery sznury: te, które łączyły ze sobą wierzchołki obu masztów. Rycerz spojrział na koniec bezanmasztu, który wystawał za burtę o dwie długości konia. Podniósł się.

Carver oparł mu dłoń na ramieniu.

- Nie, Tawl. To robota dla mnie.

Rycerz otworzył usta, chcąc się sprzeciwić.

Marynarz ścisnął go mocno.

- Nie, Tawl. Wyświadczyłeś mi kiedyś przysługę, nalegając, że sam wrócisz łodzią z Larnu. Nie zapomniałem o tym i nie pozwolę ci narażać życia, kiedy sam potrafię uporać się z tym zadaniem szybciej i lepiej.

Tawl uściskał mu dłoń.

- Odważny z ciebie człowiek.

- Nie. Po prostu kocham swój statek.

Gdy Carver podszedł do roztrzaskanego relingu, nikt na pokładzie nie odezwał się ani słowem. Bezanmaszt lśnił od słonej wody. Grotmaszt pochylał się nad nim niczym przygięte huraganem drzewko. Cztery liny łączyły oba maszty ze sobą tak samo pewnie, jak smycz łączy psa z jego panem. Carver wlaźł na drzewce i zaczął przesuwając się naprzód. Nóż trzymał

w zębach, gdyż musiał pomagać sobie obiema rękami. Tawl podążał za nim, lecz zatrzymał

się w miejscu, gdzie kończył się pokład.

Trzynastu mężczyzn przyglądało się temu, wstrzymując oddech. Carver znalazł się już nad wzburzonym morzem. Fale uniosły się ku niemu. Gdy dotarł do szczytu masztu, ujął nóż w prawą dłoń i przystąpił do przecinania pierwszej z lin. Deszcz siekł go w twarz. By nie spaść, otoczył belkę nogami. Przecięty sznur strzelił gwałtownie w grotmaszt. O lewą burtę uderzyła potężna fala i na mgnienie oka marynarza otoczyła biała piana. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Potem fala opadła i wszyscy zobaczyli Carvera, który wypluwał z ust słoną wodę, z całej siły przyciskając się do belki.

Wszyscy radośnie krzyknęli.

Carver podziękował im skinieniem głowy.

Tawl nawet nie zauważył, że wyciągnął ciało wzdłuż masztu, gotów - gdyby marynarz spadł - złapać go za nogę lub za portki.

Carver przeciął drugą i trzecią linę, po czym zajął się ostatnią. Grotmaszt skrzypiał jak zbutwiałe schody. Gdy lina wreszcie pękła, wyprostował się gwałtownie. Bezanmaszt, który dotąd wisiał na linach, osunął się w dół, miażdżąc po drodze dalszy odcinek relingu, po czym zatrzymał się nieco niżej.

Tawl bez chwili zwłoki przesunął się wzdłuż belki i chwycił Carvera za nogę.

Marynarz znalazł się tuż nad wodą. Na śliskim maszcie utrzymać się było równie trudno, jak na nasmarowanym tłuszczem słupie. Carver i Tawl popęzli wspólnie w stronę statku. Jack złapał rycerza za nogi, a ktoś inny przytrzymał z kolei jego. Wreszcie Carvera wciągnięto na pokład jak złapaną na wędkę rybę.

- Musimy natychmiast opuścić statek albo wszyscy zginą - oznajmił Jack, gdy tylko Tawl postawił nogi na deskach.

Rycerz, któremu zakręciło się w głowie z radości i ulgi, natychmiast oprzytomniał.

Upewnił się szybko, że Carverowi nic już nie grozi, po czym capnął Jacka za ramię i odciągnął go na bok, pod kajutę bosmana.

- Dlaczego?

Chłopak przemókł do suchej nitki. Jego długie, rozpuszczone włosy unosiły się na wietrze, przesłaniając mu twarz.

- Dlatego, że ten sztorm nie jest naturalny. Wywołały go czary. Czy nie czujesz ich odoru?

Tawl wyczuwał jedynie woń soli oraz ostry, chemiczny zapach błyskawic.

- Nie.

- Nie wiem, w jaki sposób tego dokonano, ale ktoś chce nas zgładzić. Ciebie i mnie, Tawl, nie załogę statku. Jeśli natychmiast go nie opuścimy, burza pochłonie nas razem z marynarzami.

Tawl nigdy dotąd nie widział u Jacka podobnej stanowczości. Nie mogło być mowy o sprzeciwach.

- Jak potężny jest ten sztorm?

- Nadal dość silny, ale z czasem się uspokoi. Nikt nie może podtrzymywać czegoś takiego całymi godzinami, nie tracąc sił.

Tawl skinął głową. W tych sprawach bez zastrzeżeń wierzył Jackowi.

- Jak daleko jeszcze na Larn?

- Kapitan mówi, że gdy rozszalał się sztorm, znajdowaliśmy się sześćdziesiąt mil na południe od wyspy. Borec wie, gdzie jesteśmy teraz.

Znowu nadeszła błyskawica, a tuż za nią grom. Jack miał rację. Burza nie przechodziła, lecz cały czas utrzymywała się nad nimi.

Dwie fale uderzyły o statek jedna po drugiej. „Rybacka Szajka” uniosła się na grzbiecie pierwszej po to tylko, by nadzieć się wprost na drugą. Dziób i fordek zalała woda.

- Jeśli wsiądziemy teraz do szalupy, fale mogą ją roztrzaskać.

Jack spojrział Tawlowi prosto w oczy.

- Albo my, albo cała załoga.

- Myślisz, że odciągniemy od nich sztorm?

- Warto spróbować.

Rycerz skinął głową.

- Zgoda.

\*

Szalupę opuszczono na kabestanie tuż nad powierzchnię morza. Już w tej chwili nabierała wody przez przelewające się przez jej burty fale.

- Nie podoba mi się to - stwierdził kapitan, patrząc na miotającą się na linach łódkę. -

Wy pływać łodzią w taki sztorm to samobójstwo.

Wiatr szarpnął nagle takielunkiem. Po upadku bezanmasztu, grotmaszt był odsłonięty.

Wszyscy napięli mięśnie, czekając aż podmuch się uspokoi.

Jack nie miał pojęcia, co powiedzieć Quainowi. Nie chciał go okłamywać, a nie był

pewien, jak kapitan zareaguje na prawdę. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Tawla, jego przyjaciel zszedł jednak pod pokład, by zabrać potrzebne im rzeczy. Zacerpnął głęboko tchu.

- Burza się nie uspokoi, dopóki obaj z Tawlem nie opuścimy pokładu.

Kapitan skinął głową.

- Nie jestem głupi, chłopcze. Wiem o tym. - Spojrział w stronę steru. Fyler robił

wszystko, by odzyskać kontrolę nad statkiem. W blasku lampy widać było jego wspaniałe, napięte mięśnie. - Taki sztorm nie spada nagle z jasnego nieba. - Quain spojrział z uśmiechem na Jacka. - Jeśli ktoś od czterdziestu lat żegluje po otwartych morzach, miał czas nauczyć się paru rzeczy o życiu.

- Szalupa gotowa, kapitanie - krzyknął jeden z marynarzy.

Jack zrozumiał, dlaczego wszyscy żeglarze mieli donośne głosy.

Potrzebowali ich, żeby przekrzykiwać ryk fal.

- Przepraszam, kapitanie - powiedział, wskazując na niebo. - Nigdy bym nie wsiadł na twój statek, gdybym przewidział, że dojdzie do czegoś takiego.

- Nie ma za co, chłopcze. „Rybacka Szajka” nie jest jeszcze gotowa na spotkanie z dnem.

- Nadchodzi wielka fala, kapitanie.

Jack i Quain spojrzeli na morze. Pośród czerni i szarości widać było błysk czystego srebra. Był to wierzchołek zbliżającej się fali. Sięgał wysoko nad pokład.

- Trzymać się, chłopaki - ryknął kapitan.

Wszyscy padli na pokład, chwytając się relingów albo pachołków cumowniczych, tego, co akurat mieli pod ręką. Jack patrzył na zbliżającą się falę. Wyglądała jak lita, połyskliwa ściana. Wessał gwałtownie powietrze do płuc i złapał się z całej siły pachołka cumowniczego. Usłyszał niski łoskot, który przypominał grzmot, lecz był łagodniejszy i bardziej złowieszczy. Potem fala uderzyła o statek.

Rozległ się ogłuszający szum. „Rybacka Szajka” przechyliła się gwałtownie na prawą burtę, po czym runęła na nich ściana wody. Wstrząs odczuło całe ciało Jacka. Nurt wyrwał

mu kończyny ze stawów. Miał wrażenie, że w twarz grzmotnęły go drzwi. Woda wciąż napływała, kipiąca i wzburzona niczym potężna rzeka. Łamała drzewca i rozbijała lampy.

Ktoś wezwał krzykiem pomocy Borca. Od strony grotmasztu dobiegł głośny trzask.

Gdy fala odpływała, statek wyprostował się gwałtownie.

Zaciśnięte na pachołku palce Jacka zesztyniały z zimna. Włosy miał przyklepione do twarzy. Marynarze zerwali się z miejsc i zaczęli wylewać wodę z pokładu oraz sprawdzać liny. Kilku pobiegło zająć się grotmasztem.

Tawl wyszedł chwiejnym krokiem spod pokładu. On również przemókł do suchej nitki. Przyjrząwszy się panującemu wokół chaosowi, zauważył biegnące wzdłuż grotmasztu pęknięcie.

- Kapitanie, ruszamy natychmiast - powiedział. - Spróbujemy skierować się na północ.

Oddał się od nas tak szybko, jak tylko zdołasz.

Quain skinął głową. Tak jak wszyscy, wpatrywał się w grotmaszt.

- W takim razie odpływajcie. Wrócimy po was, gdy sztorm się uspokoi.

Jackowi trudno było zaczerpnąć tchu. Poznał już kapitana na tyle, by wiedzieć, że nie warto się sprzeciwiać.

- Dziękuję - rzekł tylko.

Quain otworzył usta, by coś powiedzieć, zawahał się jednak.

- Niech Borec będzie z tobą, chłopcze - rzucił na pożegnanie.

\*

Nim Jack zdążył się zorientować, schodzili już po drabince sznurowej, objając się boleśnie o burtę kolanami, kostkami i podbródkami. Dostrzegał na oceanie białe pasma szczytów fal. Deszcz to siekł boleśnie, to lał strumieniami.

Gdy wreszcie chłopak znalazł się w szalupie, miał rozbite oba kolana i jeden łokieć, a do tego skręcił nogę w kostce. Tawl, który podążał za nim, ucierpiał jeszcze bardziej.

Zauważywszy, że przyjaciel gapi się na niego, uśmiechnął się.

- To albo najgłupszy, albo najodważniejszy uczynek w moim życiu.

Jack odwzajemnił uśmiech. Z całego serca radował się, że Tawl mu towarzyszy.

Wspólnie odwiązali cumy i odepchnęli wiosłami szalupę od burty „Rybackiej Szajki”.

Marynarze wychylili się przez reling, machając im rękami na pożegnanie. Było za ciemno, by rozróżnić twarze, i zbyt wietrznie, żeby usłyszeć słowa. Nie miało to znaczenia. Tej nocy Jack dowiedział się, że życzliwości nie trzeba widzieć ani słyszeć. Wystarczy ją czuć.

Odpłynęli. Fala uniosła ich od statku i skierowała na południe, zalewając szalupę zimną, spienioną wodą. Jack wiosłował, a Tawl wylewał wodę z łodzi.

Tuż nad powierzchnią morza wiatr był słabszy, jednak zimniejszy. Fale wydawały się niewiarygodnie wielkie, gdyż unosiły każdorazowo małą łódkę, zamiast załamywać się na niej, jak na wysokiej burcie „Rybackiej Szajki”, która blokowała im trasę.

Przez pewien czas wszystko było w porządku. Statek przerodził się w widoczną w oddali ciemną sylwetkę. Po kilku minutach, gdy Jack obejrzał się za siebie, nie było już go widać. Wtedy właśnie nastąpił ostateczny atak sztormu. Jack wyczuł, że burza - czy raczej ukrywająca się za nią moc - czekała na okazję, by złapać ich, gdy będą sami. Przerzął go ogrom wywołujących sztorm czarów. Były potężne i dzikie, wykraczały poza granice jego pojmowania. Nie potrafił rzucić im wyzwania. Powinien dłużej zostać ze Stillfoxem, więcej się nauczyć, uważniej słuchać, bardziej się starać.

Czary te nie tylko miały potężną moc, lecz również były wyrafinowaną, wielowarstwową konstrukcją, w której sercu kryła się żelazna wola.

Jack wyczuwał ją teraz. Zbliżała się, gotowa ich zabić. Metaliczny posmak łatwo było rozpoznać. Przesycał sobą powietrze. Wiatr się wzmagał, a fale były coraz wyższe. Miotły małą szalupą niczym spływającym strumieniem liściem. Morze przypominało wściekłego psa. Było agresywne, toczyło pianę i wyrwało się spod wszelkiej kontroli.

Tawl przestał wylewać wodę. Zajął się teraz wiązaniem. Z początku Jack nie rozumiał, co robi jego przyjaciel. Rycerz przeciągnął grubą linę cumowniczą pod ławką, na której siedział Jack, po czym przymocował ją mocno jego nogi. Chłopaka ogarnęła panika.

Tawl przywiązywał go do łodzi. Przytroczył uda Jacka do ławy jeszcze dwoma pętlami, po czym usiadł naprzeciw niego i zaczął przywiązywać się sam. Nie odzywał się przy tym ani słowem.

Jack czuł się jak w pułapce. Nie mógł ruszać nogami. Szalupa kołysała się i wirowała.

Siekły ich strugi deszczu. Woda lała się ze wszystkich stron. Twarz Tawla miała zasępiony wyraz. Trzymał w ręku drugą parę wiosel. Fale nadciągały szybko. Zbyt szybko, żeby łódź

miała czas się wyprostować.

Choć siedział po łydki w słonej wodzie, spróbował skoncentrować się na ukrytych za burzą czarach. Przed nimi w wodę uderzyła błyskawica, której towarzyszył grzmot. Deszcz i wiatr zawirowały wokół nich. Podmuch cisnął łodzią, wprost w nadchodzącą falę. Jackiem rzuciło do przodu. Sznur wpił mu się boleśnie w uda. Nagle chłopak znalazł się pod wodą.

Nic nie widział. Nie mógł oddychać.

Łódź wciągnęła go za sobą. Morze zawirowało wokół niego, miażdżąc go i wyzymając. Rozległ się głuchy łoskot i jego głowę przeszył ostry ból. Zdawało mu się, że słyszy, jak Tawl woła go po imieniu. Potem wszystko pochłonęła ciemność.



Zima w Rornie była tylko nieco chłodniejsza niż lato, lecz z jakiegoś powodu słońce zawsze świeciło wtedy jaśniej. Być może silny wiatr sprawiał, że powietrze stawało się rzadsze, albo kryształ wody wzmacniały słoneczny blask. A może było to jedynie złudzenie.

Gamil nie znał odpowiedzi na to pytanie. Gdy jednak szedł przez pałacowy dziedziniec, udając się na umówione na wczesny rano spotkanie, zapisał sobie w pamięci, by ją poznać.

Lubił wszystko wiedzieć. W gruncie rzeczy, po to właśnie żył.

Niektórzy twierdzili, że wiedza jest drogą do władzy. Mieli rację, nie było to jednak bynajmniej wszystko. Mogła ona dać człowiekowi znacznie więcej. Na przykład satysfakcję.

Któż nie czułby niezwykłego połączenia samozadowolenia z triumfem, jeśli spożywając kolację z przyjaciółmi zdawał sobie sprawę, że zna ich wszystkie straszliwe, intymne sekrety?

Któż nie radowałby się, poznając - i starannie katalogując - wszelkie słabości i nałogi swych współpracowników?

Poza satysfakcją, wiedza dawała też pewność siebie. Powiększała się sama, tworząc dynastię zdobytych wpływów, niespłaconych długów, wzajemnego szacunku i strachu.

Handlarz jedwabiu, który czuł zabroniony pociąg do młodych chłopców, z radością zdradzał

najnowsze plotki z Isro; cieśle okrętowi budujący ładownie nadające się do przewożenia niewolników bez oporów dzielili się zyskami albo informacją z wielo wiedzującym, lecz umiejącym zachować milczenie przyjacielem. Nielegalne transakcje, zakazane praktyki seksualne, tajemnice z przeszłości, fałszywe fasady i dobrze ukryte ślady - to była waluta, którą posługiwał się Gamil.

Och, mógłby już zdobyć majątek - szantażysta może zarobić na odkrytych przez siebie skandalach tyle, że wystarczyłoby mu na całe życie - nie chodziło jednak o pieniądze. Dla niego liczyła się tylko wiedza. Po co przyjmować zapłatę w złocie, jeśli można zamiast niego otrzymać ważną informację? Złoto mogło być legalnym środkiem płatniczym, było jednak bezkrwawe jak trup, podczas gdy wiedza żyła i oddychała.

Gamil miał dziś otrzymać taką właśnie zapłatę. Umówił się w jednej z tawern z człowiekiem, który opowie mu o ostatnich wydarzeniach na północy. Miał nadzieję, że dowie się, czy osławiona lady Melliandra jeszcze żyje. Tak czy inaczej, spotkanie musi być krótkie.

Za niespełną godzinę oczekiwano go w pałacu. Z pewnością czekały go tam kolejne poniżenia z rąk tłustego, leniwego gaduły, powszechnie znanego jako arcybiskup Rornu.

Przechodząc przez pałacowe bramy, Gamil starał się nie myśleć o nowym koncepcie Tavaliska, który ostatnio z upodobaniem zmuszał go do zdrapywania z podłogi martwych zwierząt. W zeszłym tygodniu były to ślimaki, a przed kilkoma dniami żaby. Co nowego wpadnie dziś do głowy Jego

Eminencji?

- Przepraszam, mój panie. Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Gamil poderwał się przerażony. Jakiś nędzny uliczny włóczęga ośmielił się go dotknąć. Rozejrzał się wokół. Pałacowi strażnicy byli w zasięgu głosu. Zaczerpnął tchu, by krzyknąć.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił. Nie chciałbyś, żeby mnie złapali i poddali torturom. - Mówiącą do niego osobą był mniej więcej dwunastoletni chłopiec. Oczy i włosy miał ciemne i był chudy jak tyka. Uśmiechał się. - Nie sposób przewidzieć, co mógłbym im w takiej sytuacji powiedzieć.

Gamil potrafił rozpoznać zawołaną groźbę. Jedną z nielicznych wad wiedzy był fakt, że mogła prowadzić do prób wymuszenia. Złapał chłopca za kark i pociągnął go za sobą.

Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy zniknęli strażnikom z oczu.

- O co ci chodzi? - zapytał, zwracając się do młodego ulicznika.

Chłopiec wygładził demonstracyjnie bluzę.

- Jestem zaskoczony, że mnie nie znasz, przyjacielu.

Gamil sprawdził w pamięci listę ludzi, z którymi ostatnio miał do czynienia. Znalazł na niej tylko jednego dwunastoletniego chłopca.

- Czy jesteś towarzyszem rycerza imieniem Tawl?

Ulicznik skinął głową.

- To ja. Wołają na mnie Kosiarz. Ale o tym już pewnie wiesz. Ostatecznie z tego właśnie słyniesz. Z wścibiania nosa w cudze sprawy.

Gdy chłopiec wypowiadał te słowa, Gamil rozejrzał się wokół. Nie zauważył nikogo poza starym sprzedawcą pomarańczy. Na szczęście w otaczającej pałac dzielnicy nie spotykało się zbyt wielu gapiów. Niemniej z prawej strony było trochę cienia i Gamil tam właśnie poprowadził nowego przyjaciela.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał.

- Żebyś załatwił mi spotkanie z arcybiskupem. Oczywiście dyskretnie. Zamienię z nim parę słówek i zniknę.

Gamil cofnął się od budzącego niesmak chłopca. Jego rozmówca musiał być obłąkany. Spotkanie z Tavaliskiem! Za kogo się uważał?

- To nie wchodzi w rachubę. Jego Eminencja nigdy nie udziela audiencji... - Gamil zadrzał z niesmaku - ...ludziom z ulicy.

Chłopiec nie przejął się jego słowami.

- Zgodzi się, jeśli go o to poprosisz.

- A dlaczego miałbym to robić?

- Dlatego, że nie chciałbyś, by staruszek Tavalisk dowiedział się, że masz konszachty z Larnem.

Gamil nawet nie drgnął. Nie zaczerwienił się ani nie mrugnął. Od lat wysłuchiwał

zniewag i monologów arcybiskupa, dzięki czemu osiągnął mistrzostwo w sztuce ukrywania uczuć. Z żołądkiem sprawy miały się jednak inaczej. Gamil miał wrażenie, że ów organ dostał

nagle skrzydeł i próbuje uciec przez gardło. Wiedza niosła ze sobą wiele darów, lecz niestety odwaga do nich nie należała.

Z wysiłkiem wziął się w garść. Przede wszystkim musiał sprawdzić, ile wie ulicznik.

- Chłopcze, jesteś kłamcą i jako takiego sędzia może cię postawić w stan oskarżenia.

- To dlaczego po któregoś nie pójdziesz? - odparował chłopiec. - Zaczekam tutaj.

Mam czas. - Z demonstracyjną nonszalancją przyjrzał się brudowi, który tkwił pod jego paznokciami.

- Już wiem. Będę sobie myślał o tych wszystkich listach, które otrzymujesz z wyspy.

Żołądek Gamila zakończył lot i przygotował się do lądowania. Najbardziej bał się tego, że arcybiskup dowie się o jego kontaktach z Larnem. Tavalisk natychmiast usunąłby go ze stanowiska i kazał wygnąć. Gamil poczuł, że za uchem spływa mu strużka potu. Bez względu na całą nienawiść, którą darzył tłuszciocha, pozycja głównego sekretarza była dla niego wszystkim. Znosił to, że w pałacu traktowano go jak popychadło, w mieście był

bowiem praktycznie królem. Podlegała mu siatka szpiegów i donosicieli, ludzie bali się go i szanowali, sklepikarze sprzedawali mu towar po obniżonej cenie, a prostytutki oferowały swe usługi za darmo.

Wiedza dawała również poczucie własności. Gamil nauczył się uważać Rorn za swoje miasto. Wiedział o jego mieszkańcach, historii i polityce więcej niż ktokolwiek spośród żywych. Wymykał się codziennie z pałacu, by zbierać informacje z setek różnych źródeł, i zasłużył sobie na władzę. A teraz ten mały parweniusz chciał mu wszystko odebrać.

I przez co? Przez Larn. Cała ta sprawa po prostu nie była tego warta. Zaczął

korespondować z kapłanami po to tylko, by zdobyć informacje ze świata. Tego, co wiedzieli jasnowidze, nie można było podsłuchać w tawernach ani wyczytać w księgach. Widzieli przyszłość.

Żadna wiedza nie mogła być bardziej ekscytująca.

W zamian za nią Gamil od czasu do czasu wyświadczał Larnowi drobne przysługi.

Nie było to nic ważnego, co mogłoby zagrozić jego pozycji. Przed tygodniem otrzymał

jednak list od samego najwyższego kapłana. Zakapturzony oznajmiał w nim, że rycerz niedługo odwiedzi Rorn, i w jednoznacznych słowach żądał, by Gamil nie pozwolił mu wsiąść na statek płynący na Larn.

Uczył, co mógł, lecz gdy Tavalisk z niechęcią wysłał żołnierzy, rycerz pożegłował

już w siną dal. Znaczyło to, że rozbudził podejrzenia Jego Eminencji i nic w zamian nie osiągnął. Tavalisk miał wiele wad - był między innymi żarłokiem, narcyzem, leniem i sadystą

- przede wszystkim jednak był podejrzliwy. Nawet drobiazgi na długo zapadały mu w pamięć, oczekując na powiązane z nimi informacje, które przyniosą potwierdzenie bądź zaprzeczenie.

Gamil nie miał wątpliwości, że ich ostatnia rozmowa o rycerzu stanie się jednym z podobnych detali. Młody opryszek, którego miał obecnie przed sobą, byłby wystarczającym dowodem słuszności podejrzeń Tavaliska. Co prawda, nigdy nie udałoby mu się dostać przed jego oblicze, mógłby jednak rozsiewać plotki, słać listy i szerzyć pomówienia na dystans.

Gamil zadrżał na tę myśl. Po prostu nie mógł podejmować takiego ryzyka. Skinął na chłopca, nakazując mu podejść bliżej.

- Jak rozumiem, jeśli zgodzę się załatwić ci audiencję u Jego Eminencji, nie wspomnisz ani słowem o Larnie? - zapytał.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

- Larn? Nigdy o nim nie słyszałem.

\*

Tarissa drwiła z niego. Jej głos brzmiał przenikliwie, a śmiech był okrutny.

- Jack!

Znowu zalało go coś zimnego. Zimnego, słonego i mokrego. Spłynęło po bokach i wypełniło usta. Nie zakrztusił się jednak. Jakiś głęboko zakorzeniony instynkt kazał mu przełknąć płyn, zamiast wciągnąć go do płuc. - Jack!

Ciecz spłynęła z niego, zostawiając go ociężałym i zziębniętym. Zdawał sobie niejasno sprawę z tego, że jest to nieprzyjemne wrażenie, nie miał jednak nic przeciwko temu.

Wiedział, że wszystko zaraz wróci do normy.

Tarissa stała nad nim. Wrzeszczała. Spróbował się od niej odwrócić. Wzdłuż ud przebiegał mu piekący ból. Nie mógł poruszyć nogami. Znowu trysnęła na niego zimna ciecz, która tym razem zalała mu nie tylko usta, lecz również oczy. Jack wiedział, że musi coś zrobić, było mu jednak zbyt wygodnie. To, na czym leżał, ukształtowano specjalnie dla niego.

Miało zagłębienie na łokieć i podwyższenie pod głowę. Czuł się tak dobrze, że gdyby nie zrządzenie Tarissy zapadłby już w miły, ciemny sen.

- Jack!

Ktoś wołał go po imieniu. Nie była to jednak Tarissa. Głos był zbyt niski. Jack znieruchomiał. Ból w udach przeszedł w słabe pulsowanie i chłopak chciał, żeby ten stan się utrzymał.

- O mój Boże, Jack!

Ktoś zaczął nim potrząsać, odgarniać mu włosy z twarzy i uderzać po policzkach.

Potem obrócił go na brzuch i przystąpił do ugniatania pleców pięściami.

- Obudź się. Obudź!

Nieznajomy odwrócił go raz jeszcze i zaczął uciskać miarowo jego pierś. Następnie wytarł mu usta i pociągnął za ramiona w górę jakiegoś stoku.

Wtem uderzył w niego ból i w tej samej chwili rozległ się krzyk Tarissy. Jack nie wiedział, co jest gorsze. Wzdłuż ud przebiegały przeszywające spazmy, a jednocześnie wyśmiewała się z niego kobieta, którą nadal kochał. Tego już było za wiele. Otworzył oczy.

Ujrzał mewy na tle błękitnego nieba. Ich ochryple krzyki brzmiały prawie jak ludzkie.

Jack poczuł się rozczarowany. To jednak nie była Tarissa.

- Jack, nic ci nie jest? - zapytał Tawl. Pochylał się nad nim z nożem w rękę. - Zaraz przetnę sznury.

Jack pochylił głowę. Ujrzał morze, brzeg, a dalej plażę. Opuściwszy wzrok, zobaczył, że nogi wciąż ma związane. Pod sobą mieli prostokąt drewna: ławkę z szalupy. Tawl wziął się za cięcie lin.

Ruch pobudził coś w żołądku chłopaka. Odwrócił się w lewo i zwymiotował. Z

brzucha trysnęła mu słono-gorzka woda.

- Świetnie - powiedział Tawl, podtrzymując mu głowę. - Jak pozbędziesz się całej tej wody, od razu poczujesz się lepiej. - Uśmiechnął się. - Chyba nic ci nie będzie. Spróbuj poruszyć nogami.

Chłopak obrzucił go pełnym wyrzutu spojrzeniem. Wiedział, że to, co ma zrobić, będzie dla niego bardzo nieprzyjemne. Zaczął od palców nóg. Wysłał wzdłuż nerwów ostrzegawczy sygnał, przygotował się, a potem napiął mięśnie stóp i kostek. Zalały go fale ostrego, gwałtownego bólu,

który przebiegł z okrutną beztrąską wzdłuż jego ud, pozostawiając po sobie nudności i zawroty głowy.

Znowu musiał obrócić się na lewy bok, by usunąć z brzucha kolejną porcję wody.

Tawl grzmotnął go w plecy.

- Świetnie. Możesz ruszać palcami nóg. - Ujął Jacka pod pachy i ściągnął go z piasku..

- Chodźmy już. Tu jesteśmy zbyt odsłonięci. Musimy znaleźć jakąś kryjówkę.

Oslabiony wymiotami, bólem i gorączką Jack zdecydowanie nie miał ochoty nigdzie iść.

- Chyba nie utrzymam się na nogach.

Tawl pochwycił go na wysokości pasa.

- W takim razie cię poniosę.

Jack odepchnął go.

- Nie. Jakoś sobie poradzę.

Nikt nie będzie go nosił jak niemowlaka.

Musiał jednak wesprzeć się całym ciałem na Tawlu. Nogi ugiwały się pod nim co kilka kroków, drżał cały i miał trudności z utrzymaniem się w pionie. Gdyby pozwolić mu stanąć samemu, po prostu zwaliłby się na piasek. We dwóch udało im się przebrnąć przez wąską plażę, a potem ruszyć wzdłuż brzegu zatoczki. Wreszcie znaleźli miejsce, gdzie wysokie skały rzucały na wschód długi cień.

Usiedli na mokrym, usianym kałużami piasku. Zewsząd otaczały ich głązy upstrzone zielonymi, brązowymi i białymi plamkami. Ze szczelin w kamieniu tryskała woda, a pod jej powierzchnią lśniły osadzające się tam minerały. Kraby pierzchały przed wędrowcami w poszukiwaniu schronienia, a dziwaczne owady o krótkich nogach i płaskich ciałach zagrzebywały się w piasku. Huk oceanu odbijał się echem od skał, zagłuszając pokrzykiwania mew.

Umysł Jacka odzyskiwał sprawność wolniej niż ciało. Chłopak pamiętał nadejście sztormu i szalupę, w której opuścili statek, potem jednak była tylko biała plama.

- Co się stało?

Tawl wzruszył ramionami. Siedział wsparty o skałę.

- W szalupę uderzyło kilka wielkich fal. Łódź poszła pod wodę, a potem się roztrzaskała. Nas wyrzuciło na brzeg, razem ze szczątkami.

Jack przypomniał sobie sznur, którym rycerz otoczył jego uda. Zadrżał.

- Czy dlatego właśnie przywiązałeś nas do ławki?

- Wiedziałem, że fale mogą przewrócić szalupę do góry dnem. Ale widziałeś ten sztorm, Jack. Nie miał zamiaru się uspokoić, dopóki jej nie rozwali. Musiałem coś zrobić.

Podjąłem ryzyko, licząc na to, że łódź prędzej się rozleci niż przewróci do góry dnem.

- A nas szczątki wyciągną na powierzchnię?

Tawl skinął głową.

- Pewnie tak. Właściwie się nad tym nie zastanawiałem.

Wyglądał na znużonego. Jack dopiero teraz zauważył, jak bardzo ucierpiał jego przyjaciel. Twarz miał posiniaczoną, opuchniętą i naznaczoną dwiema szramami: większą na czole i mniejszą nad górną wargą. W portkach miał pełno dziur, a z bluzy zostały tylko strzępy. Pod materiałem widać było krwawiące ciało.

Tawl zauważył, że Jack gapi się na niego.

- Lepiej przyjrzyj się sobie - poradził z uśmiechem.

- Nie mam zamiaru - odparł chłopak. - Wiosną spędziłem kilka tygodni w halcuskim więzieniu. Przedtem pogryzła mnie cała sfera psów. Nie wyglądało to ładnie. Wtedy właśnie opanowałem sztukę nie patrzenia na siebie.

Tawl uniósł do światła zakrwawione ramię.

- Musisz mnie kiedyś tego nauczyć.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Żart nie był szczególnie zabawny, lecz wyrażali w ten sposób nie tyle wesołość, co radość z ocalenia życia.

Po chwili uspokoił się. Co dziwne, Jack poczuł się teraz bliższy Tawlowi. Przez całą drogę uważał, że rycerz jest nieomylny. Wiedział wszystko o koniach, broni, podróżowaniu i medycynie. Czasem wydawał mu się z tego powodu zbyt doskonały. Kiedy przyznał, że przywiązując ich do łodzi, nie kierował się głęboką znajomością morza, lecz czystą desperacją, stał się w jego oczach bardziej ludzki.

- „Rybacka Szajka” miała szczęście - oznajmił Tawl.

- Dlaczego?

Jack znalazł sobie wygodne miejsce i położył się na wilgotnym piachu oraz drobnych kamykach.

- Dlatego, że byliśmy bliżej Larnu niż nam się zdawało. Wyspę otaczają mielizny i skały. Sztorm pchał nas w tamtą stronę. To cud, że statek na żadną z nich nie wpadł.

- Opuściliśmy go akurat na czas - zauważył Jack z roztargnieniem w głosie. Jego umysł funkcjonował już normalnie. A więc wyrzuciło ich na Larn. Nie było to właściwie niespodzianką. Gdzie indziej mogliby się znaleźć? Po prostu nie zastanawiał się dotąd nad tą kwestią. Widział plażę, trochę skał i morze. To było wszystko, co dla niego istniało.

Teraz jednak przyjrzał się otoczeniu uważniej. Wiatr stał się zimniejszy, blask słońca ostrzejszy, a mokry piach pod jego palcami zamienił się w błoto.

- Myślisz, że wiedzą, iż tu jesteśmy?

Tawl przeszył go ostrym spojrzeniem.

- A jak ty uważasz?

- Nie mam szóstego zmysłu, Tawl. - Z jakiegoś powodu poczuł się poirytowany. - W

nocy wykryłem czary dlatego, że poczułem ich zapach. Ich smak. Nie jestem magikiem z kryształową kulą.

- Przepraszam, Jack. Nie znam się na tych sprawach.

- Ja też nie. - Popatrzył przez chwilę na Tawla. Obaj potrzebowali odpoczynku. -

Udało ci się coś uratować z szalupy? - zapytał, chcąc zmienić temat.

- Nie. Straciliśmy wszystkie zapasy. Mamy tylko mój nóż.

- To co zrobimy?

Tawl pochylił się.

- Musimy przyjąć założenie, że nie wiedzą o naszej obecności. Jeśli to oni wywołali sztorm, jest bardzo prawdopodobne, iż myślą, że zgineliśmy. Najlepiej będzie schować się tutaj i zaskoczyć ich pośrodku nocy. Proponuję, żebyśmy się trochę przespali, a po zmierzchu wdrapali na urwiska.

Jack skinął głową. Zdumiewało go, że potrafi zachować spokój, choć żołądek wypełniała mu twarda bryła strachu. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że Larn, prorocтво i misja to nie opowiadane przy ognisku historie, lecz najprawdziwsza prawda.

\*

Gdy Kosiarz podążał pałacowymi korytarzami na spotkanie z arcybiskupem, towarzyszyło mu silne wrażenie *déjà vu*. Gamil kroczył przed nim, narzucając ostre tempo.

Zachowywał się jak nerwowy ogar. Choć jednak sekretarz poruszał się szybko, Kosiarz miał czas przyrzeć się otoczeniu. Dlatego właśnie był coraz bardziej przekonany, że skądś zna znajdujące



się tu przedmioty.

Złote urny, marmurowe posągi, obrazy, gobeliny, wysadzone klejnotami relikwiarze...

z jakiegoś dziwnego powodu wydawało mu się, że wszystkie gdzieś już widział.

Wyciągnął ukradkiem rękę, by dotknąć stojącej we wnęce złotej urny. Nie była tak ciepła, jak prawdziwe złoto. Mógł zrobić tylko jedno. Sięgnął pod bluzę i wydobył stamtąd igłę do cerowania.

- Szczury! - wrzasnął nagle na cały głos.

Gdy ogarnięty paniką Gamil zajął się podskakiwaniem, chłopiec przejechał igłą po powierzchni urny. Tak jak myślał: pod spodem był zwykły metal.

- Nie ma tu żadnych szczurów. - Gamil pociągnął go za ucho. - Co ty kombinujesz?

Kosiarz wsunął igłę w rękaw.

- Mógłbym przysiąc, że je widziałem, przyjacielu. Dwie wielkie, włochate sztuki.

Gamil chrząknął z irytacją, po czym ruszył naprzód, ciągnąc Kosiarza za bluzę.

- Jeśli spróbujesz czegoś takiego z Jego Eminencją, opuścisz pałac bez języka.

Chłopiec przybrał skruszoną minę. Minęli wysoką galerię i krótkie schody, po czym weszli do wykładanego marmurowymi płytami korytarza. Na jego końcu znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi. Kosiarz, który założył na tę okazję najlepszy strój, poprawił bluzę i spróbował przełknąć ślinę, by uwolnić się od skurczu w gardle.

Gamil wyciągnął rękę, by zapukać do drzwi, lecz chłopiec go powstrzymał.

- Nim wejdziemy, chciałbym cię jeszcze o coś zapytać, przyjacielu - oznajmił.

Gamil nie wyglądał na zadowolonego.

- Co znowu?

- Te pałacowe skarby. Urny, posągi i takie tam rzeczy. Są autentyczne, prawda?

- Oczywiście. Te dary gromadzono od stuleci. Są bezcenne. Święte skarby Rornu ustępują wartością tylko silburskim.

- Hmm. To bardzo interesujące. Możesz już pukać.

Gamil przeszył go miazdzącym spojrzeniem, po czym zastukał bardzo cicho do drzwi.

- Proszę! - rozległ się stłumiony krzyk.

Weszli do wspaniałej, złotej komnaty. Przez łukowate okna z barwionego szkła napływało do niej światło, a pokrywające marmurową posadzkę dywany miały co najmniej dwa palce grubości.

- Wasza Eminencjo, oto młody człowiek, o którym ci wspominałem. Obiecałem mu tylko trzy minuty twego czasu.

Kosiarz podszedł bliżej. Jak wszyscy w Rornie znał arcybiskupa z widzenia. Tavalisk nigdy nie opuszczał żadnej parady. Miał na sobie piękne, kremowożółte jedwabie i przy każdym ruchu szeleścił niczym bogaty monarcha.

- To bardzo niezwykle, Gamilu - zauważył. - Przeszkodziłeś mi w spożywaniu lemingów.

- Błagam o wybaczenie, Wasza Eminencjo. Jeśli wolisz, to...

Arcybiskup zamachał bogato upierścienioną dłonią.

- Nie, nie, porozmawiam z nim teraz. Jak masz na imię? - zapytał, zwracając się do chłopca. - Kisiarz?

- Kosiarz.

- Bardzo ładnie. Możesz już odejść, Gamilu.

- Ale, Wasza Eminencjo...

- Idź, Gamilu. Jestem pewien, że młody Kosiarz chciałby ze mną pomówić w cztery oczy.

Uśmiechnął się do chłopca.

Gamil ścisnął bardzo mocno bark Kosiarza.

- Jedno słówko o Larnie, a stracisz język - mruknął pod nosem.

- Nie ma obaw, Gamilu - wyszeptał chłopiec, zaciskając zęby.

Sekretarz raz jeszcze ścisnął dłoń, przebijając mu skórę paznokciami, po czym niechętnie się oddalił.

Arcybiskup przywołał Kosiarza skinieniem dłoni.

- Podejdź bliżej, młody Kosiarszu. Co sądzisz o lemingach?

- Nigdy o nich nie słyszałem. I nazywam się Kosiarz.

- Niech ci będzie. Chcesz spróbować jednego? - Arcybiskup zamachał szpikulcem, na który było nadziane coś małego, co przypominało wiewiórkę. - Sprowadzam je z Górnego Północnego.

- Wygląda kusząco, ale chyba będę musiał się powstrzymać, Wasza Eminencjo.

- Trudno. Więcej zostanie dla mnie - odparł z westchnieniem arcybiskup. Nadgryzł

delikatnie wiewiórkopodobne stworzenie. - Skoro już zająłem się jedzeniem, to może mi zdradzisz, jak zdołałeś zmusić mojego sekretarza do załatwienia ci tego spotkania? Nie przypominam sobie, żeby Gamil przyprowadził mi kiedyś chłopca z ulicy. - Znów uniósł

leminga do warg. - A może przypadkiem go szantażujesz?

Tłuscioch nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. Kosiarz poddał rewizji swoją opinię o nim. Chcąc zyskać na czasie, odwrócił się do arcybiskupa plecami i zaczął rozglądać się po komnacie. Z całą pewnością nie wszystko, co się świeciło, było złotem. Chłopiec uśmiechnął

się. Nagle poczuł się pewniej. Pora zmienić plan.

- Gdybym szantażował Gamila, Wasza Eminencjo, nie mógłbym ci przecież powiedzieć, co na niego mam.

Arcybiskup trzymał teraz w dłoni srebrny puchar.

- Chłopcze, mógłbym w jednej chwili wyciągnąć z ciebie wszystko. Moi oprawcy nie mają sobie równych. Powiedz mi proszę, co wiesz o Gamilu.

- Nie mogę, Wasza Eminencjo. Kiedy już zawrę układ, moje usta są zamknięte na zawsze.

Do tej chwili, by uzyskać od arcybiskupa to, czego chciał, planował posłużyć się blefem. Wiedział o należącym do niego, pełnym skradzionych skarbów magazynie i zamierzał oznajmić, że jeśli Jego Eminencja nie zgodzi się zostawić rycerza w spokoju, budynek spłonie jeszcze przed zachodem słońca. Wymyślił czekającego pod gmachem wspólnika z pochodnią w ręku, który podłoży ogień, jeśli w ciągu godziny nie otrzyma od niego wiadomości.

Nie był szczególnie zadowolony z tego planu, lecz na oczekaniu nie potrafił

wymyślić nic lepszego. Ponadto Szybcior zwykł mawiać: „Jeśli wszystko inne zawiedzie, najlepszym wyjściem jest pomysłowy blef”. Sytuacja jednak się zmieniła. W planie, który rodził się właśnie w jego głowie, było znacznie mniej elementów blefu - pomysłowych czy nie.

- Chłopcze, czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli mi nie odpowiesz, każę cię poddać torturom?

- A czy ty zdajesz sobie sprawę, że w zawodzie szantażysty najważniejsza jest umiejętność trzymania gęby na kłódkę? - Kosiarz uśmiechnął się szeroko. Pozwolił sobie podejść bliżej i przebiec dłonią po skarbach leżących na biurku arcybiskupa: pozłacanych szkatułkach, pucharach, wysadzanych klejnotami lichtarzach i kadzielnicach. Wybrał

szczególnie ładną złotą statuetkę. Jeśli się nie mylił, przedstawiała ona świętą matkę Borca. -

Naprawdę niezła, jak na falsyfikat - stwierdził, unosząc ją do światła.

Na podłogę spadło nagle tyle lemingów, że aby je nadziać potrzeba by czterech szpikulców. Z ust arcybiskupa wyrwał się cichy, świszczący dźwięk. Jego palce powędrowały do wielkiego pierścienia z rubinem, który miał na lewej dłoni. Kosiarz znalazł się na rubinach.

Ten był trochę zbyt jaskrawy, odrobinę zanadto krzykliwy, żeby mógł być autentyczny.

- Widzę, że on też jest fałszywy - dodał, wskazując na pierścień. - Oczywiście nikt by tego nie zauważył, gdyby nie wiedział, czego szuka. Osobiście nigdy bym się nie domyślił, że wszystkie te rzeczy są podrobione, gdybym nie widział oryginałów na własne oczy.

Arcybiskup wyraźnie zapomniał języka w gębie, Kosiarz postanowił więc mówić dalej.

- Obaj wiemy, gdzie są święte skarby Rornu. Jedno jest pewne. Nie ma ich w tym pałacu. Są w małym, eleganckim domku nieopodal Morwowej. To naprawdę bardzo ładny budynek. Wypchany łupami aż po krokwie.

Kosiarz wiedział, że się nie myli. Przed trzema laty był w owym budynku, sprawdzając go dla Szybciora. Rzecz jasna, gdy tylko się zorientowali, że jego właścicielem jest arcybiskup, natychmiast się wycofali. Skarb jednak dobrze zapisał się w jego pamięci i gdy tylko Kosiarz wszedł do pałacu, natychmiast wszystko sobie przypomniał: złote anioły, emaliowane puzderka, wysadzone klejnotami skrzynie, niezliczone obrazy przedstawiające Borca w towarzystwie uczniów. Staruszek Tavalisk zwędził cały ten skarbiec.

- Chłopcze, jesteś obłąkany. Natychmiast wezwę strażników.

Arcybiskup sięgnął po sznur dzwonka.

- Jeśli poddasz mnie torturom albo zabijesz, wszystko wyjdzie na jaw. - Kosiarz czuł

się coraz pewniej. Znalazł się na znajomym terytorium pomysłowego blefu. - Myślisz, że wszedłbym do jaskini lwa, nie zostawiając na zewnątrz pomocnika?

Dłoń opadła.

- Czy ktoś jeszcze wie o tym ohydny kłamstwie?

- Tylko ja i mój bliski przyjaciel. Nie ma powodu do obaw, Wasza Eminencjo. Nigdy w życiu nie spotkałeś dyskretniejszych ludzi.

- Czego chcesz?

- Po pierwsze, zostaw rycerza w spokoju. Chcę, żeby po powrocie do Rornu zszedł

spokojnie z łodzi i cały opuścił miasto.

- I?

- Jestem przekonany, że więzisz przyjaciółkę rycerza. Damę imieniem Megan. Chcę, żeby ją uwolniono. Dzisiaj. Natychmiast. Może odejść ze mną.

Kosiarz nie miał zielonego pojęcia, kim jest Megan, najwyraźniej jednak Stary uważał

ją za ważną, skoro o niej wspomniał. Poza tym, wszyscy przyjaciele Tawla byli jego przyjaciółmi.

Podczas rozmowy twarz arcybiskupa stopniowo zmieniała barwę, przybierając wreszcie bardzo niepokojący odcień sinego brązu. Tavalisk pociągnął za sznurek.

- Chłopcze, powiem ci to bardzo dobitnie. Twoje oskarżenia to bezczelne łgarstwa.

Niestety wielki człowiek, taki jak ja, nie może sobie pozwolić na to, by jego reputację splamiły podobne oszczerstwa. Dlatego i tylko dlatego zgadzam się spełnić twe prośby.

Kosiarz doszedł do wniosku, że wypada się pokłonić.

- Oczywiście, Wasza Eminencjo.

Arcybiskup nalał sobie kielich wina.

- Muszę też dodać, że jeśli dotrze do mnie choć słóweczko o tej ohydnej plotce, nie spocznę, póki obaj z rycerzem nie zamienicie się w gnijącą padlinę. Czy to jasne?

Kosiarz zadrzał. Nie potrafił się powstrzymać. Arcybiskup rzucił tę groźbę tak niedbałym tonem, że nie sposób było wątpić, iż mówi poważnie. Szybcior miał rację, że nie chciał z nim zadzierać.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł sekretarz Tavaliska.

- Ach, Gamilu, twój młody przyjaciel już nas opuszcza. Dopilnuj, żeby towarzyszyła mu prostytutka Megan...

- Ale...

- Zrób, jak ci każę, Gamilu. - Arcybiskup pomachał ręką w niemal czułym geście. -

Pamiętaj, co ci mówiłem, Kosiarzu. Ani słóweczka.

- Chodź, Jack - ponaglał go Tawl. - Na co czekasz?

Twarz młodzieńca przecinała blada wstążka przesączającego się przez mgłę księżycowego blasku.

- Tawl, czuję to. Czuję skałę... - potrząsnął głową. - Ona pulsuje jak bijące serce.

Rycerz słyszał w jego głosie strach. Strach i coś jeszcze: być może zachwyt. Uniósł rękę i dotknął lekko ramienia Jacka.

- Chodźmy.

Przed chwilą znaleźli wiodący na szczyt urwiska tunel. Przeszło dwie godziny wędrowali wzdłuż brzegu, szukając drogi na górę. Klify były jednak zbyt strome, a do tego śliskie od skraplającej się mgły.

Zaczęła napływać znad morza, nim jeszcze zapadł mrok. Tawl spędził dzieciństwo na bagnach i był przyzwyczajony do mgły, lecz czegoś takiego jeszcze nigdy nie widział. Nie było tu stopniowego gęstnienia, łagodnego narastania, delikatnych wirów ani obłoczków.

Mgła nadciągnęła jednolitą ławicą, tak samo gęstą i realną jak fale, nad którymi przemykała.

Niosła z sobą zamiar. Nie towarzyszyła nocy, lecz ją wywoływała.

Gdy szli w górę wykutym w litej skale tunelem, mgła podążała za nimi. Tawl nie był

skłonny do ulegania podszeptom wyobraźni, lecz nawet po ciemku widział, że przed nimi nie ma mgły. Była tylko za ich plecami. Obaj z Jackiem jakby prowadzili ją na górę.

W tunelu panował przenikliwy ziąb. Skała pod ich stopami była wilgotna i śliska.

Wyłobieniami spływały małe rzeczulki, które na płaskich odcinkach rozlewały się na całą powierzchnię. Każdy krok musieli stawiać ostrożnie. Skalne sklepienie ciągle się zmieniało.

W jednej chwili opadało na spotkanie ich głowom, w następnej zaś wznosiło się wysoko, budząc liczne echa. Od czasu do czasu znikało, ukazując fragmenty nieba.

Panujący w tunelu mrok miał specyficzną naturę. Z początku Tawl nie potrafił się zorientować, co jest nie w porządku, czym różni się on od innych ciemności, lecz w miarę, jak posuwali się naprzód, zaczynał dostrzegać, w czym rzecz. Większość skalnych powierzchni była wilgotna lub ociekała wodą, ale spływająca po ścianach, sklepieniu i podłodze tunelu ciecz nie tylko odbijała blask rzadko widzianego księżyca, lecz również świeciła. Biła od niej słaba fosforescencja, która nie wystarczała, by rozproszyć ciemność, zmieniała jednak jej naturę.

Zadrzał. Miał ochotę napić się. Był spragniony i głodny, a ciało bolało go na sto różnych sposobów.

Obejrzawszy się na Jacka, zobaczył w jego twarzy odbicie własnych uczuć: strach, niepokój i silne pragnienie, by mieć już to wszystko za sobą. Mieli tylko jeden nóż. Jeden jednosieczny nóż.

Pięli się pod górę już od pewnego czasu i Tawl był pewien, że tunel wkrótce się skończy. Jak dotąd wszystko było w porządku. Nie spotkali nikogo, co zapewne świadczyło o tym, że kapłani nie wiedzą o ich obecności. Mogło to też jednak znaczyć, że czekają na nich w swej świątyni niczym pająki w sieci. Nie sposób było tego sprawdzić. Tawl próbował sobie przypomnieć, czy któryś z zakapturzonych mężczyzn, których spotkał, miał broń. Z

pewnością nie było tu strażników, ale czy kapłanów uczono obrony świątyni? Wzruszył ramionami. Bez względu na to, czy byli szkoleni, będą jej bronić nawet za cenę życia.

Wtem twarz owiał mu zimny wiatr, niosący ze sobą świeże, wolne od mgły powietrze.

Tunel przed nimi był jaśniejszy. Tawl przypadł do ziemi.

- Kryj się - wysyczał do Jacka. Zbliżali się do końca korytarza i od tej chwili będą musieli zachować maksymalną ostrożność.

Dalej poczołgali się na brzuchach, szukając na skale punktów umożliwiających uchwyt. Mgła nie podążała już za nimi. Wisiała nad ich głowami niby dym nad ogniskiem.

Mokra skała i wilgotny opar były tak nieprzyjemne, że Tawl aż się uśmiechnął. Przypomniały mu się ranki spędzane nad glinianką, gdy leżał nieruchomo pośród mgły i rosy z wędką w dłoni. Co dziwne, owo wspomnienie dodało mu sił. Nigdy wówczas nie wracał do domu bez ryb.

Tunel skończył się nagle. Rycerz tak już się przyzwyczaił do ciemności, że rozświetlona blaskiem księżycy noc wydała mu się nieznośnie jasna. Światło go oślepiało.

Czuł się odsłonięty, bezbronny, zupełnie jakby oświetlało go dwadzieścia latarni. Tak wysoko nie było mgły poza wydostającymi się z tunelu białymi kosmykami. Tawl zwrócił się w lewo i zobaczył niski, podłużny kształt świątyni. Była taka, jaką ją zapamiętał: przytłaczająca i prymitywna. Sam jej wygląd sugerował pradawną moc. Widywał ją w snach. Omal nie stała się przyczyną jego zguby.

Jack podszedł do niego.

- Czuję się tak, jakbym już kiedyś tu był - wyszeptał z wysiłkiem słabym głosem.

Tawl wyczuwał jego napięcie. Żałował, że nie wie, co mu odpowiedzieć. Jack potrzebował uspokojenia, a on nie potrafił mu go dać.

- W świątyni jest ciemno. To dobry znak.

Nie przyszło mu do głowy nic innego.

Młodzieniec skinął głową, jakby zrozumiał kryjącą się za tymi słowami intencję.

- I co zrobimy teraz?

Tuż nad ziemią wiatr dał gwałtownie. Dręczył ich ciała i przyginał trawę do gruntu.

Było tu jednak cieplej niż na dole. Tawl uniósł wzrok na niebo. Nad zachodnim horyzontem wisiał księżyc.

- Jest już po północy. Uważam, że powinniśmy tam iść.

Miał zamiar zaczekać dłużej, lecz odkąd dowiedział się, że Melli schwytał Baralis, nie potrafił znieść oczekiwania. Wszystko starał się robić jak najszybciej. Palące pragnienie powrotu kazało mu zmierzać ciągle naprzód. Musiał wrócić do Brenu, do Melli, i każda godzina zwłoki wydawała się długa jak całe życie.

Wyciągnął nóż zza pasa i podał go Jackowi.

- Proszę, weź go.

Chłopak potrząsnął głową, klepiąc się po bluzie. Tawl dopiero teraz zauważył, że jego towarzysz ma tam sporą wypukłość.

- Kamienie - wyjaśnił Jack. - Może i nie radzę sobie zbyt dobrze z łukiem, ale mało kto rzuca kamieniami tak celnie, jak ja.

Tawl uśmiechnął się. Chciał coś powiedzieć, ale znowu zabrakło mu słów.

- Świetny pomysł - pochwalił Jacka, choć naprawdę chciał rzec: „Jeśli dojdzie dziś do najgorszego, obiecuję ci, że zginiemy razem”.

- No to chodźmy - rzucił chłopak, włączając pod górę na czworakach. - Zobaczymy, czy uda nam się dotrzeć do świątyni, nim księżyc wyjrzy zza tej chmury.

Tawl popędził za nim.

\*

Po kilku minutach dotarli zdyszani do świątyni. Łydki i plecy bolały ich dotkliwie, a na ostatnie trzydzieści sekund zabrakło im osłony chmury. Niemniej szalejący wciąż wichur zagłuszył odgłos ich kroków, grając rolę trzeciego współnika.

Jack musiał podczas biegu przyciskać dłoń do pasa, żeby kamienie, które miał pod bluzą, nie obijały mu się o piersi.

Zatrzymali się przy prowadzących do świątyni schodach, by odzyskać dech w piersiach. Nie było tu widać nikogo. W środku nie paliło się światło. Słyszał tylko wiatr.

Jack miał ochotę usiąść. Mięśnie jego ud nie wróciły jeszcze do siebie po związaniu i rozpaczliwie



domagały się wypoczynku. Zignorował je, nie chcąc, by Tawl uznał go za słabego. Opierając się o schody, zauważył, że kamień nie jest tak zimny, jak zwykle. Granit powinien być w dotyku chłodny, nie prawie letni.

Wszystko na tej wyspie było nienaturalne: woda, mgła, skała. Ich niezwykle cechy drażniły nerwy Jacka niczym fałszywie grana melodia. Zdawał sobie niejasno sprawę z faktu, że to miejsce wywiera na niego fizyczny wpływ. Czuł skurcz mięśni w okolicy serca, skórę twarzy miał naciągniętą, oddychał zaś szybko i niemiarkowo. Z początku próbował

bagatelizować te objawy jako skutki rozbicia się łodzi, teraz po prostu starał się je ignorować.

Nie mógł jednak zlekceważyć przenikającego Larn rytmu. Wypełniał on wszystko: fale uderzające o brzeg, wodę skapującą ze skał, kamienie, a nawet wiatr. Cała wyspa pulsowała. W miarę, jak posuwali się w górę urwiska, owo wrażenie stawało się coraz silniejsze, a teraz, gdy zbliżyli się do świątyni na odległość oddechu, stało się tak potężne, że ledwie można je było znieść. Początkowo serce Jacka opierało się temu rytmowi, lecz teraz zaczęło się do niego dostosowywać.

- Spróbujmy wejść do środka - zaproponował chłopak, który nagle poczuł strach.

Dźwięk własnego głosu powinien dodać mu otuchy, w słowach zabrzmiał jednak strach przed Larnem.

Stopnie były niskie. Stulecia użytku pozostawiły w nich zagłębienia, które przy każdym kroku otulały stopy Jacka. W pierwszej chwili chłopak miał wrażenie, że świątynia stara się go przywitać. Odpędził stanowczo tę myśl, lecz jednocześnie zaczął stawiać nogi na grzbietach między zagłębieniami.

Tawl wyciągnął nóż, kierując go czubkiem na dół, a ostrzem do przodu. Broń połyskiwała w blasku księżyca.

Wrota świątyni były bardzo wysokie, wykonane z dębiny, ciemne i nadgryzione zębem czasu. Jack zdał sobie sprawę, że musiano je tu przywieźć statkiem, gdyż na wyspie nie rosło ani jedno drzewo. Oparł się o nie, najpierw delikatnie, a później, gdy nie ustępowały, silniej.

- Na pewno są zaryglowane od wewnątrz.

Zamachnął się sfrustrowany, gotów w nie załomotać.

Tawl złapał go za nadgarstek.

- Znajdziemy inne wejście.

Pochyleni, ze spuszczonej głowami, ruszyli wokół świątyni. Ogarnęła ich niecierpliwość, której nie wyrażali w słowach, i z każdym krokiem poświęcali ostrożność na rzecz szybkości. Gmach wzniesiono z

masywnych granitowych

bloków. Był

niewypowiedziane stary. Nie miał żadnych ozdób czy kolumn, nic, co dawałoby wytchnienie oku. Wysoko nad swymi głowami widzieli rząd zakratowanych otworów. Jack nie tracił czasu na myślenie o nich. Mogliby tam dotrzeć tylko od strony dachu.

Od tyłu budynek był szerszy. Z głównego muru sterczały granitowe płyty, łamiące jego linię. W tej jego części kamień był czystszy, a kąty bardziej zdecydowane. Z pewnością dobudowano ją później. Gdy dotarli do końca przybudówki, Jack poczuł woń palonego drewna. Popatrzył na Tawla, który skinął głową. Dym oznaczał ludzi.

Doszli do narożnika gmachu i wyjrżeli zza niego. Pod murami świątyni stały szopy i baraki. Stare, rozklekotane chaty podejrzanie przypominały części statków.

- Wygląda na to, że zbudowali je z fragmentów wraków - wyszeptał Tawl. - Na pewno służą jako magazyny albo domy dla służby.

- W takim razie musi tam być wejście.

Chłopak przyjrzał się zabudowaniom. Zobaczył blask ognia, przy którym coś się kiwało. Kołysało. Ktoś siedział w bujanym fotelu, poruszając się miarowo zgodnie z rytmem wyspy. Jackowi po plecach przebiegły zimne ciarki. To była jakaś staruszka.

Zwrócona twarzą ku świątyni, kołysała się ze ślepym zapamiętaniem. Młodzieniec skierował wzrok w miejsce, w które patrzyła. W ścianie budynku widniał ciemny prostokąt drzwi.

Jack wiedział, z pewnością, jakiej nigdy dotąd nie zaznał, że będą one otwarte.

Staruszka wskazywała im drogę.

Poklepał lekko Tawla po ramieniu.

- W tej chwili nic nam nie grozi. Idziemy.

Dobrze już poznał rycerza, był więc przekonany, że ten o nic go nie zapyta. Miał

rację. Tawl skinął tylko głową i ruszył za nim.

Jeśli nawet staruszka ich zauważyła, nie zdradziła tego w żaden sposób. Nie przestawała się kołysać.

Drzwi otworzyły się, gdy tylko Jack ich dotknął. Czując na policzku tchnienie chłodnego, stęchłego powietrza, wszedł do larneńskiej świątyni.

Rytm był tu silny i nieodparty. Przypominał bicie serca. Otaczał Jacka ze wszystkich stron. Był przytłaczający, lecz zarazem dziwnie znajomy. Sercu chłopaka brakowało już tylko ułamków sekund, by dostosować się do niego całkowicie.

Znaleźli się w słabo oświetlonej izbie z nisko zawieszonym sufitem. Kamienne ściany i podłoga były nagie, a na kilku drewnianych stołach stało mnóstwo garnków. Blask padał z korytarza, leżącego naprzeciw drzwi. Jack skierował się natychmiast ku niemu, lecz Tawl powstrzymał go, kładąc rękę na jego ramieniu.

- Ja pierwszy - powiedział, spoglądając znacząco na nóż. Jack wydobył spod bluzy dwa kamienie wielkości pięści, po czym przepuścił przyjaciela.

Było tu tak zimno, że z ust buchała im para, lecz pociski, które trzymał w dłoni, również miały temperaturę nieco wyższą od otoczenia. Ruszyli wąskim, oświetlonym pochodniami korytarzem. Od czasu do czasu mijali drzwi, lecz Tawl je ignorował. Sprawiał

wrażenie, że wie, dokąd zmierza.

Za ich plecami coś skrzypnęło.

- Kto idzie? - rozległ się czyjś głos.

Tawl odepchnął Jacka na bok. Chłopak uderzył głową o kamienną ścianę. Przeszył go nagły ból, od którego włoski na karku stanęły dęba. Podniósł wzrok akurat na czas, żeby zobaczyć, jak Tawl pchnął zakapturzonego mężczyznę nożem w pierś. Rycerz zaciskał

wielkie, kształtne dłonie na ustach przeciwnika.

- Pomóż mi zawlec go do pokoju - wysyczał Tawl.

Jackowi kręciło się jeszcze w głowie od uderzenia. Był niemal oszołomiony. Gdy podszedł do trupa, u jego stóp uformowała się już kałuża krwi.

Tawl dygotał. Podnieśli razem mężczyznę, po czym położyli go na kamiennej ławie w izbie, w której zapewne za życia mieszkał. Dotarli do kwatery kapłanów. Rycerz zatrzymał się, by wytrzeć nóż o habit zabitego. Potem wyszli na korytarz.

W oddali rozległy się ciche kroki.

Jack i Tawl wymienili spojrzenia. Mogli iść jedynie naprzód. Chłopaka dotkliwie bolała głowa. Nie rozumiał dlaczego: Tawl pchnął go dość lekko, a czuł się tak, jakby solidnie oberwał.

Korytarz skręcił ostro w lewo. Drogę zagrodziło im czterech zakapturzonych ludzi. W

dłoniach ściskali zakrzywione miecze. Jack nie marnował czasu na myślenie. Cisnął

kamieniem w pierwszego z przeciwników, trafiając go w ramię. Natychmiast rzucił drugi kamień, który jednak chybił, uderzając o mur. Tawl zaatakował ранego w rękę kapłana, podczas gdy Jack rzucał kamieniami w pozostałych trzech, chcąc dać przyjacielowi chwilę czasu.

Rycerz wykonał szybki, gwałtowny ruch i pierwszy z mężczyzn padł na podłogę.

Wysuwając przed siebie nóż, Tawl zwrócił się w stronę pozostałych trzech.

Jackowi zabrakło kamieni. Wiedząc, że musi jak najszybciej pomóc Tawlowi, skupił

myśli na trzymany przez przeciwników mieczach. Poczł twarłość chłódnego metalu, solidność wzbogaconego węglem Źelaza. Uformował zamiar i nakazał mięśniom Źołądka się skurczyć, lecz nic się nie wydarzyło. Nie poczuł impulsu, energii ani smaku miedzi na języku.

Tawl znalazł się juŹ pod ścianą. Dwóch zakapturzonych męŹczyzn wyciągało miecze w jego kierunku. Zdesperowany Jack skupił się raz jeszcze. Tym razem wyobraził sobie, jak Rovas dotyka Tarissy. Obraz był wyrazisty i draŹniący, bardziej jaskrawy niŹ się tego spodziewał, a towarzyszące mu emocje ostre jak uderzenie w twarz. W jego uczuciach nic się nie zmieniło. Nadal ją kochał.

Iskra jednak nie nadchodziła. Miał wrażenie, Źe to świątynia, otaczający go zewsząd kamień, powstrzymuje dopływ czarów.

Nie miał czasu zastanawiać się nad tym zjawiskiem. Zerwał ze ściany pochodnię i rzucił się naprzód. Jeden z kapłanów ruszył mu na spotkanie, wymachując mieczem przed sobą. Nawet teraz, po wszystkim, co się wydarzyło, wciąż pamiętał radę Rovasa: „Rób wszystko, Źeby odwrócić uwagę przeciwnika: tańcz, śmieć się, krzycz. Wszystko”. Przez głowę przemknęła mu myśl, Źe kaŹdy boi się ognia. Machnął pochodnią w kierunku twarzy napastnika. Choć płomień nawet się do niego nie zbliżył, męŹczyzna cofnął się instynktownie o krok.

Jack nie potrzebował nic więcej. Skupił myśli na przestrzeni otaczającej pierwszego z przeciwników, nie spuszcżając wzroku z miecza. Przełóżył pochodnię z prawej do lewej dłoni i rzucił się naprzód. Źagiew zostawiała za sobą wstęgi płomienia i dymu. Jack pochylił się nagle i chwycił za rękójeść broni kapłana. Następnie pchnął pochodnią w miejsce, gdzie - jak miał nadzieję - znajdowały się organy trzeciego napastnika. Trudno było to dokładnie określić, gdyż miał on na sobie długi, pozbawiony pasa habit.

Bez względu na to, czy cios okazał się celny, osiągnął zamierzony skutek. MęŹczyzna cofnął się z krzykiem, a jego ubiór stanął w płomieniach. Jack pozwolił mu płónać. Nie miał

czasu zadać ciosu miłosierdzia.

Zwrócił się ku pierwszemu z przeciwników Tawla. Rytm Larnu wypełniał mu głowę swym pulsowaniem. Zamiast opierać się, Jack dostroił się do niego, zharmonizował z nim swe ciosy. Jego metrum pasowało na niego niczym rękawiczka. Panował nad nim. Człł się potężny, pełen uniesienia. Zakapturzony kapłan w niespełna minutę przerodził się w zakrwawione zwłoki.

Czwartego napastnika pokonał Tawl. Jack z przeraŹeniem zauwaŹył, Źe przyjaciel ma na boku krwawiącą szramę.

Za nimi znów rozległy się krzyki i kroki. Przyciskając pięść do rany, Tawl pochylił się, by podnieść jeden z mieczy.

- Idź dalej sam. Ja zatrzymam ich tu na jakiś czas, żebyś mógł dotrzeć do jaskini.

Krew ciekła mu między palcami i spływała po udzie.

- Nie. Pójdziemy razem. - Krzyki i tupot były coraz głośniejsze. Jack wyciągnął dłoń.

- Chodźmy.

Tawł uścisnął mu rękę. Stali razem przez moment, połączeni krwią rycerza, po czym rozdzielili się i pobiegli naprzód.

\*

Powietrze nad Wielkim Wododziałem znieruchomiało całkowicie. Było przejrzyste i zimne jak diament. Jego dotyk wżerał się w kości, sięgając aż do szpiku. Ścieżkę, kamienie i rośliny pokrył cienką warstwą lodu. Cienki jak wafel i biały jak kość, nabierał grubości w blasku księżyca.

Ten ostatni trzymał się od tego wszystkiego z dala, wisząc nad górami z obojętnością pradawnego boga.

Kedrac, pierwrodny syn Maybora i dziedzic najwartościowszej posiadłości w królestwach, stał na wąskim wzniesieniu, przyglądając się swym żołnierzom. Prowadził sześć tysięcy ludzi - uzbrojonych po zęby, gotowych do walki i żądnych mordy. Lato spędzone w Annisie ciągnęło się jak flaki z olejem. Niecierpliwość żołnierzy działała na Kedraca niczym narkotyk. Przed pięcioma godzinami polecił im udać się na spoczynek. Równie dobrze mógłby rozkazać zmarłym chodzić.

Nikt nie spał. Siedzieli w kręgach, nie palili ognisk, nie pili ani nie rozmawiali. Po prostu czekali. Ci, którzy mieli na sobie zbroje, musieli siedzieć zupełnie prosto, ci, którzy przywdziali tylko kolczugi, mogliby się pochylić. Ale tego nie robili.

Dawno już ucichł dźwięk ostrzonych mieczy i zapinanych sprzączek. Słysząc było jedynie rżenie koni i pobrząkiwanie uprzęży. Ludzie chcieli ruszać w drogę. Mieli dość czekania. Żeby zejść z gór na południowe równiny Brenu, potrzeba było przynajmniej czterech godzin marszu. Kedrac spojrzął na księżyc. Jeśli wyda rozkaz teraz, dotrą na miejsce o świcie.

Uniósł skrytą w rękawicy pięść i utrzymał ją w górze przez sześć sekund - po jednej na każdy tysiąc żołnierzy - po czym opuścił powoli rękę.

Górski stok ruszył z miejsca. Lód przesłonił rój ciemnych postaci. Rozwijano chorągwie i dosiadano koni, a luźne kręgi żołnierzy przeradzały się w kolumny. Kedrac postanowił, że nie wygłosi mowy. Ludzie byli w takim stanie, że słowa nie miałyby dla nich znaczenia. Znali plan. Nie będą brali jeńców. Byli gotowi wyrzucić wojska Highwall.

Odwrócił się i zaczął schodzić w dół. Za sobą mieli nawałnicę, przed sobą Bren, a jeśli spotka ojca na polu bitwy, to trudno.

\*

Biegli korytarzami. Z mieczy skapywała im krew, która wolno schła w wilgotnym powietrzu. Płuca Jacka płonęły, gotowe eksplodować. Miał wrażenie, że głowę rozsadzają mu uderzenia młota.

Posuwali się szybko. Prowadzące w dół korytarze przypominały teraz tunele. Skałę wygładzono tylko tam, gdzie zanadto wystawała ze ściany. Wąskie przejścia im sprzyjały, gdyż zakapturzeni ludzie mogli ich atakować tylko w pojedynkę.

Udało im się spowolnić pościg, podpalając korytarz wypełniony stojącymi na półkach księgami. Dymu było jednak więcej niż płomieni i zapewne zyskali w ten sposób najwyżej minutę, a musieli jeszcze rozprawić się z kapłanami, których mieli przed sobą. Jack popatrzył

na goły kamień. Tu z całą pewnością nie da się nic podpalić.

Schodzili wciąż w dół. Cięli na plasterki stojących im na drodze ludzi, zawsze wybierali najciemniejszą trasę i nie zatrzymywali się nawet na chwilę. Temperatura nie tylko nie spadała, lecz wręcz się podnosiła. Powietrze było coraz gęstsze, cieplejsze, pulsujące. Jack czuł, jak jego fale omywają mu twarz. Był zbyt zmęczony, żeby się bać.

Wtem usłyszał nowy dźwięk. Wysoki i nieharmonijny, przypominał ujadanie psów, które złapały trop. Wszystkie włosy na ciele chłopaka zjeżyły się nagle. Nie były to ogary, lecz jasnowidze. Czekali na niego. O to właśnie chodzi, przemknęło mu przez głowę. Czekali.

Czekała na niego stara kobieta w bujanym fotelu, skała, o którą się uderzył, a nawet sama wyspa. Nie kapłani, nie zakapturzeni, lecz kamień i gleba.

Tawl był u jego boku. Torował mu drogę. Krew tryskała Jackowi na policzki i czoło.

Szytch jego miecza opadł ku ziemi. Nie miał już sił, by utrzymać go w górze. Wszedł w kłębiący się tłum ogarniętych paniką kapłanów i nawet nie próbował się bronić. Rycerz towarzyszył mu właśnie po to, pozwolił mu więc wykonać zadanie.

Świat widzialny powoli zanikał. Jasnowidze zawodzili, rytm uderzał, a schnąca krew chłodziła mu skórę.

Wreszcie dotarł do jaskini, tam, gdzie miał się znaleźć. W kopulastym sklepieniu lśniły żyłki kryształu, na dole zaś stały równe szeregi kamieni. Do każdego z nich przywiązano człowieka. Wszyscy lamentowali i targali z zapamiętaniem więzy. Nie wydali się Jackowi istotni. Nie mieli znaczenia. Liczyła się tylko sama jaskinia.

Była źródłem, centrum. Pulsowała mocą i wszystko wpadało z nią w rezonans.

Chłopak czuł, jak jego serce dostraja się do owego rytmu. Rozsadzający jego czaszkę pulsujący ból zdążył już to uczynić.

Tawl był za jego plecami, u jego boku, przed nim. Czerwono-srebrna plama jego miecza stała się tarczą. Brzęk metalu, znużone oddechy i śmiertelne krzyki stały się jedynie dźwiękami tła. Puls był wszystkim. Jacka przyciągał przeciwny koniec jaskini. Jego oczy nic już nie widziały, lecz krew

nadal pchała go naprzód.

Gdy dotarł do kresu groty, wyciągnął ramiona i oparł dłonie na skale. Wzdłuż jego kręgosłupa przebiegł dreszcz, podobny do tego, który czuł przedtem, tylko silniejszy. Mięśnie się napięły, a całe ciało szarpnęło gwałtownie. Owiał go podmuch ciepłego powietrza. Jack poczuł bicie serca jaskini, jego starożytną, straszliwą moc.

I nagle pojął, co musi zrobić.

Nie zważając na instynkt samozachowawczy, rozluźnił się, otwierając swe ciało na miarowy rytm. Zawładnęła nim panika. Zignorował ją. Nogi pod nim drżały. Nie poświęcał

im najmniejszej uwagi. Jego serce musiało bić w narzuconym przez jaskinię pulsie. Tylko wtedy, gdy krew popłynie przez tętnice w sposób zharmonizowany z dudnieniem przebiegającej przez skalne żyły mocy, zdoła dokonać wszystkiego. Bez tej więzi nie mógł

zaczepnąć czarów, podjąć żadnego ryzyka ani zrobić w ogóle nic. Strach był pułapką na myszy, zastawioną w jego żołądku. Czuł, jak jego zimne, metalowe zęby ograbiają go z determinacji. Dręczyły go mdłości, zalewał pot. W świetle, który tworzyły dla niego zmysły, brakowało punktów orientacyjnych. Czuł się tak, jakby unosił się na morzu ciepłego jak krew oleju. Nie potrafił określić swego położenia i nie chciał zrywać kontaktu z kamieniem, postanowił więc stawić czoło ciemności.

Dwa rytmy już się niemal pokryły. Dzielila je od siebie tylko jedna dziesiąta sekundy, co wywoływało nieprzyjemny efekt. Nacisk silniejszego z nich wsparty był całym ciężarem góry. Jack czuł, że jego obolałe z wysiłku serce wali potężnie. Lewe ramię przeszył mu ostry, kłujący ból.

Serce przestało bić.

Płuca próbowały wciągnąć powietrze, nic jednak nie znalazły.

Na mgnienie oka ogarnęła go absolutna ciemność, która przypominała śmierć.

Przyniosła ze sobą urywki tajemnic, wspomnienia, których posmak unosił się w jego krwi.

Znał to miejsce. Znał jego moc. Było to tak, jakby wrócił do domu.

Wtem jego ciałem targnął ostry skurcz. Serce dostosowało się do rytmu. Jack osunął

się na skałę, bliski omdlenia. Jej dotyk ogrzewał mu pierś. Jego ciało zalała fala niemal zmysłowej przyjemności. Czuł się spokojny, ukojony, utulony w delikatnym uścisku.

Zaczerpnięcie mocy wydało mu się teraz czymś naturalnym, była ona bowiem utkana z tej samej substancji, która go otaczała. Dlaczego nie dostrzegł tego przedtem? Dlaczego nie rozpoznał tego, co mu najbliższe?

Strumień czarów popłynął powoli. Chłopak nie potrzebował wyobrażać sobie przykrych scen, korzystać z paliwa gniewu. Moc wypływała z niego do skały i groty, a potem spływała do serca

wyspy. To było bardzo łatwe. Wszystko działało się spontanicznie. Jack zaznał niezwykłego spokoju, poczucia przynależności. Chciał tylko zjednoczyć się ze skałą.

Przez głowę wciąż przemykały mu niepokojące drobiazgi: dźwięki, obrazy, instynkty.

Skrył się głębiej, by mu nie przeszkadzały. Grota otoczyła go niczym macica.

„Jack! Uważaj! Zatracasz się!”

Skąd tak głęboko wziął się głos Stillfoxa? Odepchnął go od siebie. Było to tylko jedno z wielu wspomnień.

„Nad niczym nie panowałeś, ty durniu. To szklanka panowała nad tobą. Mało brakowało, żebyś się w niej zatracił”.

Och, ale to nie była szklanka, a on naprawdę panował nad sytuacją. Zapuszczał się coraz głębiej. Moc wypływała z niego niczym wpadająca do morza rzeka.

Głos Stillfoxa otworzył drzwi przed zmysłami Jacka. Jego myśli zakłóciły irytujące hałasy. Szczęk mieczy, odgłos kroków, wysokie przenikliwe krzyki jasnowidzów. W

porównaniu ze spokojem kamienia był to straszliwy rejwach.

- Zrób to, po co się narodziłeś.

Minęła chwila, nim Jack zorientował się, że te słowa nie pochodzą z jego myśli.

Spróbował odepchnąć od siebie tajemniczy głos, był jednak bardzo blisko.

- Zrób to natychmiast.

Pobrzmiwała w nim gwałtowna desperacja, która przebiła się przez warstwy mózgu Jacka. Zmysły chłopaka zaczęły odzyskiwać ostrość. Poczul suchy zapach kamienia i ostry odór moczu. Rozjaśniło mu się przed oczami. Ujrzał skałę i własne dłonie. Były zniekształcone, jakby patrzył na nie przez soczewkę.

Jaskinia przywoływała go z powrotem, lecz oparł się jej zewowi, kierując głowę w stronę, z której dobiegał głos.

Spojrzał wprost w niebieskie oczy obłąkańca. Jasnowidz miał zapadnięte policzki, a wargi suche jak pieprz. Był przywiązany do kamienia. Sznury ukształtowały jego ciało na podobieństwo przygotowanego do pieczenia chleba. Przez pierś przebiegały mu dwie grube liny. Jack widział, że klatka piersiowa wzrastała wokół sznura. Jej normalna krzywizna zniknęła. W miejscu, w którym żebra nie mogły rosnąć; normalnie, znajdowały się dwie głębokie nisze. Widok był przerażający. A co z narządami wewnętrznymi - sercem i płucami?

Czy one również były zdeformowane?



Stillfox mówił, że jasnowidzów przywiązuje się jako chłopców, nim dorosną.

- Zrób to, po co się narodziłeś.

Nie. W oczach jasnowidza nie widziało się obłądu. Kryła się w nich desperacja, ale nie obłąd. Ten człowiek domagał się własnej zagłady.

Zmysły Jacka wyostrzyły się niczym kryształ. Ujrzał miejsca, w których sznur przerznął się przez skórę. Dostrzegł otwarte rany, zakażenie, zniekształcone kończyny i atrofię mięśni. Poczł smród rozkładu. Na tym właśnie opierał się Larn. Temu służył

wypełniający grotę potężny rytm.

Czas już położyć temu kres.

Odwrócił się twarzą do ściany. Tym razem nie spotkało go ciepłe przywitanie. Skała była chłodna w dotyku. Rozpostarł dłonie i z uśmiechem na twarzy skupił się na pulsie kamienia. Jaskinia wykonała robotę za niego. Żeby go tu zwabić, musiała dać mu klucz. Rytm jego serca dostosował się do tętna ośrodka. Jack zaczerpnął jego mocy. Poczł na języku smak metalu. Głowę przeszył mu charakterystyczny ból. Otaczające żołądek mięśnie skurczyły się jednocześnie, a z ust wydostał się potężny impuls czarów.

Moc wzniosła się ku górze. Uleciała wysoko nad grotę i wyspę, w ciemności nocy.

Mknęła wciąż w górę. Jej gwałtowność wciągała ocean na brzeg, ustawiała chmury w szereg.

Jack czuł jej potworne ssanie. Opierał się pustce, którą zostawiała za sobą. Wszystko - jego krew, oddech, skóra pokrywająca plecy - pragnęło pomknąć w górę razem z nią.

Moc dotarła do punktu, w którym firmament dotyka niebios, po czym zwolniła i zaczęła nabierać ciężaru. Zapadła się w siebie, skupiła, zgęstniała i pomknęła w dół, zyskując po drodze intencję, substancję i masę. Jack nie musiał się zastanawiać, by wiedzieć, co ma zrobić. Nie miał wątpliwości, po co się narodził. W mgnieniu oka wszystkie fragmenty układanki znalazły się na miejscu i młodzieniec zawładnął Larnem. Posługując się wspomnieniami starszymi od siebie i siłą, której udzielili mu jasnowidze, ukształtował broń stworzoną specjalnie po to, by zniszczyć serce jaskini, po czym cisnął ją ku źródłu, z którego ją zaczerpnął.

Tym razem nie spłynęła przez skałę, lecz przedarła się przez nią.

Pomknęła w dół, cięższa niż metal i szybsza niż sztorm. Przebiła się przez jaskinię niczym przekaz od bogów. Jack wysłał ją przez skałę, glebę i minerały w kierunku ośrodka.

Ku mrocznej, pierwotnej masie tworzącej centrum Larnu. Spotkały się dwie siły: jedna niewypowiedzianie starożytna, a druga nie wypróbowana, oślepiająca i surowa. Pozostawały sobie równe tylko przez ćwierć sekundy. Potem stary świat przegrał z nowym.

W oślepiąco jasnej chwili moc Jacka zniszczyła wypełniający jaskinię strumień.

Z ust wszystkich jasnowidzów wyrwał się jeden krzyk. Potem komnatę przeszła fala gorącego powietrza.

Spod skały dobiegł głuchy łoskot. Grota zadrżała. W ścianach pojawiły się rysy, ziemia się zatrzęsła, a ze sklepienia posypały się głązy. Jack był oszołomiony. Osunął się na kamień jasnowidza. Światło w jaskini zaczęło zanikać. Podłoże przeszły rozpadliny.

Wydobywający się z nich pył wypełnił powietrze. Cała grota się zapadała. Wszystkich jasnowidzów czekała nieunikniona śmierć. Tak musiało się stać. Nie było mu przeznaczone ich uratować.

Jack nie miał sił ruszyć się z miejsca. Wokół niego na ziemię padały skalne okruchy.

Gdy ściany zaczęły się walić, lament jasnowidzów przeszedł w pieśń śmierci. Jaskinia trzęsła się jak szalona. W dół sypały się głązy, a skały pękały. Jeden kamień otarł się o udo Jacka, a drugi uderzył go w pierś. Pył uniemożliwiał mu oddychanie. Potem w centrum tego oblędu odnalazł go Tawl. Krew zalewała mu ciało i oczy. Utykał paskudnie.

- Tak też myślałem, że będziesz sobie leżał - stwierdził z uśmiechem. Zepchnął z niego kamienie i podźwignął z ziemi, po czym na wpół powlókł, na wpół poniósł przez labirynt zapadających się korytarzy. Umykali przed walącymi się ścianami, uchylali przed osypującymi się ze sklepienia odłamkami i omijali zniszczone ścieżki. W jedną noc wyczerpali zapas szczęścia, który powinien wystarczyć obu na całe życie.

Maybor obudził się przed świtem. Od dawna już nie sypiał dobrze. Sny co noc wiodły go tą samą ścieżką i każdego ranka budził się z identycznym, rozdzierającym duszę obrazem przed oczami. Widział Melli, która wierzgała i krzyczała, by odciągnąć uwagę strażników i pozwolić mu uciec z podwórza. Któż mógłby spać, wiedząc, że jego odważną i piękną córkę więzi potwór? I że mógł coś zrobić, by temu zapobiec, lecz niestety zabrakło mu śmiałości?

Melli żyła. Musiał w to wierzyć, by pozostać przy zdrowych zmysłach. Od miesięcy nie mieli o niej żadnej wiadomości. Słudzy pałacowi napomykali niekiedy o tajemniczej kobiecie, którą trzymano pod kluczem we wschodnim skrzydle. Maybor nie potrzebował

wiele czasu, by dojść do przekonania, że to z pewnością jego córka. Musiał w coś wierzyć.

- Pod południową bramą coś się wyrabia, panie - oznajmił Grift, wchodząc do namiotu. - Wygląda na to, że chcą ją otworzyć.

- Do licha, człowieku! Nie stój tak. Pomóż mi się ubrać.

Odkąd Grift wrócił do zdrowia po odniesionych ranach, pełnił funkcję giermka Maybora. Pracował straszliwie powoli, z upodobaniem oddawał się pijaństwu i hazardowi, a na dodatek ciągle udzielał mu bezsensownych rad na temat kobiet. Maybor nigdy w życiu nie słyszał podobnych bzdur! Twierdził na przykład, że dworskie damy przepadają za parobkami.

Też coś! Która to dama chciałaby parobka, jeśli mogła mieć potężnego wielmożę? Obłąd! W

gruncie rzeczy, Maybor trzymał go przy sobie tylko po to, by opowiadał mu o stanie Melli.

Grift znał się na ciąży i kobiecych dolegliwościach. Jeśli Maybor chciał się dowiedzieć, ile jeszcze zostało do rozwiązania albo jak Melli czuje się w tej chwili, musiał go tylko o to zapytać. Żołnierz zawsze zaczynał odpowiedź od słów: „Lady Melliandra jest zdrowa jak juczny koń i zaręczam ci, że wszystko z nią w porządku”. Dla Maybora podobne zapewnienia były cenniejsze od złota. Warto było dla nich znosić niekompetencję Grifta.

Grubas założył pod napierśnik piękną, szkarłatną bluzę. Wyglądało na to, że dziś będzie miał wreszcie okazję stanąć do otwartej walki z breńską armią. Najwyższy czas.

Czarne hełmy już od dwóch miesięcy kryły się za murami niczym zakonnice w konwencie.

- Pełna zbroja - polecił Griftowi, który splunął na napierśnik i pracowicie go teraz polerował. Nie miał zamiaru siedzieć cały dzień w namiocie. Chciał wyruszyć na spotkanie wroga. Dziś mogli mieć jedyną szansę złamania obrony Brenu. Och, czarne hełmy z pewnością coś knuły, nie ulegało jednak wątpliwości, że wystawią się w ten sposób na cios.

Przytroczył nagolenniki, złapał hełm i wyszedł z namiotu. Było zimno i jeszcze prawie ciemno. Z gór dał lodowaty wiatr, niosący ze sobą zapowiedź śniegu. Dowódca wojsk Highwall, lord Besik, stał

pod swym namiotem w otoczeniu członków sztabu. Imponował

zarówno posturą, jak i bystrością umysłu. Zauważył Maybora i przywołał go do siebie.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Cieszę się, że cię widzę, przyjacielu - rzekł Besik. - Co o tym sądzisz?

Wskazał na południową bramę, którą powoli otwierano.

Maybor lubił wodza wojsk Highwall. Besik nie zwykł owijać w bawełnę, był

porywczy, lecz sprawiedliwy i zawsze z uwagą wysłuchiwał rad.

- Może czarne hełmy znudziły się już czekaniem. Albo brakuje im żywności i zapasów. - Maybor wzruszył ramionami. - Ale najprawdopodobniej to pułapka.

- Masz rację - przyznał Besik z ciężkim westchnieniem. - Musimy jednak coś przedsięwziąć. Ustawiłem w okopie szpaler kuszników. Będą używać bełtów, powinni więc powstrzymać pierwszą falę atakujących. Jeśli czarne hełmy nie będą miały dosyć, wyślemy lekką kawalerię z wsparciem konnych łuczników.

- Lepiej się zabezpieczyć - zauważył Maybor. - Ustaw po obu flankach pieszych łuczników i wyślij dwie grupy ciężkiej jazdy. Jedną na wschodnie równiny, a drugą w stronę podgórze.

Besik obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Zwiadowcy o niczym nie donosili.

- Ludzie z poderżniętymi gardłami to kiepscy posłańcy.

Besik skinął głową.

- To prawda. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Maybor dosiadł konia. Od miesięcy nie czuł się tak pełen życia. Wreszcie będzie coś robił: działał, zamiast planować, walczył, zamiast bawić się w stratega. Podczas oblężenia potrzebna była cierpliwość, a ta nigdy nie należała do jego zalet. Nie znosił oblężeń.

Najwyższy już czas na porządną, krwawą bitwę. Gryzł się myślą, że Melli przebywa niespełna trzy mile od niego, a on w żaden sposób nie może jej pomóc. Podejmowali rzecz jasna różne próby. Ostrzeliwali północny mur, zatruli wodę w jeziorze, wysłali nurków do podwodnych tuneli. Nic im się jednak nie udawało: trebusz podpalono, trucizna zbyt szybko rozproszyła się w ogromnym jeziorze, a nurkowie nie wrócili.

Dziś jednak czekała ich prawdziwa bitwa. Krata nad południową bramą uniosła się wreszcie i z grodu wynurzył się liczny oddział dosiadających rumaków czarnych hełmów.

Ziemia zatrzęsała się od uderzeń kopyt. Wierzchowce mieli ciemne, uniformy granatowe, a hełmy z pomalowanej na czarno stali. Maybor przyglądał się im przez chwilę.

Kylock wysłał do boju najlepszych żołnierzy w Brenie, gwardzistów diuka, których osobiście wybierał i szkolił nieżyjący już władca miasta. Chorągwie powiewały na wietrze, a broń lśniła. Wyglądali pięknie. Potem wymierzyli w nich kusznicy Highwall. Używane przez nich ciężkie, czworoboczne groty wystarczały, by zatrzymać konia. Bełty przebijały napierśniki, hełmy, a nawet tarcze. Maybor wyraźnie słyszał krzyki strzelających, ciche „pak” cięciw oraz

„pszz” przeszywających powietrze bełtów.

Pociski uderzyły w nacierających. Konie stawały dęba, kwicząc z przerażenia. Ludzie spadali z ich grzbietów i ginęli pod kopytami. Stojący na wzgórzu Maybor widział to wszystko dokładnie. Pierwsza fala czarnych hełmów padła jak muchy. Mimo to Breńczycy nie przzerwali natarcia. Wynurzali się z bramy całymi setkami. Kusznicy przygotowali się i po chwili wystrzelili kolejną serię. Druga fala napastników podzieliła los pierwszej.

Na ten widok w myślach Maybora odezwał się głos mrocznego niepokoju. Coś tu było nie w porządku. Za drugą grupą czarnych hełmów podążali słabo uzbrojeni i kiepsko wyposażeni najemnicy. Nie dla nich granatowe uniformy i lśniące niby stal rumaki. Nie był to prawdziwy szturm. Dwie fale czarnych hełmów miały jedynie zmylić wroga. Kylock oszczędzał elitarne oddziały. W jakim celu?

Maybor ruszył w dół. W tej samej chwili Besik rozkazał rozpocząć szarżę. Konnica Highwall przystąpiła do ataku. Odziani w srebrno-kasztanowe stroje żołnierze zjechali ze stoku, by włączyć się do bitwy. Stojący w okopie kusznicy przesunęli się na flankę. Wsparli ich konni łucznicy. Wokół południowej bramy uformował się potężny półokrąg sił Highwall.

Maybor był zaniepokojony. Coś tu nie grało. Musiał dostać się do Besika.

Słońce wynurzyło się zza horyzontu. Jego blade promienie padły na pole bitwy i piętrzące się dalej góry. Cienie żołnierzy i rumaków były groteskowo długie. Besik zjechał ze wzgórza, krzykiem wydając rozkazy piechocie. Jazda Brenu starła się z konnicą Highwall.

Kasztanowo-srebrni żołnierze wdarli się w linie nieprzyjaciela. Breńscy najemnicy nie mogli się z nimi mierzyć. Połowa czarnych hełmów padła, a ci, którzy przeżyli ostrzał z kusz, wracali pośpiesznie do bramy.

Maybor uniósł dłoń, chcąc osłonić oczy przed słońcem. Był już w połowie wysokości wzgórza. Zmierzał w kierunku Besika, chcąc się z nim naradzić, nagle jednak dostrzegł

przelotnie ukryty za bramą dziedziniec. Stał jak wryty. Przesunął się kilka stóp w lewo.

Czekały tam tysiące czarnych hełmów.

Ale na co? Kopniakiem zmusił konia do galopu. Kylock wciągnął wojska Highwall w bitwę, zmusił je do skierowania najlepszych oddziałów na bramę, przekonał, że walczą z gwardzistami diuka,

podczas gdy w rzeczywistości mieli do czynienia z niewykształconymi, kiepsko wyposażonymi najemnikami. Wyglądało na to, że rzeczywiście ma zamiar wyprowadzić gwardię za bramę, ale dopiero wtedy, gdy...

Wtem zachodni wiatr przyniósł z sobą czysty zew trąbki. Maybor był już niedaleko od Besika. Obaj mężczyźni jednocześnie zwrócili się na zachód. Góry od równin dzieliło wąskie podgórze, nad którym pojawiła się nagle armia królestw, jasno lśniąca w okrutnym blasku poranka. Żołnierze posuwali się w zwartych, równych kolumnach. Ich zbroje połyskiwały w świetle słońca z całą arogancją bezbłędnie sformułowanej groźby.

Na pół sekundy, może mniej, Maybora przeszył dreszcz na ten widok. Królestwa: jego ojczyzna, żołnierze, niebiesko-złote barwy. Potem serce przygniół mu straszliwy ciężar. Nie przybywali mu na ratunek. Pragnęli jego zguby. Był w ich oczach zdrajcą, gdyż popierał

własną córkę, a nie swego króla.

A nie swych synów.

Wciągnął w płuca odrobinę powietrza, po czym zamknął oczy. Jego synowie. W

starym sercu wielmoży narastał tępy, obezwładniający ból. Wojskami królestw dowodził z pewnością Kedrac. Syn walczył z ojcem, ojciec z synem. Potrząsnął powoli głową. Opuścił

dłonie, chcąc poczuć ciepło końskiej szyi. Było mu strasznie zimno. Jak do tego doszło? Nie mógł oskarżać Kedraca, który stanął u boku swego króla. Tak samo postąpiłby każdy młody, ambitny szlachcic. Postawił ojczyznę wyżej niż rodzinę. Nie było to właściwie zaskakujące, biorąc pod uwagę fakt, że wychowywał go ojciec, dla którego zawsze najważniejsza była ambicja.

- Spokój, Pani - wyszeptał Maybor do klaczy, głaszcząc drżącymi dłońmi jej grzywę.

Czuł w gardle ucisk, który nie chciał ustąpić. Wiedział, że ból serca nie opuści go już nigdy.

Kedrac był bardzo młody i ambitny. Jak mógł go potępiać za to, że powtarzał błędy ojca?

Maybor potrzebował ćwierci stulecia, by zrozumieć, jak ważna jest rodzina. Dopiero gdy utracił Melliandrę, pojął, że córka i synowie to wszystko, co ma. Przeklinał siebie za to, że nie był lepszym ojcem. Powinien bardziej dbać o dzieci, mocniej je przytulać i przemawiać do nich w słowach pełnych miłości, nie dumy.

Spojrzał na leżące na dole obozowisko armii Highwall. Przyglądał mu się Besik, który podjechał do niego kłusem.

- Jeśli nas teraz opuścisz, zrozumiem to - zapewnił.

Maybor wyciągnął rękę i ucisnął jego ramię. Wódz wojsk Highwall był dobrym człowiekiem. Urodził się w czasach, gdy na polu bitwy zawsze dochowywano wierności i przestrzegano kodeksu honorowego.

- Nie, panie - odparł Maybor, celowo zwracając się do niego jak do zwierzchnika. - Tu jest moje miejsce. To wam jestem winien wierność. Rozdarłem mam tylko serce.

Besik przyglądał mu się uważnie przez chwilę, po czym skinął krótko głową.

- Cieszę się, że będziesz walczyć u mego boku.

Maybor pokłonił się. Ciężar, który przygniótł mu serce, omal go nie zmiażdżył.

Podniósł z wielkim wysiłkiem głowę. Gdy przemówił, w jego głosie pobrzmiwały siła i kompetencja.

- Bren i królestwa spróbują nas oskrzydlić. Musimy wysłać batalion, który miałby oko na obie wschodnie bramy. Na pewno już je otwierają. Trzeba też odwołać kompanię, którą wysłaliśmy na podgórze. Sądząc z rozmiarów armii królestw, bez wsparcia nie będzie miała szans...

\*

Baralis leżał w ciemności. Nawet najśłabsze światło było dla niego torturą. Świece dawno zdmuchnięto, okiennice zamknięto, nawet ogień w kominku przygaszono, by jego płomienie nie oświetlały komnaty.

Świątynia runęła.

Larn upadł. Jego moc złamał piekarczyk. Ostatniej nocy ze świata zniknęła najbardziej starożytna magia w Znanych Krainach.

Królewski kanclerz nie śmiał nawet drgnąć. Z każdym oddechem pierś przeszywał mu ból, przy każdej myśli czoło rozdzierały spazmy. Stworzony przez niego potężny, odwracający pływy sztorm okazał się bezużyteczny. A teraz musiał za niego zapłacić.

Gdyby tylko wiedział, że postanowią opuścić statek! Któż jednak spodziewałby się podobnego szaleństwa? Gdyby to przewidział, nie marnowałby tyle energii na atak na

„Rybacką Szajkę”, lecz zachował siły na łódź. Osłabił zagłowiec tak bardzo, że jeden cios wystarczyłby, żeby go roztrzaskać. Grotmaszt miał się przewrócić już za chwilę. Mimo to piekarczyk wybrał akurat ten moment, by opuścić statek, i Baralis musiał podążyć za nim.

Choć siły szybko go opuszczały, był zmuszony przygotować nowy atak, zwrócony przeciw szalupie. Zostało mu tyle mocy, że mógł przywołać jeszcze jedną potężną falę, która miała zatopić „Rybacką Szajkę”. Wykonał swój zamiar, lecz skierował ją na łódź, która na jego oczach zaczęła się rozpadać. Zobaczył, że Jacka i rycerza wciągnęło pod wodę. Myślał, że już po nich!

Powinni zginąć. Resztką sił świadomości pomknął na Larn i zawiadomił kapłanów, że położył kres groźbie. Był przekonany, że rzeczywiście to uczynił. Wierzył w to przez całe dwadzieścia cztery godziny. Potem było już za późno. Osłabił tak bardzo, że nie mógł nawet się poruszyć, nie mówiąc już o zaczerpnięciu mocy. Uczynił z larneńskich kapłanów ślepe, niczego nieświadome cele.

Och, ból był nieznośny! Zżerał mu duszę, a gwałtowności dodawała mu świadomość porażki. Baralis popełnił największy błąd w życiu. Błąd tak straszliwy, że wspomnienie o nim będzie go prześladować aż po kres jego dni.

To go jednak nie powstrzyma. Nie. Nie dopuści do tego. Larn był zaledwie jednym krokiem w tańcu, a muzyka grała nadal.

Piekarczyk był tylko chłopcem. Naiwnym, niedoświadczonym, nie umiejącym panować nad własną mocą. Był potężny, lecz można z nim było sobie poradzić. Królewski kanclerz uspokoił się nieco. Ostatecznie bieg wydarzeń nadal mu sprzyjał. Gdy leżał

wygodnie w łożu, Kylock wiódł armie Brenu i królestw do zwycięstwa. Wojska Highwall nie miały szans. Dysponowali przewagą liczebną, zajmowali lepsze pozycje, a do tego przeciwnikowi nie sprzyjało dziś szczęście. Annisowi wkrótce zabraknie sąsiadów i przyjaciół. Na wiosnę ulegnie wojskom imperium. Kylock był najzdolniejszym strategiem swego pokolenia. Nikt nie powstrzyma jego marszu.

Brak przepowiedni jasnowidzów da się odczuć, lecz w ostatecznym rozrachunku nic to nie zmienia. Dokonali już swego największego wyczynu - przewidzieli dokładną datę nadejścia zimowych śnieżyc. Baralis odprężył się pod ciężką kołdrą. Tak jest, Larn upadł, lecz przedtem przechylił szalę na ich korzyść.

Jeśli zaś chodzi o Jacka, z pewnością wróci teraz do Brenu. W gruncie rzeczy, Baralis mógł dopilnować, że tak się stanie, rozpuszczając pogłoskę, że córka Maybora żyje jeszcze.

Piekarczyka i rycerza łączyły z Melliandrą bliskie więzy. Obaj natychmiast pospieszą jej na ratunek. Baralis nie miał jednak zamiaru pozwolić, by choć zbliżyli się do Brenu. Skaythe powinien już wrócić do zdrowia po odniesionej ranie i dotrzeć do Rornu. Ruszy za nimi na północ. To jednak nie wystarczy. Raz już mu się nie powiodło i królewski kanclerz wiedział, że nie może liczyć wyłącznie na niego.

Kto jeszcze mógłby się rozprawić z Jackiem i rycerzem? Baralis zastanawiał się tylko przez chwilę. Tyren. Tyren to zrobi. Wódz rycerstwa miał swych ludzi na wschodnim wybrzeżu. Jego siatka szpiegowska ustępowała jedynie tej, którą kierował arcybiskup Rornu.

Mógł zająć się wytropieniem i pojmaniem obu zbiegów. To był znakomity pomysł. Rycerz był poszukiwany za morderstwo. Okrył rycerstwo hańbą i wyrzekł się go. Obowiązkiem Tyrena było wymierzyć mu sprawiedliwość. A jeśli rycerza i jego przyjaciela spotka po drodze paskudny wypadek, będzie to doprawdy nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

- Crope - zawołał Baralis.

- Słucham, panie?

Olbrzym siedział po ciemku, czekając cierpliwie, aż jego pan się ocknie.

- Czy Tyren towarzyszy armii królestw?



- Tak, panie. Przeprowadził ze sobą kohortę rycerzy.

- Świetnie. - Zaryzykował lekki ruch, chcąc spojrzeć wprost na sługę. Bok przeszył

mu ból. - Gdy tylko znajdzie się w mieście, przekaż mu, że chcę się z nim jutro zobaczyć.

- Tak, panie. - W głosie Croke'a brzmiało lekkie podenerwowanie. Trzymał na kolanach swą ukochaną drewnianą szkatułkę. - Długo spałeś, panie. Mówiłeś przez sen.

- Co takiego powiedziałem?

Croke obrócił szkatułkę w dłoniach.

- Larn. Powiedziałeś, że upadł.

- Tak. To prawda. Świątynia została zniszczona. A co ci do tego?

Baralis tracił cierpliwość. Musiał wypocząć przed jutrzejszym spotkaniem z Tyrenem.

Sługa schował szkatułkę pod bluzę.

- Nic, panie. Nic.

\*

- Masz, wypij to.

Tawl podsunął Jackowi kubek czegoś gorącego.

Chłopak przyjął naczynie. Obudził się zaledwie przed chwilą i wciąż był na wpół oszołomiony.

- Co to jest?

- Holk z deszczówki.

- Widzę, że pada, ale skąd...

- Mam swoje sposoby - odparł z uśmiechem Tawl. Wyglądał okropnie. Oczy miał

podbite, wargę obrzmiałą, na lewym policzku wielki, fioletowy siniak, a na prawym krwawiącą szramę.

- Czy umiesz też znaleźć coś do jedzenia?

Tawl pokazał mu coś, co przypominało rybę.

- Oczywiście. Masz.

- Nie, dziękuję. Jeśli to nawet ryba, wygląda tak, jakby dawno już nie widziała morza.

- Może i masz rację. Dała mi ją jedna staruszka. Miała ich pełen kosz. - Tawł połknął rybę w całości. - Hmm. Chyba wrócę po więcej.

- Pójdę z tobą - zaproponował Jack. Przypomniał sobie kołyszącą się w bujanym fotelu staruszkę, którą widzieli wczoraj. Chciał się przekonać, czy to ona dała Tawłowi ryby.

Miał wrażenie, że tak właśnie było. Ile staruszek mogło mieszkać na tak małej wyspie?

Podniesienie się z ziemi nastreczyło mu masę problemów, takich jak ból, mgła przed oczami, uginające się nogi i zawroty głowy. Tawł musiał wreszcie zarzucić go sobie na plecy jak worek zboża. W którejś części jaźni Jacka zrodziła się chęć śmiechu. Musieli z Tawłem wyglądać doprawdy zabawnie. Jak para poturbowanych pijaków.

Jeśli Jack się nie mylił, znajdowali się gdzieś między zbudowanymi na zapleczu świątyni szałasami i barakami. Nad głowami mieli dach, który wspierały nie cztery, lecz tylko dwie ściany. Przed nimi wznosiła się podobna konstrukcja. Dalej było już tylko niebo. Jack nie przypominał sobie, jak tu trafili. Zapomnił jednak bardzo wiele, a o innych sprawach nie chciał pamiętać.

Tawł paskudnie utykał, lecz mimo to zdołał użyczyć Jackowi swej siły. We dwóch pokuśtykali do świątyni. Kapłani w brązowych sutannach zegnali się na ich widok, inni mężczyźni wytrzeszczali oszalałe oczy, a ohydnie zniekształcone kobiety pierzchały jak szczury. Nikt nie próbował ich zatrzymać.

Siąpiła lekka mżawka. Wiatru nie było. Po drodze Jack zdał sobie sprawę z wypełniającej wyspę pustki. Rytm i wewnętrzne ciepło zniknęły. Larn był jedynie wypaloną skorupą.

Mimo to Jack wciąż czuł jego puls w swym sercu. Zaszła w nim zmiana. Cały jego umysł zsynchronizował się z duchem wyspy. Nad jego sercem, krwią i płucami panował

szybszy, bardziej gwałtowny rytm. Ciało nie przywykło jeszcze do niego. Opierało się mu zawzięcie, złane potem. Jack czuł się tak, jakby narastała w nim gorączka - pocił się, dygotał i cierpiał ból - wrażenie było jednak trochę inne. To jego ciało przystosowywało się do zmian, które w nim zaszły.

- Jack, nic ci nie jest?

- Nie. Czuję się tylko...

Słowa zamarły mu w ustach, gdy spojrzął na larnieńską świątynię. Leżała w gruzach.

Cała wschodnia ściana runęła. Potężne granitowe bloki spoczywały na sobie, jak szczapy drewna w ognisku. Wewnętrzne ściany również upadły. Osamotnione kamienne portale wznosiły się ku niebu niczym nagrobki. Jack zadrżał. To on tego dokonał.

- Świątynię zbudowano wokół groty - wyjaśnił Tawl. - Gdy ta się zawaliła, pociągnęła za sobą całą resztę.

Jack potrząsnął głową. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby rzec. Pod gruzem, pod granitowymi blokami, pyłem i skałą, leżeli martwi jasnowidze. Byli przywiązani do swych kamieni i nie mogli się uratować. Zmiażdżyła ich świątynia, której służyli. Taka śmierć budziła przerażenie. Byli bezbronni jak nowo narodzone jagnięta.

- Za wszystko trzeba płacić - wyszeptał. - Za wszystko.

- Wiem, Jack, wiem. - Głos Tawla był cichy, bliski załamania. - Musisz nauczyć się z tym żyć.

Słyszając jego słowa, chłopak zrozumiał, że nie jest sam. Nie tylko w jego przeszłości pełno było żalu, niepewności i poczucia winy.

- He! He! He! - Ciszę zmącił wysoki chichot. - Już jej nie ma. Nigdy nie wróci. He!

He! He!

Po zachodniej stronie świątyni, na najniższym stopniu schodów, siedziała staruszka. U

jej stóp stał kosz, a ramiona otulał cienki szal. Nienaturalnie przechylała się na prawą stronę.

Jack ruszył w jej stronę. Była to ta sama kobieta, która nocą wskazała im drogę, a może nawet otworzyła drzwi. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że prawą połowę twarzy ma bezwładną. Nie przestawała się śmiać, lecz jej usta otwierały się tylko z lewej strony i tylko lewa powieka mrugała. Prawe oko miała zamknięte. Jack opuścił wzrok na jej kolana, na których spoczywała wysunięta spod szala prawa dłoń. Była zaciśnięta w pięść, brązowa i skurczona jak u mumii. Długie, zakrzywione paznokcie wpijały się w wyschniętą skórę.

Spojrzała na Jacka.

- Zrobiłeś to, czego chciała, he?

- Kto? Kto chciał, żebym to zrobił?

Staruszka zakołysała się na stopniu.

- Ona.

- Co za ona? - zapytał rozdygotany Jack. Gdy kobieta nie odpowiadała, podbiegł do niej i oparł dłonie na jej ramionach. - Co za ona?

Staruszka zakołysała się tylko, nie przestając chichotać.

Chłopak zaczął nią potrząsać. Coś wiedziała. Coś o nim. Wiedziała, po co tu przybył i co to wszystko znaczyło. Musiał to od niej wyciągnąć. Siłą wyrwie z niej odpowiedzi.

- Jack! Zostaw ją. - Tawl położył mu dłoń na ramieniu, by go uspokoić. - Chodźmy stąd.

Młodzieniec powstrzymał się. Zabrakło mu tchu. Staruszka wyglądała na wystraszoną.

Spojrzał w jej zdrowe oko. Było szare i lśniło od łez.

- Proszę cię, powiedz mi, co wiesz. Dlaczego nam pomogłaś? Dlaczego wskazałaś nam drogę?

Kobieta znowu zaczęła się kołysać. Przeniosła wzrok na morze, wbijając go w odległy horyzont.

- Pora opuścić wyspę - rzucił Jack, zdając sobie sprawę, że nie doczeka się odpowiedzi.

Okrążyli pozostałość tylnej ściany świątyni. Gdy tylko weszli w padający na zachód cień, głos staruszki rozbrzmiał po raz ostatni:

- He! He! He! Jasnowidze wiedzieli. Chcieli umrzeć. Dlatego nic nie mówili. He! He!

He!

\*

Na północnym brzegu wyspy znaleźli dwie łodzie. Tawl chciał przeciągnąć jedną z nich lądem na południowy brzeg, Jack wolał jednak jak najszybciej odpłynąć, nawet jeśli znaczyło to, że czeka ich więcej wiosłowania.

Pod jego czaszką kłębiło się jak w mrowisku. Emocje, podejrzania i myśli walczyły ze sobą o miejsce. Wszystko stanowiło jedną całość: staruszka, Larn, opowieść kapitana Quaina, przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Musiał znaleźć łączącą je nić, element, który wiązał go z jasnowidzami i prorocstwem Maroda. Czuł się jednak okropnie znużony i głowa mu ciążyła.

Potrzebował snu w takim samym stopniu, jak odpowiedzi.

Nie pomagał mu fakt, że płynęli łódką. Morze było spokojne, lecz nawet przy najdrobniejszych falach łapały go mdłości. Deszcz był jednak przyjemny. Świeża, chłodna woda studziła gorącą, drżącą skórę.

Po chwili Tawl wyjął mu z rąk wiosła i zaczął wiosłować sam. Wyglądał na zaniepokojonego. Jack to zapadał w sen, to znowu się budził. Po chwili przez jego rozespany mózg przemknęła pewna niepokojąca myśl.

- A co z „Rybacką Szajką”, Tawl? Co będzie, jeśli na nas nie zaczekają?

- Będą czekali - zapewnił rycerz. - Jeśli statek nie poszedł na dno, będą na nas czekali.

\*

Besik popatrzył na Maybora.

- Jeśli natychmiast nie wycofamy się na wschód, oskrzydla nas w ciągu godziny.

Grubasa zalewał pot. Jego uszy wypełniał szum krwi. Choć Besik krzyczał, ledwie słyszał jego głos. Zagłuszały go odgłosy bitwy. Szczęk mieczy, tętent kopyt, bicie w bębny, wrzaski - mogły doprowadzić człowieka do obłędu. Znad gór nadciągnęły ciężkie, czarne chmury, które przesłoniły słońce. Niebo wydawało się teraz znacznie bliższe ziemi. Maybor miał wrażenie, że znalazł się w pułapce. Wszystko sprzysięgło się przeciw nim.

Przed chwilą poprowadził szarżę na wschodnią bramę. Nie wywarło to jednak większego wrażenia na czarnych hełmach. Nieprzyjacielscy żołnierze wylewali się na zewnątrz nieprzerwanym strumieniem. Nic nie mogło ich powstrzymać. Wróg miał trzykrotną przewagę liczebną. Z zachodu nadciągała Królewska Straż Kylocka, na północy pozycje zajęli breńscy najemnicy, a na wschodzie czarne hełmy próbowały odciąć im jedyną drogę odwrotu. Za nimi były góry. Wkrótce nie będą mieli dokąd uciekać.

Pociągnął z manierki łyk brandy. Na polu bitwy łatwo było wypatrzeć kasztanowo-srebrne barwy Highwall. Zamykał się wokół nich czarno-niebieski krąg. Za kilka minut zostaną odcięci. Mimo słów Besika, Maybor miał wrażenie, że jest już za późno.

- Na pewno się spodziewają, że spróbujemy ucieczki na południowy wschód.

Besik skinął głową.

- Wiem o tym, ale nie mamy wyboru. Nie możemy uciekać na południe. Spójrz na te chmury, które zbierają się na zachodzie. Nadciągają zimowe śnieżyce. Jeśli wycofamy się w góry, za trzy dni wszyscy pomrzemy.

- A na wschód nie zdołamy się przebić. - Maybora ogarniała niecierpliwość.

Zaczynało brakować im czasu. - Nasi ludzie są zmęczeni. Walczą już od czterech godzin.

Czarne hełmy włączyły się do bitwy dopiero przed chwilą. Są wypoczęte i pełne zapału. Na dodatek to najlepiej wyszkoleni żołnierze na północy. Jak ci się zdaje, dlaczego Kylock wysłała ich do walki przez wschodnią bramę zamiast przez południową albo zachodnią? - Sam odpowiedział na własne pytanie. - Mają nas wyróżnić, gdy rozpoczniemy odwrót.

- Myślisz, że o tym nie wiem, Mayborze? Sądzisz, że nie wziąłem tego pod uwagę?

Uważam, że mamy wybór między górami na południu a czarnymi hełmami, a powiem ci szczerze, że zdecydowanie wolę zginąć od ran niż z zimna.

Besik cały dygotał. Czoło pokryły mu głębokie bruzdy napięcia.

Maybor podał mu manierkę.

- Odważny z ciebie człowiek, Besiku.

Wódz armii Highwall uniósł naczynie do warg.

- Oto co zrobimy. Rozkażę Hamrinowi otrąbić odwrót. Łucznicy, ciężka jazda i dwa bataliony piechoty utorują drogę na południowy wschód. Lekka konnica i reszta piechoty podążą za nimi. Kiedy będą się wycofywać, rozkażę im skrócić na południe. W ten sposób zabezpieczymy się przed odcięciem od strony gór.

To był dobry plan. Inteligentny plan. Maybor po raz kolejny poczuł podziw dla Besika. Dowódca wojsk Highwall zawsze słuchał, co mówią inni, i brał pod uwagę ich opinie.

Dawał z siebie wszystko.

- Ja poprowadzę południową grupę.

- To niebezpieczna pozycja. Opuścisz pole bitwy jako ostatni.

- Myślisz, że o tym nie wiem, Besiku? - odparł cicho Maybor.

Besik uśmiechnął się, słysząc tę ironiczną odpowiedź. Czarne ongiś jak noc włosy upstrzyły pasemka siwizny. Był ubrany tak samo, jak jego żołnierze, pomijając jedyną ozdobę

- pas z kutego srebra.

- Południe należy do ciebie. Ja wezmę wschód.

Uścisnęli sobie dłonie. Po paru minutach otrąbiono odwrót.

Maybor zjechał ze stoku. Bitewny zgiełk był tu ogłuszający.

Utrudniał myślenie, uniemożliwiał koncentrację. Zdeptany grunt przerodził się w błoto. Czerwone błoto. Leżały w nim trupy ludzi i koni, pozbawione nóg, rąk, a czasem nawet głów. Maybor wiedział, że lepiej nie patrzeć na zwłoki. Już w młodości nauczył się żołnierskiej ślepoty. Ważni byli żywi.

Odwrót już się rozpoczął. Kasztanowo-srebrne barwy wycofywały się stopniowo. Na żołnierzy Highwall z jednej strony napierała armia królestw, z drugiej zaś czarne hełmy.

Słabe było tylko centrum sił Brenu, złożone z kiepsko wyszkolonych bądź w ogóle nie ćwiczonych najemników. Maybor musiał przyznać, że Kylock okazał się bystrym strategiem.

Celowo osłabił środek swych sił, by zachęcić przeciwnika do natarcia. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym łatwiej ich było oskrzydlić.

Zaczął wykrzykiwać rozkazy. Piechota miała ruszyć jako pierwsza. Chciał, by miała czas trochę się oddalić. Besik zajął pozycję na wschodzie, gromadząc większość swych sił w celu przeprowadzenia natarcia w tamtym kierunku. Nie miał to być zwykły odwrót. Dowódca wojsk Highwall będzie musiał utorować sobie drogę przez zastępy gwardzistów diuka.

Maybor życzył mu szczęścia.

Gdy tylko piechota opuściła pole bitwy, jazda Highwall zaczęła łamać szyk. Od zachodu coraz mocniej naciskały na nią niebiesko-złote barwy królestw. Wróg chciał ich zepchnąć na wschód. Zmęczony, zlany potem Maybor poczuł się nagle bardzo stary.

Odmówił bezgłośnie modlitwę do Borca, prosząc go, by czuwał nie nad nim, lecz nad Besikiem, który wiódł dwie trzecie wojsk Highwall prosto pod nóż.

Maybor nie widział, co się dzieje na wschodzie. Jego oddziały zaczęły już się oddalać od wojsk Besika, a z północy gnała kompania czarnych hełmów, gotowa wbić klin w powstałą lukę.

Skierował wzrok na południe, w stronę resztek obozu Highwall, podgórze i leżących dalej gór, chcąc sprawdzić, jak daleko posunęła się ich piechota. Żołnierze umykali ile sił w nogach. Udało już im się dotrzeć do pierwszej linii wzgórz. Świetnie. Czas wydać rozkazy konnicy. Odwracając się w siodle, zauważył na południowym zachodzie niebiesko-złoty błysk. Zbliżały się wojska królestw.

Wydał rozkaz trębaczowi. Zabrzmiały trzy tony: dwa wysokie i krótkie, jeden niski i przeciągły.

Nim wybrzmiał ten ostatni, Maybor zauważył syna.

Kedrac siedział na kasztanowym ogierze, w połowie wysokości stoku. Wydawał rozkazy żołnierzom. Jego koń miał niebiesko-złoty rząd, on jednak założył barwy Maybora.

Czerwień i srebro. Jego kolory herbowe. Kolory Wschodnich Ziem.

Serca Maybora przeszył straszliwy, bezlitosny ból. Duma zmieszała się z cierpieniem.

Wojskami królestw dowodził jego syn.

Kedrac prezentował się wspaniale. Był młody, zdeterminowany i opanowany. Około dwudziestu ludzi zgromadziło się wokół niego niczym dworacy otaczający króla.

Uniósł rękę. Maybora przeszył dreszcz. Syn patrzył wprost na niego i tylko do niego skierował ów gest. Dzieliło ich od siebie około mili. Jedyni na polu bitwy mężczyźni odziani w czerwono-srebrne stroje spoglądali na siebie nawzajem. Maybor bał się, że serce mu pęknie. Jego syn nie założył rodzinnych barw dlatego, że czuł się z nich dumny. Był to zamierzony policzek. Okrutne szyderstwo pod adresem ojca, którego uważał za zdrajcę.

Maybor odwrócił wzrok. Nie musiał patrzeć na Kedraca, by wiedzieć, jaki rozkaz za chwilę wyda.

Byli już w pełnym odwrocie. Wokół królował pełen krwi i błota chaos. Konnica Highwall oddalała się szybko, lecz ścigali ją breńscy najemnicy i Królewska Straż. Setki ludzi padały na ziemię, gdy w plecy wbijały się im strzały bądź miecze. W powietrzu unosiły się ich krzyki. Maybor potrząsnął głową. Straty będą ogromne. Liczba poległych o całe setki przerośnie liczbę ocalonych.

Bitwa przemieszczała się na południe. Wszyscy breńscy żołnierze ścigali wroga.

Kąciem oka Maybor zauważył kompanię ciężkozbrojnych rycerzy zjeżdżającą ze stoku, na którym stał Kedrac. Przyglądał się im przez chwilę z ponurą miną. Następnie odwrócił się, zaczekał, aż minie go pierwsza linia jazdy Highwall i kopniakiem skłonił konia do galopu.

- Ku góróm! - krzyknął, ogarnięty szalonym uniesieniem. A więc syn chciał jego śmierci, tak? Będzie musiał postarać się bardziej.



Powrót do Rornu zajął im sześć dni. Grotmaszt statku był zbyt nadwerężony, żeby utrzymać marsel, musieli więc liczyć wyłącznie na grotzagiel.

Rejs przebiegał spokojnie. Mieli czas wypocząć. Statek płynął pchany delikatnym wietrzykiem, a morze zachowywało się niemal pojednawczo. Dni były krótkie, lecz za to zachody słońca długie, a nocne niebo usiane gwiazdami. „Rybacka Szajka” skrzypiała na falach, a załoga wręcz ją rozpieszczała.

Jack pięć dni spędził w łóżku, złożony gorączką. Dzień i noc opiekował się nim Fyler i - co dziwne - kapitan Quain. Przez pierwsze dwa dni z Tawla nie było żadnego pożytku.

Jego liczne skaleczenia, siniaki, rany i opuchliny opatrywali członkowie załogi. Na statku funkcję nieoficjalnego chirurga pełnił Fyler. Rycerz nigdy w życiu nie zetknął się z bardziej entuzjastycznie nastawionym - i w związku z tym niebezpiecznym - amatorem. Niekiedy odnosił wrażenie, że marynarz zszywa go tylko dla rozrywki. Szycie nie było jednak najgorsze. Okłady z surowych ryb były bardziej nieprzyjemne, a przyżeganie znacznie boleśniesz. Szczerze mówiąc, jedyną zaletą chirurgicznej działalności Fylera był fakt, że szeroką ręką stosował gorący grog w charakterze środka przeciwbólowego.

Tawl spędził znaczną część rejsu w stanie głębokiego upojenia owym napojem, co okazało się znakomitym antidotum na Larn.

Na Jacka wyspa wywarła znacznie trwalszy wpływ. Coś mu uczyniła. Podczas godzin, które upłynęły od czasu zniszczenia groty jasnowidzów do chwili, gdy obudził się następnego ranka, postarzał się o przynajmniej pięć lat. Jego włosy utraciły połysk, a na skroniach pojawiły się siwe pasma. A nie było to jeszcze najgorsze. Na jego twarzy - czole, policzkach i po obu stronach ust - wystąpiły głębokie bruzdy.

Tawl nic mu o tym nie wspomniał. Na pokładzie nie było zwierciadeł, lecz za godzinę mieli zawinąć do Rornu, więc wkrótce Jack pozna prawdę. Rycerz uśmiechnął się. Uniósł

dłoń, by dotknąć własnej twarzy. Była opuchnięta i pokryta szwami. Obaj nie wyglądali w tej chwili zbyt ładnie.

Niemniej jednak, wyszli z tego wszystkiego obronną ręką. Mieli szczęście, że żyli.

Tawl nie miał pojęcia, co wydarzyło się w jaskini, przez co musiał przejść Jack, wyczuł

jednak wypełniającą to miejsce moc. Jej pulsowanie przeniknęło go aż do kości. Czary, które tam działały, były niewypowiedzianie potężne. Nie było nic dziwnego w tym, że pozostawiły po sobie głębokie ślady.

Tawl spodziewał się, że po upadku świątyni poczuje ulgę, może nawet satysfakcję. W

rzeczywistości została w nim tylko pustka. Jasnowidze zginęli, jaskinia się zawaliła, wielu kapłanów natomiast ocalało. A przecież to oni byli prawdziwym złem Larnu. Starożytna magia nikogo nie przywiązywała do kamieni.

- Rorn wygląda stąd nieźle.

Tawl odwrócił się i zobaczył, że Jack wyszedł na fordek. Po raz kolejny musiał ukryć zaskoczenie wywołane zmianą w wyglądzie przyjaciela. Nie mógł się do niej przyzwyczać.

- Jak się czujesz?

- Nienajgorzej. Chyba już się uodporniłem na rum.

- To znaczy, że jesteś wytrzymałszy ode mnie. Wystarczą cztery grogi Fylera i padam twarzą na pokład.

Jack uśmiechnął się. Twarz miał bladą i zapadniętą. Gorączka ustąpiła przed dwoma dniami, lecz Fyler pozwolił mu wstać dopiero wczoraj.

- Czeka nas jeszcze długa droga, prawda?

Tawl wpatrywał się w białe wieże Rornu, które wciąż rosły na horyzoncie.

- Nim zdążysz się zorientować, będziemy już w Brenie.

„Rybacka Szajka” wpływała do portu holowana przez dwie ciężkie łodzie wiosłowe.

Do Jacka i Tawla podeszli Carver i kapitan Quain. Wszyscy czterej stali na fordeku i patrzyli jak statek mija linie kutrów i karaweli, kierując się ku nabrzeżu. Mewy zataczały kręgi na błękitnym niebie, a bryza niosła im wieści z Rornu.

Gdy się zbliżyli, Tawl uniósł dłoń, by osłonić oczy, i spojrzał w stronę mola. Czekały tam na nich dwie postacie. Kosiarza poznał natychmiast - wypukłości pod bluzą, worek przerzucony przez plecy, niewiarygodnie chude nogi - druga osoba sprawiała mu jednak trudności w rozpoznaniu.

Carver uniósł do oczu lunetę.

- Czeka na nas dziewczyna, kapitanie. Trochę wychudzona, ale żywa.

Quain popatrzył na Tawla i zauważył, gdzie ten kieruje wzrok.

- Nie sądzę, żeby chodziło jej o nas, Carver - zauważył. - Dlaczego nie dasz lunety Tawlowi?

- Masz, kolego - rzucił marynarz, wręczając mu przyrząd. - Stoi na molo, obok tego chłopaka. W dzisiejszych czasach w młodym wieku zostaje się alfonssem.

Tawl spojrział przez lunetę. Nie mógł się nie uśmiechnąć na widok Kosiarza. Młody kieszonkowiec

nie wyglądał na zadowolonego. Stojąca obok niego dziewczyna przecierała mu twarz i szyję szmatką. Włosy miała krótko ostrzyżone i gdyby nie ubiór można by ją wziąć za chłopaka. Zwróciła się w stronę statku. Tawł wciągnął nagle powietrze. To była Megan. Jego Megan.

Opuścił lunetę. Co się z nią stało? Gdzie się podziały jej piękne loki i różowe policzki? Pulchne wargi, krzywizny ciała i błyszczące oczy? Na Tawła padł zimny strach.

Przypomniał sobie, że gdy poprzednim razem zszedł z pokładu „Rybackiej Szajki”, zbiegł z trapu i udał się prosto do dzielnicy nierządu, licząc na to, że spędzi noc z Megan. Nie zastał

jej jednak. Pokoik był pusty i panował w nim nieład. Uznał, że po prostu wyjechała. A jeśli się mylił? Jeśli groziło jej niebezpieczeństwo, a on po prostu ruszył w dalszą drogę?

Statek zbliżał się powoli do nabrzeża. Dwie czekające na molo postacie ruszyły ku nim po deskach. Tawł widział ich już wyraźnie. Megan miała na sobie bardzo ładną różową spódniczkę i gorsecik, który - sądząc po tym, jak lśnił w blasku słońca - musiał być jedwabny.

Na ramiona narzuciła wełniany szal. Kosiarz od czasu do czasu unosił rękę i otulał ją nim ciaśniej. Szli obok siebie.

- Hej! Tawł! - krzyknął chłopiec, podchodząc do burty. - Przyprowadziłem twoją przyjaciółkę.

Rycerz spojrział na Megan. Nawet z tej odległości widział, że był w błędzie. Jej oczy nadal błyszczały. Nic nie mówiła, uśmiechała się jednak, wyrażając w ten sposób zadowolenie ze spotkania, ciepło i przyjaźń. Serce Tawła przeszła ostra, gwałtowna radość.

Zbiegł z trapu, nim jeszcze przywiązano cumy. Podbiegł do Megan i pochwycił ją w ramiona. Była tak chuda i wątła, iż bał się, że ją zmiażdży. Policzki miała mokre od łez.

Wyglądała jak niedawno narodzone źrebię.

- Tawł, tak się cieszę - wyszeptwała, kładąc mu głowę na ramieniu. - Tak się cieszę, że tu jesteś.

Załoga krzyknęła radośnie. Tawł uniósł głowę i zobaczył, że wszystkich dwunastu marynarzy stoi przy relingu, uśmiechając się od ucha do ucha. Roześmiał się na ich widok. To byli dobrzy ludzie. Uniósł rękę i pomachał do nich. Po chwili Megan uczyniła to samo.

Załogę ogarnął szal. Wszyscy krzyczeli, przesyłali całusy i pytali ją, czy ma jakieś przyjaciółki.

Tawł potrząsnął głową. Nie potrafił przestać się uśmiechać. Wyciągnął rękę do Kosiarza. Kieszonkowiec wsunął się pod nią i przytulił do jego piersi.

- Nie obraż się, Tawł, ale jesteś odrobinę poturbowany.

Rycerz znowu parsknął śmiechem. Objął mocno chłopca.

- Nie obraż się, Kosiarzu, ale przydałaby ci się odrobina taktu.

Jack zęgnął się już z załogą. Na oczach Tawla zamienił jeszcze kilka słów z kapitanem, po czym zszedł ze statku. Jego twarz miała dziwny wyraz.

- Hej! Jack! - krzyknął Kosiarz. Wyrwał się Tawlowi i podbiegł do chłopaka, który uściskał go serdecznie.

Tawl objął jedną ręką Megan, czekając, aż Kosiarz popełni gafę. Nie trwało to długo.

- Na rzepki Borca, Jack! Co ci się stało? Tawl wygląda kiepsko, ale ty wręcz fatalnie.

Czy to we włosach to siwizna, czy świeża farba?

Jack uniósł dłoń do włosów.

- Siwizna?

- No wiesz, tylko odrobina.

Jack wpatrywał się przez chwilę w kieszonkowca, po czym parsknął śmiechem.

- Jeśli za to, co wydarzyło się na Larnie, zapłaciłem tylko kilkoma siwymi włosami, można powiedzieć, że mi się upiekło.

Tawl odetchnął z ulgą. Przywołał Jacka gestem, by przedstawić mu Megan. Wciąż zadawał sobie pytanie, przez co musiała przejść. Oczy miała podkrążone, a policzki głęboko zapadnięte.

- Cieszę się, że cię poznałam, Jack - powiedziała. Jej głos brzmiał słabiej niż niegdyś.

Młodzieniec pokłonił się i ujął jej dłoń. Tawl uśmiechnął się do niego, zadowolony z tego, że przywitał ją niczym wysoko urodzoną damę.

Kosiarz podszedł do nich po chwili.

- Zamieniłem słówko z szacownym kapitanem. Powiedziałem mu, że niedługo wrócimy z pieniędzmi.

- Udało ci się je zebrać? - zapytał Jack.

- Oczywiście - odparł kieszonkowiec z nagłym oburzeniem. - Za kogo mnie masz, za nieudolnego amatora? No wiesz, nie tylko wy umiecie kombinować. Ja też byłem zajęty.

Odbywałem ważne spotkania, ratowałem dziewczęta z opresji, gromadziłem łupy. Byłem wkurzony. Naprawdę zdrowo wkurzony.

Tawl domyślił się, że Kosiarz poczuł się urażony tym, iż go opuścili.

- Dlatego właśnie zostawiliśmy cię w Rornie - wyjaśnił. - Wiedzieliśmy, że możemy na tobie polegać. Że potrafisz się zająć interesami.

- Ucho od śledzia warte takie tłumaczenia! Porzuciliście mnie i tyle. Bez słowa ostrzeżenia czy podziękowania. Macie szczęście, że się tu zjawiłem. Obraziliście mnie śmiertelnie, a ja i tak płacę za was rachunki!

Tawl złapał go za ramię i poprowadził w kierunku mola.

- Dlaczego nie zajrzemy „Pod Różę i Koronę”? Zjemy coś gorącego i będziesz mógł nam opowiedzieć o wszystkim, co cię spotkało.

Kosiarz zachnął się.

- Za to pewnie też będę musiał zapłacić.

\*

- Wasza Eminencjo, właśnie nadeszła wiadomość z północy. Przed sześcioma dniami wojska Highwall zostały rozbite na południowych równinach Brenu.

Tavalisk odłożył szparag, który był już wymierzony w jego gardło.

- Jak mogło do tego dojść? Breńska armia ma na to zbyt mało żołnierzy.

- Wojska królestw w zeszłym tygodniu przekroczyły góry, Wasza Eminencjo.

Przybyły do Brenu tuż przed zimowymi śnieżycami.

- A więc na to czekał Kylock. Na śnieżyce. - Tavalisk zlizął masło z palców. To była najgorsza wiadomość, jaką przyniósł mu Gamil w ciągu całej swej kariery. Północne imperium nie było już tylko groźbą. Stało się faktem. Baralis i Kylock podbili praktycznie całą północ. - Powiedz mi, czy doszło do masakry?

- Tak, Wasza Eminencjo. Najwyraźniej wojska Highwall otoczono z trzech stron.

Próbowali przebić się na wschód, lecz bez powodzenia. Czarne hełmy ich wyróżnęły. Wszyscy świadkowie twierdzą, że była to krwawa łaźnia. Nie brano jeńców.

- A Maybor i Besik?

- Lord Besik padł razem ze swymi ludźmi. O lordzie Mayborze nie ma żadnych wiadomości. Krążą pogłoski, jakoby wyprowadził jedną trzecią armii Highwall w góry, ale wygląda na to, że większość żołnierzy zginęła. Wycofali się z pola bitwy jako ostatni.

- Tak. To wszystko wyjaśnia.

Tavalisk był wstrząśnięty, lecz nie zamierzał zdradzać tego faktu przed Gamilem. Od czasu niefortunnego incydentu z młodym kieszonkowcem, który zdarzył się w zeszłym tygodniu, arcybiskup

ufał Gamilowi znacznie mniej. Jego sekretarz z pewnością wdał się w coś bardzo podejrzanego, jeśli mógł go zaszantażować zwykły ulicznik. Co ważniejsze, istniała teraz także niewielka możliwość, że Gamil wie o jego skarbcu.

Tavalisk podniósł z tacy szpikulec do szparagów, wygiął go gwałtownie i złamał. Gdy tylko ten mały, wredny kieszonkowiec opuści Rorn, każe przenieść wszystkie swe oszczędności. Może nawet je podzieli - połowę ulokuje w mieście, a połowę gdzie indziej.

Biorąc pod uwagę panującą na północy sytuację, należało zachować wielką ostrożność w sprawie zasobów finansowych. Zwłaszcza jeśli wszystko trzymało się w złocie.

- Jak przyjęto wiadomość o klęsce Highwall w Camlee i Ness?

- Źle, Wasza Eminencjo. Ness dzielą od Brenu tylko trzy tygodnie forsownego marszu. Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, gdzie zatrzyma się teraz spojrzenie Kylocka.

Tavalisk machnął szparagiem w stronę Gamila.

- Hmm. Zapewne masz rację. Będzie liczył na to, że górskie śnieżyce na całą zimę zablokują wojska Annisu. A skoro dysponuje już armią królestw, na pewno nie zechce siedzieć bezczynnie. Nikt nie jest bardziej niespokojny od świeżo koronowanego króla.

- Jego pozycja jest bardzo silna, Wasza Eminencjo.

- Gamilu, gdybym potrzebował kogoś, kto mówiłby mi oczywiste rzeczy, wezwałbym szlifierza miedzi. Mógłby być źle poinformowany, ale przynajmniej widziałby wszystko, co miałby przed oczami.

Arcybiskup wsunął do ust połowę szparaga. Nigdy nie zjadał dolnych części. Był to akt miłosierdzia, ponieważ zawsze oddawał resztki biednym.

- Na wiosnę czekają go jednak problemy, Wasza Eminencjo. Będzie musiał

przekroczyć góry, zająć Highwall, nie pozwolić Halcusom podnieść głów i rozbić Annis.

- Na wiosnę będzie silniejszy, Gamilu. W tej chwili tylko połowa breńskich wojsk jest przyzwoicie wyszkolona. Służą w nich najemnicy, wieśniacy i żołnierze z poboru. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku poświęci zimę na ich porządne przygotowanie.

- A co z najazdem na Ness, Wasza Eminencjo?

- Czarne hełmy i wojska królestw poradzą sobie z tym same. Nie można liczyć na to, że Ness stawi zbyt poważny opór.

- Ale czy południe mu nie pomoże, Wasza Eminencjo?

Tavalisk przyjrzał się szparagowi. Był zielony, lśnił od masła i wypełniał powietrze słabym odorem

moczu. Dzięki ich małym, ukrytym szpicom przy tych jarzynach doskonale knuło się spiski.

- Oficjalnie ogłosimy, że południe nie jest przygotowane do udzielenia żadnej pomocy.

- A nieoficjalnie, Wasza Eminencjo?

- Bren musi odnieść wrażenie, że umywamy ręce od Ness. Niewykluczone, że dzięki temu wyślą tam słabsze, gorzej przygotowane siły. Południe przystąpi do akcji dopiero wtedy, gdy ruszą podbić to nieszczęsne miasto hodowców baranów. Uważam, że powinniśmy zbroić potajemnie Camlee, aż do ostatniej chwili w nic się nie angażować, a potem wziąć młodego Kylocka z zaskoczenia.

- Wasza Eminencja jest doprawdy bardzo mądry.

Tavalisk rozpromienił się. Ostatecznie wciąż pozostawał wybranym. Marod z całą pewnością dokonał trafnego wyboru.

- Masz jeszcze jakieś wieści, Gamilu?

- Dziś rano zauważono we wschodniej zatoce „Rybacką Szajkę”, Wasza Eminencjo.

Zapewne przybiła już do brzegu.

- Hmm. Chyba lepiej będzie, jeśli pozwolimy rycerzowi i jego przyjacielom odejść w spokoju. Nie chcę marnować czasu na kwestie tak trywialne, jak torturowanie nisko urodzonych. Przynajmniej nie w tej chwili.

Gamil pokłonił się pospiesznie.

- Wasza Eminencja ma świętą rację. Skupmy się na ważniejszych sprawach.

Wyraźnie zmienił nutę. Co właściwie miał na niego ten kieszonkowiec?

- To będzie na razie wszystko, Gamilu. Wyświadczyć mi tylko drobną uprzejmość i będziesz mógł odejść.

Tavalisk uznał, że akurat nadeszła właściwa chwila, by pokazać Gamilowi, gdzie jego miejsce.

- Jaką uprzejmość, Wasza Eminencjo?

- Chciałbym, żebyś sporządził listę wszystkich swoich agentów.

- Wszystkich?

- Tak. Od najbogatszego kupca aż po najędźniejszego pomywacza.

Gamil miał wyraźnie zaniepokojoną minę.

- Ale, Wasza Eminencjo, to zajmie mi cały dzień.

Tavalisk udał, że ziewa.

- Mogę zaczekać.

\*

- A więc główny sekretarz arcybiskupa pracował dla Larnu?

- Zgadza się, Tawl. Stary miał świętą rację.

- A jak on się nazywa?

- Gamil.

Tawl rozsiadł się wygodniej. Zebrali się przy małym, okrągłym stole „Pod Różą i Koroną”. Na talerzach stygły resztki wieprzowej pieczeni, a Kosiarz kończył właśnie placek.

W gospodzie było cicho i ciepło. Oberżysta przed chwilą dołożył dREW do ognia, a dziewczka karczemna wciąż dolewała im *ale*.

Gamil. To właśnie imię podano mu przed miesiącami na Larnie. To jemu doręczył list.

Tawl wyraźnie pamiętał jego twarz, a także zaskoczenie, które pojawiło się na niej, kiedy zobaczył, kto czeka pod drzwiami. Sekretarz był tylko samolubnym tchórzem, odpowiednim kompanem dla arcybiskupa. Tawl potarł obolałe czoło.

- Wszystko się ze sobą łączy.

Jack podniósł wzrok. Podczas opowieści Kosiarza i Megan nie odezwał się ani słowem.

- Co się łączy?

Tawl rzucił tę uwagę od niechcienia, lecz jego przyjaciel okazał bardzo głębokie zainteresowanie. Rycerz wzruszył ramionami. - No wiesz. Larn, Rorn, Bren. Nawet ty i Melli.

Oboje przecież przybyliście z królestw.

- Larn, Rorn, Bren i królestwa - powtórzył Jack. Od chwili zejścia z pokładu zachowywał się dziwnie. Był roztargniony, zamknięty w sobie i trzymał się od wszystkich na dystans. Tawl zastanawiał się, co zaprzęta jego myśli.

- Dlaczego się trochę nie prześpisz? - zapytał. - Kosiarz zamówił dla nas trzy pokoje.

Zerknął pośpiesznie na kieszonkowca.

Ten skinął głową, wstał, podszedł do Jacka i pociągnął go za ramię.

- Chodź, Jack. Zaprowadzę cię na górę. Dostaniesz pokój z łóżkiem. Kosztowało mnie to dwie sztuki



złota więcej.

Młodzieniec pozwolił odprowadzić się od stołu. Tawl wpatrywał się w jego plecy.

- Martwisz się o przyjaciela?

Megan przysunęła krzesło bliżej.

- Tak. Przeszliśmy razem bardzo wiele. - Tawl ujął dłoń dziewczyny i ucałował ją. -

Ale nie tyle, co ty.

Jej uśmiech był tak słodki, że aż serce go bolało na ten widok.

Dotknęła palcem jego warg.

- Nie oskarżaj się, Tawl. Nie możesz otaczać opieką każdego, na kim ci zależy. Tego po prostu nie da się zrobić.

Rycerz potrząsnął głową.

- Megan, ja...

- Za bardzo się przejmujesz, Tawl. Żyjesz tylko dla innych, nigdy dla siebie.

- Gdybym wiedział, że coś ci grozi, wróciłbym natychmiast.

Z delikatnym uśmiechem przesunęła palcem po jego policzku.

- Myślisz, że o tym nie wiem, Tawl?

Była bardzo piękna. Piękniejsza niż przedtem. Jasne loki, które utraciła, nie mogły się równać z nowym błyskiem w oczach. Pochylił się i pocałował ją w usta.

- Muszę ci podziękować za wiele spraw.

- Nie dziękuj mi, Tawl. Już od dawna traktowałeś się bardzo surowo i oczekujesz od innych tego samego. Jeśli ci mówię, że to nie z twojej winy mnie uwięziono, to nie jest przysługa, tylko prawda. To arcybiskup wtrącił mnie do lochu, nie ty.

- Ale...

- Tawl, zależało ci na mnie. Gdybyś wiedział, co się stało, natychmiast byś tu przybył.

- Wbiła w niego spojrzenie intensywnie zielonych oczu. - To mi wystarczy.

Tak rzeczywiście było. Nie kłamała, chcąc oszczędzić jego uczucia. Tawlowi ulżyło nieco na sercu. Być może w jej słowach kryło się trochę prawdy. Może czasami wystarczała szczerza troska.

Na twarzy Megan wykwitł chytry, lisi uśmieszek.

- A teraz opowiedz mi o kobiecie, którą kochasz.

Tawl nawet nie próbował ukryć zaskoczenia. Pociągnął tylko głęboki łyk *ale*, żeby dać sobie czas na zastanowienie.

- Skąd takie przypuszczenie?

- To przez twój pocałunek. Był słodki, ale nie namiętny.

Co z niej była za kobieta? Skąd mogła wiedzieć tak dużo?

Megan parsknęła śmiechem.

- Masz strasznie oburzoną minę. Nie chciałam cię urazić.

Nie. Chciała tylko zwolnić go z haczyka. Poruszając ten temat, wyrzekła się wszelkich pretensji do niego, dawała mu do zrozumienia, że może odejść.

- Jesteś wspaniałą kobietą.

- Cieszę się, że znalazłeś kogoś, kogo mogłeś pokochać.

Tawl ujął obie jej dłonie.

- Czy to nie ty powiedziałaś mi, że to miłość uwolni mnie od demonów, nie bohaterskie czyny?

Wsparła głowę na jego ramieniu.

- Czeka cię jeszcze długa droga.

\*

Jack leżał w łóżku, nie mógł jednak zasnąć. Głowa mu pękała, a zmysły zalewały go potopem wrażeń. Czuł szorstkość dotykającego jego nadgarstków wełnianego koca i spływającą po policzku kroplę potu. Widział, jak powietrze migocze przed kominkiem, a sufit ugina się pod krokami kogoś na górze. Słyszał wszystko: ćmy trzepiące skrzydłami o okiennicę, robaki wgryzające się w drewno, chrapanie mężczyzny śpiącego w sąsiednim pokoju oraz fale uderzające o brzeg.

Głosy. Słyszał też głosy.

Pożegnalne słowa Fylera: „Nigdy nie widziałem, żeby kapitan dbał o kogoś tak, jak o ciebie podczas rejsu powrotnego. Traktował cię zupełnie jak syna”.

Pożegnalne słowa Quaina: „Jack, kiedy następnym razem będziesz w Rornie, nie zapomnij mnie odwiedzić. Mamy ze sobą bardzo wiele wspólnego”.

Słowa Tawla w gospodzie: „Wszystko się ze sobą łączy”.

Głosy, setki głosów, brzęczały w jego umyśle niczym muchy zlatujące się do świńskiego udźca. Dlaczego nie chciały dać mu spokoju?

Rzucał się w łóżku i przewracał z boku na bok. Koce, na których leżał, były mokre od potu. Po ulicy chodzili jacyś ludzie. Odgłos ich kroków wpadał w rezonans z rytmem jego serca. Jack wyęczał słuch niczym strażnik spodziewający się intruzów. Ogień buzował na kominku, ćmy trzepały skrzydłami, człowiek w sąsiednim pokoju chrapał, fale biły o brzeg - a wszystko to w rytm pulsu wyspy jasnowidzów.

Nie mógł już tego znieść. Miał wrażenie, że popada w obłąd. Ze wszystkich stron czuł ucisk Larnu.

„Zrobiłeś to, czego chciała, hę?”

Głosy znowu przybrały na sile. Szydercze i arbitralne, smagały jego duszę.

Stillfox siedzący przy kominku: „Słyszałem kiedyś opowieść o dziewczynie, która pochodziła z Larnu. Jej matka służyła kapłanom”.

Falk mówiący o jego matce: „Mam wrażenie, że trzymała swą przeszłość w tajemnicy po to, by chronić ciebie”.

Quain przed sztormem: „Unosiła się na falach w łódce bez żagli i wiosła”.

Jack zasłonił uszy dłońmi, lecz głosy nie chciały umilknąć.

Znowu Stillfox: „Uratowała ją matka, kobieta tak okaleczona, że w ogóle nie mogła poruszać mięśniami po prawej stronie twarzy ani unieść prawej ręki. Dzięki jej pomocy dziewczyna wypłynęła małą łódeczką na otaczające wyspę zdradzieckie wody”.

Pan Frallit: „Co więcej, była cudzoziemską dziwką”.

Jego matka, co rano na zamkowych blankach: „Trzymaj głowę nisko, Jack, bo cię zauważą”.

Miał wrażenie, że się dusi. Głosy miażdżyły go swym ciężarem. Słowa były ważne, przenikliwe, nieustępliwe. Nie chciały dać mu spokoju. Pot skapywał z jego nosa do ust. Miał smak morza.

Stillfox: „Złożyła straszliwą przysięgę, mówiącą, iż pewnego dnia zniszczy Larn”.

Quain: „Uciekała”.

Falk: „Być może bała się raczej o ciebie niż o siebie”.

- DOŚĆ!

Jack usiadł na łóżku. W uszach mu dzwoniło, a serce waliło jak szalone. Koce przerodziły się w krępujące go sznury. Zerwał je z ciała. Musiał się stąd wydostać.

Chłód drewnianej podłogi był dla niego błogosławieństwem. Ubrał się szybko, zatrzymując się tylko po to, by spryskać wodą twarz. Zeskakiwał ze schodów po trzy stopnie, a gdy drzwi nie chciały się otworzyć, użył siły. Ludzie próbowali go powstrzymać, lecz odepchnął wszystkich. Ich głosy niczym nie różniły się od tych, które rozbrzmiewały w jego głowie.

Wreszcie znalazł się na zewnątrz. Zaczerpnął w płuca haust nocnego powietrza, by się uspokoić, zaczekał, aż atak obłądzenia minie. Głosy przeszły stopniowo w szepty, potem w bezsensowne brzęczenie, a wreszcie umilkły. Czuł się doszczętnie wyczerpany. Jego nogi same znajdowały drogę.

Prostytutki go nawoływały, pijacy uważnie się przyglądali, a staruszki na jego widok przechodziły na drugą stronę ulicy. Niebo było pełne gwiazd, a wszystkie z nich migotały w rytm Larnu. Przyspieszył kroku. Bez względu na to, jak szybko szedł, wyspa wciąż w nim była. Żadne wysiłki nie przywrócą tego, co minęło.

Ruszył w kierunku morza. Pokonał półtorej mili wzdłuż brzegu, po czym wszedł na wschodnie moło. Mijając kolejne szeregi łodzi, dotarł wreszcie do trapu „Rybackiej Szajki”.

Do tej chwili nie wiedział nawet, dokąd zmierza, lecz gdy tylko ujrzał kadłub żaglowca, pojął, że dotarł we właściwe miejsce.

- Kto idzie? Nie waż się zakłócać spokoju statku.

- Carver, to ja, Jack. Przyszedłem pogadać z kapitanem.

- Masz szczęście. Jeszcze nie zszedł z pokładu. Siedzi w swojej kajucie i zapisuje w dzienniku okrętowym relację z rejsu. - Carver wpuścił go na pokład. - Hej! Tylko nie próbuj go namawiać na kolejny wypad, kolego. Jeśli to zrobisz, w jednej chwili wyrzucę cię za burtę.

Już nigdy w życiu nie popłynę na Larn. Żeby tego uniknąć, nie cofnę się przed morderstwem.

- Spokojnie, Carver. Larn to teraz tylko jedna z wielu jałowych wysp na oceanie.

Jack sam nie bardzo wierzył we własne słowa. Jak mógłby w nie uwierzyć? Tętno Larnu wypełniało mu serce i duszę.

- Hmm. Lepiej uważaj, kolego.

- Nie ma sprawy, Carver. Będę uważał.

Zszedł pod pokład. Ostry zapach drewna sprawiał, że czuł się uwięziony, a niskie sufity zmniejszały bezkres nocy. Drzwi kapitańskiej kajuty były zamknięte.

Jack nie pukał, a po prostu otworzył.

Quain siedział za biurkiem, pisząc coś w dzienniku. Nie podniósł wzroku.

- Wejdź i usiądź. Nalałem ci szklaneczkę.

Młodzieniec wszedł do środka. Było tu ciepło, lecz nie za gorąco. Widno, ale nie oślepiająco jasno. Na biurku stały dwie szklanki: jedna wypełniona po brzeg, druga trochę mniej.

Kapitan zwrócił się ku niemu.

- Myślałem, że zjawisz się wcześniej.

Jack usiadł.

- Wiedziałaś, że przyjdę?

- Hmm, miałem takie przeczucie.

- A gdybym tego nie zrobił?

- Musiałbym sam wypić dwie szklanki. - Kapitan uśmiechnął się lekko. - Lubię takie układy, kiedy zawsze jestem do przodu.

Jack wziął w dłoń pełną szklaneczkę. Była gładka i ciężka.

- Co się stało z dziewczyną z Larnu?

Quain odpowiedział natychmiast, jakby całą noc czekał na to pytanie.

- Kiedy nasz statek przybił do brzegu, zabrałem ją ze sobą do domu. Była jeszcze chora i przez kilka tygodni opiekowaliśmy się nią na spółkę z matką. Nigdy w życiu nie widziałem kobiety, która tak bardzo chciałaby wyzdrowieć. Właściwie osiągnęła ten cel samą siłą woli. Gdy tylko odzyskała siły na tyle, że mogła już chodzić, natychmiast opuściła miasto. Nic nie mogło jej powstrzymać. Bała się Larnu, tego, że kapłani wytropią ją i zabiją.

Choć złamało mi to serce, oddałem jej oszczędności i pozwoliłem odejść.

Jackowi wydawało się, że sama noc zawirowała wokół niego, a on i Quain są jedynymi nieruchomymi punktami pośród powszechnego chaosu.

- Dokąd się udała?

- Nie chciała mi tego powiedzieć. Woląca mnie nie narażać. - Quain mówił szeptem. -

Chyba na północ.

- Jak wyglądała?

- Ciemne włosy. Niebieskie oczy, drobne kości, buzia kształtu serca. Po prostu piękna.

Cały świat wirował. Jack słyszał wicher świszczący mu obok uszu.

- A jak miała na imię?

- Aneska.

I nagle wszystko się zatrzymało. Stało w jednej chwili.

Quain uniósł do ust szklanekę rumu. Przełknął trunek i spojrzał wprost na Jacka.

- Kiedy opuszczała Rorn, powiedziała, że musi sobie wybrać inne imię. Takie, które nie przyciągnie niczyjej uwagi w żadnym z miast w Znanych Krainach. Powiedziałem jej, że najlepsze byłoby imię Lucy. Nigdy się nie dowiem, czy skorzystała z mojej rady.

Gdy Quain mówił, Jack nie zaczerpnął ani jednego oddechu. Teraz wreszcie to zrobił.

Powietrze wdarło się gwałtownie do płuc. Nim zdążył się zorientować, zerwał się z krzesła.

Musiał dotknąć kapitana, by się przekonać, że Quain istnieje naprawdę i jego słowa nie były złudzeniem. Kapitan był ciepły i pachniał rumem. Był w pełni materialny Jak każdy stary wilk morski. Chłopak nie wątpił, że wszystko, co usłyszał, to prawda.

Poczuł gwałtowny ucisk w piersi. Serce wypełnił mu cały świat nieznanymi uczuciami.

Przeszył je ból, ostry i słodki zarazem. Była tam ulga, zdumienie, podniecenie, radość, a przede wszystkim smutek.

Jakże musiała cierpieć, pomyślał. Jakże skutecznie ukrywała swą przeszłość i obawy.

Czuł też wdzięczność. Był wdzięczny siedzącemu przed nim człowiekowi za to, że to on wyjawiał mu prawdę. Ukląkł u stóp kapitana.

- Skorzystała z niej. Przyjęła imię Lucy - powiedział.

Dłoń Quaina spoczęła na jego barku.

- Ehe. Jesteś jej synem. Wiedziałem o tym, gdy tylko cię zobaczyłem. - W jego głosie pobrzmiwała nuta tęsknoty. - Była odważną dziewczyną.

Jack przysunął się do niego. Wreszcie otrzymał odpowiedź. Wiedział, dlaczego jego matka zmieniła imię, dlaczego co rano wspinała się na mury, by obserwować twarze nieznanymi i dlaczego kłamała o swej przeszłości. Siłą władającą jej życiem był strach, jego źródło zaś stanowił Larn.

Żyła ze strachem, lecz dla zemsty. Złożona przez nią przysięga zapowiadająca zniszczenie świątyni była tak silna, że przetrwała jej śmierć. Być może nawet stała się jej przyczyną. Tak czy inaczej,

dokonało się. Larn upadł i mogła spokojnie spoczywać w grobie.

Jack spojrzał na Quaina.

- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Mogłem wcale tu nie przyjść.

- Jack, znam morze. Potrafi uśpić człowieka tak skutecznie, jakby był dzieckiem w kołysce. Gdy oczy nie widzą brzegu, a pod stopami nie czuje się ziemi, liczy się wyłącznie rejs. Żeby ujrzeć wszystko we właściwej perspektywie, trzeba wrócić na suchy ląd.

Pomyślałem sobie, że z tobą będzie tak samo. Wystarczy kilka godzin na łądzie, a sam się wszystkiego domyślisz.

- Ale pewnych spraw nadal nie rozumiem.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem. - Quain poklepał Jacka po ramieniu. - Nalej nam jeszcze trochę rumu, chłopcze. Pora, żebyśmy wypili za pamięć twojej matki. Pytania bez odpowiedzi mogą zaczekać do jutra.

Jack wstał, napełnił obie szklaneczki po brzegi i wręczył jedną kapitanowi. Quain miał rację. Musieli to uczcić.

Pod pokładem „Rybackiej Szajki” dwaj mężczyźni wznosili toasty, opowiadali sobie najrozmaitsze historie, śmiali się i płakali aż po błądy świt.

Świtało. Padające przez okiennice światło miało blady odcień spowijającej jezioro mgły. Zimno było przeraźliwe. Melli nie sądziła, by kiedykolwiek w życiu tak zmarzła. W

porównaniu z tym, co przeżywała teraz, zimy na Zamku Harvell były drobiazgiem. Śnieżycą szalała całe sześć dni. Dziś jednak niebo było czyste.

Na wilgotnej północnej ścianie komnaty utworzyła się warstwa lodu. Woda w stojącym obok łoża kubku zamarzła. Z ust dziewczyny buchała biała para, a ukryte pod kocami ciało nie przestawało dygotać. Przez pomieszczenie przemykały mroźne powiewy.

Zimne podmuchy wydostające się z komina rywalizowały z przeciągami dmącymi od okien, unosząc zasłony, grzechocząc meblami i wygarniając spod łoża kłęby kurzu.

Wsunęła się pod koce aż po nos. Okropnie chciała się załatwić, wiedziała jednak z doświadczenia, jak zimno jest na zewnątrz. Poza tym, zamarzła na pewno nie tylko woda w szklance, a nie miała ochoty siusiać na cienką warstewkę lodu. Zaczeka, aż strażnicy przyniosą pustą nocnik.

Było jeszcze zimniej niż podczas śnieżycy. Co prawda, wicher niósł ze sobą przedostający się do środka przez komin śnieg i łamał metalowe zatrzaski okiennic tak łatwo, jakby były z drewna, lecz gdy powietrze było w ruchu, nie miało przynajmniej czasu odmrozić jej palców.

Ani nosa, policzków bądź powiek. „Czy można sobie odmrozić powieki?” -

zastanowiła się Melli. Czy mogą one po prostu zamarznąć, na zawsze zasłaniając oczy?

Zaniepokojona tą myślą, nakryła twarz kocami. Lepiej się udusić, niż narazić się na coś takiego.

To naprawdę zdumiewające, jak ciepło było pod narzutami. Jej brzuch działał jak piec.

Miała wrażenie, że minęło już prawie siedem miesięcy. Nigdy nie radziła sobie zbyt dobrze z rachubą czasu. Zawsze robili to za nią służący.

Teraz jednak nie miała służby, a jedynie dwóch, czasem trzech, strażników i szczerbatą panią Greal. Choć żołnierze nosili metalowe hełmy, paskudnie cuchnęli i często wyciągali broń, Melli zdecydowanie wolała ich od tego wrednego babska. Nie odzywali się, byli uprzejmi - o ile można nazwać uprzejmym człowieka, który grozi komuś orężem - i okazywali cudowny brak zainteresowania. Natomiast pani Greal zachowywała się jak pies, który złapał kość i nie chce wypuścić jej z zębów. Szydliła z Melli, poganiała ją i znieważała, a do tego ciągle wyszukiwała nowe luksusy, których mogłaby ją pozbawić. Świece, ciepło, maty podłogowe, kolacja i świeża woda najwyraźniej jej nie usatysfakcjonowały. Dziewczyna musiała teraz tygodniami nosić to samo ubranie, myć się w lodowatej wodzie z jeziora, ogryzać kości, które wyglądały tak, jakby miała je już w zębach cała sfora psów i spać pod kocami tak szorstkimi, że dokuczyłyby nawet świętemu.

Melli przekonała się jednak, że potrafi znieść wszystko, co wymyśli pani Greal. Mimo ciężkich



warunków ciąży przebiegała prawidłowo. Choć miała niewielkie obrzęki na nogach, a plecy ciągle ją bolały, czuła się z dnia na dzień coraz silniejsza. Tygodnie stawały się miesiącami, a jesień ustąpiła miejsca zimie, lecz każdy ruch, który poczuła w brzuchu, stawał

się dla niej powodem, by się nie poddawać.

Dobrze się czuła w ciąży. Nie była sama. Objęła brzuch i zaczęła mówić do dziecka, zapewniając, że ucieknie jeszcze przed jego narodzinami. Nie była to czcza obietnica.

Dokładnie wiedziała, czego chce od niej Kylock, i nie zamierzała mu tego dać. Nie pozwoli, by wykorzystał jej ciało do zmycia grzechów. Za to, co uczynił, nie mogło być przebaczenia.

Przed siedmioma dniami nakazał wyrznąć w pień pięć tysięcy ludzi. Armia Highwall została pobita. Mógł rozbroić jej żołnierzy albo wziąć ich do niewoli. Poderżnięto im jednak gardła i okaleczono ciała, a szczątki porzucono na zamarzniętych, południowo-wschodnich równinach Brenu.

Kylock był potworem i należało go udusić zaraz po urodzeniu. Melli robiło się niedobrze od jego zбочzonych zabaw w grzech i skruczę, od myśli, że jest oczkiem w jego chorej głowie. Ucieknie. Wiedziała, że jej dziecko czeka nieunikniona śmierć. Baralis nie mógł pozwolić prawowitemu dziedzicowi diuka Brenu pozostać przy życiu. Kylocka dziecko nie obchodziło. Pragnął tylko jej. Niech ją jednak diabli wezmą, jeśli będzie czekała dwa miesiące, a potem zaserwuje mu się posłusznie niczym bażant na talerzu. Nie będzie niczym aktem rozgrzeszenia.

Zza drzwi dobiegł jakiś dźwięk. Melli zrzuciła z siebie koce akurat na czas, by ujrzeć wchodzącą do komnaty panią Greal. Ta szacowna niewiasta ubierała się teraz jak królowa: futra, brokaty, złote łańcuchy na chuderlawej szyi. Zapewne ograbiła skarbcę wszystkich szlachetnie urodzonych Breńczyków, których Kylock kazał poddać torturom, a potem zgładzić. Każdemu z mieszkańców miasta, który skrytykował go choć słowem, groziła rychła śmierć.

- Czy są jakieś wieści o moim ojcu? - zapytała.

- Pani - poprawiła ją ostrym tonem szczerbata kobieta. - Czy są jakieś wieści o moim ojcu, pani. - Zdjęła rękawiczkę i uniosła kościsty palec. - Jest zimniej, ale przeciągi osłabły.

- Jeśli tak bardzo chcesz, żebym zamarzła na śmierć, to dlaczego po prostu nie rozwalisz ściany i nie wrzucisz mnie do jeziora?

Pani Greal wzruszyła ramionami.

- W ten sposób skończysz tak samo, jak ojciec.

- Czy znaleziono jego ciało... - Melli zgrzytnęła zębami - ...pani?

- Po takiej nawałnicy nie warto nawet szukać. Twój ojciec czmychnął z pola bitwy jak tchórz, ale górą z pewnością nie umknął. Ostatecznie nie był już zbyt młody.

Melli zignorowała jej domysły i złośliwe uwagi. Nie znaleziono ciała Maybora, a to znaczyło, że jest

szansa, iż jeszcze żyje.

- Ilu jeszcze ludzi nie udało się odnaleźć?

Pani Greal podeszła do łoża.

- Nie bądź taka wścibska.

- Chcesz powiedzieć, że tego nie wiesz.

- Wiem o wszystkim, co się dzieje w Brenie, moja panno. O wszystkim.

- Czy mój brat chciał się ze mną widzieć?

Wiedziała, że Kedrac przebywa w mieście, czy jednak wiedział, że i ona tu jest?

- Król powiedział mu, że nie żyjesz. Umarłaś na gorączkę przed trzema miesiącami.

Nikt nie wie, że tu jesteś, moja panno. I nikogo to nie obchodzi - mówiła pani Greal z wyraźną radością. - Zresztą na tego twojego brata nie ma co liczyć. Słyszałem, że podczas bitwy wydał swej przybocznej straży rozkaz zabicia Maybora.

- Kłamiesz.

Melli miała ochotę wymierzyć policzek w jej szczerbatą gębę, powyrywać włosy i wepchnąć głowę do nocnika. Próbowwała już jednak kiedyś tego pierwszego i pani Greal wystarczyła niespełna sekunda, by wezwać strażników.

- Zapytaj króla, kiedy odwiedzi cię następnym razem. Przekonasz się, że mówię prawdę.

Melli wsparła głowę na poduszkach. Nie mogła znieść tej myśli. Jak musiał czuć się jej ojciec wiedząc, że Kedrac nakazał swym ludziom go zamordować? Fakt, że walczyli po przeciwnych stronach, był wystarczająco przykry, ale to... Maybor żył tylko dla swych synów.

Nie. Nie było to do końca prawdą. Kochał również i ją. Po prostu potrzebował wielu lat, by wreszcie to okazać.

- Widziano, jak Maybor opuszczał pole bitwy?

Melli pytała już o to przed kilkoma dniami, chciała się jednak upewnić.

Pani Greal uśmiechnęła się.

- Twój ojciec to tchórz, który lubi bić bezbronne kobiety, ale na pierwszą oznakę prawdziwego niebezpieczeństwa zwiewa jak każdy zapijaczony sukinsyn.

Melli natychmiast poderwała się z łoża. Jak zwykle, zwiększony ciężar był dla niej szokiem. Z dnia

na dzień stawała się cięższa. Lecz nie wolniejsza. Nim pani Greal zdążyła zaczerpnąć tchu, zacisnęła dłonie na jej gardle. Nie powstrzymał jej cios łokciem w pierś.

- Straż! - krzyknęła zaatakowana, próbując zdzielić ją drugim łokciem w brzuch. Melli złapała ją za nadgarstek. Pani Greal wyszarpnęła dłoń, zostawiając jej w ręku rękawiczkę.

Do komnaty wpadli pochylający włącznie żołnierze. Melli cofnęła się, unosząc jedną rękę do góry na znak poddania. Drugą jednak schowała za plecy, wpychając sobie zdobycz pod spódnicę. Przynajmniej jedna dłoń nie zsinieje jej dziś w nocy z zimna.

- Ty mała dziwko! - pani Greal przyskoczyła do Melli i spoliczkowała ją. - Marsz do łóżka - krzyknęła, po czym oznajmiła strażnikom: - Nie dostanie dziś jeść.

- Ale, pani, król rozkazał dobrze ją karmić.

Pani Greal spojrzała na żołnierza. Melli z satysfakcją zauważyła, że po obu stronach jej szyi pojawiły się paskudne, czerwone pręgi.

- Jeśli już musicie, dajcie jej pomyje. Ale nic więcej.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z komnaty.

Melli odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję - powiedziała strażnikowi.

Skinął głową. Był młody, miał brzydką cerę i brązowe włosy.

- Nie ma sprawy, panienko.

Wyszedł z komnaty wraz z towarzyszem. Zamknęli za sobą drzwi, zasunęli rygiel i Melli znowu została sama.

Wyciągnęła spod spódnicy swój łup - rękawiczkę pani Greal. Wykonano ją z miękkiej, brązowej świńskiej skóry, podszytej króliczym futrem. Pasowała na wielką lewą dłoń pani Greal. Melli założyła ją. Nieważne, że była za duża. Liczył się fakt, że udało się ją zdobyć. Musi jakoś stąd uciec. Będzie potrzebowała broni i ciepłego ubrania. Uniosła skrytą w rękawicy dłoń do światła. Nie był to najgorszy początek.

\*

- A więc wreszcie postanowiłeś do nas dołączyć - zauważył Tawl. Z dłońmi wspartymi na biodrach wyglądał jak skrzyżowanie poirytowanej handlarki ryb ze zniecierpliwionym kupcem. Miał na sobie nową bluzę, nieco jaskrawszą od tych, które nosił

na co dzień. Ale z drugiej strony dziś wszystko wydawało się jaskrawsze.

Jack miał kaca. W ustach miał sucho jak na pustyni, a jego głowa ciążyła niczym kamień.

- Poszedłem do kapitana. Trochę wypiliśmy, o świcie zasnąłem, a kiedy się ocknąłem, zbliżało się już południe.

- Czy wiesz, że dziś żegnamy się z Rornem?

Jack rozejrzał się wokół. Przed chwilą nadział się na Tawla, Kosiarza i Megan na schodach gospody „Pod Różą i Koroną”.

- Gdzie konie?

- Kosiarz je sprzedał. W Marlsie kupimy nowe.

- W Marlsie?

- Wypływamy tam już dzisiaj. Nie zaryzykuję powrotnej podróży przez półwysep.

Tego właśnie spodziewa się Baralis.

Jack gorąco pragnął, by w głowie mu się rozjaśniło, a słońce przestało świecić tak jasno. Plan Tawla nie budził jego zastrzeżeń.

- Niech będzie Marls - rzucił, klepiąc Kosiarza w ramię.

Tawl obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

- Co się stało?

- Poznałem wreszcie prawdę.

Nikt nie mówił już nic więcej. Wyglądało to tak, jakby owe słowa były zaklęciem, każącym zamilknąć wszystkim, którzy je usłyszeli. Tawl skinął tylko głową, jakby takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał, Kosiarz zaś uśmiechnął się, wpatrzony uważnie w tłum.

Bez słowa ruszyli w stronę portu. Tawl trzymał Megan pod rękę, Kosiarz został trochę z tyłu - zapewne żegnając się z rodzinnym miastem - a Jack szedł kilka kroków przed nimi.

Próbował uporządkować sobie w głowie to, czego dowiedział się ostatniej nocy. Kac nie ułatwiał mu zadania. Wypili z Quainem półtorej butelki rumu. Opowiadali sobie różne historie i śpiewali piosenki, a potem zasnęli. A przynajmniej Jack to zrobił. Kiedy się obudził, leżał pod ciepłymi kocami, a Quain siedział w kącie izby, wpatrzony w niego.

- Jesteś do niej bardzo podobny - stwierdził. - Serce mi się raduje na twój widok.

Jack spojrział na pogodne, poranne niebo. Quain niewątpliwie był zakochany w jego matce. Pomagał jej bezinteresownie, ocalił jej życie, oddał oszczędności, a na koniec pozwolił

odejść. Choć minęło trzydzieści lat, pamiętał ją wyraźnie jak młodzieniec.

Jack zastanawiał się, jaka była wówczas. Przede wszystkim musiała być odważna. To niesłychane, by młoda dziewczyna sama przemierzyła całe Znane Krainy. Do tego nie zadowolili się półśrodkami. Wybrała się w miejsce położone możliwie najdalej od Larnu. Do Czterech Królestw. Poczuli, że po plecach przebiegły mu zimne ciarki. Jak silny musiał być dręczący ją strach, jeśli kazał jej pokonać cały kontynent.

Wobec niego jednak nigdy go nie okazała. Spędzili razem dziewięć lat i przez cały ten czas ani razu nie widział, by płakała bądź bała się czegoś.

Choć zniszczył Larn, nie potrafił o nim zapomnieć. Nosił go w swym wnętrzu. Myśląc teraz o tym, zdał sobie sprawę, że mógł go tam mieć od urodzenia. Wspomniał chwilę, gdy po raz pierwszy dotknął skalnej ściany jaskini. Pamiętał jej zapach, wygląd i konsystencję. To było tak, jakby wrócił do domu. Domu jego matki, miejsca, które uczyniło ją tym, kim była.

Wtem stanął jak wryty. Kołysząca się w bujanym fotelu staruszka, która wskazała im drogę, była jego babcią. Stillfox mówił mu, że matka dziewczyny z Larnu była kaleką, nie mogła ruszać prawą ręką ani mięśniami prawej połowy twarzy. To była ona. Przypomniał

sobie jej dłoń, skurczoną niczym szkielet martwego ptaka. Wiedziała skądś, że przyjdzie, i pomogła mu.

Podobnie jak jasnowidze. Musieli wiedzieć, że przybył na wyspę, a mimo to nie zdradzili go ani słowem. Chcieli umrzeć.

- Nic ci nie jest, Jack? - zapytał Tawl.

- Nic. To tylko zmęczenie - Jesteś okropnie blady. Statek stoi przy końcu mołu. Jak już wsiądziemy na pokład, powinieneś się trochę położyć.

- A co to za statek?

Jack nie zwracał do tej pory uwagi, dokąd idą. Teraz jednak rozejrzał się wokół i zauważył, że są w innej części portu, daleko od miejsca, gdzie cumowała „Rybacka Szajka”.

- „Łowca Krewetek”. To ten. - Tawl wskazał na małą, jednomasztową karawelę. -

Polecił mi go Quain. Powinni się nas spodziewać.

Jack skinął głową i ruszył przed siebie. Morze było szare i spokojne, wiatr dość silny, a niebo czyste, poza wąskimi pasmami chmur na wschodzie. Pogoda im sprzyjała. W

królestwach o tej porze roku było zimno, ciemno i mroźno. Jack zadał sobie pytanie, czy jego matka zdołała się kiedykolwiek przyzwyczaić do tamtejszego klimatu. Nigdy nie lubiła chłodu. Całą zimę zawsze przesiadywała przy piecu, tak blisko, że ogień parzył jej policzki. Z

pewnością trudno jej było znieść dobrowolne wygnanie.

Jack podszedł do łodzi i zatrzymał się, by zaczekać, aż Tawl pożegna się z Megan.

Wtem znikąd zjawił się Kosiarz. Wyglądało na to, że pokłócili się z Tawlem o zawartość jego worka.

- Wszystko? - pisnął kieszonkowiec.

- Wszystko - potwierdził rycerz. - Możemy zdobyć gotówkę w Marlsie.

- Chciałeś chyba powiedzieć, że ja mogę ją zdobyć.

- Starczy już tego - wtrąciła Megan. - Nie potrzebuję twoich pieniędzy, Kosiarzu.

Kupiłeś mi już to piękne ubranie. Nie chcę cię prosić o nic więcej.

Chłopiec zwiesił głowę.

- Mógłbym ci oddać połowę.

Tawl zdradził się głośnym śmiechem.

- Niech będzie trzy czwarte.

- Dwie trzecie.

- Zgoda. Wyjmuj pieniądze.

Kosiarz zaczął odliczać monety. Tawl ujął dłoń Megan. Jack, chcąc zapewnić im chwilę prywatności, wszedł na trap „Łowcy Krewetek”.

W jego stronę ruszył niski, smagły mężczyzna.

- Jesteście przyjaciółmi kapitana Quaina? - zapytał.

Jack skinął głową.

Marynarz zaprosił go gestem na pokład. Miał na sobie pokrytą barwnymi haftami kamizelkę i krwawoczerwone portki.

- Znakomity dzień na żeglugę - stwierdził, wyciągając dłoń na przywitanie. - Jestem Balvay z Marlsu, pierwszy oficer, dostawca towarów na statek i syn Nolliska.

Jack uścisnął mu rękę.

- Jestem Jack z Czterech Królestw. I z Larnu - dodał po chwili wahania. - Po matce pochodzę z Larnu.

Te słowa brzmiały dziwnie w jego uszach, wyczuwał w nich jednak czystą nutę prawdy. Wreszcie odnalazł połowę siebie. Miał korzenie, historię i żyjących jeszcze krewnych.

- Tak, moja matka pochodziła z Larnu - powtórzył, po to tylko, by nacieszyć się tą świadomością.

\*

Baralis stał na murach Brenu, patrząc na pokryte zamrożonymi trupami pole. Śnieg przysypał zmarłych, tworząc krajobraz pełen białych kończyn i ciał, próbujących wydostać się ze swych mroźnych grobów. Można tam było zobaczyć małe, ciemne postacie, które krzątały się między kopcami, szybko jak mrówki. Śnieżycą opóźniła grabież i ludzie dopiero teraz zaczęli opuszczać gród w poszukiwaniu łupów.

- Trzeba uprzątnąć te zwłoki - powiedział do Kylocka.

- A po co? Do wiosny nie zaczną śmierdzieć. - Kylock uniósł do policzka ukrytą w rękawicy dłoń. - Poza tym, tutaj, gdzie wszyscy je widzą, są dla mnie bardziej użyteczne niż na małym, słabo dymiącym stosie.

Te słowa poirytowały Baralisa. Kylock był jego zdaniem stanowczo zbyt arogancki.

Gnany złością, szybko przeszedł do tematu, który drażnił go najbardziej.

- Dziewczynę trzeba przenieść z pałacu, nim dowie się o niej Kedrac.

- Zastanawiałem się, ile czasu minie, nim poruszysz temat Melliandry, Baralisie.

Dzisiaj uczyniłeś to szybciej niż zwykle. - Kylock oparł się o mur, spoglądając na południowe równiny. - Nie ma potrzeby nigdzie jej przenosić. Za dwa dni Kedrac opuści miasto.

- Ruszy z wojskami na Ness?

- Nie. Nie na Ness. - Kedrac odwrócił się w stronę Baralisa. - Na Camlee.

- Atak na Camlee zostanie uznany za atak przeciw południu.

- Widziałem to miasto na mapie, Baralisie, i uważam, że leży na północy.

Królewski kanclerz zaczerpnął tchu, chcąc się uspokoić. Kylock był głodny zwycięstwa, lecz nie władzy. To były dwie zupełnie różne rzeczy. Chciał zdobyć Camlee, ponieważ mógł tego dokonać i ponieważ cieszyły go krwawe namiętności towarzyszące podbojowi, a nie dlatego, że pragnął rządzić jego mieszkańcami. Nic go nie obchodziły miasta, które pokonał. Zgodził się nawet oddać Helch w ręce Tyrena! Nie, interesował go tylko dreszczyk emocji związany z triumfem. Rozkosze politycznej dominacji, eksploatacji i panowania - czyli prawdziwej władzy - były zbyt subtelne, by przyciągnąć jego uwagę.

Mogło się to z czasem zmienić, na razie jednak Baralis mógł za jego pośrednictwem realizować

własne ambicje.

- Camlee byłoby cenną zdobyczą.

- Zdobyć je będzie bardzo łatwo, Baralisie. Wszyscy będą myśleli, że uderzymy na Ness. Sami ich o tym przekonamy. Ruszymy prosto na wschód i zmienimy kierunek dopiero w ostatniej chwili.

- A co z Ness?

Kylock machnął lekceważąco dłonią.

- Jest nieistotne. To tylko przerośnięty owczy targ. Nie mają tam praktycznie żadnych murów, armii ani porządnego przywództwa. Ich jedyną obroną są otaczające miasto wzgórza.

Zajmiemy się tym grodem, jak już zdobędziemy Camlee.

Miał rację, lecz z innych powodów niż sądził. Jeśli dadzą czas przywódcom południa, pospieszą oni z odsieczą Camlee. Było to jedno z ich miast, bliski krewny, i jeśli będą musieli, udzielą mu pomocy. Z drugiej strony, Ness było tylko dalekim kuzynem. Południa nie obejdzie zbytnio jego los. Atakując najpierw Camlee, Kylock zaskoczy południe, nie dając mu szansy potajemnie się uzbroić.

- Jeśli zdobędziemy Camlee szybko, południe nic nie zrobi - ciągnął Kylock. - Na południu będziemy mieli Valdis, na północy Bren, a gdy już wykonam zadanie, na wschodzie będzie Ness. Camlee zostanie otoczone pierścieniem wiernych mi miast.

- O tej porze roku pogoda jest lepsza w Camlee - wyszeptał Baralis. Plan Kylocka z minuty na minutę podobał mu się coraz bardziej.

- Tak, wziąłem to pod uwagę. Będzie tam znacznie cieplej niż w Ness. Również zaopatrzenie wojsk będzie łatwiejsze. Po drodze żołnierze złupią wszystko, co będzie im potrzebne. Dam Kedracowi wolną rękę.

- Które oddziały poprowadzi?

- Całość sił królestw. Prawie żaden z ich żołnierzy nie odniósł ran w bitwie. Do tego wszystkie zdolne do walki czarne hełmy i dwanaście kohort konnych rycerzy. To będzie razem prawie dziewięć tysięcy ludzi. Wystarczy z nawiązką. Camlee to stare miasto. Żyje dawnymi zwycięstwami i polega na zmurszałych murach. Armia imperium poradzi sobie z nim bez trudu.

Imperium. Baralis po raz pierwszy usłyszał z ust Kylocka tę nazwę. Wreszcie się narodziło. Królestwa, Bren, Halcus, a wkrótce również Camlee i Ness. Gdy skończy się zima, powinni zdobyć Highwall, a po nim z pewnością pójdzie Annis. Północne imperium stawało się rzeczywistością.

Królewski kanclerz pohamował się gwałtownie. Nie lubił poświęcać zbyt wiele czasu na napawanie się własnymi sukcesami. Wszystko zależało od szczegółów.

- A co z bezpieczeństwem Brenu? Zawsze istnieje możliwość, że droga przez przełęcz się otworzy,



pozwalając Annisowi wysłać wojska za Wododział.

Kylock był szybszy od niego.

- Rannych czarnych hełmów jest około dwóch tysięcy. Połowa z nich powinna odzyskać siły na tyle, by móc walczyć. Pozostali będą szkolić innych. Chcę, żeby wszyscy mężczyźni w mieście, wojownicy z aren, najemnicy, sklepikarze i wieśniacy, dostali broń i w ciągu miesiąca nauczyli się nią władać. Wydałem już rozkaz, by każdy kowal w mieście zajął

się produkcją zbroi i mieczy.

- Powiedz im, żeby najpierw zrobili malowane na czarno hełmy. - Baralis zbliżył się do króla. - Na całej północy ludzie boją się gwardzistów diuka. Widok, powiedzmy, pięciu tysięcy ludzi w ich hełmach na głowach, powinien przygasić entuzjazm ewentualnych napastników.

- Baralisie, jak zwykle potrafisz udoskonalić nawet najlepszy plan - odparł z uśmiechem Kylock.

- Wytrzymanie jakiegoś miesiąca oblężenia nie powinno być zbyt trudne. Fortyfikacje Brenu nie mają sobie równych - stwierdził królewski kanclerz.

- To prawda. Mamy za co być wdzięczni zmarłemu diukowi.

- Kylock ruszył ku drzwiom wieży bramnej. - Och, jeszcze jedno. Nie musimy się już martwić o Maybora. Wysłałem oddział, który będzie patrolował podgórze na południu. Jeśli żyje i towarzyszą mu jacyś ludzie, nie zjedzie już na niziny.

\*

Zimno było chorobą. Paraliżowało myśli, ruchy i mowę, a nawet odbierało rozum.

Zatruwało duszę. Wiatr wreszcie się uspokoił, lecz owa cisza okazała się bardzo kosztowna.

Temperatura w nocy spadła gwałtownie, a za dnia nie podniosła się zbyt wysoko. Na śniegu formowała się skorupa lodu. Stracił ziarnistość i otaczał ich teraz jak lita ściana. Wczoraj ze skał spływały strumyczki wody, dziś na ich miejscu pojawiły się lśniące sople.

Maybor nie miał ochoty oddychać. Czuł, jak lodowate powietrze wdziera mu się w płuca, zabijając go powoli.

Stracił już czucie w trzech palcach lewej dłoni i dwóch prawej. Potrafił jeszcze utrzymać miecz, lecz nigdy już nie zdoła walczyć. W tej chwili najważniejsze było ocalenie pozostałych palców. Trzymał obie dłonie pod bluzą, owinięte w szkarłatny jedwab.

Dwustu ludzi skryło się pod twardym kręgosłupem gór w samym środku bezlitosnej zimy. Wiele koni padło. Jednego z nich właśnie pieczono. Żołnierze dawno już przestali się przejmować tym, że dym może ich zdradzić.

Przed czterema dniami natknęli się na wielką, lecz płytką kotlinę położoną między skałami. Nie była wystarczająco głęboka, by można ją było nazwać grocią, lecz mimo to postanowili się w niej ukryć. Śnieg nie przestawał sypać i zdolni do pracy żołnierze wznosili u wejścia do niszy śnieżny mur, który osiągnął teraz maksymalną wysokość. Zajmował mniej więcej jedną czwartą wejścia i gdyby był jeszcze trochę wyższy, zawaliłby się. Grupa ludzi pracowała teraz w głębi kotliny, próbując wydobyć spod śniegu głazy, które można by przetoczyć pod mur, by go podeprzeć. Maybor je widział. Były stanowczo za wielkie, by zdołali je ruszyć z miejsca. Będą musieli jakoś wytrzymać lodowaty wichur.

A może nie? Maybor zapisał sobie w pamięci, żeby nakazać Griftowi zebrać wszystkie nadliczbowe napierśniki i tarcze. Można będzie nimi wzmocnić ścianę.

- Od południa zmarło pięciu kolejnych ludzi, panie - oznajmił młody mężczyzna, który przykucnął obok niego.

- Rozbierzcie ich, nim ubrania przymarzną do ciała.

- Ale, panie, ludzie...

- Zróbcie to! - wysyczał Maybor. - Chcecie, żebyśmy wszyscy zamarli na znak szacunku dla zmarłych?

Młodzieniec oddalił się ze zwieszoną głową.

Maybor wiedział, co wszyscy myśleli: lepiej było zginąć w walce niż skonać z zimna w górach. Nikt nie ważył się powiedzieć tego głośno, dostrzegał jednak tę myśl w ich oczach.

Żałowali, że uciekli z pola bitwy. Kaleka prawa dłoń Maybora zacisnęła się w coś przypominającego pięść. Do licha z nimi! Ocali wszystkim życie choćby po to, żeby zrobić im na złość.

Zważywszy wszystko razem, Marls był bardzo dziwnym miastem. Wydawało się to osobliwe - ostatecznie od Rornu dzieliło go tylko siedem dni żeglugi - niemniej jednak, taka była prawda.

Budynki miały tu więcej krzywizn niż kątów, za to ulice były proste jak strzelił.

Słońce nie świeciło, ale było ciepło, a choć nie padał deszcz, wszystko przenikała wilgoć.

Kobiety były odziane w obfite, bezkształtne suknie, rozcięte po bokach aż po uda. Mężczyźni nosili kapelusze, które ciągle naciągali sobie na uszy, i cały czas się uśmiechali, odsłaniając zdumiewająco zepsute zęby. Dzieci nie widziało się prawie w ogóle. Pewnie trzymają je w lochach, nim dorosną na tyle, by mogły zarobić na utrzymanie, pomyślał ze złością Kosiarz.

Musiał przyznać, że jest uprzedzony do Marlsu. Ostatecznie gród ten był głównym rywalem handlowym Rornu. Nie dało się jednak ukryć, że miasto jest interesujące. Nie tylko ze względu na budynki, ludzi i takie tam rzeczy. Nie. Marls był interesujący pod względem finansowym. Naprawdę bardzo interesujący.

Zawinęli do portu dopiero dziś rano, a mimo to zdołał już zgromadzić niezły zapasik.

Mogło w nim być trochę za dużo srebra, lecz brak złota wynagradzała mnogość drogich kamieni.

Tawl wybrał się na poszukiwanie błędnych rycerzy. Kapitan „Łowcy Krewetek” -

grubas imieniem Fermcatch - powiedział, że w Marlsie roi się ostatnio od rycerzy wybierających się na Dalekie Południe. Najwyraźniej odkąd staruszek Tyren zmusił ich do udziału w toczonej przez Kylocka na północy wojnie, tłumnie opuszczali zakon. Tak czy inaczej, gdy tylko przybili do brzegu, Tawl skierował się do pewnej gospody, w której jakoby można było znaleźć podobnych rycerzy. Kosiarz miał wyraźne przeczucie, że jeśli ich tam spotka, czekają go kłopoty.

Dlatego właśnie sam wybierał się teraz „Pod Marynarską Kochanicę”. Tawl był

odważny i świetnie władał mieczem, lecz gdy wymieniono imię Tyrena, opuszczał go zdrowy rozsądek. Jeśli chodziło o wodza rycerstwa, serce miał miękkie jak dojrzała rzepa. Nie pozwalał skrytykować go nawet słowem, a przecież Kosiarz wiedział doskonale, że ten człowiek jest zwykłym łotrem.

- Przepraszam, panie - odezwał się Kosiarz, klepiąc napotkanego przechodnia po ramieniu i jednocześnie okradając go od niechcienia. - Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak najszybciej trafię „Pod Marynarską Kochanicę”.

- Nie mógłbym - odparł nieznajomy. - Jesteś za młody, żeby pić. Wracaj do domu uczyć się modlitw.

- Hmm, chętnie bym tak postąpił, panie, gdyby nie fakt, że matka zabrała ze sobą modlitewnik „Pod Marynarską Kochanicę”.

- Tam nie chodzą uczciwe kobiety, a tylko prostytutki.

- Tym bardziej powinienem się za nią pomodlić.

Mężczyzna naciągnął mocniej kapelusz. Był pokonany i wiedział o tym.

- Najpierw pójdziesz prosto, potem skręć w Pikłową, potem znowu w lewo, w Solną, i w prawo w Konfiturową. Łatwo tam trafić.

- Dziękuję za uprzejmość, panie - powiedział Kosiarz. Pokłonił się i zaczął oddalać. -

Na pewno wspomnę o tobie w mych modlitwach.

Ruszył w kierunku wskazanym przez nieznanego. Nadal nie lubił Marlsu, lecz tutejsi mieszkańcy z pewnością stanowili wyzwanie dla jego inteligencji.

Rejs do tego miasta stanowił natomiast wyzwanie dla jego wnętrzości. Nigdy w życiu nie płynął statkiem ani nie miał na to ochoty. Dwa pierwsze dni omal go nie zabiły.

Próbował wszystkiego: od siedzenia na bocianim gnieździe z opaską na oczach, aż po kucanie na bosaka w ładowni. Nic jednak nie skutkowało, aż do chwili, gdy kapitan Fermcatch -

człowiek równie dobry, jak i włochaty - zasugerował, by Kosiarz stanął za sterem. Od tej chwili żegluga stała się dla niego czystą rozrywką. Panując nad sytuacją, czuł się zupełnie inaczej. Jak ryba w wodzie. Może nawet zostanie kiedyś marynarzem. Piratem! Tak jest.

Piraci to kieszonkowcy bezkresnych mórz.

Żeglowanie miało bardzo wiele zalet. Na przykład, było znacznie lepsze od konnej jazdy. Tawł powiedział, że zatrzymają się w Marlsie tylko na jedną noc, a jutro natychmiast pojedą na północ. Kosiarzowi bynajmniej się do tego nie paliło. Jazda wymagała koni, a konie oznaczały kłopoty. W gruncie rzeczy, Jack poszedł właśnie poszukać dwóch wartych nabycia szkap. Mieli spotkać się potem na nabrzeżu, kupić rzeczony szkapy, wymienić się informacjami o wojnie, które zdołają zdobyć, a później poszukać jakiegoś noclegu.

- Przepraszam panią - odezwał się Kosiarz, zatrzymując kolejną osobę. Tym razem niczego nie kradł. Kobieta wyglądała tak, jakby miała przy sobie najwyżej kilka miedziaków.

- Czy to ulica Konfiturowa?

Nie umiał czytać, musiał więc polegać na uprzejmości nieznanomych.

- W rzeczy samej - odparła kobieta. - Ale taki młody chłopiec powinien siedzieć w domu i uczyć się modlitw.

Kosiarz pokłonił się i ruszył w dalszą drogę. Marls był bardzo dziwnym miastem.

Poszukiwany przez niego lokal okazał się nie tyle gospodą, co kilkoma ścianami z drzwiami. Kosiarz mógłby go nie zauważyć, gdyby nie odór *ale* i kręcący się u wejścia marynarze. Budynek był ruiną. Okiennice powyrywano, farba dawno się złuszczyła, górne piętro otwierało się na niebo, a mury wyglądały tak, jakby zaraz miały się zawalić. Jedyne elementy, które były w przyzwoitym stanie, stanowiły drzwi. Były błękitne jak morze, splamione krwią bijących się marynarzy i przyozdobione prymitywną podobizną nagiej kobiety, która miała przyciągać uwagę przechodniów.

Pukanie nie wydawało się konieczne, Kosiarz wszedł więc od razu do środka. Znalazł

się na słabo oświetlonych schodach, które prowadziły w dół. Wydobywał się stamtąd tłusty, gryzący dym, pochodzący ze spalanego łożu. Chłopiec posuwał się naprzód ostrożnie.

Schody zaprowadziły go w kąt piwnicy o niskim suficie. Za umeblowanie służyła tu garstka odwróconych do góry dnem beczek po piwie i stołków na trzech nogach. Pokryta kocimi łbami podłoga była wilgotna, a z drewnianych ścian wyrastały kielki. Klientów było niewiele i wszyscy wyglądali groźnie. Kosiarz natychmiast wypatrzył Tawla. Jego przyjaciel rozmawiał z wysokim, ciemnowłosym mężczyzną. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia szczególnie podekscytowanego, Kosiarz usiadł więc spokojnie obok baru, żeby zaczekać.

\*

- Tak - rzekł Gravia niskim, ochryłym głosem. - W bitwie wziął udział batalion rycerzy. Tyren ruszył do Brenu z Kedracem.

Tawl oblizał wyschnięte wargi.

- Czy uczestniczyli też w rzezi?

Na twarzy Gravii nie drgnął ani jeden mięsień.

- A jak myślisz, dlaczego tu jestem?

A więc uczestniczyli. Tawl oparł się o ścianę, spoglądając na dawnego przyjaciela.

Odkąd widział go po raz ostatni, nie postarzał się nawet o dzień. Jego ciemne włosy lśniły jak zawsze, a przystojna twarz o ostrych rysach, zachowała gładkość.

Rozstali się przed niemal siedmioma laty. Wiosna w Valdis była wówczas ciepła, na świecie istniała nadzieja, a oni dwaj mieli głowy pełne marzeń. Snuli plany, że spotkają się latem i ruszą wspólnie na Dalekie Południe w poszukiwaniu świętych relikwii albo szlachetnej misji. Nic z tego nie wyszło. Tawl wrócił do domu i wszystko się zmieniło.

Widok spalonej chaty wystarczył, by unieważnić wszelkie obietnice.

A teraz ów człowiek, rycerz, którego Tawl szanował jako towarzysza i kochał jako przyjaciela, siedział z nim przy stole i mówił mu, że porzucił zakon.

Tawl spędził u boku Gravii trzy lata. Poznał go dobrze. Żaden z rycerzy, którzy owej pamiętnej wiosny zdobyli drugi krąg, nie przewyższał go gorliwością. Spotkawszy go w tej podejrzanym speluncie, w której szukał miejsca na statku do Leiss, Tawl doznał straszliwego szoku. Jego serce przeszło gwałtowny ból.

Spojrzał na prawe ramię towarzysza. Tak jak i on, Gravia dokładnie zasłonił swe kręgi.

- Czy kiedyś wrócisz? - zapytał.

Usta Gravii rozciągnęły się w gorzkim uśmiechu.

- Nie. Dopóki Tyren pozostaje głową zakonu, nie będę się uważał za rycerza. Byłem w Halcusie, gdy Kylock rozkazał wymordować niewinne kobiety i dzieci. Tyren nawet nie ruszył palcem w ich obronie.

Tawl spojrzał wprost w ciemnobrązowe oczy Gravii.

- Nie potrafię w to uwierzyć.

- Od sześciu lat żyłeś z głową w piasku. Nie zdajesz sobie sprawy, do czego on jest zdolny.

Słowa Gravii przywołały echo podobnej rozmowy, którą odbył przed wieloma tygodniami. „Tyren jest złym człowiekiem, Tawl”. Kosiarz powiedział to tej nocy, gdy bezbłędnie wymierzona strzała zmusiła ich do ucieczki przez noc. Tawl przełknął z wysiłkiem ślinę. To nie mogło być prawdą.

- Tyren zawsze był dla mnie przyjacielem - krzyknął, gniewając się na siebie za to, że nawet na chwilę w niego zwątpił.

W gardle Gravii zrodził się cichy, twardy dźwięk.

- Przyjacielem? Nigdy nie był twoim przyjacielem, Tawl.

- Sprowadził mnie do Valdis, oferował darmowe szkolenie. Ocalił mi życie.

- Po tylu latach nadal o niczym nie wiesz? - Gravia potrząsnął głową. Ostry ton jego głosu zmienił panującą między nimi atmosferę, która stała się klarowna, pełna napięcia i naelektryzowana jak przed burzą. - Nikt nic ci nie powiedział?

Tawl pochylił się gwałtownie naprzód.

- O czym?

- O tym, że Tyren sprzedał twoje usługi człowiekowi, który dał za nie najwięcej złota.

Gravia położył dłoń na ramieniu Tawla, jakby żałował swych ostrych słów.

Tawl stracił ją jednak.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że Tyren wysłał cię do Bevlina tylko dlatego, że ten zapłacił mu za to niezłą sumkę. Mędrzec już od miesiący prosił go o rycerza, ale Tyren odmawiał, dopóki nie otrzymał złota. - Gravia westchnął. Z jego wielkiego, dobrze umięśnionego ciała odpłynęła cała siła. Pozostał tylko znużony, pozbawiony złudzeń człowiek. - Nie wierzył w jego sprawę.

Ani w ciebie. Tak wtedy, jak i teraz obchodziło go jedynie złoto.

- Kłamiesz.

- Nie, Tawl. Jak sądzisz, czym się zajmowałem tej wiosny, gdy się rozstaliśmy? Tyren wysłał mnie do Bevlina po zapłatę. Przywiozłem do Valdis pięćset sztuk złota.

Tawl przymknął powieki. Słowa Gravia wbijały się w jego serce niczym noże.

Wszystko, co było dla niego ważne, okazało się oszustwem. Od siedmiu lat żył z bólem wywołanym utratą rodziny i cały ten czas pociechę niosła mu jedynie świadomość, że Tyren w niego wierzył. A teraz dowiedział się, że nie było w tym wiary, a jedynie mała, nędzna transakcja. Jego usługi po prostu sprzedano.

Zaczął potrząsać powoli głową.

- Nie. Tylko nie to. - Nie mogąc znieść nacisku, który narastał w jego piersi, wbił paznokcie w drewniany blat. - Dobry Boże, tylko nie to.

Ścisnęło go w gardle tak mocno, że jego słowa przerodziły się w ochryply szept. Nic nie pozostało czyste. Za wszystko, co uczynił od czasu śmierci sióstr, zapłacono złotem. Czuł

się brudny, zbrukany. Opuścił głowę na stół, ze wszystkich sił starając się powstrzymać drżenie ramion.

- Odczep się od niego! - krzyknął znajomy głos. - Daj mu spokój. Idź opowiadać swoje kłamstwa komu innemu.

Tawl uniósł wzrok i zobaczył Kosiarza, który ciągnął Gravię za rękę.

- Zostaw go. Kosiarzu - rozkazał.

Gravia wstał z krzesła.

- Przepraszam cię, Tawl. Borc mi świadkiem, że nie chciałem cię zranić.

Tawl przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Gravio, Kosiarz chyba ma rację. Lepiej już odejść.

- Ale...

- Wiedziałaś. Wszystko wiedziałaś i nic mi nie powiedziałaś. A przecież byliśmy jak bracia.

Tawl pożałował tych słów, gdy tylko wydostały się z jego ust. Na twarzy drugiego rycerza pojawił się wyraz gwałtownego bólu. Uczynek sprzed siedmiu lat był jak klątwa konającego. Zatrwał wszystko, nawet za grobem. Gravia był wówczas młody. Obaj byli młodzi i traktowali Tyrena jak boga.

- Gravio, nie...

Tawl ucichł nagle. Gravia był już po drugiej stronie izby. Wchodził na schody.

Tawl spoglądał w ślad za nim.

Stary ból zlał się w jedno z nowym, sięgając aż do serca. Nigdy już nie zobaczy przyjaciela. Westchnął. Czuł się bardzo zmęczony. Pogorszył jeszcze to, co i tak było złe.

Stracił dzisiaj nie tylko Tyrena, lecz również Gravię.

Nie było granic tego, co mógł znieść człowiek.

Po chwili podniósł się ze stołka.

- Chodź już, Kosiarzu. Idziemy stąd.

Pozostało tylko jedno: wrócić do Brenu i uratować Melli.

\*

Tavalisk przed chwilą wrócił do pałacu. Poszedł dopilnować pakowania skarbów.

Jutro wszystkie zostaną przewiezione: połowa do małego miasteczka leżącego tuż na południe od Rornu, a druga połowa do domu przy Kirtowej. Arcybiskupowi zrobiło się na sercu może jeszcze niezupełnie lekko, ale już całkiem znośnie. Gdy jutrzejszy dzień dobiegnie końca, nikt już nie położy swych brudnych łapsk na jego skarbie. Absolutnie nikt.

Spacer po pokojach wypełnionych klejnotami, świętymi obrazami i złotem znacznie uspokoił Tavaliska. Jeśli dojdzie do najgorszego - a sądząc z tego, co działo się obecnie na północy, należało się tego obawiać - będzie przynajmniej mógł bezpiecznie przejść w stan spoczynku. Kylock i Baralis byli niebezpieczni nawet każdy z osobna, a gdy współdziałali ze sobą, nic nie mogło ich powstrzymać. Ich imperium ograniczało się na razie do północy, któż jednak mógł przewidzieć, co się stanie, kiedy nadejdzie wiosna? Gdy już zdobędą Ness, łatwo im będzie zwrócić się na południe, ku Camlee.

Och, południe uzbroi Camlee - prędzej czy później - lecz w miastach takich, jak Marls, Toolay i Falport po prostu nie zdawano sobie sprawy, jak groźne są armie Kylocka. Na południu od stuleci



gardzono północą. Sądzono, że jest zacofana, jej mieszkańców uważano za barbarzyńców, miasta za prymitywne cytadele, a tamtejszą politykę za pozbawioną znaczenia. Tavalisk potarł pulchny podbródek. Takie myślenie mogło przypieczętować ich los.

Na talerzu stygło powoli dwanaście pieczonych baranich serc. Arcybiskup odsunął je na bok. Opuścił go apetyt.

Podszedł do okien, by się upewnić, że do środka nie dociera światło. Potem ruszył do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Przyniósł z kryjówki tylko jedną skrzynię. Teraz, gdy drzwi i okiennice były zamknięte, otworzył ją bez obaw. Nie mógł pozwolić na to, by prznosił ją kto inny. Jej zawartość była cenniejsza od złota, a także bardziej dla niego niebezpieczna.

Uniósł pokrywę. Księgi, zwoje i manuskrypty były matowe jak stara skóra. Ich zapach pomknął prosto ku nozdrzom arcybiskupa niczym ćma. Gdy tylko rozpoznał tę woń, przez jego umysł przebiegły wspomnienia. Rapascus. To było dzieło jego życia. Dzieło największego religijnego myśliciela od pięciuset lat.

Jego autorstwo niesłusznie przypisano młodemu ambitnemu duchownemu, znanemu jako ojciec Tavalisk.

\*

Arcybiskup pamiętał podróż przez Góry Północne. Była wczesna wiosna. Z zachodu wiały zimne wiatry, a pokrywający ziemię śnieg topniał. Karawana, z którą wędrował, była słabo wyposażona i co kilka minut musieli się zatrzymywać, by torować sobie drogę. Podróż zajęła im cały miesiąc. Latem wystarczyłby tydzień. Tavalisk, który słono zapłacił

minstrelom za to, że pozwolili mu się do siebie przyłączyć, większość czasu spędzał w swym krytym wozie, zajęty czytaniem skradzionych tekstów.

Gdy dotarli do Lairston, znał już dzieła Rapascusa tak dobrze, jakby sam był ich autorem. Wielki mędrzec umarł, jego dom spłonął i nie pozostało po nim nic oprócz tych ksiąg. Gdy wiadomość o jego śmierci się rozejdzie, wszyscy uznają, że zginęły razem z nim.

W gruncie rzeczy, Tavalisk sam zamierzał wywołać takie przekonanie. Przygotował już odpowiednie kłamstwa: „Cóż za tragedia. Rapascus poświęcił dwadzieścia lat na mistyczne rozważania i wszystkie owoce jego pracy strawiły płomienie. Nic nie udało się ocalić”.

Jeśli ktoś go zapyta, jaki miał interes do wielkiego człowieka, wzruszy skromnie ramionami i powie:

- Och, to nic wielkiego. Sam napisałem parę dziełek na tematy religijne i chciałem go zapytać o zdanie na ich temat.

Trzy noce spędzone w Lairston poświęcił na przygotowanie swej opowieści. Trzeciej z nich spotkał Baralisa.

Miasto zbudowano u podnóża Gór Północnych. Było tylko niewielką górniczą osadą i mogło się

pochwalić kilkoma gospodami oraz kuźnią. Leżało tuż pod jedną z nielicznych prowadzących na północ przełęczy, dzięki czemu czerpało spore zyski z wędrowców.

Tavalisk jadł samotnie kolację w gospodzie o nazwie „Ostatni Azyl”, gdy do środka wszedł

nagle jakiś człowiek, przynosząc ze sobą zimny powiew i odrobinę śniegu. Wysoki i odziany na czarno, wyglądał imponująco. Posługaczka, głupia dziewczka o wydatnym biuście i oczach skłonnych do znaczącego mrugania, wskazała mu miejsce obok wielkiego kominka. Tavalisk, który siedział po jego drugiej stronie, usłyszał, że przybysz zamówił kolację i pokój.

- Wybierasz się za przełęcz, panie? - zapytała dziewczka.

Mężczyzna skinął głową.

Wskazała na Tavaliska.

- Ten pan właśnie stamtąd przybywa. Mówił, że warunki na przełęczy są złe.

Oddaliła się z prostackim dygnięciem, obiecując, że niebawem wróci.

Nieznajomy ściągnął rękawice. Tavalisk zauważył, że jego dłonie są pokryte bliznami, a skóra wokół kostek pomarszczona i zaczerwieniona. Siedzieli bez słowa. Na kominku buzował ogień, a nad ich głowami migotały świece. Gdy grubas wpatrywał się w nieznajomego, ogarnął go lekki niepokój. W panującej między nimi ciszy kryło się coś drapieżnego. Po kilku minutach Tavalisk poczuł się zmuszony coś powiedzieć.

- Śnieg jest miękki, a wiatry silne. To nie jest odpowiednia pora na podróż przez przełęcz.

Nieznajomy oderwał wzrok od ognia. Tavalisk nigdy jeszcze nie widział tak zimnych oczu. Przypominały skuwającą granit skorupę lodu. Mężczyzna uniósł lekko kącik ust.

- Ty jednak ją odbyłeś.

- Nie miałem wyboru. Muszę jak najszybciej wrócić do domu.

- A gdzie jest twój dom?

Tavaliska dopadł lekki ból głowy. Nieznajomemu udało się w jakiś sposób przejąć kontrolę nad rozmową.

- W... - przerwał, zastanawiając się gorączkowo. Jego domem nie był już Silbur, gdzie więc właściwie mieszkał? Dokąd się uda? Gdzieś daleko. Odwiedzili kiedyś z Venesayem Rorn. Pamiętał go dobrze. W mieście tym kwitł handel i mnożyło się bogactwo. Na jego ulicach roiło się od ludzi, a świątynie były przyozdobione złotem. W takim właśnie miejscu najłatwiej było stworzyć dla siebie nową tożsamość. - W Rornie - odparł. - Mieszkam w Rornie.

Mężczyzna poruszył lekko palcem. Tavalisk wiedział, że mu nie uwierzył.

- A ty skąd przybywasz? - zapytał, próbując pozbyć się niepokoju.

- Z Leiss, Hanatty, Silburu.

Tą ostatnią nazwę wypowiedział ze znaczącą emfazą i Tavalisk się zaczerwienił.

Uratował go powrót posługaczki. Dziewczyna tuż poniżej biustu trzymała zastawioną wiktułami tacę. Uśmiechnęła się i z zaferowaną miną podała im jedzenie, po czym oddaliła się z ociąganiem.

Nieznajomy stracił pianę z *ale*.

- Co cię sprowadziło na północ?

Tavalisk czuł się zastraszony. Nie był przyzwyczajony do podobnego wrażenia i bardzo mu się ono nie podobało. Odchrząknął.

- Jestem uczonym. Zajmuję się rozważaniami na tematy religijne. Pojechałem odwiedzić wielkiego mistyka Rapascusa. - Gdy zaczął mówić, odzyskał pewność siebie. Pora już wypróbować przygotowane wcześniej kłamstwa. - Niestety doszło do straszliwej tragedii i wielki człowiek zginął. Jego dom i wszystkie dzieła uległy zniszczeniu.

- W takim razie zaoszczędziłeś mi podróży, przyjacielu. Ja także wybierałem się do Rapascusa.

Tavalisk zaczerpnął gwałtownie tchu. To był człowiek, którego Rapascus zaprosił na jego miejsce. Znakomity uczyony z Silburu.

- Tavalisk, jak sądzę - stwierdził nieznajomy.

- A ty jesteś Baralis - odparł Tavalisk.

Mężczyzna zwany Baralisem zajął się kolacją, łamiąc kości obu ptasich skrzydeł.

- Rapascus pisał o tobie w swych listach, ale nigdy nie wspominał, że interesujesz się rozważaniami religijnymi. W takim razie musieliście mieć o czym rozmawiać. Tą właśnie dziedziną interesował się najbardziej.

Tavalisk rozluźnił kołnierz bluzy. Nagle zrobiło mu się gorąco.

- Och, bawił się trochę religią, lecz jego prawdziwą miłością był mistycyzm. Tajemne ceremonie, niewytłumaczalne zjawiska, czary.

- Jesteś w błędzie, przyjacielu - sprzeciwił się Baralis, lekko, ale z naciskiem. - W

jednym z pierwszych listów, jakie od niego dostałem, pisze, że zbliżył się już bardzo do reinterpretacji klasycznych tekstów religijnych. Borec ukazał się mu w nowym, dobroczynnym świetle. Poświęcił lata na to, by wyrazić to objawienie w słowach.

- No cóż, bez względu na to, co stworzył, wszystko spłonęło. Nigdy już nie poznamy prawdy.

Tavalisk uznał, że pora na odwrót. Dźwignął się z krzesła.

- Powiedz mi, przyjacielu - odezwał się Baralis, gdy tylko jego stopa dotknęła schodów. - Czy zamierzasz opublikować swe dzieła?

Grubas natychmiast pojął, że Baralis nie dał się oszukać. Przejrzał jego kłamstwa z taką samą łatwością, z jaką nocożer przebija wzrokiem ciemność. Pierwszym odruchem Tavaliska była chęć ucieczki. Chciał zniknąć natychmiast, zabierając ze sobą milczące, obciążające go manuskrypty.

- Być może. Za wcześnie jeszcze o tym mówić - wymamrotał, przeskakując po dwa stopnie.

Głos Baralisa dotarł na górę przed nim.

- Będę cię miał na oku, przyjacielu. Bardzo mnie ciekawi, jak daleko się posuniesz.

Tavalisk nie odważył się opuścić gospody nocą, lecz uczynił to tuż przed świtem następnego ranka. Posługaczka przyjęła zapłatę.

- Och, o mało co bym zapomniała, panie - rzekła, wydając mu resztę. - Ten przystojny mężczyzna, który przybył wczoraj, prosił, bym przekazała ci pozdrowienia. Powiedział, że coś mu mówi, iż zapragniesz wyjechać wcześniej.

Tavalisk rozejrzał się po izbie. Nigdzie nie było nawet śladu Baralisa. Pora już ruszać w drogę. Przerzucił w dłoni miedziaki.

- Masz - powiedział, wręczając dziewczynie cztery z nich. - Daj je chłopcu stajennemu. Mam w pokoju skrzynię, którą trzeba znieść na dół.

Dziewczyna uśmiechnęła się głupawo, kołysząc zamasyście piersiami. Potrząsnęła głową, unosząc do góry rozpostartą dłoń.

- Och, już mu zapłacono, panie. Ten sympatyczny szlachcic spodziewał się, że będziesz miał ciężki bagaż.

Tavalisk opuścił Lairston tak szybko, jak tylko zdołał. Opłacił woźnicę, każąc mu nie żałować koniom bicia, i nie chciał słyszeć o postoju, nawet na posiłek.

Po dwóch tygodniach dotarł do Ness. Szyja bolała go od nieustannego oglądania się za siebie, a paznokcie poobgryzał aż do krwi. Czas i ciepły klimat południa ukończyły jednak jego obawy i z chwilą przybycia do Rornu pozbył się już wszelkich wątpliwości. Baralis mógł

wiedzieć, że Tavalisk ukradł dzieła Rapascusa, nie miał jednak na to żadnych świadków ani dowodów. Nikt nie postawiłby słowa człowieka podejrzanego o czary wyżej od słowa męża bożego.

Za takiego właśnie męża podał się bowiem Tavalisk po przybyciu do Rornu. To było jego ostatnie,

najdoskonalsze wcielenie: brat Tavalisk, uczonec, znawca klasycznych tekstów, pisarz. Wizjoner.

Zamieszkał w małej piwnicy pod sklepem rybnym. Własnoręczne przepisanie tekstów Rapascusa zajęło mu dwa lata. W ciągu kilku ostatnich miesięcy rozpowszechnił serię religijnych pamfletów, mających stanowić przedsmak tego, co ukaże się wkrótce. Zdobył

sławę, nim jeszcze opublikował pierwsze ze swych arcydzieł. Rorn, ze swą rosnącą w siłę klasą kupiecką, świeżo zdobytym wyrafinowaniem i rodzącą się dumą, okazał się dla niego łatwym łupem. Miasto łaknęło nowych idei, nowych przywódców, świeżej krwi. Odniosło już sukces i czuło się gotowe wyjść z cienia Silburu, by poszukać własnego słońca.

To było śmiesznie proste. Dzięki pamfletom zdobył uczniów, arcydzieła zaś rzuciły mu do stóp Rorn. Wszyscy go fetowali: klasie kupieckiej spodobała się jego opinia na temat bogactwa, intelektualiści uwielbiali jego subtelne ataki na tradycjonalizm religijny, a niższe klasy zachwycał dowcip.

Nienawidził go tylko kościół. Jego hierarchia popełniła straszliwy błąd. W owym czasie rornijskich duchownych powszechnie uważano za silburskich szpiegów, a niechęć do Silburu narastała w Rornie gwałtownie. Jakim prawem stare, chylące się ku upadkowi miasto próbowało kierować ich życiem? Rorn rozkwitał i żył pełnią życia, podczas gdy Silbur był

bezkrwisty jak stare kości.

Tavalisk stał się symbolem tego ruchu. Wywoływał niepokój, prowokował, rozniecał

namiętności. Co noc przerzucał dzieła Rapascusa w poszukiwaniu nowego paliwa dla płomieni. Publikował pamflet za pamfletem. Jego sława rosła. Miał coraz więcej zwolenników. Gdy tylko opuszczał swą piwnicę, otaczał go tłum.

Po śmierci starego arcybiskupa sprawy osiągnęły punkt kulminacyjny. Silbur natychmiast przysłał zastępcę, co okazało się poważnym błędem. Przywódcy kościoła obawiali się utraty wpływów w Rornie i doszli do wniosku, że pora urządzić pokaz świętej siły. Szacowni mieszkańcy Rornu nie znali człowieka, którego przysłano. Miał on ponurą twarz, był zwolennikiem rządów silnej ręki i wywodził się z Lanholtu. Miasto odrzuciło go w wyjątkowo gwałtowny sposób. Podczas parady powitalnej ściągnięto go z konia i zadano całą serię pchnięć nożem w plecy.

Tavalisk nigdy nie zapomniał owego widoku. Oto do czego byli zdolni mieszkańcy tego pięknego grodu: do brutalnego morderstwa w biały dzień.

Po tym fackie Silbur nauczył się ostrożności. Obawiając się, że całkowicie utraci wpływy w Rornie, że w kościele nastąpi niebezpieczna schizma, a nadmorski gród po prostu ogłosi się niezależną religijną metropolią, Ten Który Jest Najświętszy zgodził się, by miasto samo wybrało sobie arcybiskupa. No, może nie tyle miasto, co święty synod, poparcie kupców i mas uczyniło już wówczas Tavaliska tak potężnym, że kler nie odważył się wysunąć innego kandydata. Najwyraźniej nie tylko on nigdy nie zapomniał widoku nowego arcybiskupa leżącego w kałuży własnej krwi. Ostatecznie duchowni słynęli z tchórzostwa.

Po miesiącu Tavalisk został wyniesiony do arcybiskupiej rangi w Rornie. Był

najpopularniejszym arcybiskupem od z górą tysiąca lat. Silbur go nienawdził, a miejscowy kler nim gardził. Ten Który Jest Najświętszy podjął nawet bezskuteczną próbę ekskomunikowania go. Obywatele Rornu uwielbiali go jednak za to, że utarł hierarchom nosa.

Był młody, błyskotliwy i zbuntowany - prawdziwy przywódca ludowy. Rósł razem z miastem i wraz z nim cieszył się dobrobytem.

Mijały miesiące, lata i dziesięciolecia. Rorn stał się największym miastem handlowym w Znanych Krainach, a Tavalisk najważniejszym przywódcą religijnym. Jego władza była niezmierzona, a wpływy wciąż wystarczająco wielkie, by Silbur trząsał się ze strachu. Nikt nie ważył się rzucić mu wyzwania - ani Ten Który Jest Najświętszy, ani nawet sam stary diuk.

Był nieformalną głową wschodniego kościoła i sprawował w swym przybranym mieście praktycznie królewską władzę.

\*

Tavalisk położył dłoń na manuskryptach Rapascusa. Przeniesienia ich w inne miejsce nie mógł powierzyć nikomu. Ich odkrycie przyniosłoby mu zgubę. Wszystkie prowokacyjne teorie, błyskotliwe idee i subtelne reinterpretacje znaczenia kościoła były dziełem nie jego, lecz zmarłego mędrca. A dowieść tego mogły tylko te dokumenty.

Przeciągnął kufer na drugi koniec komnaty. Czas już uczynić to, co powinien zrobić dawno temu. Wybrał na chybił trafił jeden ze zwojów i cisnął go w ogień. Papier stanął z trzaskiem w płomieniach i natychmiast poczerniał. Buchnęły z niego kłęby wonnego dymu.

Arcybiskup po chwili rzucił do paleniska następny i jeszcze następny. Wkrótce kominek przerodził się w małe piekło. Był to co najmniej uspokajający widok. Teraz prawdy nie zna już nikt poza nim i Baralisem.

Melli skuliła się w kącie. Miała dwa koce, to jednak ledwie jej wystarczało, nawet teraz, gdy Kylock rozkazał pani Greal uszczelnić okiennice i rozwiesić grube, aksamitne zasłony osłaniające przed przeciągami. Nie pozwolił jednak palić ognia. To wiele mówiło.

Bał się, że mogłaby spróbować podpalić pałac albo jego samego. Miał rację.

Nie była pewna, czy podobają się jej nowe udoskonalenia w komnacie. Po zamknięciu okiennic, światło padało do środka wąskimi pasmami, które przesywały pomieszczenie niczym linie na polu turniejowym. W Melli rozwinął się pewien przesąd dotyczący powoli przemieszczających się kresek światła. Nie lubiła ich przekraczać. Nie ulegało wątpliwości, że zamknięcie wpędza ją powoli w obłąd. Nie przekraczać linii, też coś!

Problem polegał na tym, że nie miała nic do roboty i jej umysł coraz bardziej zaprzętały drobiazgi. Na przykład, te nowe zasłony. Odnosiła silne wrażenie - choć nie miała pewności - że wisiały niegdyś w sypialni diuka. Odwiedziła tę komnatę zaledwie kilkakrotnie

- ostatni raz w noc poślubną - lecz zawsze miała dobrą pamięć do szczegółów. To dziwne, że gdy przystawiono jej ostrze do szyi, miała jeszcze czas przyglądać się meblom. No cóż, na coś musiała patrzeć. Lepiej na zasłony niż na nóż. Rzecz w tym, iż odnosiła wrażenie, że to te same zasłony i musiała teraz rozstrzygnąć, czy to dobry, czy zły omen.

Diuk zginął, mając je przed oczami, ona jednak ocaliła życie. Wiedziała teraz, że nigdy go nie kochała. Pochlebiała jej jego uwaga, imponowała władza i hipnotyzowała siła woli. Rozpaczliwie pragnęła, by ktoś ją pokochał dla niej samej i gdy pomyślała, że tak się stało, omdlała niczym zadurzona dziewczica. Nie miała żadnego doświadczenia w sprawach miłości i nie potrafiła jej osądzać. Diuk był pierwszym mężczyzną, który się do niej zalecał.

Dawał jej egzotyczne, wymowne podarki i wypełniał głowę komplementami. Wielbił jej temperament i cenił inteligencję. Obiecywał, że podzieli się z nią władzą. A wszystko to słyszała od najpotężniejszego z władców północy. Nie tylko schlebiało to jej próżności, lecz wręcz wprawiało w oszołomienie.

Nie zakochała się w diuku, lecz w opinii, jaką żywił na jej temat.

Pozwoliło jej to zrozumieć uczucie do Tawla. Gdy naprawdę się kogoś kocha, jego nieobecność nie wywołuje zubożenia, lecz wyrывa serce z piersi. Śmierć diuka była dla niej szokiem i niczym więcej. Melli zareagowała na nią chłodno: strachem i dezorientacją. Od miesięcy nie myślała o nim prawie wcale. Teraz również by go sobie nie przypomniwała, gdyby nie te zielone, aksamitne zasłony.

Wzruszyła ramionami. Może i była bez serca, miała już jednak za sobą z górą cztery miesiące uwięzienia, prześladowania i maltretowania, skłaniała się więc ku opinii, że jej mężowi się poszczęściło.

Doszła do wniosku, że zasłony są jednak dobrym znakiem. Nie były czerwone, co samo w sobie było

błogosławieństwem, co jednak ważniejsze, to nimi zakołysał podmuch, gdy Tawl popędził uratować jej życie. Jeśli szczęście jej nie opuści, zakołyszą się raz jeszcze.

Nie zamierzała jednak liczyć tylko na szczęście. Wstała z głośnym trzaskiem kolan, jakby była staruszką. Plecy natomiast bolały ją tak, jakby była staruszką. Jej ciężkie ciało przy każdym ruchu rzucało wyzwanie kręgosłupowi, stawom i biodrom. Kostki miała obrzękłe, a brzuch ogromny. Ruszyła z wysiłkiem ku swej tajnej skrytce. Na przekór sobie przekroczyła aż dwa pasma światła, po czym zatrzymała się, przykładając ucho do drzwi, żeby się zabezpieczyć.

Jej kolekcja, jak lubiła ją nazywać, była ukryta między wielką skrzynią na pościel a ścianą. Zaczęła się od lewej rękawiczki pani Greal i w jej skład wchodziła obecnie druga lewa rękawiczka - tym razem pochodząca od Kylocka - szklany kielich, świeca, pas ze sprzączką oraz garść starych kości. Melli nie była do końca przekonana, czy wszystko to okaże się użyteczne, strzegła jednak swego skarbu jak oka w głowie. Jeśli wywróci rękawiczkę Kylocka na lewą stronę, będzie ją mogła założyć na prawą dłoń. Pasem można będzie kogoś związać. Świeca stanowiła problem - by ją zapalić, potrzebowałaby krzesiwa - kielich jednak świetnie się nadawał na broń.

Gromadzenie przedmiotów było bardzo łatwe. Sztuczka polegała na tym, by dyskretnie usuwać je z pola widzenia w chwili, gdy ich właściciel skierował uwagę na coś innego. Zarówno Kylock, jak i pani Greal przed wyjściem dokładnie oglądali komnatę, by się upewnić, że nic w niej nie zostawili. Jeśli niczego nie zauważyli, byli usatysfakcjonowani.

Trudno ostatecznie wymagać, żeby król pamiętał o świecy albo kielichu.

Potrzebowała jeszcze tylko noża. Kylock zawsze go nosił w pochwie na biodrze, lecz nigdy nie wyjmował. Wolał dręczyć ją za pomocą gorącego wosku i cienkiego sznura. Będzie musiała zrobić coś, co go sprowokuje do wyciągnięcia oręża, albo po prostu ukraść nóż z pochwy. Tak czy inaczej, musi działać szybko. Jeśli nie pomyliła się w rachunkach, zbliżał

się ostatni miesiąc ciąży. Jej brzuch zrobił się tak wielki, że wątpiła, czy w ostatnich tygodniach zdoła przejść na drugi koniec komnaty, nie mówiąc już o ucieczce z zamku.

Schowała kolekcję na miejsce, pamiętając, by ustawić skrzynię dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej stała uprzednio. Wkrótce przyjdzie pani Greal, która miała wzrok bystry jak zgłodniały kot.

Melli wróciła do kąta i otuliła się ciasno kocami. Ucieknie już niedługo. Bardzo niedługo.

\*

W miarę jak oddalali się od Marlsu, kierując się na wschód, a potem na północ, pogoda stopniowo się pogarszała. Niebo zasnuły gnane wiatrem chmury, które następnie zgęstniały i postanowiły zaprezentować się pod nazwą burzy. W samym środku dnia zrobiło się ciemno jak w nocy, deszcz padał małymi, lecz gęstymi kroplami, ziemia pod ich stopami przerodziła się w błoto, a huragan dał im prosto w twarz.

Konie nie były z tego zadowolone. Jeźdźcy też nie. Ubrania mieli mokre, żywność wilgotną, nocą nie



mogli rozpalić ogniska, nie mieli odpoczynku, ciepła ani chwili wytchnienia.

Sam teren nie był zbyt trudny. Jechali przeważnie przez płaskie obszary uprawne lub pofałdowane pastwiska, łąki i zorane pola, urozmaicane niekiedy żywopłotami bądź też niskimi, trawiastymi wzgórzami. Ziemia zrobiła się od deszczu pulchna, a trawa bardziej zielona, dzięki czemu krajobraz wyglądał wiosennie.

Z upływem dni robiło się jednak coraz chłodniej i Tawl zdawał sobie sprawę, że owa wiosna była jedynie złudzeniem. Podróż męczyła wszystkich, zwłaszcza Kosiarza. Młody kieszonkowiec przeziębził się i przez większość czasu spał oparty o plecy Tawla. Rycerz wiedział, że narzuca ostre tempo, lecz po prostu nie mógł znieść myśli o zwłóce.

Gdyby zwolnił, miałby czas na zastanowienie, na przemyślenie tego, co usłyszał od Gravii w małej, nędznej speluncie w Marlsie. Żałował, że w ogóle doszło do tej rozmowy.

Wolałby nigdy nie poznać prawdy o Tyrenie. Stało się jednak inaczej i mógł teraz tylko gnać na oślep przed siebie, by wywołać złudzenie, że wszystko to należy do przeszłości.

Coraz trudniej było mu w to uwierzyć. Z każdym krokiem konia zbliżał się do Valdis.

Wjechali już w jego cień. Tawl czuł na lewym policzku jego bliskość, przypominającą bijący od ognia żar. Byli teraz jakieś sto pięćdziesiąt mil na południowy wschód od miasta. Jutro znajdą się na jego wysokości. Dzieliła ich jedynie gęsta puszcza znana jako Gandt. Tawl dobrze ją pamiętał. Za dnia ćwiczył w niej, walczył i polował, a nocą spod jej liści obserwował gwiazdy. Niejeden raz upił się tam też do nieprzytomności. Zakładali się z Gravią o to, który z nich wypije więcej. Gravia zawsze wygrywał. Był od niego lepszy we wszystkim oprócz walki na miecze. Tu silniejszy był Tawl.

To były piękne dni. Rywalizowali ze sobą zawzięcie, lecz bez złości. Toczyli ostre walki, nie żywili jednak do siebie urazy. Przyjaźnie zawiązywały się powoli, ale trwały długo.

Nad wszystkim stał jednak Tyren: ojciec, mentor, bohater i bóg. Był ideałem, któremu wszyscy starali się dorównać, człowiekiem, któremu najbardziej chcieli zaimponować. Tawl zrobiłby dla niego wszystko. Oddałby za niego życie.

A teraz dowiedział się, że zaprzedał mu duszę.

Przez wszystkie te lata wierzył, że Tyren go ocalił, podczas gdy w rzeczywistości go spieniżył. Najcenniejsze wspomnienie w jego życiu pękło, zostawiając po sobie niebezpieczną pustkę, którą wypełniał gniew.

Ostatnie sześć lat jego życia opierało się na kłamstwie, a winny tego kłamstwa był

Tyren.

- Tawl! - zawołał Jack. - Zatrzymajmy się. Kosiarz nie wygląda za dobrze.

Rycerz spojrział na północny zachód. Tak blisko Valdis nie chciał ryzykować urządzania postoju.

- Tylko na pięć minut - krzyknął, ściągając wodze. - Potem ruszamy w dalszą drogę.

Jack nie wyglądał na zbyt zadowolonego. Po tym, co wydarzyło się na Larnie, zaszła w nim wielka zmiana. Nabrał pewności siebie i stał się bardziej agresywny. Wolałby sam przewodzić, zamiast słuchać rozkazów.

Zatrzymali się przy małym zagajniku. Od wschodu ciągnęły się ziemie uprawne, na zachodzie zaś mroczny, rozległy Gandt. Deszcz już nie padał, lecz ulewa skończyła się zaledwie przed kilkoma minutami i wszystko ociekało wodą.

Jack zсадził Kosiarza z konia Tawła, położył na ziemi swe posłanie i kazał chłopcu spocząć na nim. Potem zwrócił się w stronę Tawła.

- Chodź tam - syknął, wskazując miejsce, w którym Kosiarz nie będzie mógł ich podsłuchać.

Tawł zeskoczył z konia, gotowy do walki.

- Chłopiec nie wytrzyma tego tempa - oznajmił Jack.

- Chcesz powiedzieć, że ty go nie wytrzymujesz.

Młodzieniec obrzucił go twardym spojrzeniem.

- Co się z tobą stało w Marlsie?

- To nie twój interes.

- To mój interes, jeśli codziennie wstajesz przed świtem i zatrzymujesz się dopiero długo po zachodzie słońca. Równie gorąco jak ty, pragnę jak najszybciej dotrzeć do Brenu, ale w ten sposób tego nie dokonamy. Kosiarzowi potrzebny jest odpoczynek, ciepłe łóżko i gorący posiłek. Uważam, że powinniśmy zatrzymać się na noc w najbliższej napotkanej wiosce. Jeśli Melli żyje, wytrzyma jeden dzień dłużej. Jeśli nie żyje, nie ma potrzeby się spieszyć.

Ta chłodna ocena sytuacji poirytowała Tawła.

- Kto ci dał prawo mówić...

- To ja mam się policzyć z Baralitem i Kylockiem, Tawł. Nie ty. Ja.

- A kto utoruje ci drogę? - Rycerz zaczął dygotać. - A może wydaje ci się, że gdy tylko wejdiesz do pałacu, gwardziści natychmiast odłożą miecze?

- Liczę na to, że będziesz mi towarzyszył, Tawł.

Wyraz twarzy chłopaka natychmiast stłumił gniew rycerza. Niektóre sprawy były zbyt ważne, by się o

nie klócić. Przebiegł dłońmi po włosach i zaczerpnął głęboko tchu.

- Przepraszam, Jack. Masz rację. Od Marlsu nie myślę jasno. Rozmawiałem tam ze starym przyjacielem, który powiedział mi, że ktoś... - Tawl przerwał, szukając właściwych słów. - Ktoś, kogo szanowałem, okłamał mnie.

- Tyren?

Jack albo był bardzo bystry, albo rozmawiał z Kosiarzem.

- Tak, Tyren.

- Ludzie kłamią bardzo często, Tawl. - W głosie Jacka pobrzmiwała nuta goryczy. -

Bardzo często i z najrozmaitszych powodów.

Tawl skinął powoli głową. Chłopak miał rację.

Wiatr wzmógł się nagle. Wiał z zachodu i rycerz miał przez chwilę wrażenie, że słyszy jakiś wysoki dźwięk, przypominający krzyk. Ucichł jednak, nim zdążył go zlokalizować.

- Ruszajmy - powiedział. - Dojedziemy do najbliższej wioski.

Jack nie wyraził sprzeciwu i Tawl domyślił się, że nie tylko on usłyszał ów dźwięk.

Bez względu na przeziębienie, Kosiarz gwałtownie protestował, gdy wsadzano go na konia za Tawlem. Jack umocował pospiesznie bagaż, po czym wjechali na wydeptaną przez bydło ścieżkę i podążyli na północ.

Tawl i Jack zawarli niewypowiedzianą umowę, która kazała im zwiększać stopniowo tempo. Po chwili mknęli już cwałem po wąskiej ścieżynie. Głowy ocierały się im o nagie konary, a spod końskich kopyt tryskało błoto. Tawl wyęczał słuch, zwracając uwagę nawet na najcichsze odgłosy. Para gęsi zerwała się z krzykiem do lotu, a gdzieś za wzgórzem zaszczekał samotny pies. Potem rozpadał się deszcz, który wszystko zagłuszył.

Tawla dręczył niepokój. Dróżka, którą jechali, była kręta i wiodła wciąż w dół, nie widzieli więc, co mają przed sobą. Mroczny przestwór Gandtu był coraz bliżej. Wydawało się, że bór sięga ku ścieżce niczym symbol zagrożenia. Rycerz zmusił konia do galopu.

Początkowo myślał, że słyszy za sobą Jacka, lecz rytm kopyt był zbyt skomplikowany, by mógł pochodzić od jednego tylko konia. Wtem ujrzał kącikiem oka postać, która wyłoniła się z ostępów Gandtu i ruszyła szybko ku nim.

- Trzymaj się, Kosiarzu - krzyknął. - Na mój rozkaz skręcamy na wschód - dodał, zwracając się do Jacka. Wbił pięty w boki wałacha i popuścił mu wodzy.

Postaci było teraz więcej. Wypadały z lasu galopem, mknąc na ukos w stronę ścieżki.

Tawl rozpoznał ich żółto-czarne barwy. To byli rycerze. Próbowali ich doścignąć.

Mieli świeże, szkolone konie i z pewnością im się to uda. Wierzchowcowi Tawla nie pozostało zbyt wiele sił. Musiał dźwigać dwie osoby i od tygodnia jechał ostrym tempem.

Biedny, stary wałach z pewnością słaniał się już na nogach.

Jeźdźcy dotarli do drogi. Tawl widział ich twarze, patrzył jednak przede wszystkim na broń. Dzierżyli w dłoniach włócznie o trójkątnych grotach. Sam ćwiczył kiedyś walkę takim orężem, wiedział więc doskonale, jakie obrażenia może spowodować. W ofiarę najpierw wbijał się obusieczny szpic, a za nim szły zadziory. Próba usunięcia podobnego grotu rozrywała ciało na strzępy.

Tawl spojrział przed siebie. Dróżka skręcała na zachód. Jeśli podążą w tamtym kierunku, wpadną prosto na rycerzy. Było jednak jeszcze za wcześnie, by zakręcić na wschód.

Lepiej poczekać do ostatniej chwili. Zaryzykował spojrzenie na ścigających. Nie mieli hełmów, lecz pod ich szatami lśnił metal. Górną część tułowia osłaniały im napierśniki, dolną zaś kolczugi. Walka nie wchodziła w grę. Nie mieliby szans.

Zakręt zbliżał się szybko. Tawl zauważył, że rycerze zaczynają ściągać wodze.

Odliczył: raz, dwa... trzy, po czym krzyknął:

- Teraz, Jack! Teraz!

Ściągnął wodze w prawo. Wałach zwrócił głowę na wschód. Gdy zwierzę zmieniło gwałtownie kurs, Kosiarz wpił palce w bok przyjaciela. Drogę przecinał rów i wierzchowiec ledwie zdążył odzyskać rytm biegu, nim był zmuszony go przeskoczyć. Padł na miękki, błotnisty stok, z trudem zachowując równowagę. Koń Jacka przeskoczył rów bez trudu, wpadając na zorane pole. Tawl słyszał z tyłu nawoływania rycerzy, którzy zmieniali pospiesznie plan. Zamiast przeciąć im drogę, musieli teraz rozpocząć pościg.

Tawl poprowadził konia kawałek wzdłuż rowu, aż wreszcie dotarł do miejsca, gdzie zbocze było mniej strome. Wałach wbiegł na pole. Jack był już daleko z przodu. Mknął w stronę rosnącego za żywopłotem lasku. Deszcz przestał padać, lecz grunt był błotnisty, a między bruzdami zebrały się kałuże wody. Wałach bał się ich wyraźnie. Był miejskim koniem, nieprzywykłym do panujących na wsi warunków, i choć Tawl starał się go skłonić do wchodzenia w kałuże, wołał przez nie przeskakiwać.

Rycerze byli coraz bliżej. Ich wierzchowce miały klapki na oczach i szkolono je z myślą o szybkości. Obejrząwszy się za siebie, Tawl zauważył, że nie wszyscy ścigający podążają za nim. Niektórzy skręcili na północ, inni zaś zatrzymali się nagle. Tawl wstrzymał

oddech. Ci, którzy stanęli, zeskakiwali z koni. Łucznicy.

Natychmiast zaczął jechać zygzakiem. Poruszał się wskutek tego wolniej, wołał

jednak narazić się na cios włócznią w brzuch niż ryzykować, że Kosiarz dostanie w plecy strzałą. Jack był zbyt daleko, by mógł go ostrzec, nie oddalił się jednak jeszcze na tyle, by wprawny łucznik nie zdołał go trafić. Dotarł już niemal do lasu. Jeśli znajdzie się między drzewami, będzie bezpieczny.

Obok kolana Tawla przemknęła z furkotem strzałą. Mierzyli nisko. Za nisko, żeby zabić człowieka. Spojrzał na Jacka akurat na czas, by zobaczyć, że jego rumak padł nagle na ziemię. Chłopak runął naprzód, wpadając głową w żywopłot.

Tawl zdał sobie sprawę, że rycerze nie chcą ich zabić, lecz pojmać. Łucznicy z Valdis byli najlepsi w Znanych Krainach i jeśli zabijali konia zamiast jeźdźca, mogło to oznaczać tylko jedno. Potwierdzały to również włócznie, które były wystarczająco ciężkie, by powalić wierzchowca. Na ludzi wystarczała lżejsza broń.

- Kosiarzu - krzyknął - unieś lewą dłoń do góry.

Nie mieli szans ucieczki. Jack stracił konia, a wałach nie wytrzyma już długo podobnego tempa. Schwytanie ich było kwestią minut. Lepiej poddać się teraz, gdy ucierpiał

jedynie Jack, niż uciekać dalej, narażając się na rany po strzałach i złamania kości przy upadku z siodła. Pora zminimalizować straty.

Kosiarz wykonał polecenie, a Tawl nakazał wałachowi powoli się zatrzymać.

Wiedział, że na sygnał poddania się rycerze natychmiast przestaną strzelać. Nakazywał to kodeks honorowy Valdis. Zwrócił się ku ścigającym. Czterech mężczyzn ruszyło w jego stronę.

- Z konia! Natychmiast! - rozkazał pierwszy z nich.

Tawl uścisnął dłoń chłopca.

- Nic nam nie będzie - wyszeptał. Zeskoczył w błoto i zdjął Kosiarza z siodła. Ciało chłopca było sztywne i zimne.

Rycerze opuścili włócznie. Jeden z nich podjechał do pojmanych i przeszukał ich, sprawdzając, czy nie ukrywają broni.

Dwaj jeźdźcy, którzy skierowali się na północ, zdążyli już ku Jackowi. Tawl nie miał

pojęcia, co zamierza zrobić jego przyjaciel - Jack - krzyknął. - Poddałem się. Nie stawiaj oporu.

Widział już, do czego zdolny jest młodzieniec, nie był to jednak czas na powtórkę z Larnu. Ci ludzie zachowali się honorowo i zasługiwali na takie samo potraktowanie.

Spojrzał w stronę żywopłotu. Widział zbliżających się jeźdźców, usłyszał ich krzyk, a potem zobaczył wychodzącego powoli z krzaków chłopaka. Utykał, a twarz zboczyła mu krew. Ręce unosił nad głowę. Świetnie. Usłyszał ostrzeżenie i zrozumiał je. Nie użyje czarów.

Nie przeciw rycerzom.

Patrzył na niego przez chwilę, by się upewnić, że nic mu się nie stało, po czym zwrócił się w stronę dowodzącego oddziałem ściągających.

- *Es nil hesrl* - powiedział. Było to tradycyjne pozdrowienie w Valdis i bez względu na wszystko - zdradę Tyrena i upadek rycerstwa - z jakiegoś powodu wydawało mu się odpowiednie. Ci ludzie byli jego braćmi.

Rycerza wyraźnie zaskoczyły te słowa. Popatrzył chwilę na towarzysza, nim odpowiedział:

- Nie jestem twym sędzią, Tawlu z Nizin. Ten przywilej przypadnie Tyrenowi w Brenie.

\*

Skaythe obserwował oddalającą się grupę. Dziesięciu rycerzy, w tym czterech wyborowych łuczników, trzech zakładników, trzynaście koni, dwa muły i zapasy wystarczające na podróż do Brenu.

A więc Baralis nie liczył wyłącznie na niego.

Schował łuk do futerału. Deszcz nie wpływał na niego dobrze. Trzeba go będzie nawoskować, a potem założyć nową cięciwę. Przy mokrej cięciwie i powietrzu przesyconym wilgocią celny strzał na tę odległość był prawie niemożliwy. Łucznicy z Valdis nie byli lepsi od niego. Po prostu znajdowali się znacznie bliżej.

Scena była interesująca. Dowiedział się trochę o swej zamierzonej ofierze. Tawl nie był głupi. Wiedział, kiedy dać za wygraną. Rycerze dopędzili go i mieli przewagę liczebną, jego przyjaciel stracił konia, a jego własny wierzchowiec był lada chwila gotów runąć na ziemię. Nie był głupi, lecz trudno go też było nazwać bohaterem. Skaythe potrząsnął głową.

Nie, bohaterem z pewnością nie był. Bohaterowie nie roztrzaskują czaszki przeciwnikowi, który nie jest już zdolny do walki. Nie biją leżącego, gdy jest już dawno po wszystkim. Nie zabijają dlatego, że nie potrafią zapanować nad sobą.

Blayze zginął z ręki Tawla. Była to niepotrzebna śmierć i Skaythe zamierzał

wymierzyć za to sprawiedliwość.

Potarł obolałe ramię. Wilgoć znacznie pogarszała dolegliwości. Tawl musiał mu zapłacić za wiele spraw.

Potrzebował dwóch tygodni, by wrócić do zdrowia po ranie, którą odniósł podczas pojedynku na klifach na północ od Toolay. Znalazł w małej wiosce staruszkę, która mu ją opatrzyła. Stracił mnóstwo krwi. Strzała otarła się o łopatkę, doszło też do nieznacznych uszkodzeń mięśni. Stara wiedźma zszyła go zręcznie, ale używała brudnego noża i wdało się zakażenie. Stracił tydzień z powodu gorączki, a potem drugi na skutek osłabienia. Gdy wreszcie mógł dosiąść konia, podróżował

powoli i często urządzał postoje. Kiedy dotarł do Rornu, nie zastał już tam rycerza ani jego towarzyszy. Wypytał się o nich w porcie, dowiedział się, że przed dwoma dniami odpłynęli do Marlsu. Bez zwłoki podążył za nimi.

Tydzień spędzony na pokładzie statku dobrze na niego wpłynął. Miał szansę w pełni odzyskać siły. Jego bark zeszywniał podczas jazdy do Rornu, teraz zaś ćwiczenia i masaże pozwoliły mu stopniowo zwiększyć zakres ruchów w stawie. Gdy dotarł do Marlsu, odzyskał

na tyle siły, by naciągnąć cięciwę.

Zmierzając na północ, oddał kilka strzałów ćwiczebnych. Zarówno celność, jak i zasięg nie były takie jak niegdyś, nadal jednak przewyższał najlepszych łuczników z Valdis.

Kilka tygodni odpoczynku i wróci do formy. Problem stanowiła jednak jazda. Rycerz narzucał mordercze tempo i, by go doścignąć, Skaythe musiał jechać jeszcze szybciej. Długie godziny spędzone w siodle, do spółki z nagłymi ulewami i zimnymi wichrami, sprawiły, że bark znowu zeszywniał.

Jeszcze kilka tygodni podobnych warunków i całkowicie straci w nim ruchomość. Nie miał jednak wyboru - zwłaszcza teraz. Musiał śledzić Tawla. Tylko on miał prawo odebrać rycerzowi życie i nie pozwoli, by ktokolwiek go w tym wyręczył.

Dosiadł konia. Być może dobrze się stało, że Tawla pojmano. Zwolni to tempo jego podróży i łatwiej go będzie doścignąć. Ostrzegawcze strzały nie wchodziły już jednak w grę.

W drużynie było czterech szkolonych łuczników i Skaythe nie miał zamiaru zdradzać się przed nimi. Popędził konia kopniakiem. Następnym razem zaatakuje bez ostrzeżenia.

\*

Tawl siedział wsparty o drzewo, do którego go przywiązano.

- Nic ci nie jest? - syknął, spoglądając na Jacka.

Chłopak skinął głową.

- Łeb boli mnie piekielnie, ale już się do tego przyzwyczailem.

Było ciemno. Całą noc jechali na północ. Podróż z jedną ręką związaną za plecami i obiema nogami przytroczonymi do strzemion nie należała do przyjemności. Kosiarzowi, który jechał na mule, było łatwiej.

Rycerze przed chwilą rozbili obóz. Byli dobrze zorganizowani. W kilka minut rozpalili ognisko i zaczęli grzać holk oraz gotować owsiankę z suszonym mięsem. Konie nakarmiono, napojono i wyszczotkowano. Wokół obozowiska krążyli już strażnicy, gotowi w każdej chwili wypuścić strzałę do intruza albo zwierzyny. Napełnili bukłaki wodą i zdjęli napierśniki, po czym przystąpili do masowania mięśni. Brandy przechodziła z rąk do rąk.

Zajęli się nawet jeńcami. Opatrzyli ranę Jacka, dali Kosiarzowi ziołową herbatę na przeziębienie, poluzowali wszystkim więzy, po czym przywiązali ich dokładnie, każdego do innego drzewa. Potem mieli dać im jeść.

Tawl przyglądał się tym poczynaniom z pewną dozą podziwu. Ci ludzie umieli ze sobą współpracować. Wykonywali rozmaite zadania niemal bez rozkazu. Byli sprawni, lecz pozbawieni brutalności. Wiedzieli, że mogą polegać na towarzyszach. Tawl znał tylko dwóch.

Andris - drugi wśród nich rangą - był w Valdis o krąg niżej od niego, natomiast Borlin, który był jednym z czterech łuczników i najstarszym rycerzem w grupie, uczył go strzelania z łuku.

To właśnie on podszedł teraz do nich: ciężko zbudowany, niski jak na rycerza mężczyzna o ramionach dorównujących grubością udom. Na jego usianej niebieskimi żyłkami twarzy wykwił uśmiech starego wiarusa. Pokiwał pokrytym stwardnieniami palcem.

- Więzniom nie wolno ze sobą rozmawiać. Wiesz o tym, Tawl.

- Chciałem tylko sprawdzić twoją pamięć, Borlinie. Minęło już pewnie ze trzydzieści lat, odkąd nauczyłeś się tej zasady.

- Chcesz powiedzieć, że jestem stary, chłopcze?

- Z pewnością nie jesteś tegorocznym kurczakiem.

Brzmienie śmiechu Borlina obudziło w Tawlu żywe wspomnienia. Ten niski rechot uważano w Valdis za swego rodzaju fenomen. Ludzie mawiali, że brzmi on tak, jakby ze wzgórza staczano beczkę pełną kamieni.

- Wpakowałeś się w niezłą kabałę, co, Tawl? - ciągnął. - Powiadają, że zabiłeś Catherine z Brenu.

- Powiadają też, że rycerze przyglądali się biernie, jak w Halcusie mordowano kobiety i dzieci.

Twarz Borlina zastygła w jednej chwili.

- Nie byłeś tam, Tawl.

- Ale był tam mój przyjaciel. Dobry człowiek, który nie mógł już tego dłużej znieść.

Ruszył na południe i wsiadł na statek do Leiss.

- Dezerter.

- Nie. - Tawl potrząsnął głową. - Nie dezerter, lecz ktoś, kto pamięta, czym kiedyś było Valdis.

Borlin odwrócił się i zaczął oddalać.

- Czy tak właśnie radzisz sobie ze swym sumieniem, Borlinie? - krzyknął za nim Tawl. - Nadstawiasz



drugi policzek?

Napiął mięśnie piersi, szarpiąc więzy. Drżał cały. Związane z tyłu ręce zacisnął w pięści. Kilku rycerzy wpatrywało się w niego.

- Po co to wszystko powiedziałeś? - wyszeptał Jack.

- Dlatego, że należało to zrobić. To są dobrzy ludzie, którzy słuchają złego wodza i w głębi swych serc wiedzą o tym. Nikt jednak nie waży się przyznać tego głośno.

Tawl pomyślał o Gravii. Być może niedobrze się stało, że pożegłował do Leiss.

Rycerze by go wysłuchali. Nie był podejrzanym o morderstwo wyrzutkiem.

- Tyren nie jest sam - sprzeciwił się Jack. - Musiał znaleźć rycerzy skłonnych wykonywać jego rozkazy.

Tawl potrząsnął głową.

- Nic nie rozumiesz. Przysięgli mu posłuszeństwo. Nie chodzi o to, którzy z nich są dobrzy, a którzy źli. Nie mają wyboru. Gdyby go nie posłuchali, złamaliby przysięgę.

Większość rycerzy wolałaby umrzeć.

Tawl nie potrafił ukryć goryczy. Sam złamał przysięgę na oczach całego Brenu.

Jack obrzucił go długim, uważnym spojrzeniem.

- Ten, który zdjął mnie z konia, mówił, że wojska Kylocka wymaszerowały znowu.

Ruszyły na Ness.

Tawl wypuścił cicho powietrze z płuc. Jack miał rację: pora zmienić temat. Nakazał sobie myśleć o Kylocku.

- Nie marnuje czasu.

- My też nie możemy go marnować. Musimy uciekać...

- Nie. - To słowo wyrwało mu się z ust, nim jeszcze Jack skończył mówić. - Na razie nie ma takiej potrzeby. Zmierzamy na północ, a rycerze narzucają ostre tempo. Możemy zaczekać jeszcze kilka dni.

Jack spojrział na niego gniewnie.

- Co ty kombinujesz, Tawl? Dlaczego wtedy na polu nie pozwoliłeś mi nic zrobić?

- Nie chcę, żebyś używał czarów przeciw tym ludziom, Jack. Oni na to nie zasługują.

- Jasnowidze też nie zasługiwali.

Tawl osunął się bezwładnie na pień drzewa. Na to nie potrafił odpowiedzieć. Jack myślał tylko o oczekującym go zadaniu. Tak zresztą powinno być. Chodziło też jednak o coś jeszcze. Coś, co nie miało nic wspólnego z Jackiem, a za to wszystko z nim. Był Tawlem, rycerzem z Valdis, i nie mogła tego zmienić żadna przysięga, wyparcie się ani hańba. Będzie nosił kręgi przez całe życie.

Tyren postawił rycerzy wobec straszliwej alternatywy. Mogli pozostać w zakonie i być najemnikami Kylocka albo zdezerterować jak tchórze i okryć się wstydem. Dla ludzi, którzy nade wszystko cenili honor i wierność, była to trudna decyzja. Tak czy inaczej, nie unikną potępienia.

Przyglądał się, jak rycerze gromadzą się wokół ogniska. Przygotowywali się do odpoczynku, napełniali kubki holkiem, opowiadali dowcipy i rozwijali posłania. Jeden z nich nucił jakąś melodię, drugi naprawiał skórzany strój. Dobrzy ludzie, którzy słuchali złego wodza.

- Andrisie! - krzyknął Tawl do jasnowłosego mężczyzny, który łamał gałęzie na opał.

- Chodź poluzować mi więzy.

Czas już, by ktoś stworzył im inną możliwość.

Był wczesny ranek, godzina albo dwie przed świtem, lecz pani Greal wstała już, by wybrać się na dyskretną wyprawę łupieżczą.

Jej terenem łowieckim były komnaty dla szlachty, usytuowane we wschodnim skrzydle pałacu. Panowały w nim ciemność i zimno. Drzwi były pozamykane, dywany jedwabne, wszędzie słychać było tupot szczurzych nóg, a na śmiałych zdobywców czekały skarby.

Król Kylock - niech Bore błogosławi jego małą, mroczną duszyczkę - kazał wbić na pal, ściąc albo otruć tak wielu przedstawicieli dawnej szlachty, że nie sposób było ich zliczyć.

Chyba że ktoś miał notesik. Pani Greal poklepała się po fiszbinowym gorseciku, pod którym skrywała miękko oprawioną książeczkę, dodającą krągłości jej chudym kształtom.

- Prowadź notatki - powtarzał zawsze jej ojciec. - Nigdy nie wiadomo, kiedy ci się przydadzą.

Śmierć była wielką wyzwolicielką bogactw, a podstępne skrytobójstwa znacznie ułatwiały ich zagarnięcie. Często zdarzało się, że żony nie były pewne, czy ich mężowie nie żyją. Ostatecznie jedno bezgłowe ciało pływające w jeziorze do góry brzuchem nie różniło się zbyt od drugiego. Jeśli nie znaleziono zwłok, dzieci wołały sądzić, że ojcowie żyją, a tylko są uwięzieni, a gdy dowód stanowiło jedynie skrwawione prześcieradło, ludzie byli skłonni uwierzyć, że ich niepoprawny brat zaciągnął do łóża kolejną dziewczę.

Krążyły liczne pogłoski o skrytobójstwach, lecz nikt nie był niczego pewien. Kylock miał talent do szlachtowania zwłok. Palce, myszki, znamiona, podwójne podbródki, bitewne blizny i wyjątkowo duże męskości - wszystko to usuwał z chirurgiczną precyzją. Pani Greal widziała swego króla w akcji. Wpadał wówczas w trans. Zapominał o całym świecie.

Dostrzegał tylko leżące przed nim ciała i ostry jak brzytwa nóż w ręku. Spędzał w pałacowych lochach całe godziny. Oczy miał zaszkłone, dłoń zaciskała się na rękojeści, a wargi poruszały się bezgłośnie.

Panią Greal przeszył nagły dreszcz. Owinęła się ciaśniej szalem. Gdy go pociągnęła, w uszkodzonym lewym nadgarstku złapał ją nagły kurcz. Szybko puściła tkaninę. Minęły już dwa lata od chwili, gdy Maybor złamał jej rękę w Duvitt, i od tego czasu pewne ruchy przychodziły jej z trudnością. Było to niewygodne, lecz nie przeszkadzało jej zbyt. Prawa dłoń, którą zgarniała pieniądze, na szczęście nie utraciła sprawności.

Wkrótce dotarła do drzwi, za które się wybierała. Pchnęła delikatnie drewno o barwie miodu i weszła do komnaty lorda Bathroya, który w swoim czasie był bliskim doradcą diuka, teraz zaś bezimiennym trupem gnijącym w płytkim grobie. Przed tygodniem popełnił ten błąd, że otwarcie skrytykował Kylocka, przeklinając jego decyzję wymordowania wszystkich żołnierzy Highwall. Zatrzymano go, poddano torturom, a potem zabito. Coraz mniej ludzi ważyło się sprzeciwić ewidentnie nie zrównoważonemu królowi. Świeca, którą ścisnęła w dłoni pani Greal, dawała bardzo niewiele światła, lecz jedwabne gobeliny nieżyjącego możnowładcy lśniły w jej blasku. Uśmiechnęła

się z satysfakcją. Oblężenie Kylocka było dla niej źródłem zysków.

Szybko zabrała się do wrzucania różnych przedmiotów do wielkiego, wełnianego worka. Była nie tylko szybka, lecz również sprytna. Nigdy nie zabierała zbyt wiele - tu złoty puchar, ówdzie haftowana bluza. Nikt nie zauważył braku podobnych drobiazgów. Rodzina lorda Bathroya mogła jeszcze nie być pewna jego losu, lecz gdy nie pokaże się przez miesiąc, krewni zwrócą się do kościoła z prośbą o uznanie go za zmarłego i w mgnieniu oka zlecą się tu, by podzielić się łupami.

Kiedy już uznała, że worek jest wystarczająco ciężki, przeszła do następnej komnaty z listy.

Jej droga, lecz trochę głupawa siostra, madame Thornypurse, sprzedaje skradzione towary na rynku. Po klęsce armii Highwall ruch w burdelach niestety znacznie osłabł. Nocą po bitwie wszystkich żołnierzy w mieście ogarnął gwałcicielski szal. Ich krew rozgrzało zwycięstwo, a ponieważ nie mieli pod ręką nieprzyjacielskich kobiet, rzucili się na breńskie prostytutki. Nie ominęli żadnego burdelu, nie przepuścili ani jednej ulicznicy. I nie zapłacili za to nawet miedziaka! Kylock nic w tej sprawie nie zrobił. Wszyscy wiedzieli o jego niechęci do kobiet. Dał swym ludziom wolną rękę.

Od tej pory sytuacja nie poprawiła się ani na jotę. Odkąd mężczyźni zdali sobie sprawę, że podobne zachowanie może im ująć na sucho, zaczęli po prostu brać sobie kobiety, które wpadły im w oko. Madame Thornypurse liczyła na to, że coś się zmieni, gdy armia oblężniczą wyruszy na Ness, od tej chwili minęły już jednak dwa tygodnie, a w mieście nadal panował chaos. Ten, kto służył w armii Kylocka, mógł robić wszystko, na co miał ochotę.

Co gorsza, krążyły plotki, że w mieście aż roi się od szpiegów i donosicieli. Każdy mógł być podejrzany o bunt: rzemieślnicy, kupcy, drobna szlachta i potężni wielmoże.

Mężczyźni tak bardzo bali się oskarżenia o zdradę, że woleli zostawać na noc w domu i rozmawiać tylko z żonami. Nudne wieczory były drobiazgiem w porównaniu z groźbą publicznego powieszenia.

Pani Greal nie obchodziło, co dzieje się na szerokim świecie. Jej domem był teraz pałac. Znała w nim wszystkie zakamarki. Słudzy się jej bali, szlachetnie urodzeni odnosili się do niej z ostrożnością połączoną z niesmakiem, natomiast Baralis i król Kylock ignorowali ją całkowicie. Odpowiadało to bardzo pani Greal. Była królową pszczoł we własnym ulu.

Nie musiała już - jak to kiedyś planowała - uciekać się do szantażu. Utrzymanie zapewniały jej odbywane przed świtem wycieczki do komnat dla szlachty. Dopóki pozostanie użyteczna, będzie mogła je kontynuować. Poza tym, pani Greal wiedziała już, że szantażowanie Baralisa nie byłoby zbyt rozsądne. Poznała go teraz lepiej i zrozumiała, że gdyby spróbowała wykorzystać przeciwko niemu swą wiedzę o okolicznościach zamordowania diuka, zabiłby ją natychmiast. Miał zbyt wiele do stracenia.

Podeszła do drugich drzwi na swej liście. Wiodły do komnaty bardzo bogatego, lecz już niestety nieżyjącego byłego kanclerza, lorda Gantry'ego. Po co uciekać się do mogącego kosztować ją utratę życia szantażu, jeśli istniało tak wiele bezpieczniejszych sposobów zarobku?

Miała już nacisnąć klamkę, gdy nagle usłyszała za drzwiami jakiś hałas. To dziwne.

Nie dalej, jak wczoraj widziała, jak Crope wynosił zwłoki lorda Gantry'ego i wrzucił je do jeziora, kto mógł więc teraz przebywać w jego komnatach? Jego żona miała własne.

Przyłożyła do drewna swe nietoperzowe ucho i zaczerpnęła lekko tchu, by lepiej się wsłuchać.

Zza drzwi dobiegało ciche mamrotanie. W głosie było coś znajomego... pani Greal wessała w siebie jego brzmienie niczym sycąca się krwią pijawka... to był Crope!

Otworzyła gwałtownie drzwi.

- Co tu robisz, ty nieszczęsny imbecyłu?

Crope siedział za biurkiem wielkiego pana. U jego boku stała bambusowa klatka, a na nadgarstku przysiadł mu jaskrawozielony ptak o haczykowatym dziobie. Sługa miał wyraźnie zawstydzoną minę.

- Karmiłem ptaszka, panienko. Na pewno jest głodny, no bo został teraz sam.

- Nie gap się tak na mnie. Wsadzaj to zielone paskudztwo do klatki i zmiataj stąd natychmiast - poleciła pani Greal.

Ptak zaskrzeczał głośno.

Crope wstał i zaczął zbierać z biurka jakieś przedmioty, ładując je do małej, malowanej szkatułki.

Pani Greal podeszła bliżej i zamknęła pudełko z gestem właścicielki. - Zostaw to, ty przerośnięty złodzieju. Te rzeczy nie są twoje.

Crope'a ogarnęło nagłe podniecenie.

- Są moje, panienko. Przysięgam. - Zerwał dłoń pani Greal z wieczka szkatułki, którą natychmiast przycisnął do piersi. - Przysięgam.

Pani Greal wyrwała mu puzderko. Próbował jej przeszkodzić i szkatułka poleciała w górę. Wieczko uchyliło się i zawartość wysypała się na biurko. Crope zaskomlił cicho i zaczął

pospiesznie zbierać rozsypane przedmioty.

Nikt nie dorównywał bystrością spojrzenia pani Greal. Nim jeszcze olbrzym zdołał

złapać pudełeczko, zapisała sobie w pamięci jego zawartość: dwa dziecięce zęby, kawałek sznurka, kokon motyla, kosmyk włosów przewiązany niebieską wstążką, kilka kawałków bursztynu, trochę taniej biżuterii i jakiś stary list opieczętowany lakiem.

Sięgnęła po list, lecz w tej samej chwili jej spojrzenie padło na biżuterię. Dostrzegła mosiężny naszyjnik z trzema wykonanymi z tego samego metalu sowa. Ogarnęło ją nagłe przerażenie. Maleńkie onyksowe oczka, pomalowane na żółto dzioby, środkowa sowa trochę większa od pozostałych dwóch. To był naszyjnik, który przed pięcioma laty dała w prezencie siostrzenicy.

Madame Thornypurse przysięgała, że Corsella miała go na sobie tej nocy, gdy zaginęła. Pani Greal dobrze go pamiętała. Sama zleciła jego wykonanie, zmieniając zamówienie ze złota na mosiądz, gdy cena okazała się zbyt wygórowana.

Crope sięgnął po naszyjnik.

Pani Greal była szybsza.

- Skąd to masz? - zapytała.

- To moje.

- Nieprawda. Skąd to masz? - Pani Greal dygotała. Owinęła sobie naszyjnik wokół

pięści i zaczęła potrząsać nią pod nosem olbrzyma. - Jeśli natychmiast mi tego nie powiesz, powtórzę wszystkim, że przyłapałam cię na kradzieży. Zamkną cię w lochu na resztę życia.

Jej słowa wstrząsnęły gwałtownie sługą, który uniósł obie ręce i zatkał sobie uszy.

- Nie. Nie zamykać Crope'a - mamrotał, potrząsając głową. - Nie zamykać.

Pani Greal poczuła woń zwycięstwa.

- Tak. Zamkną go i wyrzucą klucz. W głębokim lochu, gdzie nigdy już nie zobaczy słońca. A teraz gadaj, skąd masz naszyjnik.

- Nie ukradłem go - wrzasnął Crope, miotając głową jak szaleniec. - Pan powiedział, że mogę go sobie wziąć. Pytałem go, przysięgam.

- Przestań! - krzyknęła pani Greal. Lamentowanie Crope'a działało jej na nerwy. -

Dostałeś naszyjnik od Baralisa. A gdzie on go znalazł?

Gdy tylko padło to pytanie, Crope natychmiast przestał skomleć.

- Nie wiem, skąd pan go wziął.

Zacisnął mocno usta i wbił wzrok w podłogę.

- Hmm. - Pani Greal przyglądała się Crope'owi jeszcze przez chwilę. Przerośnięty idiota zamknął gębę na kłódkę. Wiedziała, że nie wyciągnie z niego już nic więcej. Osłaniał

swego pana.

- No dobra - powiedziała. - Zjeżdżaj stąd. Zabierz swoje rzeczy.

Crope szybko wepchnął wszystko do szkatułki. Zielony ptak zajął się dziobaniem wykonanej ze szlachetnego jedwabiu zasłony. Potężny sługa wziął go w rękę i wsadził do klatki.

- Jeśli chcesz nadal tu przychodzić karmić to ptaszysko, lepiej nie wspominać swojemu panu o naszej rozmowie - ostrzegła go pani Greal. - Zrozumiałeś?

Crope skinął głową i wyszedł.

Po jego odejściu pani Greal uniosła naszyjnik do ust i ucałowała go. Po jej policzkach ściekły maleńkie, gorące łzy. Crope dostał naszyjnik od swego pana, który z pewnością zdjął

go z szyi Corselli. Dla pani Greal mogło to znaczyć tylko jedno. Baralis zamordował jej siostrzenicę.

\*

- Tyren sprzedał moje usługi, tak samo, jak wasze. Za pięćset sztuk złota.

- Dlaczego mielibyśmy ci wierzyć, Tawl? - zapytał wódz rycerzy, Crayne. - Złamałeś przysięgę, a potem zamordowałeś Catherine z Brenu.

- Kto najwięcej skorzystał na śmierci Catherine? - wtrącił Jack, który odezwał się po raz pierwszy. - Nie kto inny, jak Kylock. Tawl nie zdobył miasta. Nie zyskał armii. Nie otruł

też Catherine. Wszyscy wiecie, że trucizna to broń tchórzy. Rzucę wyzwanie każdemu, kto nazwie Tawla tchórzem.

Po jego słowach zapadła cisza. Jack kącikiem oka zauważył, że Tawl chce coś powiedzieć i powstrzymał go skinieniem dłoni. Niech rycerze przemyślą sobie to, co usłyszeli.

Zacząli się powoli oddalać od ogniska. Z ich twarzy trudno było cokolwiek odczytać w bladym świetle poranka, poruszali się jednak jak ludzie przybici. Nikt się nie odzywał.

Wędrowali z rycerzami na północ już od ośmiu dni. Gdy tylko się zatrzymywali - żeby nabrać wody, pozwolić koniom na odpoczynek, zapolować bądź się przespać - Tawl próbował ich przekonać, niszcząc powoli ich wiarę w przywództwo Tyrena. Zaczął subtelnie.

Pytał, jaką rolę każdy z nich odegrał w podboju Halcusa, wspominał o niesławie, jaką okryło się rycerstwo i zwracał uwagę na rosnącą liczbę dezertków. Z początku go ignorowali, lecz z upływem dni prowokował ich coraz gwałtowniej. Dziś opowiedział im o tym, jak Tyren zmusił Bevlina do zapłacenia za usługi jednego z rycerzy, a tego nie mogli zbyć milczeniem.

- Daj im czas, Tawl - poradził Jack, gdy już się oddalili. - Nie zmienisz ich opinii tak szybko. Zbyt długo służyli Tyrenowi, by dali się przekonać w jeden dzień.

Błękitne oczy Tawla przybrały niezwykle ciemną barwę.

- Muszę próbować, Jack. Muszę sprawić, by ujrzeli prawdę.

W jego głosie brzmiała bolesna nuta, która zasmuciła chłopaka.

- Dlaczego uważasz, że to takie ważne? Nie potrzebujemy tych ludzi. Moglibyśmy uciec we trzech jeszcze dziś.

Tawl potrząsnął głową.

- Nie, Jack. Nie chcę zawieść ich zaufania. Traktują nas dobrze. Za dnia pozwalają jechać swobodnie, a na noc nie wiążą. To ludzie honoru... - zawahał się, spoglądając na dogasające ognisko  
- ...a ja byłem kiedyś jednym z nich.

O to właśnie chodziło. Tawl był jednym z nich. Rycerzem. Jack wędrował z nim od wielu miesięcy i wiedział, jak głęboko w jego jaźni wypaliły się kręgi.

- Gdybym tylko mógł sprawić, by uwierzyli w moje słowa - ciągnął Tawl, zwracając się raczej do siebie niż do Jacka. - Przekonać ich, że mają wybór.

- A właściwie jaki, Tawl?

Głos Jacka zabrzmiał ostrzej niż było to jego zamiarem.

Rycerz nie zwrócił na to uwagi. Uśmiechnął się z odrobiną smutku.

- Sam jeszcze nie jestem pewien - przyznał. - Wiem tylko, że nie powinni słuchać rozkazów Tyrena.

Spoglądając w oczy przyjaciela, Jack widział jego ból i dezorientację. Po chwili wstał.

Od świtu minęła już godzina i rycerze przygotowywali się do zwinięcia obozu. Zostawił

Tawlowi zadanie zgaszenia ogniska i podszedł do Andrisa, który był zajęty siodłaniem konia.

Ze wszystkich rycerzy w drużynie on właśnie okazywał im najwięcej sympatii. Tawl przybył

do Valdis rok przed nim i Jack odnosił wrażenie, że Andrisowi imponował niegdyś starszy towarzysz.

- Robi się coraz zimniej - zauważył, głaszcząc wierzchowca. - Wczoraj na wzgórzach w oddali widziałem śnieg.

- Pod koniec dnia do nich dotrzemy. - Andris pochylił się, by zapiąć popręg. Miał

długie, jasne włosy i piękne, północne rysy. Od lewego oka aż po szyję biegła długa, zygzakowata blizna. - Jutro o tej porze wszyscy będziemy sztywni z zimna.

- Śnieg i deszcz mogę wytrzymać. To od tego wietrzyska zęby mi dzwonią.

- Ehe, wiem wszystko o wietrze. Pochodzę ze wschodniego Halcusu. Mamy tam takie wichury, że człowiekowi wywiewa rozum z głowy.



- Wiem - odparł Jack. Andris zerknął na niego. - Wędrowałem przez północny Halcus w samym środku zimy - kontynuował. - Rozumu może i nie straciłem, ale warstwę skóry na pewno. Wiatr był silny jak demon.

- Pochodzisz z królestw?

- Tak. Z Harvellu. Ale byłem w Halcusie. Na wiosnę jest tam pięknie.

Mówiąc Jack wspominał chwilę, gdy oboje z Tarissą znaleźli staw otoczony łańcem żonkili. Miał wrażenie, że od tego czasu minęło całe życie.

- Co cię tam sprowadziło?

Andris przeszedł do czesania grzywy źrebicy. Jack zauważył, że brak mu czubka lewego palca wskazującego.

- Właściwie to nic. Uciekałem. Spotkałem w Halcusie ludzi, którzy byli gotowi udzielić mi schronienia. Dobrych ludzi. - Zacerpnął głęboko tchu. - I złych też.

Andris przerwał czesanie.

- Dlaczego przyszedłeś do mnie, Jack? Nie sądzę, żebyś akurat w tej chwili chciał sobie pogadać o Halcusie.

Jack szanował jego bezpośredniość. Pora przejść do rzeczy.

- Chciałem ci opowiedzieć o Tawlu.

- A co dokładnie?

- On nie wyrzekł się rycerstwa. Nie wyrzucił Valdis z serca. Do tej chwili spełnia zadanie zlecone mu przez Bevlina. Właśnie powróciliśmy z Larnu. Zniszczyliśmy świątynię.

Nie ma już kamieni ani przywiązanych do nich jasnowidzów. Nie będzie się tam więcej składać ludzkich istnień Bogu w ofierze.

Andris potrząsnął głową.

- Larn to tylko legenda. Nie ma takiego miejsca.

- Byłem na wyspie. Widziałem jasnowidzów na własne oczy. Moja matka tam się urodziła. - W głosie Jacka pobrzmiwał ponury ton. - Nie mów mi, że Larn nie istnieje.

Zapytaj Crayne'a albo Borlina. Na pewno coś o nim wiedzą.

Jack domyślał się, że dwaj najstarsi rycerze w drużynie słyszeli o Larnie. Ich ogorzałe, przeorane

głębokimi bruzdami twarze świadczyły, że wiele widzieli na własne oczy, a przy ogniskach o zmierzchu wysłuchali mnóstwa mrocznych opowieści.

Andris rozejrzał się po obozie. Ognisko zgasło, posłania zwinięto, a większość rycerzy dosiadła już koni. Ponownie spojrzął na Jacka.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Dlatego, że wiem, iż Tawl tego nie zrobi. Nigdy nie chwaliłby się swymi czynami.

Jest na to zbyt skromny. Byłeś z nim w Valdis, więc wiesz, że to prawda.

Andris dosiadł konia.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- To, że Tawl nie jest kłamcą ani mordercą, lecz najodważniejszym człowiekiem, jakiego poznałem. Rycerstwo jest częścią jego duszy. Towarzyszę mu od wielu miesięcy i przez cały ten czas nie pozwolił powiedzieć o Tyrenie złego słowa. Kochał go jak ojca.

Poznał prawdę dopiero przed dwunastoma dniami i czuje się zdradzony. Dręczy go straszliwy ból. Wiem, co przeżywa, i myślę, że ty również to wiesz. Tyren zdradził was wszystkich.

Minęła sekunda czy dwie. Andris wpatrywał się w Jacka. Jego szare, północne oczy miały taki sam kolor, jak niebo.

- Na południowym postoju pomówię z pozostałymi - rzucił, poganiając kopniakiem konia.

\*

Przez cały ranek posuwali się szybko. Było tak zimno, że błoto stwardniało, a wraz ze spadkiem temperatury osłabł też wiatr. Góry były już blisko. Drużyna znajdowała się na południowy zachód od ich spowitych mgłą szczytów.

Im dalej na północ się zapuszczali, tym bardziej podekscytowany był Jack. Z chwilą przybycia do Marlsu w jego brzuchu zaczął narastać delikatny nacisk, który z dnia na dzień nabierał mocy. Miał wrażenie, że coś ciągnie go do Brenu. Do Baralisa. Do Kylocka.

Wszystko wyglądało teraz inaczej. Znajomość tożsamości matki wzmocniła go, zupełnie jakby poznałszy jej prawdziwe imię, Aneska, zyskał również jej siłę. Stało się dla niego chroniącym przed złem amuletem. Bez względu na to, co wydarzy się w ciągu nadchodzących tygodni, nic już mu tego nie odbierze. Dowiedział się kim jest, skąd pochodzi i czego wymaga od niego los.

Pewnych rzeczy jednak nadal nie wiedział albo nie rozumiał: kim był jego ojciec, dlaczego musiał zniszczyć coś więcej niż tylko Larn, czy jaka była natura więzi łączącej jego matkę z prorocstwem Maroda. Potrafił jednak żyć bez odpowiedzi na te pytania. Przynajmniej na razie.

Obecny dzień, podobnie jak każdy następny nim dotrze do Brenu, poświęci na przygotowania do spotkania z Kylockiem. Król musi zginąć. Innego wyjścia nie było. Bez władcy północne imperium legnie w gruzach. Bez względu na cały swój spryt i szczególne umiejętności, Baralis nie zdoła go utrzymać, gdy zabraknie jego marionetki. Kylock miał

dziedziczne prawa do tronu królestw, a małżeństwo uczyniło go prawowitym władcą Brenu.

Jeśli padnie ofiarą zamachu, oba mocarstwa oddalą się od siebie niczym kawałki przeciętej cięciwy. Nie łączyła ich żadna naturalna więź ani wspólna historia. Jedyńm spoiwem ich związku był Kylock. Gdy zostanie zgładzony, Bren i królestwa znowu staną się odrębnymi państwami, a imperium rozpadnie się na części składowe.

Jack długo i intensywnie zastanawiał się nad tym, co zrobi, gdy wreszcie znajdzie się w Brenie. Nie musiał zabijać Baralisa ani wszczynać wojny. Wystarczy śmierć Kylocka.

A on, Jack z Czterech Królestw i Larnu, były piekarczyk i skryba, był jedynym człowiekiem, który mógł do niej doprowadzić. Łączyła go z Kylockiem więź i nadszedł już czas, by przeciąć tę nić.

Tawł miał własne zmartwienia: rycerstwo, Melli i prześladujące go tajemnicze duchy przeszłości. Jack pomoże mu w miarę swych możliwości, istniała jednak pewna granica -

punkt, po przekroczeniu którego liczyli się tylko on i Kylock - i zbliżając się do Brenu, docierali również do niej.

Popatrzył na przyjaciela. Rycerz jechał niedaleko od muła Kosiarza. Dostrzegł

spojrzenie chłopaka i zsalutował mu w milczeniu. Jack odwzajemnił pozdrowienie. Obaj wiedzieli, jak się mają rzeczy.

\*

Nadeszło południe, pochmurne i zimne. Wiatr był lekki, lecz przenikliwy. Crayne zdecydował, że zatrzymają się przy pochyłym brzegu leniwie płynącego strumienia.

- Przy takim mrozie nie ma sensu szukać osłony drzew - stwierdził szczerym, żołnierskim głosem.

Od rana mijali niewielkie gaiki, poprzedzielane trawiastymi wzgórzami i dolinami.

Gdzie tylko Jack spojrział, widział wodę: strumienie, stawy, wartkie potoczki. Niektóre z mniejszych sadzawek zaczynały już zamarzać i po ich powierzchni pływały kry. Więcej jednak było swobodnie płynących rzeczulek i powietrze wypełniały ich szum, plusk oraz szemranie.

Jack zauważył, że Andris podjechał do Crayne'a i obaj mężczyźni wymienili kilka słów. Potem Crayne wezwał gestem Borlina. Choć rozmawiający byli dość daleko, chłopak zauważył, że wargi Andrisa ukształtowały słowo „Larn”. Borlin skinął głową. Mężczyźni nie milkli. Podjechało do nich dwóch dalszych rycerzy.

Jack zbliżył się do swych towarzyszy.

- Co tu jest grane, Jack? - zapytał Tawl, zdejmując Kosiarza z muła. - Co powiedziałeś rano Andrisowi?

- Prawdę. Opowiedziałem mu, że zniszczyliśmy świątynię na Larnie.

- To ty ją zniszczyłeś, Jack. Nie ja.

- Nie. Zniszczyliśmy ją wspólnie.

Tawl nie odpowiedział.

- Otwieraj paszczę - rozkazał Kosiarzowi. Zajrzał kieszonkowcowi do gardła, pomacał

jego szyję, szukając powiększonych węzłów chłonnych, i dotknął dłonią czoła. Wyglądał na zadowolonego z wyniku tych oględzin. - Niedługo będziesz zdrowy.

- To dlaczego nie czuję się lepiej?

- Dlatego, że dziś rano nie dodałem ci do holku brandy - odparł z uśmiechem Tawl. -

Położ się teraz na chwilę. Weź mój drugi koc i przykryj się dobrze. Zaraz przyniosę ci coś ciepłego dojedzenia.

Kosiarz spojrzał na niego, po czym przeniósł wzrok na Jacka.

- Wiem, kiedy mnie nie chcą. Mogę być chory, ale nie jestem głupi. - Ruszył w stronę brzegu rzeczulki. - Pamiętaj, żebyś przyniósł mnóstwo sera.

- Jack, nie musisz toczyć za mnie mojej walki - powiedział Tawl, gdy tylko chłopiec się oddalił. - Potrafię sam sobie poradzić z tymi ludźmi.

- Wiem o tym, Tawl, ale nie mamy czasu. Jeśli nie zechcą nam pomóc, musimy uciec.

- Uważasz, że cię powstrzymuję.

Nie było to pytanie.

- Nie dlatego postanowiłem porozmawiać z Andrisem.

Tawl zdołał uśmiechnąć się półgębkiem. Uniósł dłoń i oparł ją na ramieniu towarzysza.

- Wiem.

Obaj mężczyźni skierowali wzrok na Andrisa. Zgromadzili się wokół niego wszyscy rycerze. Sądząc z czynionego przez nich hałasu, toczyła się tam ożywiona dyskusja.

Tawl postąpił krok w ich kierunku.

- Pójdę z nimi pomówić.

- Nie - powstrzymał go Jack. - Niech oni przyjdą do ciebie. - Wyciągnął rękę i wyjął z juków manierkę. - Chodźmy nabrać trochę wody.

Tawl ruszył za nim na brzeg strumienia. Kosiarz był niedaleko. Opatulony w gruby koc, wpatrywał się w rzeczulkę, szukając nartników.

- Skąd bierze się cała ta woda, Tawl? - zapytał, unosząc do światła mały kamyczek. -

Nie widziałem tyle wilgoci, odkąd opuściliśmy Marls.

- Spływa z Wododziału - wyjaśnił Tawl, zanurzając manierkę w strumieniu. -

Wszystkie te małe potoczki prędzej czy później wpadają do Silburu.

- Czy rzeka jest już blisko? - zainteresował się Jack. Wszyscy w Znanych Krainach słyszeli o potężnym Silburze.

Tawl wzruszył ramionami.

- Jakies piętnaście mil na zachód od nas. Płynie przez podgórze. Jej prąd jest tak potężny, że przebija się przez Wododział.

- Biegnie przez góry?

- Tak. Trzysta mil na południe od Valdis. - Tawl zamknął naczynie zatyczką. - Jutro powinniśmy przejeżdżać obok Ormonu. To najgłębsze jezioro w Znanych Krainach. Tam właśnie Viralay wpada do Silburu. To górską rzeką, która toczy swe wody na północ, aż wreszcie dociera do jeziora. - Głos Tawla przycichł nagle. Rycerz wbił wzrok w jakiś odległy punkt, leżący za strumieniem. - Podczas pierwszego roku pobytu w Valdis, kazano mi wyruszyć viralayskim szlakiem. Żeby zdobyć pierwszy krąg, musiałem dotrzeć do górskiej świątyni. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy po raz pierwszy w życiu ujrzałem wodospad.

- Wodospad?

- Wodospad Faldara. Viralay spada z gór prosto do Ormonu. To właśnie tam Valdis...

- Tawl umilkł całkowicie. Przykucnął przy brzegu i zaczął się kołysać, wspięty na palce.

Zerwał się gwałtownie.

Tętno w skroni Jacka zabiło mocno na znak ostrzeżenia.

- Co się stało w Faldarze? - krzyknął pod wpływem nagłego strachu. W oczach Tawla lśniło coś

groźnego i nienazwanego.

Rycerz ruszył w stronę obozu.

- Valdis obudził wiarę swych pierwszych uczniów.

\*

Kylock skierował wzrok na brzuch Melli.

- Jak długo jeszcze? - zapytał.

Był tak blisko, że dziewczyna czuła jego zapach. Z ust bił mu słaby odór siarki.

- Pięć tygodni - skłamała.

W rzeczywistości były to raczej trzy.

Kylock cmoknął cicho i odwrócił się do niej plecami. Zjawił się w jej komnacie przed zaledwie kilkoma minutami. Melli niemal ucieszyła się z jego przybycia. Pani Greal dziś nie przyszła i dziewczyna przekonała się, że brak jej codziennego słownego pojedynku.

Podeszła do Kylocka, spoglądając na jego nóż. Była zdecydowana dodać go do swej kolekcji, nim król sobie pójdzie.

- Czy pięć tygodni to dla ciebie za mało, panie?

Znowu rozległo się cmokanie. Kylock zwrócił się w jej stronę.

- Wszystkie kobiety to kłamczuchy i dziwki. - Złapał ją za gardło. - Tym razem powiesz mi prawdę. Kiedy urodzisz?

Melli poczuła kopnięcie dziecka. Próbowała zaczerpnąć tchu, lecz Kylock wbił kciuk w jej tchawicę. Choć już wielokrotnie była świadkiem nagłych zmian jego nastroju, zawsze budziły w niej strach. Wiedziała, że najlepiej byłoby próbować go uspokoić: błagać, przeproszać, wyznawać winę. Lubił, jak żałowała za grzechy. W tej chwili jednak myślała tylko o nożu, który dotykał jej boku.

Przesunęła prawą dłoń wzdłuż biodra króla i złapała za rękojeść. Zaciskając palce na skórzanej pochwie, uniosła lewą stopę i nadepnęła mocno Kylockowi na nogę. Odskoczył

nagle i Melli wyrwała nóż z pochwy.

Nim jednak zdążyła schować go za plecami, Kylock uderzył ją pięścią w twarz. Jej szczękę przeszył gwałtowny ból, a oczy zasły mgłą. Bez zastanowienia zamachnęła się nożem i cięła Kylocka w ramię. Ostrze przebiło płótno, wbijając się w ciało. Gdy z rany trysnęła krew, Melli pojęła, że popełniła straszliwy błąd.

Kylock spojrział na skaleczenie, a potem na nią. Rozciągnął wargi w bladym uśmiechu. Potrząsnął głową.

- Nie trzeba było tego robić, Melliandro.

Była przerażona. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko. Uniosła lewą rękę, by osłonić brzuch, a prawą, w której trzymała nóż, opuściła do boku.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, co robię.

- Och, myślę, że wiedziałaś. Bardzo dobrze wiedziałaś. - Rzucił się w stronę noża.

Melli uniosła go instynktownie. Ostrze wbiło się głęboko w dłoń Kylocka. Z rany trysnęła krew.

- Odejdź ode mnie! - krzyknęła.

Wykonał jej polecenie i bardzo powoli cofnął się.

Serce Melli waliło jak szalone. Nóż w jej dłoni drżał. Próbowwała się uspokoić. Miała broń i panowała nad sytuacją. Kylock zrobi to, co mu rozkaże. Potem spojrzała w jego oczy.

Były martwe jak kamień.

Wypuściła nóż z dłoni i objęła obiema rękami brzuch. „Nie, Borcu, nie” -

wypowiedziała bezgłośnie. Widziała już kiedyś podobne spojrzenie. Gdy Jack stawiał czoło ścigającym ich najemnikom, jego oczy wyglądały dokładnie tak samo.

Poczuła w ustach metaliczny smak. Jej policzek musnął ciepły powiew. Wszystko pociemniało. Potem kula twardego powietrza uderzyła ją w brzuch niczym metalowy pręt.

Cios zbił Melli z nóg. Uderzyła o ścianę komnaty. Coś w jej plecach trzasnęło. Walnęła głową o mur. Po jej udzie spłynęła jakaś ciepła substancja.

Osunęła się na podłogę. Komnata wokół niej zawirowała. Twarz stanęła jej w ogniu.

Spódnicę i nogi miała mokre. Kylock zatrzymał się nad nią z uśmiechem.

- To powinno oduczyć cię kłamstw.

Ledwie go słyszała. Prawie nie zauważyła, że sobie poszedł. Poczuła w brzuchu nagłe, bolesne skurcze. Jej duszą zawładnął straszliwy, zimny strach. Otoczyła brzuch ręką, w której zachowała władzę. Dziecko przesunęło się w dół niczym balast.

O nie. Błagam, NIE!

\*

Noc była wypełniona bólem. Melli krzyczała, cierpiąc. Wszystko było czerwone. To otwierała oczy, to je zamykała, lecz ciągle widziała jedynie czerwień.

Jej ciało nie należało już do niej. Dziecko uczyniło z niego swe narzędzie. Brzuch przeszywały gwałtowne, przyprawiające o mdłości skurcze, do szyi i twarzy uderzyła krew, a klatka piersiowa przerodziła się w wypełnioną wyłącznie bólem przestrzeń, zupełnie jakby płuca i serce przestały istnieć. Mięśnie brzucha rozciągnęły się niczym sznury. Ośrodek bólu znajdował się jednak niżej, między biodrami. Skóra, mięśnie i więzadła były tam bliskie zerwania. Czowała się tak, jakby zaraz miała pęknąć na dwoje.

Były też inne ogniska cierpienia - małe i rozsiane po całym ciele. Pulsujące ómienie w prawym ramieniu, drętwa nadgarstka, ból rozsadzający głowę w miejscu, którym uderzyła o mur, przeszywające klucie w plecach oraz swędzenie poparzonej, wystawionej na chłodne powietrze twarzy.

Z początku nikt nie przychodził. Była sama, krzyczała w podszytej czerwiecią ciemności. Potem zjawili się ludzie z pochodniami. Pod głowę podłożyli jej poduszkę, brzuch nakryli kocem, a do ust włali coś ciepłego. Usłyszała odgłos rozcinanej sukni. Podniosła wzrok. Postacie przypominały zgromadzone wokół grobu duchy. Były teraz trzy, a ta trzecia okazała się mściwym upiorem, który przegnał pozostałe.

Melli poczuła uderzenie w policzek.

- Weź się w garść, ty mała dziwko. - Postać wylała jej na twarz kubek zimnej wody. -

Dość już tych piekielnych wrzasków.

Przestała krzyczeć, zaczęła się jednak krztusić. Woda spłynęła jej do tchawicy.

Uniosła głowę z poduszki, by wykasłać ją z płuc. Jej plecy przeszył ból.

- Nie ruszaj się, moja panno. Nigdzie się nie wybierasz.

Melli wybuchnęła śmiechem. Ruszać się? Pani Greal była niepoprawną optymistką.

Jeśli nawet kobieta uderzyła ją jeszcze, kopnęła albo zlała wodą, Melli nic nie poczuła. Całym jej ciałem targnął potężny spazm. Wypełniona próżnią klatka piersiowa w każdej chwili mogła się zapaść. Wokół niej wirowały spirale bólu. Miała wrażenie, że jej brzuch rozszarpuje pies o ostrych kłach.

Źródło światła nad jej głową kołysało się na wszystkie strony. Szczerbate oblicze pani Greal lśniło w nim niczym widmo. Jej chude szpony wbijały się w brzuch Melli, dźgając ją, kłując i drapiąc.

- Przygryź to.

Wepchnęła jej do ust coś twardego, wielkości kciuka. Ostre jak igły krawędzie szorstkiego, drewnianego klocka raniły dziąsła Melli, która i tak przygryzła go z całej siły, wbijając w drewno



twarde, ociekające śliną zęby.

Nadszedł kolejny spazm, który wstrząsnął całą jej istotą, mięśniami, narządami wewnętrznymi i skórą. Poczuła smak krwi i zapach dziecka. Wychodziło już na świat.

Wzniosła modlitwę do Borca. Modliła się o szczęście swego ojca.

\*

- Co jej zrobiłeś? - Baralis z wysiłkiem zachowywał spokój. Przypomniawszy sobie, że zwraca się do swego króla. - Co się stało, panie?

Kylock rozsiadł się na wyściełanej ławie w swej komnacie. Twarz mu pobladła, a oczy lśniły nienaturalnie. Na stojącym w kącie krześle siedziała skulona ze strachu dziewczyna, odziana w lnianą koszulę nocną. Jasne włosy opadały jej na ramiona. Baralis zauważył, że ręce ma schowane za plecami.

Kylock dzierżył w dłoni wysadzany klejnotami puchar pełen wina.

- Nic, czym musiałbyś się martwić, Baralisie. Po prostu dałem lady Melliandrze nauczki.

Baralis zerknął na dziewczynę. Kylock natychmiast to zauważył.

- Nie niepokój się tak bardzo, mój drogi kanclerzu. Nasza mała przyjaciółka nic nikomu nie powie. - Uśmiechnął się do niej protekcjonalnie. - Nie po dzisiejszej nocy, co?

Baralis podszedł do stojącej pod ścianą skrzyni. Stały na niej dwie karafki z winem.

Wyjął z nich zatyczki i wciągnął opary w płuca.

- Sprawdzasz, czy nie ma trucizny, Baralisie?

- Tak, panie. Mam dobry nos do takich rzeczy - skłamał kanclerz. W rzeczywistości szukał śladów *ivysh*. Kylock zaczerpnął dziś mocy i Baralis musiał się dowiedzieć, jak udało mu się tego dokonać. Nozdrza wypełnił mu niemal niewyczuwalny odór siarki. W winie było *ivysh*. Kylock nadal pił skażony trunek, co oznaczało, że znowu udało mu się wyrwać spod wpływu narkotyku. To nie powinno się zdarzyć.

Ponownie zwrócił się w stronę króla.

- Jak się czujesz, panie? Nie jesteś słaby albo zmęczony?

Kylock uniósł brwi.

- Odkąd to zostałeś moim lekarzem, Baralisie? Niedługo każesz mi oddawać mocz do szklanki. - Wypił wino i walnął pucharem o blat. - Nigdy w życiu nie czułem się lepiej.

Królewski kanclerz wessał powietrze do płuc. Kylock zaczerpnął czary tak potężne, że wstrząsnęły całym północnym skrzydłem pałacu i nigdy w życiu nie czuł się lepiej? Powinien być fizycznie wyczerpany, bliski omdlenia, a mimo to siedział spokojny i opanowany, a do tego wezwał dziewczynę, która miała zaspokoić jego żądze.

- Czy wiesz, co dziś zrobiłeś?

- Ale niespodzianka, co? Rzeczoną damę wręcz zważyło z nóg. - Król wstał. - Wybacz, Baralisie. Muszę załatwić pewną sprawę z moją małą przyjaciółką.

Kanclerz pokłonił się Kylockowi. Pożegnał też lekkim pochyleniem głowy dziewczynę. Jej ładna twarzyczka nigdy już nie zobaczy dziennego światła.

Zamknawszy za sobą drzwi, skierował się do północnego skrzydła, pragnąc sprawdzić, jakie uszkodzenia spowodował Kylock. Po drodze zastanawiał się, czy powinien raz jeszcze zwiększyć dawkę *ivysh*. Ostatecznie król przyjmował już dozę trzykrotnie większą od normalnej, a mimo to odczuwał wpływ narkotyku coraz słabiej. Uodparniał się na niego.

Baralis potrząsnął głową. Najpierw noc poślubna, a teraz to.

Kylock wciąż stawał się silniejszy, a jedyną bronią, jaką dysponował przeciw niemu królewski kanclerz stępiło zbyt częste jej użycie.

Zwiększenie dawki *ivysh* mogło się okazać niebezpieczne. Większa ilość narkotyku mogła doprowadzić do uszkodzenia nerwów i mózgu. Baralis rozważał już metody, które miały doprowadzić do tego efektu - planował władać imperium za pośrednictwem króla o osłabionej woli i umyśle - chwila nie była jednak odpowiednia. Było na to zbyt wcześnie.

Potrzebny mu był silny Kylock. Jego geniusz, znajomość taktyki wojskowej i umiejętność zmuszania żołnierzy do maksymalnego wysiłku. Król musiał najpierw ustabilizować imperium. Należało jeszcze podbić Annis, Highwall, Camlee i Ness. Dopiero potem rozum Kylocka stanie się zbyt cenny.

Do tej pory moc króla trzeba będzie ograniczać. Pozostawienie go samemu sobie byłoby zbyt niebezpieczne. Był nierozsądny i nieprzewidywalny. Nie można liczyć na to, że zapanuje nad mocą, którą miał w sobie.

Niestety, konieczne było więcej *ivysh*. Nie widział innego wyjścia. Będzie po prostu musiał uważnie obserwować Kylocka.

Ruszył na górę, kierując się do komnaty Melliandry. Czekająca go długa, ciężka zima.

Dwaj strażnicy przepuścili go bez słowa. Twarze mieli pełne napięcia i cuchnęli *ale*.

Gdy wszedł do pomieszczenia, poczuł zalewające go fale zaczerpniętej mocy. Była silna, a do tego - w przeciwieństwie do nocy poślubnej, gdy w ogóle nie nadano jej kierunku - podjęto próbę jej skupienia. Kylock uczył się nowych sztuczek.

Ale jeszcze ich nie opanował. W przeciwnym razie Melliandra już by nie żyła. Ocalała jednak. Leżała na kamiennej podłodze z głową wspartą na poduszkach, nogami szeroko rozrzuconymi i kawałkiem drewna między zębami. Wydawała na świat jedyne dziedzica diuka. Twarz miała poparzoną, a prawa ręka wyglądała na złamaną, lecz, zważywszy wszystko razem, nie ucierpiała zbyt poważnie.

Baralis odwrócił się. Zobaczył już wystarczająco wiele. Nie miał ochoty oglądać porodu. Podobne sprawy budziły w nim niesmak. Kiwnięciem palca wezwał do siebie panią Greal. Zastanawiał się chwilę nad tym, czy nie wykorzystać noworodka do własnych celów, lecz wspomnienie sześciu mężczyzn o rękach zwęglonych aż po łokcie wyleczyło go z tego pragnienia. Zbyt wysoko cenił swe ciało, by narażać się na jego utratę dla jednej wspaniałej eksplozji mocy.

- Gdy tylko dziecko się urodzi, zabierz je stąd i uduś. Nie zapomnij pozbyć się ciała.

Kobieta nawet nie mrugnęła.

- A dziewczyna?

- Zostaw ją. Bez dziecka nic nie znaczy. - Ruszył ku drzwiom. - Niech król robi sobie z nią, co tylko zechce.

\*

Była północ, lecz odbijające się od śniegu światło księżyca wystarczało, by mogli znaleźć drogę w mroku. Większość ludzi wędrowała na piechotę, ścieżka była więc łatwa do przebycia. Przy życiu pozostało tylko tuzin koni. W jaskini brakowało dla nich miejsca i padały po kolei. Połowa jego ludzi również zmarła. Zostało zaledwie stu.

Maybor jechał na jednym z ostatnich ocalałych wierzchowców. Opatulił się grubo, a noc - choć zimna - była cieplejsza od większości poprzednich. Wiedział, że jest z nim kiepsko. Z powodu odmrożeń stracił wszystkie palce nóg i lewą dłoń. Dręczyła go płucna gorączka. Całe życie sprzyjało mu szczęście, dziś jednak, po wschodniej stronie Wododziału, gdy dał wiatr z południa, a niebo razilo ich mrozem, odniósł wrażenie, że nagle go opuściło.

Dygotał gwałtownie, dzwonił zębami i kulił się z zimna.

- Jazda, chłopaki, idziemy - zawołał, po to tylko, by usłyszeć własny głos: Pogonił

kopniakiem konia, pragnąc zostawić za sobą wszystkie obawy.

Nie zostało im wiele czasu. Jeśli nadejdzie silniejszy mróz lub gwałtowna nawałnica, w jednej chwili diabli wezmą ich wszystkich. Dlatego podążali w dół, dopóki jeszcze było to możliwe.

Nie zmierzali na północ, w stronę Brenu. Kylock kazał patrolować północne podgórze i gdyby się tam pojawili, natychmiast wystrzelaliby ich łucznicy. Szli do Camlee.

Wędrowali dniem i nocą na południowy wschód, posuwając się wzdłuż Wododziału.

Zbliżali się stopniowo do ciągnących się na północ od Camlee wzgórz. Panujące w górach warunki na ogół im sprzyjały. Było zimno, lecz pogodnie, prószył lekki śnieżek, a gdy skręcili na południe, północne wiatry dmuchały im w plecy. Śnieg pod ich stopami był twardy i zmarznięty, a w miarę jak zjeżdżali w dół, było go coraz mniej. Wszyscy byli teraz ciepło odziani. Na plecach mieli płaszcze zmarłych, a na nogach ich buty. Nikt już nie straci kończyny z powodu odmrożenia.

Maybor nabrał szacunku dla spokojnych, zdeterminowanych ludzi z Highwall. Razem z nimi śpiewał żałobne pieśni i wysłuchiwał przy ognisku ich opowieści o wojnie. Byli dumni i gorzko żalowali tego, że nie polegli u boku swego wodza. Maybor myślał, że są bardzo młodzi i naiwni, pokochał ich jednak. Byli to teraz jego chłopcy. Nie pozwoli, by ucieczka przed wojskami Kylocka poszła na marne. Był stary i żył już długo, oni jednak byli młodzi i czekało ich jeszcze wiele bitew. Sprowadzi ich z gór i doprowadzi bezpiecznie na terytorium Camlee. Później będą mogli szukać chwały na własną rękę.

Maybor mijał właśnie zakręt ścieżki. Nie, nie czuł się już szczęściarzem. Będzie musiał uratować tych stu żołnierzy dzięki samej odwadze.

W kryjówce było ciepło. Ciepło, cicho i ciemno. Gruba warstwa koców osłaniała ją przed światłem, dźwiękiem i powietrzem. Była tu bezpieczna. Kryjówka otaczała ją niby trumna i na podobieństwo trumny zapewniała jej spokój. Nie chciała wstawać, nie chciała już nigdy się zbudzić. Sen był jej mroczną kryjówką i instynkt tak potężny, że przenikał do marzeń sennych, mówił jej, że powinna w niej pozostać.

Przebudzenie oznaczałoby śmierć jej duszy.

Mogła ją ocalić jedynie śniąc. Dopóki przebywa w kryjówce, nikt jej niczego nie odbierze. Stawało się to jednak coraz trudniejsze. Do jej świadomości docierały powoli drobne niewygody. Kryjówka pokazywała rogi. Dziewczynę bolała ręka, głowa i plecy. W

gardle zupełnie jej zaschło. Między nogami miała bolesną miękkość, a brzuch wydawał się dziwnie pusty. Próbowwała zakopać się głębiej, spoglądać w dół, zamiast do góry, lecz ściany kryjówki zaczęły zamykać się wokół niej, a podłoga uniosła się i wyrzuciła ją na zewnątrz.

Rozchyliła powieki. Komnatę przeszywały jasne snopy słonecznego blasku. Melli zamrugnęła, próbując coś dostrzec w otaczających ją cieniach i kształtach, nakazując sobie skupienie. Wpatrzyła się w sufit: łukowaty kamień, drewniane belki, wilgotne plamy w miejscach, gdzie do środka przedostała się woda. Ten sam instynkt, który ostrzegał

dziewczynę przed obudzeniem, mówił jej teraz, że nie powinna opuszczać wzroku. Jej oczy były jednak szybsze od mózgu. Spojrzała na posadzkę.

Leżała w kałuży zakrzepłej krwi. Jej suknię, nogi i otaczający ją fragment podłogi pokrywały lepkie, ciemne jak wino plamy. Zdawała sobie sprawę z dziwnej lekkości w głowie, która wypełniała jej myśli delikatnym falowaniem. Wszelki ból zniknął jak zaczarowany. Została tylko maleńka, ciemna plamka, która - gdy tylko Melli zerknęła na brzuch - przerodziła się w zatykającą jej gardło grudę ołowiu.

Był wklęsły i zapadnięty. Połyskliwa wypukłość zniknęła.

Ciałem Melli targnęły nagłe konwulsje. Jej plecy wygięły się w łuk, a pierś i usta zaczęły się poruszać w napadzie suchego łkania. Raz za razem otwierała i zamykała usta, lecz wydobywał się z nich tylko cichy, zdławiony dźwięk. Była pusta. Pusta. Dziecko zniknęło.

Wydobyli je z jej ciała i zabrali.

\*

- Chyba nie chcesz naprawdę tego zrobić, Tawl? - zapytał Jack. - Zabije cię sama temperatura wody.

Przyjaciel popatrzył na niego. W jego oczach lśniło coś, co Jack nauczył się rozpoznawać jako upór.

- Jest już za późno, by się cofnąć.

Szli krętą, górską ścieżyną. Konie podążały za nimi. Ich drogę znaczyły skały, kępki suchej trawy i cierniste krzewy o pożółkłych liściach. Ormon leżał pod nimi. Jego głębokie, zielone wody lśniły niczym klejnot. Niebo było jasne i bezchmurne, a słońce skłaniało się ku zachodowi. Wędrowali wokół jeziora już od czterech godzin. Poprzednie cztery spędzili na jeździe brzegiem Silburu. Do zmierzchu zostały najwyżej dwie godziny.

Na czele podążał Crayne, na końcu zaś Kosiarz i Borlin. Zmierzali do małej, górskiej wioski, w której mieszkali pasterze owiec. Leżała w tej samej dolinie, co Faldara. Tawl zamierzał skoczyć do Viralayu, sforsować wodospad i dopłynąć do jeziora.

- To właśnie uczynił Valdis, żeby wieśniacy mu uwierzyli - wyjaśnił. - W ciągu stuleci garstka innych podążyła za jego przykładem. Pragnęli dowieść, że mają odwagę bądź wiarę.

Albo i jedno i drugie.

Jack był przekonany, że to szaleństwo. Jak każde dziecko, słyszał opowieść o tym, jak Borc zamroził wodospad, nigdy jednak nie uważał jej za prawdziwą. Nie potrafił też uwierzyć, że jada teraz do tego samego wodospadu.

- Musi istnieć łatwiejszy sposób na to, by ich przekonać - mówił, ocierając pot z czoła, mimo iż było zimno. Pięli się stromo pod górę. - Nie przypuszczam, żeby nieboszczyk mógł obudzić ich wiarę.

Tawl wzruszył ramionami.

- Rycerze szanują ten wodospad. Gdybym się teraz wycofał, powiedzieliby, że jestem niedowiarkiem.

- Co ci strzeliło do głowy? Nikt cię do tego nie zmuszał.

- Słyszałeś, co mówili, Jack. Nie wierzą w moje słowa. Nadal uważają mnie za mordercę i kłamcę. Człowieka, który złamał przysięgę.

- Zaczęli już nas słuchać. Andris i młodszy rycerze są po naszej stronie.

Tawl potrząsnął głową, nim jeszcze Jack skończył mówić.

- Crayne, Borlin i pozostali nigdy by mnie nie wysłuchali. Rozumieją, co to znaczy odwaga, siła i wiara. Słowa nic ich nie obchodzą. Osądzają człowieka tylko po czynach.

- Dokonałeś już wielu czynów - sprzeciwił się Jack. Poirytowany uporem Tawla, zaczął tracić cierpliwość. - Nie musisz im niczego udowadniać. Niczego.

- Nic nie rozumiesz, Jack. Nie jesteś rycerzem. Nie nosisz kręków. Nie wiesz, jak to jest, gdy

poświęci się całe życie jednej sprawie po to tylko, by się przekonać, że w samym jej sercu kryje się zepsucie.

- Rozumiem, co znaczy zemsta.

Tawl spojrzął na przyjaciela. Przebiegł palcami po włosach. Gdy przemówił, z jego głosu zniknęło wszelkie napięcie.

- Nie będę cię okłamywać, Jack. Chodzi mi również o zemstę. Jestem tylko człowiekiem. Ból nie jest mi obcy. Czuję się zdradzony, a przede wszystkim zagubiony.

- A co z Melli? - zapytał chłopak, rozpaczliwie szukając czegoś, co przekonałoby rycerza. - Jak zagubiona ona się poczuje, jeśli zginiesz?

Tawl zamknął oczy. Gdy po chwili je otworzył, widniał w nich niezmierny blask, a zarazem ciemność. Z jego ust wydobył się cichy dźwięk, przypominający skowyt rannego zwierzęcia. Słyszając go, Jack pożałował, że zadał to pytanie. Mijały sekundy. Twarz Tawla skryła się w cieniu mijanej sosny. Ścisnął wodze wierzchowca tak mocno, że dłoń mu zbieleła.

- Jeśli nie wyjdę z wodospadu żywy, musisz zająć moje miejsce, Jack - szepnął tak cicho, że młodzieniec musiał wyęczać słuch, by go usłyszeć. - Bronić Melli w moim imieniu.

Trzeba ją ocalić.

Jack skinął krótko głową. Popatrzył chwilę Tawlowi w oczy, po czym zawstydzony odwrócił wzrok. W błękitnych oczach rycerza lśnił narastający przez całe życie ból.

- Przepraszam cię, Tawl. Nie powinienem wspominać o Melli.

Przyjaciel wyraźnie go nie słuchał. Poprawił uzdę swego wierzchowca i pogłaskał go po grzywie. Po chwili poklepał go delikatnie.

- Melli jest dla mnie wszystkim, Jack - powiedział. - Ale odkąd opuściliśmy Marls, nie opuszcza mnie wrażenie, że uratowanie jej nie wystarczy. Muszę stać się jej godny. Nie mogę wrócić do niej z całym bagażem swych błędów, licząc na to, że i tak mnie pokocha. Ona zasługuje na coś więcej. - Poruszył lekko dłonią w geście wyrażającym bezradność. - Jeśli nie skoczę do wodospadu, będzie to znaczyło, że zawiodłem nie tylko siebie, lecz również ją.

Jack wiedział, że to prawda. Wodospad był dla Tawla osobistą próbą. Tawlowi nie chodziło tylko o to, by przekonać rycerza. Chciał dowieść własnej wartości.

- Co się stanie, jeśli ci się uda?

Tawl wzruszył ramionami.

- Właściwie nie wiem. Nie mam żadnego planu. Wiem tylko, że pragnę, by rycerstwo odzyskało coś, co utraciło. I może ja również - dodał po chwili wahania. - Odkąd rycerstwo uległo zepsuciu, nie ma

już żadnego wzorca - ciągnął pospiesznie, jakby zawstydziło go własne wyznanie. - Nie ma ideału. Zostali tylko zwykli ludzie, kupcy i najemnicy. Ongiś jeśli ktoś mówił, że jest rycerzem, to coś to znaczyło. Obcy ludzie mu ufali, a staruszki wpuszczały do domów. Ludzie nigdy nie bali się prosić rycerzy o pomoc. Teraz na północy rycerz oznacza najemnika, a na południu zbiega. - Umilkł na chwilę, wpatrując się w jezioro. - Chcę, żeby ten ideał powrócił. Potrzebują tego ci rycerze, którzy zdezerterowali, i ci, którzy dopiero myślą o dezercji. Ci, którzy są teraz z nami, a także ja sam.

Jack nigdy dotąd nie słyszał z ust Tawla tak długiej i namiętnej przemowy. Zaczynał

pojmować, jak głęboko sięgają uczucia przyjaciela. Żeby powstrzymać go przed skokiem do wodospadu, trzeba by podać mu środek nasenny, a potem związać go. Niektóre uczynki były obłudem - na przykład udzielenie pomocy złotowłosemu nieznanemu w ucieczce przed żołnierzami, atak na larnęską świątynię z zapasem kamieni pod bluzą, czy wypłynięcie szalupą na wzburzone morze - ale może to właśnie ten element szaleństwa pozwolił im zejść tak daleko.

Cały czas kierowała nimi wiara: wiara w prorocstwo Maroda, w siebie nawzajem i w to, że osiągnięcie celu jest możliwe. Jack odciągnął konia od kępy trawy, kierując się w górę ścieżki. Czy naprawdę mógł mieć pretensję do Tawla o ten jeden skok?

\*

Mężczyźni ustawili się przy brzegu w półokrąg. Milczeli, twarze mieli poważne, wydobyli broń z pochew i obnażyli ramiona, żeby odsłonić kręgi.

Tawl popatrzył po kolei w oczy każdemu z nich, chcąc nawiązać z nimi kontakt.

Wszyscy spoglądali na niego z posępnym szacunkiem. Wodospad był dla rycerza ostateczną próbą. Nie próbą wyszkolenia, czy umiejętności, ale odwagi i serca. Jeśli ktoś wierzył w coś wystarczająco mocno, żeby próbować spłynąć wodospadem do jeziora, mógł być dobrym albo złym człowiekiem, z pewnością jednak miał silne przekonania.

Tego właśnie chciał dokonać Tawl: dowieść tym rycerzom, że w siebie wierzy.

Postąpił krok w stronę brzegu. Jack uniósł rękę, Tawl nie wiedział, czy na znak pożegnania, czy ostrzeżenia. Widząc go z oddali, rycerz zdał sobie sprawę, jak bardzo zmienił

się jego przyjaciel. Był teraz znacznie starszy.

Kosiarz wbił wzrok w ziemię. Ciemnobrązowe włosy opadały mu na oczy, plecy się przygarbiły, a mocno zaciśnięte w pięści dłonie zwisały u boków. Nie podobało mu się to w najmniejszym stopniu. Tawl pragnął coś powiedzieć, uspokoić go, lecz u wodospadu nie było miejsca na fałszywe obietnice. Jack otoczył kieszonkowca ramieniem. To będzie musiało wystarczyć.

Tawl zwrócił się w stronę rzeki. Viralay należał do gór. Przepływał przez doliny, rozpadliny i kotliny. Wzbierał podczas wiosennej odwilży, lecz w samym środku zimy stan rzeki był niski. W tej chwili nie przekraczał dwóch trzecich normalnego poziomu. Zimna woda aż do zakrętu tuż przed wodospadem płynęła powoli. Tawl spojrział w tamtą stronę.



Nurt biegł prosto w stronę ostrej wyniosłości skalnej, która zmieniała trasę rzeki, kierując ją w cień urwisk, zasłaniających wodospady przed wzrokiem tych, którzy stali na brzegu.

Nikt nie zobaczy, jak spada w dół. Będą czekali, aż zniknie im z oczu, a potem ruszą ścieżką do jeziora. Gdy zniknie za zakrętem, zostanie sam. Drużyna potrzebowała niemal godziny, by wspiąć się na górę. Zejście na dół zajmie im co najmniej trzydzieści minut. Nim się tam znajdą, będzie już zbawiony albo potępiony.

Zdjął skórzaną kurtkę i ciężkie buty. Odpiął miecz i położył go na ziemi. Sięgnął po nóż. Jego również chciał odłożyć, powstrzymał się jednak i wsunął go z powrotem do pochwy.

Nie oglądał się na rycerzy. Patrzył tylko na wodę. Ze słowami: *Es nil hesrl* na wargach, skoczył do rzeki.

Natychmiast ogarnął go wywołany zimnem szok. Woda była tylko o kilka stopni cieplejsza od punktu zamarzania. Za kilka minut jego ciało zdrętwieje. Czuł, że koszulę i portki przesycą mu wilgoć, która dociera do skóry.

Prąd porwał go, uniósł jego ciało od brzegu, wciągając tułów pod powierzchnię. Woda zalała z chlupotem jego twarz. Tawł uniósł wzrok ku brzegowi. Postacie rycerzy migotały, otoczone zieloną, zamazującą ich kształty mgiełką. Wyglądali jak czarownice, zgromadzone na sabat. Zimno było nie do zniesienia. Zamknął oczy. Przez powieki przesączało się światło o ciemnozielonej barwie mchu. Wystawił głowę z wody i zaczerpnął haust powietrza. Nim jeszcze skończył, prąd porwał go dalej.

Czuł, że spływa coraz szybciej w dół. Z początku zwawo poruszał kończynami, próbując opierać się nurtowi, utrzymać na powierzchni, sterować własnym ciałem. Było jednak za zimno. Zamarzał. Zaczął drżeć. Instynktownie pragnął zwinąć się w kłębek, by ogrzać ciało. Zwalczył pragnienie szukania ciepła, kopiąc gwałtownie stopami i wyciągając ramiona.

Gdy minął zakręt, drzenie przeszło w dygotanie. Nurt był teraz silny. Otaczał mu pas lodowatą obręczą. Chciał go wciągnąć pod powierzchnię. Tawł napiął mięśnie barków, gwałtownie prując ramionami wodę. Wynurzył twarz. Ciepłe powietrze dotknęło jego czoła, wypełniło płuca swym żarem. Zaczerpnął dwa potężne oddechy, po czym prąd porwał

go raz jeszcze. Gdy znalazł się pod wodą, odważył się otworzyć oczy. Wszystko nad nim i pod nim było zielone - błyski światła na powierzchni i kawałki roślin kotłujące się na dole.

Wtem jego ciało zawirowało gwałtownie. Uderzył gołenią o coś twardego. Przywitał

ból z radością. Jego umysł popadał już w odrętwienie i przyda mu się wszystko, co pomoże walczyć z paraliżującym zimnem. W bliskiej zamarznięcia wodzie największym niebezpieczeństwem była utrata przytomności. Musiał jej uniknąć.

Koniec był już blisko. Rozmaite wiry jednoczyły się, łączyły w przepotężny nurt wodospadu. Tawł miał wrażenie, że wsysa on jego ciało. Czując nadchodzącą panikę, otworzył oczy, by zorientować

się w położeniu. Zielone błyski na powierzchni rozciągnęły się w linie. Płynął szybko. Zobaczył przed sobą krawędź. Woda kończyła się nagle, ustępując miejsca zielonoszarem niebu.

Musiał zaczerpnąć tchu. Jego ręce poruszały się zbyt wolno. Nie miał czucia w palcach. Wyciągnął maksymalnie szyję, przesuując łokcie do tyłu. Uniósł ciało, przebijając się przez gęstą od soli mineralnych pianę na powierzchnię. Zaczerpnął głęboki marynarski oddech, rozciągając boleśnie płuca. Wessał do nich trochę wody, która przemknęła mu wzdłuż języka, pozostawiając na nim smak miedzi i goździków.

W zieleni pojawiło się teraz mnóstwo bieli. Rozpryskująca się o skały woda tworzyła szaloną kipieli. Prąd w głębi pozostał jednak niewzruszony. Piana była tylko skrywającą go powłoką.

Tawł przestał poruszać kończynami. Nie chciał marnować sił. Ten ostatni oddech pozwoli mu pokonać wodospad.

Nurt wciągnął go całkowicie pod wodę, obrócił na plecy i porwał stopami naprzód.

Opuściła go panika. Pozostał tylko spokój. Liczył się jedynie wodospad. Melli przeżyje bez niego, rycerstwo da sobie radę, Jack sam dotrze do Kylocka, a ten, kto w końcu zwycięży, przekona się, że jego triumf jest ulotny.

Uszy wypełnił mu gwałtowny szum. Wodospad był wszechpotężny. Jego ciało mknęło naprzód, poniewierane przez prąd. Od nieba dzielił go szalony strumień. Po krótkim, szarozielonym rozbłysku świat odwrócił się do góry nogami.

Tawł runął w dół. Rzeczywistość umknęła spod jego nóg. Prąd zniknął, zastąpiony hukami wody i bezlitosnym przyciąganiem ziemi. Wichry targały jego ciałem, szarpiąc podeszwy stóp. Wiatr dął w górę, lecz woda niosła spadającego w przeciwnym kierunku.

Światło było piękne, promienne, obfitujące w najróżniejsze odcienie zieleni. Kropelki wody połyskiwały olśniewająco wokół Tawła.

Było mu zimno. Bardzo zimno.

A potem uderzył o taflę wody.

Całym jego ciałem targnął wstrząs towarzyszący upadkowi do jeziora. Nadgarstki odgięły się gwałtownie, a zęby stuknęły o siebie. Pomknął w dół niczym włócznia. Impet wodospadu wgniał go pod powierzchnię.

Zieleń stała się gęstsza, cięższa. Zimniejsza. Światło przygasło. Nie przestawał spadać, zostawiając wszystko za sobą.

Woda ciążyła mu na ramionach niby gruby płaszcz. Chłód był sprowadzającym senność narkotykiem. Rycerz zanurzał się coraz głębiej, ulegał lodowatej ciemności, zostawiając za sobą wszystkie myśli, marzenia i przysięgi. W jego płucach nie było już miejsca dla powietrza, a serce zubożało na

przyszłość.

Gdy jednak mknął w głębie Ormonu, wspomnienia pędziły przed nim, oświetlając drogę niczym pochodnie. Były tam Sara i Anna, które otwierały ramiona, by go przywitać, a z włosów sterczały im ulistnione witki. Matka przemknęła obok niego. Nie była już w ciąży.

Młoda i piękna, uśmiechała się tylko do niego. Ujrzał też Bevlina. Mędrzec miał twarz usianą zmarszczkami wywołanymi przez wiek i działanie wody. Ich powitanie było rytuałem przejścia. Wreszcie pozwolono mu wrócić do chaty na bagnach.

Piers wypełniła mu radość. Całe życie pragnął wyłącznie tego.

Gdy w końcu dotarł do Sary, jego spojrzenie przyciągnął ciemnozielony cień, tylko o dwa stopnie jaśniejszy od czerni. Unosił się nad jego rodziną na podobieństwo uzbrojonego człowieka, gotowego zadać cios. Tawł krzyknął głośno, chcąc ostrzec bliskich, lecz jego głos zagłuszył szum wody. Ciemny kształt odsłonił trupie zęby i bliscy Tawła umknęli niczym pierzchające przed blaskiem świtu duchy. Stwór uniósł przypominającą rękę kończynę. Nim jeszcze rycerz zdążył skupić spojrzenie, wiedział, że dostrzeże na jego ciele piętno Valdis.

Trzy kręgi. To one były początkiem i końcem wszystkiego.

Przyjrzał się cieniowi uważniej. Po plecach przemknęło mu drzenie rozpoznania. To nie był przypadkowy potwór, który wyłonił się z głębin, lecz jego osobisty demon.

Przyniósł go tu ze sobą.

I będzie mu towarzyszył aż do końca.

Chyba że...

Zaczął wierzgać gwałtownie nogami, mącąc wodę samą siłą woli. Uniósł dłonie nad głowę, wyciągając palce ku niebu i świetlistemu światu. Jego życie nie było bynajmniej skończone. Przebijając się ku powierzchni, wiedział już, co musi zrobić.

\*

Tavalisk jadł bratki. Fioletowe.

Jego kucharz twierdził, że kwiaty dobrze wpływają na trawienie i czkawkę, a także stanowią znakomitą ozdobę talerza. Wyżej wymienione bratki miały spełniać to ostatnie zadanie, lecz biorąc pod uwagę nieapetyczny charakter głównego dania, którym były węgorze zapiekane w świńskich wnętrznościach, arcybiskup awansował je do rangi potrawy. Nie był

właściwie pewien, czy mu smakują - strukturą przypominały mokry aksamit, a smakiem tanie perfumy - były jednak zdecydowanie lepsze od węgorzy.

Zastanawiał się właśnie, czy nie polecić kucharzowi, żeby usmażył mu trochę tych kwiatów, gdy do

komnaty wpadł Gamil. Poczucie winy malowało się ostatnio na jego twarzy tak często, że przypominała ona pośmiertną maskę, zastygłą w wyrazie przerażenia.

- Wyglądasz dziś wyjątkowo dobrze, Gamilu. Te zaszklone oczy dodają ci uroku. -

Arcybiskup wstał z krzesła. - Zechciałbyś spróbować bratka?

- Siły Kylocka maszerują na Camlee, Wasza Eminencjo.

Bratek sfrunął na podłogę. Arcybiskup złapał się blatu. Serce załomotało mu niczym grad uderzający o okiennice.

- Nie na Ness?

Gamil potrząsnął głową.

- Zawrócili w pobliżu jeziora Herry.

Tavalisk zamknął oczy. Ależ oczywiście. Dlaczego nie wpadł na to przedtem? Znał

Baralisa i nauczył się już, że nie wolno nie doceniać Kylocka, dlaczego więc nie przewidział tego manewru? Nie wiedząc, czy nogi utrzymają dłużej jego ciężar, klapnął ciężko na krzesło.

Liczne zwały tłuszczu poruszały się wokół niego niczym pszczoły-robotnice. Po raz pierwszy od wielu lat naprawdę się bał. Wydarzenia wymknęły się spod kontroli. Północne imperium nie było już odległą perspektywą. Dotarło pod jego drzwi, próbując wedrzeć się do środka.

Camlee. Brama południa. Kylock na nowo nakreślił granice i w przyszłości może uczynić to ponownie.

Arcybiskup rozpostarł na blacie serdelkowate paluchy.

- Kiedy dotrą na miejsce?

- Wiadomość przyszła z opóźnieniem, Wasza Eminencjo. Niewykluczone, że już za tydzień.

- A ilu żołnierzy wysłano?

- Ostrożne szacunki mówią o sześciu tysiącach, Wasza Eminencjo, lecz naoczni świadkowie zeznają, że jest ich prawie dziewięć. Wszystkie leżące na trasie przemarszu wojsk wioski splądrowano, a potem spalono. Ta armia przypomina rój szarańczy. Po jej przejściu zostaje tylko zniszczenie.

Z ust tłściocha wyrwał się cichy charkot.

- Czy Kylock dowodzi nimi osobiście?

- Nie. Dowódcą jest Kedrac, pierworodny syn Maybora. To on poprowadził wojska do zwycięstwa

w Halcusie. Walczy w imieniu Kylocka.

- A co z Tyrenem i jego kohortami napiętnowanych? Czy wyruszyły razem z nimi, żeby wbić sąsiadom nóż w bok?

- Armii towarzyszy batalion rycerzy, Wasza Eminencjo, lecz sam Tyren nadal przebywa w Brenie. Odkąd rozbito wojska Highwall, obozuje pod miastem. Obecnie prowadzi negocjacje z Kylockiem.

- O ile znam Tyrena, zechce zgarnąć pierwsze łupy. Otrzymał je w Helchu i zapewne pragnie wytargować to samo w Highwall. - Arcybiskup kreślił palcem kręgi na biurku, zostawiając na blacie ślady potu. Starł je jednak natychmiast. - Jest tylko małym, chciwym pionkiem. Baralis i Kylock posługują się nim, jak butami, które noszą.

- Pierwsze łupy z Highwall to będzie spora sumka, Wasza Eminencjo. Tyren jest raczej hetmanem niż pionkiem.

- Hetmani! Pionki! Daruj sobie te szachowe metafory, Gamilu. Jesteś sługą, nie wędrownym minstrelem. - Tavalisk zabębnił palcami po blacie. Zaczynał popadać w histerię.

- Potrzebne mi fakty. Fakty. Czy wysłane przez nas zapasy dotarły już do Camlee? Czy miasto jest dobrze uzbrojone? Jak długo zdoła się utrzymać?

- Część zaopatrzenia dotarła już na miejsce, Wasza Eminencjo. Żywność, broń i tak dalej. Niestety, nie wysłaliśmy wojska. Nikt się nie spodziewał, że atak nastąpi tak szybko. -

Gamil dotknął guzików bluzy. - Jeśli zaś chodzi o samo miasto, zaskoczenie będzie niemal całkowite. Nie mieli czasu się przygotować, mury są w kiepskim stanie, a armia składa się prawie wyłącznie z żołnierzy z poboru. Uważam, że nie utrzymają się dłużej niż miesiąc.

Tavalisk osunął się bezwładnie. Kylockowi znowu się uda. Ukradnie im Camlee sprzed nosa. Nie było sposobu, by go powstrzymać. Południe udzieli zaatakowanemu miastu wsparcia w postaci najemników i zaopatrzenia, nie zaryzykuje jednak wysłania własnych armii. Południowe miasta słynęły z egoizmu. Będą wolały poczekać, by uratować własną skórę, zamiast połączyć swe siły i ocalić wszystkich. Poza tym, sytuacja Camlee była szczególna. Południowcy uważali je za część północy, podczas gdy ludzie z północy przysięgali, że leży na południu.

Kylock dobrze wybrał czas i cel ataku.

Tavalisk liczył na to, że odstraszy go demonstracja południowej solidarności, teraz jednak zrozumiał, iż nowy król zorientował się, że były to jedynie puste gesty. Solidarność to jedno, a siła to coś całkiem innego.

Sam miał związane ręce. Szacowni mieszkańcy Rornu darzyli go obecnie miłością, lecz gdyby tylko napomknął, że zamierza wplątać miasto w kosztowną, zagraniczną wojnę, wykopano by go z urzędu, nim zdążyłby wypowiedzieć słowa: „Potem może przyjdzie kolej na nas”. Inni południowi przywódcy byli w identycznej sytuacji.

Gamil kaszlnął uprzejmie.

- Jakich instrukcji udzieli mi Wasza Eminencja?

Instrukcji? Umysł Tavaliska wypełniła niezwykła w jego przypadku próżnia. Nie wiedział, co ma rzec. Był arcybiskupem Rornu od siedemnastu lat i przez cały ten czas ani razu nie cierpiał na brak pomysłów. Intrygi przychodziły mu z taką samą łatwością, jak innym oddychanie. Zawsze miał na podorędziu jakiś plan, fortel, mały, sprytny blef. Teraz jednak nie przychodziło mu na myśl nic, co powstrzymałoby Kylocka przed zagarnięciem Camlee.

Choć był wybranym, nie wiedział, co począć.

Słońce skryło się za chmurą i komnatę ogarnął szary cień. Tavalisk zadrzał. Czy był to początek końca?

\*

Coś ostrego ukłuło go w gardło.

- Wstawaj.

Po drugim ukłuciu nastąpił kopniak. Potem na policzku wylądowało mu coś ciepłego.

Otworzył oczy akurat na czas, by zobaczyć, jak Skaythe ociera sobie ślinę z ust.

- Wstawaj, ty sukinsynu.

Wspomnienia i zmysły szybko przywróciły postać światu Tawla. Leżał na porośniętym trawą brzegu, przemarznięty, mokry i dygoczący z zimna. Kostki omywały mu wody Ormonu, a w jego gardło wymierzono okrwawiony nóż. Po wypełnieniu z wody musiał stracić przytomność. Ale na jak długo? Rozejrzał się wokół. Niebo było o jeden ton ciemniejsze niż w chwili, gdy widział je poprzednio. Dziesięć, może dwadzieścia minut.

Znaczyło to, że Jack i rycerze pokonali mniej więcej połowę drogi.

Wyteżył lekko mięśnie i przekonał się, że musi zyskać na czasie, by zregenerować siły oraz wyrównać temperaturę ciała. Słaby i dezorientowany, odwołał się do rycerskiego szkolenia, przypominając sobie fizyczne i mentalne techniki pozwalające przygotować się do akcji. Zaczął rytmicznie napinać mięśnie nóg, by pobudzić krążenie krwi, po czym skupił się na sercu, nakazując mu przyspieszyć. Cały ten czas oddychał szybko i głęboko, wypełniając płuca powietrzem. Odchylił lekko biodro, by wymacać nóż.

- No jazda. Wyciągaj go. - Skaythe wymierzył kopniak w okolice pasa. - Wstawaj i łap za broń.

Tawl skupił natychmiast myśli. Skaythe był szybki.

- To chyba będzie równa walka - dorzucił napastnik, cofając się nieco. - Ja mam chorą nogę i bark, a

ty... - wzruszył ramionami - ...trochę przemarzłeś.

Słuchając tych słów, Tawl próbował doprowadzić krew do posiniąłych kończyn. Serce tłukło mu szybko, lecz nadal czuł się fizycznie wyczerpany. Potrzebował więcej czasu.

Usiadł.

- Przykro mi z powodu tego, co spotkało Blayze'a - powiedział. - Powiniennem być zadowolony z zwycięstwem.

- Tak jest, powinieneś. - Skaythe podszedł bliżej i uderzył go w twarz. - Wstawaj!

Rycerz wygłosił te przeprosiny tylko po to, by zyskać na czasie, gdy już jednak je wypowiedział, zdał sobie sprawę, że były szczere. Miał na sumieniu straszliwe uczynki i musiał dźwigać wiele brzemion. Niekiedy popełniał błędy, w innych zaś przypadkach nie miał wyboru. Dziś jednak, w zielonej głębi Ormonu, wreszcie podjął właściwą decyzję.

Wybrał odkupienie. Wyraźnie teraz widział otwierającą się przed nim drogę. Jego przeznaczenie miało dwie strony. Po jednej znajdowała się Melli i przysięga, która nakazywała mu jej bronić, po drugiej zaś Valdis i zobowiązania, jakie miał wobec braci.

Melli musiał uratować dla siebie.

A rycerstwo dla swej rodziny.

Przed dziewięcioma laty opuścił siostry, porzucił je dla chwały, która oczekiwała na niego za bramami Valdis. Nie znalazł jej tam jednak i fakt ten pozbawił znaczenia śmierć jego bliskich. Porzucił rodzinę dla oszustwa. To właśnie był demon, którego ujrzał w lodowatej toni. Potwór, który kąsał nawet spoczywając w grobie.

Żeby powstrzymać te ukąszenia, musiał przywrócić rycerstwu chwałę. Dla Anny, Sary i dziecka.

Wstał. Nie wybrał odkupienia po to, by zaraz potem paść ofiarą napadu. Jego czas nie dobiegł jeszcze końca i nie mógł pozwolić, by czyjaś prywatna zemsta przeszkodziła w wypełnieniu jego przeznaczenia.

Wyciągnął nóż. Nogi miał jak z waty, mięśnie obolałe, a zmysł równowagi nie wrócił

jeszcze do normy. Gdy jednak spojrzął na swoje ciało, odruchowo przybrało ono postawę bojową: szeroko rozstawione nogi, lekko ugięte kolana, nóż blisko pasa, zwrócony ostrzem ku górze.

- Skaythe - powiedział, unosząc się lekko na palcach. - Nie chciałbym zabijać człowieka w taki dzień, jak dziś. Daję ci szansę. Odłóż broń, przyjmij mój wstyd i moje przeprosiny, a potem odejdz w pokoju. W przeciwnym razie zginiesz z mojej ręki. Wyślę twą duszę prosto do piekła, a twa krew spłynie do jeziora.

Skaythe uniósł nóż.

- Jak mogę przyjąć szansę od kogoś, kto nie dał jej mojemu bratu?

Rzucił się naprzód, tnąc na skos nożem.

Tawl musiał odskoczyć do tyłu. Nogi omal się pod nim nie załamały. Zatoczył nożem szeroki półokrąg, powstrzymując atak Skaythe'a na krytyczną sekundę. Gdy odzyskał

równowagę, przeciwnik rzucił się natychmiast na niego, spychając go w stronę jeziora. Wokół

kostek Tawla zapluskawa woda. Rycerz uchylił się przed nożem Skaythe'a, przeklinając obolałe mięśnie. Jego wróg był jednak nieustępliwy i odpowiadał ciosem na cios.

Tawl zauważył, że przeciwnik wspiera się pewniej na lewej nodze, rzucił się więc w prawo, chcąc pozbawić go równowagi. Skaythe był jednak z pewnością przyzwyczajony do swego kalectwa, gdyż obrócił się natychmiast, zostawiając lewą nogę nieco z tyłu, by wesprzeć na niej swój ciężar. Rycerz cofnął się głębiej w wodę. Czuł, że w tej chwili nie ma szans na zwycięstwo w otwartej walce. Skaythe był szybszy, silniejszy i bardziej przytomny.

Konieczny był jakiś fortel.

Przewagę mogła mu zapewnić jedynie woda. Ormon sprzyjał tym, których łączyła z nim więź, a po tym, co wydarzyło się przed chwilą, Tawl wiedział, że jest jednym z nich.

Zstąpił do tętniącego powoli serca jeziora, ujrzał jego sekretne, zielone groty. Było to teraz jego terytorium.

Zmusił Skaythe'a do podążenia za nim. Z każdym krokiem w bok cofał się również od brzegu. Jego przeciwnik stał już po kolana w wodzie i musiał uważać, gdzie stawia nogi. Jeśli potknie się na prawej stopie, pochłona go fale jeziora. Tawl posuwał się bokiem, cały czas oddalając się od brzegu. Zataczał nożem kręgi dla obrony, wymacując jednocześnie palcami stóp dno.

A opadało ono coraz gwałtowniej. Rycerz wysunął nogę naprzód, lecz nie wyczuł pod nią gruntu. Stał w odległości stopy od podwodnego urwiska. Przesunął się w prawo. Skaythe podążył za nim. Tawl celowo opuścił gardę, wystawiając tułów na atak. Przeciwnik wykorzystał tę szansę, rzucając się gwałtownie naprzód. Rycerz poczuł, że ostrze przecięło mu skórę na piersi, zignorował to jednak. Ponownie przesunął się w prawo, zmuszając Skaythe'a do zwrócenia się plecami do krawędzi. Ich pozycje się odwróciły.

Tawl zazgrzytał zębami, po czym wyskoczył nad wodę, rzucając się na przeciwnika.

Trafił go prosto w pierś. Skaythe uniósł nóż, musiał się jednak cofnąć pod wpływem impetu rycerza. Próbując stanąć pewniej na zdrowej lewej nodze, cofnął prawą. Minimalna różnica długości między obiema kończynami sprawiała, że był przyzwyczajony oceniać odległość lewą nogą. Uważał za normalne, że nie czuje ziemi pod prawą, była bowiem krótsza.



Cofnął się, przekonany, że dno jest tam tylko trochę niżej. Jezioro wessało go w swą toń. Spróbował rzucić się naprzód, lecz poruszył się zbyt szybko i było już za późno.

Tawl cofnął się o krok. Wyciągając nóż, przyglądał się, jak jego przeciwnik usiłuje się uratować przed upadkiem z półki. Skaythe'a ogarnęła panika. Połykał gwałtownie wodę, tłukąc rękami jak szalencie. Gdy wreszcie odzyska równowagę, rycerz zada ostateczny cios.

Mimo wszystko jezioro pochłonie dziś czyjeś życie.

Tawl zamknął na moment oczy. Czuł się bardzo słaby. Pragnął jedynie zasnąć pod ciepłym kocem przy buzującym wesoło ognisku i aż po świt śnić o siostrach. Bez względu na wygłoszoną groźbę, nie chciał zabijać Skaythe'a. Nie tu i teraz, nie w ten sposób. Otrzymał

dzisiaj dar i powinien przekazać go innemu.

Wypuścił z ręki nóż, który zalśnił w słabnącym świetle dnia i zniknął pod powierzchnią wody. Rycerz odwrócił się i ruszył naprzód. Daruje Skaythe'owi życie, by któregoś dnia mógł znowu stanąć do walki.

Zbliżając się do brzegu, usłyszał za sobą plusk. Odwrócił się nagle. Skaythe biegł za nim z nożem w dłoni. Wargi poruszały mu się w bezgłośnie furii.

Tawl miał tylko ułamek sekundy na to, by poczuć rozczarowanie. Napastnik stanął jak wryty, zatoczył się do tyłu i zwałił do wody ze strzałą wbitą w serce.

Pierś rycerza ponownie przeszył ból. Zakręciło mu się w głowie. Musiał jak najszybciej dotrzeć do brzegu. Zmusił się do ruszenia w tamtą stronę. Tracił przytomność.

Pociemniało mu przed oczami i woda uniosła się gwałtownie, wybiegając na spotkanie jego twarzy. Nagle zobaczył Jacka, który wyciągnął go z jeziora i wniósł na brzeg. Czekali już tam rycerze. Kosiarz wybiegł mu na spotkanie, a Borlin odłożył łuk. Wszyscy zgromadzili się wokół niego, uśmiechając się i dotykając go ze współczuciem. Chciał coś powiedzieć, wyjaśnić, co się stało, zapewnić ich, że nic mu nie jest, lecz miłość i ból ciążyły na jego sercu tak bardzo, że mógł im jedynie podziękować.

Tyren pochylił się. Jego skórzany strój był tak wytarty, że nawet nie zaskrzypiał.

- Mogę ci pomóc zdobyć Camlee przed upływem miesiąca.

Baralis czekał na wyjaśnienia, lecz Tyren zacisnął demonstracyjnie wargi. Wódz rycerstwa głaskał połyskliwą brodę, ani na moment nie spuszczał wzroku z rozmówcy. Królewski kanclerz spotkał w życiu niewielu ludzi, którzy nie obawiali się ciszy. By skłonić przeciwnika do mówienia, Tyren był skłonny milczeć bardzo długo, nie przejmując się niezręcznością sytuacji.

Baralis zaczerpnął płytki oddech.

- Na czym miałyby polegać ta pomoc?

Wódz rycerstwa uśmiechnął się. Zdjął rękę z brody, by poprawić opadający na skroń kosmyk lśniących włosów.

- Najpierw pomówmy o tym, dlaczego miałbym ci jej udzielić.

A więc negocjacje w końcu się zaczęły. Tyren z pewnością się nie spieszył. Przebywał

w mieście już od kilku tygodni, posunął się nawet do tego, że rozbił obóz pod jego bramami, do dziś jednak nie wspominał o żadnych umowach. Czekał. Baralis zorientował się wreszcie, na co. Dziś do miasta dotarły wieści, że wojska imperium stanęły pod murami Camlee.

Królewski kanclerz poszedł do biurka i nalał sobie wina. Przebywali w domu handlarza jedwabiu, w południowej dzielnicy miasta. Szacowny właściciel był nieobecny.

Zapewne poszedł wydać pięćdziesiąt sztuk złota, które otrzymał w zamian za użyczenie domu i zachowanie milczenia. Choć nie musieli już dbać o utrzymanie tajemnicy tak bardzo, jak podczas swego pierwszego spotkania, Baralis wolał zachować dyskrecję. Nie było potrzeby angażować w te negocjacje Kylocka.

- Czego właściwie chcesz, Tyrenie? - zapytał, sadowiąc się wygodniej w fotelu.

Wódz rycerstwa przesunął dłoń wzdłuż uda, zatrzymując pięknie wypielęgnowane palce na potężnej bryle mięśni.

- Pierwszych łupów z Highwall.

Tego Baralis się spodziewał.

- I?

- Wolnej ręki w Camlee po jego zdobyciu - odparł Tyren starannie modulowanym głosem. Zawsze dbał o jego intonację. - Choć zaczęło się powoli, nawrócenia w Helchu idą teraz dobrze. Pragnę

szybko iść za ciosem, dopóki Valdis otacza aura sukcesu. Rzecz jasna, będę chciał otrzymać w Camlee takie same swobody, jakie łaskawie raczyłeś przyznać mi w Helchu.

Znaczyło to, że domagał się, by pozwolono mu swobodnie prześladować mieszkańców Camlee bez obawy o reakcję Kylocka. Baralis uniósł puchar do ust, chcąc ukryć uśmiech. Tyren zamierzał pozbawić Silbur religijnej władzy, zdobyć ją dla Valdis i dla siebie.

Z władzą wiązały się podatki, nieruchomości, kościelne ziemie i złoto.

Był chciwy.

Baralis doszedł do wniosku, że pora odkryć karty.

- Wiele żadasz, przyjacielu. Co jesteś skłonny dać w zamian?

Nastąpiła wykalkulowana przerwa. Tyren uwielbiał stwarzać napięcie, wywoływać dramatyczne efekty. Otwierał usta jedynie wtedy, gdy był gotowy, i zmuszał ludzi do czekania na każde swe słowo. Był to kolejny sposób, w jaki wykorzystywał ciszę.

Po chwili skłonił głowę. Śniada skóra, ciemne oczy i brązowe włosy zaśniły w blasku słońca.

- Mam w Valdis trzy tysiące rycerzy. Na mój rozkaz ruszą na północ, w stronę Camlee. - Skinął lekko dłonią. - Nie tylko wzmocnią siły oblegających, lecz również zapewnią im dostęp do tuneli.

- Do tuneli?

- Camlee to stare miasto i wybudował je dawny król. Pod jego murami biegną prastare korytarze, o których nie wiedzą nawet tamtejsi generałowie. Jeden z moich rycerzy może wskazać wam do nich drogę. Jego ojciec był kamieniarzem w Camlee. Zna wszystkie cechowe tajemnice.

Baralis pociągnął łyk wina. Spełnił żądania Tyrena. Wojska imperium mogłyby zdobyć Camlee o własnych siłach, lecz zimowe oblężenia były nieprzyjemne i ciągnęły się długo, a Bren był w tej chwili wystawiony na atak. Armia Annisu mogła zaryzykować przeprawę przez góry mimo śniegu. Gdyby tak się stało, zastałaby słabo bronione miasto. Im szybciej siły imperium zdobędą Camlee, tym lepiej.

Baralis zwrócił twarz w stronę cienia, rozciągając wargi w nieznacznym uśmiechu. Im szybciej upadnie Camlee, tym prędzej ten sam los spotka Rorn i jego arcybiskupa. Przed dwudziestoma laty Tavalisk zamordował człowieka, a potem przywłaszczył sobie jego dzieła.

Najwyższy już czas wymierzyć mu karę.

- Chyba dojdziemy do porozumienia, przyjacielu - oznajmił Baralis, unosząc puchar.

Skarb Highwall nic go nie obchodził, a o mieszkańców Camlee dbał jeszcze mniej. Tyren mógł sobie robić, co tylko zechce, tak na północy, jak i na południu, pod warunkiem, że nie wyciągnie ręki po nic poza religią i złotem.

Wódz rycerstwa nie był głupi. Nie pozwolił sobie na okazanie nawet odrobiny samozadowolenia. Wstał i pokłonił się.

- Jestem ukontentowany, Baralisie. Jeszcze dziś wyślę posłańca do Valdis.

Królewski kanclerz otworzy! przed nim drzwi.

- Rozmowa z tobą zawsze jest przyjemnością, Tyrenie.

\*

Wicher dał prosto z gór, a niebo zapowiadało opady śniegu. Bez względu na wszelkie podejmowane wysiłki, Jack nie potrafił się ogrzać. Zimne powietrze przedostawało się pod płaszcz, choć przysiadł na jego rąbku, a palce nóg zdrętwiały, mimo że miał w butach wełnianą podszewkę. Całodzienna jazda wierzchem przez zamarzającą mgłę nie była przyjemnym doświadczeniem.

Była jednak konieczna. Codziennie zrywali się przed świtem i jechali jeszcze długo po zapadnięciu zmierzchu. Gdy Tawl nie popędzał ludzi, robił to za niego Jack. Musieli dotrzeć do Brenu. Przed czterema dniami, gdy mijali górską wioskę położoną na zachód od Camlee, wieśniacy poinformowali ich, że wojska imperium wkrótce przystąpią do oblężenia owego miasta. Na tę wieść Jackowi przebiegły ciarki po plecach. Kylock działał szybko. Nie zamierzał czekać na wiosnę. Chciał jak najprędzej dodać do swej kolekcji kolejny triumf.

Rycerze źle przyjęli tę wiadomość. Camlee było najbliższym sąsiadem Valdis i wszyscy członkowie drużyny mieli tam znajomych, a niektórzy nawet rodziny. Gorąco pragnęli się dowiedzieć, czy Tyren wysłał z armią oblężniczą swoich ludzi, lecz trasa, którą zmierzali, biegła daleko od wiosek i miasteczek.

Odkąd dowiedzieli się, że wojska imperium są blisko, jechali wyłącznie podgórzem Wododziału. Nie chcąc ryzykować przypadkowego spotkania z batalionem czarnych hełmów, zdecydowali się na dłuższą i o wiele żmudniejszą drogę. Ostatnie cztery dni kosztowały ich bardzo wiele wysiłku. Noce były mroźne, a za dnia temperatura podnosiła się tylko nieznacznie. Rycerze nadal wypatrywali wiosek, lecz odkąd minęli Camlee nie widzieli nawet jednej chaty.

Od dnia, gdy Tawl skoczył do wodospadu, wszystko wyglądało inaczej. Tym czynem odmienił drużynę. Rycerze należeli teraz do niego. Nie było już pytań ani wątpliwości, a jedynie szacunek i coś zbliżonego do czci. Tawl wynurzył się z jeziora jako inna osoba. W

jego niebieskich oczach lśniło poczucie celu, a głos miał donośny i czysty. Przepelniała go siła i światło, zupełnie jakby wodospad odnowił jego duszę.

Dał rycerzom szansę odzyskania honoru poprzez uratowanie wysoko urodzonej damy, a oni z radością wyrazili zgodę. Na całym świecie nie było rycerza, który nie chciałby ocalić pięknej dziewczyny. Sprawa Tyrena była trudniejsza. Tawl nie zamierzał zmuszać swych braci do niczego, co nie wydawało im się w pełni słuszne. Dał im czas i swobodę, potrzebne, by sami mogli wyciągnąć wnioski. Sądząc ze stopniowej zmiany opinii członków drużyny, była to bardzo rozsądna

decyzja.

Jack cieszył się, że jego przyjacielowi udało się pozyskać wierność rycerzy, lecz budziło to w nim również smutek. Oddalali się z Tawlem od siebie. Kierowały nimi różne motywy, mieli inne cele i czekało ich odmienne przeznaczenie. Bren będzie kresem ich wspólnoty. Później każdy z nich ruszy swoją drogą.

- Dym przed nami! - krzyknął Andris.

Jack uniósł głowę. Zatopił się w myślach o przyszłości i ucieszył się teraz, że ma szansę uwolnić się od nich. W oddali, w rozpadlinie między dwoma wzgórzami, zauważył

srebrzystą smużkę dymu, wznoszącą się w szare niebo. Skupiwszy wzrok, chłopak przekonał

się, że takich smużek jest więcej. Z pewnością leżała przed nimi wioska.

Wędrowcy uradowali się na ten widok. Wszyscy spięli konie. Było już dobrze po południu i umysł Jacka zaprzętały myśli o gorącym posiłku i ciepłym łóżku.

By dotrzeć do wioski, potrzebowali więcej czasu niż oczekiwali. Musieli najpierw sforsować zaśnieżoną dolinę, w której wysokie zasy i zamrożony staw zmusiły ich do zejścia z koni. Gdy minęli już połowę jaru, zaczął sypać śnieg, a wiejący od gór wicher przerodził go w śnieżycę, w której trudno było cokolwiek zobaczyć. Kiedy dotarli do bliźniaczych wzgórz, zapadał już zmrok.

Crayne wysłał na zwiady Andrisa i Mafreya. Choć wioska leżała daleko na zachód od szlaku, którym przeszła armia, nie zamierzał podejmować ryzyka. Drużyna schroniła się po zawietrznej stronie wzgórza, czekając na powrót zwiadowców. Śnieg padał coraz gęściej, a temperatura zaczęła już spadać. Ludzie skupili się ciasno. Zapadała powoli ciemność. Ich oddechy krystalizowały się w coraz zimniejszym powietrzu, a płaszcze pokryła biała warstwa śniegu.

Tawl, Crayne i Borlin rozmawiali ściszymi głosami. Jack widział, że co chwila spoglądają na biegnącą między wzgórzami ścieżkę. Andris i Mafrey powinni już wrócić. Po jakimś czasie Crayne skinął głową.

- Jedziemy za nimi - krzyknął.

Jack kopniakiem zmusił konia do ruchu, kierując go w stronę Kosiarza i jego muła.

Tawlowi instynkt podpowiedział to samo. Zaczekał, aż chłopiec podjedzie do niego, po czym razem podążyli wzdłuż podstawy wzgórza, aż wreszcie dotarli do prowadzącej ku wiosce ścieżki.

- Myślisz, że Andrisa i Mafreya napadnięto? - zawołał Jack, starając się przekrzyczeć wycie wiatru.

- Nie wiem - odparł Tawl. - Wieśniacy mogli ich wziąć za żołnierzy Kylocka.

Wykonał nieznaczny gest prawą dłonią, wskazując na skryty w pochwie miecz.

Jack skinął głową. Przyjaciel chciał mu powiedzieć, żeby trzymał broń na podorędziu.

Śnieg sypał już tak gęsto, że ślady kopyt znikwały po kilku minutach. Nie widzieli nic, co świadczyłoby, że Andris i Mafrey tędy przejeżdżali. Gdy jechali wąskim wąwozem, w drużynie zaszła subtelna zmiana. Wszyscy pochyłili się w siodłach, Borlin i pozostali łucznicy zarzucili kołczany na plecy, Crayne ujął w rękę włócznię, a z dłoni zdjęto wszystkie rękawice poza najcieńszymi.

Za wzgórzami ukazały się pochyłe dachy - najpierw kilka, a potem więcej. Wioska była większa niż im się zdawało. Z okiennic dobywały się blade snopy światła, a wiatr niósł ze sobą woń palonego drewna.

Okrążywszy ośnieżony występ skalny, stanęli twarzą w twarz z grupą uzbrojonych ludzi. W jej środku jechali Andris i Mafrey. Borlin w jednej chwili wydobył łuk.

- Nie strzelać! - krzyknął Andris.

Crayne uniósł otwartą dłoń, powstrzymując swych łuczników. Jednym spojrzeniem omiótł pół tuzina obcych.

- Uwolnicie moich braci albo natychmiast zginiecie.

Jego twardy jak stal głos z łatwością przebijał się przez śnieg.

Andris podjechał bliżej.

- Nie wzięli nas do niewoli, Crayne. Odprowadzają nas tylko.

- To żołnierze Highwall - wysyczał Tawl do Jacka. - Srebrno-kasztanowe barwy.

Highwall? Co żołnierze Highwall porabiali dwieście mil na północny zachód od Camlee? Jack wysunął się przed Tawla. Crayne rozmawiał z jednym ze zbrojnych i chłopak chciał usłyszeć, o czym mówią.

- Tak - potwierdził Crayne. - Tawl z Nizin i Jack z Czterech Królestw.

Mężczyzna skinął głową.

- Jedźcie za nami.

Jack spojrzawszy mimochodem na Tawla. Rycerz wzruszył ramionami. On również nie miał pojęcia, o co tu chodzi. Drużyna ruszyła naprzód. Crayne wciąż ścisnął w dłoni włócznię, lecz bez oporów podążał za nieznajomymi. Ścieżka stawała się coraz szersza i wkrótce ujrzeli przed sobą wioskę.

Leżała między dwoma wzgórzami, które osłaniały ją przed wiatrem. Stoki usiane były zbudowanymi z grubych kłód chatami, na dole zaś wzniesiono sporo dwupiętrowych domów.

Wszystkie budynki miały okapy i spiczaste dachy. Przez osadę prowadziła tylko jedna droga.

Biegła środkiem doliny ze wschodu na zachód, kończąc się nagle przed wielką zagrodą pełną owiec. Jack chyba nigdy w życiu nie widział tak wielkiego stada tych zwierząt. Były ich tysiące. Na grzbietach miały czerwone i niebieskie znaki.

Zbrojni powiedli ich do największego budynku w wiosce. Nad drzwiami wisiał poskrzypujący szyld, lecz Jack nie zdołał go odczytać.

Gdy tylko się zatrzymali, Crayne przywołał gestem Jacka i Tawla.

- W środku jest człowiek, który chce z wami porozmawiać.

- Kto?

Potrząsnął głową.

- Nie chcieli mi tego powiedzieć. Myślę, że powinniśmy wejść tam wszyscy.

- Zgadzam się - odparł Tawl. - Skąd się tu wzięli ci ludzie?

- Z Brenu. Uciekli z pola bitwy.

- Mieli szczęście, że nie dopadli ich żołnierze Kylocka - zauważył Jack.

- Zapewne trzymali się blisko gór. - Crayne zeskoczył z konia, nakazując reszcie ludzi zrobić to samo. Przyjrzał się gospodzie, po czym ponownie przeniósł wzrok na Jacka i Tawla.

- Nie spodziewam się kłopotów, ale na pierwszą oznakę czegoś dziwnego wszyscy wypadamy na zewnątrz. Jasne?

Jack skinął głową. Nie oczekiwał niebezpieczeństwa. Niemal odruchowo spróbował

wyczuć zapach czarów. Nie czaiło się tu nic złowieszczego. Ruszył w stronę drzwi gospody.

Zbrojni szli przed nim, a Tawl i Crayne z tyłu.

Po ciemnej, mroźnej nocy ciepłe i jasne wnętrze gospody było dla nich prawdziwym szokiem. Światło oślepiło Jacka. Zapachy, widoki i dźwięki poraziły jego zmysły. Sufit w izbie był nisko zwieszony, przez co całą ją wypełniał aromat pieczonego mięsiwa oraz cebuli.

Pełno tu było ludzi w kasztanowo-srebrnych uniformach. Twarze mieli wychudłe, a oczy zapadnięte. Gdy tylko pojawił się Jack, wszyscy umilkli.

- Na górze - powiedział prowadzący go człowiek.

Chłopak podążył za nim na zaplecze, po czym wszedł na wąskie schody. Tawl deptał

mu po piętach. Dotarli do łukowatych, dębowych drzwi, których strzegło dwóch ludzi.

Wyższy z nich wyciągnął rękę, by ich powstrzymać.

- Zaczekajcie tutaj.

Zniknął w środku. Po chwili wyszedł w towarzystwie jakiegoś innego mężczyzny.

- Jack, Tawl, wchodźcie.

Minęła chwila, nim chłopak rozpoznał stojącego przed nim człowieka. To był Grift.

Jego głos brzmiał tak samo, jak zawsze, lecz twarz i ciało zmieniły się nie do poznania.

Znacznie stracił na wadze. Podwójny podbródek zniknął, puciołowate policzki zrobiły się obwisłe, a oczy były podkrążone.

- Wchodźcie - powtórzył. - Czeka na was lord Maybor.

\*

Melli leżała na łożu, przyciskając poduszkę do brzucha. Czasami, gdy obejmowała ją wystarczająco mocno i z całych sił zaciskała powieki, potrafiła sobie wyobrazić, że nadal ma w sobie dziecko. Niekiedy zasypiała też z poduszką pod brzuchem i rankiem, po przebudzeniu, przeżywała moment najczystszej radości. To były chwile, dla których żyła: ułamki sekund, podczas których zapominała o ośmiu minionych dniach.

Dziś jednak nie było to możliwe. Poduszka była tylko poduszką, a jej brzuch zachował płaskość. Czas był zbyt sztywny, by mogła go odmienić, a jej umysł zanadto bystry, żeby dać się nabrać. Nie zostało jej nic poza pustką w macicy i straszliwym, piekącym bólem piersi.

Gorsecik miała mokry od mleka. Lepki, wolno schnący płyn sączył się z jej piersi, spływał po żebrach i plamił suknię. Nie mogła tego znieść. Cuchnęła jak mamka.

Jednym, szybkim ruchem zacisnęła pięść i uderzyła nią w poduszkę. Brzuch zabolął ją nagle, nie zważała jednak na to. Raz za razem z całej siły waliła w miękką tkaninę. Nic już się nie liczyło. Nic.

Uniosła drugą pięść i uderzyła w poduszkę również i nią. Bach! Jej ramię przeszył

paralizujący ból. Mięśnie twarzy skurczyły się gwałtownie, a z oczu trysnęły łzy. Osunęła się na łożo, przyciskając złamaną kończynę do piersi. Zapomniała, jak wrażliwa jest uszkodzona ręka. Złamała ją po raz drugi, nim miała szansę się zrosnąć.

Gdy ból przeszedł w tępe pulsowanie, przebiegła palcami wzdłuż kości. Na skórze przedramienia poczuła nierówną opuchlinę. Było zbyt ciemno, by mogła zobaczyć cokolwiek poza zarysem kończyny. Nie mogła nic zrobić, nim nadejdzie świt. Przed kilkoma dniami podjęła niepewną próbę nastawienia złamanej kości, nie miała jednak pojęcia o lekarskim rzemiośle, a ból towarzyszący



próbom przysunięcia odłamów do siebie był tak przerażający, że dała za wygraną. Jutro spróbuje zrobić łubki.

Wiedziała, że nie ma co liczyć na pomoc pani Greal czy Kylocka - nie widziała ich od chwili porodu - lecz może uda się jej przekonać stojących pod drzwiami wartowników, żeby przycięli jej kawałek drewna. Poprosi ich o to, gdy rano przyniosą jej śniadanie.

Wtem przerwała snucie planów. Zastanawiała się nad tym, jak w miarę bezboleśnie nastawić sobie złamaną rękę, a przecież jej dziecko nie żyło. Wyrwano je z ciała matki, nim zdążyło zaczerpnąć pierwszy oddech. Nie zobaczyła nawet jego twarzy, nie wiedziała, czy było chłopcem, czy dziewczynką. Każda myśl, którą poświęcała własnemu ocaleniu, wydała się jej nagle zdradą. Jej życie toczyło się dalej, a ona nie tylko na to pozwalała, lecz wręcz starała się je chronić.

Myśli dziewczyny spowił mroczny całun. Jego szorstka tkanina składała się ze wstydu i poczucia winy. Czy pragnąc ocalić życie, postępowała źle? Czy myśląc o sobie, okazywała nieczułość i samolubstwo?

Za drzwiami rozległ się brzęk kluczy. Na podłodze pojawiła się plamka światła. Drzwi otworzyły się i blask wpadł do środka. Do pomieszczenia wszedł Kylock, niosąc przed sobą oliwną lampkę.

Melli usiadła na łożu. Prawe ramię osunęło się jej na kolana, czemu towarzyszył ostry ból. Widok skrytej w cieniu twarzy króla przegnał wszystkie wątpliwości. Musiała przeżyć.

Jeśli teraz się podda, Kylock uczyni z niej depozytariuszkę swych grzechów. Nie zamierzała pozwolić, by odnowił się przez zbliżenie z nią. Popełnił zbyt wiele zbrodni, miał na sumieniu tak wiele ofiar, pchnął jej brata przeciw ojcu i pozwolił, by Baralis zamordował dziecko, które wydała na świat. Nie zmyje z siebie tych win.

Zaczerpnęła głęboki haust rozświetlonego powietrza i pochyliła się lekko.

- Odejdź. Jest jeszcze za wcześnie, panie.

Na twarzy Kylocka pojawiło się zaskoczenie. Postawił lampkę na stole i podszedł do łoża.

Melli uniosła rękę, by go powstrzymać.

- Nie zbliżaj się. Nie jestem jeszcze gotowa.

- Och, ależ jesteś. - Kylock przemawiał uwodzicielskim tonem. Poruszał się ostrożnie jak kochanek. Zatrzymał wzrok na mokrych plamach mleka na gorseciku. - Dałem ci tydzień.

Nie potrzeba więcej czasu.

Skrzyżowała ramiona wysoko na piersi, zakrywając nimi plamy. W piersiach czuła tępy, przyprawiający o mdłości ból.

- Potrzeba - sprzeciwiła się, szukając pospiesznie jakiejś wiarygodnej wymówki.

Chciała go przyprawić o szok, wytrącić z równowagi. - Nie możesz się jeszcze do mnie zbliżyć. Rany w środku nadal się nie zagoiły. Chciałeś, żebym była czysta, a w tej chwili jestem splamiona zakrzepłą krwią i pokryta starymi bliznami. Musisz poczekać, aż odzyskam zdrowie. W przeciwnym razie narazisz się na porażkę i zakażenie.

Radowała się każdym wypowiedzianym przez siebie słowem. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła, że wraca do niej dawna moc. Była córką Maybora. Wierzyła we własne siły i potrafiła zapanować nad sytuacją.

Kylock również to zauważył. Widziała to w jego oczach. Uwierzył jej.

- Dam ci jeszcze tydzień.

- Nie. Potrzebne mi dziesięć dni.

Uniosła brodę, przesywając go spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu. Wymieniła tę liczbę bez żadnego szczególnego powodu. Po prostu chciała okazać swą władzę.

- Niech będzie dziesięć.

Kylock nie był wcale zły. Wydawał się wręcz podekscytowany.

Melli ogarnęła odraza.

- Zostaw mnie, proszę. Potrzebny mi odpoczynek.

Stał nad łóżem, spoglądając na nią podkrążonymi oczami. Na jego wargach pojawił

się cień uśmiechu. Po chwili odwrócił się i wyszedł.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Melli opadła na pościel. Czuła się wyczerpana zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Jej ciało drżało, a ramieniem szarpał gwałtowny ból.

Nakryła się kocami aż po szyję i natychmiast zaczęła zapadać w sen. Gdy już miała się zanurzyć w błogosławioną ciemność, z góry napłynęła myśl, że nie zapytała Kylocka, co się stało z dzieckiem. Nawet nie przyszło jej to do głowy.

\*

Grift wprowadził ich do małej, gorącej izdebki. Ogień na kominku buzował potężnie, a okna zasłonięto wełnianymi kocami. W kącie stało niskie wyrko, na którym leżał jakiś mężczyzna. Z jego ust dobywał się cichy charkot, a pierś falowała bardzo szybko.

- Jack, Tawl - wyszeptał. - Podejdźcie bliżej, żebym mógł was zobaczyć.

Jack ruszył w jego stronę i ukląkł obok pryczy. Zwróciła się ku niemu zlaną potem twarz, w której lśniły niebieskie oczy, tego samego koloru, co oczy Melli.

- To wy - wyszeptał Maybor, przymykając na chwilę powieki. - Mówili mi, że to wy.

Jack przyglądał się uważnie jego obliczu w poszukiwaniu śladów Maybora, którego znał. Pełne wargi przerodziły się w cienkie kreski, a rumiane policzki pobladły. Zostało z niego tak niewiele, że Jack ledwie mógł znieść ten widok. Grift podszedł bliżej i otarł

Mayborowi pot z czoła, a potem poprawił opadający kosmyk włosów. Ten drobny gest kazał

Jackowi przyjrzeć się uważniej nie tylko twarzy leżącego, lecz również całej jego postaci.

Włosy miał lśniące i pięknie uczesane, podbródek gładko wygolony, a ramiona spowite w czerwony jedwab najwyższego gatunku. Spod kołdry dobywał się zapach wonności. Jack uśmiechnął się lekko. Z Maybora zostało więcej, niż mu się zdawało.

- Uciekliście przed wojskami Kylocka spod Brenu?

Tawl podszedł bliżej i ukląkł u boku Jacka.

Maybor skinął głową.

- Przez kilka tygodni ukrywaliśmy się w górach. Potem zesliśmy na dół.

Mówił tak cicho, że musieli się obaj pochylić, żeby go słyszeć.

- Ilu ludzi ci towarzyszy?

- Ocalało osiemdziesięciu. W górach straciłem więcej.

Maybora dopadł atak kaszlu, który wstrząsał całym jego ciałem.

Chory wysunął dłoń spod kołdry. Skóra na niej była czarna i lśniąca, a palce zaciśnięte w zniekształconą pięść.

Jack musiał odwrócić wzrok. Tawl spojrzał mu w oczy. Obaj wiedzieli, że Maybor umiera.

Grift podsunął choremu szmatkę, w którą ten mógł splunąć. Strażnik nie zapomniał

przed zabránieniem starannie jej złożyć.

Po chwili kaszel ustał.

- Mamy też dziesięć koni - mówił Maybor, charcząc z wysiłkiem. - Wieśniacy sprzedadzą nam więcej. Kazałem jednemu z ludzi je policzyć. Powiedział, że mają osiemnaście koni i dwa razy tyle kucyków.

Jack zaczął pojmować, o co chodzi choremu.

- Jak czują się ludzie? - zapytał.

Maybor poruszył zaatakowaną przez gangrenę dłoń. Odchrząknął.

- Są młodzi. Kilku straciło palce u rąk albo nóg, ale większości nic się nie stało. -

Pochylił się odrobinę. - Zabierz ich ze sobą, Jack. To dobre chłopaki i powinni mieć szansę walczyć. Myślałem, że postępuję słusznie, zabierając ich z pola bitwy, teraz jednak wiem, że popełniłem błąd. Nie pozwoliłem im postąpić po żołniersku i zmusiłem ich, by zachowali się jak zwykli ludzie.

Jack nie wahał się ani chwili.

- Jeśli zechcą i czują się na siłach, mogą iść z nami. Bardzo nam się przyda pomoc.

- Znają wiele pięknych pieśni, Jack - ciągnął Maybor, przełykając z wysiłkiem ślinę. -

I nie boją się długich godzin jazdy.

Nim skończył mówić, mięśnie jego twarzy rozluźniły się, a powieki zaczęły opadać.

Tawl dotknął lekko jego piersi.

- Słyszałeś jakieś wieści o Melli?

- Mogę przysiąc, że żyje. - Otworzył raptownie oczy, a jego głos odzyskał

dźwięczność. - Musisz ją uratować. Obiecuj mi, że to zrobisz.

Tawl wyciągnął rękę i ujął dłoń chorego, przebiegając palcami po martwiczym ciele.

- Obiecuję ci, że podejmę taką próbę.

Jego słowa były delikatne jak pocałunek.

Jack położył dłoń na dłoni Tawla. Spojrzał prosto w lśniące oczy Maybora.

- Zapewniam cię, że nie spocznę, dopóki nie będzie bezpieczna.

Wielmoża skinął słabo głową. Wydawało się, że jego ciało skurczyło się nagle, stało mniejsze i mniej materialne. Opadł na poduszki.

- Szkoda, że nie widziałeś jej wtedy, gdy przyszli po nią strażnicy, Jack - rzekł

głosem, który z każdym słowem brzmiał coraz słabiej. - Była taka piękna. Wywołała prawdziwą burzę. Dla mnie. Tylko dla mnie.

Grift podszedł do leżącego i poprawił mu włosy. Gdy dotykał połyskliwych, szpakowatych loków, jego dłoń drżała.

Jack ujął rękę Maybora i przycisnął ją do swego boku.

- Bardzo cię kochała.

- Naprawdę? - Choć Maybor był bardzo słaby, w tym jednym słowie zabrzmiał żar na nowo rozbudzonej nadziei. - Powiedz jej, że ja kochałem ją bardziej, niż sądziła. I że przykro mi, iż ją zawiodłem.

Jack potrząsnął głową. Ścisnęło go gwałtownie w gardle.

- Nie zawiodłeś.

- Zawiodłem wszystkie swe dzieci. Wszystkie. - Słaby głos Maybora niknął w oddali.

- Byłem zbyt samolubny i ambitny, żeby zobaczyć w nich...

Jego ostatnie słowa zagłuszył dławiący kaszel.

Grift ujął Jacka za ramię.

- Idźcie już. Przyjdę do was później.

Ruszyli z Tawlem do drzwi. Gdy wychodzili z izby, towarzyszył im odgłos kaszlu Maybora.

Stanęli bez słowa pod drzwiami, czekając aż ucichnie. Po kilku minutach pojawił się Grift. Był zmęczony i blady.

- Lord Maybor śpi - oznajmił. - Chodźcie, znajdziemy dla was coś do picia.

Sprowadził ich do gospody. W pomieszczeniu znowu zapadła cisza, lecz tym razem wszyscy skierowali spojrzenia na Grifta.

- Zasnął - powiedział ten, wykonując uspokajający gest obiema dłońmi.

Mężczyźni skinęli głowami, wymienili trochę szeptów i wrócili do swoich spraw.

Wielu z nich zażądało więcej *ale*.

Grift zaprowadził Jacka i Tawla do stołu stojącego przy drzwiach. Crayne i pozostali rycerze siedzieli niedaleko. Stały przed nimi miski pełne gorącego jedzenia, a w dłoniach trzymali kufle piwa.

Widząc, że wrócili, Kosiarz opuścił stół rycerzy i podszedł do Tawla. Grift wyraźnie zdziwił się na widok młodego kieszonkowca. Zmierzwił mu włosy w czułym geście.

- Nigdy bym się nie spodziewał, że zobaczę cię w górach, Kosiarzu - rzekł.

- Ja też nie liczyłem na to, że cię tu spotkam, Grift. W końcu mówiłeś mi, że dziewczyny z gór są wiecznie skwaszone i łatwo zapadają na trypra.

Grift wybuchnął śmiechem, co zaskoczyło Jacka. Jego ciepły, serdeczny rechot obudził wspomnienia tak wyraziste, że chłopakowi zachciało się płakać. Przypomnił sobie wszystkie te zimowe noce, które spędził na wysłuchiwanie tyrad Grifta, zdumiewając się jednocześnie ilością wypijanego przez niego *ale*. Wszystko bardzo się zmieniło od owych czasów niewinności. Grift i Tawl stali się innymi ludźmi, Maybor leżał umierający, a Melli była uwięziona w Brenie. Gniew kazał mu zapomnieć o wspomnieniach, zepchnął je w dawno minioną przeszłość. Baralis musiał odpowiedzieć za wiele spraw.

- Lord Maybor ocalił mi życie - oznajmił Grift. Pochylił się nad stołem, wspierając twarz na dłoniach. - Wyprowadził mnie z Brenu, choć byłem tak osłabiony, że ledwie trzymałem się na nogach. Mógł mnie zostawić w tamtej piwnicy i samemu uciec na drugą stronę muru, ale tego nie zrobił.

Jack objął ramieniem barki żołnierza. Dlaczego wszyscy, którzy kiedyś wydawali mu się bardzo silni, stali się nagle tak słabi?

- A co z Bodgerem?

- Nie wiem. Zabrali go razem z lady Melliandrą. - Grift potrząsnął głową. - To jeszcze młody chłopak. Bez moich rad nie wiedziałby, co robić.

- W trudnych sytuacjach ludzie często znajdują w sobie siłę - uspokajał go Jack.

- Ehe, chłopcze. Masz rację. Na przykład lord Maybor. Już od paru dni trawi go sakramencka gorączka, ale nic nie mogło go powstrzymać przed sprowadzeniem nas z gór.

Nie spadł z konia tylko dzięki determinacji. Z początku ludzie mieli do niego pretensję, ale gdy zobaczyli, jaki z niego twardziel, wszystko się zmieniło. Teraz skoczyliby dla niego w ogień.

- Maybor chce, żebyśmy poprowadzili ich do Brenu - wtrącił Tawl.

- Uważa, że wyrządził im krzywdę, zabierając ich z pola bitwy. Chce dać im szansę walki.

- Co się stało podczas bitwy? - zapytał Jack. Ktoś przyniósł dzban *ale* i chłopak zaczął nalewać je do czterech kufli.

- Żołnierzy Highwall oskrzydłono i wyrżnięto. Besik poprowadził dwie trzecie wojsk na wschód, a Maybor resztę na południe. Chaos był całkowity. Mordowano ludzi, w powietrzu śmigały strzały, wszędzie lała się krew. Nie zapomnę tego aż po kres swych dni. -

Grift pociągnął potężny łyk *ale*. - A rzeź nie była jeszcze najgorsza.

- Dlaczego? Co więcej się wydarzyło?

- Kedrac rozkazał swym ludziom zabić własnego ojca. To on dowodził armią królestw i gdy tylko zauważył na polu bitwy Maybora, poszczuł na niego Królewską Straż.

Znowu Baralis. Podjudził syna przeciw ojcu. Wojna przyniosła bardzo wiele tragedii, nie tylko dotyczących armii i miast, lecz również mniejszych, prywatnych, jak utrata ideałów, zniszczona miłość, czy rozdarte rodziny. Jack nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak czuł się Maybor, wiedząc, że własny syn pragnął jego śmierci. Jak zdołał przeżyć tak wiele tygodni, gdy na sercu ciążyła podobna zdrada? Jack pamiętał go jako śmiałego, pełnego werwy mężczyznę, który zawsze chciał dla swych dzieci wszystkiego, co najlepsze, nawet wbrew ich woli. Był ojcem, który okazywał miłość poprzez dumę. Jak tego typu człowiek zdołał znieść przeniwierstwo pierworodnego syna?

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Tawł, Grift, Kosiarz i Jack w milczeniu popijali *ale*. Słowa wydawały się zbyt ulotne, by wyrazić wszystkie tragedie życia.

\*

Mayborowi było bardzo ciepło. Ból w kościach znacznie zelżał. To dziwne, ale nadal czuł palce, które zabrał mu mróz. Można nawet powiedzieć, że to właśnie je czuł najlepiej.

Inne rzeczy, które utracił, również sprawiały mu najwięcej bólu.

Melli, Kedrac, dwaj młodszy chłopcy. Gdy skupiał się bardzo mocno, potrafił

przywołać ich obraz. Jeśli wysilił się jeszcze bardziej, mógł nawet sobie wyobrazić, że mu wybaczą.

Sen ścigał go jednak w swą otchłań i Maybor wiedział, że pora już odejść. Zdobył się na jeszcze jeden, ostatni wysiłek. Odwrócił głowę tak, by spoczywała na poduszce zupełnie prosto. Nikt nie powie, że ślinił się jak kaleka. Następnie ułożył rękę wzdłuż ciała.

Majestatycznie, powiedział sobie. Jak król.

Zamknął już oczy, a wysiłek odbierał mu resztkę sił, było więc naturalne, że zjechał w dół po mrocznym łuku. Lekko przestraszony i bardzo zmęczony, pozwolił, by jego umysł

ogarnął sen.

\*

Później, znacznie później, gdy Jack spał w kuchni w gospodzie, przyciskając ciało do pieca, obudził go dziwny hałas. Początkowo myślał, że to wycie wilków, potem, że może wiatr. Gdy jednak jego zmysły odzyskały sprawność, zrozumiał, że słyszy śpiew. Niskie gardłowe tony dzieliły od siebie długie pauzy, maćcone ochryplymi krzykami. Ktoś wybijał

prymitywny takt. Jeden głos, wysoki i czysty, zagłuszał wszystkie inne.

Jack poczuł, że zalewa go fala chłodu. To była pieśń żałobna. Żołnierze Highwall śpiewali dla Maybora.

Uchylił powieki i w słabnym blasku płonącego od dawna ognia spojrzął w oczy Tawła. Mina rycerza była poważna, a spojrzenie mroczne jak noc.

- Jack - wyszeptał - czeka nas bardzo długa walka.

Chłopak skinął głową. Wiedział, co czuje Tawl. Sam czuł to samo. Baralis zabrał w końcu jednego z ich przyjaciół.



Natychmiast po przebudzeniu Jacka dopadł nagły atak mdłości. Przed jego oczami przesunęły się wydarzenia minionej nocy. Pamiętał, że zasnął pośród dźwięków żałoby, pogrążył się we śnie, gdy ludzie w Highwall śpiewali dla duszy Maybora. Nie umilkli aż do świtu. Wiedział o tym, ponieważ słyszał ich przez sen.

Teraz jednak obudził go inny dźwięk, który zadziałał na jego zmysły z całą mocą dawnych przyzwyczajęń. Były to kuchenne odgłosy: skrobanie, rąbanie mięsa, stukot garnków, szmer poruszających się mioteł, skwierczenie tłuszczu i gdakanie kur. Czuł się tak, jakby wrócił do Zamku Harvell. Otworzył oczy. Stała nad nim rosla, odziana na biało kobieta.

- Najwyższa pora - zauważyła. - Budź swych koleżków i zmiatajcie mi spod nóg. Kto to widział, żeby spać pod moim piecem! Co sobie wyobraża pan Tallyrod? I tak mam już pod dostatkiem roboty! W sali śpi tylu ludzi, że od tygodnia nie widziałam deski podłogowej. A Ginty to już na pewno żadnej nie widziała. Jest tak zajęta flirtowaniem z każdym chłopem w kasztanowym płaszczu po kolei, że w ogóle zapomniała, jak wygląda podłoga.

Jack uśmiechnął się do nieznajomej.

- Przepraszam za kłopot. Czy mogę w czymś pomóc?

- Zabierz mi tych ludzi spod nóg, a będę ci wdzięczna aż do śmierci. Mogę nawet dać ci łycełek mojego specjalnego piwa.

- Umowa stoi. - Jack wstał i zaczął budzić Tawla, Kosiarza oraz Andrisa. Reszta rycerzy nocowała w stajni.

Kobieta dotrzymała słowa, a nawet więcej. Gdy wszyscy już wstali, otarli oczy, zapięli pasy i zwinęli posłania, podała im śniadanie, złożone z ciepłego chleba, zimnego kurczaka, wilgotnego sera i specjalnego piwa. Zażądała w zamian tylko tego, żeby spożyli je w głównej sali. Gdy Jack wziął talerz, by podążyć za resztą, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Gdybyś tak jeszcze pomógł mi się pozbyć tych kasztanowych płaszczy.

Jack parsknął śmiechem. Dobroć kucharki wypełniła go prostą radością. Na świecie było mnóstwo dobrych ludzi i poza zemstą istniało też wiele innych powodów do walki.

Ucałowała go mocno w policzek.

- Zaczekaj chwilkę. Znajdę ci jeszcze kawałek kurczaka. - Pomknęła do spiżarni i wydobyla z niej parę udek, które natychmiast położyła na talerzu chłopaka. - Masz. To powinno ci starczyć na cały dzień.

Jack odstawił talerz i uściskał ją z całej siły.

- Niedługo zabiorę stąd tych ludzi.

- Ehe, chłopcze. Ale zostaw mi paru. Potrzebny mi ktoś, dla kogo mogłabym gotować.

\*

W głównej sali było zimno. Ludzie z Highwall śpiewali żałobne pieśni aż do chwili, gdy ogień w palenisku wypalił się do końca i nikt nie miał ochoty rozniecać go na nowo.

Jack i Tawl posilali się w milczeniu. W gospodzie panowała atmosfera przygnębienia.

Ludzie byli zmęczeni, a ich wychudzone twarze straszliwie pobladyły. Pozostali rycerze wrócili już ze stajni. Crayne usiadł obok Jacka.

- Co się dzieje? - wyszeptał.

- Umarł Maybor. Przekazał nam swych żołnierzy.

Crayne rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Ci ludzie nigdzie dziś nie pojedą. Są doszczętnie wyczerpani.

Jack skinął głową.

- Będą musieli ruszyć w drogę później. Zresztą minie cały dzień, nim znajdą dla wszystkich wierzchowce, a nie możemy sobie pozwolić na to, żeby czekać tak długo.

Tawl podniósł wzrok znad talerza.

- Mogą podążyć za nami do Brenu i ukryć się gdzieś na wschodnich równinach, aż do chwili, gdy będą nam potrzebni.

- Pod miastem obozuje Tyren - wtrącił Crayne.

- Na wschodzie, czy na południu?

- Na południu, trzy mile od bram.

Wbił w Tawla spojrzenie nieruchomych oczu.

Obaj rycerze spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę. Wreszcie Tawl uniósł dłoń i wsparł ją na barku Crayne'a.

- A ilu ma ludzi? - zapytał z dziwnym napięciem w głosie.

Crayne potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien. Może trzystu, a może więcej.

Jack zrozumiał nagle, co przed chwilą zaszło. Zdradzając Tawlowi tajną informację, Crayne wyrzekł się Tyrena. Zaakceptował Tawla bez zastrzeżeń.

Obaj rycerze rozmawiali dalej, jakby nic w ogóle się nie wydarzyło. Gdy Jack spojrzał

po chwili na Tawla, rycerz ze zdwojonym zainteresowaniem przyglądał się żołnierzom Highwall. Chłopak odniósł wyraźne wrażenie, że jego przyjaciel liczy swych ludzi.

Crayne i Tawl znowu stali się wojownikami, dyskutującymi o strategii, uzbrojeniu i liczebności armii. Szukali najlepszego sposobu na zdobycie obozu Tyrena.

- Przede wszystkim musimy dostać się do pałacu - przypomniał im Jack. Tawl od dawna już zmierzał ku własnemu celowi, który miał jakiś związek z rycerstwem, lecz od chwili skoku do wodospadu przesłonił on wszystko inne. Bez względu na to, co zamierzał

uczynić jego przyjaciel, chłopak nie mógł dopuścić do tego, by to zdarzenie przeszkodziło w uratowaniu Melli i wyeliminowaniu Kylocka.

Tawl przeszył go znaczącym spojrzeniem.

- Nie martw się - rzucił. - Wiem, co jest najważniejsze.

Crayne i Andris popatrzyli na siebie.

Kosiarz wrócił biegiem do stołu. Nikt nawet nie zauważył jego odejścia.

- Grift czeka na górze, Tawl. Chce pogadać z tobą i z Jackiem.

Chłopak wstał z krzesła. Tawl po chwili podążył za jego przykładem i razem ruszyli na piętro. Gdy dotarli na górę, rycerz odciągnął przyjaciela na bok.

- Posłuchaj - rzekł. - Wiem, co trzeba zrobić. Czego musisz dokonać ty, a czego ja.

Możesz być pewien, że proroctwo Maroda i przysięga, którą złożyłem diukowi, są dla mnie najważniejsze, chcę jednak, żebyś wiedział, że podejmę próbę uwolnienia rycerstwa od Tyrena. Nie mam wyboru. Nie wyrzeknę się tego celu, dopóki w moich żyłach płynie krew.

- Co się wydarzyło w wodach Ormonu, Tawl? - zapytał Jack delikatnym tonem.

Szanował determinację rycerza, lecz musiał poznać jego motywy.

Tawl wbił wzrok w podłogę. Nim wreszcie zaczął mówić, zaczerpnął kilka głębokich oddechów.

- Znalazłem to, czego szukałem przez sześć ostatnich lat. Szansę odkupienia błędów przeszłości. Mam na sumieniu śmierć własnej rodziny, Jack. Dwóch sióstr, dwóch pięknych, złotowłosych sióstr, oraz małego, pyzatego dziecka, które zawsze podnosiło wzrok na dźwięk mojego imienia. - Głos zaczął mu się załamywać. - Porzuciłem ich wszystkich. Po prostu sobie wyjechałem.

Przesunął dłonią po twarzy. Nastąpiła długa cisza. Starał się zapanować nad emocjami.

Gdy w końcu się odezwał, jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż przedtem.

- Beze mnie byli bezradni, Jack. Bezradni. Powinienem to już dawno zrozumieć.

Byłem wystarczająco duży. Wiedziałem, że nie zostawiam ich w pewnych rękach.

Pod jego słowami kryła się napięta sprężyna samooskarżenia.

Jack zdawał sobie sprawę, że w tym przypadku jest bezsilny. Bólu dręczącego Tawla nie potrafił ani zrozumieć ani ocenić. Dotknął lekko jego ramienia.

- Nie przeszkodzę ci w tym, co uważasz za swój obowiązek.

Oczy rycerza zalśniły. Jego policzek zadrżał gwałtownie.

- To wszystko, o co cię proszę, Jack.

Chłopak uśmiechnął się. Bardzo żałował, że nie może dać przyjacielowi nic więcej.

- Chodźmy - powiedział, kładąc mu rękę na ramieniu. - Zobaczmy Maybora po raz ostatni.

Grift czekał na nich pod drzwiami. Gdy Jack ujrzał go w ostrym świetle poranka, po raz drugi poraził go szok. Tęgi ongiś strażnik był teraz chudy jak szczapa. Wydawało się, że obejmowanie się jest dziś na czasie, Jack podszedł więc do Grifta i uściskał go serdecznie.

- Miał bezbolesną śmierć. Po prostu zasnął i już się nie obudził.

- Po policzku strażnika spłynęła wielka łza. - To był odważny człowiek. Niektórzy będą wam pewnie mówić, że był próżny, a inni powiedzą, że był diabłem. Nie słuchajcie ich.

Jak spotkacie lady Melliandrę, powiedzcie jej, że jej ojciec był bohaterem. Taka jest prawda.

Wszyscy ludzie pod tym dachem powiedzą wam to samo.

- Wiem, Grift, wiem.

Strażnik otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Pościel na pryczy zmieniono. Ciało Maybora leżało odkryte, z rękami złożonymi na piersi, spowite w czerwoną, jedwabną szatę.

Twarz utraciła kolory, lecz włosy nadal lśniły, a policzki wyglądały na świeżo wygolone.

- Masz. - Grift wręczył Jackowi mały płócienny woreczek. - To są pierścienie i naszyjnik, które włożył przed bitwą. Chciał, żebyśmy oddali je wieśniakom jako zapłatę za konie i dach nad głową. Podpisał też weksel, obiecujący, że jego syn zapłaci resztę.

Jack wsunął woreczek za pazuchę.

- Myślisz, że Kedrac go uzna?

- Wątpię, ale to nieważne. Maybor umarł przekonany, że tak się stanie. Jedyne to się liczy.

- Ale z pewnością po tym, co wydarzyło się podczas bitwy...

- Nie. Maybor uparcie twierdził, że syn uhonoruje jego pamięć. Ten weksel jest dla Kedraca szansą uzyskania przebaczenia. Nie chciał, żeby całe życie sądził, że ojciec umarł, myśląc o nim z nienawiścią. - W głosie Grifta brzmiała wyraźna nuta dumy. Jack zdał sobie sprawę, że zamkowy strażnik bardzo się zżył z wielmożą. - Znam Kedraca - ciągnął. - Może i jest teraz zawzięty i ulega wpływom Kylocka, ale pewnego dnia pożałuje swych uczynków.

Dając mu okazję zapłacenia wieśniakom i oberżyscie, Maybor otwiera przed nim drogę do odkupienia grzechów.

Jack zastanawiał się nad właściwą odpowiedzią, lecz nic nie przyszło mu na myśl. Nie miał wiele do powiedzenia na temat ojców.

Co dziwne, to Tawl się odezwał. Jego głos nie odzyskał jeszcze mocy po złożonym na schodach wyznaniu. Był cichy i ochryply.

- Nie zapominając o synu, Maybor dowiódł, że był dobrym człowiekiem. Nie wszyscy ojcowie kochają synów na tyle, by oszczędzić im poczucia winy.

Jego twarz przybrała posepny wyraz. Jack zastanawiał się, co jeszcze poza śmiercią siostr kryje jego przeszłość. Dlaczego nie pomogli mu ojciec i matka? Dlaczego rodziny zawsze powodowały tak wiele bólu i wyrzutów sumienia?

Grift skierował ich ku wyjściu.

- Ruszacie w drogę już dzisiaj?

- Tak - odparł Jack. - Spotkamy się w Brenie.

Strażnik skinął głową. Nagle wydał się Jackowi bardzo stary. Stary i skurczony.

- Niech Borc błogosławi waszą podróż - rzekł.

- I twoją też, Grift.

Gdy już wychodzili, Tawl odwrócił się nagle.

- Chciałbym dać Melli jakąś pamiątkę po ojcu - powiedział.

Grift bez słowa podszedł do zmarłego i odciął kosmyk włosów. Owiązał go jedwabną nitką wyciągniętą z szaty i wręczył Tawlowi. Srebrne włosy, czerwony jedwab - to był cały Maybor.

\*

Baralis niepokoił się o Skaythe'a. Brat Blayze'a nie odpowiadał na jego sygnały. Od ich ostatniego kontaktu upłynął już z górą tydzień i królewski kanclerz zaczął podejrzewać, że jego wysłannikowi coś się przytrafiło.

Ostatecznie nikt nie mógłby go ignorować tak długo. A już z pewnością nie ktoś taki, jak Skaythe.

Wysypał sobie na dłoń małą jak paznokiec kciuka miarękę oswobadzającego umysł

narkotyku i przełknął ją na sucho. Dopiero gdy z jego języka zniknął gorzki smak specyfiku, pociągnął łyk wina. To takie drobne ćwiczenia siły woli uczyniły go tym, kim był teraz.

Uniósł dłoń. Crope, który był zajęty uszczelnianiem szpar w okiennicach wełną czesanką, podszedł do niego i rozpałił ogień. Gdy płomień buchnął już wysoko, mieszanka była gotowa. Krew, liść i narkotyk poruszały się w miedzianej miseczce w rytm ruchów jego dłoni. Siedząc na grubo wyściełanym krześle, wciągnął w płuca toksyczne opary. Jak zwykle, ciało przez chwilę opierało się gwałtownie ich wpływowi. Fizyczny świat nie lubił oddawać władzy ciemności.

Myśli Baralisa opuściły ciało. Ośrodek jego świadomości pomknął w górę, niematerialny i nieważki, jak niesiony wiatrem pyłek. Wznosił się coraz wyżej, przenikając przez kamień, jakby był wodą, a przez wodę, jakby była powietrzem. Prześliznął się po powierzchni wielkiego jeziora, by nabrać rozpędu, i okrążył miasto, żeby zwęszyć trop. Jego kontakty ze Skaythem pozostawiły za sobą ślad czarów, za którym mógł podążać, jakby był

wskazującą drogę przez labirynt nicią. Baralis wywęszył go i ruszył naprzód. Dzisiejszej nocy Skaythe nie wykręci się od rozmowy.

Mknął na południe, wysoko ponad górami, wyżej niż chmury. Księżyc oświetlał mu drogę, nie dawał jednak ciepła, a gwiazdy lśniły niczym światła przewodnie duszy. Gdyby tylko mogły, zagarnęłyby go dla siebie. Tak jednak się nie stanie. Nie zamierzał do tego dopuścić ani dziś, ani nigdy.

Ślad Skaythe'a zawsze był słaby, a ostatnie dziesięć dni zmieniło go w przerywaną linię. Baralis najpierw był psem, który zwęszył krwawy trop, a potem snującym domysły uczonym. Ostatnio rozmawiał ze swym wysłannikiem niedługo po tym, jak ludzie z Valdis pojмали piekarczka i dezertera z rycerstwa. Skaythe zamierzał ruszyć za nimi i, gdy tylko nadarzy się okazja, zamordować obu uciekinierów. Tak przynajmniej powiedział. Baralis zaczynał podejrzewać, że brat Blayze'a ma do odegrania własny dramat.

Bez względu jednak na to, co uczyni Skaythe, wiedział, że rycerze z pewnością doprowadzą zbiegów do Brenu. Przynajmniej Tyren go nie zawiedzie.

Wciąż mknął na południe wzdłuż Wododziału, zniżając stopniowo lot. Turnie wznosiły się ku niemu niczym groty włóczni, a gwiazdy w górze przypominały główki szpilek. Trop był teraz silniejszy. Baralis schodził za nim w dół. O jego umysł ocierała się zimna, górską mgłą. Wreszcie dotarł w miejsce, w którym po raz ostatni skontaktował się ze Skaythem. Było to odsłonięte wzgórze,

wznoszące się u stóp Wododziału. Nie znalazł tu nic, co świadczyłoby o obecności jego wysłannika. Wszystko wyglądało normalnie.

Wyteżając inteligencję i zmysły, rozciągnął jaźń w kierunku północnym. Szukał teraz fizycznych śladów. Pozostałość czarów była zbyt słaba. Powoli ruszył z powrotem na północ.

Tym razem robił użytek ze wszystkich zmysłów. Wypatrywał pozostałości zgaszonych ognisk oraz najdostępniejszych dla wędrowców ścieżek, wyczuwał na wietrze odór starego końskiego łajna.

Zbliżając się do chłodnych głębi Ormonu, trafił wreszcie na ślad Skaythe'a. Małą, przygasłą już iskierkę. Opadł ku zielonej od soli mineralnych tafli jeziora, próbując odkryć źródło impulsu. Wyglądało na to, że moc rozpuściła się w wodzie. Zdziwiony Baralis rozpostarł szeroko jaźń, po czym pomknął wzdłuż brzegu.

Czuł, że słabnie. Zbyt długo już przebywał poza ciałem i przywoływało go ono z powrotem. Ignorując owe ostrzeżenia, sunął przed siebie, to zanurzając się pod wodę, to wyskakując nad powierzchnię, przedzierał się przez wyschnięte trzciny i bezlistne zarośla.

Nie oddalał się od brzegu. Ślad nie wychodził poza jezioro, odpowiedzi musiał więc znaleźć w nim.

Wreszcie dotarł do porośniętej trawą skarpy. Woń była tu odrobinę silniejsza i Baralis skierował się ku jej źródłu. Na samym brzegu, w cieniu wielkiej jarzębiny, leżały częściowo zamrożone, wystające do połowy z wody zwłoki Skaythe'a. Z serca sterczała strzała.

Wyglądało na to, że jego wysłannik w chwili śmierci zaczerpnął mocy i - nie mając czasu ani sił, by wysłać ją z ciała - oddał ją lodowatym wodom Ormonu. Zaczerpnienia mocy tuż przed śmiercią zwykle utrzymywały się jeszcze długo po ostygnięciu zwłok, wykonując po cichu swe zadanie, nim wreszcie zanikły z upływem czasu. To było stosunkowo słabe, lecz pod tym względem nie różniło się od innych.

Myślami Baralisa targnął ostry spazm. Nie zostało mu wiele czasu. Jego ostygłe, pozbawione duszy ciało nie przeżyje długo bez umysłu, który nadawał mu znaczenie.

Odwracając się od trupa Skaythe'a, Baralis spojrzał jeszcze na narzędzie jego śmierci.

Przeszył go mroczny dreszcz. Nie była to zwykła strzała. Żółto-czarne pierzysko było znakiem Valdis. Skaythe'a zastrzelili rycerze, którym rozkazano pojmać Jacka i Tawla.

Mógł to być przypadkowy strzał oddany do intruza, lecz w takim razie dlaczego zwłoki leżały na brzegu, a nie na wzgórzu, w pobliżu obozu? Baralis uległ zewowi krwi i rozpoczął podróż powrotną do Brenu. Nie patrzył na księżyc, gwiazdy ani chmury, nie myślał

o firmamencie. Miał przed oczyma tylko żółto-czarne pierzysko wystrzelonej przez kogoś z rycerzy strzały. Dlaczego mieliby bronić Jacka i Tawla?

\*

Tavalisk studiował księgi. Czuł się od tego głodny, poirytowany i obolały. Wyciągał szyję nad tak wieloma stronicami, że teraz strzelało mu w niej przy każdym poruszeniu.

Brzmiało to tak, jakby schował za kołnierzem świerszcza!

Zatrzasnął tom i szarpnął za sznurek dzwonka. Czas już na mocny, słodki trunek, solidną kolację i codzienną dawkę Gamila. Księgi były dla mniej ważnych śmiertelników.

Jako arcybiskup miał moralny obowiązek zaprzętać umysł szlachetniejszymi zagadnieniami.

Oznaczało to, że mógł zlecić studiowanie starych woluminów sekretarzowi.

Gamil zjawił się niemal natychmiast, co zasługiwało na pochwałę. Okazał się nie tylko szybki, lecz również przewidujący. Przyniósł tacę zastawioną gorącymi potrawami.

- Ach, Gamilu. Wejdz, proszę, wejdz. Ciebie właśnie chciałem zobaczyć. Postaw tu natychmiast tę tacę. - Tavalisk poklepał dłonią blat. - Przyniosłeś może wino?

- Niestety nie, Wasza Eminencjo. Mam tylko jedną parę rąk.

- Hmm, naprawdę powinieneś nad tym popracować. - Tavalisk wziął w rękę kacze jajo. - Są jakieś wieści o armii Kylocka?

- Dotarła do Camlee przed czterema dniami, Wasza Eminencjo. Ptak przyniósł wiadomość, że natychmiast ruszyła do szturmu.

- Camlee nie powstrzyma tak wielkich sił zbyt długo. Daję miastu najwyżej sześć tygodni.

- Może nawet mniej, jeśli Valdis nadeśle posiłki z południa.

Kacze jajo zamieniło się w ustach arcybiskupa w trociny. No oczywiście. Tyren wyśle wojska z Valdis. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Wypluł jajo w szmatkę.

- To zła wiadomość.

- A na tym jeszcze nie koniec, Wasza Eminencjo - oznajmił Gamil ze śladem satysfakcji w głosie. - Wszystkie wioski i miasteczka leżące między Brenem i Camlee doszczętnie złupiono. Wojska Kylocka skonfiskowały cały inwentarz i zboże na swoje potrzeby. Dochodzą mnie wieści, że ludzi morduje się tysiącami, wioski pali, a kobiety gwałci i plugawi. Wygląda na to, że Kylock dał Kedracowi wolną rękę.

- Nie. Nie wolną rękę, Gamilu. On wręcz go zachęca do tego, by złupił północny wschód. Młody król zna wartość strachu.

Tavalisk rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś do picia. Nie miał na biurku nic poza dzbankiem



wody. Będzie mu to musiało wystarczyć.

- Strachu, Wasza Eminencjo?

- Tak. Wszyscy się przekonają, że jego wojska są brutalne i bezlitosne. Ludzie będą woleli się poddać, żeby uniknąć jego gniewu. Ostatecznie lepiej jest mieć okupowane miasto niż nie mieć żadnego. - Tavalisk wypił wodę. Bez porządnego dodatku wina smakowała bardzo dziwnie. - Oczywiście strach świetnie się też nadaje do utrzymywania podbitych grodów w posłuchu. Nikt nie zaryzykuje buntu, jeśli wie, że mogą mu zamordować żonę i dzieci.

- Wasza Eminencja jest nadzwyczaj mądry.

Tavalisk zerknął na sekretarza. Na jego twarzy nie było śladu ironii. Szybko podjął decyzję.

- Może nie tak mądry, jak mi się zdawało, Gamilu.

- A to dlaczego, Wasza Eminencjo?

- Znasz prorocstwo Maroda, to, które zaczyna się wzmianką o ludziach honoru?

- Oczywiście, Wasza Eminencjo. Chodzi o wiersz, z którego wynika, że jesteś wybranym?

Tavalisk zamachał ręką.

- Tak. Tak. Właśnie o niego. Zacząłem się ostatnio zastanawiać nad jego autentycznością. Jego pochodzeniem, doborem słów i tak dalej. - Arcybiskup przerwał na chwilę. Podobne wyznania przychodziły mu z trudnością. - Podejrzewam, że mogłem popełnić błąd. Rozumiesz, tylko podejrzewam.

- Dlaczego, Wasza Eminencjo?

- Cała ta sprawa z Kylockiem wymyka się spod kontroli. Młody król stał się zbyt silny, zbyt potężny. Poza nożem wbitym w serce, nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby go powstrzymać. Pozostałe południowe miasta nigdy nie połączą sił z Rornem, by go pokonać. Są zbyt zajęte pilnowaniem własnych interesów. Nie podejmą żadnych kroków, dopóki Kylock nie zjawi się u ich bram. A wtedy będzie już za późno. - Pulchne policzki Tavaliska drżały.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że poprzestanie na Camlee.

- Myślę, że na razie poprzestanie, Wasza Eminencjo. Ostatecznie na wiosnę będzie się musiał zająć Highwall i Annisem.

- Na razie! Na razie! A co się stanie później? Za wiele lat? Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści? Kylock jest młody i ma całe życie przed sobą. Nim dokona żywota, może zdobyć cały kontynent.

Gamil wyglądał na zaniepokojonego. Tavalisk rzadko okazywał podobne podniecenie.

- Co możemy w tej sprawie zrobić, Wasza Eminencjo?

Arcybiskup westchnął ciężko.

- Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie ulega wątpliwości, że Rorn musi pozostać nietknięty, nie jest jednak jasne, jak można by osiągnąć ten cel. Do tej chwili moje naturalne skłonności i obowiązki, jaki wyznaczył mi Marod, skłaniały mnie do walki z Kylockiem.

Zaczynam jednak podejrzewać, że może to nie leżeć w interesach Rornu.

- Lepiej jest mieć okupowane miasto niż nie mieć żadnego?

- Tak jest. Jeśli odważę się otwarcie rzucić wyzwanie Kylockowi, kto wie, jak potraktuje nasze miasto? - Tavalisk martwił się raczej o siebie niż o Rorn, wiedział jednak, że rozsądnie jest łączyć te dwie kwestie. - Jeśli jestem wybranym, o którym mówi prorocstwo Maroda, prędzej czy później z całą pewnością zwyciężę. Jeśli jednak nim nie jestem, ryzykuję zagładą Rornu w pogoni za czczą mrzonką.

- Ach - rzekł powoli Gamil. - Rozumiem, na czym polega dylemat Waszej Eminencji.

- Jest to również dylemat Rornu - skarcił go Tavalisk. Nie pozwoli, by jego los oddzielono od losu miasta. Byli jednym i tym samym. - Dlatego muszę się upewnić, czy rzeczywiście jestem wybranym. Na tym właśnie polega twoja rola, Gamilu. Chcę, żebyś dowiedział się wszystkiego, czego tylko zdołasz, o Marodzie i jego prorokowaniu, a także sprawdził wiarygodność jego przepowiedni. Muszę się przekonać, czy prawidłowo ją zinterpretowałem.

Gamil pokłonił się.

- Takie zadanie będzie dla mnie zaszczytem, Wasza Eminencjo.

- Świetnie. Możesz zacząć od dzisiaj. - Tavalisk pchnął w stronę sekretarza pokrywające blat mapy, księgi i manuskrypty. - Proszę. Te materiały powinny ci na razie wystarczyć.

\*

Jechali na północ przez cały dzień i większą część nocy. Śmierć Maybora stała się dla nich dodatkowym bodźcem. Zdali sobie sprawę, że to nie jest gra. Ludzie ginęli naprawdę. W

małej górskiej wiosce pełno było mężczyzn, kobiet i dzieci, których życie miało wkrótce leć w gruzach. Wojska Kylocka zabiorą wszystko, co zechcą, a resztę zniszczą. Nic nie było przed nimi bezpieczne.

Krew Jacka kipiała od żądzy czynu. Czuł, jak przepływa przez jego serce i wypełnia policzki. Pragnienie konfrontacji z Kylockiem przerodziło się w fizyczną potrzebę. Musiał

stanąć z nim twarzą w twarz i unicestwić go własnoręcznie.

Jechał na czele drużyny. Za nic w świecie nie chciałby zostać z tyłu. Maybor umarł, a to znaczyło, że to samo mogło spotkać Melli. Nikt z nich nie był już nieśmiertelny.

Musieli dotrzeć do Brenu, nim będzie za późno.

Zjechali z podgórza na równiny. Mijali ośnieżone pola i biało-zielone łąki, zamrożone polne drogi i pokryte grubą warstwą gnoju ścieżki wydeptane przez bydło.

Okolica była spokojna i bezludna. W powietrzu unosił się jeszcze swąd spalenizny. Od czasu do czasu napotykali szczątki wiosek albo gospodarstw rolnych. Zwęglone belki ostro rysowały się na tle śniegu. Tędy przeszedł Kedrac.

Po pewnym czasie odkryli również inne ślady jego przemarszu. Cienką warstwę śniegu zdeptały kopyta tysięcy koni. Po obu stronach szlaku walały się śmieci: garnki, rondle, kawałki tkaniny, sandały, szkatułki, biżuteria - pozostałości po ludziach, których życiowy dorobek splądrowano, a następnie porzucono.

Dwie godziny później natknęli się na obóz. Bijący od niego smród czuło się już z daleka. Tawł chciał go ominąć, Crayne jednak uparł się, że powinni go zbadać. Poza typowymi pozostałościami, takimi jak wypalona ziemia, zrąbane drzewa, gnijąca żywność i ludzkie odchody, z tyłu, w płytkim rowie ukrytym w kępie krzaków, znaleźli ciała trzydziestu kobiet. Ich nagie kończyny pokrywała skorupa krwi, lodu i błota. Włosy ostrzyżono, piersi poodcinano, a organy płciowe miały czarne od zakrzepłej krwi.

Wszyscy członkowie drużyny przeżegnali się. Borlin zdjął z siodła tarczę i - używając jej jak łopaty - zaczął kopać zamrożoną ziemię. Z pomocą pospieszył mu Crayne, a potem Andris i cała reszta.

Przerwali wędrówkę na całą godzinę, by przysypać zwłoki warstwą gleby. Żaden z rycerzy się nie odzywał, lecz ich twarze zdradzały wszystko. Na brzegach Ormonu przyjęli do serca Tawła, a tutaj, dziś, ostatecznie wyrzekli się Tyrena. Nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno, ale wszyscy wiedzieli, że wśród ludzi, którzy tu obozowali, byli również rycerze.

Przyspieszyli później, chcąc zostawić obóz jak najdalej za sobą.

Kapryśny blask księżyca rzadko przedzierał się przez gęste chmury. Dał silny wiatr i od czasu do czasu sypało trochę śniegu, lecz po mroźnym, wietrznym podgórzu pogoda na równinach wydawała im się przyjemna. Również koniom było tu łatwiej, dzięki czemu mogły między postojami pokonywać dłuższe odcinki. Jack narzucił ostre tempo, lecz rycerze jechali tylko o krok za nim.

Zmierzali na północny zachód, zmieniając kierunek zależnie od wymogów terenu.

Szczyty Wododziału spowijała szara mgła, która z nastaniem nocy spływała powoli na podgórze i równiny. Wierzchowce były zaniepokojone, a płaszcze i broń wędrowców pokryła warstewka wilgoci. Jack zwolnił do kłusa, by poszukać jakiegoś miejsca, gdzie mogliby rozbić obóz.

W ciemnym paśmie leżącym między mgłą a chmurami ocena czasu i odległości była trudna. Jack nie miał pojęcia, jak długo jechali, ani jaki dystans pokonali, nim wreszcie stanęli. Jedzenie dla koni nie stanowiło problemu, gdyż zabrali z wioski spory zapas ziarna, potrzebowali jednak osłony drzew, a szczególnie świeżej wody. Wreszcie dotarli do grupy sękatych dębów, większej niż zagajnik, lecz za małej na las. Borlin określił ją słowem *bosk*.

Między drzewami płynął wąski strumyk. Jack podprowadził do niego wierzchowca, by pozwolić mu się napić. Nim zdjął z niego siodło, rycerze rozpalali już ogień. Lubił się przyglądać, jak pracują. Łamali gałęzie z szybkością błyskawicy i już po kilku minutach przygotowywali coś gorącego.

Gdy wszyscy najedli się do syta, usiedli wokół ogniska, otuleni szczelnie kocami, pociągając po kolei brandy z manierki.

- Jak daleko jeszcze do Brenu? - zapytał Jack, podając naczynie Kosiarczowi.

- Osiem dni szybkiej jazdy. Siedem, jeśli użyjemy batów. - Crayne wepchnął patyk w ognisko. Był dobrze zbudowanym mężczyzną o brązowych włosach usianych nitkami siwizny i zielonkawych oczach, najstarszym poza Borlinem członkiem drużyny. - Zbliżając się do miasta, będziemy musieli zwolnić. Trzeba będzie uważać na zwiadowców. Jeśli ktoś nas zatrzyma, będziemy twierdzić, że wykonujemy rozkazy Tyrena.

- A jeśli to będą rycerze?

Przed udzieleniem odpowiedzi Crayne spojrzął na Borlina, a potem na Tawła.

- Będziemy musieli ich zabić. Nie możemy pozwolić, by ludzie Tyrena zatrzymali nas.

nim dotrzemy do miasta. Jeśli rozejdzie się wiadomość, że pojmano ciebie i Tawła, Tyren wyśle za nami pościg, Baralis przeniesie lady Melliandrę gdzieś, gdzie nigdy jej nie znajdziemy, a Kylock skupi w mieście wszystkie siły, które mu pozostały. Jeśli chcemy wedrzeć się do pałacu, musimy za wszelką cenę zachować tajemnicę.

Słuchając słów Crayne'a, Jack odnosił nieodparte wrażenie, że rozmawiał już dziś z Tawłem. Najważniejsze dla niego nie było teraz rycerstwo, lecz pałac. Zapisał sobie w pamięci, żeby podziękować potem Tawłowi. Cieszył się, że ma kogoś, na kim może polegać.

- Skąd możemy mieć pewność, że lady Melliandra jest tam uwięziona? - zapytał

Andris.

Tawl wzruszył ramionami. Wreszcie udało mu się wyrwać naczynie Kosiarczowi.

- Kiedy już znajdziemy się w mieście, będziemy musieli się rozdzielić, wypytać ludzi, dowiedzieć się wszystkiego, czego zdołamy. Ktoś z pewnością wie, gdzie ją przetrzymują.

- A jeśli jest w pałacu, to jak ją tam odszukamy?

Kosiarz szybkim ruchem odzyskał brandy.

- To już zadanie dla mnie, Andrisie. Znam pałac jak własną kieszeń. Zaprowadzę was tam szybciej, niż zdołasz przypiąć napierśnik.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak „nafiełśnik”. Chłopiec wypił stanowczo za dużo mocnego trunku.

Tawl wręczył mu manierkę z wodą.

- Wypij to... natychmiast! - zagrział, gdy Kosiarz się zawahał.

Borlin sięgnął ręką do plecaka.

- Masz - powiedział, podając Tawlowi nad ogniskiem bochen chleba. - Niech lepiej to zje.

- To znaczy, że możemy się zakraść do pałacu - ciągnął Crayne, ignorując pijanego kieszonkowca. - Zapewne dostaniemy się też do miasta, choć niektórzy z nas będą musieli iść pieszo, żeby nie przyciągać uwagi. Co jednak zrobimy, gdy już uwolnimy lady Melliandrę?

- Ukryjemy się gdzieś do zachodu słońca - odparł Tawl - a potem wymkniemy się z miasta pod murem, i pojedziemy na wschód, na spotkanie ludziom Maybora. Po ich przybyciu skierujemy się na południe i zdobędziemy obóz Tyrena. Ku wyraźnej uldze Tawla, rycerze pokiwali głowami na znak aprobaty.

Jack kaszlnął, chcąc przyciągnąć uwagę na siebie.

- Gdy już zabierzecie Melli z pałacu, zajmę się Kylockiem. Nie proszę nikogo o to, by mi towarzyszył i - spojrzał Tawlowi prosto w oczy - nie chcę, żeby ktoś próbował mnie ratować, jeśli nie wrócę. Waszym zadaniem będzie Tyren.

Mgła zawirowała wokół ogniska. Gdy dotykała płomieni, słychać było głośny syk.

Rycerze bez słowa czekali na odpowiedź Tawla, który ani na moment nie spuszczał wzroku z Jacka. Obaj wiedzieli, jak wiele im oferowano.

- Jesteś dobrym przyjacielem, Jack - odezwał się wreszcie. - Obiecuję, że zrobię to, o co mnie prosisz, choć serce może mnie sprowadzić na manowce.

\*

Sen nie przyszedł tej nocy szybko. Jack miotał się na pościeli aż po świt. Jego sny wypełniały wizje Maybora na łożu śmierci oraz trzydziestu zwałonych do rowu kobiet.

Rycerze również byli niespokojni. Podejrzewał, że myślą o Tyrenie, którego wkrótce mieli zdradzić. Jeśli przegrają, nie będzie już odwrotu.

Noc była długa, mgła lodowata, a ziemia pod kocami twarda jak kamień. Gdy na wschodzie pojawił

się wreszcie różany cień jutrenki, nikt w drużynie już nie spał. Ich oddechy zamieniały się w parę w mroźnym powietrzu. Podnieśli się, zebrali rzeczy i zasypali kopniakami ognisko, po czym ruszyli na północ, w stronę Brenu.

Baralis doszedł do wniosku, że pora już odwiedzić piękną Melliandrę. Właśnie wrócił

ze spotkania z Kylockiem i to, co zdołał wyciągnąć z króla, świadczyło, że dziewczyna próbuje go wywieść w pole. Był potrzebny w Camlee. Kedrac był dobrym wodzem, ale nie mógł się równać z Kylockiem. Baralis wiedział, że, by osiągnąć szybkie i pewne zwycięstwo, konieczna jest obecność monarchy. Niestety, córka Maybora owinęła go sobie wokół palca i teraz odwlekał wyjazd, czekając, aż będzie gotowa.

Baralis nie wiedział, co to właściwie ma znaczyć i nic go to nie obchodziło, potrafił

jednak na milę zwęszyć grę na zwłokę. To właśnie było głównym powodem, dla którego wybierał się do niej z wizytą. Nikt nie będzie ingerował w jego plany.

Drugi powód był mniej dotykalny, lecz równie istotny.

Zapalił lampę oliwną, wymacał za pazuchą miedziany nóż do sporządzania pieczęci i opuścił komnatę. Całkowicie bezgłośnie, z dłońmi skrytymi pod szatą, szedł korytarzami, które zawsze były opuszczone, i wchodził po schodach, których nie sprzątało od roku.

Wyszedł z za rogu i znalazł się twarzą w twarz z panią Greal. Zorientował się nagle, że nie widział jej od nocy porodu, czyli od z górą dwóch tygodni.

Była wyraźnie zaskoczona jego widokiem. W jednej ręce trzymała miseczkę z gorącą wodą, w drugiej zaś koc z owczej wełny.

- Właśnie udaję się na spoczynek, panie - oznajmiła, unosząc miseczkę.

- Trochę wcześniej, jak na takiego nocnego marksa.

Baralisowi nie spodobała się jej mina.

Pani Greal uśmiechnęła się głupkowato.

- Muszę się wreszcie porządnie wyspać, panie.

Dygnęła szybko i oddaliła się truchtem.

Baralis otwierał już usta, by kazać jej się zatrzymać, lecz dotyk ocierającego się o udo noża przypomniał mu, że ma na głowie ważniejsze sprawy. Ta szczerbata wiedźma na pewno coś kombinowała, ale poruszała się swobodnie po pałacu już od pięciu miesięcy i nie miało sensu powstrzymywać jej akurat teraz. Ruszył w dalszą drogę.

Po kilku minutach wspiał się do celi Melliandry. Dziewczynę więziono w opuszczonej przybudówce, nieopodal komnat dla szlachty. Nikt tu nigdy nie zaglądał. Dwaj wartownicy podnieśli się na jego widok. Baralis natychmiast zauważył, że są pijani. W normalnej sytuacji nie przejmowałby się tak

drobnym wykroczeniem, lecz od tygodnia w jego umyśle narastał

jakiś nieokreślony niepokój, który kazał mu ich zrugać.

- Posłuchaj, no - warknął, wskazując palcem na bliższego z mężczyzn. - Jeśli jeszcze raz ośmielisz się pić na służbie, każę ci odrąbać po kolei wszystkie paluchy. Ponieważ jesteś tu starszy - dodał, zwracając się do drugiego - i w związku z tym odpowiadasz za swego towarzysza, tak samo, jak za siebie, każę uciąć ci ręce na wysokości łokci. - Obaj żołnierze wybałuszyli oczy z przerażenia. - Czy to jasne?

Starszy z wartowników skinął głową. Spróbował coś powiedzieć.

Baralis nie dał mu dojść do słowa.

- Nie chcę słyszeć żadnych usprawiedliwień ani obietnic. Zróbcie, jak każę. - Obaj ochoczo pokiwali głowami, co usatysfakcjonowało królewskiego kanclerza. - No dobrze.

Zaczekajcie na dole, dopóki was nie zawołam. - Zawahali się. - Wynocha!

Patrzył, jak oddalają się biegiem. Gdy odgłos ich kroków przeszedł w cichy stukot, wydobyl nóż. I rękojeść, i ostrze wykonano z miedzi. Był właściwie tylko ozdobą. Nie służył

do walki, krojenia mięsa, czy przecinania sznurów, lecz do dłubania w drewnie i rycia w nim pieczęci.

Były to magiczne znaki umieszczane na drzwiach. Jeśli wykonano je we właściwy sposób i za pomocą odpowiedniego noża, pełniły funkcję wartowników. Jedwabna nić czarów łączyła pieczęć z jej twórcą i nawet najdrobniejsze zakłócenie mogło go zaalarmować. Baralis umieścił podobne znaki na drzwiach swych komnat w Zamku Harvell. Zawsze wiedział, gdy ktoś przekraczał jego próg. Długo i intensywnie zastanawiał się nad strzałą z Valdis, która utkwiała w sercu Skaythe'a, aż wreszcie postanowił, że tu również zabezpieczy się w ten sposób.

Postawił lampę na posadzce i ogrzał ostrze w jej płomieniu. Już od tygodnia gryzł się myślą o ormońskim incydencie. Nie był pewien, co właściwie się wydarzyło. Mogło to być jedynie przypadkowe zabójstwo bądź też znak, że rycerze są teraz w zмовie z Jackiem i Tawlem. W podobnych sytuacjach zawsze skłaniał się ku ostrożności. Zgodnie z jego obliczeniami, grupa rycerzy powinna przybyć do Brenu już za kilka dni i jeśli istniała choć najmniejsza szansa na to, że mogą czegoś spróbować, zamierzał się upewnić, że spotka ich niepowodzenie.

Piekarczyka trzeba było zgładzić. Zdołał już zniszczyć Larn i nie można dopuścić do tego, by to samo uczynił z imperium.

Jeśli zaś chodzi o rycerza - no cóż, należało go osądzić i powiesić za zamordowanie Catherine. Zbyt długo już wymykał się sprawiedliwości.

Wyjął nóż z płomieni. Ostrze zaczęło ciemnieć, a rękojeść zrobiła się gorąca. Dotknął



czubkiem narzędzia drewnianej powierzchni drzwi, po czym przystąpił do wypowiedzania właściwych zaklęć. Gdy wydobywały się z jego ust, ślina zgęstniała od czarów. Rozgrzane ostrze wbiło się w drzwi na głębokość trzech włosów.

Ważny był nie tyle sam znak, co kąt, pod jakim trzymano nóż. To pochylenie brzegów linii kazało pieczęci tańczyć. Runy, gwiazdy i inne symbole wywierały raczej fizyczne niż magiczne działanie. To przesady powstrzymywały większość ludzi przed przekraczaniem zabezpieczonych w ten sposób drzwi. Tej pieczęci jednak nikt nie zauważył na pierwszy rzut oka. Baralis wpasował ją w słoje drewna, odbiegając od tego tylko wtedy, gdy było to naprawdę konieczne. Dla przypadkowego obserwatora drzwi będą wyglądały normalnie.

To właśnie chciał osiągnąć Baralis. Na wszelki wypadek.

\*

- Spotkamy się o północy, u wejścia „Pod Przepelnione Wiadro” - oznajmił Crayne, spoglądając w oczy wszystkim po kolei. - Jeśli któraś grupa się spóźni lub zostanie schwytana, albo pozostali się nie zjawiają, ruszymy dalej bez nich. Zrozumiano?

Jack skinął głową, podobnie jak reszta ludzi. Stali na ciemnym rogu ulicy we wschodniej dzielnicy Brenu. Po lewej stronie urzędował szewc, po prawej zaś wznosiła się słabo oświetlona gospoda o szafranowożółtych zasłonach. Był wczesny wieczór. Weszli do miasta przed niespełną kwadrans.

Żeby tu dotrzeć, gnali przed siebie przez siedem dni. Siedem dni dręczyły ich deszcz ze śniegiem, gwałtowne wichry i poranne mgły. Zatrzymywali się jedynie wtedy, gdy konie potrzebowały wytchnienia. Każdego dnia jechali jeszcze pięć godzin po zachodzie słońca. Na horyzoncie rysowały się spalone wioski i gospodarstwa rolne, a pola pokrywały zwłoki i najróżniejsze odpadki. Cały czas zmierzali śladem Kedraca. To była najszybsza droga do Brenu.

Dziś rano zbliżyli się wreszcie do miasta. Skręcili lekko na północ, by dotrzeć do wioski o nazwie Fair Oaks. Tam właśnie umówili się z żołnierzami Maybora. Ludzie z Highwall zostali jakieś dwa, trzy dni drogi za nimi, Crayne kazał więc Follisowi i Mafreyowi poczekać na nich w osadzie. Pozostali rozdzielili się na dwie grupy. W skład pierwszej wchodził Jack, Tawl, Kosiarsz, Crayne i Borlin, drugą zaś prowadził Andris. Pierwsza miała za zadanie przedostać się do miasta, by dowiedzieć się czegoś o miejscu pobytu Melli oraz stosowanych w pałacu środkach bezpieczeństwa. Później spotkają się z drugą grupą i opracują plan działania.

Jak dotąd, nikt ich nie zatrzymywał. Podróż do miasta przebiegła bez incydentów.

Jack i jego towarzysze nie mieli też żadnych problemów przy bramie. Połowę koni zostawili w Fair Oaks. Gdy zbliżali się do murów, wierzchem jechał tylko Borlin i Kosiarsz. Dwaj rycerze nieśli znacznie mniej broni niż zwykle. Zdjęli także zbroje i starannie zakryli kręgi.

Jack nadal sądził, że można ich rozpoznać na trzy mile, lecz rycerze byli teraz w Brenie mile witaniymi gośćmi i strażnik nawet nie uniósł brwi.

Kłopoty mieli tylko z Tawlem. Wielu mieszkańców miasta znało go z widzenia, a w dodatku tacy rośli, złotowłosi mężczyźni byli rzadkością. Oznajmił przy bramie, że Kosiarz jest jego synem, a przedtem nałożył filcowy kapelusz i wtarł popiół w tygodniowy zarost, idąc zaś trzymał się konia jak kaleka. Jack omal nie parsknął śmiechem na ten widok. Do tej pory Tawl zawsze wyglądał dostojnie. Teraz, gdy na głowie miał filcowy kapelusz i utykał na jedną nogę, sprawiał wrażenie wyjątkowo potężnie zbudowanego wioskowego głupka.

Przebranie okazało się jednak skuteczne. Strażnik wypytał bystrego syna zamiast matołkowego ojca i - nie usłyszawszy nic podejrzanego - przepuścił obu.

Straże były bardzo gęsto rozstawione. Po obu stronach bramy stał tuzin czarnych hełmów, a na szczycie muru dwa razy tyle. W mieście sprawy wyglądały tak samo: czarne hełmy pełniły straż na każdym rogu oraz na blankach. Tawl i Crayne zgodzili się, że nie wszyscy z tych ludzi są porządnie wyszkoleni. Najlepszych Kedrac zabrał do Camlee. Bez względu jednak na to, jak biegle władali bronią, było ich wystarczająco wielu, by budzili lęk.

Idąc przez miasto, Jack czuł, jak mocno wali mu serce.

Ruszył z Tawlem i Kosiarzem w jedną stronę, a Crayne i Borlin podążyli w drugą.

Czterech dorosłych mężczyzn chodzących razem mogłoby przyciągnąć niepożądaną uwagę czarnych hełmów. Mieli się spotkać za cztery i pół godziny w gospodzie wybranej przez Kosiarza. Andris i pozostali ludzie z drugiej grupy zamierzali wejść do miasta dwie godziny przed zamknięciem bram. Ich zadaniem było znalezienie prowiantu i jakiegoś lokum.

- Od czego powinniśmy zacząć? - zapytał Tawl. Rondo kapelusza rzuciło na jego oczy głęboki cień. I całe szczęście, pomyślał Jack, bo jego przyjaciel ciągle rozglądał się za czarnymi hełmami.

- Spróbujmy się dowiedzieć, co się stało z lordem Cravinem. - Młodzieniec wetknął

ręce pod bluzę, żeby mu nie przemarzły. Nadeszła zima i w Brenie było znacznie chłodniej niż podczas jego poprzedniego pobytu w tym mieście. - Pokręcmy się obok jego kamienicy.

Wypytamy ulicznych handlarzy i może też zajrzemy do paru gospód.

Jack i Tawl popatrzyli na Kosiarza. Kieszonkowiec był niekwestionowanym znawcą miejskiego życia i wszelkie obiekcje, jakie mógłby wysunąć, byłyby bardzo wartościowe. Jak każdy ekspert, chłopiec znał swą wartość. Wciągnął powietrze w płuca, po czym wypuścił je na zewnątrz, nadymając raz za razem policzki.

- Plan Jacka jest niezły. Będę się trzymał kawałek za wami, żeby mieć wszystko na oku. W razie potrzeby podniosę wrzask. Nikt nie zwróci uwagi na takiego chłopca, jak ja.

Będę praktycznie niewidzialny.

- To brzmi nienajgorzej, Kosiarzu - pochwalił go Jack. - Ruszajmy.

Droga nie była daleka. Kamienica lorda Cravina leżała w odległości niespełna trzech mil od wschodniego muru. Zgodnie z radą Kosiarza, postanowili nie zbliżać się do budynku.

Cały czas trzymali się o kilka przecznic na południe od niego. Gdy weszli na mały plac, na którym handlarze zwijali już kram na noc, Jack odłączył się od grupy i wszedł między stragany. Zaczął się przemieszczać, mężczyźni i kobiety na rynku zwijali się więc szybko, by ich towar nie przemókł.

Jack wypatrzył sprzedawcę pieczywa i - przepychając się między handlarzami owoców i wina - podbiegł do jego prostej, drewnianej budki. Małeńki, łysy mężczyzna układał właśnie słodkie bułeczki na zakrytej tacy.

- Nie rozdaję resztek, przyjacielu - oznajmił, nie podnosząc wzroku. - Żona daje wszystko świniom.

- Są na pewno bardzo szczęśliwe.

- Ehe. Żona dba o nie jak o własne dzieci. Zdarłaby mi skórę z pleców, gdybym nie przyniósł nie sprzedanych bułek.

- Jak ostatnio idą interesy?

Jack zauważył, że zbliża się Tawl. Powstrzymał go lekkim skinieniem dłoni.

Handlarz nadal nie podnosił wzroku. Zaczął układać pieczywo na drugiej tacy.

- Odkąd otworzyli bramy, trochę się poprawiło, ale nikt nie ma pieniędzy, a do tego zaczyna brakować zboża. Niedługo będziemy piec bułki ze świeżego powietrza.

- Niektórzy mówią, że za diuka było lepiej.

Dłoń mężczyzny zamarała nad bułkami. Drżała.

- Nie jestem jednym z nich - odparł.

Jack skinął powoli głową. Handlarz wziął go za wicherzyciela. No cóż, nie zaszkodzi utwierdzić go w tym przekonaniu.

- Oczywiście, przy całym tym zamieszaniu w pałacu król nie ma czasu zająć się sprawami miasta.

- Nic nie wiem o żadnym zamieszaniu. Słyszałem plotki, tak jak wszyscy, ale nie poświęcam im zbyt wiele uwagi. - Przestał układać bułki na tacy. Wsypał je wszystkie na stos, rzucił tace na wózek i złapał za jarzmo. - Muszę już jechać. Żona się niecierpliwi.

Jack złapał go za ramię i ścisnął mocno.

- Jakie plotki słyszałeś?

Handlarz był mały niczym dziecko, a kości miał cienkie jak patyczki. Jackowi było go żal, nie miał

jednak wyboru. Brakowało mu czasu.

- Powiadają, że Kylock zabija każdego szlachcica, który mu się sprzeciwi. Że lord Baralis jest demonem, który pożera małe dzieci, a całym pałacem włada obłąkana, szczerbata kobieta.

Bez względu na dręczący go strach, te ostatnie słowa handlarz wypowiedział z wyraźną satysfakcją. Szarpnął ręką i Jack go wypuścił.

- Czy Kylock zabił też lorda Cravina?

Handlarz zarzucił sobie jarzmo wózka na ramiona.

- Powieszono go już kilka miesięcy temu. Powieszono, poćwiartowano i zostawiono na murze, żeby zgnął.

Jack chciał już pozwolić mężczyźnie odejść, lecz nagle coś przyszło mu do głowy.

- Jak nazywa się ta kobieta, która rządzi pałacem? - zawołał.

- Pani Greal - krzyknął handlarz. - Jej siostra ma burdel w południowej dzielnicy miasta.

- A jak ma na imię?

- Nie pamiętam. - Skrzypienie osi zagłuszyło na moment głos łysego człowieczka. -

Chyba Thorny coś tam.

Jack odwrócił się rozczarowany. Nie dowiedział się nic użytecznego. Lord Cravin nie żył i nie mieli do kogo zwrócić się po informacje. Znali tylko na wpół zapamiętane nazwisko właścicielki burdelu w mieście pełnym podobnych przybytków.

Wrócił do Tawla, stąpając ciężko. Mżawka przerodziła się w śnieg. Miękkie płatki przylepiały się do włosów Jacka. Rycerz milczał, gdy przyjaciel opowiadał mu, czego się dowiedział. Na koniec jednak, gdy padło imię właścicielki burdelu, przymrużył gwałtownie powieki.

- Powiedziałeś „Thorny”?

Jack skinął głową.

- Thornypurse.

W ustach Tawla zabrzmiało to niczym przekleństwo. Mimo filcowego kapelusza z oklapłym rondem wyglądał jak człowiek, któremu nikt nie chciałby wchodzić w drogę.

- Znasz ją?

- Omal mnie nie zabiła.

Rycerz odwrócił się nagle. Odnajdując wzrokiem czającego się po drugiej stronie placu Kosiarza, wezwał go skinieniem dłoni.

Chłopiec podbiegł do nich przez błoto i odpadki z gracją tancerza.

- Co jest? - zapytał, zatrzymawszy się z efektownym poślizgiem.

- Musimy złożyć wizytę starej przyjaciółce. Pomyślałem sobie, że zechcesz wybrać się z nami.

\*

Zgrzytanie za drzwiami nie milkło przez kilka minut. Gdyby jego źródło nie znajdowało się tak wysoko, można by pomyśleć, że to szczury.

Melli podrapała się w rękę. Skóra swędziała ją tak bardzo, że przed chwilą musiała zdjąć łubki. W słabym, dobiegającym spod drzwi świetle dostrzegła nierówny zarys przedramienia. Pod skórą utworzyła się kostna narośl. Złamanie się zrastało, lecz w nieprawidłowy sposób. Wiedziała, że jej lewa ręka nigdy już nie będzie wyglądała tak, jak przedtem. Gdyby zajął się nią chirurg, mógłby ograniczyć szkody, lecz z dnia na dzień szanse ponownego zestawienia kości malały.

Odliczyła w myśli dni, które minęły od czasu, gdy odesłała Kylocka. Osiem. Za dwie noce odwiedzi ją znowu. Przygotowała plan, który powinien jeszcze trochę odwlec sprawę.

Już od tygodnia zbierała resztki jedzenia, nic szczególnego - jabłko, skrawek kurzego tłuszczu

- ale wystarczająco wiele, by gnęło sobie spokojnie pod łóżem. W dzień wizyty Kylocka wetrze sobie śmierdzące szczątki w ubranie i uda. Jeśli sam smród go nie odstraszy, powie mu, że zaraziła się tryprem albo czymś jeszcze gorszym.

Nie było to zachowanie godne damy, lecz Kylock również nie był dżentelmenem.

Uważała, że to dobry plan. Ponieważ ostatnio do komnaty nie zaglądał nikt poza wartownikami, ryzyko zdemaskowania było niewielkie.

Zgrzytanie ucichło nagle. Brzuchem Melli targnął widmowy skurecz. Od chwili porodu strach czuła zawsze najpierw we wnętrzościach. Przez kilka sekund panowała cisza, lecz w bijącym spod drzwi świetle tańczyły cienie i Melli wiedziała, że ktoś tam się rusza. Czy to był

Kylock? A może pani Greal? Wyciągnęła zdrową rękę po łubki, po czym zaczęła długą i trudną procedurę przywiązywania ich z powrotem. Gdy uszkodzonej kończyny nic nie osłaniało, dziewczyna czuła się zupełnie bezbronna.

Trzymając koniec bandaża w zębach, owinęła nim prawą dłoń.

Musiała to robić powoli, gdyż wszelkie gwałtowne ruchy mogłyby spowodować ponowne złamanie.

- Widzę, że bawisz się w doktora.

Uniosła wzrok. W drzwiach stał Baralis. Nie słyszała, jak wchodził.

Przyniósł ze sobą lampę.

- Nikt nie opatrzył ci ręki?

- A tobie nikt nie poderzwał jeszcze gardła?

Śmiech Baralisa był zaskakująco ciepły.

- Dumna z ciebie dziewczyna. Myślałem, że pięć miesięcy uwięzienia stępi ten twój języczek.

Brzmienie jego dźwięcznego, kulturalnego głosu przywołało wspomnienia przeszłości: palców przebiegających po jej plecach, głęboko zaczerpniętego oddechu, oszałamiającej woni. Zorientowała się, że znalazła się z królewskim kanclerzem sam na sam po raz pierwszy od dnia, gdy w Zamku Harvell przeniósł ją z komnaty do magazynu. Od owej chwili upłynęło parę lat, dlaczego więc wydawało się jej, że było to wczoraj? Poczowała ostrzegawczy ucisk w żołądku, lecz w głowie szumiała jej krew, jakby była pijana.

Nakazując sobie zachować spokój, wróciła do owiązywania ręki.

- Pozwól, niech ja to obejrzę.

Baralis znalazł się przy niej, nim zdążyła się zorientować.

Cofnęła się. Jego woń, wypełniwszy jej nozdrza, przyniosła ze sobą inne, starsze i słabsze wspomnienie. Dłoń na jedwabnej sukni. Dziecinnej sukni. Sztywne tkaniny wyszły z mody już dziesięć lat temu.

- Nie boisz się chyba dotyku? - zapytał z drwiną w głosie Baralis. - Nie obawiaj się, nie jestem Kylockiem. Nie zamierzam zabawiać się drobnymi torturami.

- To prawda. Wolisz gorsze rzeczy. - Melli dygotała. Jej brzuch znów ogarnęły widmowe skurcze. - Co zrobiłeś z moim dzieckiem?

Złapał ją za ramię. Bandaż ustąpił i łubki spadły na łożo.

- Przecież wiesz. Chłopiec nie żyje.

Chłopiec. Melli zamknęła oczy. Urodziła syna. Poczowała się na tę wiadomość tak, jakby straciła dziecko po raz drugi. Znowu zalał ją ból, taki sam, jak ten, który czuła pierwszego poranka. Ścisnęło ją w gardle, a żołądek zmienił się nagle w twardą kulę. Piersi - w których od dwóch dni nie miała mleka - przeszył nagły, wywołujący mdłości ból. Stłumiła pragnienie wyrwania się z uścisku Baralisa. Trzymał ją mocno za rękę i nagłe szarpnięcie mogło się zakończyć złamaniem.

Królewski kanclerz przesunął kciuk po kostnej wypukłości. Choć paznokcie miał

krótko przycięte, było w nich coś przerażającego. Wydawały się za wielkie w porównaniu z cienkimi, pozbawionymi krwi palcami. Brak tak zasadniczej, typowej dla ludzi proporcji wzbudził strach Melli. Świadczyło to, że Baralis jest potworem.

Jego dotyk przerodził się w pieszczotę.

- Jaki paskudny zrost, jaki brzydki mały guz. Psuje doskonałą linię twojej ręki.

Pierś Melli falowała szybko. Ścisnęło ją gwałtownie w gardle. Powietrze przeciskało się z trudem przez jej płuca niczym wypełniający klepsydrę piasek. Po policzkach spłynęły łzy.

- Jak umarło moje dziecko?

Baralis postukał palcem w kość.

- Moja droga Melli, nie sądzę, byś mogła zadawać mi pytania. - Skierował na nią spojrzenie swych szarych oczu. - A jak ty uważasz?

- Czego chcesz?

Głos dziewczyny nawet w jej własnych uszach brzmiał wysoko, niemal histerycznie.

- Ach. - Baralis wzmocnił uchwyt, zaciskając palce na jej ramieniu. - Damy, które próbują małych gier, powinny się liczyć z tym, że spotkają się z tym samym. - Przesunął

palcami wzdłuż jej ramienia i po gorseciku sukni. Wreszcie zatrzymał dłoń na brzuchu. - A w gierkach zawsze ktoś przegrywa.

Zapach Baralisa wyostrzył jej zmysły niczym narkotyk. Nawet przez tkaninę czuła dotyk jego dłoni - szorstki, chłodny i zdecydowany. Ciało Melli rozluźniło się powoli. Skurcz w gardle ustąpił, powietrze napłynęło do płuc, a żołądek rozprostował się pod dłonią królewskiego kanclerza.

- Świetnie, świetnie - pochwalił ją Baralis. - A teraz słuchaj bardzo uważnie. Nie wiem, co powiedziałaś, czy uczyniłaś Kylockowi, wiem jednak, że robisz z niego durnia.

Kiedy znowu do ciebie przyjdzie, chcę, żebyś spełniła wszystkie jego pragnienia.

Zdawała sobie niejasno sprawę, że już kiedyś przeżyła z Baralisem coś podobnego.

Dotykał jej, wydawał polecenia. Nawet wrażenia były identyczne: pociąg, dezorientacja, lekki zamęt w myślach. Jaki wpływ na nią wywierał?

Nie ścisnął już jej ramienia, mogła więc się cofnąć. Podczas tego ruchu wciągnęła w płuca jego oddech. Zamarła na chwilę, pragnąc poczuć przebiegające po plecach palce, nim zrozumiała, że to tylko wspomnienie. Dlaczego królewski kanclerz tak ją pociągał? Nie pojmowała tego.

Zacisnęła zęby. Napięła mocno mięśnie szyi i szczęk. Musiała myśleć jasno, jednak było to trudne.

Głowa ciążyła, a ciało poruszało się powoli. Wbiła paznokiec kciuka zdrowej dłoni w miękką skórę palca wskazującego. Ból przeszył jej głowę falą szoku. Melli ujrzała wszystko z nagłą wyrazistością, która pozwoliła jej wstać z łóża.

Baralis zachował się podobnie. Gdy próbowała się od niego odsunąć, podążał za nią krok w krok. Wreszcie nie miała już gdzie się cofnąć. Jej łydki dotknęły stojącej pod ścianą skrzyni.

- Rozczarowujesz mnie, Melli - rzekł Baralis. - Miałem nadzieję, że obejdzie się bez nieprzyjemnych scen.

Wrażenie znikło. Zamęt w myślach ustąpił w jednej chwili. Gorące pulsowanie w skroniach przeszło tak szybko, jak się pojawiło. W zimnym, pełnym bólu świetle, w którym się nagle znalazła, Baralis wyglądał jak przerażający demon o ostrym spojrzeniu. Nie był

tajemniczym kochankiem, który przyszedł ją uwieść, lecz człowiekiem gotowym zrobić użytek ze wszystkich posiadanych mocy, by zdobyć to, czego pragnął. Czuła do niego pociąg, ponieważ tego właśnie chciał. Tak samo, jak wtedy w magazynie. Wówczas jednak nie zrozumiała, co się dzieje. Pochlebiała sobie naiwnie sądząc, że coś do niej czuje, lecz gdy ujrzała go teraz - z twarzą skrytą w cieniu rzucanym przez znajdującą się za jego plecami lampę - zdała sobie sprawę, że Baralisa obchodzi wyłącznie on sam.

Nie było w nim ani krzty zmysłowości. Źródłem przyjemności była dla niego jedynie władza.

Mit o potężnym mężczyźnie, który uległ jej wdziękowi, rozwiął się nagle. Melli ogarnął gniew. Poczowała się naiwna. Baralis manipulował nią dzięki sile swej woli nie raz, lecz dwa razy. Może nawet trzy, jeśli mogła wierzyć niejasnym wspomnieniom z dzieciństwa.

Wdarł się do jej mózgu i zapanował nad myślami. Był to swego rodzaju gwałt, wtargnięcie najintymniejszego rodzaju. Mimo to postąpił tak bez mrugnięcia okiem.

Spróbował złapać ją za rękę. Szarpnęła się do tyłu. Kolana się pod nią ugięły i usiadła na skrzyni. Nim zdążyła zająć wygodniejszą pozycję, chwycił ją za nadgarstek. Natychmiast przesunął palce w miejsce złamania.

- Ależ z ciebie głupia, uparta dziewczyna - mówił, głaszcząc kostną narośl. - Powinnaś już się nauczyć grzeczności.

Melli dotknęła prawą ręką boku skrzyni. Bardzo powoli przesunęła ramię do tyłu.

Między skrzynią a ścianą ukrywała rzeczy, które zebrała z myślą o ucieczce.

- A co mi zrobisz, jeśli znowu odeślę Kylocka? - zapytała, próbując odwrócić uwagę Baralisa.

Nacisnął mocniej kość.

- Och, nie odeślesz go, moja droga. Z całą pewnością go nie odeślesz.



Ręka Melli znalazła się już za skrzynią.

- A niby dlaczego? - zapytała dziewczyna, odchylając się nieco do tyłu, by sięgnąć dalej.

- Dlatego, że wtedy musiałbym cię ukarać.

Zacisnęła dłoń na chłodnej, szklanej nóżce kielicha.

- Naprawdę? A na czym polegałaby ta kara?

- Najpierw udzielę ci ostrzeżenia.

Złapał jej rękę tuż pod łokciem, drugą dłonią obejmując nadgarstek. Miał zamiar ponownie złamać kość.

Ogarnięta paniką Melli uniosła kielich i walnęła nim o ścianę. Okruchy posypały się we wszystkie strony. Odłamkiem, który pozostał jej w dłoni, zaatakowała twarz prześladowcy. Baralis puścił jej rękę i uskoczył do tyłu. Szkło przecięło mu podbródek.

Popłynęła krew. Melli zobaczyła, że poruszył wargami.

Komnatę wypełniła woń rozżarzonego metalu.

- Nie! - krzyknęła. - Jeśli mnie skrzywdzisz, Kylock cię zabije.

Baralis zamknął usta.

Trzymała kielich przed sobą niby tarczę.

- Myśli, że jestem dla niego jedyną szansą odkupienia. Jeśli mu ją odbierzesz, nigdy ci nie wybaczy. Nigdy.

Zacisnął dłoń w pięść i otarł krew z podbródka. Jego oczy ściemniały.

- Właśnie popełniłaś fatalny błąd, Melliandro. Naprawdę sądzisz, że możesz mnie szantażować? Kształtowałem życie ludzi i przeznaczenie krajów. Zmieniałem dziedzictwo królów i podpisywałem wyroki śmierci na diuków. Nie przeszkodzi mi żadne głupie dziewczętko z rodziny pełnej głupców. - Dygotał. Jego piękny głos był ostry jak klinga miecza, a każde słowo zadawało głęboką ranę. - Niech ci się nie wydaje, że potrafisz mnie pokonać. Nawet o tym nie śnij. Jeśli stawisz mi czoło, zwyciężę za każdym razem. Nie znam nic oprócz triumfów. Dla nich żyję. Wiedz, moja droga Melliandro, że wyzywająca duma i niepohamowany języczek, to za mało, by się ze mną mierzyć.

Zbliżył się o krok. Melli uniosła kielich. Baralis uśmiechnął się i nagle poczuła się jak dziecko, wymachujące dziecinną zabawką.

- Myślisz, że nie mogę cię skrzywdzić, co? Mógłbym cię tu, w tej chwili, zabić na sto różnych sposobów i Kylock nigdy by się nie zorientował, kto to zrobił. Mógłbym zatrzymać ci serce,

spowodować stwardnienie wątroby albo skrzep w mózgu. Zahamować dopływ powietrza do płuc, wypływ brzusznych soków lub wydalanie trucizny przez nerki. Mogę z twoim ciałem zrobić wszystko. - Machnął lekceważąco ręką, wskazując na kielich. - A to, moja droga Melliandro, właśnie kosztowało cię życie. Jeśli jeszcze raz odmówisz Kylockowi, czeka cię śmierć tak powolna i bolesna, że będziesz błagała, by wreszcie nadszedł koniec.

Jeśli jednak spełnisz jego życzenia, zabiję cię jednym szybkim ciosem. Wybór należy do ciebie.

Patrzył na nią jeszcze kilka sekund, po czym odwrócił się i odszedł.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Melli wypuściła kielich. Choć jeden z okruchów wbił się głęboko w jej dłoń, nawet tego nie poczuła. Trzymając się za lewą rękę, wstała ze skrzyni i podeszła do łóżka. Następnie padła na nie, przyciskając chorą kończynę do ciała, i poddała się niepowstrzymanemu napięciu, które w niej narastało. Płakała jak opętana.

Miała już dosyć bycia silną, dość niezależności. Oczekiwanie doprowadzało ją do obłądu. Gdzie był Tawl, gdy go potrzebowała? Dlaczego nie przybył jej uratować?

\*

W dni, gdy areny były nieczynne, madame Thornypurse z zasady zawsze zamykała interes wcześniej. Jeśli nie organizowano walk, nie schodzili się widzowie, a to z kolei oznaczało brak zysków. Nawet intensywne opady deszczu, śniegu albo deszczu ze śniegiem nie uniemożliwiały pojedynków - zdesperowani ludzie zgodzą się walczyć w każdych warunkach - utrudniały jednak zapalenie pochodni, a walki toczone po ciemku nieszczególnie odpowiadały żadnym krwi breńskim mężczyznom.

Choć uznano, że pogoda jest dziś zbyt wilgotna, by otworzyć areny, ruch w interesie był wyjątkowy. Jutro rano wielki oddział rekrutów wyruszał na czterodniową wyprawę szkoleniową na tereny położone na północ od miasta i przed wymarszem wszyscy szukali odrobiny pocieszenia u kobiet.

Rzecz jasna, nie płacili dobrze - jak wszyscy w dzisiejszych czasach - lepsze jednak wiadro miedziaków niż nic. Sytuacja uspokoiła się nieco w porównaniu z tym, co działo się po zwycięstwie nad Highwall, lecz zyski z nierządu nadal były niewielkie, a to znaczyło, że nie wolno wybrzydzać.

Ktoś załomotał głośno do drzwi. Madame Thornypurse wcierała właśnie sobie w chudą szyję szczurzy olej, kazała więc Franny zobaczyć, kto idzie. Dziewczyna wróciła za pół

minuty.

- Dwóch panów przyszło z wizytą - oznajmiła.

Madame Thornypurse szczelnie zamknęła słoiczek ze szczurzym olejem. Jeśli dobrze go nie zabezpieczyła, w tak zimne noce często mętniał.

- Jak wyglądają?

- Jeden to chyba głupek, ale za to drugi jest całkiem przystojny. Obaj są wysocy jak dęby.

Madame Thornypurse wysunęła zza drzwi upudrowaną, skrytą pod czepcem głowę, by zajrzeć do głównej sali. Obok dziewczyn siedziało pół tuzina czarnych hełmów. Swym wprawnym wzrokiem dostrzegła natychmiast, że osiągnęli stadium, w którym nie wydadzą już więcej pieniędzy. Byli zbyt pijani, żeby jeść, pić albo zabawiać się z dziewczkami.

Przydałoby się kilku nowych klientów. Owinęła się swym drugim pod względem jakości szalem i ruszyła do drzwi.

- Panowie, panowie, wejdźcie proszę. - Wyciągnęła dłoń do ucałowania, lecz żaden z przybyłych jej nie ujął. - Mam tu ciepły kominek, mocne *ale* i najlepsze dziewczyny w mieście.

Wyglądający na głupka człowiek w filcowym kapeluszu rzucił się nagle ku niej, zatkał

jej usta dłonią i wywlókł na ulicę. Madame Thornypurse próbowała krzyczeć, lecz uchwyt napastnika był zbyt mocny. Drugi z mężczyzn zatrzasnął drzwi. Potem zaciągnięto ją do zaułka obok budynku.

Najpierw pomyślała o butach. Były z jedwabiu i pomyje je zniszczą. Potem pomyślała o cerze. Mróz mógł wysuszyć jej skórę. Dopiero później zaczęła się panika. Mogli ją obrabować, zgwałcić, zabić albo okaleczyć!

Człowiek w filcowym kapeluszu wyciągnął nóż.

- Jeden krzyk i po tobie - oznajmił, przyciskając broń do jej przed chwilą wysmarowanego olejem gardła.

Madame Thornypurse pokiwała energicznie głową. Spojrzała na front budynku. Z

pewnością Franny zauważy jej nieobecność?

- A teraz - rzekł nieznajomy, uwalniając jej usta - powiedz nam wszystko, co wiesz o Melliandrze.

Madame Thornypurse nie miała tak dobrego słuchu, jak jej siostra, była jednak pewna, że słyszy dobiegające z budynku krzyki oraz łoskot przewracanych mebli.

- Co robicie? - zawołała.

Nóż przysunął się bliżej.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Światła w burdelu zaczęły gasnąć. Ze szpar w okiennicach buchnęły gęste kłęby dymu. Pod madame Thornypurse ugięły się nogi. Zaatakowano źródło jej utrzymania! Mocne ramię napastnika nie pozwoliło jej osunąć się na ziemię. Nawet tak przerażona, potrafiła docenić silny uścisk. Spróbowała zalotności.

- Panie, gdybyś tylko potrafił mi wyjaśnić, co właściwie chcesz wiedzieć, pomogłabym ci z wielką przyjemnością - rzekła z, miała nadzieję, czarującym uśmiechem.

- Wysłuchaj mnie bardzo uważnie, kobieto. Muszę się dowiedzieć, gdzie Baralis więzi lady Melliandrę. Wiem z pewnego źródła, że pałacem zarządza obecnie twoja siostra, i jeśli za trzydzieści sekund nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz, chłopiec, którego wysłałem do środka, przestanie wykurzać klientów dymem i przerwuci się na ogień. Jasne?

Na twarz napastnika padło światło z budynku stojącego po przeciwnej stronie ulicy.

Madame Thornypurse natychmiast go poznała. Był to Tawl, obrońca diuka. Co dziwne, jego głos brzmiał teraz zupełnie inaczej. Znacznie groźniej.

Drugi intruz stał przy rogu budynku, obserwując wejście. Obok zaułka przebiegali ludzie, krzyczący coś o duchach i dymie. Nie ma co liczyć na czarne hełmy!

Madame Thornypurse była przede wszystkim kobietą praktyczną. Nie miała zamiaru dać sobie poderżnąć gardła w bohaterskiej próbie obrony tajemnic siostry. Jeśli Tawl chciał

informacji, dostanie je.

- Jeśli się nad tym zastanowić, faktycznie to i owo wpadło mi w ucho - przyznała, wydymając prowokująco wargi. Szczyciła się tym, że potrafi flirtować z każdym. Nawet z potencjalnym mordercą. - No wiesz, tu usłyszałam to, ówdzie tamto.

- A dokładnie co?

- No więc, lord Baralis zlecił mojej siostrze pilnowanie tej małej dziwki. Najpierw trzymali ją w jednej z północnych wież, ale doszło do jakiegoś wypadku z ogniem i przenieśli ją do przybudówki położonej obok komnat dla szlachty. To za dobre miejsce dla takiej, jak ona, jeśli mnie o to pytasz.

Tawl uspokoił się. Opuścił nóż. Pochwycił kilka głębokich oddechów.

- Czy od tego czasu więcej jej nie przenoszono?

- Nie wiem. Nie widziałam siostry już ze dwa tygodnie. To trochę dziwne, bo na ogół

zaglądała tu przynajmniej raz na tydzień z... - Madame Thornypurse ucichła nagle. Nie zamierzała mówić Tawlowi, że pani Greal miała zwyczaj wynosić z pałacu kosztowności nieżyjących wielmożów, a potem sprzedawać je za niezły grosz. - ...odpadkami z kuchni dla kur.

- Czy w ciągu tych dwóch tygodni w pałacu wydarzyło się coś, co mogłoby ją zatrzymać?

Madame Thornypurse przyglądała włosy wokół szyi.

- Nie wiem. Ale kiedy ostatnio ją widziałam, wspominała, że ta mała dziwka już niedługo urodzi.

Twarz Tawla wyraźnie zastygła pod rondem filcowego kapelusza.

- To mi wystarczy - rzucił. - Wracaj do burdelu. Jeśli wspomnisz komuś choć słówkiem o naszej rozmowie, oboje spale tę budę. I nie będę przedtem pukał. A teraz znikaj mi z oczu.

Madame Thornypurse nigdy w życiu nie ruszała się szybciej. Jej drugi pod względem jakości szal wpadł w błoto, a kolana zaplątały się w spódnicę. Przebiegła obok drugiego z intruzów i wpadła na prowadzące do budynku schody. Buchał stamtąd nieprzerwany strumień dymu. Kobieta zacisnęła zęby, zastanawiając się, czy szczurzy olej wytrzyma jego działanie, po czym wbiegła do środka.

Rzuciwszy się ku okiennicom w głównym pomieszczeniu, stanęła twarzą w twarz z małym, zamaskowanym demonem. Od stóp aż do głów był czarny i sięgał jej tylko do ramienia. W jednej ręce trzymał wypchany worek, a w drugiej wiązkę płonących trzcin. Na jej widok uniósł prowizoryczną pochodnię w geście pozdrowienia. Zdumiona madame Thornypurse zaczerpnęła głęboko tchu, wciągnęła do płuc haust dymu i natychmiast osunęła się zemdlona na podłogę.

\*

- Szkoda, że nie widziałeś, jak wiali, Borlinie. Nieustraszone czarne hełmy na mój widok natychmiast dały drapaka. Myśleli, że jestem samą Śmiercią. - Kosiarz pochylił głowę, by pociągnąć łyk *ale*, i na podłogę opadła prawdziwa lawina sadzy. - Najtrudniej było oczywiście zatkać komin. Ten dach jest śliski jak język kotlarza. Mało brakowało, żebym spadł i się zabił. Ale się opłaciło. Burdel wypełnił się dymem tak szybko, że kiedy wlałem do środka przez okno na zapleczu, nie widziałem nawet własnych dłoni. Prawie nie potrzebowałem tych trzcin.

- Miałeś się nie pokazywać - zauważył rycerz. Opierał się o starą, przewróconą do góry dnem kadź farbiarską. Minę miał niezadowoloną. - Mówiłem ci, żebyś nie zaglądał do głównego pomieszczenia.

- Musiałem zgarnąć trochę gotówki, Tawl. Tej śmierdzącej szczurami babie słusznie się to należało. Kiedy ostatnio ją spotkałem, obrabowała mnie ze wszystkich pieniędzy.

Uśmiechnął się ujmująco do przyjaciela, chcąc uzyskać jego wybaczenie.

Tawl nie odwzajemnił uśmiechu. Od chwili rozmowy z madame Thornypurse nie uśmiechnął się ani razu.

Siedzieli pod płytą do prasowania w opuszczonej farbiarni. Zgodnie z planem, spotkali się z towarzyszami przy wejściu „Pod Przepelnione Wiadro”. Rycerze Andrisa dostali się do miasta bez przeszkód, po czym zajęli się poszukiwaniem bezpiecznej kryjówki. Udało im się zdobyć *ale*, świeżą żywność, siano i świece. Wszyscy też zjedli najlepszy posiłek od wielu dni. Nikt nie chciał ryzykować rozpalania ognia, było więc okropnie zimno, lecz dwie ustawione na granitowej płycie świece nadawały pomieszczeniu przytulny wygląd, a wypełniająca im brzuchy brandy z powodzeniem zastępowała ciepły kominek.

Farbiarnia była tylko jednym z wielu nieużywanych, opuszczonych budynków stojących przy ciemnej niczym atrament ulicy w południowo-wschodniej części miasta. Dach przeciekał i wszystkie

drewniane płaszczyzny były wilgotne. Nie było tu drzwi ani okiennic i tylko niewiele desek w podłodze, przeciągi więc były straszliwe. Jedyнным pozbawionym dużych okien pomieszczeniem był magazyn. Był wielki, niski i znajdował się w połowie nad, a w połowie pod ziemią. Tam właśnie Andris urządził obóz.

- Uważam, że powinniśmy to zrobić dziś w nocy - ciągnął Tawl, przechodząc do tematu, który zaprzętał myśli wszystkich. - Wiemy z całą pewnością, że Melli tam jest. Nic nas nie powstrzymuje. Czarne hełmy nie spodziewają się żadnych kłopotów. Myślą, że roznieśli wroga przed ośmioma tygodniami. Zaskoczemy ich.

Jack zauważył, że jego przyjaciel jako jedyny z osób znajdujących się w pomieszczeniu nie usiadł. Nie tknął również jedzenia. Swą porcję zostawił na rozpostartej na podłodze szmatce.

Crayne potrząsnął głową.

- Nie, Tawl. Zaczekajmy. Wszyscy jesteśmy doszczętnie wyczerpani. Spędziliśmy siedem dni w siodle i ani razu nie wypaliśmy się porządnie. Potrzebny nam odpoczynek.

- Crayne ma rację, Tawl - odezwał się Borlin, dłubiąc w wielkich zębach kurzą kością.

- Wstaliśmy przed świtem. Wiesz, że jeśli pójdziemy tam dziś, żaden z nas nie będzie w najlepszej formie. - Stary rycerz czekał, aż Tawl uzna prawdziwość jego słów, ten jednak zareagował tylko zaciśnięciem warg. Borlin nie dał się zniechęcić. - Poza tym, jeśli zaczekamy do jutra, jest szansa, że w pałacu będzie mniej wyszkolonych ludzi.

- A to dlaczego? Czego się dowiedzieliście?

Borlin pozwolił odpowiedzieć na to pytanie Crayne'owi.

- Miałeś rację co do czarnych hełmów, Tawl. Wyruszyły do Camlee z Kedracem.

Stacjonujący w mieście żołnierze to mieszanina najemników, świeżych rekrutów, wieśniaków i łowców fortuny. Kylock wysyła ich na czterodniową wyprawę szkoleniową na tereny położone niedaleko na północ od miasta. Wyruszają rano.

- Taka wyprawa nie wpłynie na liczbę gwardzistów stacjonujących w pałacu.

- Myślę, że wpłynie - sprzeciwił się stanowczym tonem Crayne. Jego siwiejące włosy lśniły w blasku świec, a na twarz padały głębokie cienie. Jack zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział, by ten człowiek śmiał się albo żartował. Wszystko traktował poważnie.

- Jeśli Kedrac zabrał ze sobą czarne hełmy, to gdzie można znaleźć najlepiej wyszkolonych żołnierzy w mieście? - ciągnął, wpatrując się uważnie w Tawla. - W gwardii pałacowej - odpowiedział na własne pytanie. - Kylock będzie potrzebował doświadczonych ludzi, którzy czegoś nauczą te domorośle czarne hełmy. Dlatego wyśle z nimi najlepszych gwardzistów pałacowych.

Za plecami Crayne'a jeden z koni zarżał cicho. Mieli ze sobą w sumie sześć wierzchowców i - chcąc

ukryć ich obecność - Andris zbudował prowizoryczną rampę, prowadzącą do magazynu.

- Musimy też jutro kupić parę rzeczy - wtrącił Borlin, nim Tawl zdążył się odezwać. -

Nowe uzdy, pasy do strzemion, siodła. W tej chwili konie zdradziłyby nas natychmiast.

Wszystkie oznaczenia są żółto-czarne. Jeśli któryś z nas ma poczekać z nimi pod pałacem, trzeba zmienić ich uprzęż.

Wszyscy pomrukiem wyrazili zgodę.

- To samo dotyczy nas - ciągnął Borlin. - Podjęliśmy wielkie ryzyko, wchodząc do miasta w takim stroju. Potrzebujemy mniej rzucających się w oczy ubrań, a ty i Jack powinniście pod bluzy założyć kolczugi.

Tawl popatrzył na Jacka.

- Jak uważasz? Czy lepiej będzie poczekać do jutra?

Do tej pory Jack był na tym spotkaniu jedynie obserwatorem. Rycerstwo stanowiło zamkniętą grupę, a on był tylko niedoświadczonym przybłędą. Nic nie wiedział o taktyce i organizowanych przed świtem wypadach. Choć umiał walczyć, nie był wojownikiem, lecz kimś, kto miał do wykonania ściśle określone zadanie. Musiał zamordować Kylocka. Do tej chwili celowo unikał myślenia o szczegółach swej misji. Bał się szczegółów, gdyż to przez nie cała sytuacja wydawała mu się realna. I beznadziejna.

To, co mówili Crayne i Borlin, miało sens. Zgadzał się z nimi, choć nie wymienili zasadniczego powodu, dla którego nie powinni iść do pałacu dzisiaj. Znał go tylko on.

Nie był gotowy.

Podróż była obłąkanym galopem bez chwili wytchnienia. Nie miał czasu na zastanowienie. Jechał, spał, a potem znowu jechał. Ani na moment nie zapominał, że jest coraz bliżej Brenu, nie myślał jednak o tym, co uczyni, gdy już tam dotrze. Potrzebował tego dnia, by się przygotować. Nie na szczegóły - żaden plan nie mógł uwzględnić tego, co nieznane - ale na samą sytuację. Pora już, by pogodził się z myślą o tym, co musi uczynić.

Odpowiedzialność spadała tylko na niego.

- Uważam, że powinniśmy poczekać - odparł.

Rozczarowany Tawl spuścił wzrok, lecz pozostali rycerze uspokoili się wyraźnie. Jack zdał sobie sprawę, że błędnie ich osądził. Wcale nie uważali go za niedoświadczonego przybłędę. Gdyby tego chciał, poszliby do zamku dzisiaj. Spoważniał na tę myśl. W miarę upływu nocy, gdy układali, doskonalili, a wreszcie finalizowali plany, przytrafiło mu się to wiele razy.

Opuścili farbiarnię o północy: Jack, Tawl, Crayne, Kosiarz i Hervo, który był drugim po Borlinie łucznikiem w grupie. Cały dzień z nieba padał na zmianę deszcz ze śniegiem, deszcz, kapuśniaczek i mżawka, ulice były więc śliskie od szlamu. Tak samo, jak po wejściu do miasta, podzielili się na grupy, by uniknąć niepożądanego uwagi. Drugą grupą dowodził

Andris, trzecią zaś Borlin.

Jack przed pół godziną po raz pierwszy w życiu założył kolczugę. Była ciężka i ciasna, a do tego okropnie go od niej swędziało. Czuł się tak, jakby miał pod bluzą cały zestaw sztuców. Tawl tłumaczył, że gdyby była robiona na miarę, nie przeszkadzałaby mu tak bardzo, Jack jednak nie dał się przekonać. Lepiej chyba, by metalowe pierścienie kończyły się na żołądku, zamiast na wysokości organów.

Kosiarza również zmuszono do przywdziania kolczugi. Idąc przez miasto, chłopiec zataczał się teatralnie.

- W lochach będzie mokro - oznajmił, unosząc dłonie, by złapać w nie trochę deszczówki. - Cała woda, która nie może okrążyć pałacu, przepływa pod nim.

- Świetnie - mruknął Tawl. - Jeśli w kanałach będzie pełno wody, gwardzistom nie będzie się chciało do nich schodzić.

Hervo chrząknął. Podobnie jak Borlin, nie był zbyt wysoki, ramiona miał jednak grube niczym rzeźnicze pniaki, a wzrok ostry jak tasak. Łuk skryty w torbie z impregnowanej tkaniny trzymał pod pachą, a strzały wetknął sobie pod bluzę. Jack obserwował przedtem jego przygotowania. Przed włożeniem do kołczanu ucałował każdą strzałę. Crayne powiedział, że wybrał go dlatego, iż - choć przede wszystkim był łucznikiem -

biegle władał też długim nożem.

Sam Crayne stanowił chodzący magazyn ukrytej broni. Pod jego bluzą i portkami, w rękawach i w butach, rysowały się drobne, lecz niosące śmierć wypukłości. Jack zdołał

wypatrzeć noże, gwiazdki, miecz, mały łom oraz zwój metalowej linki. Wódz grupy rycerzy poruszał się bardzo cicho. Twarz mu stężała, a wzrok nigdy nie zatrzymywał się na dłużej w jednym punkcie. Odezwał się tylko kilka razy, wyszeptując przywykłym do rozkazywania głosem zwięzłe komendy.

Tawl bez oporów zrzekł się dowództwa na jego rzecz. Nie było jednak bynajmniej pewne, czy sytuacja się nie zmieni, gdy znajdą się w pałacu. Jack nie wyobrażał sobie, by jego przyjaciel miał słuchać czyichkolwiek rozkazów, gdy już ujrzy Melli.

- Na pewno wiesz, jak się dostać do komnat dla szlachty? - zapytał Tawl już chyba po raz czwarty.

- Oczywiście - zapewnił Kosiarz piskliwym, pełnym oburzenia głosem. - Chyba nawet znam



przybudówkę, o której wspominało to Thornybabsko. Z komnat dla szlachty prowadzi kilka wyjść, ale jeśli się nie mylę, tylko jedno z nich leży na boku i można się przez nie wymknąć ukradkiem.

Tawł wreszcie się uspokoił. Wiadomość, że termin porodu Melli jest już blisko, wstrząsnęła nim głęboko. Jack dostrzegł to owej nocy w zaułku i widział to również teraz, gdy szli przez miasto. Twarz rycerza stała się maską złożoną z napiętych mięśni, a obie dłonie zacisnął mocno w pięści.

Podobnie jak jego przyjaciel, Jack nie obciążał się zbyt bronią. Miał miecz i dwa noże, w tym jeden ukryty w bucie. Czuł jego dotyk. Schowane w pochwie ostrze przy każdym kroku ocierało się o jego skórę.

- Andris lada chwila wyruszy w drogę - zauważył Crayne. - Powinien dotrzeć na miejsce niespełna godzinę po nas.

- Ehe, on przybędzie na czas - zgodził się cicho Hervo, przeciągając słowa. - To Borlin będzie się spieszył. Nie znosi czekania.

Roześmiał się cicho. Nawet Crayne się uśmiechnął. Na pewno kryje się w tym jakaś opowieść, pomyślał Jack.

Borlin, wraz z towarzyszącą mu dwójką rycerzy, miał przeprowadzić przez miasto konie. Grupa składała się z dwóch łuczników i jednego człowieka z mieczem. Mieli za zadanie zatrzymać się u wyjścia z tuneli - uzbrojony w miecz rycerz przy koniach, a obaj łucznicy ukryci i gotowi do strzału - by osłaniać uciekających. Andris, Gervhay i ostatni z łuczników mieli zaczekać na umówionej ulicy na Kosiarza, wejść do tuneli i ruszyć przez pałac za grupą Crayne'a, by strzec ich pleców, pilnować trasy ucieczki i mieć oko na ewentualne kłopoty.

Tak wyglądał plan. Znali go wszyscy członkowie grupy. Całą noc poświęcili na dopracowywanie szczegółów, a teraz mieli wprowadzić go w życie.

Posuwali się przez miasto szybko. Czarnych hełmów było mniej niż wczoraj, a późna godzina i podła pogoda sprawiały, że ulice były niemal zupełnie opustoszałe. Wybór trasy pozostawiono Kosiarzowi i Jack musiał przyznać, że chłopiec podejmował trafne decyzje.

Szli przez mroczne zaułki, obskurne uliczki i opuszczone podwórka. Kieszonkowiec znalazł się na rzeczy. Jack odciągnął go wcześniej na bok, by go zapytać, gdzie mogą się znajdować -

komnaty Baralisa i Kylocka. Chłopiec, który zawsze lubił popisywać się swą wiedzą, powiedział mu, gdzie dokładnie leżą pokoje Baralisa i gdzie być może trafi na Kylocka, który zapewne zajął pomieszczenia należące dawniej do diuka. Prosił go, by nie wspominał o tym pozostałym. Kieszonkowiec przysiągł, że tego nie zrobi, spluwając na dłonie i błagając Borca, by pokarał go tryprem, jeśli złamie przysięgę.

Jackowi nie chodziło o to, by utrzymywać towarzyszy w nieświadomości. Nie chciał

odwracać ich uwagi od misji, którą podjęli się wykonać. I tak już mieli pod dostatkiem kłopotów. Zamierzał się im po prostu wymknąć, gdy tylko Melli będzie bezpieczna.

- Jesteśmy już blisko - oznajmił Kosiarz teatralnym szeptem. - Pamiętajcie, że na dole będzie mokro. Wszystko, co nie powinno zamoknąć, musicie trzymać nad głowami.

Zatrzymali się u końca zaułka. Ściany po obu jego stronach ociekały wodą, a z okapów pobliskich budynków lały się na ulice prawdziwe strumienie. Było bardzo ciemno.

Nawierzchnia składała się z ziemi usianej z rozrzuconymi brukowcami i była teraz bardzo nierówna.

- Jesteś pewien, że Andris tu trafi? - Ciemny kontur głowy Crayne'a poruszył się z boku na bok. - To dalej niż mi się zdawało.

- Nie ma obaw - uspokoił go Kosiarz. - Wie, gdzie jest ulica Cumownicza. Jeśli ją znajdzie, na pewno go odzyskam. - Mówiąc, wręczył Tawlowi worek, w którym były dwie lampki oliwne. Rycerz natychmiast przystąpił do ich zapalania. Chłopiec przykucnął obok niego i zaczął zdrapywać ziemię z miejsca znajdującego się tuż obok muru. - Wiem, że ściek jest tutaj - wyszeptał. - Na pewno się zamulił. Jack, pomóż mi.

Młodzieniec ukląkł obok niego i wsadził ręce w błoto. Po chwili poczuł zimny, twardy metal. Tawl zdążył już zapalić lampki i wszyscy pomagali im w pracy.

- Jak daleko stąd do pałacu? - zapytał Jack, próbując podważyć kratę.

- Blisko. Jakies trzy czwarte mili, prosto na wschód. - Kosiarz starł małym palcem błoto z brzegu kraty. - Masz łom, Crayne? - zapytał. - Trzeba się będzie niezłe napocić.

Poprzednim razem cała ta ziemia była na drugim końcu zaułka. Na pewno odlatuje na zimę na południe, tak samo, jak ptaki.

Crayne wydobył ukryte pod ubraniem narzędzie i zabrał się do roboty. Jack i Tawl pomogli mu podważyć kratę, Kosiarz pełnił funkcję nadzorcy, a Hervo stał na czatach na końcu uliczki. Po chwili krata uniosła się i Crayne zdołał odrzucić ją na bok. Wszyscy byli mokrzy i ubłoceni. Crayne wziął w rękę trochę błota i wtarł je sobie w twarz. Rozkazał

wszystkim postąpić tak samo.

- Gdy tylko znajdziemy się w pałacu, musimy zgasić światło. Zrozumiano? - Zaczekał, aż wszyscy skiną głowami. - Ty idź pierwszy, Jack. Potem Kosiarz, ja i Tawl. Hervo będzie ostatni.

Tawl uniósł lampę, a Jack wsunął się w mroczny otwór kanału. Buchał stamtąd ostry odór zgnilizny. Poczuł wokół kostek zimny powiew. Wsparł się mocno obiema rękami o ściany i opuścił się niżej. Jego nogi zanurzyły się w lodowatej wodzie, a po plecach przebiegły ciarki. Stopy, kostki, łydki, kolana, uda - wszystko to pochłonał zamarzający strumień. Jack nie miał ochoty się puścić. Nadal nie czuł dna pod stopami.

- No jazda, Jack - krzyknął Kosiarz. - Nie może już być dużo głębiej.

Młodzieniec zaczerpnął głęboko tchu i zwolnił uchwyt. Nim sięgnął dna, opadł na niespełna dłoń. Stopy zapadły mu się w grubą warstwę błota. Wyciągnął rękę, wziął lampę od Tawla i przesunął się, by zrobić miejsce Kosiarzowi. Przed sobą mieli korytarz o w przybliżeniu okrągłym przekroju. Ściany i sklepienie składały się z kamiennych płyt. Gleba i korzenie przeciskały się między nimi, powodując pęknięcia, przez które do środka dostawały się błoto i deszczówka.

Woda sięgała Jackowi bioder. Czuł już, że palce jego nóg drętwieją. Ciemnobrązowa ciecz niosła mnóstwo błota i nieczystości. Muł wciągał chłopakowi stopy, każdy krok oznaczał więc walkę o zachowanie równowagi i koordynację ruchów. Jeśli poruszał się zbyt wolno, trudno mu było oderwać stopy od dna, a jeśli szedł za szybko, mógł runąć twarzą do wody. Sądząc po jej zapachu, z pewnością wolałby tego uniknąć.

Gdy do kanału zsunął się ostatni członek grupy, Jack dygotał już cały. Ziąb był

strasliwy. Kosiarz dzwonił głośno zębami - woda sięgała mu do piersi - i nawet Tawl zaczynał marznąć. Oplótnął się ramionami, by nie drżeć z zimna. Hervo trzymał łuk i kołczan wysoko nad głową, a liczne wypukłości pod ubraniem Crayne'a przesunęły się wyraźnie w stronę szyi.

- Idziemy - rozkazał.

- Dobra - zgodził się Kosiarz, szepcząc Jackowi do ucha. - Musimy przebrnąć kawałek tym tunelem. Potem skręcimy w pierwszy prowadzący w lewo.

Młodzieniec skinął głową i ruszył przed siebie. Każdy krok był walką z mułem i odrętwieniem kończyn. Powierzchnię wody pokrywała gruba warstwa plugastwa. Przy każdej fali kołysały się na niej białe kawałki zwierzęcego tłuszczu. Jack czuł się niezgrabny i źle wyważony. Stawiał długie, niepewne kroki, zupełnie jak pijany. Skryta pod wodą część jego ciała nie ważyła prawie nic, ciężar piersi zwiększała zaś kolczuga.

Zewsząd dobiegało ich kapanie. Echa wydawały się głośniejsze od rzeczywistych dźwięków, a wiatr zawodził w tunelach niczym wilk.

Omszałe ściany lśniły w świetle lampy zielonym blaskiem. Dłoń Jacka drżała i lampa kołysała się razem z nią. Między sufitem a wodą przebiegały ulotne cienie i błyski.

- Tutaj! - zawołał Kosiarz. - Skręt w lewo.

Zahipnotyzowany światłem Jack zatopił się w myślach i nie zauważył zakrętu. Musiał

się cofnąć kilka kroków. Drętwota jego kończyn sięgała coraz wyżej. Zdał sobie nagle sprawę, że dla Kosiarza marsz musi być znacznie trudniejszy. Lodowata woda sięgała mu do połowy piersi. Gdy już zaprowadzi ich do pałacu i wskaże drogę do komnat dla szlachty, sam będzie musiał wrócić po Andrisa.

Jack przyspieszył kroku. Przekonał się, że lekki bieg chroni stopy przed zapadaniem się w muł, a do tego wzmaga obieg krwi, powstrzymując odrętwienie nóg. W tym tunelu było nieco płycej niż w poprzednim, a w miarę, jak zbliżali się do pałacu, dno podnosiło się coraz wyżej.

Nagle uderzył stopą w jakąś kamienną przeszkodę. Stał jak wryty, unosząc dłoń, by ostrzec pozostałych.

- Coś blokuje nam drogę.

- Wszystko w porządku, Jack - rozległ się zdyszany głos kieszonkowca. - To powinny być schody prowadzące do lochów.

Jack uniósł lampę. Pod wodą nie można było nic zobaczyć. Uniósł stopę, dotykając kamienia palcami, aż wreszcie odnalazł krawędź stopnia. Kosiarz miał rację. To były schody.

Tak wysokie, jakby zbudowano je dla gigantów. Jack zaczął wynurzać z wody umęczone ciało, odwracając się po każdym kroku, by podać rękę Kosiarzowi.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił kieszonkowiec, gdy Jack wciągnął go na ostatni stopień. - To już pałac.

Gdy tylko chłopiec wypowiedział te słowa, Jack zdał sobie sprawę, że nie przygotował się jak należy. Jedna noc nie znaczyła. Gdzieś na górze czekali Baralis i Kylock. Miał ich dziś w jakiś sposób zgładzić. Niewiarygodna trudność tego zadania przytłoczyła jego barki niczym olbrzymi ciężar. Czuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek.

Jak zdoła dostać się do Kylocka, nie wspominając już o pozbawieniu go życia? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wiedział tylko, że musi spróbować.

\*

Melli zasunęła zasłony i otworzyła okiennice. Miała wrażenie, że okno jest wystarczająco wielkie, by mogła się przez nie przecisnąć. Było jednak wysoko i żeby się do niego dostać, musiała przesunąć pod nie skrzynię. Łubki wróciły na miejsce i lewa ręka dziewczyny zwisała bezwładnie. Pot zalewał jej czoło, skapywał z koniuszka nosa i nasączał

dekolt sukni.

Skrzynię zrobiono z dębowych desek grubości jej nadgarstka. Była wystarczająco wielka, by pomieścić owcę. Żeby dopchać ją pod okno, Melli potrzebowała wielu minut i licznych odpoczynków.

Przez otwarte okiennice do środka wpadał zamarzający deszcz, który zmoczył jej twarz. Kamienie, z których zbudowano mur, wygładzono tylko do wysokości człowieka.

Wokół okna były szorstkie i nieobrobione. Gdy tylko złapała się kamiennego obramowania, poczuła w nadgarstku ostry ból - otarła skórę o niewygładzoną powierzchnię.

- Do licha - wyszczała. Było za ciemno, by mogła zobaczyć, czy popłynęła krew.

Nauczyła się już ignorować ból znacznie dotkliwszy niż otarcie ręki, nie zaprzestała więc wysiłków. Wspięła się na palce, wychyliła przez okno i spojrzała na rozpościerający się na dole świat. Oczy szczypały ją od chłodu i z początku widziała jedynie czarną czeluść.

Potem, gdy usunęła łzy mruganiem, dostrzegła kilka szczegółów: światło przenikające przez okiennice, śnieg leżący między okapami, wilgotny połysk dziedzińca na dole. Wychyliła się trochę bardziej, żeby sprawdzić, co zobaczy pod oknem. Mur opadał pionowo w dół, bez żadnych półek, występów, czy niskich dachów.

Zalała ją fala drętwego rozczarowania. Znajdowała się bardzo wysoko, wyżej niż się spodziewała. Nie było stąd żadnej drogi ucieczki. Mogła rzecz jasna wyskoczyć, lecz nawet teraz - gdy uszy wypełniały jej jeszcze przerażające groźby Baralisa - samobójstwo nie wchodziło w grę. Córka Maybora okaże więcej odwagi.

Liczyła jednak na uśmiech losu, choć odrobinę sławetnego szczęścia jej ojca. Nic z tego. Raz jeszcze spojrzała w dół, po czym zeszła ze skrzyni. Może to i lepiej. Jeśli Maybor jeszcze żył, zamarzał gdzieś w górach, potrzebował pomocy fortuny bardziej niż ona. Nie zazdrościła mu jej.

Nie chciało jej się przeciągać skrzyni na poprzednie miejsce. Podobne rzeczy nie miały już znaczenia. Jutro przyjdzie do niej Kylock i wszystko przestanie się liczyć.

\*

Mrok pod pałacem wypełniały najrozmaitsze hałasy. Kapanie wody, tupot szurzących łapek, skrzypienie drewna i zawrodożenie wiatru. Zgasili lampy, nie widzieli więc nic poza powtarzającymi się od czasu do czasu błyskami odbijającego się w wodzie światła oraz białkami własnych oczu.

Trudno im było ocenić upływ czasu, a w przypadku odległości było to w ogóle niemożliwe. Jack wiedział tylko, że przemókł do suchej nitki i zmarzł do szpiku kości. Serce waliło mu szybko mimo faktu, że przestał biec już bardzo dawno temu, a jego żołądek skurczył się w małą kulę.

- Uważaj na drewnianą belkę - wysyczał Kosiarz. Szedł teraz pierwszy. Jack mógł się jedynie zdumiewać, w jaki sposób udaje mu się odnaleźć drogę w ciemności. Gdy wszyscy już przeszli pod belką i postąpili kilka kroków naprzód w sięgającej kolan wodzie, kieszonkowiec kazał im się zatrzymać.

- To już niedaleko - oznajmił. - Kiedy skęcimy w lewo, znajdziemy się w tej części piwnicy, gdzie przechowuje się żywność i takie tam rzeczy. Nie wydaje mi się, żeby ktoś tam się kręcił tak późno, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Hervo, przygotuj łuk - rozkazał Crayne. - Na pierwszy błysk światła wszyscy natychmiast pod ściany.

- Jak trafimy stąd do komnat dla szlachty? - zapytał Tawl, cichym, zniecierpliwionym głosem.

- Wskażę wam drogę - odparł Kosiarz.

- Nie. Musisz już wracać. Zaczekasz na Andrisa.

- Ale...

- Żadne ale, Kosiarzu. Nie tym razem. A kiedy już przyprowadzisz tu Andrisa, natychmiast wrócisz i zwiejesz gdzie pieprz rośnie. Chcę, żebyś czekał na mnie w kryjówce. Jasne?

Widoczny tylko jako ciemny kształt kieszonkowiec wydał z siebie cichy jęk zawodu.

- A teraz wskaż mi kierunek.

Nastąpiła długa przerwa. Wreszcie Kosiarz z niechęcią udzielił im wskazówek. Jack go nie słuchał. Był zbyt podenerwowany, by cokolwiek zapamiętać. Myślał tylko o Kylocku.

Wyczuwał go. Był tego pewien. Jego obecność wypełniała krew, wywołując gorący, przyprawiający o zawroty głowy rumieniec. Serce mówiło mu, że Baralis nie ma znaczenia.

Jego krew wypełniał wyłącznie Kylock.

Nawet nie zauważył, że Kosiarz umilkł. Poderwał się nagle, gdy ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

- Jack? Nic ci nie jest? - To był Tawl. - Chodź, musimy już ruszać.

- Kosiarzu...

- Do zobaczenia, Jack. Życzę szczęścia i tak dalej. Zobaczymy się w kryjówce.

Głos ulicznika ucichł w oddali.

Jack chciał coś powiedzieć - podziękować chłopcu, prosić go, żeby uważał na siebie -

lecz nie potrafił znaleźć właściwych słów.

- Wszyscy wyciągać broń - polecił Crayne, gdy tylko kieszonkowiec oddalił się poza zasięg słuchu. - Hervo, ty ruszysz przodem. Jack, pójdziesz za nim.

Młodzieniec wy dobył miecz z pochwy. Ucieszył się, że na czele pójdzie Hervo. Nie chciał, żeby ktoś się zorientował, iż nie usłyszał ani słowa ze wskazówek Kosiarza.

Korytarz wypełniało słabe światło, które stopniowo stawało się coraz jaśniejsze. Z

mroku wyłaniał się otaczający ich świat: piwnice o kamiennych sklepieniach, wysokie piramidy beczek, zdobnie rzeźbione drzwi prowadzące w ciemność oraz schody wiodące do góry, w światło.

Z lewej strony rozległ się jakiś cichy dźwięk. Cień, który przed chwilą był

nieruchomy, ruszył wzdłuż ściany. Hervo nałożył strzałę na cięciwę i wypuścił ją w ciemny kąt. Wszyscy usłyszeli zdumione westchnienie, a potem cichy łoskot. Hervo przygotował już drugą

strzałę. Wycelowwał, lecz nie wystrzelił.

Tawl skoczył naprzód, wyciągając przed siebie miecz. Po chwili z mroku dobiegł jego głos.

- Nie żyje. To chyba jakiś sługa.

Crayne spojrział na Herva.

- Jest już co najmniej druga po północy.

Hervo skinął głową.

- Jeśli był sługą, to na pewno nieuczciwym. Porządni ludzie o tej porze śpią.

- Jack, chodź tu. Pomożesz mi ukryć ciało - zawołał Tawl.

Oczy młodzieńca przyzwyczały się wreszcie do półmroku. Tawl przykucnął w kącie.

U jego stóp leżał człowiek ze strzałą wbitą w brzuch. We dwóch przeciągnęli zwłoki za beczki z piwem. Strużka krwi, która splamiła mu portki, spłynęła na podłogę, na to jednak nie mogli nic poradzić.

Gdy przesuwali beczki, by lepiej zasłonić ciało, Jack poczuł, że dłoń Tawla musnęła jego policzek.

- Tak też myślałem - wyszeptał rycerz. - Trawi cię gorączka. Co się dzieje?

Jack potrząsnął głową. Jak mógł wytłumaczyć Tawlowi, że to bliskość Kylocka powoduje, iż krew podpływa pod skórę?

- Nic mi nie jest - odparł. - Nie jestem chory. To tylko nerwy.

Tawl przytrzymał go za ramiona i przez dłuższą chwilę przyglądał się jego twarzy.

- Uważaj na siebie - poprosił wreszcie.

- Hej, wy, spieszcie się - syknął Crayne. Jack ucieszył się z tego, że im przerwano.

Tawl wyglądał na niespokojnego, a to zaniepokoiło również i jego.

Minęła chwila, nim trafili na ukryte drzwi, prowadzące do sieci tajnych przejść.

Usytuowano je w mrocznej wnęce i przypominały raczej płycinę. Wejście było szerokie tylko na długość męskiego przedramienia i Jack musiał się przez nie precyzyjnie przeczisnąć bokiem. Sam korytarz był tylko niewiele szerszy. Crayne podał im zapaloną lampę. W ciasnym tunelu dym drażnił gardło i Jack musiał ją trzymać na odległość wyciągniętej ręki, żeby się nie rozkaślać.

- Te korytarze zbudowano tak, żeby nie dało się ich wykryć z zewnątrz - zauważył

Crayne, rozglądając się wokół. - Są tak wąskie, że każdy uznałby, iż po prostu ściana jest grubsza. - Zaczekał, aż Tawl zamknie za sobą drzwi. - No dobra. Ruszajmy.

Jack zobaczył szczura, który przebiegł mu drogę. Mało brakowało, by wypuścił lampę z wrażenia.

- Spokój, chłopcze - odezwał się Crayne.

Przesuwał się wzdłuż ściany, skręcając na polecenie Crayne'a. Koniuszkami palców wyczuwał miękki mech, pajęczyny oraz zimne strużki wody. Powietrze było tu rozrzedzone i żeby zadowolić płuca, trzeba było oddychać szybko. Wreszcie dotarli do stromych schodów.

Serce Jacka przyspieszyło na ich widok. Ów rytm wywodził się prosto z Larnu. W ostatnich czasach stało się to dla niego normą. To, co zaczęło się przed dwoma miesiącami jako przerażające wrażenie, teraz go uspokajało. Miał wrażenie, że serce bije po to, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

- Na górze natychmiast skręć w prawo - przypomniał mu Crayne. Wódz ich grupy w którymś momencie zorientował się, że Jack nie zna drogi.

Chłopak wykonał polecenie, po czym wbiegł na następne schody, które kończyły się drewnianą płyciną. Gdy nacisnął ją lekko, zakolysała się i odchyliła do przodu. Jack poczuł na twarzy dotyk grubej, brokatowej zasłony. Ścianę naprzeciw płyciny pokryto cienką oblicówką, którą ukształtowano tak, by naśladowała przebieg muru.

Po przejściu przez zasłonę, Jack stanął twarzą w twarz z wartownikiem. Nie tracąc czasu na zastanowienie, zamachnął się lampą, celując w oczy żołnierza. Ten uniósł ręce, próbując uniknąć poparzenia i wtedy chłopak ciął go prosto w brzuch. Następnie wyszarpnął

miecz i usunął się na bok, pozwalając, by ciało upadło na podłogę. Z rany trysnęła krew.

Crayne przepchnął się obok. Rozejrzał się w obie strony.

- Wartownicy zawsze chodzą parami - zauważył. - Hervo, osłaniaj nas. Zaciągniemy zwłoki do korytarza.

Jack pochylił się i otarł zakrwawiony miecz o bark zabitego. Gdy wyprostował się, by przepuścić Tawla, poczuł nagły atak zawrotów głowy. Kylock musiał być już bardzo blisko.

Tawl i Crayne ukryli ciało w tunelu, a Hervo sprawdził drogę przed nimi. Drugiego wartownika nie było. Jack zauważył, że Hervo i Crayne wymienili pełne napięcia spojrzenia.

Gdy tylko pozbyli się zwłok, ruszyli na wschód. Na długich, prostych odcinkach pierwszy szedł Hervo - jego łuk mógł powalić przeciwnika z dużej odległości - lecz gdy docierali do zakrętu, ustępował miejsca Tawlowi i Crayne'owi. Uzbrojony mężczyzna czający się za rogiem mógłby załatwić łucznika w mgnieniu oka.

Po drodze zabili jeszcze dwóch wartowników i jednego zgrzybiałego szlachcica w nocnej koszuli. Zbrojnych Hervo ustrzelił z łuku, a staruszka - który zaskoczył wszystkich wychodząc na korytarz tuż



za plecami Tawla - Crayne uciszył, a potem uśmiercił za pomocą drutu. Znajdowali się w samym sercu komnat dla szlachty i Jack czuł, że krew napływa mu do policzków. Jeden z korytarzy, które minęli, był jasno oświetlony pochodniami i zasłany dywanami. Jack wiedział, wiedział z całą pewnością, że tam właśnie znajdują się komnaty Kylocka. Jego krew szalała jak rtęć w szklance. Miał wrażenie, że głowa zaraz mu pęknie.

Później, powtarzał. Później. Najpierw trzeba uwolnić Melli.

Wreszcie dotarli do miejsca, w którym kończyły się wskazówki Kosiarza. Z lewej strony znajdowała się kamienna galeria, przed nimi skryte za zasłoną schody, a z prawej nieoświetlony korytarz. Wszystkich dręczyło napięcie. Nawet na najdrobniejszy szmer wydobywali miecze, a Hervo przy każdym poruszeniu naciągał łuk.

Tawl dokonał krótkich wypadów we wszystkie trzy strony. Pod jego nieobecność nikt nie odzywał się ani słowem. Zwrócili się do siebie plecami, ustawieni w trójkąt, i czekali na jego powrót. Sekundy przeradzały się dla nich w minuty, a minuty w godziny.

- To chyba tam - wysyczał Tawl, wynurzając się zza zasłony. - Mury są tam mniej zdobne, a kamienie podłogowe mają inny kolor. Wygląda na to, że te schody dobudowano później.

Crayne skinął głową.

- Bardzo możliwe, że prowadzą do przybudówki. - Zwrócił się w stronę Jacka. - Ty pójdziesz z Tawlem. Hervo i ja zostaniemy tutaj, by strzec drogi odwrotu.

Jack nie spodziewał się tego. Myślał, że wszyscy pójdą razem.

- Posłuchaj, jeśli natkniesz się na coś, z czym nie potrafisz sobie poradzić, wystarczy, że krzykniesz, a w mgnieniu oka wbiegnę na te schody - uspokoił go Crayne, widząc malujące się na jego twarzy zaskoczenie.

Jack zaczerpnął głęboki oddech.

- Nie myślałem o sobie.

Crayne obrzucił go bystrym spojrzeniem.

- To samo dotyczy i was, Jack. Liczę na to, że obaj z Tawlem wróćcie tak szybko, jak tylko się da. - Jego głos brzmiał spokojnie, lecz mówiąc, rycerz przyjrzał się uważnie wszystkim korytarzom. - Poza tym, ktoś musi tu zaczekać na Andrisa. W przeciwnym razie nie wiedziałby, dokąd poszliśmy.

Tawl zajął miejsce u boku Jacka. Popatrzył najpierw na Crayne'a, a potem na Herva, po czym uścisnął dłonie obu rycerzom.

- Uważajcie na siebie. Postaramy się wrócić jak najszybciej.

- Do zobaczenia, bracie - odparł Crayne. Jack po raz pierwszy słyszał, by zwrócił się do jego

przyjaciela w sposób przyjęty wśród rycerzy.

Tawl spoglądał przez chwilę na towarzysza. Na jego twarzy malowało się wiele uczuć, przede wszystkim jednak szacunek. Crayne pochylił niemal niedostrzegalnie głowę.

Tawl odwrócił się i odszedł.

Jack uścisnął dłonie obu rycerzom. Popułnił już jeden błąd, pozwalając Kosiarzowi odejść bez słowa podziękowania, i nie zamierzał go powtarzać.

- Chciałbym wam podziękować...

Crayne przerwał mu ruchem miecza.

- Poczekaj, aż będziemy bezpieczni, Jack. Wtedy nam podziękujesz.

- Ehe, chłopcze - dorzucił Hervo cichym, melodyjnym głosem. - Kiedy wszyscy już będziemy bezpieczni.

\*

Kręte schody prowadziły wciąż w górę, docierały na mały pomost, a potem biegły dalej. Od czasu do czasu natykali się na korytarze i drzwi, lecz gruba warstwa kurzu świadczyła, że nikt tamtędy nie chodzi. Mijali je bez słowa. Same schody były czyste. Tawl kroczył teraz bardzo ostrożnie, a Jack podążał za jego przykładem. Jedynym wydawanym przez nich dźwiękiem był cichy stukot skórzanych podeszew uderzających o kamień.

Im bardziej oddalali się od komnat dla szlachty, tym chłodniejsza była twarz Jacka.

Krew nie wypływała mu już na powierzchnię, lecz serce nadal tłukło gwałtownie i odnosił wrażenie, że ma w żołądku kolczastą kulę z ołowiu.

- Ha! Ha! Ha!

Na dźwięk śmiechu kolce wbiły się głęboko w jego tkanki. Popatrzył na Tawla. On również go usłyszał. Pokonali jeszcze kilka stopni i śmiech rozległ się po raz drugi. Tym razem bliżej. Tawl uniół miecz, przywołując Jacka do siebie. Kilka ostatnich stopni pokonali razem.

Światło stało się jaśniejsze, a hałasy głośniejsze. Schody przeszły nagle w prostokątną salę. Na podłodze siedzieli dwaj wartownicy. Była tam też taca pełna jedzenia, kilka zapalonych świec oraz kości do gry. Obaj mężczyźni podnieśli na ułamek sekundy głowy. Ich twarze zamarły w wyrazie zdumienia. Potem sięgnęli po miecze.

Podnieśli się, rozsypujące drewniane wióry. Tawl rzucił się naprzód i ciął niższego z nich w udo. Jego towarzysz zatoczył szeroki łuk mieczem i rycerz musiał się cofnąć. Jack wśliznął się w powstałą lukę i zaatakował z flanki rannego żołnierza. Poczł nagłe ukłucie w boku i zatoczył się zdyszany do

tyłu. Tawl starł się z wyższym z mężczyzn. Metal zgrzytnął o metal. Rycerz w jakiś sposób zdołał wydobyć nóż, który ścisnął teraz w lewej dłoni.

Zaatakował nim teraz prawą rękę przeciwnika, starając się przerwać patową sytuację.

Wartownik cofnął odruchowo miecz. Tawl nie dał mu wolnego miejsca. Skoczył za cofającym się przeciwnikiem i wbił ostrze w jego pierś.

Jack odpierał właśnie atak rannego gwardzisty, gdy Tawl zaatakował jego przeciwnika od tyłu i zadał mu cios w plecy. Mężczyzna krzyknął głośno i runął na kamienną posadzkę.

Rozległ się trzask łamanych kości. Tawl raz jeszcze przebił mieczem obu żołnierzy, celując w ich serca. Czoło zalewał mu pot. Oddychał szybko i ciężko.

- Nic ci się nie stało? - zapytał, wycierając plamę krwi, którą miał pod okiem.

Jack potrząsnął głową.

- Kolczuga zatrzymała ostrze. Chyba skończy się na paru siniakach.

Bardzo go bolało, lecz nie zamierzał teraz o tym wspominać.

- Kto tam? - rozległ się cichy, stłumiony głos.

Jack i Tawl popatrzyli na siebie.

Rycerz podbiegł do znajdujących się naprzeciw schodów drzwi.

- Melli, czy to ty?

- Tak, to ja!

Tawl zamknął oczy na te słowa. Na jego twarzy pojawiło się coś przywodzącego na myśl głód, a wargi poruszyły się bezgłośnie. Jack mógł się jedynie domyślać, że ukształtowały słowa podziękii. Rycerz pchnął drzwi z całej siły. Nie chciały ustąpić.

- Cofnij się! - krzyknął. Wziął kilka kroków rozpędu i wałnął barkiem o deskę. Zamek nie wytrzymał i drzwi się otworzyły.

Jack poczuł, że coś przeszyło jego ciało. Było to tak, jakby przeniknął przez niego duch. Gdy jednak ujrzał stojącą w wejściu Melli, natychmiast zapomniał o owym wrażeniu.

Była bardzo chuda, zupełnie jak dziecko. Wielkie, niebieskie oczy lśniły w twarzy drobniejszej i bledszej niż ta, którą pamiętał.

Tawl skoczył ku niej, pochwycił ją w ramiona i przycisnął mocno do piersi. Jackowi gest ten przywodził na myśl rannych, którzy przyciskali sobie pięści do rany, żeby powstrzymać krwawienie.

Tawl również był ranny. Ramiona mu dygotały, a dłonie poruszały się spazmatycznie w górę i w dół, głaszcząc włosy Melli, jej plecy, policzki i szyję. Gdy odsunęła się od niego, by przywitać Jacka, nie chciał jej puścić. Złapał ją za suknię, jakby mógł ją w ten sposób zatrzymać przy sobie.

Wyrwała się delikatnie z jego uścisku i zwróciła w stronę Jacka.

Dopiero wtedy ujrzał ją twarzą w twarz i zauważył, że nie jest już w ciąży.

- Co się stało? - zapytał.

Melli skierowała na niego spojrzenie oczu matowych jak wytrawione szkło.

- Baralis zamordował moje dziecko.

\*

Gdy tylko pieczęć zatańczyła, królewski kanclerz rozchylił powieki. Przez jego mózg przebiegły drobniutkie ciarki. Drzwi się otworzyły. Pieczęć złamano.

We dnie czy w nocy, zawsze wiedział, która jest godzina. Natychmiast zrozumiał, że jest już za późno, by do Melliandry zajrzeli wartownicy albo pani Greal. Wstał z łoża i ubrał

się, zatrzymując się na chwilę, by zapalić świecę. Nie potrzebował światła, ale gdy nie rzucał

cienia, czuł się nagi. Zawołał jeszcze Croke'a, lecz niecierpliwość kazała mu otworzyć drzwi i sam ruszył pałacowymi korytarzami.

\*

Tawl nie zamierzał nigdzie iść, dopóki nie umocuje jak należy łubków na ręce Melli.

- Nie chcę ryzykować, że złamię się podczas ucieczki - stwierdził. Rozwinął bardzo delikatnie bandaż i zdjął drewnienko.

Jack zaczerpnął gwałtownie tchu. Przedramię Melli było paskudnie zniekształcone.

Kości zrosły się pod niewielkim kątem, a w miejscu ich połączenia utworzyła się narośl.

- Kto ci to zrobił? - zapytał Tawl.

Spuściła wzrok.

- Kylock. W noc porodu. Urodziłam przedwcześnie. Dwa tygodnie przed terminem. -

Mówiła tak cicho, że Jack musiał wytyżać słuch, by ją usłyszeć. - To był chłopiec. Baralis mówił, że to był chłopiec.

Przez twarz Tawla przemknął wyraz straszliwego bólu, który jednak natychmiast zniknął,

pozostawiając po sobie jedynie głębokie bruzdy.

Jack pochylił się i ucałował dłoń dziewczyny. Nie mógł powiedzieć nic, co pocieszyłoby ją po stracie dziecka. Kiedy się wyprostował, żołądek przeszył mu gwałtowny spazm. Nacisk w skroniach oślepił go na chwilę. To przez ranę, uspokajał się, starając się ukryć dręczący go ból.

- W porządku - stwierdził Tawl, zawiązując bandaż. - To na razie wystarczy. Jak już znajdziemy się w kryjówce, zajmie się tym Borlin. - Rozciągnął wargi w posępnym uśmiechu. - To prawdziwy geniusz, jeśli chodzi o złamania. Sam w swoim czasie przyczynił

się do bardzo wielu.

Melli odwzajemniła uśmiech, zapewne wyłącznie ze względu na Tawla.

- Możesz iść? - zapytał Jack. Ból ustąpił, lecz głowę nadal wypełniało mu ciche brzęczenie.

Skinęła głową.

- Dam sobie radę.

- No to ruszajmy.

Jack wybiegł już myślą naprzód. Pójdzie z Tawlem i Melli do wylotu z korytarza, a potem ich opuści. Teraz najważniejszy był Kylock.

Rycerz ujął dłoń dziewczyny i oboje ruszyli za nim schodami. Szli szybko, chcąc jak najprędzej dotrzeć do Crayne'a i opuścić pałac. Schodząc na dół, nabierali rozpędu, pokonując za każdym krokiem po dwa stopnie. Gdy wreszcie zeszli ze schodów, wszyscy troje byli zdyszani.

Jack zauważył zwłoki Crayne'a, nim jeszcze poczuł woń czarów. Odsunął zasłonę i zobaczył, że rycerz leży na wznak w kałuży własnej krwi. Zamiast oczu miał puste, czerwone jamy. Hervo siedział bezwładnie pod ścianą, chłopak nie widział więc jego twarzy, z nosa wypływał mu jednak strumień szkarłatnego śluzu. Prawą dłoń zaciskał na strzale, a łuk leżał

na lewo od niego. Cięciwa jeszcze drżała.

Jack przeklął własną głupotę. To właśnie poczuł, gdy ujmował dłoń Melli. Powinien był się domyślić. Odgadnąć prawdę.

Żeby to wszystko zrozumieć, potrzebne mu było zaledwie ćwierć sekundy. Tawl i Melli zeszli tymczasem ze schodów, a jednocześnie z mroku przed nim wyłonił się Baralis.

Za późno.

Jack czuł smak zaczerpnięcia mocy na wargach kanclerza. Stawało się coraz silniejsze.

Czas zwolnił bieg, a potem nabrał gęstości.

Usłyszał nagle głos krzyczący: „UCIEKAJCIE!”. Niemal nie zdawał sobie sprawy, że ostrzeżenie wyrwało się z jego ust. Pchnął z całej siły coś miękkiego - nie wiedział, czy to Tawl, czy Melli - a potem rzucił się w drugą stronę. Gdy jego ciało przesywało powietrze, umysł sięgnął w głąb brzucha, by dokonać zaczerpnięcia. Widział już moc Baralisa.

Zmierzała ku niemu - paląca, iskrząca, gładka i ostra jak sztylet - rozżarzając powietrze swą gorącą, metaliczną furią.

Za późno. Nie miał czasu. Zostały mu tylko ułamki sekund. Baralis zaczął czerpać moc, nim jeszcze Jack zszedł ze schodów. Ciało chłopaka wypełniła przyprawiająca o mdłości fala. Jego żołądek skurczył się gwałtownie. Uniósł dłonie, próbując złagodzić upadek.

I wtedy uderzyła w niego moc Baralisa. Jego ciało wypełnił palący ból. W kończyny, brzuch i twarz wbiły mu się rozżarzone ostrza, skórę przebiło tysiąc igieł, a ku sercu pomknął

biały ogień. Ciało Jacka ogarnęły konwulsje, a piersią targnął potężny spazm. Potem nie czuł już nic.

Za późno. Gdy Jack padł na podłogę, Tawl biegł już w stronę Baralisa. Jedną ręką trzymał Melli, a w drugiej dzierżył miecz. Nie zdążył jeszcze odzyskać równowagi po tym, jak chłopak popchnął go z całej siły. Nim moc uderzyła w cel, zdołał postawić jedynie trzy kroki.

Powietrze zakipiało, zbieleło i pomknęło na spotkanie Jacka. Tawl poczuł na twarzy gorący powiew, który poparzył mu skórę, wyssał powietrze z płuc i oślepił go niczym słońce.

W ostatniej chwili zdążył jeszcze osłonić Melli, lecz fala już do niej dotarła. Krzyk dziewczyny rozdarł jego duszę.

Jack stał się ruchomym, białym płomieniem. Jego kończyny ogarnął buzujący głośno ogień. Potem wszystko znieruchomiało.

Nastał moment absolutnego spokoju. Chłopak osunął się na kamienne płyty. Baralis był zastygłą nad nim plamą ciemności. Melli wsparła głowę o plecy Tawla, który nagle zdał

sobie sprawę, że rękojeść miecza parzy mu dłoń. Wypuścił ją pospiesznie. Oręż upadł z brzękiem na ziemię, mącąc ciszę niczym kościelne dzwony o świcie.

Baralis osunął się na podłogę. Jego ciało zgięło się wpół i padło na ziemię. Płaszcz rozpostarł się wokół niego jak czarny wachlarz. Skądś wypadł nagle jakiś olbrzym, który łkał, mamrotał coś do

siebie i potrząsał głową jak opętany. Podbiegł prosto do Baralisa, nie zważając na Tawla i Melli.

- Chodź, Tawl. Uciekajmy - krzyczała dziewczyna.

Rycerz schylił się po miecz. Skończy z Baralisem raz na zawsze.

- Nie! - krzyknęła Melli. - Nie zbliżaj się do niego. Nie masz pojęcia, do czego on jest zdolny. Nawet w takim stanie. - Pociągnęła go za ramię. Odwrócił się i spojrzał na nią. Twarz miała czerwoną i wilgotną wskutek działania mocy. Strach, widoczny w jej oczach, przypominał odsłonięty nerw. - Proszę cię, Tawl. Uciekajmy stąd, póki można.

W oddali rozległy się krzyki. Galerią biegło ku nim dwóch unoszących broń gwardzistów. Tawl podniósł miecz. Nadal był gorący, lecz już nie parzył. Spojrzał na Jacka.

Jego pierś się nie poruszała. Nie było widać żadnych oznak życia. Melli miała rację. Musieli uciekać, nim dopadną ich zbrojni. Jackowi nie mogli w tej chwili pomóc.

Bardzo trudno jednak było mu odwrócić się od przyjaciela. Przez głowę przemknęła myśl, że powinien zabrać jego ciało. Może chłopak wcale nie był martwy, a tylko nieprzytomny.

- Tawl! Straże! - krzyczała przerażona Melli. Po policzkach spływały jej krew i łzy.

Dygotała. Cały przód jej sukni uległ zwęgleniu. Pociągnęła rycerza za sobą. Zauważył, że moc przypaliła wszystkie włoski na jej ramieniu.

Wiedział, że musi ją odprowadzić w bezpieczne miejsce. Nie chodziło tylko o przysięgę. Był to jeden z dwóch warunków umowy, którą zawarł sam ze sobą w zimnej, zielonej głębi Ormonu. By ocalić siebie, musiał najpierw uratować Melli.

Nie miał czasu zabrać ciała. Spowolniłoby to ich ucieczkę. Zbrojni już nadbiegali.

Słysząc też było następnych. Uścisnął dłoń Melli i umknęli razem korytarzem, ścigani przez gwardzistów.

Łzy drażniły jego spieczone policzki. Hervo, Crayne, Jack: Baralis zabił ich wszystkich. Jego przyjaciół, braci, dobrych ludzi, którzy towarzyszyli mu w niebezpieczeństwie, nie myśląc o sobie. Hervo i Crayne nie mieli misji do spełnienia ani nie wiązało ich starożytne proroctwo. Po prostu w niego uwierzyli. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie pustych oczodołów w twarzy Crayne'a. Gniew ścisnął mu pierś gwałtownym bólem. Co z nim uczyniono?

Gniew przeszedł we wściekłość. Uciekając korytarzami z Melli, wiedział, że Baralis, Kylock i Tyren muszą zginąć.

Zbrojni byli coraz bliżej. Wiedział, że zaraz będzie musiał się odwrócić i stawić im czoło. Potrafił sprostać dwóm przeciwnikom, bał się jednak, że Melli może zostać ranna. Miał

już zamiar kazać jej uciekać, gdy nagle - niby dar od bogów - wyrósł przed nim Andris.

Wysokiemu, jasnowłosemu rycerzowi towarzyszyło jeszcze dwóch ludzi. Wszyscy wyciągnęli miecze i skinąwszy tylko głowami na znak powitania wzięli się za gwardzistów.

Przystąpili do walki z szybkością i entuzjazmem typowymi dla wypoczętych żołnierzy. Tawl wstrzymał na chwilę oddech. Melli stała u jego boku i choć wciąż trzymał jej dłoń, uniósł rękę, w której trzymał miecz, i musnął ramieniem jej policzek. Ciągle mało mu było jej dotyku.

- Już niemal utraciłam nadzieję - rzekła, uśmiechając się do niego.

Pocałował ją. Poparzone wargi i mokre od łez nosy zetknęły się ze sobą, otwarte oczy spojrzały na siebie, pełne strachu, że jeśli się zamkną, najbliższa osoba może zniknąć. Tawl pojął, że nie chodziło mu tylko o zbawienie, lecz również o miłość. Melli była czymś więcej niż jedną ze stron umowy. Była kobietą, którą kochał. I być może, jeśli Borc pozwoli, na końcu drogi mogą znaleźć sposób, który pozwoli im być razem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

- Gdzie Crayne i reszta?

To był Andris. Ocierał miecz o spodnie. Obaj gwardziści padli nieżywi. Najmłodszy z rycerzy, Gervhay, napiął łuk, gotów przeszyć strzałą każdego, kto by się pokazał.

Tawl spuścił wzrok. Do końca było jeszcze bardzo daleko. Tak daleko, że nie było sensu o tym myśleć.

- Nie żyją. Zabił ich Baralis.

Andris skinął głową. Tawl wiedział, że to właśnie spodziewał się usłyszeć.

- *Th es ve esrl* - rzekł.

Tawl, Gervhay i Corvis powtórzyli jego słowa. Rzeczywiście byli godni.

Nie było czasu na żałobę. Andris wydał warkliwym tonem rozkaz i wszyscy pobiegli w stronę wejścia do tunelu. Twarze mieli posępne, a w dłoniach mocno ściskali broń. Każdy, kto stanął im na drodze, ginął w mgnieniu oka. Strzały Gervhaya nigdy nie chybiały, miecz Andrisa zadawał jedynie śmiertelne ciosy, a długi nóż Corvisa bezbłędnie trafiał w bijące serca. Pokrywająca ich ubrania krew krzepła już, wypełniając im nozdrza wonią śmierci.

Wszystko zboczyły czerwone plamy: ściany, cienie, gwardzistów, ich oczy. Nic nie uchroniło się przed skazą.

Wreszcie dotarli do wyjścia. Ścigający byli już martwi lub umierający. Andris uniósł zasłonę ukrywającą płycinę.

I wtedy właśnie Tawl usłyszał dźwięk.

Szedł na końcu grupy, przebijając leżące ciała mieczem, by się upewnić, że nikt nie pozostanie przy



życiu, żeby zameldować, którzy uciekli. Wtem w oddali zabrzmiał łatwy do rozpoznania głos.

Gdy tylko go usłyszał, popatrzył na Melli. Andris wskazywał jej właśnie wejście do tunelu i próbowała się do niego wcisnąć. Nie podniosła głowy. Nikt z nich tego nie zrobił.

Bez chwili zwłoki podjął decyzję. Zaczekał, aż wszyscy czworo znajdą się w tunelu, po czym podszedł do wejścia.

- Ruszajcie już. Znikajcie stąd. Wróćcie do kryjówki i czekajcie tam na mnie.

Andris potrząsnął głową.

- Nie, Tawl. Pójdziemy razem.

- Tawl, nie opuszczaj mnie. Nie w takiej chwili - zawołała ukryta w mroku Melli. W jej głosie słychać było strach.

Wyciągnął rękę, chcąc dotknąć dziewczyny.

- Borec mi świadkiem, przysięgam, że nie zrobię nic głupiego. Wrócę do ciebie jeszcze przed świtem.

Zacisnęła palce na jego dłoni.

- Kocham cię.

Bez względu na wszystko, co wydarzyło się tej nocy - krew, rzeź, utratę przyjaciół -

Tawla ogarnęła na te słowa radość tak potężna, żeomal mu serce nie pękło. Ucałował jej dłoń.

- Ja też cię kocham - rzekł cicho. - Obiecuję, że wrócę.

Wypuszczenie jej dłoni było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek uczynił. Jego dusza, serce, mięśnie i umysł nie chciały się z nią rozstawać. Przed chwilą jednak usłyszał

placz dziecka i wiedział, że musi dotrzymać przysięgi.

\*

- Sza, maleńki, sza. Jesteś z nianią Greal.

Pani Greal kołysała łagodnie niemowlę, przyciskając je do kościstej piersi. Od czasu do czasu gruchała cicho i podawała mu palec do ssania.

Mały Herbert - otrzymał to imię na cześć ojca pani Greal i madame Thornypurse, Herberta Skinflynta Greala - nigdy dotąd nie płakał nocą. Był bardzo słaby i większość czasu przesypiał, a w ciągu kilku godzin dnia, gdy czuwał, był cichy jak jagniątko. Pani Greal nigdy w życiu nie widziała tak małego dziecka. Nawet teraz, trzy tygodnie po narodzinach, nie ważył prawie nic. Piąstki miał maleńkie jak

kwiaty mniszka, a jego cudowna główka przypominała w dotyku poduszczykę do szpilek. Kłopot w tym, że urodził się przed terminem. Ta zdzira. Melli, za wcześnie wypchnęła go ze swego ciała. Nie miała nawet tyle odwagi, żeby donosić dziecko.

Herbert przesunął się w ramionach pani Greal, otworzył szeroko niebieskie oczka i rozdarł się na całe gardło.

- Sza, maleńki, sza.

Pani Greal kołysała niemowlę, przytulała je i gruchała do niego. Gdy nic z tego nie pomagało, wpadła w panikę. Był bardzo wczesny ranek i dźwięk niósł się daleko w poprzedzającym świt chłodzie kamiennych korytarzy. Wzięła dziecko, otworzyła szafę, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Niemowlę zareagowało na zmianę otoczenia jeszcze głośniejszym płaczem.

Zaczęła czule podrzucać małego Herberta w ramionach.

- Sza. Niania Greal cię nie skrzywdzi. Nie, nie niania Greal. Niania Greal kocha małego Herby'ego. Tak, kocha. Tak, kocha.

Te słowa uspokajały stopniowo niemowlę. Pani Greal nie przestawała mówić, aż dziecko wreszcie zasnęło.

Stała w mroku, opierając się plecami o swe zimowe stroje. Nogi bolały ją od bezruchu, a niemowlę ssało jej palec. Poczula ucisk w piersi. Herby należał teraz do niej i nikt jej go nie odbierze.

Nie miała zamiaru go pokochać. Zabrała go tylko dlatego, że chciała zrobić na złość Baralisowi, który zamordował jej umiłowaną siostrzenicę, Corsellę. Musiał za to zapłacić.

Niemowlę miało jej posłużyć jako broń przeciwko niemu. Mały Herbert był dla niego większą groźbą niż jakakolwiek armia. Był prawdziwym dziedzicem Brenu. Na lewej kostce nosił zamię jastrzębia, na dowód, że to prawda. Musiała tylko rozgłosić, że prawowity potomek diuka żyje i ma się dobrze, a szacowni mieszkańcy Brenu zbuntują się przeciw Kylockowi. Z pewnością woleliby syna diuka od cudzoziemskiego tyrana. Wypędzą Baralisa z miasta, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, dopadną go i zabiją.

Takie przynajmniej były jej pierwotne plany. Zemsta. Gdy jednak trzymała w ramionach maleńkiego noworodka, stało się z nią coś dziwnego. Baralis i jego knowania przestały się wydawać tak ważne.

Poruszyła ją kruchość niemowlęcia. Wymagało opieki dniem i nocą. Trzeba je było karmić nasączoną mlekiem szmatką i nacierać ciepłym olejkiem. Bez niej byłoby bezradne.

Potrafiło tylko leżeć na kocu, wymachując rączkami i nóżkami. Pani Greal nigdy nie wyszła za mąż, nie miała własnych dzieci, nie wiedziała, jak to jest, gdy ktoś polega tylko na niej.

Niemowlę kochało ją. Ufało jej. Była jedyną ważną osobą w jego krótkim, niewinnym życiu.

Nie było podstępne, niewdzięczne ani chciwe. Nie chciało oskubać jej z pieniędzy ani pozbawić źródeł utrzymania. Pragnęło jedynie spoczywać w jej ramionach i ssać jej kciuk.

Trwało to kilka dni, ale stopniowo pani Greal znalazła się w niesłychanej dla siebie sytuacji. Chciała dawać. Poświęcać czas i pieniądze, oferować miłość i opiekę. Jeśli chodziło o bezpieczeństwo Herberta, żadna cena nie była zbyt wygórowana.

Baralis był mordercą. Zabił ojca dziecka i jego przyrodnią siostrę. Konfrontacja z nim byłaby nie tylko głupotą, lecz wręcz samobójstwem. Naraziłaby i siebie, i niemowlę.

Najlepiej będzie wykraść się z pałacu, opuścić miasto i wrócić do królestw, nie zdradzając nikomu prawdziwej tożsamości dziecka. Odgarnęła z jego czoła kosmyk włosów. Jutro zobaczy się z siostrą i każe jej spieniężyć wszystkie zgromadzone kosztowności. Dzisiejsza noc dowiodła, że przetrzymywanie dziecka w pałacu jest stanowczo zbyt niebezpieczne. Nie mogła mieć do niego pretensji o to, że płacze, lecz nie potrafiła go od tego powstrzymać. Pora zabrać Herberta w bezpieczne miejsce.

Pani Greal pchnęła łokciem drzwi szafy i wyszła do ciepłej, jasnej komnaty. Było już bardzo późno i chciała jeszcze przespać się parę godzin przed świtem.

Gdy miała już ułożyć Herberta w płytkiej skrzyni, która służyła mu jako kołyska, jej nadgarstek przeszył gwałtowny ból. Puściła nóżki niemowlęcia, które grzmotnęło pupą o koc.

Uderzenie nie było mocne, wystarczyło jednak, by dziecko obudziło się i krzyknęło głośno z oburzenia.

Pani Greal była przerażona.

- Sza, sza - zawołała. Uniosła malca i znowu zaczęła go kołysać. - Cicho, malutki Herbercie. Sza. Jesteś z nianią Greal.

\*

Tawl miał już zamiar dać za wygraną, gdy znowu usłyszał płacz. Tym razem rozległ się bardzo blisko. Stał jak wryty, próbując ustalić źródło dźwięku. Gdzieś przed nim, po lewej i piętro niżej. Rozejrzał się po korytarzu w poszukiwaniu gwardzistów, po czym ruszył w tamtym kierunku.

O ile się nie mylił, opuścił już główną część komnat dla szlachty. Na ścianach płonęło tu mniej pochodni. Nie widział też gobelinów ani wartowników. Od czasu do czasu słyszał w oddali kroki, nikt jednak się nie zbliżał. Cieszył się, że może chwilę odetchnąć, lecz nie zamierzał ryzykować. Co chwila oglądał się za siebie. Słabe oświetlenie z pewnością mu sprzyjało, od czasu do czasu gasił więc pochodnie, by jeszcze pogłębić półmrok.

W końcu trafił na krótkie schody i zszedł po nich w dół. Płacz ucichł, lecz Tawl domyślał się, że jest

już bardzo blisko jego źródła. Gdy znalazł się w okrągłej galerii, skierował się prosto ku pierwszym drzwiom po lewej.

Przystawił ucho do drewna. Usłyszał głos kobiety, która przemawiała specyficznym, śpiewnym tonem, jakim matki zwracają się do dzieci. Zaczerpnął tchu, by się uspokoić.

Wiedział, że jest możliwe, iż to wcale nie jest dziecko Melli, musiał się jednak upewnić.

Złożył przed diukiem przysięgę, że będzie bronił jego żony i dziedziców. Jeśli istniała nawet najmniejsza szansa, że syn władcy Brenu jeszcze żyje, honor nakazywał Tawlowi zapewnić mu bezpieczeństwo.

Sprawdził delikatnym ruchem drzwi. Były zaryglowane. Nie chciał ich wyłamywać, nie pozostało mu jednak nic innego. Obrócił się na nodze i z całej siły kopnął w drewno.

Drzwi odskoczyły z trzaskiem. Kobieta krzyknęła. Dziecko zaczęło płakać.

Tawl uniósł prawą rękę w uspokajającym geście, po czym wszedł do środka. Kobieta natychmiast rzuciła się na niego. W ręku trzymała nóż i mierzyła prosto w pierś. Tawl opuścił

rękę, by powstrzymać cios, i ostrze trafiło go w ramię tuż pod barkiem. Kończynę przeszył

gwałtowny ból. Oczy rycerza zaszyły łzami. Rozgniewany, zamachnął się pięścią, trafiając kobietę w podbródek. Zatoczyła się do tyłu, wymachując ramionami, by powstrzymać upadek. Wylądowała w kącie, obok dziecka.

Natychmiast pospieszył jej z pomocą. Kobieta wciąż trzymała nóż i wymachiwała nim teraz przed sobą.

- Zostaw mnie i moje dziecko - krzyknęła.

Tawl cofnął się. Ramię krwawiło mu paskudnie. Zaciskał dłoń na ranie.

- Twoje dziecko?

Była stanowczo za stara, żeby być matką niemowlęcia.

- Mojej córki - poprawiła się. - A teraz wynoś się albo zawołam gwardzistów.

Tawl zajrzał do skrzyni, ignorując groźbę. Niemowlę było maleńkie, dopiero co narodzone. Zacisnęło dłonie w piąstki i krzyczało z pełnym zdumienia zapamiętaniem, jakby było zaskoczone tym, że potrafi narobić tak wiele hałasu. Rycerz wymierzył w kobietę sztych miecza.

- Każ mu przestać płakać.

Podniosła się z podłogi. Tawl podszedł do drzwi i zamknął je. Oderwał od bluzy pasmo materiału i spróbował owiązać sobie ranę. Nie było to łatwe, gdyż krew płynęła obficie, a do tego musiał

zawiazywać węzeł lewą ręką. Zasupłał go tak mocno, jak tylko zdołał wytrzymać ból, po czym zacisnął pięść na samym środku zakrwawionej szmaty.

Zamknął na chwilę oczy. Ból stopniowo przeszedł w dotkliwe pieczenie.

Nie zwalniając uścisku, zwrócił się w stronę kobiety. Trzymała niemowlę w ramionach, uspokajając je dziecinnymi słowami. Tawłowi przemknęło przez głowę, że jej głos ma ostre, nieprzyjemne brzmienie, dziecko jednak reagowało na niego dobrze. Po chwili płacz ucichł, przechodząc w kwilenie.

- Daj mi je. Muszę je obejrzeć.

Kobieta przytuliła niemowlę do piersi.

Tawł poczuł się nagle bardzo zmęczony. Miał za sobą długi, ciężki dzień. Chciał, żeby wreszcie się skończył.

- Pani, nie chcę skrzywdzić ciebie ani twego dziecka. Muszę mu się jednak przyjrzeć.

- Wsunął miecz do pochwy. Prawa ręka osłabła mu tak bardzo, że nie potrafił już go utrzymać, a lewą nie umiał władać ciężką bronią. Zastąpił miecz długim nożem. - Podaj je.

Kobieta spojrzała na nóż.

- Kim jesteś?

Tawł zaczynał tracić cierpliwość. Ruszył w jej stronę.

- Podaj dziecko.

- Będę krzyczeć.

- Nie sędzę.

Przeszyła go ostrym spojrzeniem i podsunęła mu niemowlę.

Obserwował ją uważnie. Wiedział już, jak biegle włada nożem. Postanowił nie podejmować ryzyka.

- Połóż je na łożu i zdejmij ubranko.

Wykonała polecenie, zostawiając tylko pieluszkę i wełniane skarpetki.

- Stań w kącie i pozwól mi się przyjrzeć - rozkazał, mierząc ostrzem noża w jej pierś.

Zawahala się. - Jazda!

Przeszedł na drugą stronę łoża, by mieć kobietę na oku. Wyciągnął rękę i dotknął

niemowlęcia. Nie spało. Spoglądało na Tawla niebieskimi oczami, przypominającymi kształtem i kolorem oczy Melli.

- Kiedy się urodziło? - zapytał. Nadal nie wiedział, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

- Moja córka wydała je na świat przed dziewięcioma tygodniami. Jest chora i dlatego ja muszę się nim opiekować.

Kierowała swe kłamstwa do niewłaściwej osoby. Tawł wiedział wszystko o dzieciach.

Po śmierci matki sam wychowywał noworodka. Niemowlę było za małe, by mogło sobie liczyć dziewięć tygodni. Przetoczył je delikatnie na brzusek, szukając znamion. Słyszał

kiedyś, dawno temu, że wszyscy potomkowie breńskiej dynastii noszą zamię jastrzębia.

Plecy dziecka były gładkie.

- Zdejmij pieluszkę i skarpetki.

Kąciokiem oka zauważył, że kobieta uniosła nóż. Miał już tego dość. Nie była matką niemowlęcia ani jego babcią. Dziecko miało oczy i włosy tej samej barwy, co Melli, a do tego było maleńkie jak noworodek. Pochylił się i ułożył je sobie na zranionej kończynie. Bark przeszył mu ból, zignorował to jednak.

- Nie zabieraj go - krzyknęła kobieta. Pobieгла ku niemu, wyciągając nóż, lecz Tawł drugą rękę miał wolną i zmusił ją do odwrotu, zataczając swym orężem ostrzegawcze kręgi.

- Daj mi koc.

Kobieta ściągnęła narzutę z łoża.

- Proszę cię, nie zabieraj go. Proszę.

- Pani, to nie twoje dziecko. Oboje o tym wiemy. - Tawł nie czuł do tej kobiety sympatii ani zaufania, widział jednak, że niemowlę nie jest jej obojętne. - Dlaczego nie powiesz mi prawdy? Nie zrobię ci krzywdy.

- Ale zabierzesz dziecko?

- Tak. Bez względu na to, co powiesz.

Wziął w rękę koc. Kobieta nie próbowała go atakować. Spróbował owinać niemowlę, lecz jedną ręką trudno było tego dokonać. Kołysał się w przód i w tył, żeby je uspokoić.

- Znasz się na małych dzieciach? - zapytała.

- Tak. Kiedyś jedno wychowywałem. Dawno temu. - Wyczuł, że kobieta uspokoiła się nieco. Sam

również był coraz spokojniejszy. - Pomóż mi otulić je kocem. Marznie.

Obserwował uważnie, jak kobieta zastanawia się, czy odłożyć nóż.

- Kim jesteś?

Miał już zignorować jej pytanie, tak jak uczynił to za pierwszym razem, lecz z jakiegoś powodu postanowił podjąć ryzyko. Musiał poznać prawdę.

- Jestem Tawl, obrońca diuka - oznajmił, patrząc jej prosto w oczy. - Przed całym miastem złożyłem przysięgę, że będę bronił władcy Brenu i jego dziedziców.

Kobieta spuściła wzrok, spoglądając na niemowlę. Owinęła je kocem, sprawdzając, czy ramionka są szczelnie osłonięte.

- Myślisz, że to jego syn?

- Tak sądzę, ale tylko ty możesz dać mi pewność - mówił Tawl delikatnym głosem. -

Nie potępiam cię za to, że go zabrałaś. Jak mógłbym? Uratowałaś mu życie. Mam u ciebie dług, którego nigdy nie zdołam spłacić. Zawsze będę ci wdzięczny, ale błagam, błagam, powiedz mi prawdę.

Nastąpiła chwila ciszy. Kobieta głaskała dziecko po główce. Nagle podniosła wzrok.

- Jeśli wszystko ci powiem, to czy zabierzesz mnie ze sobą? No wiesz, on mnie kocha.

Nie zna nikogo innego. Jestem dla niego jak matka. Beze mnie może się bać.

Tawl rzucił nóż na łóżko. Wyciągnął rękę i dotknął kościstego, zniekształconego nadgarstka kobiety.

- Obiecuję, że to zrobię. Wiem, że go kochasz. Widzę to. A teraz powiedz mi, proszę, co tu się wydarzyło.

Wręczył jej niemowlę w geście zaufania.

Kobieta drżała. Jej mokre od łez rzęsy przypominały kolce.

- Chodź do niani Greal - zagruchała. - Grzeczny chłopczyk. Usiadła na krawędzi łóżka, odsłoniła lewą nóżkę niemowlęcia i ściągnęła z niej skarpetkę. Tuż nad kostką, na fałdzie skóry widniał różowy znak wielkości paznokcia kciuka. Znamię jastrzębia.

- Baralis kazał mi zabrać dziecko i zabić je - wyznała cicho kobieta. - Zrobiłabym to, gdyby nie Corsella.

- Corsella? Córka madame Thornypurse?

Kobieta podniosła wzrok.

- Tak. Moja siostrzenica. Znałeś ją?

- Gdy pierwszy raz przybyłem do Brenu, zamieszkałem u niej.

- Dobra z niej była dziewczyna. Miała urodę i złote serce. Tawl był o niej nieco innego zdania, lecz nie zamierzał teraz na ten temat dyskutować.

- I co jej zrobił Baralis?

- Zamordował ją. Crope trzymał w puzderku jej naszyjnik. Powiedział, że dostał go od swojego pana.

Tawl usiadł na łożu obok kobiety. Razem zaczęli pieścić dziecko.

- Przykro mi - powiedział. - Poczuję nagle wyrzuty sumienia z powodu tego, że tak brutalnie potraktowałem madame Thornypurse. - Nie wiedziałem o tym.

- To nie twoja wina. Z tobą postąpił nie lepiej.

- Co masz na myśli?

- To on uknuł morderstwo diuka. Podśluchałem, jak omawiał całą sprawę z tym Traffem. Słyszałem wszystko dokładnie.

Tawlowi zakręciło się w głowie.

- Gdzie to się stało?

- W lokalu mojej siostry, oczywiście. Traff się tam zatrzymał i Baralis złożył mu wizytę. Opowiedział mu o tajnych przejściach i takich tam rzeczach. Obiecał, że dostanie w nagrodę Melliandrę.

- I wszystko to słyszałaś?

Kobieta skinęła głową.

- Każde słówko.

- Co jeszcze wiesz o Baralisie?

- Mnóstwo. Mam spis szlachetnie urodzonych, których zamordowali z Kylockiem.

Kylock okalecza ciała, żeby nie można ich było rozpoznać, a potem wrzuca je do jeziora.

Oficjalnie wszystkich uważa się za zaginionych.

- Masz te notatki przy sobie?



Kobieta poklepała się po boku.

- Nigdy się z nimi nie rozstaję. Są tu wymienieni niektórzy z najbogatszych i najbardziej szanowanych wielmożów w Brenie.

Do Tawla zaczęło docierać, jak cenna może się okazać niania Greal. To, co wiedziała o Baralisie i Kylocku, mogło wywrócić miasto do góry nogami.

- Lepiej już chodźmy - zaproponował. - Ja popilnuję dziecka, a ty spakuj swoje rzeczy.

Zabierz tylko tyle, ile zdołasz udźwignąć na plecach. Musisz mieć obie ręce wolne, żeby trzymać niemowlę.

Gdy była zajęta grzebaniem w szafie, Tawl wziął w ramiona dziecko. Dziecko Melli.

Wyglądało wspaniale: było zdrowe, choć małe, a oczy miało wielkie jak naleśniki.

Przycisnął je do piersi, ciesząc się dotykiem drobnego, ciepłego ciała.

- Co zamierzałaś z nim zrobić? - zapytał kobiety.

- Zabrać go stąd. Dopilnować, żeby nikt nigdy się nie dowiedział, kim jest. -

Uśmiechnęła się do Tawla. Był to niezbyt przyjemny widok, gdyż brakowało jej dwóch przednich zębów. - Widzę, że świetnie z nim sobie radzisz.

- Jest piękny. - Spojrzał na kobietę. - Miałaś rację, że mi zaufałaś. Baralis prędzej czy później by się zorientował. Wytropiłby was i zabił.

- Tak. Pewnie masz rację. - Kobieta zapięła płaszcz i wróciła po dziecko. - Dokąd nas zabierzesz?

- Uciekniemy z miasta, do czasu, gdy będziecie mogli wrócić tu bezpiecznie. - Podał

jej niemowlę. Przestał już krwawić, lecz gdy wyciągnął rękę, bark przeszył mu ostry spazm bólu.

- To chyba nigdy nie będzie możliwe.

- Będzie - obiecał. - Będzie.

\*

Pani Greal, czy niania Greal, jak wolą teraz o sobie mówić, wskazała Tawlowi drogę do kaplicy dla służby. Gwardziści pałacowi zmobilizowali już wszystkie siły, skupili jednak uwagę na komnatach dla szlachty i poza jednym wartownikiem, którego Tawl pchnął długim nożem, oraz młodą pomywaczką, która tak przeraziła się jego towarzyszką, że rycerz po prostu ją wypuścił, nie spotkali po drodze nikogo.

Podążając za Tawlem przez pałacowe korytarze, niania Greal mocno przyciskała do piersi małego Herberta. Złotowłosy rycerz bardzo jej przypadł do gustu. Był przystojny, honorowy i delikatny, a co najważniejsze, wierzyła mu, gdy zapewniał, że będzie bronił

chłopczyka nawet za cenę życia. Początkowo nie chciała z nim iść, lecz gdy zobaczyła, jak jego wielkie dłonie delikatnie ujmują miękką, bezbronną główkę Herberta, zrozumiała, że może mu zaufać. Miał dobre serce, a niania Greal już od dawna nie dostrzegła u nikogo tej cechy.

Miał też rację co do Baralisa. Królewski kanclerz prędzej czy później dowiedziałby się, że dziecko żyje. Jego możliwości były nieograniczone. I nie cofnąłby się przed niczym, by osiągnąć swój cel.

Tak, pomyślała. Dobrze się stało. Teraz liczy się tylko bezpieczeństwo małego Herberta.

Weszli do kaplicy dla służby i Tawl zdjął ze ściany środkową płycinę. Przybito ją gwoździami i musiał podważyć deskę mieczem.

Wkrótce znaleźli się w korytarzu, w którym panowała nieprzenikniona ciemność.

Woda sięgała jej po kostki, potem po kolana, a wreszcie po pierś. Wtedy dziecko wziął Tawl.

Położył je sobie na barkach i gdy tylko natrafili na trudniejszy odcinek, zatrzymywał się, by podać jej rękę. W miarę, jak oddalali się od pałacu, zimno stawało się coraz dokuczliwsze, serce niani Greal wypełniało jednak ciepło. Mały Herbert znalazł się w pewnych, delikatnych rękach, rękach, które nigdy go nie skrzywdzą. Rozciągnęła wargi w szczerbatym uśmiechu zadowolenia. Po raz pierwszy w swym pięćdziesięcioletnim życiu w ogóle nie myślała o sobie.

\*

- Proszę, pani, wypij to. To cię uspokoi.

Melli przyjęła z rąk Borlina czarkę holku. Przełknęła nawet trochę płynu, lecz spokój nie nadchodził. Jak mogła odpoczywać, dopóki się nie upewni, że Tawlowi nic nie grozi?

Otuliła się szczelnie kocem i zamknęła oczy na kilka minut. Nie potrafiła uwierzyć, że jest wolna. Groźby Baralisa nie miały już dla niej znaczenia, pani Greal nie mogła jej terroryzować, a Kylock nie wykorzysta jej do zmycia swych grzechów. Wreszcie była bezpieczna. Szczęście - zgodnie ze swym zwyczajem - zaczęło do ostatniej chwili, lecz wreszcie zabrało ją z pałacu w towarzystwie sześciu dzielnych rycerzy.

Dlaczego więc nie czuła radości, a jedynie pustkę? Dlaczego chciało się jej płakać?

Czas po odejściu Tawla wydawał się jej serią gwałtownych wrażeń: lodowata woda, pełne napięcia twarze, wypuszczane strzały i galopujące konie. Ucieczka odbyła się bez przeszkód. Wynurzyli się z tuneli w ciemnym zaułku, gdzie czekał już na nich człowiek z końmi, który przedstawił się jako Borlin. Wsadził ją na swego wierzchowca i wszyscy pogalopowali razem przez deszcz. W kryjówce spotkali następnych ludzi.

Był tam Kosiarz. Przywitał ją szerokim uśmiechem, po czym spojrzął za jej plecy, szukając Tawla. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Tawl wyruszył jeszcze na drobny wypad, chłopcze - wyjaśnił Borlin. - Niedługo wróci. Tylko zaczekaj.

To właśnie wszyscy robili. Czekali. Siedzieli wokół stołu, na którym płonąła samotna świeca, nasłuchując zbliżania się Tawla.

Melli ścisnęło w gardle na myśl o dobroci rycerzy. Wypytywali ją cichymi głosami, jak się czuje, dotykali jej czoła, smarowali poparzenia maścią, z z troskaniem przebiegali palcami po złamanej kończynie. Borlin natychmiast zaproponował, że nastawi ją ponownie, lecz Melli nie chciała wziąć środka przeciwbólowego w obawie, że stępi jej zmysły lub spowoduje sen. Postanowiła zaczekać z operacją do rana. Chciała być przytomna, gdy wróci Tawl.

Ani Kosiarz, ani rycerze nie pytali jej o to, co wydarzyło się w pałacu. Cieszyła się z tego. Nie chciała wspominać chwili, gdy po raz ostatni widziała Jacka. Nie ulegało wątpliwości, że uratował i ją, i Tawla, nie wiedziała jednak, jak właściwie tego dokonał.

Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Rozbłysło oślepiające światło, uderzyła fala rozżarzonego powietrza, a potem...

Uniosła dłoń do twarzy. Po policzkach spłynęły jej gorące łzy. Jack zginął. Oddał za nią życie. Pamiętała ich pierwsze spotkanie na wschodnim trakcie harvelskim. Pospieszył jej wówczas z pomocą. Ratował ją potem jeszcze wiele razy: w lochach, w lesie, w kamienicy Cravina w Brenie. W każdym z tych przypadków to on ją ocalił. Więcej już tego nie robi.

- Spokój, pani. - Borlin usiadł obok niej, głaszcząc jej włosy. - Nie płacz. Tawl niedługo wróci.

„Ale Jack nie wróci” - pragnęła powiedzieć. Ani dwaj wasi bracia. Baralis zabił ich wszystkich. Zachowała jednak milczenie i pozwoliła, by Borlin ją pocieszał, aż wreszcie łzy przestały płynąć.

\*

Obudził ją gwałtowny hałas. Zerwała się na nogi, zaskoczona, że zapadła w sen, a jeszcze bardziej zdziwiona faktem, że zrobiła to na piersi Borlina. Dwaj rycerze poszli zbadać źródło dźwięku. Pozostali spoglądali na schody. Kosiarz stał u ich podstawy, kołysząc się niecierpliwie na boki. Melli podeszła do chłopca i objęła jego barki zdrową ręką.

Najpierw wrócili dwaj rycerze. Dziewczyna westchnęła rozczarowana. Potem jednak, gdy znowu wciągnęła powietrze w płuca, na górze pojawił się Tawl. Był zlany krwią, przemókł do suchej nitki, a na ramieniu miał prowizoryczny opatrunek. Pobiegnęła ku niemu, przepychając się między rycerzami. Wtem jednak stanęła jak wryta.

Za plecami Tawla kryła się pani Greal. W ramionach trzymała jakieś zawiniątko.

Melli poczuła nagły skurcz w żołądku. Popatrzyła na Tawla. Uśmiechał się. Spojrzała na dwóch

rycerzy. Oni również się uśmiechali. Czy nie wiedzieli, kim jest ta kobieta? Nie zorientowali się, że to pułapka?

Tawl szepnął coś do pani Greal. Kobieta podeszła bliżej. Melli napięła mięśnie, gotowa rzucić się na nią. Ci mężczyźni mogli jej nie znać, ona jednak nie da się nabrać.

Zabije ją gołymi rękami. Pani Greal uniosła tłumoczek, najwyraźniej gotowa nim cisnąć.

Dziewczyna zasłoniła się przed ciosem.

Pani Greal wyglądała na zdeorientowaną.

- Nie chcesz go wziąć? - zapytała.

Melli popatrzyła na Tawla, który zachęcił ją gestem obu dłoni. Miała wrażenie, że popada w obłąd. Ta kobieta rzuciła na niego czar.

Wtem z zawiniątka dobiegł jakiś dźwięk. Ciche kwilenie.

Serce dziewczyny przestało nagle bić. Włoski na jej ramionach stanęły dęba.

Zatoczyła się do przodu. Nie śmiała myśleć, nie ważyła się mieć nadziei.

Wszyscy patrzyli na nią.

- Weź go, Melli - szepnął Tawl.

Pokój przed nią zaczął zanikać. Jego ściany i kąty pochłonał cień. Widziała tylko tłumoczek w ramionach pani Greal. Postąpiła krok naprzód. Koc zafalował. Jego róg opadł, odsłaniając maleńką, poruszającą się wściekle piastkę. Z ust Melli wyrwało się westchnienie.

Serce tłukło jej jak szalone. Skoczyła do zawiniątka. Wyciągnęła ręce, a dłonie złożyła na kształt miseczki. Łzy płynęły jej ciurkiem. Pani Greal wręczyła jej ciepły, ruchliwy tłumoczek. Melli ujęła go powoli i ostrożnie. Nie spodziewała się, że będzie taki lekki. Taki lekki, że aż zabolęło ją serce. Przycisnęła go do piersi i spojrzała w spokojne, niebieskie oczy dziecka. Swego dziecka.

Pustka wypełniająca jej brzuch zniknęła nagle. Dziewczyna poczuła się kompletna.

Podniosła wzrok, spoglądając załzawionymi oczami na Tawla. Po to właśnie został w pałacu. Chciał odnaleźć jej dziecko.

- Dziękuję ci - wyszeptowała, tuląc je mocno do piersi. - Dziękuję ci z całego serca i duszy.

- Przestań mówić na niego Herbert. Nie nazywa się Herbert.

- To jak właściwie się nazywa?

Niania Greal zagruchała do dziecka, które - ku wielkiej irytacji Melli - natychmiast się uspokoiło i zakwiliło radośnie.

- Nazywa się... - Ku jej jeszcze większej irytacji, nie przychodziło jej do głowy żadne odpowiednie imię. Może Garon, po ojcu? Nie, to było zbyt wyzywające. Chciała, by jej syn nosił imię kojarzące się z pokojem. Wysunęła się przed nianię Greal i spojrzała niemowlęciu prosto w twarz. Musiała przyznać - choć z najwyższą niechęcią - że imię Herbert świetnie do niego pasuje. A to irytowało ją jeszcze bardziej. - We właściwym czasie sama nadam mu imię.

Odepchnęła nianię Greal na bok, wzięła dziecko na ręce i przeszła na drugi koniec izby.

- Melli. Nie traktuj jej zbyt surowo. - To był Tawl. Skąd się tu wziął? - Uratowała twoje dziecko. Ukryła je przed Baralisem, zapewniła mu bezpieczeństwo i opiekowała się nim jak własnym. Powinnaś jej dziękować, a nie czynić wyrzuty.

- Kto uczynił cię świętym, Tawl?

Pożałowała tych słów, gdy tylko wyrwały się z jej ust, wypowiedziała je jednak i nie zamierzała ich cofnąć. Ku jej zaskoczeniu, Tawl zareagował uśmiechem.

- Wyniosą mnie na ołtarze tego samego dnia, gdy ty nauczysz się myśleć, nim coś powiesz. - Wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów z jej czoła. - A mówiąc poważnie, jeśli nie potrafisz być uprzejma dla niani Greal, przynajmniej nie bądź wobec niej złośliwa. Bardzo trudno było jej przyznać, kim jest dziecko, a potem oddać je mnie.

Niania Greal! Melli próbowała powstrzymać oburzone prychnięcie, lecz nie do końca jej się to udało.

- Widzę, że wyraźnie przypadłeś jej do serca. Od ostatniej nocy ciągle powtarza Tawl to i Tawl tamto. Jeśli w tym jej twardym, kościstym łbie jest jakiś słaby punkt, udało ci się go znaleźć. Tawl wybuchnął głośnym śmiechem. Objął ją i dziecko i uściskał oboje bardzo mocno.

- Cieszę się, że się nie zmieniłaś - stwierdził.

\*

Opuścili miasto późnym rankiem. Melli zdążyła się przespać tylko kilka godzin.

Zwinęła się w kłębek wokół dziecka, a głowę wsparła na piersi Tawla. Gdy się obudziła, zauważyła, że już go przy niej nie ma. Stał na drugim końcu izby, rozmawiając z rycerzami.

Mówił cicho, lecz jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by Melli odgadła, że opowiada towarzyszom o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy. Twarze mieli poważne. Spuścili wzrok, a ścięgnię na ich dłoniach i szyjach uwydatniły się mocno. Od czasu do czasu poruszali wargami i choć Melli nic nie słyszała, wiedziała, że wypowiadają imię Baralisa.

Potem wypadki potoczyły się szybko. Borlin podszedł do niej i założył jej na rękę nowe, znacznie większe łubki. Powiedział, że nie ma już czasu nastawić ponownie kości przed odjazdem. Potem nastąpiło straszliwe zamieszanie: siodłano konie, wdziewano przebrania, spożywano pospiesznie śniadanie, układano plany, ładowano zapasy i wysyłano zwiadowców, by sprawdzili, czy na proponowanych trasach ucieczki nie ma uzbrojonych ludzi.

Melli tymczasem próbowała jakoś sobie poradzić z dzieckiem. Czuła się jak idiotka.

Nic nie wiedziała o opiece nad noworodkiem. Straciła pokarm już cztery dni temu i nie miała pojęcia, czym karmić niemowlę. Gdy próbowała je uspokoić, krzyczało gniewnie, kiedy oferowała mu palec do ssania, śliniło się wściekle, a jeśli podsuwała mu łyżeczkę owczego mleka, dostawało szału, miotając gwałtownie wszystkimi czterema kończynami.

Samozwańcza niania Greal zaoferowała się z pomocą, lecz Melli spoliczkowała ją bez chwili wahania. Z bezpiecznej odległości kobieta poradziła, by dać dziecku do ssania szmatkę umoczoną w rozcieńczonym mleku. Melli kazała się jej zamknąć. Po pięciu minutach, gdy niemowlę wpadło w wywołaną głodem furję, dziewczyna była zmuszona dać za wygraną.

Niania Greal poradziła sobie z dzieckiem delikatnie, lecz stanowczo. Uspokoiła je, nakarmiła, a potem ukołysała do snu. Jej sukces tak wściekł Melli, że miała ochotę natychmiast wyrzucić kobietę na bruk. To było jej dziecko. Jej, nie niani Greal.

Tawl musiał interweniować osobiście. Praktycznie rozkazał jej się uspokoić. Melli widziała, że niepokoi się czekającą ich ucieczką z miasta, usłuchała go więc.

Po kilku minutach ruszyli w drogę. Tawl kazał im podzielić się na małe grupki.

Niektórzy wyszli przez wschodnią bramę przebrani za kupców, inni przez południową jako najemnicy albo wieśniacy. Melli, Tawl i dziecko ruszyli przejściem pod murami. Wyglądało to tak samo, jak ucieczka z pałacu: lodowata woda, ohydny smród i nieprzenikniona ciemność. Każdy krok sprawiał jej jednak radość. Była wolna. Wolna od Baralisa, Kylocka i ciasnej komnaty, w której ją więzili. Cudownie było iść ramię w ramię z Tawlem, dźwigając dziecko na plecach w wykonanym przez Kosiarza nosidełku z koca.

Na chwilę udało się jej zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się przedtem, gdy jednak Tawl zapytał ją, jak sobie radzi z ciemnością, zaczęła odpowiadać:

- Och, to nic w porównaniu z tunelami, przez które wędrowaliśmy razem z Jackiem...

Nie mogła dokończyć zdania. Niczego już nie zrobi razem z Jackiem. Jack nie żył.

Zabił go Baralis, gdy próbowali uciec. Zacisnęła bardzo mocno powieki, by powstrzymać łzy.

Tawl wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Choć wiedziała, że próbuje ją pocieszyć, poczuła się od tego jeszcze gorzej. Oboje z Tawlem byli bezpieczni, tak samo, jak jej dziecko. Wydawało się niesprawiedliwe, że uciekli z pałacu, pozostawiając za sobą ciało Jacka.

Wtem niemowlę się rozplakało. Choć Tawl ostrzegał ją, że będzie potrzebowała obu rąk, by wygramolić się na powierzchnię, wyjęła je z nosidełka i przytuliła do piersi. Musiała poczuć przy sercu jego ciepło.

Po drugiej stronie muru czekał już na nich Andris. Przyprowadził zapasowego konia i nim odjechał, wręczył Tawlowi wodze. Melli jechała wierzchem, a Tawl prowadził

wierzchowca niczym dobry mąż, którego udawał.

Wędrówka do Fair Oaks trwała trzy godziny. Od czasu do czasu, gdy wspinali się na jakieś wzniesienie, Melli dostrzegała Borlina. Krzepki łucznik posuwał się równoległe do nich, gotów w razie potrzeby pospieszyć im z pomocą. Nic się jednak nie wydarzyło.

Spotykali po drodze jedynie znużonych wędrowców, wychudzonych wieśniaków i szukających zwady najemników. Nikt nie zwracał uwagi na odzianego w łachmany parobka i jego strachliwą żonę.

Wreszcie dotarli do niewielkiej wioski, w której swe interesy prowadzili oberżysta, kowal i krawiec. Fair Oaks. Przywitało ich dwóch rycerzy, których Melli dotąd nie widziała.

Chcieli ich zaprowadzić prosto do gospody. Tawl z początku się sprzeciwiał, lecz po krótkiej dyskusji, do której nie dopuszczono Melli, z niechęcią wyraził zgodę.

Nigdy w życiu nie miała zapomnieć powitania, jakie spotkało ją w gospodzie.

Oberżysta, jego żona, trzy ładne córki, kucharz, chłopiec stajenny i staruszek, który mógłby być dziadkiem każdego z nich, pokłonili się jej, gdy tylko weszła do środka. Poczuła się zbita z tropu. Co im naopowiadali?

- Picia i jedzenia dla pani! Ale szybko! - Karczmarz klasnął pulchnymi dłońmi i najładniejsza z córek zerwała się do biegu. Przysunął krzesło do kominka, ścierając rękawem kurz. - Proszę, pani. Usiądź.

Nie patrzył na nią. Nikt z nich na nią nie patrzył. Wszyscy wlepili wzrok w to, co trzymała w ramionach.

Niemowlę się rozplakało. Wszyscy obecni pochylili się czujnie. Tawl dotknął jej rękawa.

- Andris dotarł tu przed nami - wyszeptał. - Uznał, że lepiej im powiedzieć, kogo będą gościli.

Melli nie wiedziała, jak się zachować. Wszyscy czekali na nią.

Najmłodsza z córek oberżysty podeszła bliżej.

- Czy mogę zobaczyć dziecko, pani?

Melli spojrzała na Tawla, który skinął niemal niedostrzegalnie głową. Pokazała niemowlę dziewczynie. Wkrótce otoczyli ją wszyscy obecni. Pełni bojaźni, z początku mówili tylko szeptem, zachowując uprzejmy dystans. Potem jednak odzyskali rezon i atmosfera się zmieniła. Głaskali niemowlę po główce, chichotali nad jego maleńkimi piąstkami, udzielali rad dotyczących karmienia i opowiadali najrozmaitsze historie o noworodkach. Wszyscy chcieli coś zrobić dla dziecka: kucharz poszedł zagrzać trochę mleka, żona oberżysty przyniosła swój najbardziej miękki koc z owczej wełny, chłopiec stajenny pobiegł poszukać czegoś, co mogłoby posłużyć jako kołyska, staruszek zanucił mu kołysankę, a wszystkie trzy córki popędziły na górę, by sprawdzić, czy przeznaczony dla niemowlęcia pokój jest należycie ciepły i suchy.

Melli poczuła, że oczy zachodzą jej łzami. Nie zaznała dobroci już od tak dawna, że gdy zetknęła się z nią wśród obcych, wydała się jej najwspanialszym darem. Wiedziała, że ci ludzie podejmują straszliwe ryzyko, udzielając schronienia synowi diuka - Kylock nie zamierzał tolerować nikogo, kto pomagał jego jedyjnemu konkurentowi do władzy - i odwdzięczyła się za ich odwagę zaufaniem: oddała niemowlę żonie oberżysty, a sama zasnęła na kilka godzin przy kominku.

Kiedy się obudziła, na miejscu byli już wszyscy rycerze, Kosiarz i niania Greal.

Sądząc z liczby zapalonych świec, była już godzina albo dwie po zmierzchu. Dziecko płakało zdrowo, domagając się kolacji. Wszystkie kobiety krzątały się wokół niego, próbując je uspokoić. Po raz kolejny jedyną osobą, która potrafiła tego dokonać, okazała się niania Greal.

Wystarczyło, by jej przenikliwy głos rozległ się tylko raz, a natychmiast zrobiło się spokojne jak baranek.

\*

Mały Herbert ucichł, oparty o pierś Melli. Tawl uściskał serdecznie ich oboje.

Dziewczyna czuła się bezpieczna i szczęśliwa. Jej dziecko żyło i miało się dobrze. Dopóki będzie przy nim Tawl, nic nigdy mu nie zagrozi.

- Tawl! - krzyknął ktoś na zewnątrz. - Już są! Przybyli ludzie Maybora.

Na dźwięk tego imienia Melli zapomniała o wszystkim. Spojrzała na Tawla.

- Czy ojciec jest z nimi?

Wyobraziła sobie co robi Maybor, jak zobaczy wnuka. Na pewno będzie się upierał, że niemowlę jest podobne do niego!

Twarz Tawla pociemniała.

- Melli, nie...



Potrząsnęła głową.

- Nie - zaprotestowała cicho. - Nie.

Przeraził ją wyraz oczu Tawla. Jakiś głęboko zakorzeniony instynkt ostrzegał ją, że lepiej, żeby go nie słuchała. Próbowwała się odsunąć, powstrzymał ją jednak.

- Zmarł przed dwoma tygodniami. Spędził cały miesiąc w górach, ukrywając się przed Kylockiem, i nabawił się zapalenia płuc - mówił delikatnym tonem, przebiegając palcami po jej policzku. - Kiedy zjechali na dół, było już za późno.

Kolana ugięły się pod Melli. Tylko ramię Tawla powstrzymało ją przed upadkiem.

Ojciec umarł. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Zawsze był taki krzepki i pełen życia...

Ktoś - nie wiedziała kto - podszedł do niej i wyjął dziecko z jej ramion. Tawł wziął ją na ręce i zaniósł do kominka. Podsunęto jej kielich wina. Wypiła je z niechęcią. Trunek miał

smak krwi.

- Skąd wiesz, co się z nim stało? - zapytała Tawla.

- Widzieliśmy go z Jackiem w noc jego śmierci. Mówił, że bardzo cię kocha. - Tawł ukląkł obok niej. Oczy miał pełne miłości i zrozumienia. - Powinienem powiedzieć ci o tym wcześniej, ale wszystko działo się bardzo szybko i chciałem poczekać na właściwy moment.

Dwa tygodnie. Nie żył już od dwóch tygodni, a ona o niczym nie wiedziała. Czowała się jak zdrajczyni. Jej umysł zachowywał się dziwnie. Przeskakiwał od myśli do myśli bez zwykłych faz przejściowych.

- Kim są ci ludzie? - zapytała. - Ci, którzy przyjechali?

- To żołnierze Highwall, których zabrał z pola bitwy i schronił się z nimi w górach.

Uratował im życie.

- Dlaczego przybyli tutaj?

- Pomogą nam zdobyć obóz Tyrena. - Tawł ujął jej dłoń. - Maybor sprowadził ich z gór po to, żeby mieli szansę walczyć.

Skinęła głową. Jej umysł przeszedł już do następnego pytania.

- Czy bardzo cierpiał?

- W każdym razie nic po sobie nie okazywał. Kiedy go widziałem, był przytomny i myślał jasno. Był prawie taki sam, jak kiedyś.

- A jak wyglądał?

- Wcale się nie zmienił. Włosy miał uczesane i był wygolony, a nawet skropiony wonnościami.

Uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie, jak Maybor leżał w łożu, otoczony czarkami oleju do włosów, wonnymi kremami i domagał się zwierciadła, by czuwać nad tym, jak go golono.

W głębi duszy wiedziała, że Tawl pominął wiele szczegółów - śmierć na płucną gorączkę nigdy nie była bezbolesna - i zdawała sobie sprawę, że jeśli go o to poprosi, opowie jej wszystko. Niemniej jednak, ten sam instynkt, który podpowiadał jej wcześniej, by nie słuchała Tawla, poradził jej teraz zaakceptować obraz, który jej przedstawił. Lepiej uwierzyć w półprawdy niż na siłę wygrzebywać zimne fakty, które potem będą ją prześladować przez całe życie. Wiedziała, że nie zniósłaby myśli o cierpieniu ojca.

- Chyba powinnaś pójść na górę i się położyć - stwierdził Tawl. - Poproszę żonę oberżysty, żeby przyniosła ci dziecko. Będziecie mogli oboje trochę odpocząć.

Melli wstała. Co dziwne, nie chciało jej się płakać. Nie tu i teraz. Płacz oznaczał

koniec historii, a ją czekała jeszcze długa droga.

- Nie - sprzeciwiła się cicho. - Nie chcę jeszcze odpoczywać. Chcę zobaczyć ludzi ojca i pokazać im dziecko.

Tak właśnie zrobiła. Przywitała wszystkich kolejno, porozmawiała z nimi, ucałowała ich znużone policzki, przerzucała się z nimi żartami o uporze jej ojca i pokazała wszystkim jego wnuka. Dopilnowała, żeby każdy miał co jeść i gdzie się zatrzymać, rozkazała zagotować dla nich wody, żeby mogli się umyć, i przynieść im mocną brandy, żeby mogli zasnąć. Kucharzowi poleciła gotować, córkom oberżysty opatrywać rany, Tawlowi i Borlinowi pomagać chorym, a niani Greal zająć się szczególnie nieprzyjemnymi zadaniami, jak zdrapywanie błota z butów.

Nie pozwoliła sobie nawet na chwilę odpoczynku, aż wreszcie poczuła się tak zmęczona, że nie mogła nawet myśleć. Około północy Tawl wziął ją za rękę i powiedział, że pora spać. Chciała zaprotestować - razem z ludźmi z Highwall przyjechał Grift i nie miała jeszcze okazji z nim porozmawiać - lecz powstrzymało ją coś w jego twarzy. Zauważyła, że w głębi izby siedzą Andris i Borlin, którzy rozmawiali z kilkoma nowo przybyłymi żołnierzami.

- Pójdę spać, jeśli powiesz mi, co tu się dzieje - obiecała.

- Mamy zamiar przed świtem zaatakować obóz Tyrena.

Melli była wstrząśnięta.

- Tak szybko? Dopiero co przyjechali.

- Wiem o tym. Wolałbym, żeby mogli przespać całą noc, ale nie mamy wyboru.

Kylock i Tyren wiedzą już, że tu jesteśmy. Musimy działać szybko. I tak daliśmy im cały dzień na przygotowania. - Usiadł obok niej. Zauważyła, jak bardzo jest zmęczony. - Jeśli twój syn ma zdobyć należne mu miejsce, potrzebne nam będzie poparcie rycerzy. To oni dysponują ludźmi i zasobami. Bez nich nie mamy szans. Nie możemy wkroczyć do miasta w sile mniejszej niż stu ludzi. To byłoby samobójstwo.

- Nie musicie wkraczać do miasta. - Nie chciała, by Tawl opuszczał ją tak szybko. -

Moglibyśmy po prostu uciec na południe...

- Nie - sprzeciwił się twardym głosem. - Tego nie zrobię. Zbyt wielu ludzi już zginęło.

Nie będę uciekał.

- A co, jeśli zginiesz? Nie zdołasz walczyć. Prawą rękę masz ranną. Cały dzień wyraźnie ją oszczędzałeś.

Zdziwił się, że to zauważyła. Zatoczył krąg barkiem.

- Dam sobie radę.

- A co będzie ze mną i z dzieckiem? - Gdy Melli była zaniepokojona, zawsze zaczynała się gniewać. - Jaki los nas czeka, jeśli nie wrócisz? A może uważasz, że skoro już raz nas uratowałeś, to zwalniam cię to od dalszych zobowiązań?

Widząc, że Tawl wzdrygnął się na te słowa, chciała go przeprosić, nie dał jej jednak dojść do słowa.

- Borlin zostanie tu z kilkoma wybranymi ludźmi. Jeśli w obozie coś pójdzie nie tak, zabiorą cię do Ness, a stamtąd na południe. - Tawl pochylił się. - Jeśli się niepokoisz, zmienię plany. Zostanę z tobą w gospodzie. Moim podstawowym obowiązkiem zawsze będziesz ty i dziecko. Musisz w to uwierzyć.

Melli poczuła nagle, że sytuacja ją przerosła. W głosie Tawla pobrzmiwało coś, czego nie pojmowała, coś bliskiego desperacji. Wiedziała, że musi pozwolić mu odejść, choć nie rozumiała dlaczego. Zaczerpnęła głęboko tchu.

- Nic nam nie będzie - zapewniła. - Borlin to dobry człowiek. Pod jego opieką będę się czuć bezpieczna.

Tawl obdarzył ją delikatnym, pełnym zrozumienia uśmiechem.

- Jesteś najdzielniejszą kobietą, jaką spotkałem w życiu.

Odwzajemniła mu się podobnym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że kiedy wrócisz, powiesz mi, dlaczego naprawdę musiałeś mnie opuścić.

- Wtedy opowiem ci wszystko.

Pocałował ją delikatnie w policzek i odprowadził do łoża. Gdy się obudziła, już go nie było.

\*

Tawl policzył namioty i ogniska. Do świtu została niespełna godzina i świat zaczynał

już nabierać widocznych kształtów. W blasku ognia widać było dziesięć zwykłych namiotów, namiot chirurga, namiot dowodzenia i prywatny namiot Tyrena.

- Pewnie będzie ich ze trzystu - wysyczał Andris.

Tawl skinął głową. Skryli się we dwóch w małym zagajniku na południowy wschód od obozu. Bren był ciemną plamą na horyzoncie, a szczyty Wododziału licznymi cieniami, wylaniającymi się dopiero z nocy. Padał śnieg: leniwe, nieważkie płatki, które porywał wiatr.

Było bardzo zimno.

Tawl spojrzał na niebo na wschodzie.

- Jak sądzisz, ile czasu minie, nim ludzie zajmą miejsca?

- Czterdzieści minut - odparł Andris. - Mafrey i Corvis dadzą znak, gdy będą już gotowi.

- Miejmy nadzieję, że obaj będą gotowi w tej samej chwili. Gdy tylko jeden z nich zapali pochodnię, rycerze natychmiast się zorientują, że coś się dzieje.

Tawl był podenerwowany. Żałował, że nie miał więcej czasu na zaplanowanie ataku.

Za mało wiedział o obozie, liczbie rycerzy i ich rozmieszczeniu. Miał wrażenie, że prowadzi ludzi Maybora na oślep.

- Follis i dwaj łucznicy zajmą miejsca już wkrótce. Powinno im się udać zabić wartowników, gdy tylko otrzymają sygnał.

- Ale czy trzech łuczników wystarczy? Ilu rycerzy zwykle strzeże tak dużego obozu?

Tawl nie uczestniczył w żadnej z prowadzonych przez rycerstwo wojen, nie wiedział

więc wiele o organizacji jego obozów.

- Trudno wyczuć. Może ze dwudziestu. Czasem używają giermków albo pierwszorocznych nowicjuszy, a czasem rycerzy, zależnie od tego, jak poważne jest zagrożenie.

W głosie Andrisa również pobrzmiwało napięcie. Od chwili śmierci Crayne'a to on dowodził drużyną i podczas swej pierwszej misji nie tylko podjął ryzyko, lecz również dopuścił się zdrady.

Poprowadzi swych ludzi przeciw Tyrenowi.

Głos sowy zaskoczył ich obu. Tawl spojrział na Andrisa.

- Chodźmy. Pora wracać do pozostałych. Za niespełna pół godziny usłyszymy sygnał.

Chcę przystąpić do akcji jak najszybciej.

Mieli w sumie niespełna dziewięćdziesięciu ludzi. Mafrey i Corvis prowadzili po trzydziestu. Corvis zajął pozycję na północny zachód od obozu, a Mafrey na południowy zachód. Następnie mieli rozciągnąć szeregi i otoczyć obóz od północy, zachodu oraz południa. Ludzie Andrisa mieli na ich znak uderzyć od wschodu. Tawl zamierzał najpierw wdrzeć się do obozu z garstką ludzi - Gervhayem i czterema żołnierzami z Highwall - i spróbować zająć namiot Tyrena.

W mroku za zagajnikiem czekało dwudziestu zbrojnych. Tawl nie znał imion większości z nich. Byli wychudzeni i żyłaści. Przez siedem dni jechali jak opętani, a przedtem ukrywali się w górach. Mieli prawo czuć się zmęczeni - odpoczywali tylko dwie, góra trzy godziny - jedno spojrzenie na ich śniade, ogorzałe twarze wystarczało jednak, by się przekonać, że sen jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślą. Chcieli zemsty.

Droga na południowe równiny Brenu zajęła im niespełna trzy godziny. Podczas ostatniej z tych godzin żołnierze Highwall mijali rozkładające się trupy swych rodaków.

Kylock nie zadał sobie nawet trudu, by pochować ciała. Pięć tysięcy ludzi zostawiono na pastwę śniegu i ścierwojadów. Ten widok przyprawił Tawla o mdłości, na ludzi Maybora podziałał jednak zupełnie inaczej. Wzbudził ich wściekłość. Ich przyjaciołom, braciom, towarzyszom i wodom odmówiono prawa do honorowego pochówku.

Zbliżając się do nich, Tawl wiedział w głębi serca, że będą walczyć aż do śmierci. W

ich oczach gorzała chęć zemsty.

- Gervhayu - wysyczał, zsiadając z konia. - Jesteś gotowy?

Rycerz pokiwał z entuzjazmem głową.

- Tak. Tawl. Wszyscy możemy już ruszać.

Tawl uśmiechnął się do niego. Młodemu rycerzowi dopiero niedawno wypalono drugi krąg. Skórę miał jeszcze obrzmiałą.

- Jest zimno. Mam nadzieję, że porządnie naciągnąłeś cięciwę.

Gervhay wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Borlin ostrzegał mnie, że lubisz wspominać o oczywistych rzeczach.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Tawl pochylił się i podniósł garść zmarzniętej gleby, by wetrzeć ją sobie w twarz. Była za zimna, żeby dobrze się przylepić, splunął więc na nią parę razy, żeby zmieniła się w błoto. Z zadowoleniem zauważył, że czterej żołnierze Highwall postąpili tak samo. Gervhay podążył za jego przykładem. Na wszelki wypadek wysmarował sobie również dłonie i szyję.

Tawl zwrócił się w stronę Andrisa.

- Uważaj na siebie, przyjacielu. Mam nadzieję, że zobaczymy się na chwilę przed tym, nim ocalisz mi skórę.

Andris uściśnął jego ramię. Przed dwoma dniami uśmiechnąłby się, słysząc podobną uwagę, dziś jednak był bardzo poważny.

- Zostało ci tylko pół godziny ciemności. Dobrze wykorzystaj ten czas.

Spoglądając w twarz Andrisa, Tawl zdał sobie nagle sprawę, czego właściwie żąda od niego i jego ludzi. Mieli za chwilę złamać najbardziej podstawową z zasad rycerstwa: obowiązek wierności wobec wodza. Ogarnęła go mgła wątpienia. Czy to nie zbyt wiele? Czy postępował uczciwie, wciągając ich w swą osobistą wojnę? Otwierał już usta, by coś powiedzieć, dać Andrisowi szansę wycofania się, rycerz ubiegł go jednak, wypowiadając błogosławieństwo.

- Niech Borc będzie z tobą - rzekł.

Coś w jego tonie kazało Tawlowi zadać sobie pytanie, czy Andris nie odgadł jego myśli. Popatrzył pospiesznie w jasnoszare oczy przyjaciela i przekonał się, że miał rację. W

spojrzeniu tamtego malowało się wyraźne ostrzeżenie.

- Idź już - powiedział. - Czas na wątpiwości dawno minął.

Tawl pochylił głowę. Najpierw Melli, a teraz Andris. Czym zasłużył sobie na takie bezinteresowne dary? Przypomniał sobie przelotnie demona, którego ujrzał w głębiach Ormonu. Jeśli będzie mu sprzyjało szczęście, być może pewnego dnia okaże się godny ich wszystkich.

Za ich plecami rozległ się głos Gervhaya. Tawl uniósł rękę, by pożegnać się z Andrisem, po czym odwrócił się i podążył na zachód.

\*

Dziwne sny prześladowały go niczym sfory noszących kagańce psów. Szczekały, nękały go, próbowały łapać za kostki, lecz ani razu nie zacisnęły zębów.

Baralis potrafił rozpoznać ostrzeżenie. Nawet teraz, gdy jego ciało znalazło się poza wszelkimi granicami wyczerpania, umysł miał ostry jak brzytwa. Sny były przekazami, a uporcezywe sny przekazami szczególnie potężnymi. O co chodziło? Co przeoczył? Czego nie zrobił? W normalnej sytuacji zwróciłby się ku psom losu, spojrział im w oczy i zapytał, co chcą mu przekazać.

Wymagałoby to jednak siły nie tylko psychicznej, lecz również fizycznej, a on był teraz absolutnie wyczerpany.

Zaczerpnienie mocy, którego użył przeciw Jackowi, przywiodło go na samą krawędź śmierci. Gdy zobaczył wychodzącego zza zasłony piekarczyka, zrozumiał, że musi go zabić.

Choć przed chwilą zużył znaczną część swych sił na uśmiercenie dwóch stojących na straży rycerzy, musiał sięgnąć w głąb siebie i zaczerpnąć jej po raz drugi.

I cóż to było za zaczerpnienie! Ostre jak miecz skrytobójcy i nieprzeniknione niczym mur obronny. Ułamki sekund były jego współnikami, zaskoczenie jego przyjacielem.

Zauważył przeciwnika, nim ten zdążył dostrzec jego. Nie była to kwestia siły ani umiejętności, lecz czasu. Nie dał Jackowi szansy obrony. Wcześniej wypuścił strzałę.

Podobny atak kosztował jednak wiele i teraz Baralis był zmuszony zapłacić tę cenę.

Nie mógł poruszyć żadnym mięśniem. Leżał w łóżu, śliniąc się jak kaleka, i Crope musiał się nim opiekować. Niemniej za kilka dni wróci do zdrowia, a jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, zawsze były jeszcze eliksiry. Tymczasem przyjmował zwykłe, przywracające siły środki - bogate w sole mineralne napary i wzmocnione czarami leki. Crope wlewał je do jego ust, kiedy spał.

Choć zmysły Baralisa były osłabione, miał się na baczności. Na wpół spodziewał się, że wyczuje jakąś reakcję Kylocka: zaczerpnienie mocy wywołane frustracją lub gniewem.

Król z pewnością źle zniesie ucieczkę Melliandry. Miał w stosunku do córki Maybora jakieś tajemnicze plany - Baralis mógł się jedynie domyślać ich natury - i fakt, że uprowadzono mu ją sprzed nosa, mógł wpędzić go jeszcze głębiej w obłąd. Jak dotąd jednak nic się nie wydarzyło. Nie nastąpiła gwałtowna eksplozja, pałacem nie wstrząsnął straszliwy atak szału.

Nic nie wskazywało na nagły przyptyw emocji.

Zdawał sobie niejasno sprawę z obecności łażącego po komnacie Crope'a. Spróbował się przebudzić. Musiał zapytać służbę, czy wie cokolwiek o stanie umysłowym Kylocka.

Przebijał się w górę przez kruche warstwy podświadomości, które pękały od jego dotyku niczym cienki lód pod stopami. Psy nie przestawały go ścigać. Szczekały ostrzegawczo, tocząc pianę z pysków. Została już tylko jedna warstwa snu, cienka, szklista powłoka granicząca ze światem jawy. Uderzył w nią swym umysłem i rozprysła się na wszystkie strony. Najpierw ujrzał swą komnatę i Crope'a, a potem odbicie w zwierciadle.

Odbicie swego snu. Ścigające go psy.

Rozbłysł tam obraz, przypominający lśniący w jeziorze blask słońca. Rzeczywiście było to jezioro. Pływały w nim zwłoki, otoczone zaczerpnieniem mocy, które przetrwało śmierć. Zwłoki Skaythe'a.

Zamrugnął powiekami i obraz rozpadł się na liczne smugi światła.

- Panie, panie. Czy mnie słyszysz?

Nad łóżem majaczyła niewyraźna postać Crope'a, który pospiesznie wpychał pod bluzę swą drewnianą szkatułkę.

Baralis nie był tego pewien, lecz wydawało mu się, że dostrzega w oczach sługi łzy.

Nie miał jednak czasu ani sił roztrząsać ich znaczenia. W tej chwili liczył się tylko jego sen.

Nawet Kylock mógł zaczekać.

- Crope - wyszeptał. Głos ciążył mu na języku niczym ołów. - Gdzie jest ciało Jacka?

- Na dole, panie. W lochu. Zamknięte.

Królewski kanclerz odetchnął z ulgą.

- Wysłuchaj mnie uważnie. Chcę, żebyś je zniszczył. Rozpal ogień w piecu, na którym grzeją dodatkową wodę, gdy w pałacu jest pełno gości. Dobrze podrzuć szczap, aż ogień będzie buchał wysoko, a potem wepchnij do niego ciało. Nie wolno ci odejść, dopóki nie zobaczysz, że kości szerniały. Zrozumiałeś?

Crope skinął powoli głową. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz pokiwał tylko głową raz jeszcze.

- Tak, panie - wyszeptał po chwili. - Aż kości szernieją.

- Świetnie. Przynieś mi lekarstwa, zagotuj trochę holku, a potem zejź do piwnicy i bierz się do pracy.

Baralis upewnił się, że Crope poszedł, nim zamknął oczy, by odpocząć.

W ciemności powrócił do niego obraz zwłok Skaythe'a. Psy wysłały tę wizję po to, by mu przypomnieć, że na Jacka trzeba uważać. Skaythe był słaby i niedoświadczony, a mimo to jego ostatnie zaczerpnięcie mocy przetrwało śmierć, przesączaając się powoli z ciała w wody jeziora. Jeśli nawet on potrafił tego dokonać, Jack mógł osiągnąć znacznie więcej. Rzecz jasna, istniała możliwość, że ostatnie zaczerpnięcie mocy piekarczyka nie było w pełni ukształtowane - ostatecznie miał bardzo mało czasu - ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Baralis wiedział, że snów nie wolno ignorować.

\*

Tawl wypatrzył pierwszych wartowników: dwóch mężczyzn, którzy nie wyglądali na rycerzy.

- Gervhayu, czy dasz radę zabić ich stąd?



Jego towarzysz potrząsnął głową.

- Gdybym chybił, strzały mogłyby uderzyć w namiot. Przejdę kawałek na północ, do tych krzaków na wzniesieniu. Strzelę do nich stamtąd. W ten sposób zbląkana strzała nie trafi w niewłaściwe miejsce.

Tawł skinął głową.

- Trzymaj się blisko gruntu. Ruszymy naprzód i zaczekamy na ciebie przy rowie.

Gdy spojrział na Gervhaya, chcąc usłyszeć potwierdzenie, młody rycerz czołgał się już po ziemi. Zarzucony na plecy łuk wyglądał jak skrzydło wazki.

Zerknął szybko na niebo na wschodzie i zauważył pierwszą szarość jutrzeńki. Ciężkie od śniegu chmury opóźnią nadejście słonecznego światła, lecz i tak zostało im najwyżej dwadzieścia minut.

- Za mną - syknął Tawł do leżącego obok żołnierza. Wypatrzył już żółto-czarny namiot Tyrena. Z tej odległości wydawał się łatwym celem. Złotowłosey rycerz czołgał się po zamrożonej ziemi, ignorując ból ręki oraz postępujące odrętwienie palców rąk i nóg. Tyren był już blisko, tak blisko, że myśl o nim mroziła Tawłowi krew w żyłach. Wokół niego gromadziły się żądne mordy demony.

Dostrzegł przed sobą czarną linię rowu. Sądząc po smrodzie, tam właśnie wyrzucano odpadki. Gdy wczołgał się na jego pochyły brzeg, usłyszał furkot, a potem drugi. Obaj wartownicy zwalili się na ziemię. Gervhay strzelał celnie.

- Keffin, Baird. Wy dwaj pójdziecie naprzód. Muszę się dowiedzieć, ilu jeszcze wartowników dzieli nas od obozu Tyrena.

Miał zamiar ostrzec obu żołnierzy Highwall, żeby nie podejmowali zbytecznego ryzyka, powstrzymał się jednak. Ryzyko było wszystkim, co im zostało. Powiedział tylko, żeby uważali na siebie, a potem pomachał ręką na pożegnanie. Żałował, że nie może iść z nimi. Nie potrafił znieść nawet tych kilku minut oczekiwania.

Pozostali dwaj żołnierze przykucnęli obok niego. Mieli jasne włosy i kamienne twarze. Wyciągnęli miecze i czekali.

Z mroku wynurzył się Gervhay, zaskakując wszystkich. Uśmiechnął się triumfalnie.

- Dwóch z głowy. Zostało jeszcze dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będziemy musieli zabijać aż tylu -

odparł Tawł. Chciał, by jego głos zabrzmiał surowo, nie miał jednak ochoty tłumić wrodzonego entuzjazmu młodzieńca. - Świetna robota. Bądź gotów załatwić kilku następnych.

- Nie ma sprawy. Celuję i strzelam. - We włosy rycerza wplątało się gdzieś kilka gałązek, które nadawały mu wygląd obłąkanego człowieka z lasu. - No, panowie, jeśli już odpoczęliście, proponuję, żebyśmy udali się na poszukiwanie kłopotów.

Tawl powstrzymał go ruchem ramienia. Grupy nie powinien prowadzić łucznik.

- Ty pójdiesz ostatni, przyjacielu - rzekł. - Jeśli tylko będziesz mógł, trzymaj się w cieniu.

Następnie przekroczył rów i, pochylając się nisko, pognął co sił w nogach w stronę najbliższego namiotu.

Największe niebezpieczeństwo stanowiła dla nich otwarta przestrzeń. Bystre oczy nawet w tak słabym świetle mogły z łatwością wypatrzeć szybko poruszającą się postać.

Dystans dzielący rów od namiotu wydawał się niewiarygodnie długi. Tawl przy każdym kroku obawiał się, że zaraz usłyszy alarm. Dwaj żołnierze Highwall biegli zupełnie bezgłośnie. Byli szybsi od Tawla i prześcignęli go, gdy tylko wydostali się na równą przestrzeń obozu. Kiedy dobiegł do namiotu, rozmawiali już z Keffinem i Bairdem.

Tawl natychmiast zauważył, że nóż tego ostatniego ocieka krwią.

- Co się stało?

- Nic takiego. Uciszyłem tylko paru wartowników. - Mimo że jego głos brzmiał

spokojnie, żołnierz dygotał. - Stali przed namiotem dowodzenia i zauważyli Keffina. Kiedy podeszli bliżej, żeby zbadać sprawę, poderżnąłem im gardła.

Dwóm uzbrojonym ludziom? Bezgłośnie? Tawl był pod wrażeniem. Chętnie zapytałby Bairda, jak udało mu się dokonać takiego wyczynu, nie miał jednak czasu. Za chwilę obóz zacznie się budzić. Wskazał głową ku jego centrum.

- Jak wygląda sytuacja?

Baird wzruszył ramionami.

- Dwóch wartowników przed namiotem Tyrena, tak samo jak przed każdym innym.

Kłopot w tym, że wyjście wychodzi wprost na trzy inne namioty. To znaczy, że na początek musimy zdjąć ośmiu.

- I jeszcze dwie pary, które miniemy po drodze - dodał Keffin.

- W takim razie chyba wejdziemy od tyłu - zdecydował Tawl. Widział już namiot Tyrena. Można go było dostrzec z namiotu dowodzenia i drugiego, który służył jako magazyn. Wartownicy sprzed tego pierwszego już nie żyli, co znaczyło, że będą mieli mniej przeciwników. Popatrzył na Bairda. - Jak szybko możesz mi utorować drogę do środka?

- Szybciej niż podrzytam gardła - odparł z uśmiechem żołnierz.

- Świetnie.

Tawl spojrział na horyzont. Do wschodu zostało dziesięć minut. Za pięć minut Mafrey i Corvis dadzą znak. Trzeba będzie dobrze wyliczyć czas. Jeśli ktoś podniesie alarm, nim do obozu wejdą żołnierze Highwall, czeka ich nieunikniona śmierć - Gervhayu - powiedział

cicho.

- Ehe - dobiegł głos z cieni.

- Chcę, żebyś tu został i nas osłaniał. Trzymaj się wschodniej strony. Strzelaj do każdego, kto zbliży się do namiotu Tyrena, a przede wszystkim nie podnoś głowy. Nie chciałbym, żeby ktoś cię zauważył, jak będziesz tu sam.

- Nie ma sprawy.

Gervhay zasalutował mu ręką, w której trzymał łuk, po czym zniknął w mroku. Tawl zwrócił się do żołnierzy.

- Baird, wiesz co masz robić. Keffin pójdzie ze mną, a Murris i Sevri zajmą namiot z obu flank. Miejcie oko na wejście i zachodnią ścianę namiotu, uciszcie wszystkich dociekliwych wartowników i czekajcie na sygnał. Jeśli ludzi będzie zbyt wielu, wejdziecie z nami do środka. Jasne?

- Tak jest.

Skinął do nich głową.

- Naprzód.

Ruszył krętą drogą ku namiotowi, gdy tylko było to możliwe kryjąc się w cieniu. Jego umysł odliczał sekundy. Musiał pojmać Tyrena, nim zjawi się Andris z żołnierzami Highwall.

Gdy zacznie się walka, rycerze natychmiast pospieszą do swego wodza. Wiedział, że jego jedyną szansą jest przystawić mu sztylet do gardła.

Zmierzając w stronę środka obozu, poczuł w piersi dziwną lekkość. Czuł się podekscytowany, wolny, niemal szczęśliwy. Nie miał już drogi odwrotu. Gdy tylko wstanie nowy dzień, stawi czoło swemu losowi.

Jego wzrok przyciągnęło nagle poruszenie gdzieś na południu. Jeden z wartowników pełniących służbę na zewnątrz padł nagle na ziemię. Tawl uśmiechnął się. Follis i dwaj łucznicy z Highwall przerzedzali siły przeciwnika.

Żółto-czarny namiot Tyrena był już tylko kilka kroków od niego. Tawl wezwał

skinieniem Bairda. Krzepki mężczyzna podszedł bliżej, unosząc nóż. Gdzieś z lewej rozległ

się krzyk, który nagle ucichł.

- Naprzód - wysyczał Tawl, po czym zbliżył się do namiotu Tyrena. Keffin podążał

tuż za nim.

Z lewej strony rozległ się drugi krzyk. W jednym z głównych namiotów coś się poruszyło. Obok nich przemknęła lecąca z zachodu strzała.

Pewnie ściskając nóż w dłoniach, Baird przeciął tkaninę namiotu. Choć była impregnowana i gruba na pół palca, ustąpiła łatwo jak jedwab. Gdy ostrze przesunęło się w dół, rozległ się cichy trzask. Tawl uniósł oręż.

- Straż! - krzyknął ktoś w środku.

Rycerz przepchnął się obok Bairda i wpadł do namiotu. Miecz zgrzytnął o miecz. Nim zdążył się zorientować z kim walczy, zaczął odbijać ciosy przeciwnika. Natychmiast usunął

się na bok, by nie blokować wejścia. Musiał dać Bairdowi i Keffinowi szansę dostania się do środka. Na tym bankiecie nie chciał być sam.

Gdy do namiotu wpadł Baird, na twarz przeciwnika Tawla padł promień wschodzącego słońca, odsłaniając ciemne oczy i włosy oraz oliwkową skórę.

Tyren uśmiechnął się.

- Dawno się nie widzieliśmy, Tawl.

Złotowłosego rycerz zaczerpnął pośpiesznie tchu. Tyren wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widział go po raz ostatni. Owładnęło nim silne, lecz ulotne pragnienie pokłonięcia się wodzowi, błagania go o przebaczenie. Zaskoczyło go to. Tyren go zdradził.

Nie wolno mu o tym zapominać.

Zacisnął mocno wargi, nie chcąc nic mówić. Odbijał ciosy przeciwnika, rozglądając się jednocześnie po namiocie. Pod ścianami ustawiono kilka skrzyń, lekki stolik, ławę oraz pryczę. Środek był wolny i Tyren robił z tego użytek, zachodząc Tawla z boku.

Na zewnątrz słychać było krzyki i tupot biegnących. Przez odgłosy budzącego się obozu przebijał się cichy, odległy łoskot. To do ataku przystąpili żołnierze Andrisa.

Tawl spojrzął na połę namiotu. Na razie nikt nie próbował wejść do środka. Murris albo Sevri z pewnością zabili obu wartowników. Tawl rzucił się ryzykownie naprzód, odpychając Tyrena na bok. Jego ramię przeszył ból, lecz nie pozwolił sobie opuścić miecza.

Swym atakiem zrobił miejsce Bairdowi i Keffinowi, którzy natychmiast podbiegli do wejścia.

Tyren ciął gwałtownie mieczem w dół, chcąc sprawdzić siłę ramienia Tawla. Ten nie miał innego wyboru, jak unieść broń, by zablokować cios. Stał brzęknęła o stal. Ręka Tawla opadła. Bark

przeszył mu gwałtowny ból. Rycerz padł na kolana, Tyren zamachnął się, gotowy zadać cios.

Baird zaszedł go od tyłu i uderzył w plecy płazem miecza. Wódz rycerstwa zatoczył się przed siebie. Na jego twarzy pojawiły się ból, zdziwienie, a potem gniew. Wyprostował się szybko.

- I ty chcesz się zwać rycerzem? - krzyknął do Tawla. - Walcz ze mną uczciwie albo wcale.

Tawl wstał na nogi. Ani na moment nie spuszczał Tyrena z oczu.

- Tym razem nie dam się nabrać na twoją gadaninę o honorze, Tyrenie. Znacznie zmądrzałem i widzę już, jak mało jesteś wart. - Skinął lekko lewą dłonią do Bairda. Obaj żołnierze Highwall przystawili miecze do pleców Tyrena. - Walczę uczciwie tylko z ludźmi, których szanuję.

Odwrócił się plecami do wodza rycerstwa.

- Zwiążcie mu ręce, chłopaki. Wybierzemy się na przechadzkę.

Powoli, komórka po komórce, cząsteczka po cząsteczce, warstwa po warstwie, czas zawrócić.

Uwięziona między ciałem a metalem magia realizowała swój subtelny cel, wyprzedzając grób o niespełna krok. Gdy krew gęstniała i ciemniała, wznawiała jej obieg, a kiedy ostatni posiłek się zsiadał, hamowała ten proces. Na schnących błonach śluzowych nosa i gardła pojawiła się ciecz, a mięśnie jelit na nowo podjęły działanie.

Magii brakowało siły zaczerpnięcia mocy. Nie była wymierzona w cel jak broń, nie osłaniała niczego na sposób tarczy. Wyrwała się z ust konającego wraz z ostatnim oddechem: niewypowiedziana, nieskupiona, na wpół uformowana.

Pozostał w niej jedynie nieokreślony cel. Uformował ją odruchowy gest samoobrony, który przerwano, nim zdążyła dojrzeć. Sączyła się z ciała i otulała je ciasno, wysyłając przez czas swe fale.

Kolczuga zatrzymała ją przy skórze. Cofając się ku minionym chwilom, ocieplała się stopniowo. Odbudowywała i przywracała życie. Czas wokół ciała zgęstniał, na krawędzi zaś stał się rzadszy. Magia jedną ręką powstrzymała przyszłość, a drugą rozciągnęła terażniejszość. Najpierw sto, potem tysiąc, a wreszcie milion drobniutkich zmian, aż wreszcie serce mogło znowu zacząć bić.

Ów rytm nadal wypełniał ciało. Silny i głęboki, pozwalał magii nabrać impetu. Moc gromadziła się wokół serca, naprawiała tkanki, otwierała zastawki, usuwała zatory z tętnic, otwierając drogę przed pierwszym, potężnym pchnięciem.

Zanurzone w roztworze biegnącego powoli wstecz czasu serce zaczęło wibrować.

Stara magia spotkała się z nową, moc Larnu z mocą zrodzoną z człowieka. Dotarły do serca i jego pierwsze uderzenie obwieściło moment ich połączenia.

Najpierw straszliwe, udręczone ssanie, a potem nagłe uderzenie, zwracające ciało życie. Targany konwulsjami mięsień skurczył się, krew popłynęła, zmysły zamigotały, komórki nerwowe strzeliły impulsami, a na skórę wystąpił pot.

Czerwień i czerń. Czerń i biel. Światło rozjarzyło się, a potem przerodziło w maleńki punkt. Chwila rozdarła się na dwoje, czas się rozszczepił i Jack otworzył oczy.

\*

Gdy z namiotu wyszedł Tyren, wszyscy znieruchomieli. Biegnący ludzie zatrzymali się nagle, broń opadła, a krzyki bólu i gniewu zamarły na ustach. Spojrzenia skierowały się na wodza rycerstwa, a potem na jego gardło. Sztylet zalśnił w pierwszych promieniach słońca, odbijając je na twarze obecnych.

Tawl wcisnął czubek noża w ciało Tyrena. Po skórze spłynęła kropelka krwi.

- Nie zbliżajcie się! - krzyknął do rycerzy. - Nie zbliżajcie się albo Borec mi świadkiem, że go zabiję.

Ściskając w dłoni postronki, którymi skrępował ręce wodza rycerstwa, popchnął go przed sobą i wyszedł z namiotu. Rozejrzał się wokół. Po obu stronach leżały stosy zabitych.

Ci, w których piersiach albo plecach nie tkwiły strzały, mieli na kończynach straszliwe, krwawiące szramy. Gervhay i dwaj towarzyszący mu żołnierze walczyli dobrze. Murris leżał

nieruchomo w kałuży własnej krwi, a Sevri stał na wprost Tawla. Miecz pokrywały mu strzępki ciała i włosów, a na ciele pełno miał ran. Nigdzie nie było widać Gervhaya.

Wszędzie roило się od rycerzy. Dali się zaskoczyć i niektórzy nałożyli zbroje na bieliznę, inni zaś w ogóle nie mieli pancerzy. Trzymali jednak miecze, a niektórzy również tarcze.

Za namiotami, na granicach obozu, atak jeszcze trwał. Żołnierze Highwall starli się z tymi spośród rycerzy, którzy zdołali dosiąść koni. Tawl przyjrzał się szeregom napastników.

Mafreyowi i Corvisowi udało się wywołać wrażenie, że cały obóz jest otoczony.

- Puść Tyrena albo strzelę ci w plecy.

Tawl nawet się nie obejrzał, by zobaczyć, kto krzyknął.

- Zrób to! - zawołał do półokręgu stojących przed nim rycerzy. - Ale ostrzegam cię, że mam na sobie kolczugę i jeśli twej strzały nie pobłogosławi sam Valdis, nawet ranny zdążę jeszcze poderżnąć mu gardło.

Nastąpiła chwila ciszy. Stojący za jego plecami łucznik nie odważył się wypuścić strzały.

- Czego chcesz? - zapytał jeden z rycerzy, podchodząc bliżej. Tawl nie znał go, lecz trzy blade kręgi na prawym ramieniu świadczyły o jego wysokiej randze.

- Chce władzy - odezwał się Tyren. - Pragnie zająć moje miejsce.

Te słowa były wystarczająco bliskie prawdy, by Tawl się wzdrygnął. Poczuł, że do uszu napływa mu krew, i usłyszał suchy łopot skrzydeł swego demona. Czy robił to dla swojej rodziny, czy też raczej po to, by zaspokoić towarzyszące mu przez całe życie pragnienie chwały? Słyszając gładki, przekonujący głos Tyrena, nagle przestał być tego pewien.

Zdał sobie niejasno sprawę, że Baird i Keffin zmienili pozycje, by strzec jego pleców.

Rozejrzał się po obozie. Wszyscy rycerze wpatrywali się w niego. W oczach lśniły im gwałtowne emocje. Czy rzeczywiście chciał zająć miejsce Tyrena? Nie mógł twierdzić, że tak nie jest. Jakaś część jego jaźni nadal pragnęła ziszczenia się dawnych marzeń. Teraz jednak zjawily się też nowe marzenia, które rywalizowały ze starymi. Ich wpływ również był wielki.

Myśli Tawla zwróciły się ku Melli. Przed jego oczami pojawiła się wizja jej pięknej, bladej twarzy.

Usłyszał głos Megan, mówiącej: „To miłość uwolni cię od twych demonów, nie bohaterskie czyny”. Poczł nagły ucisk w sercu. Czy wyrzekłby się wszystkiego po to, by zapewnić bezpieczeństwo Melli i dziecku? Tak. Po dzisiejszym dniu, tak.

Wiedział, że nie chodzi już o ambicję. Nie chciał zastąpić Tyrena. Nie pożądał jego chwały. Pragnął jedynie wierzyć, że w sercu całej tej sprawy kryje się dobro. Przycisnął

mocniej sztylet do gardła jeńca.

- Chcę, by rycerstwo znowu stało się tym, czym było niegdyś. Żeby walczyło o honor, nie o złoto.

- Honor? - odparł Tyren ze wzdrgadą w głosie. - Jak człowiek, który zhańbił swe kręgi popełnionym z zimną krwią morderstwem może mówić o honorze? Nie praw mi morałów, Tawl. Twoje kazania są pełne zgnilizny, tak jak i twoja dusza.

Rycerze przyjęli słowa Tyrena głośnymi okrzykami poparcia. Zaczęli zacieśniać krąg, wkraczając na otaczający namiot teren.

- On nikogo nie zamordował.

Wszyscy obejrzel się, by spojrzeć na jeźdźca, który wtargnął nagle między nich.

Nadjechał ze wschodu i słońce świeciło mu w plecy, trudno więc było dostrzec jego twarz.

Tawl jednak natychmiast poznał głos Andrisa. Przybysz ściągnął wodze i zsunął się z rumaka.

- Tawl to człowiek honoru - oznajmił, wchodząc w krąg zebranych. - Przysięgam na własne życie.

Przez tłum przebiegł szmer podniecenia.

- A skąd o tym wiesz? - zapytał starszy rangą rycerz. Przemawiał ostrym tonem, by uciszyć szepty.

- Towarzyszyłem mu od wielu tygodni. Widziałem, jak walczy. Twardo, uczciwie i zawsze odważnie. Uważam go za przyjaciela.

Tawl spojrział Andrisowi w oczy, po czym odwrócił wzrok. Jasnowłosy rycerz podjął

wielkie ryzyko, wjeżdżając w tej chwili do obozu. Jeśli coś pójdzie nie tak, wszystkich, którzy tu się znaleźli - Murrisa, Sevriego, Bairda, Keffina, Gervhaya, samego Tawla, a teraz również Andrisa - czeka nieunikniona śmierć. Rycerze zamkną krąg i rozsiekają ich, nim żołnierze Highwall zdążą przyjść im z pomocą.

Ciszę przerwał Tyren.

- Andrisie, dałeś się omamić. On nie jest już prawdziwym rycerzem. Wyrzekł się kręgow na oczach całego Brenu. Chodź tu i zabierz mu nóż. Tobie go odda.



- Tawł nie usankcjonował mordowania kobiet i dzieci w Helchu - odparł bez chwili wahania Andris.  
- Nie brał złota od Kylocka. - Odwrócił się nagle i spojrzał na zebranych rycerzy. - Na własne oczy widziałem, do czego zdolni są żołnierze Kylocka - ciągnął cichym głosem. - Na północ od Camlee natknęliśmy się na jeden z ich obozów. Znaleźliśmy tam okaleczone ciała trzydziestu kobiet, które wrzucono do rowu, żeby tam zgniły.

- To nas nie dotyczy - sprzeciwił się starszy rangą rycerz.

- Dotyczy, jeśli wśród owych ludzi byli rycerze. - Głos Tawła niósł się daleko w zimnym powietrzu poranka. W obozie rozległy się nerwowe szepty. Zebrał się już liczny tłum. Ludzie odkładali broń, kierując się w stronę namiotu.

- Andrisie - odezwał się ostrym tonem Tyren. - Ten człowiek jest kłamcą. Zabierz mu nóż albo zostaniesz do końca życia wykluczony z rycerstwa.

Nikt nawet nie drgnął. Andris spuścił wzrok. W świetle poranka blizna na jego policzku wydawała się niemal biała. Tawł złagodził nacisk. Był gotów oddać nóż przyjacielowi. Nie chciał dodatkowo utrudniać mu podjęcia wyboru.

Wiedział, co znaczą trudne decyzje.

Walki ustały zupełnie. Słychać było jedynie cichy, nierówny szmer trzystu oddechów.

Andris podszedł bliżej. Uniósł głowę i spojrzał wprost w oczy Tyrena.

- Czy kłamca mógłby przepłynąć Faldarę?

Tłum zareagował pełnym zaskoczenia szeptem.

- On również kłamie - krzyknął Tyren do rycerzy. - Obaj są kłamcami. To niemożliwe, by taki tani łotrzyk przepłynął wodospad.

- Ja również to widziałem - oznajmił Mafrey, przepychając się przez tłum.

- I ja - dodał idący krok za nim Corvis.

- I ja.

Ostatnim z mówiących był Gervhay. Młody łucznik stał na zewnątrz kręgu. Tawła ogarnęła na jego widok czysta radość. Obawiał się, że Gervhay zginął.

- Czy wszyscy jesteśmy kłamcami, Tyrenie? - zapytał Andris.

Rycerze poruszyli się niespokojnie. Wpatrywali się w swego wodza.

Ten napiął lekko mięśnie barku i pleców.

- Ci ludzie przynoszą hańbę rycerstwu - przemawiał do tłumu. - Spójrzcie tylko, jak się tu dostali. Przybyli pod osłoną nocy, zaskoczyli nas, zamiast stanąć do otwartej, honorowej walki. Spójrzcie też, kto nimi dowodzi... - wykrzywił usta w pogardliwym grymasie. - Człowiek, który zakradł się do mego namiotu niczym włamywacz. Który zaczął

ze mną walczyć, a jednocześnie kazał swym sługusom zaatakować mnie od tyłu. Który powtarza piękne słówka o honorze, choć sam jest go pozbawiony.

Niski, potężny głos Tyrena osiągnął crescendo.

- Zapytajcie go, tego dumnego, żądnego chwały Tawla z Nizin, co uczynił dla swej rodziny. Zapytajcie go, dlaczego opuścił troje bezbronnych dzieci, choć jako starszy brat powinien się nimi opiekować. Zapytajcie go, co się z nimi stało, gdy on puszył się w Valdis niczym paw. Zapytajcie go, kto jest odpowiedzialny za ich śmierć. I wtedy, dopiero wtedy, zapytajcie go o honor...

Coś w Tawlu pękło. Ogarnął go zimny, niepowstrzymany szal. Słowa Tyrena piekły go niczym sól wcierana w otwartą ranę. Musiał je uciszyć. Oczy zasły mu łzami. Opuścił

nóż, przystawiając go do piersi wodza rycerstwa. Poczł, że Tyren próbuje się wyrwać, lecz trzymał go mocno za ręce i nie zamierzał puścić. Zgromadzeni wokół rycerze stali się dla niego ledwie dostrzegalnymi duchami. Nie mieli znaczenia. Wszystko przesłonił mu ból.

Chciał tylko tego, by wreszcie się skończył. Pochylił sztylet i wbił go w ciało Tyrena, gotowy zadać pchnięcie.

W tej samej chwili jeniec szarpnął się gwałtownie do tyłu. Oszalały z wściekłości Tawl pociągnął więzy, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi. Tyren zachwiał się i osunął

na nóż. Ciężar ciała sprawił, że sztylet wbił się znacznie głębiej niż było to zamiarem Tawla.

Chciał tylko przeciąć mu skórę. Wódz rycerstwa rzucił się jednak na sztylet, który przeniknął między żebrami, sięgając ku sercu.

Zdumieni rycerze westchnęli głośno.

Tawl cofnął się. Puścił dłonie Tyrena, który zatoczył się przed siebie i padł na bok. Z

rany trysnęła krew. Jej struzka spływała mu po szyi. Pierś falowała szybko, a całe ciało ogarnęły gwałtowne konwulsje.

Podniósł wzrok na Tawla, rozciągając wargi w powolnym uśmiechu.

- Jesteś takim samym nędznikiem, jak i twój ojciec.

Drżący, zdezorientowany od gwałtownych uczuć Tawl zrozumiał go dopiero po dłuższej chwili. Jego ojciec? Skąd Tyren go znał? To nie miało sensu.

- Co wiesz o moim ojcu? - zapytał.

- To, że można go kupić za pięćdziesiąt sztuk złota.

\*

Nie, wypowiedział bezgłośnie Tawl. NIE!

Miał wrażenie, że jego umysł opuszcza ciało. Cały świat pobiełał i zawirował wokół niego. Jego jaźnią zawładnęło coś przypominającego gorączkę. Znowu ujrzał przeszłość.

Przypomnił sobie słońce, świecące mu w plecy dnia, gdy spotkał Tyrena. Przypomnił sobie jego pytanie:

- A co z twoim ojcem? Czy on również nie żyje?

- Żyje, ale nie widzimy go zbyt często. Spędza swe dni w Lanholcie, oddając się pijaństwu.

Widział tę scenę tak wyraźnie, jakby miał ją przed oczyma. Była jasna niczym poranek po deszczu. Tym razem zauważył też jednak szczegóły, które poprzednio umknęły jego uwadze: chytry wyraz w oczach Tyrena, ruch jego warg, dwukrotnie powtarzających słowo „Lanholt”.

Wizja rozpadła się na odpryski bieli, odsłaniając inną scenę. Chata na bagnach cztery dni później, tłący się słabo ogień, Anna, Sara i dziecko skupione wokół ojca, piszczące z podniecenia na widok wyjmowanych z worka prezentów.

- Hazard, karty, możesz to nazywać jak chcesz. Fortuna pocałowała mnie, a potem uczyniła swym kochankiem. Wygrałem niewielki mająteczek. I zrobię z niego dobry użytek.

- Jaki?

- Wróciłem na stałe. Nie musisz już sam robić wszystkiego, Tawl. Od tej chwili ja będę głową rodziny.

Wypadki rozgrywały się odrobinę wolniej niż w rzeczywistości. Tawl był zarazem obserwatorem i uczestnikiem wydarzeń. Szczegóły przyciągały jego uwagę niczym jaskrawe klejnoty: fakt, że ojciec nie chciał mu patrzeć w oczy; pora - późny poranek, choć nigdy nie wstawał przed południem; złoto. Złoto w rękach ojca. W Lanholcie nigdy nie grano o stawki wyższe niż srebro.

Scena zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, ustępując miejsca trzeciej. Gospoda

„Pod Sitowiem” w Greyving. Godzina po północy. Oberżysta obudził Tyrena, mówiąc mu, że ma nieoczekiwanego gościa. Tawl wyraźnie widział zstępującego ze schodów mężczyznę. Na jego twarzy nie było śladu zaskoczenia.

- Mogę pojechać z tobą do Valdis - rzekł Tawl. - Zwolniono mnie ze zobowiązań.

Tyren uśmiechnął się i skinął głową, dał mu jeść i pić. Nie zadawał żadnych pytań.

Tawl miał wrażenie, że cała jego przeszłość została wymazana, zastąpiona przez coś nowego. Coś monstrualnego. Nic nie wyglądało tak, jak mu się dotąd zdawało. Szok był tak straszliwy, że obalił go na kolana. W brzuchu wezbrała fala mdłości, która skaziła całe ciało żrącym kwasem. Przygryzł język, by ją powstrzymać.

Anna, Sara i dziecko. Wszyscy oni nie żyli, lecz ich śmierć - jego prywatna udręka, cierni, który nosił w sercu, prześladowające go demony - została wywrócona na nice. Wszystko uległo skażeniu. Od samego początku, od chwili, gdy spotkał Tyrena na południowym gościńcu, ośrodkiem jego życia było ohydne kłamstwo.

Wódz rycerstwa zrobił z niego potwora.

Niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, pijany od mdłości i udręczony przez ból Tawl złapał konającego i potrząsnął nim.

- Zapłaciłeś mi za to, żeby zajął się moimi siostrami. Wiedziałeś, że gdyby nie miały zapewnionej opieki nigdy nie pojechałbym z tobą do Valdis i dlatego przekupiłeś go, żeby zajął moje miejsce.

Tyren był już bardzo słaby. Ledwie mógł poruszać piersią. Trudno mu było skupić spojrzenie. Na jego czerwonych od krwi wargach wykwitł leniwy uśmiešek.

- Ale nie spisał się za dobrze, co?

Powietrze wypełnił szum łopoczących skrzydeł. Każdy ruch ich pokrytych łuskami błon popychał Tawla bliżej obłądu. Znow dopadły go demony. Uniósł nóż i zaczął uderzać nim Tyrena. Sztylet raz za razem przebijał żebra, mostek, serce i płuca. Tawl nie mógł się powstrzymać. Tylko w ten sposób mógł osiągnąć zbawienie. Tylko tak mógł powstrzymać straszliwy, piekący ból.

Gdy tułów wodza rycerstwa przerodził się już w krwawą miazgę, Tawl poczuł, że coś wypełniło nagle jego ciało. Lekki oddech przeniknął przez nie niczym powietrze przez muślin. Nie przeszedł przez Tyrena, lecz otoczył go, wirując i gęstniejąc, zmieniając jego zakrwawioną twarz w maskę.

Nóż wypadł Tawlowi z ręki.

Demon nie siedział mu już na plecach. Połączył się w jedno z trupem. To Tyren był jego demonem. Zawsze nim był. Na to właśnie próbowały zwrócić jego uwagę zielone wody Ormonu.

Tawl podniósł wzrok. Spoczywały na nim spojrzenia trzystu ludzi. Nikt się nie odzywał.

Czuł się bardzo znużony. Opuściły go wszelkie uczucia poza żalobą za siostrami. Czuł

się tak, jakby zginęły po raz drugi, jakby przed chwilą zamordował je Tyren. Gdy uniósł się na jedno kolano i zaczął wycierać nóż w bluzę, w tłumie rozległ się nagle krzyk:

- Tawł na wodza!

Był to Andris. Powtórzył okrzyk po raz drugi. Poparli go Gervhay, Mafrey i Corvis.

Tawł potrząsnął głową. Nie potrafił nic powiedzieć. Nie w tej chwili.

- Tawł na wodza!

Trzeci okrzyk wzniosło już więcej głosów. Za czwartym razem był dwukrotnie donośniejszy.

Tawł nie mógł już tego znieść. Chciał tylko, żeby zostawili go w spokoju, pozwolili oddać się żalobie. Wstał, nie przestając potrząsać głową. Był potwornie osłabiony. Kolana omal się pod nim nie załamały. Baird podszedł do niego, by podać mu rękę. Tawł z radością przyjął jego pomoc. Nie odzywając się do siebie ani słowem, razem ruszyli w stronę namiotu Tyrena.

- Tawł na wodza!

Okrzyk powtarzała już chyba z jedna trzecia rycerzy.

Baird uniósł połę namiotu i Tawł wszedł do ciepłego, ciemnego wnętrza. Nogi ugięły się pod nim niemal natychmiast. Padł na pryczę i zamknął oczy.

- Tawł na wodza!

Nie chciał tego słuchać ani o tym myśleć. Przed oczami miał tylko siostry. Złote włosy Sary, które kołysały się, gdy biegła z nim nad gliniankę; łobuzerski uśmiech Anny, próbującej sprowokować go do bójki; dziecko o rumianych policzkach i drżących wargach, dostające napadu złości, gdy zbyt długo zostawiano je same w łóżeczku. Uśmiechnął się.

Można by pomyśleć, że to było wczoraj.

\*

Jack otworzył oczy. Ze wszystkich stron otaczał go biały kokon, który dotykał

delikatnie jego brwi i nosa. Gdyby nie zapach, mógłby uznać, że trafił do nieba. Nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że w zaświatach pachnie stęchlą pościelą. Niewykluczone, że się mylił.

Gdy spróbował unieść szybko dłoń, spowijająca mu twarz biel napięła się gwałtownie. Poczł

na wargach szorstki dotyk lichego płótna. Wystawił język i przebiegł jego koniuszkiem po białej powierzchni. Ług i stara pleśń. Nie, to nie były zaświaty, lecz kiepsko wyprana poszwa.

Zacisnął obie pięści na tkaninie i zerwał ją sobie z twarzy. Jego zmysły napotkały chłód, półmrok i ostrą woń palonego drewna. A także hałas. Drażniący, metaliczny zgrzyt, jakby ktoś szurał łopatą po kamieniu, oraz potrzaskiwanie dobrze rozpalonego ognia. Dziwne, że przedtem tego nie słyszał.

Sufit wydawał mu się dziwnie znajomy: niski i pełen ozdobnych wiązań. Chłopak był pewien, że nie tak dawno go widział.

Kącikiem oka zauważył z lewej strony jakiś ruch. Na tle jasnopomarańczowego blasku poruszała się ciemna postać. Jack uniósł głowę, żeby przyjrzeć się lepiej. Kosztowało go to znacznie więcej wysiłku niż się spodziewał. Z pewnością jego głowa nie była zwykle aż tak ciężka? Zmysły na chwilę spowił mrok, który wirował wokół niego, jakby zakładano mu na oczy przepaskę. Gdy odzyskał jasność widzenia, postać przesunęła się na bok od źródła światła.

Jack wciągnął gwałtownie powietrze. Wyraźnie widział teraz profil mężczyzny. Był on wysoki i potężny. Garbił się, przysuwając brodę do piersi. Crope!

Chłopak przesunął nogi, próbując wstać z powierzchni, na której go ułożono. Tym razem był przygotowany na chwilową utratę przytomności. Zacisnął mocno zęby i wpił palce w drewno. Umknęło mu kilka sekund. Jego stopy najpierw wisiały w powietrzu, a potem nagle dotknęły kamienia.

Zebrał siły i stanął na nogach. Podobnie jak głowa, jego ciało wydawało się cięższe niż dawniej. Trzymając się jedną ręką stołu, spróbował postawić krok. Wszystko zważywszy, nie było tak źle. Postawił drugi i puścił blat.

Crope był zwrócony do niego plecami i nie zauważył, że chłopak się zbliża. Dzieląca ich od siebie odległość była większa niż Jackowi się zdawało i młodzieniec miał po drodze okazję przyjrzeć się otoczeniu. Wiedział już, że przebywa gdzieś w podziemiach pałacu.

Świadczyły o tym niskie sufity, odległy dźwięk skapującej wody oraz kojarzący się z grzybami odór pleśni i ekstramentów. Jak wiele czasu upłynęło, odkąd był tu po raz ostatni?

Jedna noc? Cała doba? Wiele dni? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie pamiętał nic od chwili, gdy uniósł zasłonę i stanął twarzą w twarz z Baralisem.

Żył jednak, a to znaczyło, że Tawl i Melli również mogli ocaleć.

- Mhmp.

Jack przypomniał sobie o Crope. Zbliżył się już do potężnego sługi i zauważył, że jego barki drżą.

- Mhmp.

Odgłos zabrzmiał po raz drugi i Jack zdał sobie nagle sprawę, że Crope łąka.

Posuwając się tak cicho, jak tylko mógł, Jack podszedł jeszcze bliżej i zatrzymał się o kilka kroków za olbrzymem i źródłem światła.

Kamienny piec jarzył się złocistym blaskiem. Metalowe drzwi szeroko otwarto, by zapewnić dopływ

powietrza. Z boku leżała szufla, a obok niej mnóstwo szczap, drzazg i drzewnego pyłu. Crope stał po przeciwnej stronie. Poruszał gwałtownie ramionami i kręcił

głową z boku na bok. Nagle sięgnął pod bluzę i wydobył stamtąd drewnianą szkatułkę, po czym zaczął przerzucać jej zawartość tak delikatnie, jakby głaskał kotka. Wreszcie coś z niej wyjął. Ukryty za belką nośną Jack nie widział dokładnie, co to takiego. Dostrzegł tylko, że olbrzym schował puderko na miejsce i podszedł do drzwi pieca.

Dopiero wówczas zauważył biały kwadrat w jego dłoni. To był list. Czerwona pieczęć była wyraźnie widoczna.

- Mhmp.

Sługa wyciągnął rękę, chcąc cisnąć pismo do pieca.

- Crope.

Jack niemal nie zdawał sobie sprawy, że podszedł bliżej, a fakt, że się odezwał, zaskoczył go dogłębnie.

Olbrzym odwrócił się. List nadal trzymał w dłoni, lecz jego brzegi pociemniały już lekko od płomieni. Ujrawszy Jacka, Crope wrzasnął głośno. Uniósł nagłym ruchem dłoń, zasłaniając listem oczy.

- Odejdź. Zostaw Crope'a w spokoju. Crope przeprasza.

- Crope, to ja, Jack.

Chłopak postąpił jeszcze krok naprzód, by bijący z pieca blask wyraźnie oświetlił jego postać.

Crope wrzasnął po raz drugi, przesuwając dłonie z oczu na uszy.

- Crope przeprasza. Chciał dać Jackowi list. Nie wiedział, że Jack umrze.

Domyślając się, że olbrzym bierze go za ducha, Jack wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

- Żyję, Crope. Nie jestem duchem.

Sługa cofnął się.

- Pan kazał spalić ciało. Ciała pali się po śmierci.

Baralis uważał go za zmarłego. Jack odsunął na razie od siebie tę myśl. Zastanowi się nad tym później.

- Proszę, dotknij mnie - powiedział delikatnym tonem, nie opuszczając ręki. -

Przysięgam, że nie jestem duchem.

Olbrzym obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- Duch żartuje sobie z Crope'a.

- Nie żartuję. Popatrz. - Jack splunął w dłoń i podsunął ją słudze pod nos. - Duchy nie plują. Każdy to wie.

Crope pochylił się, by przyjrzeć się plwocinie. Nadal zasłaniał sobie uszy. Po kilku chwilach uważnej obserwacji popatrzył chłopakowi w twarz.

- To Jack nie umarł?

- Nie. Był żywy, tylko się nie ruszał.

- I był zimny. Bardzo zimny.

Jack zadrzał. Nie chciał wiedzieć, co się z nim działo po ataku Baralisa. W żadnym wypadku.

- Czy to dla mnie? - zapytał, wskazując na list.

Crope opuścił ręce i podał list Jackowi, trzymając go w dwóch palcach.

- List do Jacka. Lucy powiedziała, żeby oddać mu go tylko wtedy, gdy Larn zostanie zniszczony.

Lucy? U podstawy kręgosłupa Jacka pojawił się dreszcz, który następnie ruszył w stronę czaszki. Jego serce waliło mocno. W każdym jego uderzeniu pobrzmiwał rytm Larnu.

- Dostałeś go od mojej matki?

Crope skinął głową. Raz jeszcze podsunął list Jackowi.

- Lucy bardzo chora. Kazała Crope'owi obiecać, że zachowa list dla Jacka. -

Rozciągnął wargi w czułym uśmiechu. - Dała też Crope'owi szkatułkę. Zobacz. - Pokazał

chłopakowi puzderko. Na jego wieczku wytrawiono podobizny muszli i morskich ptaków. -

Mówiła, że ptaki przypominają jej dom. Crope lubi ptaki.

Jack niemal nie słyszał jego słów. Serce tłukło mu niby wzywający do szturm w werbel.

- Nosileś ten list przeszło dziesięć lat?

Twarc Crope'a pokraśniała z dumy.

- Pilnowałem go jak babcia zębów. Zgubiłem go tylko raz. Musiałem go wygrzebywać ze śniegu.



- I chciałeś go spalić, bo myślałeś, że nie żyję?

Crope zwiesił głowę.

- Crope przeprasza. Nie wiedział.

Jack wyciągnął rękę i wziął list.

- Nie martw się, Crope. Zrobiłeś to, o co prosiła cię Lucy. Przechowywałeś list bardzo długo. Byłaby z ciebie dumna. I podziękowałyby ci, tak jak ja ci dziękuję.

- Lucy była dobra dla Crope'a. Nigdy go nie przeżywała.

Jack skinął z roztargnieniem głową. Przesunął palcami po pergaminie. Myślał o przeszłości. Dziesięć lat. Crope był ostatnią osobą, która widziała jego matkę żywą. Chłopak przypomniał sobie, jak sługa wyszedł z jej pokoju, trzymając rękę pod bluzą. Czy to wtedy dała mu list? Na godzinę przed śmiercią?

Złamał pieczęć drżącymi dłońmi. Kruchy lak rozprysnął się na liczne fragmenty i posypał na podłogę. Chłopak rozwinął papier i zaczął czytać.

*Drogi Jacku*

*Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że Larn został zniszczony. Jeżeli to ty stałeś się przyczyną jego upadku - a jestem przekonana, że tak właśnie było - jestem ci winna prawdę, a także znacznie więcej.*

*Urodziłam się na Larnie, jako córka służącej i kapłana, i tam też osiągnęłam dojrzałość. Odkąd sięgam pamięcią, własnymi rękami pielęgnowałam jasnowidzów. Myłam ich, karmiłam i wcierałam maść w ich rany. Przez, wiele lat ich los nic mnie nie obchodził.*

*Byli dla mnie tylko bełkoczącymi obłąkańcami, a nie prawdziwymi ludźmi. Potem jednak zdobyłam zaufanie kapłanów, którzy zlecili mi opiekę nad nowymi jasnowidzami -*

*młodzieńcami, których umysłów nie zepsuły jeszcze kamienie, a ciała były silne i męskie. Z*

*przeżeniem przekonałam się, że są takimi samymi ludźmi, jak ja: potrafili mówić, śmiać się, płakać. Bać się.*

*Dobrze poznałam tych młodych mężczyzn i szczególnie pokochałam jednego z nich.*

*Był w tym samym wieku, co ja. Spędzaliśmy razem wiele dni, trzymając się za dłonie i rozmawiając o ucieczce. Połączyła nas młodzieńcza namiętność, gwałtowna i rozpaczliwa.*

*Nic nie mogło nas rozdzielić. Pewnego dnia zapadłam jednak na czerwoną gorączkę.*

*Przeleżałam w łóżu czternaście dni. Gdy wreszcie znowu ujrzałam ukochanego, postradał już*

zmysły. Obrabował go z nich kamień jasnowidzenia. W jego ciało wżarły się sznury. Ogarnął

mnie szal. Krzyczałam, szarpałam jego pęta i przeklinałam Larn. Kiedy wreszcie udało mi się rozluźnić sznur, fragment skóry odszedł razem z nim, odslaniając mięso. Wpadłam w histerię.

Kapłani próbowali mnie od niego odciągnąć. Przeklęłam ich, złożyłam straszliwą przysięgę, że zniszczę wyspę. Gdy ją wypowiedziałam, jaskinia zadrżała. Ktoś wetknął mi knebel do ust, a potem zbili mnie do nieprzytomności.

Kiedy się ocknęłam, byłam zamknięta w lochu. Skazano mnie na śmierć. Myślę, że kapłani bali się mnie, mojej przysięgi i klątwy. Matka pomogła mi uciec i wypłynęłam na morze w łódeczce.

Po kilku dniach zabrał mnie przepływający statek, na którym dotarłam do Rornu.

Jeden z marynarzy, zacny człowiek o złotym sercu, pozwolił mi zamieszkać u siebie i zaopiekował się mną. Gdy byłam już gotowa odejść, oddał mi swe oszczędności, życzył

szczęścia i pomógł wyruszyć w drogę. Wspomnienie jego dobroci do dziś jeszcze ogrzewa mnie, gdy marzę.

Po opuszczeniu Rornu starałam się jak najbardziej oddalić od wyspy. Ruszyłam na północ, a potem na zachód, zmieniając po drodze imię i wygląd zewnętrzny. W końcu dotarłam do Czterech Królestw i zostałam garderobianą w Zamku Harvell. Królowa Arinalda sprzyjała mi i mianowano mnie jedną z jej przybocznych służek.

Wtedy właśnie poznałam króla. Lesketh był w owych czasach udęczonym człowiekiem. Niemożliwość poczęcia dziecka sprawiła, że oddalił się od żony. Byłam sama, nie miałam przyjaciół ani nikogo, komu mogłabym zaufać, i gdy król pewnego dnia zaczął ze mną rozmawiać w ogrodach, nie tylko schlebiło mi to, lecz również byłam mu wdzięczna. Tak jak wszyscy, słyszałam plotki, że miewa romanse z innymi kobietami, był jednak dla mnie tak dobry i uprzejmy, że nie poświęcałam temu żadnej myśli. Mijały miesiące. Wreszcie staliśmy się sobie bliscy. Lesketh opowiadał mi o królowej albo o kłopotach, jakie miał na dworze, a ja po prostu słuchałam, rzadko odważając się odezwać. Od czasu do czasu pytałam go o dalekie krainy - nigdy nie zapominając o Larnie - a on z przyjemnością zaznajamiał mnie z aktualną sytuacją polityczną. Przynosił nawet zwoje i mapy, by pokazać mi miejsca, o których opowiadał.

Stopniowo zrodziło się między nami coś więcej. Zaczęliśmy się spotykać w starym domku myśliwskim w lesie. Tam właśnie, pewnego późnojesiennego, deszczowego, wietrznego popołudnia, po raz pierwszy pokazał mi Księgę słów Maroda. Książka była niewiarygodnie stara. Okładka się rozleciała, a stronicie były wystrzępione. Król powiedział mi, że to jeden z czterech ocalałych oryginalnych egzemplarzy dzieła wielkiego uczonego.

Gdy tylko wzięłam tom w ręce, zaszła we mnie jakaś zmiana. Zaczęłam dygotać, a w czole poczułam silny jak imadło ucisk. Miałam wrażenie, że księga sama otwiera się przede mną. Gdy mój wzrok padł na pożółkłą stronicę, zatrzymał się na wersie, który miał na zawsze odmienić moje życie:

*Kamienie się rozstąpią, świątynia upadnie.*

*Natychmiast zrozumiałam jego znaczenie. Nim jeszcze skończyłam czytać cały wiersz, wiedziałam już, co muszę zrobić. Przewidując upadek Larnu, Marod otworzył przede mną szansę dochowania przysięgi. Musiałam jedynie wydać na świat dziecko, którego przeznaczeniem byłoby spełnić zawarte w wierszu proroctwo: Gdy ludzie honoru zapomną o swej sprawie*

*A krew trojga ludzi jednego dnia posmakowana będzie*

*Dwa bogate domy małżeństwem się połączą*

*A rozkład zrodzą ich lędźwie*

*Zjawi się człowiek nie mający ojca ni matki*

*Lecz siostrę za kochankę*

*I powstrzyma zarazę*

*Kamienie się rozstąpią, świątynia upadnie*

*Rozrost imperium mroku jego głos powstrzyma snadnie*

*A prawdę zna tylko głupiec.*

*Wtedy właśnie postanowiłam począć dziecko z królem. Wiedziałam, że nigdy nie uzna bękartą garderobianej, dziecko nie miałyby więc ojca, tak jak zapowiedział to wiersz.*

*Później zabraknie mu i matki.*

*Nocą, gdy zostałeś poczęty - bo to o tobie mowa w tym wierszu, Jack - król zakradł się do pałacowych kuchni, by się ze mną zobaczyć. Kochaliśmy się w ciemnym kąciku garderobianej. Kiedy skończyliśmy, otworzyłam okiennice, żeby wpuścić trochę powietrza.*

*Wtedy właśnie ujrzałam znak na niebie. Gwiazda rozszczepiła się na dwoje i spadła na ziemię. Zrozumiałam, że proroctwo zaczyna się spełniać.*

*Gdy tylko król się oddalił, do kuchni przyszedł Croke. Baralis kazał mu przynieść kolację. Po drodze minął króla. Odciągnęłam służę na bok i ubłagałam go, żeby nie mówił*

*swemu panu o tym, co widział. Zgodził się z ociąganiem. Od tego dnia zostaliśmy z Crockiem przyjaciółmi.*

*Nigdy już nie widziałam króla. Gdy tylko upewniłam się, że jestem w ciąży, porzuciłam pozycję garderobianej i przyjąłam najbardziej pogardzane zajęcie w zamku. Jako palaczka nigdy nie musiałam opuszczać kuchni, nie było więc ryzyka, że natknę się jeszcze kiedyś na króla. Nie chciałam, by się dowiedział, iż noszę jego dziecko.*

*Okazało się jednak, że nie miało to znaczenia. Po dwóch miesiącach królowa oznajmiła, że jest w ciąży i król na nowo się w niej zakochał. Nawet nie próbował się ze mną widzieć. Przez pewien czas się smuciłam, lecz znalazłam się pod władzą prorocstwa i moje życie nie należało już do mnie.*

*Obie urodziłyśmy tego samego dnia. Gdy tylko się dowiedziałam, że Arinalda również powiła syna, przypomniałam sobie o spadającej gwieździe. Dwa odłamki, dwa poczęcia, dwa porody.*

*Mijały lata. Stawałeś się coraz większy i kochałam cię bardziej niż potrafiłabym to sobie wyobrazić. Z biegiem lat prorocstwo straciło na ważności. Niekiedy przez całe miesiące nie myślałam o nim prawie wcale. Pewnego dnia jednak zachorowałam. Było to tak, jakby Marod osobiście poklepał mnie po ramieniu, by mi przypomnieć, żebym skończyła to, co zaczęłam. Od samego początku nie przyjmowałam lekarstw, które dawali mi medycy. Aby prorocstwo się spełniło, musiałam zniknąć z twego życia. Była to najtrudniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek przyszło mi podjąć, lecz przepowiednia żyła własnym życiem i gdybym spróbowała się jej wówczas sprzeciwić, zabrałaby mnie później bez ostrzeżenia.*

*Gdy opuszczały mnie już siły, zaczęłam myśleć, że popełniłam straszliwy błąd.*

*Wydałam cię na świat obciążonego okrutnym brzemieniem. Wykorzystałam cię i prorocstwo również cię wykorzystało. Byłeś jedynie narzędziem losu. Wtedy właśnie postanowiłam, że umrę, nic nie mówiąc ci o wierszu. Nie chciałam, by twym życiem władały słowa Maroda.*

*Pragnęłam, byś sam odszukał swe przeznaczenie.*

*Dlatego napisałam ten list i powiedziałam Crope'owi, by oddał ci go tylko wtedy, gdy Larn zostanie zniszczony. Jeśli będziesz potrzebował wyjaśnienia, znajdziesz je, a jeśli nie będzie ci potrzebne, spędzisz życie w szczęśliwej ignorancji.*

*Proszę cię o wybaczenie. Jack, gdyż wiem, że prorocstwo żąda od ciebie więcej niż tylko zniszczenie Larnu, i gdy tak tu leżę, tracąc władzę nad ciałem i umysłem, wiem, że zmieniłabym to, gdybym tylko mogła.*

*Nigdy nie przestanę cię kochać,*

*Aneska*

Jack wsparł się o drewnianą belkę i osunął powoli na ziemię. Opuścił list na kolana i zamknął oczy. Ciemność była miękka i miła, jak rękawica z aksamitną podszewką. Tak wielu rzeczy dotąd nie wiedział.

Byli z Melli w tym domku myśliwskim. Trzymał w rękach egzemplarz *Księgi słów* Maroda i czytał liścik, który wypadł spomiędzy kart. Matka nigdy go nie otrzymała i sądziła, że król rozstał się z nią bez pożegnania. Potrząsnął głową. Tak wiele spraw umknęło jego uwadze.

Innych zaś dotąd nie rozumiał. Choroba matki - sądził, iż nie przyjmowała lekarstw dlatego, że nie chciała żyć. Teraz poznał prawdę. Choć jednak dawny ból zniknął, zastąpiło go coś nowego. Umarła dlatego, że była przekonana, iż zmusza ją do tego prorocstwo. Bała się, cierpiała ból i nie miała

nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Odmówiła przyjęcia pomocy medyków i poddała się losowi.

Poczuł gwałtowny ucisk w gardle. Tak wiele spraw błędnie osądził.

Odkąd sięgał pamięcią, zawsze uważał, że ojciec go porzucił. Sądził, że nie chciał go i nie potrzebował, i że to on swymi narodzinami przyczynił się do jego odejścia. Teraz dowiedział się, że ojciec w ogóle nie wiedział o jego istnieniu; o tym, że jego matka była w ciąży. Od początku wszystko działo się w ukryciu.

Uniósł kolana i wsparł na nich głowę. Jak mógł oskarżać kogoś o to, że nie wiedział, iż ma syna? Czytał liścik, który Lesketh wysłał jego matce. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który porzuciłby kobietę, do której coś czuł. To ona go zostawiła.

Gniew, który gromadził się w nim przez całe życie, zaczął się rozpraszać. Nienawiść, która towarzyszyła mu od tak dawna, że ledwie zdawał sobie sprawę z jej istnienia, wypływała z niego z każdym oddechem. Przypomniawszy sobie słowa Falka, który opowiadał mu o własnym ojcu: „Był tylko człowiekiem. Nie był zły ani podstępny i nie zasługiwał na karę”.

Wówczas chciał tylko w to uwierzyć, teraz wiedział już, że to prawda.

Jego ojciec nie był nieczułym potworem, który ich porzucił, a tylko człowiekiem, który o niczym nie wiedział.

Wstał. Gdy opuścił go gniew, jego miejsce zajęła nieprzejednana determinacja. Czuł

się silny, myślał jasno. Wiedział już wszystko: skąd się wziął, kim byli jego rodzice, co i dlaczego musiał uczynić. Nie miało znaczenia, że był królewskim bękartem. Nie dbał o to.

Liczył się jedynie fakt, iż wreszcie poznał prawdę.

Podniósł wzrok, chcąc raz jeszcze podziękować Croke'owi, lecz potężnego sługi nie było w pobliżu. Nie zaskoczyło to właściwie Jacka. Croke zawsze był wierny Baralisowi.

Sięgnął ręką do buta, by wymacać ukryty tam zapasowy nóż. Był na miejscu.

Przytroczony do wyściółki, ocierał się o jego goleń. Chłopak wyciągnął go i odwinął

spowijające ostrze płótno. Mimo tego, przez co przeszedł, nóż zachował ostrość. Jack uśmiechnął się. Pora już wysłać prorocstwo Maroda na spoczynek.

Została mu jedynie ciemność. Świat jasności na zawsze znalazł się poza jego zasięgiem.

Siedział pośrodku aureoli cienia. Szorowaniem startł sobie skórę z dłoni i teraz kapała z nich krew. Nie sposób już było ich doczyścić. Skaza nie tylko pokrywała skórę, lecz wniknęła w nią i w ukrytą pod spodem tkankę. A także w krew. Melliandra uciekła, pozbawiając go ostatniej szansy odkupienia. Pozostał mu tylko ohydny świat koszmarów.

Od chwili jej ucieczki nic nie jadł ani nie pił. Nawet białe torebeczki z *ivys*h leżały zapomniane przy łożu. Nie potrafił przełknąć nic, co mogła dotykać czyjaś naga dłoń.

Co dziwne, teraz, gdy przejaśniło mu się w głowie, odczuwał pewną niecierpliwość, jakby czekał na kogoś albo na coś, co przybędzie, by poddać go próbie niczym boga. Niech sobie przychodzą, pomyślał wzgardliwie. Nie bał się żadnego mężczyzny. To kobiety były niosącym zagładę orężem.

Przesunął się na rozłożonym w wachlarz jedwabnym płaszczu, unosząc do ust odarty ze skóry koniuszek palca. Miał zapach i smak jego matki. Choć dawno już nie żyła, wciąż towarzyszyła mu jako powolne gnicie ciała. Wszystko zaczynało się od niej. Jego życie było skażone od samego początku. Spoczywał w macicy cuchnącej jak burdel, a potem oddano go do karmienia mamce, gdyż jego matka, dziwka, nie miała pokarmu. Nie miał szans. Syn dziedziczył charakter po matce. Był tym samym, co ona, i obciążały go wszystkie jej grzechy.

Tak jak zawsze, zapłacą za to inni. Jeśli nie był prawowitym królem, uczyni go nim przelew krwi.

Imperium było jeszcze młode. Trzeba je było wykuć żelazną wolą i rozszerzyć na cały kontynent. Ciemność niosła mu już swe dary. Plany strategiczne rozwijały się przed jego oczami niczym czarno-białe obrazy, przedstawiające miasta, miasteczka, rzeki, trakty, mury obronne i ludzi. Z tych linii rodziły się regularności mocy i panowania. Dziś właśnie otrzymał

wiadomość o upadku Camlee. Zrozumiał teraz, że zawrócenie ku Ness byłoby błędem.

Falport był zupełnie bezbronny. Wszyscy spodziewali się, że jego armia pomaszeruje na północ. Jego największym sojusznikiem będzie zaskoczenie. Zajęcie Falportu nie tylko da mu flotę, lecz również umożliwi podbój południa.

Wtem poczuł, że na twarz wystąpił mu rumieniec. Ogarnęła go fala ciepła, a język zwilgotniał w przeczuciu zagrożenia. Nie bał się ani nie był niezadowolony.

Siedząc w ciemności, z ustami rozciągniętymi w lekkim uśmieszku, zaczął planować następną kampanię. Należało przygotować nowe bataliony, zwerbować najemników, zawrzeć, a potem złamać sojusze. Ułożył w myślach wykaz miasteczek i wsi, które każe zniszczyć, by wywołać strach i skłonić wroga do szybkiej kapitulacji. Zapisał sobie w pamięci, żeby wydać rozkaz natychmiastowego zabijania wszystkich kobiet zdolnych wydawać na świat dzieci. Za jego życia nie narodzi się armia, która mogłaby rzucić mu wyzwanie.

Z upływem czasu Kylock godził się stopniowo z losem. Nie mógł już osiągnąć zbawienia. Pozostało mu jedynie wspaniałe potępienie.

\*

Bez względu na wszelkie wysiłki, Jack nie potrafił sobie przypomnieć trasy, którą przeszedł, wędrując tunelami. Wejście znalazł szybko. Pomyślał nawet o tym, by zapalić pochodnię od ognia w piecu, gdy jednak znalazł się w ciasnych, cuchnących korytarzach, natychmiast stracił orientację. Wszystkie ściany wydawały mu się takie same. Każdy zakręt mógł być tym, który powiedzie go do góry.

Czas pracował przeciw niemu. Crope z pewnością wyznał swemu panu, że widział go żywego, i gdy tylko Baralis zorientuje się, że Jacka nie ma już w lochu, natychmiast uda się do komnaty Kylocka. Chłopak przypomniał sobie incydent przy schodach. Nie chciałby, żeby Baralis znowu zastawił na niego pułapkę.

Wreszcie, po kolejnym zakręcie, który zaprowadził go pod ceglany mur, zatrzymał się i zaczął myśleć. Jak mógł odnaleźć Kylocka? Musiał wędrować tunelami. Nie miał innego wyboru. Gdyby pojawił się w pałacu w ciągu dnia, równałoby się to samobójstwu, zwłaszcza teraz, gdy wszystkich gwardzistów postawiono w stan pogotowia. Wciągnął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, po czym spróbował sobie przypomnieć, którądy tu się dostał.

Nic. Myślał wówczas tylko o Kylocku. Jego bliskość przesłoniła sobą wszystko...

Tak jest. Musiał się skupić na swym wrogu. Na łączącej ich ze sobą więzi. Trafi za nią do celu jak do kłębka.

Niełatwo było się skoncentrować, gdy z każdą chwilą odczuwał upływ czasu. Jego uwagę rozpraszało wszystko: wąskie korytarze, gęsty, czarny dym bijący z pochodni, migotliwe cienie niezmiennie przywodzące mu na myśl Baralisa. Sekundy stawały się minutami, a niepokój przeradzał się w desperację. Jack rzucił pochodnię pod nogi i zdeptał

ją.

Ciemność przyniosła mu ulgę. Nie widział już cieni, nie widział niezliczonych korytarzy ani prowadzących w niewłaściwych kierunkach odnóg. Utraciwszy przewodnictwo wzroku, Jack musiał zrobić użytek z innych zmysłów. Dźwięki, zapachy, smaki oraz dotyk najrozmaitszych powierzchni - wszystko to zastąpiło mu obraz. Gdy po raz pierwszy wyczuł

bliskość Kylocka, było ciemno. Teraz wyglądało podobnie. Najpierw poczuł ciepło na lewej skroni. Potem wrażenie rozszerzyło się na policzek i spłynęło w dół po szyi. Zwróciwszy się w stronę, z której napływało, zdał sobie sprawę, że uszy wypełnia mu głośny szum. Gdy postąpił krok naprzód, dźwięk zaczął pulsować, przybierając stopniowo na sile, w miarę, jak chłopak posuwał przed siebie.

Po chwili Jack zapomniał, że przebywa w ciemności. Skóra pozwalała mu widzieć.

Wypełniała ją krew, która wskazywała mu drogę niczym kompas. Nie widział zakrętów, lecz

pokonywał je na ślepo, ufając ruchomemu ciepłu, które owiewało jego twarz.

Gdy dotarł do drugich z kolei schodów, poruszał się już jak lunatyk. Wędrował ciągle w górę. Nie zważał na to, że może się potknąć, nie próbował zapamiętać pokonanej trasy. Już niedaleko. Wkrótce ciepło i ciśnienie własnej krwi oraz głęboko zakorzeniony instynkt zaprowadzą go prosto pod drzwi Kylocka.

\*

- Jaki był jego stan fizyczny?

Baralis targał szatę. Narkotyk zaczął już działać. Wzmocnił jego ciało i rozjaśnił umysł, pozwolił ujrzeć świat ze sztuczną wyrazistością.

- Był bardzo blady, panie, ale mówił do rzeczy i nie widziałem, żeby utykał.

Crope wyglądał jak wcielenie z trudem ukrywanego poczucia winy. Baralis domyślał się, że sługa nie opowiedział mu całej prawdy o cudownym zmartwychwstaniu Jacka. Nie szkodzi, przepyta go później. W tej chwili czekały go pilniejsze sprawy.

- Czy ma broń?

- Nie, panie. Zabrałem mu miecz i nóż zza pasa, tak jak kazałeś - odparł Crope, zataczając kręgi potężnymi kciukami. - Ale kolczugi nie zdjąłem. Chciałem to zrobić, tylko zapomniałem.

Gdy narkotyk zapuścił swe zadziory w umysł Baralisa, wszystkie myśli umknęły.

Serce królewskiego kanclerza załomotało gwałtownie. Jego oczy zamgliły się. Musiał złapać Crope'a, żeby się nie przewrócić. Po kilku sekundach atak minął. Połknął tylko naparstek specyfiku, lecz jego moc była tak ogromna, że nawet tak niewielka dawka mogła być groźna.

W zamian za to niebezpieczeństwo, lek obdarzył go chwilową siłą, która jednak wystarczała co najwyżej na jedno przyzwoite zaczerpnięcie mocy. W normalnej sytuacji Baralis nigdy nie skorzystałby z tak prymitywnego i potencjalnie szkodliwego medykamentu, gdy jednak dowiedział się, że Jack żyje, zrozumiał, że nie ma wyboru. Po zaczerpnięciu mocy, którego dokonał przed dwoma dniami, był fizycznie i mentalnie osłabiony. Potrzebował czegoś, czegokolwiek, co pozwoli mu wypuścić z siebie krótki impuls mocy. Subtelne uzdrowienie wymagało czasu, a jego akurat mu brakowało, gdyż piekarczyk wędrował swobodnie po pałacu.

Jack jednak go miał. Dysponował zdumiewającą władzą nad czasem. Zrobił z niej użytek nie raz, lecz dwa razy. Najpierw wpłynął na bochny, a potem na siebie. Był martwy - a przynajmniej niewiele mu do tego brakowało - a teraz żył. Ciało nie pokrywało blizny ani rany. Z pewnością w chwili śmierci miał na języku zaczerpnięcie mocy, które wypłynęło z ust razem ze śliną i ostatnim tchem.

Baralis przeklinał własną słabość. Gdyby był silniejszy, zdołałby wykryć delikatny rozkład czasu.



Szukał nie tego, czego powinien: potężnej eksplozji, straszliwego wstrząsu, zaczerpnięcia mocy zdolnego rozwalić mury. Magia Jacka była delikatnym haftem. Jej moc działała dwie noce i jeden dzień. Przemknęła przez ciało Baralisa niczym cień o zmierzchu.

Wyprostował się, by sprawdzić działanie narkotyku. Nie czuł się już słaby. Postrzegał

linie mocy, nienaturalne zakrzywienie czasu. Wszystkie jego zmysły były wyostrzone, a myśli stały się klarowne, jasne i śmiertelne, jak ostry, szklany kolec.

Zwrócił się w stronę Crope'a.

- Czy jesteś pewien, że prosto z piwnicy przyszedłeś tutaj? Nie zatrzymałeś się na dziedzińcu, żeby się pogapić na ptaki?

Musiał się dowiedzieć, jak długo już Jack przebywa na swobodzie.

- Nie, panie. Dałem Jackowi list i...

- List?

Crope już przedtem był pełen poczucia winy. Teraz miał minę skazańca.

- Jego matka prosiła mnie, żebym mu go oddał, jeśli Larn zostanie zniszczony.

- Co?

- Palaczka Lucy. Prosiła mnie, żebym zachował ten list dla Jacka do czasu, gdy...

- Co było w tym liście?

- Nie wiem, panie. Nie zaglądałem.

Baralis zmrużył powieki. Nie miało sensu snuć spekulacji na temat zawartości listu, można jednak było wykorzystać fakt jego istnienia.

- A jak wyglądał?

- Jak każdy list, panie.

- Czy był zapieczętowany? Zwinięty, złożony, czy przewiązany sznurkiem?

- Zapieczętowany. Ciemnoczerwoną pieczęcią.

Baralis podszedł do biurka. Wziął do ręki którąś z walających się tam wyblakłych kart, złożył ją, zbliżył do ognia pałeczkę laku i skapnął w szczelinę odrobinę ciemnoczerwonej substancji. Pokazał kartkę Crope'owi.

- Taką? - zapytał.

Olbrzym pokiwał z entuzjazmem głową.

- Tak, panie. Taką.

- Świetnie. Chodź ze mną.

\*

Jack dotarł do końca tuneli. Przez szpary między kamieniami sączyło się pełgające światło, świadczące o tym, że po drugiej stronie palą się pochodnie. Nie miał pojęcia, czy wybrał tę samą trasę, którą wskazał im Kosiarz, dotykając ściany obiema dłońmi odmówił

więc krótką modlitwę do Borca: „Proszę. Niech tam nie będzie wartowników”.

Kamień ustąpił pod delikatnym pchnięciem. Przez otwór napłynęły ciepło, światło i świeżość, które oszołomiły Jacka. Szum rozgrzanej krwi oraz ciemność wprowadziły go w stan bliski snu i czuł się teraz tak, jakby zerwano go z łoża w samym środku nocy.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że to nie jest to samo wyjście, co poprzednio. Nie było tu zasłony, która maskowałaby poruszenia kamienia. Wyszedł na korytarz. Jego stopa spoczęła na czymś miękkim. To był jedwabny dywan.

- Ajj!

Odwrócił się błyskawicznie, by sprawdzić, kto krzyczy. Stał twarzą w twarz z kobietą odzianą w zielony atlas. Wpatrywali się w siebie przez chwilę. Wreszcie zaczerpnęła tchu i zaczęła wrzeszczeć:

- Stra...

Zatkał jej usta dłonią. Jego zmysły były przeładowane. Ostatnie pół godziny spędził w niemal całkowitej izolacji i rzeczywisty świat wydawał mu się teraz zbyt jaskrawy, by zdołał

go znieść. Dygotał, nie wiedząc, co teraz zrobić. Bał się, że zaraz ktoś nadejdzie. Wreszcie zaciągnął wierzgającą kobietę do tunelu. Przystawił jej nóż do gardła, wiedział jednak, że nie potrafi popełnić morderstwa. Złapał za suknię swej ofiary i oderwał strzęp tkaniny, by zrobić zeń knebel. Przerażona kobieta wybałuszyła szare oczy. Coś w zarysie jej kości policzkowych przypominało mu Tarrisę.

- Nie zrobię ci krzywdy - zapewnił cicho. - Chcę tylko, żebyś jakiś czas była cicho.

Ścisnął skrawek tkaniny w pięści, chcąc go jej wepchnąć do ust. Najpierw jednak zmniejszył jego rozmiar o połowę, bojąc się, że ją udusi.

Zajęty tym zadaniem, zdawał sobie doskonale sprawę z upływu minut. Gdy umieścił

już knebel w ustach kobiety, związał jej ręce za plecami, używając do tego celu sztywnych wstążek, które miała wplecione we włosy.

- Przepraszam cię - dodał, zaciągając mocno węzeł. - Nie mam czasu zrobić nic innego.

Przeszyła go wściekłym spojrzeniem.

Jack wszedł do jasnego pałacowego korytarza i zasunął za sobą kamienną płytę.

Rozejrzał się pospiesznie. Korytarz miał najwyżej trzydzieści kroków długości. Z prawej znajdowało się w nim dwoje drzwi. Dywan kończył się tuż za nimi, po przeciwnej stronie jednak dochodził do drugiego, bardziej zdobnego, który krzyżował się z nim pod kątem prostym. Jack poczuł znajomy zew krwi. Był on obecnie słabszy, gdyż incydent z kobietą i jasne światło w korytarzu zaburzyły delikatną równowagę jego zmysłów.

To, co czuł, wystarczyło jednak, by potwierdzić jego domysły. Bogato tkany dywan zaprowadzi go do komnaty Kylocka.

Gdy chłopak biegł korytarzem, serce tłukło mu jak szalone. Kylock był już bardzo blisko.

Kiedy dotarł do narożnika, zwolnił kroku i przycisnął się do ściany. Dyszał głośno, a nóż drżał w jego dłoni. Wysunął głowę zza rogu. Ujrzał kolejny korytarz, trochę dłuższy od poprzedniego. Były tam tylko jedne drzwi, bogato rzeźbione i dwuskrzydłowe. Po obu ich stronach płonęły pochodnie oraz stali wartownicy. To były drzwi godne króla.

Chłopak przyjrzał się gwardzistom. Obaj mieli miecze u pasów, a w dłoniach dzierżyli halabardy. Walka nie miała być łatwa.

Czy jednak rzeczywiście?

Jack zamknął oczy, próbując się skupić na metalu w ich broni. Jego myśli pomknęły w stronę otaczającej drzwi przestrzeni. Poczul szybkie brzęczenie naładowanych cząsteczek, jedyną w swoim rodzaju wibrację stali. Poczul się tak, jak w chacie Stillfoxa, gdy zbliżył się do substancji, wszedł w jej wnętrze i zmienił od wewnątrz jej naturę. Jego myśli wpadły w rezonans z wibracją metalu i wśliznął się powoli do środka. Spróbował zaczerpnąć mocy, by rozgrzać metal, nie czuł jednak gniewu, nagłej złości, która mogłaby mu posłużyć jako krzesiwo. Bez silnych emocji nie miał nic, co rozpaliloby płomień.

Poszukał w swych wspomnieniach dobrze znanego obrazu Rovasa dotykającego Tarissy. Przywołał go tak samo szybko, jak zawsze - ręka przemytnika obejmowała talię dziewczyny - tym razem jednak wyczuł w nim fałsz. Pojął, że był to jedynie złudny produkt jego nienawiści. Tarissa nigdy nie zaakceptowałaby dobrowolnie karesów Rovasa. Teraz to zrozumiał. Czas i odległość pozwoliły mu dostrzec wszystko jaśniej. Wcale nie chciała go usidlić. Jej miłość była prawdziwa. Powinien dostrzec to tego dnia, gdy ją opuścił, kiedy padła na kolana, błagając go, by zabrał ją ze sobą...

Potrząsnął głową. Zachował się jak głupiec.

Wstydzil się własnej pychy i uczucie owo wypełniło żarem jego ciało. Nie potrafił już się gniewać na Tarissę i nie mógł używać jej obrazu jako krzesiwa.

Miał jednak inne powody do gniewu.

Baralis zastawił na niego zasadzkę, by go zabić.

Żołnierze Kylocka zamordowali trzydzieści kobiet, a potem zostawili zwłoki w rowie.

Melli zamknięto na pół roku w pokoju, a dziecko zabrano jej zaraz po urodzeniu.

Moc popłynęła przez niego. Poczul nagły skurcz w żołądku. Czaszka zacisnęła mu się wokół mózgu, a ślina spłynęła po języku niczym płynny metal. Skierował myśli na broń wartowników.

Otoczające oręż powietrze zamigotało, po czym chłodna, srebrna stal rozgrzała się do czerwoności. Wydarzyło się to w mgnieniu oka, bez żadnej fazy przejściowej. Żołnierze natychmiast puścili z wrzaskiem halabardy. Gdy tylko poczuli na udach dotyk gorących mieczy, rozpięli poparzonymi dłońmi pasy.

Jack powstrzymał wypływ mocy. Podmuch gorącego powietrza przyniósł ze sobą swąd rozżarzonego metalu, zwęglonego ciała oraz spalonej tkaniny. Lekko oszołomiony chłopak oparł się o ścianę. Jeden z żołnierzy popędził w jego stronę. Jack zmusił odporne ciało do działania. Skoczył prosto na niego.

Gwardzista był łatwym celem. Bezbronny, ranny i nieprzygotowany, ledwie zdążył

zauważyć Jacka, nim nóż wbił się w jego serce. Chłopak wyszarpnął broń i pozwolił ciału osunąć się na podłogę. Drugi wartownik zaczął na ten widok uciekać w przeciwną stronę.

Młodzieniec pognął za nim. Dogonił go po kilku sekundach i podciął od tyłu. Szybkie pchnięcie w plecy zakończyło sprawę.

Jack podniósł się. Zalewał go pot. Dyszał jak szaleniec. Strach i uniesienie sprawiały, że rzeczywiście czuł się jak obłąkany.

Rozejrzawszy się, doszedł do wniosku, że nie będzie marnował czasu na próby ukrycia ciała. W każdej chwili ktoś mógł się zjawić. Musiał dostać się do Kylocka, nim podniosą alarm.

Podchodząc do odległych o kilka kroków wysokich drzwi, starł krew z noża.

Próbował powstrzymać drżenie rąk, lecz choć ciało słuchało go w większości spraw, w tej odmówiło mu posłuszeństwa. Dlatego nacisnął klamkę rozdygotaną prawą dłonią i pchnął

drzwi rękami osłabłymi aż po łokcie.

\*

- Chodź ze mną. Musimy natychmiast iść do komnat dla szlachty.

Baralis czuł zalewające go fale czarów. Jego włosy stawały od nich dęba, a ślina na zębach wysychała.

- Ale Jack był w piwnicy.

- Teraz już go tam nie ma.

Piekarczyk nie zamierzał uciekać. Był gdzieś ponad nimi. Zacerpnął swych charakterystycznych czarów blisko samego serca pałacu. Szedł po Kylocka. Fakt ten potwierdzała każda komórka nerwowa w ciele Baralisa.

Proroctwo Maroda spełniało się na jego oczach.

Pan i sługa zawrócili. Pokonali już połowę drogi do kuchni i stracą wiele cennych minut, nim znajdą się na górze. Baralis przeklinał własną głupotę. Powinien od razu skierować się do komnaty Kylocka. Po prostu się nie zastanowił. Uznał, że Jack spróbuje ucieczki. Zamierzał go zwabić w pułapkę, wysyłając naprzód Croke'a z czymś, co przyciągnęłoby jego uwagę.

Sięgnął pod szatę i wydobył stamtąd fałszywy list. Chciał już zmiąć go w pięści, lecz powstrzymał się nagle. Być może znajdzie jeszcze jakiś użytek dla tej pospiesznie przygotowanej przynęty. Warto ją zachować, nawet jeśli pozwoli mu odwrócić uwagę piekarczyka tylko na mgnienie oka.

\*

Jack trafił do małego korytarzyka, który kończył się krótkimi schodami, prowadzącymi pod następne drzwi. Było tu cicho i chłodno. Pochodnia paliła się słabo.

Chłopak zatrzymał się na chwilę na schodach, by się uspokoić.

Co dziwne, opuściło go wrażenie, że coś prowadzi go do celu. Krew nie wskazywała mu więcej drogi, a skóra była znieczulona. Spełniły już swe zadanie.

Był zdany na własne siły. Wszedł na schody, otworzył drugie drzwi i wśliznął się do pomieszczeń Kylocka. Ujrzał przed sobą słabo oświetloną komnatę audiencyjną. Wszystko wyglądało tu nieskazitelnie, jakby po jedwabnych dywanach nikt nigdy nie stąpał, a w wyściełanych fotelach nikt nigdy nie siadał. Nawet spoczywające na biurku papiery i mapy sprawiały wrażenie nietkniętych. Wszystko ułożono w równych stosach. W tym pomieszczeniu było coś dziwnego, co drażniło zmysły Jacka. Dopiero gdy podszedł do następnych drzwi, zdał sobie sprawę, w czym rzecz.

Wszystkie meble - kufry, ławy i stoły - rozmieszczono tak, by tworzyły prostokątną siatkę. Ramiona stojących po przeciwnych końcach komnaty foteli były absolutnie równoległe, podobnie jak brzegi stołów. Skrzynie ustawiono pod ścianami w równych odstępach. Chłopak odnosił wrażenie, że gdyby miał ze sobą miarkę, przekonałby się, że wszystkie odległości i kąty są identyczne.

Po policzkach przemknął mu lodowaty dreszcz. Ruszył szybko w dalszą drogę. Na końcu komnaty czekało na niego dwoje drzwi. Wybrał jedno z nich na oślep. Klamka była zimna, tak zimna, że rękę aż po łokieć pokryła mu gęsia skórka.

Gdy wszedł do środka, zewsząd otoczyła go ciemność. Kleiła się do jego ciała, omywała je i spowijała. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

- Kto śmie zakłócać mój spokój bez zapowiedzenia?

Przez krótką chwilę Jack sądził, że to głos Baralisa. Był dźwięczny i miał piękny tembr. Kryła się w nim moc. Różnił się jednak nieznacznie od głosu królewskiego kanclerza.

Pobrzmiwała w nim charakterystyczna nuta szaleństwa.

- Przedstaw się.

W głosie nie było słycać strachu, a jedynie władczy ton kogoś przywykłego do posłuchu.

Jack spróbował zlokalizować jego źródło. Wydawało mu się, że otaczająca go ciemność jest czymś więcej niż zwykły brak światła. Wyczuwał w niej strukturę, gęstość i ruch. Wyobraził sobie, że wdychają do płuc niczym czarny, kłębiący się dym.

- Czy jesteś demonem, który przyszedł poddać mnie próbie? Podejdź bliżej i pokaż, co potrafisz.

Chłopaka zaniepokoiło opanowanie Kylocka. Spodziewał się różnych rzeczy, lecz nie tego, że jego adwersarz będzie spokojny i spróbuje go zachęcać. Nóż w jego dłoni zadrżał.

Wiedząc, że Kylock jest w korzystnej sytuacji, spróbował wypatrzeć w mroku jego postać.

Przed oczami tańczyły plamy światła. Kiedy zniknęły, odniósł wrażenie, że dostrzega przed sobą półokrąg słabego blasku.

- Podejdź. Nie boję się.

Jack jednak się bał. W komnacie pełno było mocy. Surowej, straszliwej mocy.

Zbliżając się, zaczął kształtować zaczerpnięcie. Nie wiedział, na czym się skupić, jak wielkiej siły użyć ani gdzie wymierzyć cios. Mógł popełnić błąd i chybić, wystawiając się w ten sposób na atak.

Lepiej skorzystać z noża. Instykt ostrzegał go jednak, by zachował coś w rezerwie, trzymał moc w gotowości na wypadek, gdyby Kylock spróbował uderzyć.

Błady wachlarz światła stał się wyraźniejszy. Jack spróbował siłą woli zmusić przeciwnika do powiedzenia czegoś, by określić jego pozycję. Nic z tego. W komnacie słycać było jedynie uderzenia serca chłopaka. Potem w centrum plamy światła rozległ się szelest jedwabiu ocierającego się o jedwab.

Jack skoczył w tę stronę. Poczł, że jego nóż skaleczył miękkie ciało. Wylądował

twardo, uderzając w coś barkiem, po czym przetoczył się na nogi i zajął pozycję obronną, zataczając nożem szeroki łuk. Odgłos dobiegał teraz z lewej: ciężki oddech lub cichy, drwiący śmiech. Chłopak przeklinał panującą w komnacie ciemność.

Niczym odpowiedź na jego modlitwę, nagle pojawił się blask. Cienka linia przeszła w szeroką

smugę. Nigdzie nie było widać Kylocka. Stał w cieniu, który pogłębił się jeszcze pod wpływem światła. Jack poczuł na plecach ciepły podmuch. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał

w drzwiach mroczną postać.

Wzdłuż języka przemknął mu smak metalu. Narastająca w nim moc przegnała wszelką myśl o ostrożności.

- Jack. Croke ma coś dla ciebie. Zapomniał dać ci drugi list.

Postać wyciągnęła rękę. Między palcami lśniło coś białego.

Jack przełknął z wysiłkiem ślinę, tłumiąc moc. Głowę wypełniał mu narastający nacisk, a czoło przebiegały strużki bólu, łączące się między oczami. Z nozdrzy pociekła krew.

- Jeszcze jeden list od Lucy, Jack.

Croke zamachał przed nim złożoną kartą papieru.

Jack ledwie dostrzegał pieczęć. Pismo wyglądało tak samo, jak to, które dostał od Croke'a w piwnicy. Dwa listy od matki? Głowę wypełniło mu głośnie brzęczenie. Zignorował

je. Za jego plecami zaszeleściła tkanina. Na to również nie zwrócił uwagi.

Gdy ruszył ku drzwiom, brzęczenie stało się głośniejsze, nie przejmował się tym jednak. Zapewne był to efekt uboczny powstrzymywania zaczerpnięcia mocy.

Kontur Croke'a stał się czarną smugą przesłaniającą światło. Jack podszedł bliżej, wyciągając rękę po list. Jego spojrzenie przyciągnął cień rzucany przez rękę olbrzyma.

Kołysał się w rytm jego ruchów, lecz pewien fragment zostawał z tyłu. Może koronkowy mankiet? Chłopak podniósł wzrok. Rękawy koszuli olbrzyma były podwinięte powyżej łokci.

Jack poczuł, że po plecach spływa mu zimna strużka potu.

Za dłonią kryła się druga dłoń.

Baralis.

Odwrócił się błyskawicznie i skoczył w bok, uciekając od drzwi i od światła. Padł na podłogę i przetoczył się gorączkowo pod ścianę, gdzie był cień. Jednocześnie zaczerpnął

mocy. Była teraz słaba i narastała powoli. Zacisnął zęby i pięści, chcąc przywołać ją z powrotem. Działał zupełnie bez namysłu. Pozostały mu jedynie odruchy.

W drzwiach coś się poruszyło. Cień Croke'a usunął się na bok i natychmiast zastąpił

go następny.

- Chodź przyłączyć się do zabawy. Baralisie.

Słowa Kylocka były ostatnim, co usłyszał Jack, nim wypuścił z siebie moc.

\*

Baralis był przygotowany na atak. Gdy Crope stał w drzwiach, odwracając uwagę piekarczyka, królewski kanclerz zorientował się w sytuacji i przygotował zaczerpnięcie mocy.

Wszedł do komnaty.

Powietrze zgęstniało z trzaskiem wokół niego. Widział to, czuł ostry ból w błonach bębenkowych, wywołany narastającym ciśnieniem. Jego zaczerpnięcie pojawiło się nawet nie ułamek sekundy później niczym zwierciadlane odbicie.

Chwila rozciągnęła się do granic możliwości. Na wprost siebie ujrzał Kylocka, który wynurzył się z cienia. Po prawej widział Jacka, który przykucnął pod ścianą. Ruszył w jego stronę. Choć wystawiał się w ten sposób na atak, mógł jednocześnie lepiej wycelować. Z

pewnością był szybszy, lepszy i sprytniejszy niż jakiś tam piekarczyk.

Wypuścił z siebie moc. Otworzył usta, a język wpadł mu w rezonans z jej rytmem.

Patrzył przerażony, jak zaczerpnięcie przywołane przez Jacka rozwija się niby wachlarz.

Nagle ogarnęły go mdłości. Piekarczyk nie celował w niego. W ogóle w nic nie celował.

Niszczył wszystko przed sobą na oślep.

Kylock!

Baralis zmienił kierunek zaczerpnięcia mocy, tworząc osłonę wokół króla. Podobna, natychmiastowa zmiana natury czarów była niesłychanie niebezpieczna, nie miał jednak wyboru. Bez Kylocka nie zostanie mu nic. Uformował tarczę i cisnął ją pospiesznie w stronę króla. Użył całej mocy swego umysłu i woli, by wyprzedzić uderzenie Jacka. W piersi coś mu pękło. Poczł blisko serca ukłucie bólu.

Przeklął Jacka. Piekarczyk był głupcem! Tak prymitywnego i nieukierunkowanego zaczerpnięcia mógł dokonać jedynie niewykształony prostak. Należało najpierw je wymierzyć.

Wymierzyć prosto w niego!

Pierwsza fala mocy Jacka uderzyła w cel. Blask i podmuch odrzuciły Baralisa do tyłu.

Uderzył głową o framugę drzwi. Moc nie przestawała płynąć - niewzruszona jak lita ściana.



Miał za mało sił, by osłonić i siebie, i Kylocka. Osłabiło go to, co wydarzyło się przed dwoma dniami. Narkotyk nie mógł dokonać cudów. Została mu tylko odrobina mocy.

Użył tej ostatniej rezerwy, by otoczyć Kylocka bezpieczną tarczą. Osłonił swój produkt, zaciskając zęby w oczekiwaniu na cios.

\*

Jack ledwie zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. W ciągu dwóch sekund przemknęła wokół niego cała lawina zmian. Przez jego ciało przepłynęło zaczerpnięcie mocy, szybkie, straszliwe i pełne światła. Kylock stał wyprostowany na samym środku komnaty, czekając na uderzenie. Baralis został wciśnięty we framugę. Jack wyczuwał jego próby utworzenia tarczy. Dostrzegał linie mocy, krzyżujące się sznury przypominające przecinające komnatę więzadła. Moc królewskiego kanclerza w jakiś sposób nadal osłaniała Kylocka.

Siatka pozostała nienaruszona.

Jack zdał sobie sprawę, że mylił się w jednej istotnej kwestii. Nie zdoła uśmiercić Kylocka, jeśli nie pozbędzie się najpierw Baralisa. Kanclerz nie zrezygnuje dobrowolnie ze swej jedynej szansy na osiągnięcie chwały. Pora zabić pana bestii. Wszystko, co mu jeszcze zostało - całą siłę swego ciała i duszy - wymierzył teraz w Baralisa.

Gdy zmienił kierunek zaczerpnięcia mocy, kręgosłup strzelił mu głośno jak bicz. Jack okiełznał szerokie pole mocy, skupił je w wąską jak igła wiązkę światła i wycelował w królewskiego kanclerza.

Powietrze rozdarło się gwałtownie. Ciało Baralisa poleciało w górę i uderzyło o ścianę. Kości trzasnęły, czaszka pękła, a z uszu i ust popłynęła krew. Rozległ się przerażający krzyk. Jack widział, jak linie mocy przygasają, przechodząc w blade smugi światła. Gdy osłaniająca Kylocka siatka rozwiała się w cień, od piersi Baralisa dzieliła ją odległość mniejsza od wyciągniętej ręki.

Podmuch przeszył komnatę z siłą huraganu. Chłopak nie mógł oddychać. Jego brzuchem targnęły konwulsje. Wypełniała go wciągająca wszystko pustka. Niewyobrażalnie osłabiony, powstrzymał wypływ mocy. Światło i podmuch zapadły się w siebie, osłabły, wyblakły, a wreszcie rozwiała się w nicłość przy akompaniamencie cichego syku.

Baralis osunął się na podłogę. Z jego nienaturalnie powyginanego ciała sterczały połamane kości.

Jack czuł, że pada, choć przecież leżał już na posadzce. Mknął wciąż w dół. Ciało zapadało się wokół niego, wsysane przez pustkę. Zalały go fale bólu. Przed oczami miał

mrok. Ciężkie powieki opadły mu na oczy. Ostatnim, co zobaczył, był Baralis, który uniósł

drżącą dłoń w stronę Kylocka. Poruszał przez chwilę ustami, po czym wykrztusił z siebie dwa udreżone słowa:

- Mój synu.

Dłoń opadła na podłogę i Jack poddał się ciemności.

Jack ocknął się, mrugając powiekami. Nie było żadnego okresu przejściowego, nie miał czasu, by ocenić swoje siły, nim otworzył oczy.

Kylock stał nad nim z listem w ręku.

- Ach, widzę, że wreszcie się obudziłeś. Powiedz mi, czy sny spełniły twe oczekiwania?

Zachowywał się spokojnie, lecz w jego głosie pobrzmiewała nuta szaleństwa, a w oczach widać było nienaturalny błysk.

Jack próbował zebrać myśli, przypomnieć sobie wszystko, co się tu wydarzyło.

Baralis. Spojrzał na drzwi. Nigdzie nie było widać ciała. Ile czasu upłynęło? Jak długo tu leżał? Jak długo Kylock poddawał go oględzinom?

Król wydał z siebie krótkie cmoknięcie.

- A więc jesteś bękartem Lesketha, co?

Jack sięgnął ręką pod bluzę. Ból przeszył go od barku aż po żołądek.

- Tego szukasz? - Kylock zmiął papier w pięści. - Cóż za wzruszający liścik od mamusi do synka.

Jego głos nabierał coraz wyższych tonów. Król obrócił się na pięcie.

Jack usiadł z wysiłkiem, szukając w swym wnętrzu mocy. Nie znalazł nic. W

zaczepnięcie, które zabiło Baralisa, włożył całą swą siłę. Poruszył ostrożnie ręką, chcąc wymacać nóż.

Jego uwagę odwróciły dwa dźwięki. Pierwszym z nich był dobiegający z sąsiedniej komnaty odgłos przesuwania czegoś ciężkiego. Jack natychmiast odgadł, że to Crope zabiera ciało Baralisa. Drugi dźwięk wydobywał się z ust Kylocka - cichy, ochryply śmiech, przypominający niemal kaszel.

Barki króla drżały. Kostki zaciśniętej na liście dłoni były zupełnie pobielale. Na koniuszkach palców nie widziało się nawet śladu skóry.

- A ja... ja jestem bękartem Baralisa. Podczas gdy król szukał przyjemności na boku, moja matka spotykała się z jego kanclerzem - Jego śmiech przepełniła teraz gorycz. Odwrócił

się w stronę Jacka z jaskrawym błyskiem w oczach. - Baralisa. Kto by na to wpadł? Kto mógłby się domyślić?

Po skórze Jacka przemknęły ciarki. W Kylocku powoli, lecz nieustępliwie narastała moc.

- Masz to, co należy się mnie! - krzyczał. - Twój ojciec powinien być moim ojcem! - Z

ust pofrunęły mu kapki śliny. Napięte ściętna na szyi przypominały dwa bliźniacze sznury. -

Moje dłonie, wargi i zęby. Zabrałeś mi wszystko.

Jack wzdrygnął się. Opierał się plecami o ścianę. W ustach czuł suchość. Kylock tracił

panowanie nad sobą. Chłopak poruszył gwałtownie ręką, rozpaczliwie szukając noża. Nic.

Odważył się zerknąć w bok. Ujrzał błysk stali po prawej stronie, tuż poza zasięgiem swej ręki.

Kylock podszedł bliżej, potrząsając głową.

- Wydaje ci się, że wyjdiesz z tej komnaty i pokażesz swój dowód całemu światu.

Zdemaskujesz mnie. Przysięgam, że to się nie zdarzy. Ani dziś, ani jutro, ani nigdy.

Jack zdał sobie sprawę, że na policzki wystąpiło mu ciepło. Z początku myślał, że to tylko wywołany napływem krwi rumieniec, podobny do tych, które przywiodły go do Kylocka. Nie było to jednak zwykłe ostrzeżenie. Ciepło przerodziło się w gorąco. W jego gardle zakipiała groza. Wszystkie instynkty kazały mu uciekać, był jednak tak przerażony, że nie mógł się nawet ruszyć.

- Królewski syn. - Kylock był już o długość palca od jego twarzy. - A jego matka była zwykłą służącą, która puszczała się na boku, żeby trochę zarobić.

Gdy Jack słuchał słów Kylocka, coś w nim pękło. Jego matka nie była dziwką - teraz już o tym wiedział - i ten potwór nie miał prawa wygadywać takich rzeczy. Zerwał się i skoczył przeciwnikowi do gardła. Odrzuciła go fala palącego żaru, która osmałiła jego nos i czoło. Poczł swąd przypalonych włosów. A także skóry na dłoni. Gdy osunął się na ścianę, poczuł w nich pulsujący ból. Uniósł je do twarzy i zobaczył, że spływają krwią. Oczy również go bolały i ledwie mógł dostrzec poparzenia.

- To powinny być moje ręce - stwierdził Kylock.

Jackiem targnął gwałtowny gniew. Nie chciał już więcej słuchać bredzenia szaleńca.

- Nic mnie to nie obchodzi - wrzasnął. - Nie pragnę tego, co masz. Wcale nie chcę być królem.

Gdy wypowiadał te słowa, poczuł, że błona śluzowa jego nosa i gardła wyschła nagle.

Gorące powietrze parzyło mu płuca. Fala żaru, którą poczuł przed chwilą, zniknęła, zastąpiona przez nieustanne narastanie ciepła. Wszystko było gorące w dotyku: podłoga, ściany, jego ubranie. Kolczuga przerodziła się w parzącą skórę powłokę.

Oczy Kylocka utraciły wszelki wyraz. Otaczające go powietrze zafalowało. Coś w jego dłoni strzeliło iskrami: list. Po ramieniu przebiegł język płomieni. Nawet się nie wzdrygnął.

Jack czuł, że w pobliżu narasta straszliwe napięcie. Żar był nie do zniesienia. Skóra na twarzy chłopaka smażyła się jak mięso na patelni. Musiał powstrzymać Kylocka. Uniósł

dłonie, podsuwając je przeciwnikowi pod twarz.

- Spójrz - krzyknął. - To są ręce piekarza, nie króla.

Z oczu monarchy zniknął na chwilę wyraz straszliwego, rozżarzonego obłędu. Fala gorąca opadła.

Jack przesunął się w bok, nie spuszczać spojrzeń z noża.

Kylock zaczął potrząsać głową.

- Nie, królewski synu - rzekł bardzo cicho. - Nie dostaniesz tego, co należy do mnie.

Chłopak rzucił się w stronę broni. Uderzył w niego żar. Ogień trawił mu skórę, wysysał powietrze z płuc. Nie cofnął się jednak. Dotknął palcami rękojeści. Walcząc z instynktem, zacisnął dłoń na rozżarzonej do czerwoności metalu. Jego umysł rozdarł

gwałtowny ból. Gdy opadał w gorącą piekielną otchłań, umknęła mu sekunda albo dwie.

Przytomność przywrócił mu swąd palonego ciała.

Płomienie. Otaczały go płomienie. Ogarnęły już jedwabny dywan, a na jego oczach przeskoczyły na gobeliny i meble. Spanikowany, przerażony, wdychający dym do płuc, Jack z trudem zachowywał przytomność. Co dziwne, pomógł mu w tym ból w dłoni, który pulsował w rytm jego serca. Było to tak, jakby za każdym dręczącym uderzeniem krył się Larn, który wymierzał mu policzki, by nie zemdlął.

Poczuł, że odzyskuje siły. Wiedział, że ojciec wcale go nie opuścił. Wiedział kim była jego matka, skąd przybyła i co planowała przez całe dziesięciolecie. Zawsze dotąd słyszał

tylko kłamstwa i wymijające odpowiedzi, lecz teraz poznał wreszcie prawdę. I dało mu to moc.

Podźwignął się z wysiłkiem i pognął przez ogień w stronę Kylocka. Jasność go oślepiła, dym dusił, a palący żar trawił skórę. W jego ciało uderzył gorący podmuch. Wtem znalazł się twarzą w twarz z przeciwnikiem. Mroczny błysk w oczach tamtego mógł

znamionować strach, zdążył jednak zniknąć, nim Jack usunął mruganiem wywołane przez dym łzy.

Czas rozciągnął się w cienką warstwę, przypominającą rozlaną na wodzie oliwę.

Płomienie utworzyły syczący, strzelający pierścień, który otoczył obu mężczyzn. Jack czuł na plecach ich żar. Jego przeciwnika spowiła aureola złocistego światła, która spływała na jego barki i tułów. Jej blask podświetlał mu twarz niczym płomień świecy. Kylock nigdy w życiu nie przypominał Baralisa bardziej.

Jacka poraził na ten widok strach. Poczuł gwałtowny ucisk w gardle. Nie było wątpliwości, że Kylock jest synem królewskiego kanclerza.

Baralis. Mimo że go zabił, Jack mógł się jedynie domyślać, jak wielkie były jego moce. Skupił wzrok na twarzy przeciwnika, zastanawiając się, czy syn nie jest potężniejszy od ojca. W jego oczach płonął jasny ogień szaleństwa. Widać w nich było inteligencję Baralisa, lecz została ona wypaczona, przerodziła się w coś nowego i monstrualnego. Kylock rozciągnął usta w uśmiechu. Tak jest, potrafił dokonać znacznie straszniejszych rzeczy.

Jack zadrżał.

Jego dłoń przeszył gorący, pulsujący ból. Znowu odezwał się Larn, który nie pozwalał

mu zapomnieć o zadaniu, zejść z wyznaczonej ścieżki. Ręka chłopaka powędrowała odruchowo w górę, a nóż razem z nią.

Ujrawszy broń, Kylock uniósł ramię, chcąc zasłonić się przed ciosem. Jack był

jednak szybszy. Wywołany poparzeniami ból doprowadził go do obłędu i miał teraz refleks szaleńca. Gdy tylko przeciwnik zakrył serce, uderzył sztyłem w jego gardło. Na twarzy Kylocka pojawiła się ślepa panika. Przez króciutką chwilę wyglądał jak przerażone dziecko, które bez powodu dostało klapsa.

Potem nóż wbił się w cel. Kylock otworzył usta. Jack wzdrygnął się, spodziewając się czarów. Wcisnął pospiesznie ostrze w mięśnie szyi przeciwnika, starając się przeciąć tchawicę. Kylock opierał się ze wszystkich sił.

Chłopak poczuł metaliczną woń czarów. Zobaczył, że wargi króla rozchylają się, odsłaniając czerwone, wilgotne wnętrze. Jego język zaczął wibrować.

Całą rękę Jacka przeszywał nieznośny ból. Oczy szczypały go od potu i dymu. Ciało Kylocka wyprężyło się. Chłopakiem zawładnęła panika. Miał wrażenie, że dłubie nożem w ranie przez całą wieczność. Jego pięść zalała krew, która następnie spłynęła na pierś króla.

Dłoń, w której trzymał broń, nie przestawała dygotać. Wreszcie nóż dotarł do elastycznej ściany tchawicy.

W tej samej chwili Kylock rozdziawił szeroko usta. Powietrze wokół jego warg zgęstniało. Odór gorącego metalu przybrał gwałtownie na sile.

Ruchem szybkim jak cięcie brzytwy Jack przeciął tchawicę.

Z warg Kylocka wydostał się cichy syk. Jego powieki mrugnęły jeden raz, a w oczach zalśniło czyste, zwierzęce przerażenie. Potem światło zniknęło z jego twarzy.

Jack nie zdołał powstrzymać drżenia. Ścisnął nóż w dłoni tak mocno, że knykcie zbieleły. Zaczerpnął głęboki haust powietrza, wciągając razem z nim do płuc resztkę przedśmiertnego tchnienia Kylocka.

Było to ostatnie łączące ich ogniwo. Jack czuł, jak powietrze zapada w jego płuca, wysyłając komunikaty do krwi. Przesycała je gęsta zapowiedź czarów, stanowiących esencję osobowości. Wciągając je w siebie, chłopak pojął pełną furję zaczerpnięcia mocy, którego próbował dokonać Kylock. Zadrżał na myśl o zniszczeniach, do których by doszło. Nikt w pałacu nie uszedłby z życiem. Moc była gęsta i czarna jak smoła. W skażonym przez czary powietrzu wyczuwało się jednak nie tylko zniszczenie. Jack wyczuł siłę woli Kylocka, zakres jego geniuszu oraz mroczne głębie szaleństwa. Dostrzegł prawdziwą tragedię wybitnego umysłu, zniszczonego przez narkotyki, manipulacje i kłamstwa. Odpowiedzialny za to był

Baralis, który pozbawił Kylocka kontaktu z rzeczywistością, przyspieszając rozwój obłądu i przymykając oczy na sadyzm.

Jack w jednej chwili dowiedział się tego wszystkiego, a także wielu innych rzeczy.

Nie był to triumf, a jedynie kres życia, które od samego początku było skazane.

Chłopak wypuścił powietrze z płuc, czując wszechogarniające zmęczenie. Nie chciał, by oddech Kylocka pozostawał w nim nawet chwilę dłużej. Prawdy, które dzięki niemu poznał, były zbyt niepokojące. Zostawiły w jego ustach nieprzyjemny posmak.

Baralis uczynił z własnego syna potwora.

Wyszarpnął nóż. Z rany trysnęła krew. Oczy Kylocka były zamknięte. Jego mięśnie naprężyły się, a potem rozluźniły. Poczerniały list, który upadł u jego stóp, ogarnęły płomienie. Jack nie próbował go ratować.

Kylock osunął się na podłogę. Ogień zamknął się wokół niego.

Jack odwrócił się. Nie miał dokąd pójść. Całą komnatę wypełniały sięgające ramion płomienie. Nie widział ścian ani drzwi. Wszystko było czerwono-białe. Z ognia buchał gorący dym, gęsty i gryzący. Chłopak nie chciał go wciągać w płuca, nie miał jednak wyjścia. Musiał

oddychać.

Najpierw ból odebrał mu zdrowe zmysły, teraz zaś dym zawładnął jego świadomością.

Powieki Jacka co chwila opadały, a gdy otwierał oczy, płomienie za każdym razem były coraz bliżej. Chłopak czuł, że chwieje się na nogach i że za chwilę upadnie. Żar był zbyt dotkliwy, by mógł z nim walczyć. Chciał jedynie położyć się u boku Kylocka.

Świadomość go opuszczała. Przed nim był spokój. Spokój, ulga i prawda.

- Jack!

Z płomieni wychynął nagle mroczny cień. Serce Jacka przeszył przelotny dreszcz. To był Tawl. Przyszedł wynieść go ze świątyni. Nie byli jednak na Larnie. Gdy postać podeszła bliżej, zorientował się, że to nie może być Tawl. Mężczyznę spowijały żółto-czarne barwy Valdis. Jego przyjaciel nigdy

nie założyłby stroju rycerza.

- Jack!

Postać zatrzymała się tuż za pierścieniem ognia. Pojawili się inni ludzie, również ubrani w żółto-czarne stroje. Wszyscy krzyczeli, biegali i łopotali płaszczami.

Chłopak poczuł, że pada. Na spotkanie wybiegły mu płomienie: małe, gorące palce gotowe go poparzyć.

Nie zdążył dotknąć podłogi. Jego upadek złagodziły dłonie, delikatne dłonie, które pochwyciły go jak niemowlę i przeniosły przez ogień. Choć nie widział prawie nic, a oczy zalewały mu płynące ciurkiem łzy, podniósł wzrok i spojrzał w twarz tego, kto go trzymał.

Dopiero wtedy upewnił się, że to rzeczywiście Tawl. Tawl odziany w rycerskie barwy.

Otaczali go inni rycerze. Wykrzykiwał niecierpliwym głosem rozkazy. Jack nigdy jeszcze nie widział w jego błękitnych oczach tak jaskrawego blasku. Tawl. Razem przeszli przez płomienie i razem wyszli na świat pełen nadziei, światła i śmiechu.

- Miałeś... - wykrztusił Jack, walcząc z suchością w poparzonym gardle - ...miałeś po mnie nie wracać.

- Ostrzegałem cię, że serce może mnie sprowadzić na manowce - odparł Tawl z delikatnym uśmiechem.

\*

Pożar podążał za nimi przez cały pałac. Mknął wzdłuż korytarzy, depcząc im po piętach. Tunele i klatki schodowe pełne były dymu oraz drobin czarnej sadzy. Wszędzie widzieli krzyczących, spanikowanych ludzi, którzy uciekali w popłochu. Nikt nie zwracał

uwagi na tuzin rycerzy w pełnych zbrojach, którzy również pierzchali przed płomieniami.

Spoglądano co najwyżej na kroczącego na czele wysokiego, jasnowłosego mężczyznę, który dźwigał w ramionach nieruchome ciało. Coś w jego twarzy dawało ludziom nadzieję. Coś w jego oczach trafiało wprost do duszy.

\*

Melli stała w obozie rycerzy, obserwując pożar pałacu. Jego jasny, gwałtowny, niosący wyzwolenie blask wypełniał całe północne niebo. Co dziwne, nie niepokoiła się już.

W powietrzu oprócz dymu unosiło się coś jeszcze: zapowiedź tego, że wszystko będzie dobrze.

- Wracają, panienko - oznajmił Borlin. - Widzę ich, na północy.



Nie pytała go, czy Tawl jest z nimi. Nie musiała. Wiedziała to.

- Przygotuj brandy i koce - poleciła Griftowi, który kręcił się obok ogniska.

- Tak jest, panienko.

Zmierzając ku wyjściu z obozu, usłyszała pierwsze nuty pieśni. Głos był dźwięczny i aksamitny, a słowa chwytaly za serce. Przyciągnięta jego pięknem, zmieniła trasę. Gdy podeszła bliżej, dołączyły do niego inne głosy. Okrążyła namiot dowodzenia i uśmiechnęła się radośnie na widok tego, co ujrzała.

Wokół prowizorycznej kołyski zgromadziło się chyba ze dwudziestu rycerzy, którzy śpiewali małemu Herbertowi kołysankę.

Andris, który dziś rano pojechał po nią do Fair Oaks, przywołał ją skinieniem. Weszła w krąg i stanęła obok dziecka, pozwalając, by rycerze śpiewali również i dla niej. Miała wrażenie, że serce jej zaraz pęknie. Nikt, kto usłyszałby ich śpiew, nie mógłby wątpić w dobroć rycerstwa. Spoglądając w ich piękne twarze i słysząc czułość w głosach, pojęła nagle, dlaczego Tawl zaryzykował wszystko dla ich zbawienia. Niektóre sprawy były warte więcej niż ludzkie życie.

Gdy pieśń dobiegła końca, a Tawl wjechał do obozu, podjęła wreszcie decyzję. Nie stanie mu na drodze. Zwolni go z przysięgi i pozwoli zostać wodzem rycerstwa. Była mu to winna za wszystko, co dla niej uczynił.

- Dawać chirurga! Szybko! - zawołał Tawl, nie zsiadając z konia. Melli zobaczyła, że za jego plecami ktoś jedzie. Wstrzymała oddech. Nie. To niemożliwe...

Nie myliła się jednak. To był Jack. Nie miał na grzbiecie nic poza usmoloną, powgniataną kolczugą. Cała skóra poczerniała od dymu i oparzeń. Pobiegła w jego stronę.

Oczy natychmiast zasły jej łzami. Ścisnęło ją gwałtownie w gardle. Świat wydał się jej nagle miejscem, gdzie zdarzają się cuda, a złotowłosego rycerz, który jechał w jej stronę, sprawiał

wreszcie wrażenie godnego wszystkich bożych darów. Kochała go bezgranicznie.

\*

Nocą, gdy trzy mile na północ od nich szalał pożar, chirurg zajął się Jackiem. Melli trzymała chłopaka za rękę podczas długich godzin udręki, wlewała mu wodę do ust, rozchylając pokryte pęcherzami wargi, i wcierała maść w jego rany. Najbardziej ucierpiały czoło i dłonie, lecz miał też wiele mniejszych oparzeń na całym ciele. Jeden czy dwóch rycerzy zaoferowało się z pomocą i radą, a Borlin przyniósł narkotyk, który pozwolił choremu zasnąć. Gdy oddech Jacka stał się wreszcie spokojny i regularny, dziewczyna również zapadła w sen.

O świcie obudził ją głos Tawla.

- Wstawaj, Melli. Musimy jechać do miasta.

- Ale...

Spojrzała na swe kolana. Spoczywała na nich obandażowana dłoń Jacka.

- Potrzebny mu teraz sen. Zrobiłaś już, co mogłaś. Pod twoją nieobecność zaopiekuje się nim Kosiarcz. - Głos Tawla brzmiał delikatnie, lecz stanowczo. - Ty i dziecko musicie pojechać ze mną.

Nie sprzeciwiała się. Spadła na nią odpowiedzialność za bardzo wiele spraw.

Przed wjazdem do miasta zadbała o swój wygląd. Czesła długo włosy, aż zaczęły lśnić, a oparzenia ukryła pod pudrem i pastą. Najstarsza córka oberżysty rozstała się ze swą zimową suknią, a Melli przywdziała ją w namiocie Tyrena. Złamana ręka utrudniała jej zadanie, a była zbyt dumna, by prosić o pomoc. Gdy wreszcie wyszła na zewnątrz, Tawl czekał już na nią z pięknym gniadym wałachem. Gdy pomógł jej dosiąść konia, z wielkim niezadowoleniem zauważyła, że podjechała do nich niania Greal.

- Po co nam ona? - syknęła pod nosem.

- Jest jedyną osobą w Brenie, która wie, że to Baralis zaaranżował morderstwo diuka.

Melli nie przyszedł do głowy żaden sensowny argument, zadowolila się więc pogardliwym prychnięciem.

- Na pewno nie pojedzie z dzieckiem. Ja je wezmę.

Tawl wybuchnął głośnym śmiechem. Melli uderzyło, że wydaje się bardzo młody i szczęśliwy. Wyglądał prawie jak mały chłopczyk.

- Jeśli takie jest twoje życzenie, trzeba ci będzie przytroczyć małego Herberta do pleców.

- Proszę bardzo. - Chciała okazać stanowczość, lecz śmiech Tawla był zaraźliwy i nie mogła mu nie ulec. - Już dobrze, dobrze. Niech pojedzie z nianią Greal.

Niania Greal uśmiechnęła się promiennie do Tawla.

Tawl uśmiechnął się promiennie do niani Greal.

Melli łypnęła spode łba na oboje. Gdy jednak odwrócili się do niej plecami, ona również się uśmiechnęła. Czuła się szalenie szczęśliwa.

Podróż do miasta trwała niespełna godzinę. Melli jechała na czele kohorty dwustu pięćdziesięciu rycerzy oraz siedemdziesięciu żołnierzy z Highwall. Wieści o śmierci Kylocka i Baralisa zdążyły się już rozejść. Nie miał kto wydawać rozkazów i miasto ogarnął chaos.

Przy bramie próbowała ich zatrzymać kompania czarnych hełmów, lecz gdy łucznicy z Valdis ustrzelili kilku z nich, reszta szybko straciła entuzjazm.

Kiedy Melli wjeżdżała do miasta, ogarnął ją niepokój. Mijała kolejne ulice pełne gapiących się na nią ludzi. Niektórzy jawnie okazywali wrogość lub wręcz przeklinali ją, gdy przejeżdżała. Ulotniła się niedawna szalona euforia, zastąpiona przez myśl o znaczeniu tego, co działo się wokół. Stawką była przyszłość wielkiego, starożytnego miasta. Jego los zależał

od niej i od jej syna.

Jej zdenerwowanie przejawiało się jako duma. Uniosła wysoko podbródek, przesywając wściekłym spojrzeniem tych, którzy ją przeklinali. Poślubiła ich władcę i wydała na świat jego prawowitego dziedzica. Miała prawo tu przebywać.

Kohorta dotarła do wielkiego placu i dziewczyna po raz pierwszy ujrzała dymiący szkielet pałacu diuka. Pozostały po nim jedynie nagie mury. Były nietknięte, lecz wewnątrz ziała pustka. Wszystkie drewniane elementy - belki, parkiety, meble i drzwi - strawiły płomienie. Zniknęły bez śladu. Nie mogła twierdzić, by zmartwił ją ten widok.

Zahipnotyzował ją jednak na jakiś czas. Gdy oderwała od niego wzrok, zauważyła, że na placu zgromadził się liczny tłum. Popatrzyła na Tawla.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją. - Im więcej, tym lepiej.

Przyjrzała się setkom ludzi, którzy blokowali ulice oraz zaułki i tłoczyli się wokół

fontann, szybko wypełniając brukowaną przestrzeń. Zaczęła się bać, była jednak zdecydowana tego nie okazać.

Rycerze otoczyli Melli, Tawla i nianię Greal ochronnym kręgiem. Wyglądali wspaniale. Mieli na sobie pełne, paradne zbroje, u boków trzymali lance, a ich błyszczące konie unosiły dumnie głowy. Jej wzrok przyciągnął żółto-czarny błysk wysoko na dachu.

Łucznicy z Valdis nie zamierzali podejmować ryzyka.

Gdy plac wypełnił się już ludźmi, Tawl wjechał na kilka stopni, wiodących na ulokowane na jego końcu podium. W ciżbie rozległy się posykiwania. Ludzie poznali byłego obrońcę diuka.

Tawl uniósł ręce.

- Cisza - rozkazał. - Nim mnie potępicie, najpierw mnie wysłuchajcie. - Jego głos dotarł nawet do najdalszych zakątków placu. Tłuszcza umilkła. - Baralis i Kylock nie żyją.

Obaj zginęli ostatniej nocy w pożarze. Waszym miastem i armiami nie włada już cudzoziemski król...

- Dlaczego mielibyśmy cię słuchać? - warknął jakiś mężczyzna, który wysunął się przed tłum. - Zamordowałeś naszego diuka.

- Właśnie - potwierdziła szeptem setka innych.

Twarz Tawla pociemniała. Zaciśnął wargi, jakby chciał siłą powstrzymać odpowiedź.

Szybkim gestem przywołał do siebie nianię Greal. Nim jej wierzchowiec wjechał na schody, Melli wzięła z jej rąk dziecko.

Niania Greal zatrzymała konia obok Tawla, uniosła wysoko w siodle chude ciało i powtórzyła tłumowi swą opowieść. Najpierw mówiła, jak podsłuchiwała Baralisa, który planował morderstwo diuka, potem zaś opowiedziała, jak pieniądze przeszły z rąk do rąk i wymieniła imię prawdziwego skrytobójcy.

Później, gdy tłum był ciągle pełen niedowierzania, opowiedziała wszystkim o tym, że Kylock zamordował tuziny możnowładców, a ich okaleczone ciała wrzucił do jeziora. Gdy ktoś oskarżył ją o kłamstwo, wyjęła małą, oprawną w świńską skórę książeczkę i zaczęła recytować kolejne imiona. Gdy powiedziała: „lord Bathroy”, w tłumie rozległ się krzyk:

- Ta kobieta mówi prawdę. - Głos należał do staruszka, który przepychał się powoli przez tłum. Był on rozpaczliwie chudy i miał na sobie jedynie łachmany. Wdrapał się powoli na podwyższenie. - Bathroy nie żyje.

Tawl popatrzył na Melli.

- A skąd ty o tym wiesz? - zadrwił ktoś w tłumie.

Mężczyzna zwrócił się twarzą do tłumy, unosząc pokryty bliznami kikut lewej ręki, kończący się na wysokości nadgarstka.

- Stąd, że byłem jedną z ofiar Kylocka. - Przesunął wzrokiem po ciżbie, jakby chciał sprawdzić, czy ktokolwiek odważy się zaprzeczyć jego słowom. Nikt nie patrzył mu w oczy. -

Siedziałem z Bathroyem w jednej celi. Widziałem, jak go zabierali, a potem jego krzyki nie dawały mi zasnąć przez całą noc. - Głos staruszka był cienki i przenikliwy. - Powiem wam też, że Bathroy nie był jedyny. Co noc słyszałem krzyki i co noc dziękowałem Bogu za to, że Kylock nie przyszedł po mnie.

Tłuszcza umilkła. Ludzie przestępowali niepewnie z nogi na nogę.

- Pewnej nocy jednak przyszedł - ciągnął staruszek. - Pewnej nocy nasz król, nasz diuk, nasz wódz, przyszedł po mnie.

Melli poczuła, że włoski na ramionach stanęły jej dęba na te słowa. Gardło i wargi miała zupełnie suche.

- Związali mnie i zakneblowali, a potem zaprowadzili do pokoiku oświetlonego jak namiot chirurga. Na środku stał rzeźnicki pniak. Kiedy strażnicy sobie poszli, Kylock położył

na nim moją rękę i odrąbał mi dłoń tasakiem.

Przez tłum przebiegł szmer wywołany szokiem.

Tawł uściskała mocno dłoń Melli. Dziewczyna miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Mężczyzna opuścił rękę.

- Nie miał zamiaru na tym poprzestać, ale otrzymał wiadomość, że jest pilnie potrzebny na górze, więc odprowadzili mnie do celi. Później już mnie nie wzywał. Nigdy się nie dowiem, czy o mnie zapomniał, czy po prostu chciał przedłużyć moje cierpienia. -

Mężczyzna potrząsnął powoli głową. Kiedy przemówił znowu, jego głos utracił wszelką moc.

Wydawał się znużony i bardzo stary. - Bez względu na to, co dziś uczynicie, pamiętajcie o jednym. Możliwe, że Kylock prowadził nas do zwycięstw, lecz wiódł nas również ku potępieniu.

Po twarzy Melli spłynęła samotna łza. Dziewczyna otarła ją szybko. Ze wszystkich, którzy się tu dziś zebrali, tylko ona wiedziała, jak wiele prawdy kryje się w słowach staruszka.

Wszyscy wbili wzrok w ziemię. Nikt się nie odzywał.

Melli zapragnęła podejść do bezrękiego mężczyzny, by go pocieszyć. Nie ona jedna. Z

tłumu wyłoniła się młoda dziewczyna o ciemnych, lśniących włosach i różowych policzkach, która ujęła go pod rękę. Pozwolił, by sprowadziła go z podwyższenia. Nie patrzył za siebie.

Gdy przechodzili we dwoje przez milczącą ciżbę, trzymając się pod ręce i dotykając barkami robili niewypowiedziane smutne wrażenie. Staruszek musiał się wspierać na dziewczynie.

Melli poczuła gwałtowny ucisk w gardle. Jak wielu ludzi w mieście ucierpiało z powodu oblężenia Kylocka? Ile lat będzie musiało minąć, nim uwolnią się od wspomnienia o bólu?

Po kilku chwilach ciszy odezwała się pani Greal. Odchrząknęła najpierw głośno, by przyciągnąć uwagę wszystkich obecnych, po czym rozpoczęła opowieść o Melli, która -

nosząc dziecko diuka - przez pięć miesięcy była uwięziona w zamku, gdzie dręczył ją Kylock.

Tłum słuchał w przygnębieniu. Niania Greal opowiedziała wszystkim o nocy porodu i rozkazie, jaki otrzymała od Baralisa: „Gdy tylko dziecko się urodzi, zabierz je stąd i uduś. Nie zapomnij pozbyć się ciała”.

Tłuszcza zjednoczyła się w złowieszczym pomruku.

Melli zadrżała. Miała wrażenie, że słyszy te słowa z ust samego Baralisa. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, na jak wielkie niebezpieczeństwo naraziła się niania Greal, łamiąc rozkazy królewskiego kanclerza. Później, kiedy to wszystko już się skończy, podziękuje jej z całego serca.

Najpierw jednak musiała pokazać swego syna mieszkańcom Brenu. Pogoniła konia kopniakiem i

dołączyła do Tawla i niani Greal, którzy stali na stopniach. Tawl wziął w ręce jej wodze, by mogła swobodnie unieść niemowlę.

- Spójrzcie - zawołała. - Oto wasz przyszły diuk. Oto syn Jastrzębia.

Większość zgromadzonych krzyknęła radośnie, niektórzy jednak syczeli, a nieliczni przeklinali.

- Cudzoziemska dziwka! Nie wiadomo, czyj to bękart.

Tawl zeszywniał. Zaczerpnął powietrza w płuca, chcąc odpowiedzieć, lecz Melli położyła dłoń na jego ramieniu. - Nie - wyszeptała. - Ja się tym zajmę.

Zwróciła się w stronę tłumu i zsunęła skarpetkę z lewej nóżki dziecka. Gdy niania Greal wyciągnęła do niej pomocną dłoń, Melli jej nie odtrąciła.

- Proszę! - krzyknęła, demonstrując tłumowi bosc i bardzo teraz rozgniewane niemowlę. - Możecie sami zobaczyć znamię jastrzębia.

Większość tłuszczy zareagowała okrzykami poparcia. Melli to jednak nie wystarczyło.

Spojrzała na człowieka, który przed chwilą ją obraził, i przywołała go gestem.

- No, mój panie, obejrzyj sobie niemowlę. Dotknij znamienia palcem, żeby się upewnić, że nie zejdzie. - Tłum ryknął śmiechem.

- No, prędzej - dodała, widząc jego wahanie. - Ten, kto ma tak szybki język, powinien mieć też szybkie nogi.

Wezwany stał się wkrótce najślawniejszym człowiekiem w Brenie. Tarvold Szybki Język, jak odtąd go wszyscy nazywali, zapisał się w historii jako ten, który pierwszy podał w wątpliwość prawowitość dziecka Melli, a potem jako pierwszy uznał je za dziedzica diuka.

Jego słowa: „Ehe, przyjaciele. Pani ma rację. Znamię nie schodzi” wywołały najdłuższy ryk radości w tysiącletniej historii miasta.

Tradycja utrzymywała później, że wrzaski ustały dopiero wtedy, gdy lady Melliandra uniosła otwartą dłoń i przysięgła tłumowi, że przywróci pokój. Wtedy wszyscy ucichli. Nie zostało już nic do dodania.

# Epilog

- Ach, utrzymujesz więc, że z całą pewnością nie jestem wybranym?

Tavalisk zanurzył srebrne sitko w wodzie i wyłowił ze zbiornika garść kijanek.

Wreszcie zaczął się sezon na jeden z jego ulubionych smakołyków - żabie potomstwo.

- No więc, jak Wasza Eminencja widzi, różnice między oboma wierszami są bardzo istotne. - Gamil wskazał na leżące na biurku dwie wersje proroctwa Maroda. - Ten, który dostał się w ręce Waszej Eminencji, pochodzi ze znacznie późniejszego okresu niż oryginał.

Skrybowie zmienili słowa, zdania i sens całości.

- Hmm. - Tavalisk przyjrzał się pełnemu wijących się kijanek sitku, szukając okazji, którym wyrastały już kończyny. - No cóż. Nie mam siostry, z pewnością więc nie może chodzić o mnie. Zresztą nawet gdybym ją miał, jako osoba duchowna nie mógłbym wziąć jej sobie jako kochanki.

- W rzeczy samej, Wasza Eminencjo.

Gamil pozwolił sobie odsunąć oba wiersze na bok. Na pergaminie wylądowało kilka kijanek.

- Nie mogę twierdzić, że jestem zaskoczony, Gamilu. Nie czuję się też rozczarowany.

Ostatecznie wszystko skończyło się dobrze. Piękna lady Melliandra została regentem Brenu, w Czterech Królestwach osadzono na tronie starego kuzyna zmarłego króla Lesketha, siły Kylocka nie okupują już północy ani nie zagrażają południu. Sam nie potrafiłbym zaplanować tego lepiej. Nadal zresztą uważam, że to również i moja zasługa.

- A to dlaczego, Wasza Eminencjo?

- No cóż, według wszystkich relacji dokonał tego pewien złotowłosy rycerz, a ty jeden wiesz, Gamilu, jak wiele zawdzięcza on mojej pomocy.

- Modłę się o to, by Wasza Eminencja nigdy nie zapragnął pomagać mnie.

- Bzdura, Gamilu, spełniłem tylko swój obowiązek. Przechowałem rycerza przez rok w bezpiecznym lochu, śledziłem każdy jego ruch i ocaliłem jego przyjaciółkę przed życiem na ulicach. - Tavalisk wypełnił srebrną łyżkę kijankami, spryskał je sokiem z cytryny, przyprawił solą i pieprzem, a potem połknął w całości. Śliskie, małe skurczybyki. Na dobrą sprawę nie miały żadnego smaku. - Właściwie to w pewnym sensie byłem wybranym. Kto powiedział, że nowa wersja proroctwa jest gorsza od starej? Słowa nie zmieniają się bez powodu, Gamilu. Los chciał mnie wciągnąć w tę sprawę.

- I w ostatniej chwili pozwolił Waszej Eminencji urwać się z haczyka?

- Gamilu, zapominasz, że w ciągu dwóch ostatnich lat ze wszystkich sił starałem się przeszkodzić

Baralisowi i Kylockowi w drodze do władzy. - Tavalisk prychnął z oburzeniem.

- Tak czy inaczej, lady Melliandra pełni funkcję regenta już od ponad dwóch miesięcy i najwyższy czas, bym przesłał jej oficjalne pozdrowienia. Napisz mi odpowiednie pismo.

Zawrzyj w nim zwyczajowe propozycje przyjaźni i tak dalej, a potem daj mi je do podpisania.

- Oczywiście, Wasza Eminencjo. Nie wiem jednak, czy lady Melliandra będzie zainteresowana.

- Doprawdy, Gamilu. Jesteś krótkowzrocznym łucznikiem i twe strzały zawsze chybiają celu. Mówimy o głowach państwa. Tacy ludzie nie chowają osobistych uraz. Rorn i Bren są potężne. Oba miasta muszą ze sobą współpracować, a nie rywalizować. Ludzie i sojusze mogą się zmieniać, ale taniec władzy trwa nadal.

- Lekkość stóp Waszej Eminencji z pewnością nie ma sobie równych.

- Dziękuję ci, Gamilu. Sprytni gracze, tacy jak ja, zawsze potrafią utrzymać się na powierzchni. - Wręczył sekretarzowi misę z kijankami. - Możesz już odejść, Gamilu. Zabierz ode mnie te kijanki. Mam wrażenie, że są zdecydowanie za śliskie.

Gdy sekretarz miał już opuścić komnatę, arcybiskupowi nasunęła się jeszcze jedna myśl.

- Och, swoją drogą, Gamilu, czy z ruin pałacu wydobyto zwłoki Baralisa?

- Nikt chyba tego nie wie, Wasza Eminencjo. Ostatecznie, wszystkie zwęglone szkielety wyglądają mniej więcej tak samo.

Tavalisk zadrżał.

- Idź już, Gamilu - polecił. - Wpuszczasz przez drzwi przeciąg.

\*

Okiennica kuchni domku myśliwskiego dawnego diuka była otwarta i do środka wpadały promienie słońca, a także lekki, górski wietrzyk, niosący ze sobą woń wiosennych kwiatów. Jack był piekarzem i wiedział, że zapach, powiew i światło z całą pewnością znajdą odbicie w cieście.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy miał okazję piec chleb. Gdy tylko się obudził, gorąco zapragnął poczuć między palcami mąkę, ująć w dłonie drożdże i wziąć się za ugniatanie ciasta. Pracował szybko. Jego ręce pamiętały ruchy, o których umysł dawno zapomniał. Ślady po oparzeniach nie doskwierały mu już zbyt mocno. Gdźieniegdzie zostały blizny i stracił też czucie w koniuszkach palców, lecz pęcherze zniknęły, a nagie mięśnie porosły świeżą, różową skórą. Szczęście sprzyjało mu pod wieloma względami. Szybkie gojenie się ran było tylko jednym z nich.

Umieścił ciasto w misie i nakrył je wilgotną szmatką. Rosło już po raz drugi i za niespełna godzinę będzie mógł je włożyć do pieca.



Okrążył stół, strzepując z dłoni mękę. Jeden z narożników mebla pozostawił czysty.

Zamierzał zająć się tam pisaniem, nie pieczeniem. Spoczął na ławie przed kartą pergaminu, lnianym bibularzem, inkaustem i gęsim piórem, które wydawało mu się małe i nie pasowało do jego dłoni. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio trzymał w ręku pióro. Obracając je w palcach, pomyślał o chwili, gdy po raz pierwszy próbował pisać: przed wielu laty w gabinecie Baralisa, w dniu, gdy postrzelono z łuku króla Lesketha.

Z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że uśmiechnął się na to wspomnienie. Wówczas o tym nie wiedział, lecz właśnie owo słoneczne, mroźne popołudnie dało początek wszystkiemu. Cały przeżyty przez niego strach, obłąd i triumf były rezultatem tego właśnie dnia.

I cały smutek.

Umaczał pióro w inkaucie i sprawdził jego ostrość, pisząc na marginesie: „Tarissa”.

Szpic był w porządku. Chłopak skreślił nabazgrane pospiesznie imię, po czym napisał je na szczycie, tym razem już ładnie.

### *Droga Tarisso*

Przerwał, by odgarnąć kosmyk z czoła. Zacerpnął głęboko tchu. To będzie trudniejsze niż mu się zdawało. W środku nocy zdołał sobie wmówić, że jeśli wstanie wcześniej rano i zmęczy się ciężką pracą, to gdy nadejdzie pora, by napisać list, słowa z jakiegoś powodu szybciej spłyną spod pióra.

Mylił się, rzecz jasna. Mylił się tak często, że czasem dziwił się, dlaczego w ogóle mu się udało. Przez cały czas prześladowały go pomyłki, błędne wyobrażenia i fałszywe mniemania.

Przebywał w domku myśliwskim byłego diuka już od siedmiu tygodni. Towarzyszył

mu jedynie stary sługa, który wietrzył pokoje i palił w piecach. Jack miał mnóstwo czasu na myślenie. Musiał zrozumieć, co łączyło ze sobą proroctwo Maroda, list od jego matki oraz fakt, że Tarissa nie chciała mówić o swym pochodzeniu. Nie chciał już więcej popełniać błędów.

Teraz, gdy nadszedł wreszcie czas, by opuścić domek, uznał, że znalazł wreszcie rozwiązanie zagadki, która od tak dawna dręczyła jego umysł. On i Tarissa mieli tego samego ojca.

„Lecz siostrę za kochankę”. Ten werset towarzyszył mu od czasu długiej nocy spędzonej w pałacu. Z początku go ignorował, lecz słowa nie dawały mu spokoju, aż wreszcie nie potrafił już o nich zapomnieć. Tarissa była jego przyrodnią siostrą, królewskim dzieckiem z nieprawego łoża, tak samo, jak on. Tłumaczyło to bardzo wiele: szlacheckie pochodzenie Magry, jej rozgoryczenie, wygnanie obu kobiet z królestw. Nawet jego matka o tym wspominała: „Tak jak wszyscy, słyszałam plotki, że miewa romanse z innymi kobietami...” Nagle ogarnęło go znużenie. Zamknął oczy. Ciemność natychmiast odeгнаła wizja polany, na której Tarissa wyznała mu swą miłość. Wyobraził sobie opadające do stawu gałązki wierzby i unoszącą się na wietrze woń żonkili. Przypomnił sobie, jak spojrział w czystą toń i wziął odbicie dziewczyny za własne.

Zamrugał powiekami, chcąc odegnąć ten obraz. Mięśnie piersi rozdarł mu delikatny ból, przypominający raczej smutek. Byli do siebie tak bardzo podobni, a żadne z nich tego nie zauważyło.

Raz jeszcze wziął w rękę pióro, zastanawiając się, od czego zacząć. Jak mógł jej to przekazać? Czy mógł sformułować list tak, by nie sprawić Tarissie więcej bólu? Wypróbował

w myśli kilka początków, lecz żaden z nich nie wydawał się odpowiedni. Od dawna nie miała od niego żadnej wiadomości, opuścił ją pełen oburzenia, choć błagała go, by został, cóż więc mogła chcieć od niego usłyszeć?

Przeciągnął się na krześle, pogrążony w myślach. W przecinającym kuchnię na dwoje paśmie porannego blasku słońca widać było wirujące w powietrzu drobiny kurzu i mąki. Jack przyglądał się przez chwilę, jak unoszą się i opadają. Każdy z nich był oddzielną całością, a mimo to wszystkie zmierzały tą samą drogą. Wreszcie pochylił się i przystąpił do pracy.

*Piszę ten list z wielu powodów, lecz przede wszystkim dlatego, by cię przeprosić.*

*Postąpiłem niestuszenie, opuszczając cię tego dnia, gdy pobitem się z Rovasem. Wiem teraz, że mówiłaś prawdę, zapewniając mnie o swej miłości...*

Słowa wylewały się z niego strumieniem. Inkaust był czarną, lśniącą wstążką, która opadała z pióra. Wiedział, co chce przekazać i w jaki sposób osiągnąć ten cel. Nie musiał

uciekać się do górnolotnych sformułowań ani wyrażać wzniosłych uczuć. Wystarczy, że powie prawdę. Tego właśnie by chciał, gdyby był na miejscu Tarissy. Tego cały czas szukał.

Spędził nad listem całą godzinę, pisząc o przebaczeniu, miłości i przyjaźni. Zdradził

Tarissie wszystko, czego domyślił się na temat jej pochodzenia, i wyjawiał to, co wiedział o własnym. Bez względu na to, jak przekonujące wydawały się dowody, jakaś drobna część jego jaźni pragnęła jednak, by się mylił, na końcu listu dodał więc zdanie mówiące, że jeśli popełnił straszliwy błąd, Tarissa zawsze będzie mogła się z nim skontaktować za pośrednictwem mieszkającego w Annisie człowieka imieniem Stillfox. Podpisał się szybkim ruchem, zdecydowany nie poświęcać zbyt wielu myśli owej nadziei. Musieli żyć dalej. Oboje.

Gdy był zajęty pisaniem, ciasto pod szmatką przerodziło się w pulchną kulę. Jack osuszył i złożył list, po czym wetknął go pod bluzę i podzielił ciasto na bochny. Przelał na papier wszystko, co chciał przekazać, i zrobiło mu się lekko na sercu. Opuści dzisiaj domek, rozstanie się z przyjaciółmi i z życiem, jakie tutaj wiódł, spróbuje rozpocząć wszystko od nowa. Pisząc list, postąpił właściwie. Było to wyjaśnienie, przeprosiny i pożegnanie.

Nadał bochnom odpowiedni kształt, ułożył je na oprószonej mąką łopacie i włożył do pieca. Gdy zamykał jego drzwiczki, usłyszał tętent zbliżających się kłusem koni. Po kilku sekundach do kuchni wpadł Kosiarz.

- Cześć, Jack. Jak się masz, stary druhu?

- Kosiarz! - Chłopak był szczerze zaskoczony. Nie widział młodego kieszonkowca od wielu tygodni.  
- Nie spodziewałem się, że znajdziesz mnie aż tutaj. Czy Tawl i Melli przyjechali z tobą?

- Tylko Tawl. - Kosiarz podszedł do stołu, na którym Jack przygotowywał chleb i zaczął obmacywać wszystko, co na nim leżało. - Jedziemy na południe. Wracamy do Rornu.

Pomyśleliśmy sobie, że wpadniemy tu pożegnać się z tobą.

Był to dzień pożegnań. Jack spojrzał pod drzwi, gdzie leżał jego spakowany już plecak.

- A co chcecie załatwić w Rornie?

Kosiarz przesunął palcem po pokrywającej blat warstwie mąki.

- Nie mogę się wypowiadać w imieniu Tawla, ale osobiście mam nadzieję zrobić karierę. Gdy ostatnio tam byłem, otrzymałem bardzo interesującą propozycję. Naprawdę bardzo interesującą. Stary powiedział, że znajdzie dla mnie miejsce w swojej organizacji. No wiesz, mógłbym pomagać w zarządzaniu jego osobistymi finansami i tak dalej. - Chłopiec przerwał na chwilę, by Jack miał szansę okazać, że zrobiło to na nim wrażenie. - Oczywiście, wolałbym, żebyś zachował tę wiadomość dla siebie.

- Ma się rozumieć.

- Jack! - Tawl wszedł do środka, podszedł w dwóch zamaszystych krokach do chłopaka, a potem uściskał go potężnie. - Cieszę się, że cię widzę, przyjacielu.

Jack spojrzał rycerzowi prosto w twarz. Zniknęły z niej wszelkie ślady minionych trudów i napięć. Miał wrażenie, jakby Tawl narodził się na nowo.

- Ja też się cieszę - odparł szczerze; nie potrafił ubrać tego w słowa.

Obaj mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Jack czuł, że rycerz próbuje odkryć w nim ślady obrażeń... albo oznaki powrotu do zdrowia. Po chwili jego przyjaciel skinął głową, najwyraźniej zadowolony z tego, co widzi.

- Czy Kosiarz, mówił ci, dokąd się wybieramy?

- Mówił dokąd, ale nie wytłumaczył po co.

Tawl uśmiechnął się jak niesforny ministrant.

- Myślę, że już najwyższy czas, żeby ktoś wreszcie wskazał arcybiskupowi Rornu jego właściwe miejsce.

Jack uśmiechnął się. Udzielił mu się nastrój przyjaciela.

- A jakie to jest miejsce?

- Nie jestem wybredny. Może być rynsztok albo ulica. - Złapał leżący na stole trójkąt sera i wbił weń zęby. Jack zauważył, że na jego ramieniu pojawił się dodatkowy krąg. Miał

ich teraz trzy. Ten trzeci wypalono niedawno i jego brzegi wciąż były zaczerwienione. Biała blizna, która kiedyś przesywała kręgi, zniknęła bez śladu. - Mówiąc szczerze, prowadzę do Rornu drużynę rycerzy. Kosiarz wie to i owo o arcybiskupie, a to... jak by to ująć?... powinno przyspieszyć odejście Jego Eminencji.

Kieszonkowiec właśnie wychodził przez tylne drzwi.

- Tylko nikomu nie wspominaj, że to ja go sypanąłem, Tawl. To by mi zniszczyło reputację.

Kosiarz odwrócił się i ruszył przez podwórko ku leżącym za nim polom.

Jack śledził go wzrokiem.

- Co będzie z Melli pod twoją nieobecność? - zapytał po kilku chwilach, zwracając się w stronę Tawla.

Rycerz przejechał palcami po włosach.

- Wiesz, jak silną ma wolę, Jack. Praktycznie zmusiła mnie do przyjęcia tytułu wodza.

Zwolniła mnie nawet z przysięgi. - Tawl potrząsnął głową, uśmiechając się lekko. - Skądinąd, ma rację. Pozbycie się Tyrena to tylko połowa zadania. W Valdis jest do wykonania mnóstwo pracy. Jestem przekonany, że mogę się tam okazać użyteczny. Zamierzam wprowadzić wiele zmian. W swoim czasie ludzie z dumą nosili miano rycerzy. Chciałbym, żeby te dni wróciły.

- Myślę, że potrafisz tego dokonać.

- Mam taką nadzieję - rzekł cicho Tawl. - Naprawdę bardzo na to liczę.

- A więc ty i Melli...

Słowa Jacka ucichły nagle, gdy zdał sobie sprawę, że nie wie, jak wyrazić to uprzejmie.

- Nie pobierzemy się. - Na twarz Tawla powrócił uśmiech. - To wcale nie jest takie pewne, Jack. Mówiłem przecież, że chcę wprowadzić zmiany.

Jack nigdy jeszcze nie widział w niebieskich oczach przyjaciela tak jaskrawego błysku.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak. Zawsze uważałem, że zasada zabraniająca rycerzom się żenić nie ma sensu. Daj mi parę lat, a jestem pewien, że przekonam o tym i innych.

- Nie wątpię w to.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Podniecenie Tawła udzielało się Jackowi.

- Widzę, że ty również wyjeżdżasz.

Tawł wskazał głową na plecak Jacka.

- Tak. Wybieram się do Annisu. Poznałem tam pewnego człowieka... nazywa się Stillfox. Zaczął mnie szkolić, ale uciekłem, nim zdążył skończyć. Myślę, że czas już znowu go odwiedzić, żeby czegoś się nauczyć.

- A czy potem tu wrócisz?

Jack potrząsnął głową.

- Nie wiem. Chyba najpierw trochę popodróżuję. Zwiedzę różne kraje. Pojadę na zachód, do Silburu, a potem na południe, do Isro.

Tawł zwrócił twarz w stronę okna.

- Czeka nas więc długie rozstanie - rzekł cichym, ochryplym głosem.

Jack poczuł przeszywający ból serca. Łączyło go z Tawłem bardzo wiele: proroctwa, sny i wspólnie przeżyte przygody. A także krew. Przypomniawszy sobie ich spotkanie w piwnicy Cravina. Tak jest, połączyła ich również krew.

Trudno mu było uwierzyć, że nadszedł czas rozstania. Zawdzięczał Tawłowi bardzo wiele. Rycerz ocalił mu życie nie raz, lecz dwa razy, a na koniec pozwolił mu ujrzeć prawdę.

Kiedy go potrzebował, zawsze był na miejscu.

Zaczerpnął pospiesznie tchu i zapytał Tawła o to, o czym myślał już od wielu tygodni:

- Dlaczego poszedłeś po mnie do pałacu?

Rycerz wciąż wyglądał przez okno. Odpowiedział mu szybko, jakby jego myśli zdążyły tą samą trasą.

- Właściwie to nie wiem, Jack. Gdy zabiłem Tyrena, przez długie godziny leżałem w namiocie. Spałem, marzyłem, wspominałem rodzinę. Z jakiegoś powodu zacząłem myśleć o tobie i... - Wzruszył ramionami. - Nie czułem żałoby, a tylko niepokojącą pustkę. I nagle ocknąłem się pośrodku obozu, organizując wypad do pałacu. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Ubranie wciąż jeszcze miałem splamione krwią Tyrena, więc ktoś dał mi rycerskie szaty. Wielu ludzi Maybora odniosło rany i dlatego paru rycerzy zgłosiło się na ochotnika. Po godzinie byliśmy już w sercu pałacu. Nie byłem pewien, czy żyjesz, dopóki nie znaleźliśmy dziewczyny w zielonej sukni, która tułała się po tunelach. Gdy wyjąłem jej knebel, powiedziała, że związał ją wysoki, brązowowłosy mężczyzna. Potem nikt już nas nie mógł

powstrzymać.

Skinął lekceważąco dłonią.

- Zdążyliście akurat na czas - zauważył Jack.

Nie pamiętał wiele z wydarzeń owej nocy, lecz widoku Tawla, który pognał ku niemu, gdy padał na podłogę, nie zapomni aż po kres życia. Otaczały go ogień, blask i ból, a rycerz przyszedł do niego przez to wszystko.

Przyjaciel skierował na niego spojrzenie swych błękitnych oczu.

- Otrzymałem tej nocy błogosławieństwo, Jack. Wszyscy je otrzymaliśmy.

Umilkli na chwilę, rozumiejąc zawartą w tych słowach prawdę. Jack wrócił do pieczenia, a Tawl znów zaczął wyglądać przez okno na zieloną, usypaną kwieciami łąkę. Gdy wreszcie się odezwał, mówił pozornie o czymś innym, lecz w rzeczywistości o tym samym.

- Przed paroma tygodniami Grift znalazł Bodgera. Wałęsał się sam po ulicach.

Trzymali go w lochu, Borc wie jak długo, lecz gdy w pałacu wybuchł pożar, strażnicy byli zmuszeni wypuścić więźniów z cel. Nastąpiło takie zamieszanie, że Bodgerowi udało się uciec.

Błogosławieństwo spotkało owej nocy bardzo wielu spośród nich. Wydarzyło się mnóstwo oddzielnych cudów, które tworzyły jedną całość. Jack zamknął na chwilę oczy, oszołomiony wzajemnym powiązaniem wszystkich tych wydarzeń. Uśmiechnął się, choć czuł

się nie tyle szczęśliwy, co pełen bojaźni.

- A więc Grift i Bodger znów trzymają się razem, co?

- Ku przerażeniu wszystkich kobiet w Brenie - potwierdził Tawl, śmiejąc się cicho.

Wyrzał przez otwarte okno i skinął na Kosiarza. - Musimy już ruszać w drogę - powiedział, zwracając się do Jacka. - Czekaj nas długi dzień na szlaku. - W jego oczach znowu pojawił się dociekliwy wyraz, który chłopak dostrzegł już w nich przed kilkoma minutami, tym razem jednak ukrywał się pod nim smutek. - Jeśli będziesz miał jakieś kłopoty, zawiadom mnie, a zjawię się natychmiast. A jeśli znużysz się samotnością, znajdź mnie i razem ruszymy na wędrowną.

Chłopak nie potrafił mu odpowiedzieć. Nie mógł znaleźć właściwych słów.

Po krótkiej chwili pod oknem pojawił się Kosiarz. Jego bystre, młode oczy natychmiast dostrzegły naturę panującego w izbie milczenia, postanowił więc wprowadzić lżejszy nastrój.

- Przysięgam na grób matki Szybciora, że gdy tylko ta podróż się skończy, za nic w świecie nie wsiądę już na konia - oznajmił. - Nigdy nie zdołam pojąć, dlaczego ludzie jeżdżą konno, jeśli mogą wybrać podróż morską.

Jack i Tawl patrzyli na siebie jeszcze przez chwilę, po czym wybuchnęli radosnym śmiechem. - No

cóż - rzekł w końcu rycerz, wspierając dłoń na barku przyjaciela. - Pora już ruszać w drogę. Uważaj na siebie, druhu. Nigdy o tobie nie zapomnę.

- Ani ja o tobie.

Chłopak chciał powiedzieć coś jeszcze, podziękować Tawlowi za wszystko, co ten dla niego zrobił, i za to, co przed chwilą mu zaproponował. Powstrzymało go jednak to, co ujrzał

w twarzy rycerza. Między nimi podziękowania nie były konieczne.

Wyszedł przed domek, by patrzeć, jak odjeżdżają. Tawl wyglądał tak, jak Jack zawsze sobie wyobrażał rycerzy: przystojny, silny i pewny siebie. Uniósł na pożegnanie świeżo napiętowaną rękę, zawrócił konia i zaczął się oddalać.

Jack przełknął z wysiłkiem ślinę, rozdarty między radością a smutkiem. Patrzył, jak obaj jeźdźcy znikają w głębokim, zielonym cieniu odległych sosen. Wyteżał wzrok, by dostrzec wszystkie możliwe szczegóły i zachować je w sercu jako drogocenne wspomnienia.

Gdy nie zostało już nic do zobaczenia, wrócił do domku.

Kuchnię wypełniał zapach piekącego się chleba. Jack wyjął bochny z pieca i ułożył je na stole, żeby ostygły. Przez kilka chwil siedział wpatrzony w buchającą z nich parę, potem jednak zawładnęła nim gwałtowna potrzeba wyruszenia w drogę. Skierował się do drzwi.

Zostawi chleb dla sługi.

Zarzucił sobie plecak na ramię i pomaszerował przed siebie w blasku słońca. Nie chciało mu się dosiadać konia, prowadził go więc ścieżką. Potem wyszli na łąkę. Od gór wiał

wietrzyk, lekki, wonny i świeży. Owady bzyczały, z krzaków dobiegały ptasie trele, a wysoko na niebie krążył samotny jastrząb. Słońce ogrzewało jego szyję i policzek, a trawa szeleściła pod stopami. Na sercu czuł lekki dotyk listu do Tarissy. Szedł w stronę sosen, tą samą drogą, co Tawl. Gdy dotarł do granicy drzew, cień przesunął się już z zachodu na wschód i choć wałach wolały ruszyć w tym drugim kierunku, śladem wierzchowców Tawla i Kosiarza, Jack skierował go prosto na południe. Miał ochotę przez jakiś czas wędrować sam.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)